STEPHEN KING

SERCA ATLANTYDÓW

Prószyński i S-ka

Josephowi, Leanorze i Ethanowi:
opowiedziałem wam to wszystko tylko po to,
żeby to właśnie wam powiedzieć.

Numer 6: Czego chcecie?

Numer 2: Informacji.

Numer 6: Po czyjej jesteś stronie?

Numer 2: Nie zadawaj pytań. To my od tego jesteśmy.

Numer 6: Niczego się nie dowiecie!

Numer 2: Mamy swoje metody. Na pewno się dowiemy.

Więzień

Simon nawet nie drgnął - niewielki brązowy kształt ukryty pod liśćmi. Chociaż zacisnął powieki, wciąż widział sowią głowę: wielkie, na pół przymknięte oczy połyskiwały nieskończonym cynizmem dorosłości. Ich widok utwierdzał Simona w przekonaniu, że wszystko zmierza w niewłaściwym kierunku.

William Golding

Władca much

„Daliśmy ciała”

Easy Rider

1960: Mieli kij zaostrzony z obu końców.

Mali ludzie w żółtych płaszczach

1

Chłopiec i jego matka.

Nowy lokator.

O czasie i obcych.

Ojciec Bobby'ego Garfielda należał do mężczyzn, którzy zaczynają tracić włosy w wieku dwudziestu kilku lat, a około czterdziestu pięciu są zupełnie łysi. Randallowi Garfieldowi oszczędzono tej nieprzyjemności, ponieważ w wieku trzydziestu sześciu lat umarł na zawał serca. Był agentem nieruchomości; ostatnie tchnienie wydał na kuchennej podłodze w czyimś domu, podczas gdy potencjalny nabywca na próżno usiłował wezwać pogotowie przez nieczynny telefon. Bobby miał wtedy trzy lata. Zostały mu niewyraźne wspomnienia o człowieku, który go łaskotał, a potem całował w czoło i policzki. Był prawie pewien, że to właśnie ojciec. POGRĄŻONA W ŻALU RODZINA, taki podpis widniał na nagrobku Randalla Garfielda, ale matka Bobby'ego nigdy nie sprawiała wrażenia nadmiernie zrozpaczonej, jeśli zaś chodzi o chłopca… Czy można rozpaczać w powodu straty kogoś, kogo ledwo się pamięta?

Osiem lat po śmierci ojca Bobby zakochał się po uszy w rowerze marki Schwinn, wystawionym w witrynie Harwich Western Auto. Na różne sposoby starał się zwrócić na niego uwagę matki, aż wreszcie pewnego wieczoru, kiedy wracali do domu z kina (film nazywał się „The Dark at the Top of the Stairs"; Bobby nie wszystko rozumiał, ale film bardzo mu się podobał, szczególnie wtedy, kiedy Dorothy McGuire przewróciła się do tyłu razem z krzesłem, pokazując długie nogi), po prostu pokazał jej go na wystawie i zauważył mimochodem, że taki rower uszczęśliwiłby każdego chłopca obchodzącego jedenaste urodziny.

- Nawet o tym nie myśl - usłyszał w odpowiedzi. – Nie stać mnie na taki prezent. Sam rozumiesz, twój ojciec nie zostawił nam zbyt wiele.

Chociaż Randall umarł za prezydentury Trumana, teraz natomiast dobiegał końca ośmioletni okres rządów Eisenhowera, zdanie „Twój ojciec nie zostawił nam zbyt wiele" padało z ust matki Bobby'ego niemal za każdym razem, kiedy chłopiec sugerował wydatek przekraczający jednego dolara. Reakcji tej towarzyszyło zazwyczaj pełne wyrzutu spojenie, jakby Randall Garfield nie umarł, tylko ich porzucił.

A więc nici z roweru, myślał ponuro Bobby w drodze powrotnej do domu. Przyjemność, jaką dało mu obejrzenie dziwnego, częściowo niezrozumiałego filmu, niemal zupełnie się ulotniła. Nie sprzeczał się z matką ani nie próbował jej przekonywać, doprowadziłoby to bowiem do kontrataku, a kontratakująca Liz Garfield nie brała jeńców; w milczeniu żałował straconego roweru… i ojca, którego z kolei czasem niemal nienawidził, a czasem powstrzymywało go przed tym wyjątkowo silne przeczucie, że matka tego właśnie od niego oczekuje. Kiedy dotarli do Commonwealth Park - dwie przecznice dalej mieli skręcić w lewo w Broad Street, przy której mieszkali - pokonał wewnętrzny opór i zapytał o Randalla Garfielda.

- Naprawdę niczego nam nie zostawił? Zupełnie niczego?

Zaledwie tydzień lub dwa wcześniej czytał w powieści o Nancy Drew o pewnym ubogim dziecku, które odziedziczyło wielkie skarby ukryte za starym zegarem w opuszczonej rezydencji. Co prawda Bobby nie podejrzewał, żeby jego ojciec ukrył gdzieś złote monety albo kolekcję rzadkich znaczków pocztowych, gdyby jednak zostawił COKOLWIEK, być może udałoby im się to sprzedać w Bridgeport. Albo zastawić w lombardzie. Co prawda Bobby nie wiedział zbyt dobrze, na jakiej zasadzie opiera się działalność lombardów, orientował się jednak, jak wyglądają: na zewnątrz wisiały trzy złociste kule. Był przekonany, że właściciele lombardów chętnie im pomogą. Oczywiście były to tylko dziecięce marzenia, ale z drugiej strony mieszkająca przy tej samej ulicy Carol Gerber miała mnóstwo lalek, które dostała od ojca marynarza. Skoro ojcowie dawali dzieciom różne rzeczy - a, jak widać, dawali - to należało wysnuć logiczny wniosek, że od czasu do czasu powinni coś zostawiać.

Bobby zadał pytanie w chwili, kiedy mijali jedną z ulicznych latarni, w związku z czym doskonale widział, jak zmienia się wyraz twarzy matki; działo się tak za każdym razem, kiedy pytał o ojca. Ten widok zawsze nasuwał mu skojarzenie z jej portmonetką: kiedy ściągało się sznurki, otwór się zmniejszał.

- Powiem ci, co nam zostawił – odparła, gdy zaczęli się wspinać na Broad Street Hill. Bobby zaczął żałować, że w ogóle zadał pytanie, ale teraz, ma się rozumieć, było już za późno. Kiedy zaczęła, nie sposób było jej powstrzymać. - Zostawił nam polisę na życie, która wygasła rok wcześniej. Dowiedziałam się o tym dopiero wtedy, kiedy wszyscy, łącznie z przedsiębiorcą pogrzebowym, zaczęli się zgłaszać po pieniądze. Zostawił też stertę niezapłaconych rachunków, które w większości zdołałam już uregulować, a to dzięki temu, że ludzie okazali się bardzo wyrozumiali. Szczególnie pan Biderman. Tak, byli bardzo wyrozumiali, muszę im to przyznać.

Wszystko to słyszał już wielokrotnie, tym razem jednak dodała coś nowego.

- Twój ojciec zawsze uważał, że należy licytować nawet z najsłabszą parą w ręku - powiedziała, kiedy byli już blisko domu.

- Co to znaczy, mamo?

- Nieważne. Powiem ci jeszcze tylko jedno, Bobby-O: lepiej, żebym nigdy nie przyłapała cię na grze w karty na pieniądze. Zbyt wiele już przez to wycierpiałam.

Bobby'ego korciło, żeby pytać dalej, ale zdawał sobie sprawę, że lepiej milczeć. Kolejne pytania wywołałyby niepohamowaną tyradę. Nagle przyszło mu do głowy, że być może film, który widzieli (bądź co bądź, jego bohaterami byli nieszczęśliwi mężowie i żony), wprawił ją w zły nastrój z jakichś jeszcze innych powodów, których on, jako dziecko, nie potrafił pojąć. Postanowił w poniedziałek zapytać Johna Sullivana o tę parę i licytację. Miał wrażenie, że chodziło o pokera, ale nie był całkiem pewien.

- W Bridgeport są takie miejsca, gdzie można stracić dużo pieniędzy - dodała po chwili. - Głupi mężczyźni ciągną tam tabunami. Głupi mężczyźni potrafią napytać sobie biedy, a kto musi wszystko potem naprawiać? Oczywiście, kobiety.

Bobby doskonale wiedział, co usłyszy za chwilę: ulubione powiedzenie matki.

- Życie nie jest sprawiedliwe - westchnęła Liz Garfield, wyjmując z torebki klucze do domu numer 149 przy Broad Street w Harwich w stanie Connecticut. Był kwiecień roku 1960, noc pachniała wiosennymi perfumami, a obok Lizy stał chudy chłopak z rudymi, odziedziczonymi po ojcu włosami. Unikała z nimi kontaktu, jakby ją parzyły; nawet jeśli od czasu do czasu zdarzyło jej się pieszczotliwie dotknąć syna, jej dłoń zawsze muskała policzek albo ramię. - Życie nie jest sprawiedliwe - powtórzyła, po czym otworzyła drzwi i weszli do środka.

Istotnie, matki nie traktowano jak księżniczkę i rzeczywiście szkoda, iż jej mąż umarł w wieku trzydziestu sześciu lat na wyłożonej linoleum podłodze, ale Bobby'emu wydawało się niekiedy, że mogłoby być jeszcze gorzej. Na przykład, gdyby zamiast jednego dziecka miała dwoje. Albo troje. Albo nawet czworo.

A gdyby musiała naprawdę ciężko pracować, żeby ich utrzymać? Mama Smutnego pracowała w piekarni w centrum miasta; w te tygodnie, kiedy pracowała na pierwszą zmianę, Smutny John i jego dwaj starsi bracia prawie jej nie widywali. Bobby też często obserwował kobiety opuszczające o trzeciej po południu fabrykę obuwia (on sam wychodził ze szkoły o wpół

do trzeciej): zbyt chude lub za grube, o ziemistych twarzach i palcach zabarwionych na okropny kolor starej krwi, z opuszczonym wzrokiem, niosące w foliowych torbach robocze stroje i pantofle. Zeszłej jesieni, podczas kościelnego pikniku poza miastem, na który pojechał z panią Gerber, Carol i małym Ianem (zwanym przez Carol Ianem-smarkaczem), widział ludzi zrywających jabłka w sadzie. Kiedy zapytał o nich panią Gerber, usłyszał, że to imigranci, coś jakby wędrowne ptaki: ciągle w drodze, żyjący tym, co akurat dojrzało. Jego matka mogła być jedną z nich, ale nie była.

Była natomiast sekretarką pana Donalda Bidermana w agencji handlu nieruchomościami Home Town - tej samej firmie, dla której pracował ojciec Bobby'ego, kiedy umarł na zawal serca. Bobby przypuszczał, iż dostała tę pracę ze względu na to, że Donald Biderman lubił Randalla i pragnął pomóc młodej wdowie z maleńkim dzieckiem, ale na pewno nie zawiodła zaufania, pracowała dużo i dobrze, często do późnego wieczoru. Bobby kilkakrotnie widywał ich razem, na przykład podczas firmowego pikniku albo wtedy, kiedy pan Biderman zawiózł ich do dentysty w Bridgeport po tym, jak Bobby'emu wybito ząb podczas meczu, i jego uwagi nie uszedł dość szczególny sposób, w jaki na siebie patrzyli. Pan Biderman dzwonił czasem dość późno wieczorem i wtedy matka mówiła do niego „Don", ale Don był stary, więc chłopiec nie zaprzątał sobie nim głowy.

Bobby nie wiedział zbyt dokładnie, co jego mama robi w biurze całymi dniami (a niekiedy także wieczorami), przypuszczał jednak, że coś bardziej interesującego niż produkowanie butów, zbieranie jabłek albo rozpalanie pieców w piekarni o wpół do piątej nad ranem. Coś znacznie bardziej interesującego. Wolał jednak nie pytać, nauczył się bowiem, że zadawanie zbyt wielu pytań może ściągnąć na jego głowę poważne problemy. Gdyby na przykład zapytał, jak to jest, że mama może sobie pozwolić na trzy nowe sukienki od Searsa, w tym jedną jedwabną, nie stać jej natomiast na trzy miesięczne raty w wysokości jedenastu i pół dolara za srebrzysto-czerwony rower marki Schwinn - tak wspaniały, że aż coś go skręcało w środku, żeby wskoczyć na siodełko - napytałby sobie nielichej biedy.

Dlatego nie zapytał, ale postanowił samodzielnie zarobić potrzebną sumę. Co prawda zajmie mu to czas do jesieni, a może nawet do zimy, i kto wie, czy wymarzony model w tym czasie nie zniknie z wystawy, lecz to nie miało znaczenia. Trzeba zakasać rękawy, zacisnąć zęby i twardo dążyć do wyznaczonego celu. Życie nie jest lekkie ani sprawiedliwe.

W swoje jedenaste urodziny, które wypadły w ostatni wtorek kwietnia, Bobby dostał od matki nieduży płaski pakuneczek zawinięty w srebrzysty papier. Wewnątrz znajdowała się pomarańczowa karta biblioteczna. DOROSŁA karta biblioteczna. Żegnajcie Nancy Drew, Chłopaki Hardy'ego, Donie Winslow… Witaj cała reszto, witajcie opowieści pulsujące skrywanymi namiętnościami, takie jak „The Dark at the Top of the Stairs". Nie wspominając o zakrwawionych sztyletach w pokojach na wieży. (Co prawda w książkach o Nancy Drew i Chłopakach Hardy'ego też były tajemnicze pokoje na wieży, ale już krwi tyle co na lekarstwo, o namiętnościach zaś w ogóle można było zapomnieć).

- Tylko pamiętaj, że pani Kelton jest moją przyjaciółką - powiedziała mama oschłym tonem, jakim zawsze udzielała mu napomnień, widać jednak było, iż jego radosna reakcja sprawiła jej dużą przyjemność. - Jeśli spróbujesz wypożyczyć coś takiego jak „Peyton Place" albo „King's Row", na pewno się dowiem!

Bobby się uśmiechnął. Wiedział, że tak właśnie będzie.

- Jeśli trafisz na drugą bibliotekarkę i jeżeli zapyta cię, skąd masz pomarańczową kartę, powiedz, żeby ją odwróciła. Na drugiej stronie napisałam, że się zgadzam, żebyś korzystał z mojej karty.

- Dziękuję, mamo. To wspaniały prezent.

Uśmiechnęła się, schyliła i musnęła jego policzek chłodnymi ustami.

- Miło mi, że jesteś zadowolony. Jeśli uda mi się wrócić trochę wcześniej, pójdziemy na małże z rusztu i lody, ale na tort musisz poczekać do końca tygodnia. Wcześniej na pewno nie zdążę go zrobić. A teraz ubieraj się i zmykaj, bo spóźnisz się do szkoły.

Razem zeszli po schodach i wyszli na ganek. Przy krawężniku czekała taksówka, przy oknie po stronie pasażera stał mężczyzna w popelinowym płaszczu i płacił kierowcy. Za nim na chodniku stały walizki i kilka papierowych toreb z uszami.

- To na pewno ten, który wynajął pokój na drugim piętrze - powiedziała Liz z „portmonetkowym" wyrazem twarzy. Stała na najwyższym stopniu schodków prowadzących z ganku na chodnik, taksując spojrzeniem wąski, wypięty zadek mężczyzny. - Nie ufam ludziom, którzy pakują swoje rzeczy w papierowe torby. Moim zdaniem coś takiego świadczy o niechlujstwie.

- Ma też walizki - zauważył Bobby, jednak nawet bez zachęty ze strony matki musiał przyznać, że walizki nie przynosiły chluby swemu właścicielowi: były nie od kompletu, a wyglądały tak, jakby ktoś przewędrował cały kraj, kopiąc je wściekle przed sobą.

Zeszli na chodnik. Taksówka odjechała, a mężczyzna w popelinowym płaszczu odwrócił się w ich stronę. Według Bobby'ego ludzie dzielili się na trzy kategorie: dzieci, dorosłych i starców. Starcy to byli dorośli z siwymi włosami; nowy lokator należał właśnie do tej kategorii. Miał pociągłą, zmęczoną twarz, nie tyle pomarszczoną (no, najwyżej dokoła bladoniebieskich oczu, ile wręcz pooraną głębokimi bruzdami. Siwe, delikatne jak u dziecka włosy uciekły wysoko ponad pokryte wątrobianymi plamami czoło. Mężczyzna był wysoki i nieco zgarbiony, trochę jak Boris Karloff w filmach, które w piątkowe wieczory pokazywano w telewizji na WPIX. Spod płaszcza wyglądało tandetne, nieco zbyt obszerne ubranie, na stopach miał sfatygowane skórzane półbuty.

- Dzień dobry - powiedział, uśmiechając się jakby z wysiłkiem. - Nazywam się Theodore Brautigan. Wygląda na to, że będę tu jakiś czas mieszkał.

Wyciągnął rękę do matki Bobby'ego; zaledwie musnęła ją palcami.

- Jestem Elizabeth Garfield, a to mój syn Robert. Wybaczy pan, panie Bratigan, ale…

- Brautigan, proszę pani, lecz byłoby mi miło, gdybyście mówili mi po prostu Ted.

- Tak, oczywiście. Robert spóźni się do szkoły, a ja spieszę się do pracy. Miło było pana poznać, panie Brattigan. Pospiesz się, Bobby. *Tempus fugit.*

Szybkim krokiem ruszyła w kierunku centrum, Bobby zaś, znacznie wolniej, podążył w stronę szkoły podstawowej przy Asher Avenue. Zaledwie po trzech czy czterech krokach zatrzymał się i odwrócił. Miał wrażenie, że mama potraktowała niegrzecznie pana Brautigana, że podczas rozmowy z nim zadzierała nosa, a w wąskim kręgu przyjaciół Bobby'ego zadzieranie nosa było traktowane jak najcięższe przestępstwo. Zarówno Carol, jak i Smutny John nienawidzili zarozumialców. Co prawda Bobby spodziewał się, że pan Brautigan będzie już co najmniej w połowie schodów, ale gdyby jednak tak nie było, zamierzał uśmiechnąć się do niego, aby nowy lokator wiedział, że nie wszyscy członkowie rodziny Garfieldów zadzierają nosa.

Matka również zatrzymała się i odwróciła - nie po to, żeby popatrzeć na pana Brautigana, skądże znowu! Zatrzymała się, żeby popatrzeć na syna, ponieważ doskonale wiedziała, że on też zatrzyma się i odwróci, wiedziała o tym, jeszcze zanim Bobby wpadł na ten pomysł; jak tylko to zrozumiał, pogodny do tej pory nastrój ulotnił się bez śladu. Zazwyczaj demaskowała jego

drobne kłamstewka i nieudolne próby oszustwa wcześniej, nim zdołał je do końca przygotować. Ile trzeba mieć lat, żeby wreszcie udało się przechytrzyć własną matkę? Dwadzieścia? Trzydzieści? A może trzeba czekać do chwili, aż zupełnie się zestarzeje i zacznie mieć problemy z racjonalnym myśleniem?

Pan Brautigan nie dotarł jeszcze do schodków. Wciąż stał przy krawężniku z walizkami w rękach (trzecią walizkę ściskał pod pachą, papierowe torby przestawił na trawnik), zgarbiony bardziej niż do tej pory. Tkwił między nimi niczym rogatka na autostradzie albo coś w tym rodzaju.

Spojrzenie Liz Garfield prześlizgnęło się po nim i spoczęło na synu. Idź, mówiły jej oczy. Nie odzywaj się. On jest nowy, człowiek znikąd, przyjechał tu z rzeczami zapakowanymi w papierowe torby. Nie mów ani słowa, tylko odwróć się i idź.

Ale Bobby nie zastosował się do niemego polecenia - być może dlatego, że na urodziny zamiast roweru dostał tylko kartę biblioteczną.

- Miło było pana poznać, panie Brautigan - powiedział. - Mam nadzieję, że się panu tu spodoba. Do widzenia.

- Powodzenia w szkole, chłopcze - odpowiedział pan Brautigan. - Ucz się pilnie. Twoja mama ma rację: *tempus fugit.*

Bobby zerknął na matkę, aby sprawdzić, czy to drobne pochlebstwo zmniejszy nieco ciężar jego równie drobnego przewinienia, ale wyglądało na to, że raczej nie powinien liczyć na nic takiego. Matka odwróciła się z zaciśniętymi ustami i pomaszerowała w dół wzgórza, Bobby zaś podążył w swoją stronę, zadowolony, że jednak odezwał się do nowego sąsiada, nawet jeśli później miałby tego żałować.

Przed domem Carol Gerber wyjął pomarańczową kartę biblioteczną. Tak, z pewnością nie był to rower, ale i tak nie miał powodów do narzekań. Właściwie to nawet bardzo się cieszył. Cały ogromny świat książek stał teraz przed nim otworem! Jakie znaczenie miał fakt, że taki prezent kosztował tylko parę centów? Czy nie mówi się, że najważniejsze są intencje?

Tak przynajmniej twierdziła mama…

Na odwrocie karty wyraźnym, zdecydowanym charakterem pisma napisała: „Do wszystkich zainteresowanych: to karta biblioteczna mojego syna. Wyrażam zgodę na to, żeby co tydzień wypożyczał trzy książki z działu dla dorosłych Biblioteki Publicznej w Harwich". Poniżej widniał podpis: „Elizabeth Penrose Garfield", a jeszcze niżej, niemal jak PS:

„Robert ponosi wszystkie koszty związane z ewentualnym przetrzymywaniem książek".

- Wszystkiego najlepszego! - wykrzyknęła Carol Gerber, wyskakując zza drzewa. Zarzuciła mu ramiona na szyję i mocno pocałowała w policzek. Bobby zaczerwienił się i ukradkiem rozejrzał dokoła, czy ktoś ich widzi - Boże, nawet bez takich niespodziewanych całusów wystarczająco trudno było przyjaźnić się z dziewczyną! - ale na szczęście w pobliżu nikogo nie było.

Otarł policzek wierzchem dłoni.

- Daj spokój, przecież ci się spodobało! - Roześmiała się.

- Wcale nie - burknął Bobby niezgodnie z prawdą.

- Co dostałeś na urodziny?

- Kartę biblioteczną. - Pokazał jej pomarańczowy kartonik. - Dorosłą kartę biblioteczną!

- Wdechowo! - Czyżby spojrzała na niego ze współczuciem? Nie, tylko mu się zdawało. A jeśli jednak? - To dla ciebie. - Wręczyła mu dużą kopertę z naklejonymi serduszkami i misiami.

Bobby otwierał kopertę drżącymi rękami, chociaż oczywiście wiedział, że jeśli zawartość okaże się kompromitująca, będzie mógł ją wepchnąć głęboko do tylnej kieszeni spodni. Nie okazało się to jednak potrzebne. Owszem, kartka była trochę dziecinna (mały chłopaczek w ogromnym kapeluszu na koniu, z podpisem WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO KOWBOJU ułożonym z liter, które miały wyglądać tak, jakby były drewniane), ale nie kompromitująca. Do tego dopisek: Moc całusów, Carol. No cóż, czego się spodziewać po dziewczynie?

- Dzięki.

- Wiem, że jest trochę dziecinna, ale inne były jeszcze gorsze - powiedziała Carol rzeczowo.

Nieco bliżej wierzchołka wzniesienia czekał na nich Smutny John ze swoim jo-jo. Wywijał nim wokół ramion i tułowia, ale unikał jak ognia przerzucania między nogami. Spróbował tego raz na szkolnym podwórku i z rozmachem grzmotnął się w jądra. Zawył przeraźliwie, a Bobby i jeszcze kilku chłopców aż zwijali się i płakali ze śmiechu. Przybiegła Carol z trzema koleżankami, żeby zapytać, co się stało, ale wszyscy zgodnie twierdzili, że nic takiego - nawet Smutny John, blady jak ściana i z trudem powstrzymujący łzy.

„Chłopcy to krętacze” - rzekła wówczas Carol, ale Bobby nie przypuszczał, żeby naprawdę tak myślała. Gdyby tak było, na pewno nie wyskoczyłaby znienacka zza drzewa i nie dała mu soczystego całusa - znacznie gorętszego niż ten, którego dostał od matki.

- Wcale nie jest dziecinna - odparł.

- Trochę jest. Chciałam kupić taką dla dorosłych, ale one są zupełnie bez sensu.

- Zgadza się.

- Czy ty też będziesz w przyszłości bez sensu?

- Mam nadzieję, że nie. A ty?

- Ja też nie. Będę taka jak Rionda, przyjaciółka mojej mamy.

- Ona jest gruba… - zauważył niepewnie Bobby.

- Ale za to w porządku. Ja nie będę gruba, tylko w porządku.

- Do naszego domu wprowadza się nowy lokator. Na drugie piętro. Mama mówi, że tam jest bardzo gorąco.

- Tak? Jak wygląda? Pewnie jest zupełnie bez sensu.

- Jest stary - powiedział Bob, po czym zastanowił się przez chwilę. - Ale ma ciekawą twarz. Mojej mamie od razu się nie spodobał, bo część rzeczy przywiózł w papierowych torbach na zakupy.

Dołączył do nich Smutny John.

- Wszystkiego najlepszego, draniu! - wykrzyknął i walnął Bobby’ego w plecy. „Drań” był obecnie jego ulubionym słowem; największym uznaniem Carol cieszyło się „w porządku”, Bobby chwilowo nie miał zdecydowanego faworyta, choć musiał przyznać, że „chłam” brzmi wcale nie najgorzej.

- Jeśli będziesz się wyrażał, pójdziecie dalej sami! - ostrzegła go Carol.

- Dobrze, dobrze - mruknął Smutny John pojednawczo.

Carol była dość pulchną blondynką, trochę podobną do jednej z podrośniętych bliźniaczek Bobbsey. John Sullivan był wysoki, czarnowłosy i zielonooki - w typie Joego Hardy’ego. Bobby Garfield na chwilę zapomniał o troskach i maszerował raźno między nimi. Dzisiaj są jego urodziny, idzie z przyjaciółmi, życie jest w porządku. Wsunął kartkę od Carol do tylnej kieszeni spodni, a kartę biblioteczną do przedniej, żeby mieć pewność, że jej nie zgubi i że nikt jej nie ukradnie.

Carol zaczęła podskakiwać, lecz Smutny John poprosił ją, żeby przestała.

- Dlaczego? Lubię skakać!

- A ja lubię mówić „drań", ale nie wtedy, kiedy tobie się to nie podoba.

Carol spojrzała pytająco na Bobby'ego.

- Wiesz, takie podskakiwanie bez skakanki jest trochę dziecinne - powiedział nieśmiało, po czym wzruszył ramionami. - Ale oczywiście możesz to robić, jeśli chcesz. Nam to wcale nie przeszkadza, prawda, John?

- Ani trochę - zgodził się John i ponownie puścił w ruch jo-jo.

Carol jednak zrezygnowała z podskoków. Weszła między nich i wyobrażała sobie, że jest narzeczoną Bobby'ego Garfielda, że Bobby ma prawo jazdy i buicka i że właśnie wybierają się do Bridgeport na koncert rockandrollowy. Uważała, że Bobby jest bardzo w porządku; najbardziej w porządku było w nim to, że ani trochę nie zdawał sobie z tego sprawy.

Bobby wrócił ze szkoły o trzeciej po południu. Byłby wcześniej, ale w ramach akcji „Kup Sobie Rower na Święto Dziękczynienia" codziennie zbierał puste butelki, najlepsze wyniki osiągał w krzakach przy Asher Avenue. Tym razem znalazł trzy rheingoldy i jedną nehi - niezbyt wiele, ale osiem centów to jednak osiem centów. „Ziarnko do ziarnka", jak mawiała mama.

Umył ręce (butelki nie były zbyt czyste), wziął z lodówki coś na ząb, przejrzał kilka starych komiksów o Supermanie, znowu coś przegryzł, potem obejrzał „American Bandstand". Zadzwonił do Carol, żeby jej powiedzieć o występie Bobby'go Darina - uważała, że Darin jest w porządku, szczególnie kiedy strzelał palcami podczas wykonywania „Queen of the Hop" - ale ona już wiedziała. Oglądała telewizję w towarzystwie trzech albo czterech niedorozwiniętych przyjaciółek, których chichoty słychać było w tle. Bobby'emu ten odgłos skojarzył się z ćwierkaniem ptaków w sklepie zoologicznym. Na ekranie Dick Clark udowadniał właśnie, jak łatwo pozbyć się pryszczy za pomocą JEDNEGO płatka Stri-Dex Medicated Pad.

O czwartej zadzwoniła mama. Pan Biderman poprosił, żeby została dzisiaj po godzinach. Przykro jej, ale w związku z tym urodzinowa kolacja musi zostać odwołana. W lodówce jest jeszcze wczorajszy gulasz; niech go sobie podgrzeje, a ona wróci około ósmej, żeby powiedzieć dobranoc. I na litość boską, Bobby, pamiętaj, żeby zakręcić zawór przy butli!

Bobby wrócił przed telewizor, trochę zawiedziony, ale w gruncie rzeczy niezbyt zaskoczony. Dick Clark właśnie przedstawiał jurorów oceniających najnowsze płyty; człowiek siedzący pośrodku powinien kupić sobie dwie ciężarówki wypełnione paczkami ze Stri-Dex Medicated Pad.

Wyjął z kieszeni swoją nową pomarańczową kartę biblioteczną i od razu poczuł się lepiej. Teraz już nie będzie musiał przesiadywać w domu przed telewizorem albo wertować stosów wielokrotnie przeczytanych komiksów. Może w każdej chwili pójść do biblioteki i pokazać bibliotekarce DOROSŁĄ kartę. Dzisiaj powinna mieć dyżur Panna Wścibska, która naprawdę nazywała się Harrington i, zdaniem Bobby'ego, była prześliczna. Używała perfum. Ich delikatny zapach był jak miłe wspomnienia. Co prawda akurat w tej chwili Smutny John miał lekcję gry na puzonie, ale później, po wizycie w bibliotece, Bobby mógłby wpaść do niego i na przykład pograliby w karty.

A poza tym, przypomniał sobie, muszę zanieść butelki do skupu. Przecież zbieram pieniądze na rower.

I nagle życie przestało być puste.

Mama Johna zaprosiła Bobby'ego na kolację, ale podziękował, mówiąc, że musi wracać do domu. Miał wprawdzie wielką ochotę na pieczone ziemniaki pani Sullivan, wiedział jednak, że pierwszą rzeczą, jaką jego mama zrobi po powrocie z pracy, będzie sprawdzenie, czy z lodówki znikły resztki wczorajszego obiadu. Gdyby nie znikły, opanowanym, pozornie nawet obojętnym tonem zapytałaby Bobby'ego, co jadł na kolację. Powiedziałby jej wtedy, że został na kolacji u Smutnego Johna, a ona skinęłaby głową, zapytała, co przygotowała pani Sullivan i czy było coś na deser, i czy nie zapomniał jej podziękować, potem zaś usiedliby razem na kanapie, oglądali telewizję i może nawet zjedliby lody, i wszystko byłoby w porządku… lecz tylko pozornie. Prędzej czy później przyszłoby mu za to zapłacić. Może nie jutro ani pojutrze, może nawet nie za tydzień ani dwa, ale kiedyś - na pewno. Nie wątpił, iż rzeczywiście musiała zostać dłużej w pracy, lecz konieczność samotnego spędzenia popołudnia i zjedzenia na kolację resztek wczorajszego obiadu stanowiła również karę za to, że wbrew jej woli odezwał się do nowego lokatora. Gdyby podjął próbę uniknięcia tej kary, w przyszłości otrzymałby ją powtórnie, wraz z odsetkami - zupełnie jak w banku.

Kiedy Bobby wrócił od kolegi, było kwadrans po szóstej i zapadał zmrok. Miał do czytania dwie książki: „The Case of the Velvet Claws" z cyklu o Perrym Masonie oraz powieść science fiction Clifforda Simaka „Pierścień wokół Słońca". Obie wyglądały na całkowity „chłam", ale panna Wścibska nie czyniła mu z tego powodu żadnych wyrzutów. Wręcz przeciwnie: pochwaliła go, że jak na swój wiek czyta bardzo poważne książki, i zachęciła, żeby robił tak dalej.

W drodze powrotnej do domu Bobby zabawiał się wymyślaniem historyjki o tym, jak to wraz z panną Harrington podróżował na pokładzie statku pasażerskiego, który zatonął, spośród pasażerów i załogi uratowali się tylko oni dwoje, uczepieni koła ratunkowego z napisem S.S. LUSITANIC. Fale wyrzuciły ich na maleńką wyspę z dżunglą, palmami kokosowymi i wulkanem, leżeli na piasku, a panna Harrington drżała z zimna i szczękała zębami i prosiła, żeby ją ogrzał, co oczywiście uczynił, i to z przyjemnością, a potem z dżungli wyłonili się tubylcy, pozornie przyjaźnie nastawieni, ale niebawem okazało się, że to kanibale, którzy mieszkali na zboczach wulkanu i mordowali swoje ofiary na polanie otoczonej kręgiem czaszek, więc sprawy przybrały raczej niekorzystny obrót, ale akurat wtedy kiedy pannę Harrington i Bobby'ego ciągnięto w kierunku polany, ziemia się zatrzęsła, z krateru wystrzeliły kłęby dymu i…

- Jak się masz, Robercie.

Bobby gwałtownie podniósł głowę, zaskoczony chyba jeszcze bardziej niż rankiem, kiedy Carol niespodziewanie wyskoczyła zza drzewa i przylepiła mu do policzka soczystego całusa. Nowy lokator. Siedział na najwyższym stopniu przed gankiem i palił papierosa. Zamiast zniszczonych skórzanych półbutów miał teraz na stopach sfatygowane kapcie, zdjął też płaszcz, bo wieczór był ciepły. Wyglądał jak człowiek, który jest u siebie w domu.

- Ach, pan Brautigan. Dobry wieczór.

- Nie chciałem cię przestraszyć.

- Nie przestra…

- Chyba jednak przestraszyłem. Byłeś myślami wiele mil stąd, prawda? Proszę, mów mi Ted.

- W porządku.

Jednak Bobby wcale nie był pewien, czy to w porządku. Zwracanie się do dorosłego (szczególnie do STAREGO dorosłego) po imieniu nie tylko kłóciło się z zasadami wyznawanymi przez mamę, ale i z jego wewnętrznym przekonaniem.

- Jak tam w szkole? Dowiedziałeś się czegoś nowego?

- Dziękuję, nieźle.

Bobby przestąpił z nogi na nogę i przełożył książki do drugiej ręki.

- Posiedzisz ze mną przez chwilę?

- Chętnie, ale naprawdę tylko trochę. Mam jeszcze mnóstwo do roboty.

Przede wszystkim zamierzał sobie zrobić kolację. Miał coraz mniejszą ochotę na odgrzewany wczorajszy gulasz.

- Jasne. Mnóstwo do roboty i *tempus fugit.*

Bobby usiadł obok pana Brautigana - czyli Teda - na szerokim stopniu i pomyślał, wdychając zapach dymu z jego chesterfielda, że chyba jeszcze nigdy w życiu nie widział kogoś tak bardzo zmęczonego. Niemożliwe, żeby to była sprawa przeprowadzki. Jak bardzo można się zmęczyć przy przewożeniu i noszeniu trzech niewielkich walizek i trzech papierowych toreb na zakupy? Oczywiście za jakiś czas mogła się jeszcze zjawić ciężarówka z meblami, ale Bobby nie przypuszczał, żeby się tak stało. Mieszkanie, które zajął nowy lokator, składało się tylko z jednego dużego pokoju z wydzieloną częścią kuchenną. Bobby i Smutny John byli tam wkrótce po tym, jak stara panna Sidley dostała udaru i zabrano ją do córki.

- *Tempus fugit* znaczy czas ucieka - powiedział Bobby. - Mama często to powtarza. Mówi też, że czas i woda w rzece na nikogo nie czekają i że czas leczy wszystkie rany.

- Twoja mama zna wiele maksym, prawda?

- Aha. - Na myśl o tych wszystkich maksymach nagle ogarnęło go znużenie. - Całe mnóstwo.

- Ben Johnson nazwał czas „starym, łysym oszustem" - powiedział Ted Brautigan, po czym zaciągnął się głęboko i wypuścił dym nosem. - A Borys Pasternak mawiał, że jesteśmy niewolnikami czasu, zakładnikami wieczności.

Bobby wpatrywał się w niego z zapartym tchem, chwilowo zapomniawszy o pustym żołądku. Koncepcja, że czas to stary, łysy oszust, ogromnie przypadła mu do gustu; instynktownie czuł, że tak właśnie jest, choć nie potrafił wyjaśnić dlaczego. Tym bardziej mu się to podobało. Zupełnie jakby patrzył pod światło na jajko, w którym majaczy jakiś niewyraźny kształt, albo jakby obserwował cień rzucany przez szklany posąg.

- Kto to jest Ben Johnson?

- Anglik, który umarł dawno temu - odparł Brautigan. - Okropnie zarozumiały i chciwy, a do tego cierpiał na bębnicę, ale…

- Co to jest bębnica?

Ted wsunął czubek języka między wargi i wypuścił powietrze przez usta, co dało krótki, ale bardzo realistyczny efekt dźwiękowy przypominający pierdnięcie. Bobby zasłonił sobie usta ręką i zachichotał.

- Wszystkie dzieciaki uważają, że puszczanie bąków to zabawna sprawa - powiedział Brautigan, kiwając głową. - Dla kogoś w moim wieku to po prostu składnik życia, które coraz trudniej nam zrozumieć. Jednak między pierdnięciami Ben Johnson powiedział wiele mądrych rzeczy. Może nie aż tak dużo jak doktor Samuel Johnson, ale i tak całkiem sporo.

- A ten Borys…

- Pasternak. To Rosjanin - powiedział krótko mężczyzna. - Zresztą, nieważne. Mogę zobaczyć twoje książki?

Boby podał je, a pan Brautigan (Ted, poprawił się chłopiec w myślach. Masz do niego mówić po imieniu), zaledwie zerknąwszy na okładkę Perry'ego Masona, natychmiast odłożył książkę na bok. Powieść Simaka oglądał znacznie dłużej, taksując ją spojrzeniem przez kłęby papierosowego dymu. Wreszcie skinął głową.

- Czytałem ją - powiedział. - Jeszcze niedawno miałem mnóstwo czasu na czytanie.

Bobby natychmiast się ożywił.

- Naprawdę? I co, dobra?

- Jedna z jego najlepszych - odparł pan Brautigan, czyli Ted, po czym zerknął z ukosa na Bobby'ego. Jedno oko miał przymknięte, drugim spoglądał spod uniesionej brwi, tak że wyglądał mądrze i zarazem tajemniczo, jak jakaś zagadkowa, niejednoznaczna postać z filmu kryminalnego. - Jesteś pewien, że wolno ci wypożyczać takie rzeczy? Na pewno nie masz więcej niż dwanaście lat.

- Jedenaście. - Bobby nie posiadał się z dumy, że Ted dał mu aż dwanaście lat. - Dzisiaj skończyłem. Tak, mogę. Nawet jeśli wszystkiego nie zrozumiem, to jeśli jest ciekawa, na pewno mi się spodoba.

- Masz dzisiaj urodziny? - Na Tedzie ta wiadomość wywarła chyba spore wrażenie, zaciągnął się bowiem mocno papierosem i wyrzucił niedopałek na chodnik. - Wszystkiego najlepszego, Robercie!

- Dziękuję. Ale wolę, jak mówią na mnie Bobby.

- W takim razie wszystkiego najlepszego, Bobby. Urządzasz przyjęcie?

- Nie, bo mama musiała zostać dłużej w pracy.

- No to może wpadnij do mojej klitki? Nie mam wiele, ale przynajmniej wiem, jak otwiera się puszki, a oprócz tego…

- Dziękuję, mama zostawiła mi jedzenie w lodówce.

- Rozumiem. - Zdumiewające, ale chyba naprawdę rozumiał. Oddał książki Bobby'emu. - W swojej powieści Simak twierdzi, że jest mnóstwo takich planet jak nasza. A nawet nie „takich jak", tylko po prostu „naszych" - „równoległych" kul ziemskich otaczających Słońce ogromnym pierścieniem. Fascynujący pomysł.

- Aha.

Bobby wiedział o światach równoległych z innych książek i z komiksów.

Zapadło milczenie. Dopiero po chwili chłopiec zorientował się, że Ted Brautigan przygląda mu się uważnie.

- Co się stało?

„Zauważyłeś coś zielonego?" - zapytałaby matka.

Wydawało mu się, że nie otrzyma odpowiedzi, jako że mężczyzna zamyślił się tak głęboko. Wreszcie jednak Ted otrząsnął się i wyprostował.

- Nic. Po prostu przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Może chciałbyś trochę zarobić? Nie mogę ci wiele zaproponować, ale…

- Rety! No pewnie! - „Przecież zbieram na rower!", nieomal dodał, ale w ostatniej chwili się zreflektował. „Nie należy zbyt dużo mówić o sobie", mawiała mama. - Zrobię wszystko, co pan zechce!

Na twarzy Teda Brautigana pojawiło się rozbawienie i równocześnie niepokój. Zmieniła się przez to ogromnie - dopiero teraz Bobby uwierzył, że ten stary mężczyzna był kiedyś młody… i wcale niekoniecznie układny.

- Nieznajomym raczej nie powinno się mówić takich rzeczy i chociaż ja jestem dla ciebie Ted, a ty dla mnie Bobby, to w gruncie rzeczy wcale się nie znamy.

- Czy któryś z tamtych Johnsonów mówił coś o nieznajomych?

- Nie wydaje mi się, ale za to jest coś na ten temat w Biblii: „…bo gościem jestem u Ciebie, przechodniem - jak wszyscy moi przodkowie. Odwróć oczy ode mnie, niech doznam radości, zanim odejdę…" - Ted zawiesił na chwilę głos. Znowu stał się starym człowiekiem. - „…zanim odejdę i mnie nie będzie" - dokończył poważnym tonem. - To z psalmu, ale nie pamiętam z którego.

- Jasne, że nikogo bym nie zabił ani nie obrabował, ale chętnie bym trochę zarobił.

- Daj mi trochę czasu. Muszę się zastanowić.

- Jasne. Proszę tylko pamiętać, że jestem chętny i nie boję się pracy. Na przykład jakieś prace domowe albo coś w tym rodzaju…

- Prace domowe? Czemu nie. Tyle że chyba nie nazwałbym tego w ten sposób.

Ted otoczył kościste kolana jeszcze bardziej kościstymi ramionami i w milczeniu spoglądał ponad trawnikiem na Broad Street. Robiło się coraz ciemniej, nadeszła ta część wieczoru, którą Bobby lubił najbardziej. Jadące ulicą samochody miały włączone światła pozycyjne, od strony Asher Avenue dobiegał głos pani Sigsby wzywającej bliźniaczki na kolację. O tej porze dnia - podobnie jak rankiem, kiedy stał w łazience, sikał do sedesu, a promienie słońca spływały przez małe okienko na jego półprzymknięte jeszcze powieki - Bobby czuł się tak, jakby był czyimś snem.

- Gdzie pan… Gdzie mieszkałeś, zanim się tu sprowadziłeś?

- W dużo mniej przyjemnym miejscu od tego. Dużo mniej przyjemnym. A jak długo ty tutaj mieszkasz, Bobby?

- Odkąd pamiętam. Na pewno od śmierci taty, a on umarł, kiedy miałem trzy lata.

- I znasz wszystkich przy tej ulicy? A przynajmniej w sąsiedztwie?

- Prawie wszystkich.

- A więc na pewno zwróciłbyś uwagę na kogoś obcego? Zauważyłbyś każdą nową twarz?

Bobby uśmiechnął się i skinął głową.

- Tak myślę.

Czekał na ciąg dalszy (zaczęło się interesująco), ale się nie doczekał. Ted wstał powoli, wyprostował się, przyłożył ręce do krzyża i wygiął się do tyłu z grymasem na twarzy. Rozległo się trzeszczenie stawów.

- Chodźmy, robi się zimno - powiedział do chłopca. -Kto otwiera drzwi, ty czy ja?

- Chyba powinieneś wypróbować swój klucz, prawda?

Ted - coraz łatwiej było tak właśnie o nim myśleć - wyjął z kieszeni kółko z dwoma kluczami: do drzwi frontowych i do jego pokoju. Oba były nowe i błyszczące, koloru fałszywego złota. Klucze Bobby'ego były matowe i porysowane. Ile on może mieć lat? - ponownie przemknęło chłopcu przez głowę. Co najmniej sześćdziesiąt. Sześćdziesięcioletni mężczyzna z zaledwie dwoma kluczami w kieszeni. Dziwne.

Ted otworzył drzwi i weszli do obszernego, mrocznego holu ze stojakami na parasole i wiszącym na ścianie starym obrazem przedstawiającym Lewisa i Clarka na Dzikim Zachodzie.

Bobby zatrzymał się przed drzwiami mieszkania Garfieldów, Ted zaś ruszył w górę po schodach, ale po dwóch krokach zatrzymał się z ręką na poręczy.

- Ta powieść Simaka to świetna historia, choć nie najlepiej napisana. To znaczy, może nie źle, jednak wierz mi, są znacznie lepsze.

Bobby czekał, co będzie dalej.

- Oczywiście są też wspaniale książki, w których nie ma ani kawałka dobrej opowieści. Od czasu do czasu czytaj dla samej opowieści, chłopcze. Nie bądź jak te snoby, które uznają tylko literaturę „wysokich lotów". Od czasu do czasu czytaj też coś dla samych słów, dla języka. Nie bądź jak głupole, którzy nigdy tego nie robią. A jeśli uda ci się znaleźć książkę, w której jest i ciekawa historia, i piękny język, traktuj ją jak największy skarb.

- Myślisz, że dużo jest takich książek?

- Więcej, niż przypuszczają snoby i głupole. Znacznie więcej. Może nawet dam ci jedną na spóźniony prezent urodzinowy.

- Nie musisz.

- Wiem, ale może to zrobię. Jeszcze raz wszystkiego najlepszego.

- Dziękuję.

Bobby wszedł do mieszkania, podgrzał sobie gulasz (pamiętał, żeby potem zakręcić zawór przy butli, a nawet żeby wstawić garnek do zlewozmywaka i zalać wodą), po czym samotnie zjadł kolację przy włączonym telewizorze, czytając „Pierścień wokół Słońca". Prawie nie słyszał Cheta Huntleya i Davida Brinkleya podających wieczorne wiadomości. Ted miał rację co do książki: była bardzo ciekawa. Słowa też wydawały mu się w porządku, chociaż zdawał sobie sprawę, że w tej dziedzinie nie ma jeszcze zbyt dużego doświadczenia.

Chciałbym kiedyś napisać taką powieść, pomyślał, zamykając książkę i kładąc się na kanapie, by obejrzeć „Sugarfoot". Ciekawe, czy kiedyś mi się uda.

Kto wie? Przecież KTOŚ musi pisać książki, tak samo jak ktoś musi naprawiać rury albo zmieniać przepalone żarówki w latarniach w parku.

Jakąś godzinę później, kiedy znów był pogrążony w lekturze, wróciła matka. Miała lekko rozmazaną szminkę w kąciku ust, a spod sukienki wystawał jej rąbek halki. W pierwszym odruchu Bobby chciał zwrócić jej na to uwagę, w porę jednak przypomniał sobie, że ona tego nie lubi. Poza tym, jakie to miało znaczenie? Wróciła już przecież do domu, gdzie, jak mawiała, są tylko sami swoi.

Zajrzała do lodówki, żeby sprawdzić, czy znikły resztki gulaszu, upewniła się, czy zawór przy butli jest zakręcony, skontrolowała, czy garnek i talerz są zalane wodą w zlewozmywaku. Następnie przelotnie musnęła wargami skroń Bobby'ego i znikła w łazience, żeby się przebrać. Była zajęta własnymi myślami. Nawet nie zapytała, jak spędził urodziny.

Później pokazał jej kartkę urodzinową, którą dostał od Carol. Obrzuciła ją niewidzącym spojrzeniem, stwierdziła, że jest „urocza", i oddała, po czym kazała mu zmykać do łazienki, a potem do łóżka. Bobby zastosował się do polecenia, nie wspominając ani słowem o interesującej rozmowie z Tedem. Znajdowała się w takim nastroju, że z pewnością by ją to rozzłościło. Wiedział, że najlepiej będzie, jeśli da jej czas, aby sama wróciła do rzeczywistości i do niego, lecz mimo to ogarnął go smutek. Nieraz tak bardzo jej potrzebował, a ona w ogóle nie zdawała sobie z tego sprawy…

Nie wstając z łóżka, zamknął drzwi, odcinając się od odgłosów jakiegoś starego filmu, i wyłączył światło. Krótko potem, kiedy już zaczynał odpływać w sen, weszła do pokoju, usiadła obok niego na łóżku i powiedziała, że bardzo jej przykro, że była taka nieprzystępna, ale to ze zmęczenia, bo miała dzisiaj bardzo ciężki dzień. Prawdziwy dom wariatów. Przesunęła palcem po jego czole, a potem pocałowała go w nie, tak że aż wstrząsnął nim dreszcz. Usiadł w pościeli i objął ją mocno, w pierwszej chwili zesztywniała, ale potem odwzajemniła uścisk. Pomyślał, że teraz może chyba zaryzykować i opowiedzieć jej o Tedzie. Przynajmniej trochę.

- Kiedy wróciłem z biblioteki, rozmawiałem z panem Brautiganem.

- Z kim?

- Z tym nowym lokatorem z drugiego piętra. Kazał mi mówić do siebie po imieniu.

- Przecież go zupełnie nie znasz!

- Powiedział, że dorosła karta biblioteczna to doskonały prezent dla takiego chłopca jak ja.

Co prawda w rzeczywistości Ted niczego takiego nie powiedział, Bobby jednak wystarczająco dobrze znał swoją mamę, żeby wiedzieć, jak należy z nią rozmawiać.

Odrobinę się uspokoiła.

- Wiesz może, gdzie mieszkał do tej pory?

- W jakimś mało przyjemnym miejscu.

- Hm, to niewiele nam mówi, prawda? - Bobby wciąż ją obejmował. Mógłby tak tulić się do niej godzinami, wdychać zapach szamponu, lakieru do włosów i tytoniu, ona jednak uwolniła

się z objęć syna i położyła jego głowę na poduszce. - Jeśli ma być twoim przyjacielem… twoim DOROSŁYM przyjacielem, powinnam chyba poznać go trochę bliżej.

- No wiesz…

- Jeśli nie będzie zastawiał trawnika papierowymi torbami na zakupy, być może go bardziej polubię. - Jak na Liz Garfield była to niemal deklaracja przyjaźni. Bobby czuł się całkowicie usatysfakcjonowany. Mimo wszystko dzień zakończył się zupełnie nieźle. - Dobranoc, jubilacie.

- Dobranoc, mamo.

Wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Później - dużo później - wydawało mu się, że słyszy płacz dobiegający z jej sypialni, ale może tylko śnił.

2

Wątpliwości co do Teda.

Książki są jak pompy. Wybij to sobie z głowy.

Smutny zdobywa nagrodę. Bobby dostaje pracę.

Po czym poznać człowieka niskich pobudek.

Przez kolejne tygodnie, podczas których robiło się coraz cieplej, Liz po powrocie z pracy zazwyczaj spotykała Teda na ganku - stał i palił papierosa. Niekiedy był sam, czasem zaś rozmawiał z Bobbym o książkach. Bywało, że Bobby grał w piłkę z Carol i Smutnym Johnem na trawniku, a Ted stał, palił i patrzył. Zdarzało się również, że przychodziły inne dzieci: Denny Rivers ze swoim modelem szybowca z balsy, niedorozwinięty Francis Utterson na hulajnodze, Angela Avery i Yvonne Loving, żeby zapytać Carol, czy pójdzie z nimi pobawić się lalkami albo zagrać w Szpitalną Pielęgniarkę - zazwyczaj jednak byli tylko Smutny John i Carol, najbliżsi przyjaciele Bobby'ego. Wszyscy mówili do pana Brautigana po imieniu, ale kiedy Bobby wyjaśnił, dlaczego uważa, żeby przy jego mamie zwracali się jednak do niego bardziej oficjalnie, Ted bez wahania przyznał mu rację.

Jeśli chodzi o mamę, to wymówienie słowa „Brautigan" najwyraźniej przekraczało jej możliwości. Zawsze wychodziło jej coś w rodzaju „Bratigan" - ale być może wcale nie robiła tego umyślnie. Obserwując ewolucję stosunku matki do Teda, Bobby coraz częściej pozwalał sobie nawet na odrobinę optymizmu. Obawiał się, że będzie traktowała nowego lokatora tak jak panią Evers, jego nauczycielkę z drugiej klasy. Mama od pierwszej chwili zapałała do pani Evers głęboką niechęcią, której przyczyn Bobby nigdy nie zdołał zgłębić, i przez cały rok nie powiedziała o niej ani jednego dobrego słowa. Pani Evers ubiera się jak kuchta, pani Evers farbuje włosy, pani Evers zanadto się maluje… „Masz mi natychmiast powiedzieć, gdyby tylko tknęła cię palcem! Wygląda mi na taką, która jest zdolna do wszystkiego". A wszystko to po jednej wywiadówce, na której pani Evers poinformowała Liz Garfield, że Bobby nie ma najmniejszych problemów z nauką. Później były jeszcze cztery wywiadówki, ale mama Bobby'ego nie poszła na żadną z nich.

Liz oceniała ludzi szybko i zdecydowanie. Jeśli zdecydowała się komuś przylepić naklejkę z napisem ZŁY, używała najmocniejszego dostępnego kleju. Gdyby pani Evers

uratowała sześcioro dzieci z płonącego szkolnego autobusu, Liz Garfield bez wątpienia stwierdziłaby z przekąsem, że widocznie ich rodzice nie uregulowali jeszcze zaległych należności za korepetycje.

Ted starał się być miły, ale tak żeby się nie podlizywać (Bobby zauważył, że ludzie dość często podlizują się jego matce; ba, niekiedy nawet on tak czynił!), i ta strategia dawała pożądane rezultaty… ale tylko do pewnego stopnia. Któregoś dnia dyskutowali prawie dziesięć minut o tym, jakie to okropne, że Dodgersi przenieśli się do Los Angeles bez pożegnania z dotychczasowymi wiernymi kibicami, ale ponieważ żadne z nich tak naprawdę nie pasjonowało się baseballem, rozmowa toczyła się dość niemrawo. Szanse na to, że kiedykolwiek się zaprzyjaźnią, wynosiły zero. Co prawda mama nie darzyła Teda Brautigana taką antypatią jak panią Evers, niemniej jednak coś było nie tak i Bobby nawet podejrzewał, że wie, co takiego. Dostrzegł to w jej oczach tego dnia, kiedy po raz pierwszy zetknęli się z nowym lokatorem: Liz po prostu mu nie ufała.

Podobnie jak Carol Gerber.

- Wiecie co? Czasem mi się wydaje, że on przed czymś ucieka - powiedziała któregoś wieczoru, wspinając się w towarzystwie Bobby'ego i Smutnego Johna w kierunku Asher Avenue.

Mniej więcej przez godzinę rzucali piłką baseballową, od czasu do czasu wymieniając uwagi na temat Teda, teraz zaś zmierzali do lodziarni. Smutny John miał trzydzieści centów i był fundatorem poczęstunku. Miał też swoje jo-jo, które właśnie wyjął z tylnej kieszeni spodni i puścił w ruch.

- Ucieka? Mówisz serio?

W pierwszej chwili pomysł wydał się Bobby'emu zupełnie niedorzeczny, ale z drugiej strony Carol była bardzo spostrzegawcza. Nawet jego matka zwróciła na to uwagę. „Ta dziewczyna może nie jest zbyt urodziwa, ale za to ma bystre oko" - powiedziała któregoś wieczoru.

- Zginiesz jak pies, McGarrigle! - wykrzyknął Smutny
John. Wetknął jo-jo pod pachę, odskoczył w bok, przykucnął i puścił serię z wyimaginowanego pistoletu maszynowego. - Nigdy nie dostaniesz mnie żywego, gliniarzu! Daj im do wiwatu, Rico! Nikt nie da rady staremu Rico! Aaaaaa… Dostałem… - Chwycił się za pierś, wykonał półobrót i padł martwy na trawnik przed domem pani Conlan.

Nie musieli długo czekać na reakcję jędzowatej, siedemdziesięciopięcioletniej właścicielki.

- Ej, ty! Chłopcze! Uciekaj natychmiast! Podepczesz mi kwiatki!

Najbliższa rabata z kwiatkami znajdowała się co najmniej trzy metry od miejsca, w którym leżał Smutny John, niemniej chłopiec od razu poderwał się na nogi.

- Przepraszam, pani Conlan.

Kobieta machnęła z irytacją ręką i odprowadziła ich podejrzliwym spojrzeniem.

- Chyba nie mówisz serio? - zapytał powtórnie Bobby. - Wiesz, o Tedzie.

- Chyba nie - przyznała - chociaż… Widziałeś kiedyś, jak obserwuje ulicę?

- Aha. Zupełnie jakby na kogoś czekał.

- Ale nie po to, żeby go przywitać, tylko żeby przed nim uciec.

Smutny John ponownie wprawił jo-jo w ruch. Przerwał na chwilę, kiedy mijali kino, w którym wyświetlano dwa filmy z Brigitte Bardot. Tylko dla dorosłych, sprzedaż biletów jedynie za okazaniem prawa jazdy lub świadectwa urodzenia. Jeden film był całkiem nowy, drugi, „I Bóg stworzył kobietę", co jakiś czas wracał na ekran niczym uporczywa czkawka. Plakaty przedstawiały Brigitte odzianą tylko w ręcznik i uśmiech.

- Moja mama mówi, że ona jest śmieciem - powiedziała Carol.

- Jeżeli ona jest śmieciem, to ja chciałbym być śmieciarzem - odparł Smutny John, poruszając brwiami jak Groucho Marx.

- Ty też tak uważasz? - zapytał Bobby.

- Nawet nie jestem pewna, co to znaczy.

Na odchodnym (z przeszklonej kasy przyglądała im się nieufnie pani Godlow, zwana przez dzieciarnię panią Godzilla) Carol zerknęła przez ramię na półnagą Brigitte. Bobby nie był pewien, jak zinterpretować wyraz jej twarzy. Czyżby to była ciekawość?

- Ładna jest, prawda?

- Chyba tak.

- Trzeba mieć dużo odwagi, żeby pokazywać się ludziom w samym ręczniku. Tak w każdym razie myślę.

Teraz, kiedy *la femme Brigitte* znikła z jego pola widzenia, Smutny John stracił zainteresowanie aktorką.

- Skąd właściwie przyjechał Ted?

- Nie mam pojęcia. Nic o tym nie mówi.

Smutny John skinął głową, jakby spodziewał się właśnie takiej odpowiedzi, a następnie znów puścił w ruch jo-jo. W górę i w dół, w lewo i w prawo, i dookoła.

W maju Bobby zaczął coraz częściej wybiegać myślami do zbliżających się wakacji. Wakacje, jak kiedyś stwierdził Smutny John, to coś najlepszego w świecie. Dla Bobby'ego wakacje oznaczały możliwość wielogodzinnego łażenia z przyjaciółmi po Broad Street oraz wyprawy do Sterling House po drugiej stronie parku - mieli tam zawsze mnóstwo do roboty, od gry w baseball poczynając, na wycieczkach na plażę w West Haven kończąc - a oprócz tego cieszył się, że będzie miał również mnóstwo czasu dla siebie. Przede wszystkim na czytanie, ma się rozumieć, ale w tym roku również na to, żeby trochę popracować. W słoiku z napisem FUNDUSZ ROWEROWY miał, jak na razie, nieco ponad siedem dolarów, czyli całkiem nieźle jak na początek, ale trudno było nazwać to rewelacyjnym wynikiem. Jeśli zbiórka funduszy nadal będzie przebiegała w takim tempie, po raz pierwszy pojedzie do szkoły własnym rowerem nie wcześniej niż dwa lata po tym, jak Nixon zostanie prezydentem.

Jednego z tych już-prawie-wakacyjnych dni Ted dał mu książkę.

- Pamiętasz, jak ci kiedyś mówiłem, że niektóre książki są i dobrze napisane, i opowiadają jakąś ciekawą historię? To właśnie jedna z nich. Spóźniony prezent urodzinowy od nowego przyjaciela - to znaczy, mam nadzieję, że uważasz mnie za przyjaciela.

- Jasne. Bardzo dziękuję!

Jednak, mimo entuzjastycznego okrzyku, Bobby dość podejrzliwie przyglądał się książce. Niemal wszystkie popularne wydania, które widywał do tej pory, miały kolorowe, krzykliwe okładki opatrzone napisami w rodzaju: HISTORIA O KOBIECIE, KTÓRA STOCZYŁA

SIĘ DO RYNSZTOKA… A POTEM JESZCZE NIŻEJ! Ta okładka była niemal całkowicie biała, w rogu zaś widniał szkic (nawet nie rysunek, tylko zaledwie szkic) przedstawiający kilku stojących kręgiem chłopców. Tytuł brzmiał: „Władca much". Żadnych reklamowych haseł, nawet tych najbardziej stonowanych, w rodzaju: TEJ KSIĄŻKI NIGDY NIE ZAPOMNICIE! W sumie książka prezentowała się niezbyt zachęcająco - jej wygląd sugerował, że lektura nie będzie zbyt łatwa. Bobby nie miał nic przeciwko trudnym książkom, pod warunkiem że należały do lektur obowiązkowych, z kolei to, co czytało się dla przyjemności, powinno być napisane łatwo i przystępnie, żeby czytelnikowi pozostało jedynie poruszać oczami

z lewa w prawo i z powrotem, i przewracać kartki. W przeciwnym razie na czym miałaby polegać przyjemność?

Zamierzał od razu przekartkować książkę, ale Ted delikatnie położył rękę na jego dłoni.

- Nie rób tego, proszę.

Bobby wpatrywał się w niego, nic nie rozumiejąc.

- Potraktuj lekturę tak jak wyprawę w nieznane. Poruszaj się bez mapy, rysuj za to własną, w miarę jak posuwasz się naprzód.

- A jeśli mi się nie spodoba?

Ted wzruszył ramionami.

- To jej nie kończ. Książka jest jak pompa: sama z siebie nie da ci niczego, musisz na wszystko zapracować. Najpierw trzeba zalać ją wodą, potem zdrowo się namachać… Robisz to dlatego, że spodziewasz się, iż kiedyś dostaniesz w zamian dużo więcej. Rozumiesz?

Bobby skinął głową.

- Jak długo lałbyś wodę i poruszał dźwignią, gdyby nie dawało to żadnych rezultatów?

- Chyba niezbyt długo…

- Ta książka ma około dwustu stron. Przeczytaj dziesięć procent… to znaczy jakieś dwadzieścia stron; wiem, że matematyka nie idzie ci aż tak dobrze jak czytanie… i jeśli ci się nie spodoba, jeśli nie zacznie odpłacać ci za wysiłek, po prostu ją odłóż.

- Szkoda, że tak nie można robić w szkole! - westchnął Bobby. Miał przede wszystkim na myśli wiersz Ralpha Waldo Emersona, którego wszyscy musieli nauczyć się na pamięć. Wiersz zaczynał się od słów: „Przy zrujnowanym moście, co brzegi rzeki spina”. Smutny John zmienił nazwisko autora na Blebleson.

- W szkole to co innego. - Siedzieli przy kuchennym stole w mieszkaniu Teda i spoglądali przez okno na podwórze. Wszystko kwitło. Przy Colony Street pies pani O’Hara pracowicie wypełniał ciepły letni dzień bezustannym szczekaniem. Ted palił chesterfielda. - Skoro mowa o szkole: nie pokazuj tam tej książki. Są w niej rzeczy, które z pewnością nie spodobałyby się twoim nauczycielom. Wybuchłoby pandemonium.

- Słucham?

- Zrobiłoby się zamieszanie, a kłopoty w szkole oznaczają też kłopoty w domu… Z pewnością nie muszę ci tego tłumaczyć. Twoja mama…

Lewa ręka wykonała szybki, nieokreślony gest, który Bobby zrozumiał bez najmniejszego problemu. „Twoja mama mi nie ufa". Carol podejrzewała, że Ted przed kimś ucieka. „Ta dziewczyna może nie jest zbyt urodziwa, ale za to ma bystre oko".

- A co tam jest, że mógłbym narobić sobie przez nią kłopotów? - zapytał, wpatrując się z ciekawością w książkę.

- Nic, o czym warto by wspominać - odparł lakonicznie Ted, po czym zdusił papierosa w popielniczce, wstał i wyjął z niedużej lodówki dwie butelki z napojem gazowanym. - Chyba nic gorszego niż rozmowa o tym, żeby wsadzić włócznię w tyłek dzikiej świni, ale niektórzy dorośli widzą tylko drzewa, a nie las. Przeczytaj dwadzieścia stron, a na pewno nie będziesz miał ochoty odłożyć tej książki. Przekonasz się.

Zdjął kapsle za pomocą klucza. Stuknęli się butelkami.

- Za twoich nowych przyjaciół z wyspy.

- Z jakiej wyspy?

Ted Brautigan uśmiechnął się i wyjął ostatniego papierosa z wymiętej paczki.

- Zobaczysz.

Rzeczywiście, Bobby zobaczył. Nie musiał czytać aż dwudziestu stron, by dojść do wniosku, że „Władca much" to wspaniała książka, chyba najlepsza, jaką kiedykolwiek czytał. Po dziesięciu stronach był zauroczony, po dwudziestu przepadł z kretesem. Zamieszkał na wyspie z Ralphem, Jackiem, Prosiaczkiem i maluchami, drżał z lęku przed Zwierzem, który okazał się gnijącym trupem pilota zaplątanym w linki spadochronu; obserwował najpierw z odrazą, a później z przerażeniem, jak gromadka uczniów stacza się na coraz niższe poziomy barbarzyństwa, by wreszcie zapolować na jedynego spośród nich, któremu udało się zachować resztki człowieczeństwa.

Skończył czytać książkę w ostatnią sobotę przed końcem roku szkolnego. Kiedy wybiło południe, a Bobby nie wyszedł z pokoju - nie skusili go ani bawiący się na dworze koledzy, ani kreskówki w telewizji - przyszła mama, kazała mu odłożyć książkę, wstać z łóżka i wreszcie trochę się poruszać.

- A gdzie Smutny John? - spytała.

- Na Dallhouse Square. Dzisiaj jest koncert szkolnego zespołu.

Bobby patrzył szeroko otwartymi oczami na stojącą w drzwiach matkę i otaczające ją zwyczajne przedmioty. Świat opisany w książce stał się dla niego tak autentyczny, że ten prawdziwy, w którym żył, nagle wydał mu się byle jaki i sztuczny.

- A twoja dziewczyna? Mógłbyś zabrać ją na spacer do parku.

- Ona nie jest moją dziewczyną.

- Wszystko jedno. Przecież nie proponuję ci, żebyś uciekł z nią na koniec świata.

- Dzisiaj miała nocować z koleżankami w domu Angie. Na pewno gadały do późnej nocy i jeszcze śpią albo dopiero co wstały i zabrały się do śniadania.

- W takim razie sam idź na spacer. Kiedy w sobotę przed południem nie słyszę włączonego telewizora, wydaje mi się, że umarłeś.

Weszła do pokoju i wyjęła mu książkę z rąk. Bobby patrzył w otępieniu, jak matka przewraca kartki, czytając po parę zdań. A jeśli trafi na fragment, w którym chłopcy zamierzają wsadzić odyńcowi włócznię w tyłek? Co sobie wtedy pomyśli? Nie miał pojęcia. Chociaż od najwcześniejszego dzieciństwa mieszkał z nią - i tylko z nią - pod jednym dachem, wciąż nie potrafił przewidzieć, jak się zachowa w różnych sytuacjach.

- Dostałeś ją od Brattigana?

- Tak.

- Na urodziny?

- Aha.

- O czym jest ta książka?

- O chłopcach, którzy trafili na bezludną wyspę. Ich statek zatonął. To się chyba dzieje po trzeciej wojnie światowej, albo czymś w tym rodzaju. Człowiek, który to napisał, nie mówi tego wyraźnie.

- A więc to fantastyka?

- No, tak… - bąknął niepewnie. Co prawda „Władcę much" dzieliło od „Pierścienia wokół Słońca" niemal wszystko, co można było sobie wyobrazić, ale mama nie znosiła fantastyki i jeżeli cokolwiek mogło powstrzymać ją przed dalszym, niebezpiecznym kartkowaniem książki, to właśnie taka deklaracja.

Oddała mu książkę - podeszła do okna.

- Bobby…

Nie patrzyła na niego, przynajmniej nie na początku. Miała na sobie starą koszulę i domowe spodnie. Ostre promienie słońca przedzierały się przez materiał, tak że wyraźnie widział zarys jej ciała. Po raz pierwszy zwrócił uwagę, że jest bardzo chuda, jakby za mało jadała.

- Słucham, mamo?

- Czy dostałeś od pana Brattigana jeszcze jakieś prezenty?

- On się nazywa Brautigan.

Zmarszczyła brwi, widząc swoje odbicie w szybie… a raczej jego odbicie.

- Nie poprawiaj mnie, tylko odpowiedz.

Bobby sięgnął pamięcią wstecz: owszem, jakieś drobne poczęstunki - coś do picia, czasem kanapka, raz albo dwa ciastko - ale prezentów nie dostał. Oczywiście poza tą książką, która była najwspanialszym podarkiem, jaki kiedykolwiek otrzymał.

- Nie - odparł wreszcie. - Czemu pytasz?

- Sama nie wiem. Może dlatego, że nie mam pojęcia, dlaczego człowiek, którego prawie nie znasz, miałby ci dawać prezent na urodziny? - Westchnęła, zaplotła ręce pod niedużym sterczącym biustem i nadal wpatrywała się w okno. - Powiedział mi, że pracował na stanowej posadzie w Hartford, ale teraz jest już na emeryturze. A tobie?

- Też coś w tym rodzaju.

W rzeczywistości Ted nigdy nie wspomniał Bobby'emu ani słowem o swojej przeszłości, chłopcu zaś nie przyszło do głowy, żeby o to pytać.

- Co to za posada? W transporcie? Opiece społecznej? A może był biegłym rewidentem?

Bobby pokręcił głową. Kto to, u licha, jest biegły rewident?

- Myślę, że pracował w oświacie - ciągnęła matka. – Czasem mówi jak nauczyciel, nie sądzisz?

- Rzeczywiście.

- Ma jakieś hobby?

- Nie wiem.

Chyba że za hobby uznać czytanie. Dwie spośród trzech papierowych toreb, których widok tak oburzył mamę, były po brzegi wypchane książkami. Większość wyglądała na bardzo trudne.

Informacja, że Bobby nie ma pojęcia o upodobaniach nowego lokatora, z jakiegoś powodu podziałała na nią uspokajająco. Wzruszyła ramionami, a kiedy odezwała się ponownie, chłopiec odniósł wrażenie, że mówi raczej do siebie niż do niego:

- Do licha, przecież to tylko książka. I do tego tania.

- Obiecał, że znajdzie mi jakąś pracę, ale na razie nic z tego jeszcze nie wyszło.

Odwróciła się błyskawicznie.

- Zanim się na cokolwiek zgodzisz, musisz najpierw mnie zapytać, rozumiesz?

- Jasne.

Gwałtowność jej reakcji zaskoczyła go i trochę zaniepokoiła.

- Obiecujesz?

- Obiecuję.

- To musi być poważna obietnica, Bobby.

Przeżegnał się posłusznie.

- Obiecuję w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego.

Zazwyczaj to wystarczyło, tym razem jednak mama nie była usatysfakcjonowana.

- Czy on kiedyś… To znaczy, czy zdarzyło się, że… Miała taką minę jak niektórzy uczniowie w klasie wywołani do tablicy przez panią Bramwell.

- Czy coś się zdarzyło, mamo?

- Nieważne! - parsknęła. - A teraz zmykaj do parku albo do Sterling House. Dość już mam twojego widoku!

W takim razie po co tu przyszłaś? - pomyślał, ale oczywiście nie powiedział tego na głos. Przecież siedziałem cicho i wcale ci nie przeszkadzałem.

Wepchnął książkę do tylnej kieszeni spodni i ruszył do drzwi, ale w progu zatrzymał się i odwrócił. Matka wciąż stalą przy oknie, lecz teraz patrzyła wprost na niego. Chociaż wielokrotnie zdarzało mu się podchwycić jej ukradkowe spojrzenia, nigdy nie dostrzegł w nich miłości - zazwyczaj były bardzo zamyślone, niekiedy nawet życzliwie.

- Mamo…

Zamierzał poprosić ją o pięćdziesiąt centów. Mógłby sobie za to kupić lemoniadę i dwa hot dogi w Colony Diner. Uwielbiał tamtejsze hot dogi, w chrupiących bułeczkach, z chipsami i piklami. Zanim jednak zdołał dokończyć, usta matki niemal całkowicie znikły i Bobby wiedział już, że może pożegnać się z hot dogami.

- Nie ma mowy, Bobby. Zapomnij o tym. - „Zapomnij o tym”, jedno z jej ulubionych powiedzeń. - Mam w tym tygodniu mnóstwo rachunków do zapłacenia, więc nawet nie zadawaj sobie trudu, żeby prosić o pieniądze.

Problem polegał na tym, że akurat w tym tygodniu nie było do -zapłacenia żadnych rachunków. Widział na własne oczy, jak w ubiegłą środę wypisywała czek za elektryczność i czynsz, i wkładała go do koperty z napisem p. Monteleone. Nie mogła również twierdzić, że musi mu kupić nowe ubrania, bo przecież to był koniec roku szkolnego, a nie początek. Od dawna nie brał od niej ani centa, jeśli nie liczyć pięciu dolarów na kwartalną opłatę za Sterling House. Bardzo wtedy narzekała, chociaż doskonale zdawała sobie sprawę, że za te pięć dolarów jej syn może przez trzy miesiące korzystać z basenu, boiska, a na dodatek jest ubezpieczony. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, a nie o jego matkę, zapewne uznałby takie zachowanie za przejaw zwykłego skąpstwa. Wolał nie poruszać z nią tego tematu; niemal każda rozmowa o pieniądzach kończyła się kłótnią, nawet najdelikatniejsza sugestia, że może powinna zmienić swoje podejście do tych spraw, natychmiast doprowadzała ją do histerii. A wtedy Bobby po prostu się jej bał.

- W porządku, mamo - powiedział z uśmiechem.

Również się uśmiechnęła i wskazała ruchem głowy na słoik z napisem FUNDUSZ ROWEROWY.

- Może stąd trochę weźmiesz? Nie bój się, będę trzymała język za zębami. Potem oddasz.

Utrzymanie uśmiechu na twarzy kosztowało go sporo wysiłku. Jak łatwo przyszło jej to powiedzieć! Gdyby to on zaproponował, żeby „pożyczyła” te pół dolara z pieniędzy odłożonych na rachunek telefoniczny albo na jej „stroje służbowe”, żeby mógł sobie kupić dwa hot-dogi i coś do picia, najprawdopodobniej dostałby po twarzy.

Kiedy Bobby dotarł do Commonwealth Park, żal znacznie osłabł, a słowo „skąpstwo” nie pojawiało się już w jego myślach tak często. Był piękny letni dzień, czekało go jeszcze kilkanaście stron pasjonującej lektury, jak długo więc mógł się złościć i rozczulać nad sobą. Znalazł stojącą nieco na uboczu ławkę, usiadł i otworzył „Władcę much”. Musi jeszcze dziś dokończyć tę książkę, musi się dowiedzieć, jak się kończy.

Zajęło mu to godzinę, podczas której zupełnie stracił kontakt ze światem. Kiedy przewrócił ostatnią kartkę, spostrzegł, że jest cały obsypany białymi płatkami kwiatów jabłoni. Strząsnął je, po czym skierował wzrok na pobliskie boisko, na którym uganiała się za piłką

wrzeszcząca, roześmiana czereda. Czy to możliwe, żeby takie dzieci stoczyły się tak nisko, by biegać na golasa i czcić gnijący świński łeb? Najłatwiej byłoby potraktować ów pomysł jako wymysły zgryźliwego starca nienawidzącego dzieci (a takich było niemało), ale kiedy Bobby przeniósł spojrzenie na piaskownicę, zobaczył małego, płaczącego wniebogłosy chłopczyka; obok niego siedział drugi, starszy, i najspokojniej w świecie bawił się odebraną malcowi zabawką.

I jak właściwie skończyła się książka? Dobrze czy źle? Jeszcze miesiąc temu Bobby nie miałby najmniejszych wątpliwości, teraz jednak wcale nie był pewien. Pierwszy raz w życiu zetknął się z książką, o której nie potrafił powiedzieć, czy ma szczęśliwe, czy raczej nieszczęśliwe zakończenie. Ted powinien wiedzieć. Zapyta go.

Kwadrans później znalazł go Smutny John.

- Tu jesteś, draniu! - wykrzyknął na jego widok. - Byłem u ciebie, ale twoja mama powiedziała, że poszedłeś do parku albo do Sterling House. Skończyłeś wreszcie tę książkę?

- Tak.

- I co, dobra?

- Bardzo.

Smutny John pokręcił głową.

- Jeszcze nie trafiłem na książkę, która by mi się spodobała, ale wierzę ci na słowo.

- A jak koncert?

John wzruszył ramionami.

- Graliśmy i graliśmy, aż wreszcie wszyscy sobie poszli, i bardzo dobrze. A wiesz, kto wylosował tygodniowy pobyt w obozie Winiwinaia?

Koedukacyjny obóz nad Jeziorem George, a w lasach rozciągających się na północ od Storrs, prowadziła YMCA. Co roku komitet rodzicielski Szkoły Podstawowej Harwich losował nazwisko szczęśliwca, który mógł spędzić tam tydzień wakacji.

Bobby poczuł ukłucie zazdrości.

- Serio?

Smutny John uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Żebyś wiedział! Co najmniej siedemdziesiąt kartek w kapeluszu, a kogóż to wyciągnął ten stary łysy drań, pan Coughlin? Johna L. Sullivana juniora, Broad Street 93. Moja mama mało się nie posikała.

- Kiedy jedziesz?

- Dwa tygodnie po zakończeniu szkoły. Mama spróbuje wziąć urlop w piekarni, żeby mogła odwiedzić dziadka i babcię w Wisconsin. Pojedzie Wielkim Szarym Psem.

Wielki Wacio to były wakacje, Wielki Suli to był Ed Sullivan w telewizyjne niedzielne wieczory, a Wielki Szary Pies to był oczywiście autobus Greyhounda. Dworzec autobusowy dzieliło zaledwie kilkadziesiąt kroków od kina i Colony Diner.

- A nie chciałbyś pojechać z nią do Wisconsin? - zapytał Bobby, ulegając perwersyjnemu pragnieniu, by choć trochę zmącić radość przyjaciela.

- Pewnie, że tak, ale wolę pojechać na obóz i strzelać z łuku. - Smutny John objął go ramieniem. - Szkoda tylko, że ciebie tam nie będzie, molu książkowy!

Bobby'emu zrobiło się wstyd, że okazał się tak małoduszny. Cóż, wszystko wskazywało na to, że już niedługo będzie miał okazję powtórnie przeczytać „Władcę much" - być może nawet już w sierpniu. Teraz, w maju, trudno jeszcze było to sobie wyobrazić, ale jeśli ktoś spędzał wakacje w domu, zazwyczaj już na początku sierpnia zaczynał się nudzić jak mops. Podniósł wzrok na przyjaciela i odwzajemnił uścisk.

- Masz szczęście, kaczorze!

- Chyba tak - przyznał mu rację Smutny John. - Mów mi Donald. Przez jakiś czas siedzieli na ławce w deszczu białych płatków, obserwując młodsze dzieci dokazujące na boisku, a potem Smutny John oświadczył, że wybiera się do kina na poranek, więc musi się już zbierać, jeśli nie chce się spóźnić.

- Może ty też pójdziesz? Grają „Czarnego skorpiona". Kupa potworów i różnych takich.

- Nie mogę, jestem spłukany.

Była to święta prawda (to znaczy, jeśli nie brać pod uwagę siedmiu dolarów w słoiku), a poza tym Bobby nie miał najmniejszej ochoty iść do kina, chociaż słyszał, jak jakiś chłopak opowiadał w szkole, że „Czarny skorpion" to świetny film, bo skorpiony przebijają ludzi na wylot swoimi żądłami i na koniec zrównują z ziemią Mexico City.

Dzisiaj Bobby chciał jak najprędzej wrócić do domu i porozmawiać z Tedem o „Władcy much".

- Spłukany… - westchnął Smutny John. - To przykre. Zafundowałbym ci bilet, ale sam mam tylko trzydzieści pięć centów.

- Nie przejmuj się. Słuchaj, a gdzie twoje jo-jo?

Smutny John zrobił jeszcze bardziej ponurą minę niż zwykle.

- Gumka pękła. Jest już pewnie w jakimś jo-jo-niebie.

Bobby parsknął śmiechem. Jo-jo-niebo, a to dopiero pomysł!

- Kupisz sobie nowe?

- Raczej nie. U Woolwortha widziałem „Młodego magika". Sześćdziesiąt różnych numerów, tak było napisane na pudełku. Jak dorosnę, chętnie zostałbym magikiem. Jeździłbym wszędzie z jakimś cyrkiem albo wesołym miasteczkiem, nosiłbym frak i cylinder, i wyciągałbym z niego króliki i różne inne gówna.

- Na gówno królicze na pewno mógłbyś liczyć - zauważył Bobby.

Smutny John wyszczerzył zęby.

- Co tam, i tak byłoby wdechowo! - Poderwał się z ławki. - Na pewno nie chcesz iść? Może udałoby ci się zmylić Godzillę.

Na sobotnie poranki schodziły się do kina setki dzieci. Seans składał się zazwyczaj z filmu pełnometrażowego, kilku kreskówek, zapowiedzi oraz animowanej kroniki filmowej. Pani Godlow odchodziła od zmysłów, żeby je uciszyć i ustawić w karnej kolejce; nie mogła zrozumieć, że w sobotnie południe nic ani nikt nie jest w stanie zmusić nawet najgrzeczniejszych i najlepiej wychowanych dzieci, żeby zachowywały się jak w szkole. Na dodatek była opętana obsesyjnym podejrzeniem, iż na film dozwolony od lat dwunastu usiłuje się wcisnąć mnóstwo dzieciaków, które jeszcze nie osiągnęły tego wieku, w związku z czym najchętniej domagałaby się okazania jakiegoś dokumentu z datą urodzenia, tak samo jak podczas wieczornych seansów, kiedy wyświetlano filmy z Brigitte Bardot. Ponieważ jednak nie mogła tego robić, zadowalała się wykrzykiwaniem „ILEMASZLAT-SMARKACZU?!", do każdego osobnika o wzroście poniżej półtora metra. W takim rozgardiaszu stosunkowo łatwo było prześlizgnąć się do środka, a na tak wczesnych seansach nikt już nie kontrolował biletów przed wejściem do sali. Jednak dzisiaj Bobby nie miał najmniejszej ochoty podziwiać olbrzymich skorpionów; cały miniony tydzień spędził w towarzystwie znacznie bardziej realistycznych potworów, spośród których większość wyglądała przypuszczalnie prawie tak jak on.

- Raczej nie - odparł.

- W porządku. - Smutny John strząsnął kilka białych płatków ze swoich ciemnych włosów, po czym spojrzał poważnie na przyjaciela. - Powiedz, że niezły drań ze mnie.

- Niezły drań z ciebie, Smutasie.

- Jasne! - Chłopiec dał dzikiego susa w górę i dźgnął powietrze pięścią. - Dzisiaj niezły ze mnie drań, a jutro największy magik na świecie! Hura!

Bobby ze śmiechu mało nie położył się na ławce. Kiedy Smutny John miał dobry humor, potrafił być najzabawniejszym gościem na świecie.

John ruszył przed siebie, ale zaledwie po kilku krokach zatrzymał się i odwrócił.

- Wiesz co? Kiedy tu szedłem, zauważyłem dwóch dziwnych gości.

- Jak to, dziwnych?

Smutny John pokręcił głową z niezbyt pewną miną.

- Nie wiem, ale na pewno byli jacyś dziwni.

Odszedł, podśpiewując „At the Hop", jedną ze swoich ulubionych piosenek. Bobby'emu też się podobała. Danny and the Juniors byli znakomici.

Bobby ponownie otworzył książkę (nosiła już ślady częstego używania) i jeszcze raz przeczytał ostatni fragment, w którym wreszcie pojawiają się dorośli. Znowu zaczął roztrząsać problem, jak powinien zinterpretować zakończenie książki, i zupełnie zapomniał o Smutnym Johnie. Dopiero jakiś czas potem przyszło mu do głowy, że gdyby jego przyjaciel nie zapomniał powiedzieć, iż owi „dziwni goście" mieli na sobie żółte płaszcze, późniejsze wydarzenia przybrałyby być może zupełnie inny obrót.

- William Golding napisał interesującą rzecz o tej książce. Myślę, że to może przynajmniej częściowo wyjaśnić twoje wątpliwości. Napijesz się jeszcze, Bobby?

Chłopiec pokręcił głową i podziękował. W gruncie rzeczy wcale nie lubił lemoniady, którą częstował go Ted, i pił ją wyłącznie dlatego, żeby nie sprawić przykrości gospodarzowi. Znowu siedzieli przy kuchennym stole, pies pani O'Hara znowu szczekał (Bobby miewał niekiedy wrażenie, że Bowser NIGDY nie przestaje szczekać), Ted znowu palił chesterfieldy. Zaraz po powrocie z parku Bobby zajrzał do mieszkania, zobaczył, że mama ucięła sobie drzemkę w łóżku, po czym popędził na drugie piętro, żeby wypytać Teda o zakończenie „Władcy much".

Ted podszedł do lodówki… i zamarł w bezruchu z ręką zaciśniętą na uchwycie, zapatrzony w nicość. Później Bobby uświadomił sobie, iż był to pierwszy sygnał świadczący o tym, że z Tedem jest coś nie w porządku, albo nawet wręcz źle, i że robi się coraz gorzej.

- Najpierw czuje się je na dnie oczu - powiedział jakby nigdy nic, głośno i wyraźnie, tak że Bobby bez trudu zrozumiał każde słowo.

- Co się czuje?

- Najpierw czuje się je na dnie oczu - powtórzył, wciąż zapatrzony przed siebie, z palcami zaciśniętymi na klamce lodówki.

Bobby poczuł się nieswojo. Zaswędziało go w nosie, jakby w powietrzu pojawiły się jakieś drażniące pyłki, po ramionach i karku przebiegły mu niewidzialne mrówki.

A potem Ted otworzył lodówkę i sięgnął do środka.

- Na pewno nie chcesz? - zapytał jakby nigdy nic. - Jest dobrze schłodzona.

- Nie, dziękuję.

Ted wrócił do stołu zjedna butelką i Bobby zrozumiał, że gospodarz albo postanowił zignorować niedawne wydarzenie, albo najzwyczajniej w świecie nic nie pamiętał. Zrozumiał również, że chwilowo wszystko jest w porządku, i to mu wystarczyło. Dorośli bywają czasem bardzo dziwni, i już. Niekiedy po prostu nie trzeba zwracać na nich uwagi.

- Co Golding napisał o zakończeniu?

- Jeśli dobrze pamiętam, coś w tym rodzaju: „Chłopców uratowała załoga krążownika, czyli dla nich wszystko skończyło się szczęśliwie, ale kto uratuje załogę?”. - Ted napełnił szklankę, zaczekał aż opadnie piana i podniósł ją do ust. - I co, teraz jaśniej?

Bobby zastanawiał się intensywnie, jakby dostał do rozwiązania jakąś łamigłówkę. Do licha, to naprawdę była łamigłówka!

- Nie - odparł wreszcie. - Wciąż nie rozumiem. Przecież załogi nie trzeba ratować, bo nie są na wyspie, tylko na okręcie, a poza tym… - Nagle przypomniał sobie dzieci w piaskownicy, jedno ryczące wniebogłosy, a drugie jakby nigdy nic bawiące się odebraną tamtemu zabawką. - Marynarze są dorośli, a dorośli nie potrzebują pomocy.

- Nie?

- Nie.

- Nigdy?

Bobby nie odpowiedział, ponieważ przyszła mu na myśl matka i jej stosunek do pieniędzy, a także tamta noc, kiedy się obudził i był prawie pewien, że słyszy jej płacz.

- Zastanów się. - Ted zaciągnął się głęboko i wypuścił kłąb dymu. - Dobre książki temu również mają służyć.

- Spróbuję.

- „Władca much” raczej nie przypominał Chłopców Hardy’ego, prawda?

Bobby spróbował sobie wyobrazić Franka i Joe Hardych, którzy biegaliby po dżungli z włóczniami domowego wyrobu i śpiewali pieśni o tym, jak wsadzą je odyńcowi w tyłek. Wizja ta była tak zabawna, że parsknął śmiechem. Zaraz potem dołączył do niego Ted i Bobby wiedział już, że okres dziecinnych książek ma za sobą. Lektura „Władcy much" okazała się przełomowym wydarzeniem. Jak to dobrze, że już ma dorosłą kartę biblioteczną!

- Ani trochę!

- Dobre książki nie zdradzają od razu wszystkich swoich tajemnic. Pamiętaj o tym.

- Będę pamiętał.

- Doskonale. A teraz powiedz: chciałbyś zarabiać dolara tygodniowo?

Zmiana tematu była tak gwałtowna, że w pierwszej chwili Bobby nawet jej nie zauważył, ale zaraz potem uśmiechnął się od ucha do ucha i wykrzyknął:

- Jasne!

Przez głowę błyskawicznie przelatywały mu liczby. Nawet dość skromne zdolności matematyczne okazały się zupełnie wystarczające, aby błyskawicznie obliczyć, iż zarobki w wysokości dolara tygodniowo oznaczały możliwość odłożenia do końca wakacji co najmniej piętnastu dolarów. Jeżeli dodać do tego dotychczasowe oszczędności plus pewne jak w banku przychody ze zbierania butelek i koszenia trawników… Rety, być może już na początku września będzie mógł wsiąść na upragniony rower!

- Co mam robić?

- Musimy być ostrożni, chłopcze. Bardzo ostrożni. - Ted zamyślił się tak głęboko, iż Bobby'ego ogarnął niepokój, że za chwilę znowu usłyszy coś o czuciu na dnie oczu. Na szczęście, kiedy mężczyzna podniósł wzrok, jego spojrzenie nie było puste, lecz żywe i bystre, choć może odrobinę smutne. - Nigdy nie wymagałbym od przyjaciela, szczególnie tak młodego jak ty, żeby okłamywał rodziców, ale tym razem wyjątkowo muszę cię poprosić, żebyś pomógł mi przygotować pewien trik. Wiesz, co to znaczy?

- Jasne. - Przed oczami Bobby'ego stanął Smutny John we fraku i cylindrze, wyciągający króliki z kapelusza. - To takie coś, co robi magik, żeby oszukać publiczność.

- Nie brzmi zbyt zachęcająco, jeśli się temu bliżej przyjrzeć, prawda?

Bobby pokręcił głową. Bez sceny, świateł, fraka i cylindra pozostawało najzwyklejsze kłamstwo. Ted pociągnął łyk lemoniady i otarł usta.

- Chodzi o twoją mamę. Chyba nie mogę powiedzieć, że mnie nie lubi, bo to by było nieuczciwe, ale na pewno PRAWIE mnie nie lubi. Też tak myślisz?

- Raczej tak. Kiedy jej powiedziałem, że być może będziesz miał dla mnie jakąś pracę, zrobiła się jakaś dziwna i kazała mi wszystko sobie powtarzać.

Ted Brautigan skinął głową.

- Myślę, że to zaczęło się od tych papierowych toreb, w których miałeś rzeczy. Wiem, że to brzmi dziwacznie, ale tak właśnie było.

Spodziewał się wybuchu śmiechu, lecz Ted jedynie ponownie skinął głową.

- Być może chodzi tylko o to. W każdym razie bardzo bym nie chciał, żebyś oszukiwał mamę.

Taka deklaracja brzmiała nieźle, Bobby jednak niezbyt w nią wierzył. Gdyby była prawdziwa, po co ta cała rozmowa o trikach?

- Powiedz jej, że szybko męczy mi się wzrok. - Jakby na dowód, że mówi prawdę, Ted podniósł rękę i pomasował kąciki oczu kciukiem i palcem wskazującym. - Powiedz jej, że chciałbym, żebyś codziennie czytał mi gazetę, a ja za to będę ci płacił dolara tygodniowo. Zgoda?

Chłopiec z powątpiewaniem skinął głową. Dolar tygodniowo za czytanie o tym, jak Kennedy radzi sobie w prawyborach i czy Floyd Patterson zwycięży w czerwcu? I jeszcze o „Blondie" i „Dicku Tracy"? Być może jego mama, zatrudniona u pan Bidermana w agencji handlu nieruchomościami Home Town, zechce w coś takiego uwierzyć, bo on, Bobby, na pewno nie.

Ted wciąż masował sobie kąciki oczu. Jego ręka wisiała nad wąskim nosem niczym pająk.

- Co jeszcze?.- zapytał Bobby zaskakująco bezbarwnym tonem. Takim tonem zwracała się do niego mama, kiedy mimo obietnicy nie posprzątał w swoim pokoju. - Co jeszcze mam robić?

- Mieć oczy szeroko otwarte, to wszystko.

- A na co mam uważać?

- Na małych mężczyzn w żółtych płaszczach.

Palce Teda nadal pracowały przy kącikach oczu. Bobby wolałby, żeby przestały. Było w tym coś niepokojącego. Czy Ted znowu czuł coś na ich dnie? Coś, co przeszkadzało w normalnym, sensownym i uporządkowanym życiu?

- To znaczy na małych żółtków?

Pytanie było zupełnie bez sensu, ale czuł, że musi coś powiedzieć, a nic innego nie przyszło mu do głowy. Ted roześmiał się szczerze i głośno; brzmienie jego śmiechu uświadomiło Bobby'emu, jak bardzo czuł się nieswojo.

- Słowa „małych" użyłem również w sensie przenośnym - odparł mężczyzna. - Wiesz, jeśli „wielki" oznacza niekiedy również „wspaniały", „szlachetny" albo „dostojny", to„mały" stanowi jego przeciwieństwo. To tacy ludzie, którzy na przykład grają w kości w bocznej uliczce, pociągając z butelki. Albo tacy, którzy podpierają godzinami ściany, wycierają sobie czoła i karki niezbyt czystymi chusteczkami i gwiżdżą na kobiety idące drugą stroną ulicy. Albo tacy, którzy uwielbiają nosić kapelusze z piórkiem i wyglądają tak, jakby znali odpowiedzi na wszystkie najgłupsze pytania, jakie może przynieść życie. Obawiam się, że nie wyrażam się zbyt jasno… Czy cokolwiek z tego rozumiesz?

Owszem, Bobby rozumiał, podobnie jak doskonale zrozumiał, dlaczego nazwanie czasu „starym łysym oszustem" ma głęboki sens. Czasem człowiek po prostu czuje, że jakieś słowo albo określenie jest wyjątkowo trafne, chociaż nie potrafiłby powiedzieć dlaczego. Podobnie (choć równocześnie w zupełnie innym sensie) pan Biderman zawsze sprawiał wrażenie nieogolonego, chociaż roztaczał wokół siebie intensywną woń płynu po goleniu; wystarczyło też na niego spojrzeć, aby się domyślić, że siedząc za kierownicą, często dłubie w nosie albo że odruchowo sprawdza, czy w mijanym automacie telefonicznym ktoś nie zostawił monety…

Rozumiem.

- Nigdy w życiu nie żądałbym od ciebie, żebyś rozmawiał z takimi ludźmi albo nawet żebyś się do nich zbliżał, ale byłbym ci bardzo zobowiązany, gdybyś raz dziennie przeszedł się po najbliższej okolicy - wiesz, Broad Street, Commonwealth Street, Colony Street, Asher Avenue - i po prostu miał oczy szeroko otwarte.

Elementy łamigłówki powoli zaczynały układać się w całość. W jego urodziny (a równocześnie był to pierwszy dzień pobytu Teda w nowym miejscu zamieszkania) mężczyzna zapytał go, czy zna wszystkich w okolicy, czy zauważyłby

(każdą nową twarz)

obcych, którzy by się tutaj zjawili. Niespełna trzy tygodnie później Carol Gerber powiedziała, że jej zdaniem Ted zachowuje się tak, jakby przed kimś uciekał.

- Ilu ich jest?

- Może trzech, może pięciu, a może więcej? - Ted wzruszył ramionami. - Rozpoznasz ich po długich żółtych płaszczach i oliwkowej cerze, choć ta ciemna skóra to tylko kamuflaż.

- To znaczy… Są pomalowani, czy jak?

- Mniej więcej. Jeśli będą się poruszać samochodami, też bez trudu rozpoznasz ich po pojazdach.

- Jakie marki? Modele?

Bobby czuł się trochę jak Darren McGavin w „Mike'u Hammerze" i musiał sobie co chwilę powtarzać, że nie powinien się aż tak bardzo ekscytować, że to nie telewizja…

Ted pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia, ale na pewno ich nie przeoczysz. Te samochody będą jak żółte płaszcze, buty w szpic i perfumowane mazidło do włosów, którego używają: rzucające się w oczy i bez gustu.

- Bo oni są mali… - wyszeptał Bobby.

- Tak: bo oni są mali - potwierdził Ted i energicznie skinął głową. Następnie pociągnął łyk lemoniady, odwrócił głowę z w kierunku, z którego dobiegało niemilknące ani na chwilę ujadanie Bobsera… i znieruchomiał w tej pozycji na kilka sekund, niczym nakręcana zabawka z pękniętą sprężyną albo maszyna, której zabrakło paliwa. - Czują mnie, a ja czuję ich - powiedział cicho. - Ach, ten świat…

- Czego chcą?

Ted odwrócił się gwałtownie z zaskoczoną miną, jakby na chwilę zapomniał o istnieniu chłopca… albo o tym, kim jest Bobby… Zaraz jednak uśmiechnął się i położył rękę na splecionych palcach Bobby'ego. Ręka była duża, ciepła i bezpieczna: ręka mężczyzny. Jej dotknięcie sprawiło, że i tak niezbyt silne wątpliwości chłopca znikły bez śladu.

- Czegoś, co przypadkiem należy do mnie. Tylko tyle mogę ci powiedzieć.

- Ale to nie są policjanci albo agenci rządowi, albo…

- Chcesz wiedzieć, czy poszukuje mnie FBI albo czy jestem komunistycznym agentem, jak ten z filmu „I Led Three Lives"? Chcesz wiedzieć, czy jestem złym człowiekiem?

- Wiem, że nie jesteś złym człowiekiem - zapewnił go Bobby, chociaż mocny rumieniec, jaki wykwit! na jego policzkach, zdawał się świadczyć o czymś wręcz przeciwnym.. Zresztą jakie znaczenie miało to, co myślał? Przecież złych ludzi też można lubić albo nawet kochać; nawet Hitler miał matkę, jak powiadała niekiedy mama Bobby'ego.

- Nie, nie jestem. Nie napadłem na bank ani nie wykradłem tajemnicy wojskowej. Zbyt wiele czasu poświęciłem czytaniu książek i wielokrotnie nie zwracałem ich w terminie - gdyby istniała Policja Biblioteczna, bez wątpienia figurowałbym na ich liście poszukiwanych - ale na pewno nie jestem bandziorem, takim jak ci, których pokazują w telewizji.

- A ci w żółtych płaszczach to źli ludzie, prawda?

Ted skinął głową.

- Do szpiku kości. I do tego niebezpieczni.

- Widziałeś ich już?

- Wiele razy, ale nie tutaj. Najprawdopodobniej ty też ich nie zobaczysz. Chcę cię tylko prosić o to, żebyś był czujny. Możesz to dla mnie zrobić?

- Jasne…

- Jakiś problem?

- Nie.

A jednak przez ułamek sekundy wydawało mu się, że dostrzega nie tyle coś niepokojącego, ile raczej drogę, która do tego czegoś może prowadzić.

- Jesteś pewien?

- Aha.

- To dobrze. A teraz najważniejsza rzecz: czy sądzisz, że będziesz mógł z czystym sumieniem przemilczeć tę sprawę, kiedy mama zapyta, o jaką pomoc cię poprosiłem?

- Tak - odpowiedział Bobby bez wahania, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że taki postępek będzie oznaczał ogromną zmianę w jego życiu i może się okazać dość ryzykowny. Wciąż przecież bał się mamy, lecz tylko częściowo z powodu jej gniewu oraz niepewności, jak długo będzie chowała w sercu urazę. Najistotniejsza była świadomość, że jest się kochanym jedynie trochę, i pragnienie ocalenia za wszelką cenę tej odrobiny uczucia. Równocześnie jednak lubił Teda, a dotknięcie jego ręki sprawiło mu ogromną przyjemność - twarda, ciepła skóra, duże palce o pogrubialych stawach. Poza tym przecież to nie będzie kłamstwo; po prostu nie powie wszystkiego, i tyle.

- Na pewno?

Jeżeli chcesz się nauczyć kłamać, niemówienie wszystkiego może być dobrym początkiem - szepnął wewnętrzny glos, lecz chłopiec postanowił go zignorować.

- Jasne. Ted, czy ci… Czy ci ludzie są niebezpieczni tylko dla ciebie, czy dla wszystkich?

Myślał o mamie, a także o sobie.

- Dla mnie mogą się okazać bardzo niebezpieczni, ale dla innych ludzi, a przynajmniej dla większości, raczej nie. Powiedzieć ci coś zabawnego?

- Pewnie!

- Większość ludzi w ogóle ich nie dostrzega, chyba że podejdą bardzo blisko. Zupełnie jakby potrafili zmącić ludzkie umysły, tak jak Cień z tego starego słuchowiska.

- Czy to znaczy, że oni są… To znaczy, że mają…

Chodziło mu o zdolności nadprzyrodzone, ale jakoś nie przeszło mu to przez gardło.

- Skądże znowu! - zaprzeczył stanowczo Ted, zanim Bobby zdołał wykrztusić pytanie.

Leżąc wieczorem w łóżku (sen zwlekał z przyjściem jeszcze dłużej niż zwykle) Bobby doszedł do wniosku, że Ted po prostu bał się tego pytania.

- Nie dostrzegamy mnóstwa zwyczajnych ludzi, którzy nas otaczają. Kelnerka, która wraca do domu z pochyloną głową i roboczymi pantoflami w papierowej torbie… Dwoje staruszków na popołudniowym spacerze w parku… Dziewczyny z utapirowanymi włosami i z włączonymi radiami tranzystorowymi… Tylko dzieci ich widzą. Dzieci widzą wszystko, a ty, Bobby, jesteś jeszcze dzieckiem.

- Ci ludzie, o których mówiłeś, powinni rzucać się w oczy…

- Masz na myśli żółte płaszcze, spiczaste buty i głośne samochody? Ale właśnie takie rzeczy sprawiają, że wielu ludzi odwraca wzrok albo pospiesznie wznosi blokady między oczami i mózgiem. Tak czy inaczej, nie chcę, żebyś się narażał. Jeśli ich zauważysz - nie podchodź. Nie rozmawiaj z nimi, nawet jeśli cię zagadną. Co prawda nie mam pojęcia, dlaczego mieliby to robić, a nawet wątpię, czy cię zauważą, ale mówię ci o tym na wszelki wypadek, bo nigdy nic nie wiadomo. A teraz powtórz wszystko. To bardzo ważne.

- Mam do nich nie podchodzić i nie rozmawiać z nimi.

- Nawet jeśli pierwsi się odezwą.

- Nawet jeśli pierwsi się odezwą. Właśnie, co mam wtedy zrobić?

- Przyjść tutaj i zameldować mi, że się pojawili. Najpierw idź jakby nigdy nic, a potem, jak będziesz pewien, że stracili cię z oczu, pędź co sił w nogach. Pędź, jakby goniło cię sto diabłów.

- A ty co zrobisz? - zapytał Bobby, chociaż doskonale znał odpowiedź na swoje pytanie. Może nie dorównywał spostrzegawczością Carol, ale nie był też głupi. - Uciekniesz, prawda?

Ted Brautigan wzruszył ramionami, po czym, unikając wzroku chłopca, opróżnił szklankę.

- Podejmę decyzję, kiedy przyjdzie pora. Jeżeli w ogóle przyjdzie. Przy odrobinie szczęścia znikną przeczucia, które mam od kilku dni.

- Czy kiedyś już ci się zdarzyło coś takiego?

- O tak… Może porozmawiamy o przyjemniejszych sprawach?

Przez następne pół godziny dyskutowali o baseballu, a potem o muzyce (Bobby stwierdził ze zdziwieniem, że Ted nie tylko zna piosenki Elvisa Presleya, ale nawet niektóre z nich lubi), później zaś o nadziejach i obawach Bobby'ego związanych z rozpoczynającą się we wrześniu nauką w siódmej klasie. Pogawędka była bardzo sympatyczna, chłopiec jednak wyczuwał, że gdzieś w tle przez cały czas czai się temat małych ludzi. Można było odnieść wrażenie, iż zagnieździli się w pokoju Teda na drugim piętrze niczym jakieś szczególne, trudno dostrzegalne cienie.

Gospodarz wrócił do tego tematu dopiero wtedy, gdy Bobby szykował się już do wyjścia.

- Powinieneś zwracać uwagę na pewne sygnały świadczące o tym, że moi starzy przyjaciele są gdzieś w pobliżu.

- Na przykład?

- Szukaj ogłoszeń o zaginionych zwierzętach - przyklejonych na szybach sklepowych, budkach telefonicznych albo słupach. „Zgubił się szary kotek z białym krawatem i zakręconym ogonkiem. Wiadomość pod numerem telefonu…". „Zaginął nieduży kundel podobny do wyżła, reaguje na imię Trixie, lubi dzieci. Na wiadomość czeka zrozpaczona mała właścicielka". Wiesz, coś w tym rodzaju.

- Rety, chcesz powiedzieć, że oni zabijają zwierzaki? Naprawdę myślisz, że…

- Myślę, że większość tych zwierzaków nigdy nie istniała i nie istnieje - przerwał mu Ted znużonym, smutnym tonem. - Nawet jeśli na ogłoszeniu jest fotografia. Myślę, że oni

porozumiewają się w ten sposób, chociaż naprawdę nie mam pojęcia, dlaczego po prostu nie spotkają się w jakiejś restauracji, żeby pogadać przy obiedzie. Gdzie twoja mama robi zakupy?

- W Total Grocery. To tuż obok agencji pana Bidermana.

- Chodzisz tam z nią?

- Czasami.

Kiedy był młodszy, czekał na nią w każdy piątek, skracając sobie czas lekturą „TV Guide" ze stelaża. Uwielbiał te piątkowe popołudnia, ponieważ rozpoczynały weekend, ponieważ mama pozwalała mu pchać wózek, który oczywiście w jego wyobraźni był samochodem wyścigowym, i ponieważ ją kochał. Nie opowiedział jednak o tym Tedowi, bo to przecież była zamierzchła przeszłość. Miał wtedy zaledwie osiem lat.

- Sprawdzaj więc tablicę ogłoszeń przy kasach. Wisi tam zawsze mnóstwo pisanych ręcznie ogłoszeń z nadrukiem SPRZEDAM SAMOCHÓD. Szukaj takich, które zostały przyczepione do góry nogami. Czy w mieście jest jeszcze jakiś supermarket?

- A&P, przy wiadukcie kolejowym, ale mama tam nie chodzi. Mówi, że rzeźnik na nią obleśnie patrzy.

- Możesz i tam sprawdzać tablice ogłoszeń?

- Jasne.

- Doskonale. A teraz słuchaj uważnie: wiesz, jak wyglądają pola do gry w klasy, które dzieci rysują kredą na chodnikach?

Bobby skinął głową.

- Szukaj takich z gwiazdami albo księżycami. Powinny być narysowane innym kolorem. Szukaj też ogonów latawców wiszących na przewodach telefonicznych - nie latawców, tylko samych ogonów. I jeszcze jedno…

Ted umilkł, zmarszczył z namysłem brwi, po czym wyjął z leżącej na stole paczki jeszcze jednego chesterfielda i zapalił. On jest szurnięty, zupełnie spokojnie doszedł do wniosku Bobby, bez cienia lęku. Brakuje mu piątej klepki.

To było aż nadto oczywiste. Pozostawało tylko mieć nadzieję, że Ted potrafi jednak zachować ostrożność; gdyby mama kiedykolwiek usłyszała coś takiego, zabroniłaby Bobby'emu zbliżać się do niego na kilometr, a kto wie, może nawet wezwałaby sanitariuszy z kaftanem bezpieczeństwa… albo poprosiła Dona Bidermana, żeby to za nią zrobił.

- Wiesz, gdzie na rynku jest zegar?

- Jasne.

- Bądź czujny, bo może zacząć wybijać niewłaściwe godziny albo nagle zacząć uderzać między godzinami. Moi przyjaciele nie lubią też kościołów, ale nie okazują tego jakoś wyraźnie. Starają się nie rzucać w oczy. Oczywiście zostawiają jeszcze wiele innych śladów, lecz nie chciałbym niepotrzebnie zaśmiecać ci pamięci. Moim zdaniem, najistotniejsze są ogłoszenia o zwierzakach.

- „Zaginął mały szary kotek z białym krawacikiem”?

- Otóż to. Jeśli…

- Bobby! - Wołaniu towarzyszył odgłos kroków zbliżających się po schodach. - Bobby, jesteś tam?

3

Władza matki. Bobby pracuje.

„Czy on cię dotyka?”.

Ostatni dzień szkoły.

Bobby i Ted spojrzeli jeden na drugiego jak winowajcy, po czym odsunęli się od siebie, jakby jeszcze przed chwilą robili coś głupiego, a nie tylko rozmawiali na zupełnie idiotyczne tematy.

Ona i tak zorientuje się, że coś knujemy, przemknęła Bobby’emu rozpaczliwa myśl. Wyczyta to z mojej twarzy.

- Wcale nie - powiedział Ted. - Tylko tak ci się wydaje. Na tym polega władza matki.

Chłopiec wytrzeszczył na niego oczy. Czytasz w moich myślach? Potrafisz czytać w myślach?

Nawet gdyby Ted zamierzał odpowiedzieć, nie było już na to czasu, ponieważ kroki dotarły do podestu na drugim piętrze. Jednak sądząc po wyrazie twarzy mężczyzny, Bobby raczej i tak nie doczekałby się odpowiedzi… a poza tym niemal od razu zaczęły nachodzić go wątpliwości, czy aby się nie przesłyszał.

Chwilę potem w otwartych drzwiach stanęła jego mama i obrzuciła badawczym spojrzeniem najpierw syna, potem gospodarza.

- A więc tu jesteś! Nie słyszałeś, jak cię wołam?

- Przyszłaś tak szybko, że nawet nie zdążyłem odpowiedzieć.

Wydęła wargi, po czym przez jej twarz przemknął blady, chłodny uśmiech. Spojrzenie wciąż wędrowało od mężczyzny do chłopca, jakby szukała czegoś niewłaściwego, niepokojącego, czegoś, co by się jej nie spodobało.

- Nie słyszałam, kiedy wróciłeś do domu.

- Zajrzałem do mieszkania, ale spałaś.

- Jak się pani miewa, pani Garfield? - zapytał Ted.

- Całkiem nieźle.

Jej oczy wciąż się poruszały jak dwa wahadła. Bobby nie miał pojęcia, czego mama szuka, ale był pewien, że jego twarz wygląda zupełnie normalnie. Gdyby malowały się na niej niepokój albo niepewność, mama natychmiast by to zauważyła.

- Napije się pani lemoniady? Może nie jest najlepsza, ale za to zimna.

- Dziękuję, chętnie. - Liz Garfield weszła do pokoju, usiadła obok syna przy kuchennym stole i odruchowo poklepała go po kolanie, obserwując, jak Ted otwiera lodówkę i wyjmuje butelkę. - Na razie jeszcze nie ma upałów, panie Brattigan, ale jak nadejdą, będzie tu panu gorąco. Radzę od razu kupić wentylator.

- Dobry pomysł.

Ted przelał część zawartości butelki do czystej szklanki, po czym uniósł ją do światła, czekając, aż opadnie piana. W oczach Bobby'ego wyglądał jak naukowiec z telewizyjnej reklamówki, zwariowany typek ogarnięty obsesją porównywania Proszku A z Proszkiem B - jeden z tych, co odkrywają, że Nowy, Doskonały Wyrób działa o 50 procent skuteczniej. Czy to nie zdumiewające?

- Dziękuję, tyle wystarczy - powiedziała z lekkim zniecierpliwieniem. Ted podał jej szklankę, a ona natychmiast podniosła ją do ust. - Na zdrowie.

Pociągnęła łyk i skrzywiła się, jakby w szklance zamiast lemoniady była czysta whiskey. Przez cały czas nie spuszczała wzroku z Teda, który usiadł przy stole, strząsnął popiół i ponownie wetknął papierosa do kącika ust.

- Nie przemęczacie się - zauważyła. - Siedzicie sobie, popijacie lemoniadę, rozmawiacie… Właśnie, o czym rozmawialiście?

- O książce, którą dostałem od pana Brautigana. - Głos Bobby'ego brzmiał czysto i wyraźnie. Był to głos człowieka, który nie ma niczego do ukrycia. - O „Władcy much". Nie byłem pewien, czy zakończenie jest szczęśliwe, czy nie, więc pomyślałem sobie, że go o to zapytam.

- Tak? I co ci powiedział?

- Że można je zrozumieć na dwa sposoby. I żebym się nad tym zastanowił.

Roześmiała się, ale w jej głosie nie sposób było doszukać się choćby śladu wesołości.

- Ja też czytuję kryminały, panie Brattigan, ale zastanawiać wolę się nad tym, co naprawdę spotyka mnie w życiu. Może dlatego, że jeszcze nie jestem na emeryturze?

- Z pewnością - odparł Ted. - Daleko pani do niej.

Posłała mu spojrzenie, które Bobby zdążył już doskonale poznać. Oznaczało tyle co: „Pochlebstwami daleko nie zajedziesz”.

- Zaproponowałem Bobby’emu pracę - dodał Ted. - Zgodził sieją przyjąć, oczywiście pod warunkiem że uzyska pani zgodę.

Na słowo „praca” brwi matki się zmarszczyły, na wzmiankę o konieczności uzyskania jej zgody czoło się wygładziło. W niezwykłym dla niej geście wyciągnęła rękę i musnęła rude włosy syna, ale ani na chwilę nie spuściła czujnego spojrzenia z twarzy Teda. Bobby uświadomił sobie, że choćby nie wiadomo co, jego matka NIGDY nie zaufa temu człowiekowi.

- Jaką pracę ma pan na myśli?

- On chce, żebym…

- Ciii!… - syknęła, wbijając wzrok w siedzącego po drugiej stronie stołu mężczyznę.

Chciałbym, żeby popołudniami czytywał mi gazetę - wyjaśnił Ted, po czym wdał się w szczegółowe wyjaśnienia, jak to jego wzrok nie jest już tak dobry jak dawniej i że niemal z dnia na dzień ma coraz większe problemy z czytaniem drobnego druku, ale mimo to chciałby na bieżąco śledzić wszystkie informacje, bo przecież żyjemy w interesujących czasach, nieprawdaż, a oprócz tego są jeszcze felietony, niektóre może trochę plotkarskie, ale plotki też bywają interesujące, czyż nie tak, proszę pani?

Bobby słuchał w coraz większym napięciu, chociaż zachowanie matki - jej mina, gesty, a nawet sposób, w jaki piła lemoniadę - świadczyło o tym, że wierzy Tedowi. I bardzo dobrze, ale co się stanie, jeśli Ted znowu wpadnie w osłupienie albo zacznie opowiadać o małych ludziach w żółtych płaszczach czy ogonach latawców wiszących na przewodach telefonicznych?

Na szczęście nic takiego się nie stało. Ted zakończył stwierdzeniem, że chciałby też śledzić poczynania Dodgersów, mimo iż przenieśli się do Los Angeles, szczególnie zaś Maury’ego Willisa.

Powiedział to z miną człowieka, który twardo postanowił mówić prawdę, nawet gdyby miało go to ukazać w nie najlepszym świetle. Bobby uznał, że to dobre zagranie.

- W takim razie chyba nie mam nic przeciwko temu - oświadczyła bez entuzjazmu Liz Garfield. - W gruncie rzeczy wygląda całkiem nieźle. Sama nie miałabym nic przeciwko takiej pracy.

- Z pewnością jest pani bardzo dobra w tym, co teraz pani robi.

Posłała mu kolejne spojrzenie z cyklu „Pochlebstwami daleko ze mną nie zajedziesz”.

- Ale za rozwiązywanie krzyżówek będzie pan musiał płacić mu dodatkowo - oświadczyła, podnosząc się z krzesła. Co prawda Bobby nie zrozumiał sensu tej uwagi, zaskoczył go jednak zawarty w niej ładunek okrucieństwa, ukryty niczym ostry kawałek szkła w gęstym syropie. Zupełnie jakby chciała za jednym zamachem zakpić sobie ze słabnącego wzroku Teda i z jego intelektu, a przy okazji ukarać go za to, że był miły dla jej syna. Bobby'emu wciąż było wstyd, że ją oszukał, i nadal lękał się, co się stanie, jeśli mama się o tym dowie, ale teraz ogarnęła go złośliwa satysfakcja; dobrze jej tak, zasłużyła sobie na to! - Bobby świetnie sobie radzi z rozwiązywaniem krzyżówek.

- Nie wątpię - odparł Ted z uśmiechem.

- Chodźmy, Bob. Pan Brattigan na pewno chce teraz odpocząć.

- Ale…

- Myślę, że rzeczywiście trochę teraz odpocznę. Boli mnie głowa. Miło mi, że spodobał ci się „Władca much". Jeśli masz ochotę, możesz zacząć pracę choćby od jutra. Ostrzegam cię jednak, że lektura niedzielnego wydania gazety to trudny sprawdzian.

- W porządku.

Mama była już za drzwiami pokoju Teda. Bobby dołączył do niej szybkim krokiem, ona zaś zatrzymała się i nad jego głową spojrzała na mężczyznę.

- A może robilibyście to na ganku? Świeże powietrze obu wam dobrze zrobi. Poza tym ja też mogłabym trochę posłuchać.

Bobby odniósł wrażenie, że tamci dwoje mówią do siebie coś jeszcze, czego on nie słyszy. Nie była to telepatia… chociaż, w pewnym sensie, można było tak to nazwać. Jedna ze sztuczek, których mnóstwo znają dorośli.

- Dobry pomysł - odparł Ted. - Na ganku będzie nam bardzo miło. Do zobaczenia, Bobby. Do zobaczenia, pani Garfield.

Chłopiec miał już na końcu języka „Na razie, Ted", ale w porę się zreflektował.

- Do widzenia, panie Brautigan.

Odwrócił się i ruszył ku schodom, czując się jak ktoś, kto przed chwilą o mały włos uniknął paskudnego wypadku. Mama jednak wcale się nie spieszyła.

- Od jak dawna jest pan na emeryturze, panie Brattigan? Jeżeli to nie tajemnica, ma się rozumieć.

Bobby zdążył już niemal uwierzyć, że nieumyślnie przekręcała nazwisko nowego lokatora, ale teraz zmienił zdanie. Oczywiście, że robiła to celowo. Oczywiście.

- Od trzech lat.

Zdusił niedopałek papierosa w metalowej popielniczce i natychmiast zapalił kolejnego.

- Czyli ma pan sześćdziesiąt osiem lat?

- Sześćdziesiąt sześć - poprawił ją uprzejmie, lecz mimo to Bobby odniósł wrażenie, że Ted nie jest zachwycony tym przesłuchaniem. - Dostałem zgodę na wcześniejsze przejście na emeryturę ze względów zdrowotnych.

Tylko nie pytaj go, co mu dolega! - jęknął bezgłośnie chłopiec. Nie waż się!

Nie zrobiła tego, zapytała za to, czym zajmował się w Hartford.

- Byłem księgowym w biurze głównego rewidenta.

- Wydawało nam się, że miał pan coś wspólnego z oświatą… Księgowym? To bardzo odpowiedzialna praca.

Ted uśmiechnął się. Bobby z każdą chwilą czuł się coraz paskudniej.

- Podczas dwudziestu lat pracy zużyłem trzy maszynki do liczenia. Nie wiem, czy mogę czuć się odpowiedzialny za cokolwiek ponadto. Szczerze mówiąc, przez cały czas czułem się jak ramię gramofonu.

- Nie rozumiem…

- Wykonywałem wciąż te same czynności, nie do końca wiedząc, czemu służą, i raczej nie mogłem liczyć na to, żeby ktoś mnie rzeczywiście docenił.

- Może sprawy wyglądałyby inaczej, gdyby miał pan dziecko, któremu musiałby pan zapewnić dach nad głową, ubranie, jedzenie i opiekę.

Spoglądała na niego wyzywająco z lekko uniesioną głową, w razie jakichkolwiek Oznak sprzeciwu gotowa podjąć dyskusję i prowadzić ją aż do zwycięskiego końca. Jednak, ku ogromnej uldze Bobby'ego, Ted nie podjął wyzwania.

- Ma pani rację. Całkowitą rację.

Zaczekała jeszcze chwilę na wypadek, gdyby się jednak rozmyślił i zapragnął stanąć z nią na ubitej ziemi, po czym uśmiechnęła się triumfalnie. Bobby wciąż ją kochał, ale w tej chwili miał mamy serdecznie dosyć, a raczej nie tyle jej, ile świadomości, że zna każdy gest, że niemal w każdej sytuacji potrafi przewidzieć, jak się zachowa, że potrafi z łatwością przewidzieć bieg jej myśli.

- Dziękuję za lemoniadę, panie Brattigan. Była bardzo smaczna.

Dopiero teraz wzięła syna za rękę i ruszyła w dół po schodach. Jak tylko dotarli do podestu na pierwszym piętrze, cofnęła rękę i wysforowała się przed chłopca.

Bobby spodziewał się dyskusji podczas kolacji, tym razem jednak się pomylił. Mama była milcząca, jakby nieobecna myślami. Musiał dwa razy prosić ją o dokładkę pieczeni, a kiedy później, już podczas oglądania telewizji, zadzwonił telefon, poderwała się jak ukłuta nożem i pobiegła do aparatu. Słuchała przez chwilę, powiedziała kilka słów, po czym odłożyła słuchawkę i wróciła na kanapę.

- Kto to był? - zapytał Bobby.

- Pomyłka - odparła Liz Garfield.

Bobby Garfield był jeszcze w tym wieku, kiedy na sen czeka się z dziecięcą ufnością: na wznak, z szeroko rozłożonymi nogami i rękami wetkniętymi pod poduszkę w taki sposób, że łokcie sterczą w górę i na boki. Wieczorem tego dnia, kiedy Ted opowiedział mu o małych ludziach w żółtych płaszczach (i wielkich, rzucających się w oczy samochodach), Bobby leżał w łóżku właśnie w takiej pozycji, przykryty do pasa kołdrą. Na jego wąską, dziecięcą pierś spływał blask księżyca podzielony na cztery części przez okienne ramy.

Gdyby się nad tym zastanawiał, zapewne oczekiwałby, że zaraz po zapadnięciu zmroku mali ludzie Teda przybiorą bardziej realne kształty - szczególnie kiedy będzie sam w pokoju, mając do towarzystwa jedynie tykanie nakręcanego Big Bena i sączący się z sąsiedniego pokoju szmer telewizyjnych wiadomości. Do tej pory zawsze tak bywało: w dzień łatwo było śmiać się z Frankensteina i wykrzykiwać różne głupoty podczas seansu w kinie, szczególnie jeśli miało się wsparcie w postaci Smutnego Johna. Jednak po ciemku, w samotności, potwór stworzony przez doktora Frankensteina stawał się może nie bardziej realny, ale na pewno bardziej… prawdopodobny.

Z małymi ludźmi Teda sprawy miały się zupełnie inaczej. Pomysł, żeby porozumiewać się za pomocą ogłoszeń o zaginionych zwierzętach, po ciemku wydawał się jeszcze bardziej szalony - ale raczej w nieszkodliwy sposób. Bobby wcale nie uważał, że Ted ma autentycznego, groźnego świra; raczej cierpiał na chorobę zwaną nadmiarem wolnego czasu i najwyraźniej nie miał pomysłu, co z tym czasem robić. Był trochę… trochę… O rety, jaki? Bobby nie potrafił znaleźć właściwego określenia. Gdyby znał słowo „ekscentryczny”, z pewnością użyłby go bez wahania.

Ale on przecież czytał w moich myślach!

Nieprawda, pomyliło mu się, to wszystko wina wyobraźni. A nawet jeśli naprawdę tak się zdarzyło, to widocznie Ted wykorzystał jakieś nieciekawe „dorosłe" zdolności parapsychiczne, żeby zetrzeć mu z twarzy wypisaną na niej winę, tak jak wilgotną gąbką ściera się z tablicy napisane kredą litery. Do tej pory zdarzało się to niekiedy czynić mamie.

Przynajmniej do dzisiaj.

Ale…

Bez żadnych „ale". Ted był miłym człowiekiem, który mnóstwo wiedział o książkach, a nie żadnym telepatą. Taki z niego telepata jak ze Smutnego Johna magik.

- Wszystko to zawracanie głowy - mruknął Bobby.

Wysunął ręce spod głowy, wyciągnął je przed siebie, skrzyżował nadgarstki i płynnie poruszył dłońmi. Przez poczwórną plamę księżycowego blasku na jego piersi przesunął się cień lecącej gołębicy.

Chłopiec uśmiechnął się, zamknął oczy i zasnął.

Nazajutrz rano siedział na ganku i czytał na głos fragmenty niedzielnego wydania „Journala". Ted przysiadł na balustradzie i słuchał w milczeniu, paląc chesterfieldy. Za nim, po lewej stronie, w otwartym na oścież oknie bawialni Garfieldów trzepotały zasłony. Bobby wyobraził sobie mamę siedzącą w fotelu tam, gdzie światło jest najlepsze, z koszyczkiem z przyborami do szycia u boku, przysłuchującą się i plisującą spódnice (plisowane spódnice raz są modne, a raz nie, powiedziała mu z goryczą, a wszystko zależy od gromady ważniaków w Londynie i Nowym Jorku, a ty człowieku nic tylko siedź i szyj, i dlaczego właściwie ja się tym przejmuję?). Oczywiście nie miał pojęcia, czy ona naprawdę tam siedzi, bo przecież powiewające zasłony niczego jeszcze nie oznaczały, ale wyobraźnia pracowała. Nieco później, kiedy był już starszy, uświadomił sobie, że zawsze wyobrażał ją sobie w miejscach, do których nie mógł sięgnąć wzrokiem: za drzwiami, w głębokim cieniu, zaraz za zakrętem schodów… Zawsze wydawało mu się, że tam na niego czeka.

Informacje sportowe były interesujące (Maury Wills szalał na boisku), felietony mniej, z artykułów zaś wręcz wiało nudą, a na dodatek wypełniały je niezrozumiałe wyrażenia, takie jak „koniec roku fiskalnego" albo „wskaźniki ekonomiczne sugerujące zbliżającą się recesję". Mimo to Bobby czytał je wszystkie z przyjemnością - przecież to jego praca, wykonując ją, zarabia pieniądze, a praca wszakże dość często bywa nudna. „Musimy zarobić na twoje płatki

kukurydziane” - mawiała niekiedy mama, kiedy zostawała dłużej w biurze pana Bidermana. Bobby był dumny, że w ogóle potrafi wymówić coś takiego jak „wskaźniki ekonomiczne sugerujące zbliżającą się recesję”. Poza tym jego drugie, tajne zajęcie wynikało bezpośrednio ze zwariowanych podejrzeń Teda, że śledzą go jacyś dziwni ludzie; gdyby chłopiec brał pieniądze tylko za to, czułby się tak, jakby oszukiwał swego pracodawcę, choć przecież inicjatywa wyszła nie od kogo innego jak właśnie od Teda.

Tak czy inaczej podjął się również tego zadania i zaczął je wykonywać w niedzielne popołudnie. W czasie kiedy mama ucięła sobie drzemkę, obszedł najbliższą okolicę, rozglądając się w poszukiwaniu małych ludzi w żółtych płaszczach lub śladów świadczących o ich obecności. Widział mnóstwo interesujących rzeczy: na Colony Street kobieta kłóciła się zażarcie z mężem - stali twarzą w twarz niczym bokserzy przed walką; na Asher Avenue jakiś dzieciak pracowicie rozpłaszczał kapsle od butelek okopconym kamieniem; przy sklepie na rogu Commonwealth i Broad Street całowała się namiętnie jakaś para; ulicą jechała furgonetka dostawcza z intrygującym sloganem na plandece: JEDNO YUMMY I JUŻ MASZ TUMMY… nigdzie jednak nie dostrzegł ani śladu żółtych płaszczy, żadnych ogłoszeń o zaginionych zwierzakach, ani jednego ogona latawca zwisającego z drutów telefonicznych.

Zaszedł do Spicera po gumę do żucia i uważnie przyjrzał się tablicy ogłoszeń, na której dominowały fotografie kandydatek do tytułu tegorocznej miss. Znalazł dwa ogłoszenia o sprzedaży samochodów, oba jednak wisiały we właściwy sposób, oraz jedno o następującej treści: SPRZEDAM BASEN W DOBRYM STANIE, DOSKONAŁY DLA DZIECI. Było mocno przekrzywione, ale po namyśle uznał, że to się nie liczy.

Na Asher Avenue ujrzał ogromnego buicka zaparkowanego przy hydrancie, lecz samochód był koloru butelkowo-zielonego, czyli raczej nie dałoby się uznać go za krzykliwy i wyzywający - mimo dodatkowych wlotów powietrza na masce i wielkiej, szczerzącej chromowane zęby osłony chłodnicy.

W poniedziałek kontynuował poszukiwania w drodze do i ze szkoły. Nie zauważył nic podejrzanego, ale Carol Gerber, która towarzyszyła mu wraz ze Smutnym Johnem, zwróciła uwagę na to, że Bobby rozgląda się bardziej niż zwykle. Mama miała rację: Carol była bardzo bystra.

- Chowasz jakieś tajne plany przed komunistycznymi szpiegami? - zapytała.

- Że co?

- Tak kręcisz głową, że jeszcze chwila i ci odpadnie.

Bobby miał wielką ochotę opowiedzieć przyjaciołom o zadaniu, które zlecił mu Ted, ale po krótkim namyśle doszedł do wniosku, że to niezbyt dobry pomysł. Co innego, gdyby wierzył w istnienie tego, czego szukał - co trzy pary oczu to niejedna - ale przecież tak nie było. Carol i Smutny John wiedzieli, że podjął pracę polegającą na czytaniu Tedowi gazet, i tyle powinno im wystarczyć. Gdyby powiedział im o małych ludziach w żółtych płaszczach, wyglądałoby na to, że naigrawa się z Teda. Czułby się jak zdrajca.

- Komunistyczni szpiedzy? - podchwycił Smutny John, rozglądając się ukradkiem dookoła. - Tak, widzę ich, widzę! - Zaterkotał jak pistolet maszynowy (ostatnio był to jego ulubiony odgłos), zatoczył się, wypuścił z rąk niewidoczną broń i przycisnął ręce do piersi. -

Trafili mnie! Koniec ze mną! Uciekajcie sami! Powiedzcie Rose, że ją kocham…

Carol dała mu sójkę w bok.

- Powiemy jej, że masz ją w nosie!

- Po prostu sprawdzam, czy nie widać tych z Gabriela - wyjaśnił Bobby.

Brzmiało to całkiem prawdopodobnie, chłopcy ze szkoły średniej Świętego Gabriela przy każdej okazji dokuczali dzieciakom ze szkoły podstawowej Harwich: a to przemykali niebezpiecznie blisko nich na rowerach, to znów wyzywali chłopców od mazgajów, a dziewczynki od puszczalskich - **B**obby podejrzewał, iż chcieli przez to dać do zrozumienia, że dziewczyny całują się z języczkiem i pozwalają obmacywać się po piersiach.

- Te palanty siedzą jeszcze w domach - doszedł do wniosku Smutny John. - Czy ty wiesz, ile trzeba czasu, żeby zrobić sobie fryzurę jak Bobby Rydell?

- Nie wyrażaj się! - upomniała go Carol, częstując go kolejnym kuksańcem.

- Wcale się nie wyrażam.

- Właśnie że tak.

- Nie!

- Oczywiście że tak. Powiedziałeś o nich „palanty”.

- A od kiedy niby to jest brzydki wyraz?

Smutny John spojrzał błagalnie na Bobby’ego, prosząc o pomoc, ale Bobby właśnie śledził wzrokiem wielkiego cadillaca, który majestatycznie sunął Asher Avenue. Ten samochód z pewnością był duży i rzucał się w oczy… ale takie przecież są wszystkie cadillaki. Jasnobrązowy lakier nie wywoływał żadnych niemiłych skojarzeń. Poza tym za kierownicą siedziała kobieta.

- Tak? No to powiedz tak przy swoich rodzicach, a sam się przekonasz!

- Powinienem spuścić ci lanie - odparł Smutny John przyjaznym tonem. - Pokazać ci, kto tu jest szefem. Ja Tarzan, ty Jane.

- Ja Carol, ty małpa. Trzymaj. - Wcisnęła mu w objęcia trzy opasłe książki. - Za karę będziesz je teraz niósł.

Smutny John zrobił jeszcze bardziej ponurą minę niż zwykle.

- Dlaczego niby miałbym nosić twoje głupie książki, nawet gdybym się wyrażał, chociaż wcale tak nie było?

- To są konsekwencje.

- Jakie znowu konsekwencje? Co to znaczy?

- To znaczy, że jak coś zrobisz niedobrze, to potem musisz za to zapłacić. Tak mi powiedział jeden z tych z Gabriela. Ma na imię Willy.

- Nie powinnaś się z nimi zadawać - powiedział Bobby. - To paskudne typki.

Przekonał się o tym na własnej skórze. Zaraz po feriach zimowych trzej chłopcy z Gabriela gonili go przez całą Broad Street, ponieważ, ich zdaniem, „krzywo na nich spojrzał". Z pewnością spuściliby mu tęgie lanie, gdyby nie to, że jeden z nich poślizgnął się na śniegowej brei i upadł, podcinając dwóch pozostałych, dzięki czemu Bobby zdążył dopaść drzwi domu, wślizgnąć się do środka, zatrzasnąć je i zamknąć na klucz. Prześladowcy kręcili się jakiś czas wokół domu, po czym odeszli, obiecując, że „jeszcze się z nim policzą".

- Nie wszyscy, niektórzy są w porządku - odparła Carol.

Zerknęła ukradkiem na Smutnego Johna dźwigającego jej książki i zasłoniła usta dłonią, by ukryć uśmiech. Można było skłonić go prawie do wszystkiego, wystarczyło tylko mówić szybko i być pewnym siebie. Oczywiście byłoby jej znacznie przyjemniej, gdyby to Bobby niósł teraz jej podręczniki, ale z Bobbym sprawy miały się zupełnie inaczej. Nie pozostawało jej nic innego, jak czekać, aż sam to zaproponuje. Cechował ją optymizm, więc nie miała wątpliwości, że ta chwila kiedyś nastąpi, tymczasem zaś miło było tak sobie iść z dwoma kolegami. Spojrzała spod oka na Bobby'ego, który z uwagą przyglądał się narysowanym na chodniku polom do gry w klasy. Był wdechowy, chociaż zupełnie nie zdawał sobie z tego sprawy. I chyba to właśnie było w nim najbardziej wdechowe…

Ostatni tydzień szkoły minął tak jak co roku, czyli przerażająco, wręcz koszmarnie powoli. Bobby byłby gotów przysiąc, iż smród pasty w bibliotece stał się tak intensywny, że

mdłości mogłyby chwycić nawet skunksa, a lekcja geografii trwa dziesięć tysięcy lat. Kogo obchodzi, ile jest rudy cynku w Paragwaju?

Na przerwie Carol mówiła tylko o swoim wyjeździe do Pensylwanii, na farmę ciotki Cory i wujka Raya. Wybierała się tam na tydzień w lipcu. Smutny John z kolei rozwodził się na temat swojego obozu i tego, jak będzie strzelał z łuku do tarczy i codziennie pływał w canoe po jeziorze. Bobby zrewanżował im się najświeższymi informacjami o wielkim Maurym Willsie oraz o rekordzie, który Maury być może ustanowi w tym sezonie, a który z pewnością przetrwa kilkadziesiąt lat.

Mama stawała się coraz bardziej nerwowa. Za każdym razem, kiedy zadzwonił telefon, podrywała się jak ukłuta nożem i biegła co sił w nogach do aparatu. Coraz później kładła się spać i prawie zupełnie straciła apetyt. Od czasu do czasu prowadziła przez telefon długie rozmowy - odwracała się wtedy twarzą do ściany i mówiła przyciszonym głosem, chociaż Bobby'emu nawet nie przyszłoby do głowy podsłuchiwać. Kiedy indziej znów podnosiła słuchawkę, zaczynała wykręcać numer, po czym nagle rozmyślała się, odkładała słuchawkę na widełki i wracała przed telewizor.

Za którymś razem Bobby nie wytrzymał i zapytał ją, czy zapomniała numeru.

- Wygląda na to, że zapomniałam mnóstwa rzeczy - wymamrotała. - Pilnuj swojego nosa, mądralo.

Zauważyłby pewnie znacznie więcej i martwiłby się jeszcze bardziej (mama chudła w oczach i zaczęła coraz częściej sięgać po papierosy, choć dwa lata temu udało jej się prawie rzucić palenie), gdyby nie to, że miał głowę zaprzątniętą innymi rzeczami. Pierwszą i najważniejszą była dorosła karta biblioteczna; za każdym razem, kiedy z niej korzystał, coraz wyżej ją cenił. Miał wrażenie, że w dorosłej części biblioteki jest co najmniej milion książek science fiction, które chciałby przeczytać. Weźmy na przykład Isaaca Asimova: pod pseudonimem Paul French pisywał doskonałe powieści dla młodzieży o kosmicznym pilocie Lucky Starze, pod własnym nazwiskiem napisał jeszcze więcej książek, nawet lepszych. Co najmniej trzy z nich były o robotach. Bobby uwielbiał roboty - Robby Robot z „Zakazanej planety" był jego ulubionym bohaterem filmowym, roboty Asimova prawie w niczym mu nie ustępowały. Zanosiło się na to, że w nadchodzących miesiącach Bobby spędzi sporo czasu w ich towarzystwie. (Co prawda Smutny John powtarzał, że jego zdaniem Isaac Asimov powinien

raczej pisać pod pseudonimem „A-nic-nie-mów”, ale oczywiście Smutny John nic nie wiedział o książkach).

W drodze do szkoły szukał małych ludzi w żółtych płaszczach lub przynajmniej śladów świadczących o ich obecności. Ponieważ do biblioteki szło się w przeciwnym kierunku, swoimi poszukiwaniami objął znaczną część Harwich. Oczywiście nie liczył na to, że kiedykolwiek zobaczy jakichś małych ludzi w żółtych płaszczach. Po kolacji, w przygasającym blasku dnia, czytał Tedowi gazetę - albo na ganku, albo u Teda w kuchni. Nowy lokator poszedł za radą Liz Garfield i kupił sobie wentylator, mama zaś nie upierała się już, żeby wieczorne seanse czytania koniecznie odbywały się na ganku. Częściowo wynikało to z jej rosnącego zaangażowania we własne, tajemnicze sprawy, ale Bobby nie tracił nadziei, iż być może pomału zaczynała ufać jego przyjacielowi. Oczywiście zaufania nie należało mylić z sympatią, a postęp dokonywał się powoli i nie bez przeszkód.

Któregoś wieczoru, kiedy siedzieli razem na kanapie i oglądali „Wyatta Earpa”, mama gwałtownie odwróciła się do niego i zapytała:

- Czy on cię dotyka?

Bobby zrozumiał pytanie, nie miał natomiast pojęcia, skąd wzięła się napastliwość.

- Pewnie, że tak. Czasem poklepuje mnie po ramieniu, a raz, kiedy utknąłem na szczególnie trudnym słowie, dla żartów natarł mi uszu, ale to wszystko. Chyba jest za słaby, żeby spróbować czegoś więcej. A dlaczego pytasz?

- Mniejsza o to - odparła. - Chyba jest w porządku. Co prawda chodzi z głową w chmurach, to nie ulega wątpliwości, ale nie wygląda na…

Zawiesiła głos, odprowadzając wzrokiem wspinające się powoli ku sufitowi smużki papierosowego dymu. Dym rzedł coraz bardziej, aż wreszcie zupełnie rozmył się w powietrzu; ten widok przywiódł Bobby’emu na myśl jedną z postaci z „Pierścienia wokół Słońca” Simaka, która właśnie w taki sposób przenosiła się do innych światów.

Mama wreszcie się ocknęła.

- Jeżeli kiedykolwiek dotknie cię tak, że ci się to nie spodoba, natychmiast mi o tym powiedz. Rozumiesz?

- Jasne.

Miała taką samą minę jak wtedy, kiedy zapytał ją, skąd kobieta wie, że będzie miała dziecko. „Każda kobieta krwawi co miesiąc - powiedziała mu wówczas - a jeśli krwawienie się

nie pojawia, to dlatego że cała krew idzie dla dziecka". Otwierał już usta, by spytać, co się dzieje z tą krwią, kiedy jeszcze nie ma dziecka, które by ją zatrzymało (pamiętał, jak raz mamie leciała krew z nosa, ale czy to właśnie o to chodziło?), lecz ujrzawszy wyraz jej twarzy pospiesznie zmienił temat. Teraz miała identyczny.

W rzeczywistości Ted dotykał go również przy innych okazjach: czasem przesuwał ręką po jego krótko ostrzyżonych włosach, kiedy indziej żartobliwie chwytał go za nos, a kiedy zdarzyło im się jednocześnie odezwać, zahaczał małym palcem o mały palec chłopca i mówił „Raz, dwa, trzy, moje szczęście". Bobby szybko przejął od niego ten zwyczaj.

Chłopiec tylko raz poczuł się trochę nieswojo. Właśnie skończył czytać jakiś artykuł, którego autor rozwodził się szeroko nad tym, jakoby lekarstwem na problemy Kuby była stara, zdrowa amerykańska gospodarka wolnorynkowa. Powoli zapadał zmierzch. Na Colony Street pies pani O'Hara ujadał bezustannie, ale jego szczekanie brzmiało jakoś tak refleksyjnie i sennie, bardziej jak wspomnienie niż jak coś dziejącego się tu i teraz.

- Chyba pójdę rozejrzeć się po okolicy – powiedział Bobby, składając gazetę i podnosząc się z miejsca. Chciał, by Ted wiedział, że pamięta o zobowiązaniu i wciąż szuka małych ludzi w żółtych płaszczach.

Ted również wstał i podszedł do niego. Bobby ze smutkiem zobaczył lęk na twarzy mężczyzny. Nie chciał, żeby Ted zbyt mocno wierzył w małych ludzi w żółtych płaszczach; nie chciał, żeby Ted był zbyt szalony.

- Wróć przed nocą, Bobby. Nigdy bym sobie nie darował, gdyby coś ci się stało.

- Będę ostrożny. I na pewno wrócę przed nocą.

Ted przyklęknął na jedno kolano - przypuszczalnie był zbyt stary, żeby się po prostu schylić - położył chłopcu ręce na ramionach i przyciągnął go tak blisko, że prawie stykali się czołami. Bobby czuł woń papierosów i zapach płynu, którym Ted nacierał obolałe stawy. Ostatnio dokuczały mu nawet przy dobrej pogodzie.

Bobby nie bał się tej bliskości, ale nie czuł się zbyt pewnie. Teraz widział ponad wszelką wątpliwość, że nawet jeśli Ted nie był jeszcze zupełnie stary, to wkrótce taki będzie. Stary i chory. Miał wyblakłe oczy, kąciki ust drżały mu lekko. Niedobrze, że musi zupełnie sam mieszkać w tym pokoiku na drugim piętrze, pomyślał Bobby. Gdyby miał żonę albo kogoś w tym rodzaju, może nie ubzdurałby sobie tych małych ludzi. Chociaż, gdyby miał żonę, Bobby

przypuszczalnie nigdy nie zetknąłby się z „Władcą much”. Może niełądnie było tak myśleć, ale chłopiec nic nie mógł na to poradzić.

- Na razie ani śladu?

Bobby pokręcił głową.

- I niczego tutaj nie czujesz? - Prawą ręką postukał się w skroń, na której lekko pulsowały niebieskie żyły. Bobby pokręcił głową. - Ani tutaj? - Dotknął palcem kącika oka. - **B**obby ponownie pokręcił głową. - Ani tutaj? - Położył rękę na żołądku. Bobby pokręcił głową po raz trzeci.

- W porządku. - Ted z uśmiechem złączył obie dłonie na karku chłopca i spojrzał mu głęboko w oczy. Bobby odwzajemnił się równie głębokim spojrzeniem. - Powiesz mi, kiedy coś poczujesz, prawda? Nie będziesz się starał… bo ja wiem?… oszczędzać moich uczuć?

- Nie będę. - Bobby’emu było równocześnie przyjemnie i nieprzyjemnie czuć ręce mężczyzny na karku. Tak zachowywali się bohaterowie filmów, kiedy szykowali się do pocałowania dziewczyny. - Powiem ci od razu, bo na tym polega moja praca.

Ted skinął głową, powoli rozplótł palce, opuścił ręce i wstał z wysiłkiem, opierając się o stół. Coś głośno strzeliło mu w kolanie.

- Wiem, dobry z ciebie dzieciak. W porządku, idź na obchód, ale uważaj przy przechodzeniu przez jezdnię i wróć przed zmrokiem. Musisz być bardzo ostrożny.

- Dobrze, będę.

Ruszył w dół po schodach.

- A jeśli ich zobaczysz…

- Wezmę nogi za pas.

- Właśnie. Jakby goniło cię sto diabłów.

A więc może jednak obawy matki nie były całkiem nieuzasadnione: może dotykania było trochę za wiele i może było odrobinę niebezpieczne. Nawet jeśli nie w tym sensie, o jaki jej chodziło.

W ostatnią środę przed końcem szkoły Bobby zauważył czerwoną taśmę powiewającą na czyjejś antenie telewizyjnej przy Colony Street. Nie miał stuprocentowej pewności, ale taśma, czy też wstęga, bardzo przypominała ogon latawca.

Stanął jak wryty; serce waliło mu w takim tempie jak wtedy, kiedy ścigał się ze Smutnym Johnem ze szkoły do domu.

To zbieg okoliczności, pomyślał rozpaczliwie. Nawet jeżeli to jest naprawdę ogon latawca, to tylko zbieg okoliczności. Nic więcej. Wiesz o tym, prawda?

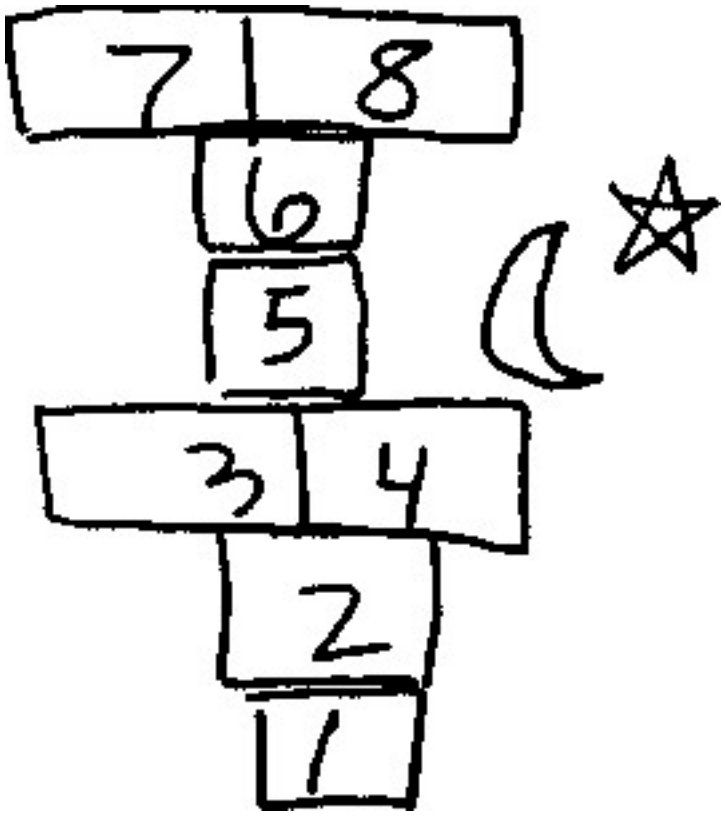

Może i wiedział. W każdym razie do piątku, kiedy wreszcie skończyły się zajęcia w szkole, prawie zdołał w to uwierzyć. Wracał samotnie do domu, ponieważ Smutny John zgłosił się na ochotnika do pomocy przy układaniu książek w magazynie, a Carol od razu poszła na przyjęcie urodzinowe do Tiny Lebel. Właśnie zamierzał przejść przez Asher Avenue i skręcić w Broad Street, kiedy dostrzegł na chodniku narysowane fioletową kredą pola do gry w klasy. Wyglądały tak:

- Boże, nie… - wyszeptał Bobby. - To niemożliwe…

Nie zważając na mijające go dzieci - niektóre pieszo, inne na rowerach, kilkoro na wrotkach, szczerzący się Francis Utterson na przerdzewiałym czerwonym skuterze (trąbił i śmiał się wniebogłosy) przyklęknął na jedno kolano niczym zwiadowca oddziału kawalerii z klasycznego westernu. Oni również nie zwracali na niego uwagi, oszołomieni świadomością, że oto wreszcie zaczęły się upragnione wakacje.

- To niemożliwe… - powtarzał. - Nie wierzę, to na pewno jakiś żart…

Jak we śnie wyciągnął rękę ku gwieździe i półksiężycowi - nie były fioletowe, tylko żółte - lecz zanim ich dotknął, pospiesznie się wycofał. Kawałek czerwonej taśmy na antenie telewizyjnej niczego jeszcze nie oznaczał, ale w połączeniu z tym… Bobby nie miał pojęcia, co myśleć. Przecież miał dopiero jedenaście lat i nie wiedział miliarda różnych rzeczy, obawiał się jednak… Obawiał się, że…

Wstał, wyprostował się i rozejrzał dookoła. Podświadomie spodziewał się ujrzeć całą kawalkadę ogromnych pomalowanych na jaskrawe barwy pojazdów zbliżających się Asher Avenue w tempie konduktu pogrzebowego, z włączonymi światłami, chociaż to był środek dnia. Był niemal pewien, że pod markizami przed wejściem do kina zobaczy co najmniej kilku małych ludzi w żółtych płaszczach, palących camele i obserwujących go czujnie.

Ani śladu samochodów, ani śladu żółtych płaszczy. Tylko gromada dzieciaków wracających do domu ze szkoły. Pojawiło się nawet kilkoro z Gabriela - od razu rzucali się w oczy w tych swoich zielonych spodniach i spódniczkach.

Bobby cofnął się o trzy przecznice, zbyt wstrząśnięty tym, co zobaczył na chodniku, żeby się przejmować konsekwencjami ewentualnego spotkania z agresywnymi osiłkami. Na słupach wzdłuż ulicy wisiały tylko plakaty zachęcające do udziału w szkolnej loterii dobroczynnej oraz koncercie rockandrollowym w Hartford, z Clyde'em McPhatterem i Dwayne'em Eddym w rolach głównych.

Kiedy dotarł do siedziby Asher Avenue News, był już prawie przekonany, że zareagował zbyt nerwowo. Jednak na wszelki wypadek uważnie przyjrzał się wiszącej tam tablicy ogłoszeń, potem zaś skręcił w Broad Street i dotarł aż do Spicer's Variety, gdzie kupił sobie kolejną gumę do żucia i obejrzał również tamtejszą tablicę z ogłoszeniami. Nie znalazł niczego podejrzanego - znikło tylko ogłoszenie o basenie, ale co z tego? Widocznie właściciel znalazł nabywcę. Chyba po to właśnie wywieszał ogłoszenie, prawda?

Bobby wyszedł ze sklepu, zatrzymał się na rogu i żując gumę, zastanawiał się, co dalej.

Dorosłość osiąga się stopniowo, trudnymi do przewidzenia zrywami i skokami nierównej długości. W dniu, kiedy Bobby Garfield skończył szóstą klasę, podjął pierwszą w pełni dorosłą decyzję w życiu: uznał, iż nie powinien mówić Tedowi o swoich odkryciach.

Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Co prawda jego przekonanie o tym, iż mali ludzie w żółtych płaszczach stanowią jedynie wytwór wyobraźni Teda, zostało poważnie nadwątlone, to jednak nie zamierzał tak łatwo z niego

rezygnować. W każdym razie nie na podstawie dowodów, które zdołał zebrać do tej pory. Kto wie, czy gdyby powiedział Tedowi o swoich odkryciach, ten nie wrzuciłby rzeczy do walizek (i do paru papierowych toreb na zakupy wetkniętych chwilowo za lodówkę) i zniknął. Jeżeli rzeczywiście ktoś go prześladował, takie zachowanie byłoby oczywiście całkowicie uzasadnione, Bobby jednak nie chciał tak łatwo stracić swojego jedynego dorosłego przyjaciela. Postanowił więc czekać, co się wydarzy.

Wieczorem tego samego dnia poznał jeszcze jeden aspekt dorosłości: leżał z szeroko otwartymi oczami do drugiej w nocy, wpatrywał się w sufit i zastanawiał, czy podjął właściwą decyzję.

4

Ted traci kontakt z rzeczywistością.

Bobby idzie na plażę. McQuown.

Przebłysk.

Dzień po zakończeniu roku szkolnego mama Carol Gerber zapakowała dzieciaki do swojego forda kombi i zawiozła je do Savin Rock, położonego nad samym morzem wesołego miasteczka trzydzieści kilometrów od Harwich. Anita Gerber robiła to niezmiennie od trzech lat, czyli - przynajmniej zdaniem Bobby'ego, Smutnego Johna, Carol, jej młodszego brata oraz przyjaciółek: Yvonne, Angie i Tiny, niemal od zawsze. Ani Smutny John, ani Bobby nigdy w życiu nie wybraliby się w pojedynkę na taką wyprawę z dziewczętami, ale razem to zupełnie co innego, nie wspominając już o tym, iż Savin Rock miało ogromną siłę przyciągania. Co prawda było jeszcze za chłodno, żeby odważyć się na cokolwiek więcej niż brodzenie w oceanie, ale przecież zawsze można powygłupiać się na plaży, nie wspominając już o atrakcjach czekających w wesołym miasteczku. Przed rokiem Smutny John potrzebował zaledwie trzech rzutów piłką baseballową, żeby zburzyć piramidę drewnianych butelek do mleka; w nagrodę dostał ogromnego różowego misia, który do dzisiaj w domu Sullivanów zajmował honorowe miejsce na telewizorze. Smutny John zamierzał w tym roku powtórzyć swój wyczyn.

Dla Bobby'ego już sama możliwość wyrwania się choć na chwilę z Harwich była nie lada atrakcją. Co prawda od czasu, kiedy natknął się na gwiazdę i półksiężyc narysowane obok pól do gry w klasy, nie dostrzegł niczego podejrzanego, ale podczas lektury sobotniej gazety Ted nieźle go przestraszył, a krótko potem doszło do awantury z mamą.

Cała historia z Tedem zaczęła się wtedy, kiedy Bobby mu przeczytał wypowiedź jakiegoś dziennikarza natrząsającego się z opinii, jakoby Mickey Mantle miał realne szanse na poprawienie najlepszego wyniku Babe'a Rutha. Autor twierdził, iż jest to niemożliwe, ponieważ Mantle'owi brakuje nie tylko wytrzymałości, ale i zaangażowania.

- „Przede wszystkim coś jest nie w porządku z jego charakterem - czytał na głos. - Tak zwany Mick zanadto lubi wyprawy do nocnych klubów, żeby…".

Ted znowu stracił kontakt z rzeczywistością. Bobby wiedział o tym, wyczuł to w jakiś sposób, zanim jeszcze oderwał wzrok od gazety. Ted patrzył tępo przez okno w kierunku Coloby

Street, skąd dobiegało bezustanne ujadanie psa pani O'Hara. Zdarzyło mu się to już po raz drugi tego ranka, ale poprzednio ten stan trwał zaledwie kilka sekund (otworzył lodówkę, schylił się, zamarł z szeroko otwartymi oczami, otrząsnął się, jakby wyszedł z wody, i sięgnął po sok pomarańczowy). Tym razem przepadł z kretesem. Bobby głośno zaszeleścił gazetą w nadziei, że w ten sposób go obudzi, ale nie dało to żadnego rezultatu.

- Ted? Wszystko w po…

Spostrzegł z przerażeniem, że coś dziwnego stało się ze źrenicami mężczyzny: to powiększały się, to znów zmniejszały do mikroskopijnych rozmiarów, zupełnie jakby Ted na zmianę zanurzał się i wyłaniał z jakiejś smoliście czarnej otchłani, choć przecież przez cały czas siedział nieruchomo przy oknie w promieniach słońca.

- Ted?…

Z żarzącego się papierosa, który leżał w popielniczce, został jedynie słupek popiołu. A więc Ted „odszedł" już jakiś czas temu. Źrenice wciąż rozszerzały się i zwężały, rozszerzały i zwężały…

On ma atak padaczki albo coś w tym rodzaju. Boże, żeby tylko nie połknął własnego języka…

Język Teda chyba był na swoim miejscu, ale jego oczy…

- Ted, obudź się! Obudź się, proszę!

Prawie nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Bobby przebiegł na drugą stronę stołu, chwycił Teda za ramiona i potrząsnął. Miał wrażenie, że potrząsa drewnianym klocem.

- Obudź się! Obudź!

- Teraz ciągną na zachód - przemówił Ted, wciąż wpatrując się w okno przedziwnymi oczami. - To dobrze, ale wkrótce mogą wrócić.

Przerażony i zdezorientowany Bobby znieruchomiał z palcami zaciśniętymi na ramionach mężczyzny.

- Ted, co się stało?

- Muszę być cicho. Jak mysz pod miotłą. Może mnie nie zauważą. Może będzie woda, jeśli Bóg pozwoli, i mnie nie zauważą. Wszystko służy…

- Komu? - Prawie szeptem. - Komu wszystko służy, Ted?

- Wszystko służy Promieniowi.

Nagle lodowato zimne ręce Teda zacisnęły się na dłoniach chłopca. Bobby'ego ogarnęła fala paraliżującego, koszmarnego przerażenia; przez chwilę wydawało mu się, że schwytał go trup, który z niewiadomych powodów zachował zdolność poruszania rękami i źrenicami oczu pozbawionych wyrazu.

A potem Ted spojrzał na niego oczami, które już nie były bez wyrazu, tylko wystraszone.

- Bobby…

Chłopiec uwolnił ręce i zarzucił je mężczyźnie na szyję. Ted objął go mocno - w tej samej chwili Bobby usłyszał w głowie głośny i wyraźny dźwięk dzwonu. Odgłos przesuwał się szybko, jakby dzwon pędził z dużą prędkością przez jego głowę, a towarzyszył mu tętent kopyt na jakiejś twardej nawierzchni. Na drewnie? Nie, raczej na metalu. Zapachniało kurzem, poczuł, że oczy go swędzą.

- Ciii! - Oddech Teda w jego uchu był równie suchy jak zapach kurzu… i bardzo intymny. Dłonie mężczyzny znowu powędrowały na kark chłopca, zsunęły się na łopatki, już tam zostały. - Ani słowa! Nic nie mów, o niczym nie myśl! Chyba że… Tak, baseball! Jeśli chcesz, możesz myśleć o baseballu!

Bobby posłusznie wyobraził sobie Maury'ego Willsa szykującego się do rzutu… czekającego w rozkroku na reakcję pałkarza… startującego jak rakieta w kierunku drugiej bazy…

Koniec. Wszystko znikło: dzwonienie, stukot kopyt, zapach kurzu. Minęło swędzenie oczu. Naprawdę go swędziały czy tylko mu się wydawało?…

- Bobby… - wyszeptał mu ponownie Ted do ucha. Był tak blisko, że chłopiec czuł ruch jego warg. - Boże, co ja robię?

Odsunął go delikatnie, lecz stanowczo. Był skonsternowany i nieco zbyt blady, ale oczy wróciły już do normy. Przez chwilę Bobby nie potrafił myśleć o niczym innym, chociaż czuł się dość dziwnie - jakby dopiero co obudził się z głębokiego snu, choć równocześnie świat wydawał się niesamowicie jasny, z ostro i wyraźnie zarysowanymi konturami.

- A niech mnie! - Roześmiał się niepewnie. - Co się stało?

- Nic, co musiałoby cię obchodzić. - Ted sięgnął po papierosa i nieco się zdziwił, stwierdziwszy, że został z niego jedynie maleńki niedopałek i nieco popiołu. - Znowu odszedłem, prawda?

- Aha. Trochę się przestraszyłem. Pomyślałem, że masz padaczkę albo coś w tym rodzaju, a twoje oczy…

- To nie padaczka - przerwał mu Ted. - Ani nic niebezpiecznego. Jeśli jednak coś takiego przydarzy mi się jeszcze kiedyś, nie powinieneś mnie dotykać.

- Dlaczego?

Ted zapalił nowego papierosa.

- Po prostu nie rób tego, i już. Obiecujesz?

- W porządku. A co to jest Promień? Ted spojrzał na niego uważnie.

- Mówiłem coś o Promieniu?

- Powiedziałeś: „Wszystko służy Promieniowi", albo jakoś tak podobnie.

- Może kiedyś ci to wyjaśnię, ale nie dzisiaj. Dzisiaj jedziesz na plażę, prawda?

Bobby aż podskoczył i spojrzał na wiszący na ścianie zegar: dochodziła dziewiąta.

- Ojej, chyba powinienem już się przygotowywać. Przeczytam ci to do końca, kiedy wrócę, dobrze?

- Jasne, świetny pomysł. I tak chcę teraz napisać parę
listów.

Nieprawda. Po prostu zależy ci na tym, żeby się mnie pozbyć, zanim zadam ci jeszcze parę pytań, na które nie chcesz odpowiedzieć.

Ale w gruncie rzeczy chłopiec nie miał o to pretensji. Jak mawiała Liz Garfield: musiał teraz zająć się swoimi śmieciami. Kiedy jednak położył rękę na klamce, pomyślał o czerwonej papierowej taśmie powiewającej na antenie telewizyjnej, o narysowanych na chodniku gwieździe i półksiężycu, i odwrócił się z ociąganiem.

- Ted, muszę ci o czymś…

- Wiem, o małych ludziach - wpadł mu w słowo Ted i uśmiechnął się. - Chwilowo możesz się nimi nie przejmować. Na razie wszystko jest w porządku. Nie zbliżają się do nas ani nawet nie patrzą w tę stronę.

- Ciągną na zachód?

Ted przez chwilę mierzył go uważnym spojrzeniem zza rzednącej zasłony papierosowego dymu.

- Owszem, i przy odrobinie szczęścia może nawet tam zostaną. Na przykład w Seattle. Miłej zabawy na plaży, Bobby.

- Ale ja widziałem…

- Przypuszczalnie widziałeś jedynie cienie. Tak czy inaczej, to nie jest właściwa pora, żeby na ten temat rozmawiać. Ale pamiętaj o tym, co ci powiedziałem: jeżeli kiedyś znowu tak „odejdę", nic nie rób, tylko czekaj, aż mi przejdzie. Gdybym wyciągnął do ciebie ręce, cofnij się. Gdybym wstał, każ mi usiąść. W tym stanie zachowuję się tak, jakbym był zahipnotyzowany - na pewno cię posłucham.

- Ale dlaczego…

- Tylko bez pytań, Bobby. Proszę.

- Na pewno dobrze się czujesz?

- Jak pączek w maśle. A teraz idź już. Miłego dnia.

Bobby popędził po schodach, wciąż nie mogąc się nadziwić Jakie ostre i wyraźne jest wszystko dookoła: blask słońca sączący się przez okno na klatce schodowej, biedronka wędrująca wokół otworu butelki na mleko przed drzwiami mieszkania Proskych, a przede wszystkim cudowne brzęczenie w uszach, coś jakby radosny śpiew dnia - pierwszego dnia wakacji.

Zaraz po wejściu do mieszkania Bobby zabrał się do wygrzebywania samochodzików spod łóżka i z szafy. Kilka modeli - na przykład ford z serii matchboksa albo niebieska śmieciara, którą pan Biderman przysłał przez mamę kilka dni po jego urodzinach - było całkiem, całkiem, żaden jednak nie mógł się równać z cysterną albo żółtym spychaczem Smutnego Johna. Buldożer szczególnie dobrze nadawał się do zabawy w piasku. Bobby liczył co najmniej na godzinę poważnych prac drogowych przy wtórze szumiących fal i w promieniach nadmorskiego słońca. Ostatni raz gromadził w ten sposób zabawki zeszłej zimy, kiedy po ustaniu śnieżycy spędził z przyjacielem wspaniałe sobotnie popołudnie w Commonwealth Park, budując w śniegu sieć dróg i autostrad. Teraz miał już jedenaście lat - jeszcze trochę i będzie za stary na takie zabawy. Trochę go zasmucił ten fakt, ale to nie była pora na smutki: nawet jeśli „żelaźniaki" odejdą wkrótce w przeszłość, to na pewno jeszcze nie dzisiaj.

Mama przygotowała mu kanapki na drogę, ale kategorycznie odmówiła pieniędzy - nawet jednego centa na przebieralnię. Zanim Bobby zdążył się obejrzeć, doszło do tego, czego się najbardziej obawiał: do awantury o pieniądze.

- Wystarczy mi pięćdziesiąt centów - powiedział płaczliwym tonem, którego nienawidził, ale nic nie mógł poradzić na to, że właśnie taki głos wydobył się z jego ust. – Tylko pół dolara. Proszę…

Zapaliła papierosa, mało nie łamiąc przy tym zapałki, zmrużyła oczy i spojrzała na niego przez dym.

- Przecież już zarabiasz, i to całkiem nieźle. Większość ludzi musi zapłacić za gazetę trzy centy, a ty dostajesz pieniądze za to, że ją czytasz. Dolara tygodniowo! Mój Boże, kiedy byłam w twoim wieku…

- Ale przecież wiesz, że ja te pieniądze odkładam na rower!

Ze zmarszczonymi brwiami spojrzała w lustro, poprawiła kołnierzyk bluzki - chociaż to była sobota, pan Biderman poprosił, żeby wpadła na parę godzin do biura - a następnie z papierosem w ustach odwróciła się do syna.

- Więc ciągle chcesz, żebym kupiła ci ten rower? Chociaż mówiłam ci już tyle razy, że mnie na to nie stać?

- Wcale nie! - Niesprawiedliwość tego zarzutu bardzo go zabolała. - Poprosiłem cię tylko o głupie pół dolara, a ty… - Pół dolara tu, pół dolara tam i już robi się cały dolar. Tak naprawdę to chcesz, żebym zafundowała ci ten rower, dając pieniądze na całą resztę, żebyś nie musiał ruszać oszczędności.

- Jesteś niesprawiedliwa!

Wiedział, co usłyszy, zanim jeszcze otworzyła usta.

- To życie jest niesprawiedliwe.

Ponownie spojrzała w lustro i strząsnęła z ramienia jakiś niewidoczny pyłek.

- Naprawdę nie możesz dać mi nawet jednego centa na przebieralnię?

- No, jeśli naprawdę chodzi o jednego centa… - odparła, cedząc słowa.

Zawsze przed wyjściem do pracy pudrowała policzki, ale rumieńce, które teraz miała na twarzy, były prawdziwe. Bobby wiedział, że w sytuacjach takich jak ta powinien być wyjątkowo ostrożny; gdyby stracił nad sobą panowanie, ona mogłaby zareagować w identyczny sposób, a wtedy resztę dnia najprawdopodobniej musiałby spędzić za karę w pustym, dusznym mieszkaniu.

Matka zgarnęła z kanapy torebkę i zdusiła papierosa w popielniczce z taką siłą, że aż rozpadł się filtr.

- Ciekawe tylko, co byś pomyślał, gdybym któregoś dnia powiedziała: „Wiesz, nie mamy dzisiaj nic na obiad, bo wczoraj kupiłam sobie nowe pantofle u Hunsickera”?

Pomyślałbym, że kłamiesz - odparł w duchu Bobby. Skoro masz tak mało pieniędzy, to co robi katalog Searsa w twojej szafie? Ten z jedno-, pięcio-, a nawet dziesięciodolarowymi banknotami powtykanymi między kartki w dziale z damską bielizną? I co robi niebieski wazon w szafce z naczyniami, ten wepchnięty w najdalszy kąt, do którego wrzucasz ćwierćdolarówki, a kiedy się wypełni, wysypujesz je do torebki, idziesz do banku, wymieniasz ćwierćdolarówki na banknoty i potem wkładasz je do katalogu?

Nie odezwał się jednak ani słowem, tylko z piekącymi policzkami wpatrywał się w czubki swoich butów.

- Moje życie polega na dokonywaniu wyborów - oświadczyła. - Kiedy dorośniesz i zaczniesz naprawdę pracować, też będziesz musiał tak robić. Myślisz, że jest mi przyjemnie, kiedy mówię ci „nie”?

Chyba nie, pomyślał Bobby, wciąż wpatrując się w czubki butów i przygryzając dolną wargę, aby ukryć przed matką jej drżenie. Raczejnie, ale też nie wydaje mi się, żeby było ci szczególnie przykro.

- Gdybyśmy byli Gotrockami, dałabym ci pięć albo nawet dziesięć dolarów i nie musiałbyś sięgać do swojego słoika, kiedy miałbyś ochotę zaprosić swoją przyjaciółeczkę na lody…

Ona nie jest moją przyjaciółeczką! - wrzasnął bezgłośnie Bobby. ONA NIE JEST MOJĄ PRZYJACIÓŁECZKĄ!

- …albo do kina. Gdybyśmy byli Gotrockami, w ogóle nie musiałbyś zbierać na rower. - Mówiła coraz głośniej, z narastającym gniewem. To, co gnębiło ją od kilku miesięcy, zaczynało wrzeć, kipiało, groziło erupcją. - Nie wiem, czy zwróciłeś uwagę, że twój ojciec nie zostawił nam zbyt wiele, a ja robię, co mogę: karmię cię, ubieram, płacę, żebyś mógł chodzić do Sterling House i grać w baseball, podczas gdy ja przekładam papiery w dusznym biurze. Bardzo się cieszę, że ktoś zechciał zabrać cię na plażę z innymi dziećmi, ale to, ile i na co wydasz podczas wycieczki, to już wyłącznie twoja sprawa. Jeśli masz ochotę zabawić się w wesołym miasteczku, proszę bardzo: weź tyle ze słoika, ile potrzebujesz. Mnie to nie przeszkadza, bylebyś tylko przestał marudzić. Nienawidzę tego. Przypominasz mi wtedy… - Nie dokończyła, westchnęła,

otworzyła torebkę, wyjęła papierosy. - Po
prostu nie znoszę, kiedy marudzisz.

Przypominasz mi wtedy swojego ojca. To zamierzała powiedzieć.

- I jak, panie milusiński? Skończył pan już?

Bobby milczał jak zaklęty. Piekły go oczy i policzki, ledwo powstrzymywał się od płaczu. Nawet jedno najcichsze chlipnięcie uziemiłoby go na cały dzień. Mama była naprawdę wściekła i bez wątpienia skorzystałaby z każdego pretekstu, żeby go ukarać. Najgorsze było to, że czuł, iż nie skończyłoby się na płaczu; miał ochotę wykrzyczeć jej prosto w twarz, że wolałby być podobny do ojca niż do niej, nawet gdyby miała mu już nigdy nie dać nawet złamanego centa, i co z tego, że Randall Garfield nie zostawił im zbyt wiele? Dlaczego zawsze mówiła to w taki sposób, jakby to była jego, Bobby'ego, wina? Kto ożenił się z jego ojcem: on czy ona?

- Jesteś pewien, młodzieńcze? Nie masz w zanadrzu żadnych światłych uwag?

To była najniebezpieczniejsza faza: pozory dobrego humoru.

Bobby wciąż wpatrywał się w czubki butów, dławił w sobie płacz, żal i gorzkie słowa, i milczał jak zaklęty. Cisza powoli oplatała ich niewidzialną pajęczyną. Czuł woń papierosowego dymu, czuł wszystkie papierosy, które wypaliła w długie wieczory, kiedy udawała, że ogląda telewizję, naprawdę zaś czekała na dzwonek telefonu.

- W porządku. W takim razie wygląda na to, że wszystko sobie wyjaśniliśmy. - Dała mu jeszcze piętnaście sekund na zastanowienie. - Miłego dnia, Bobby.

Wyszła, nawet go nie pocałowawszy.

Podszedł do otwartego okna (łzy płynęły mu ciurkiem po policzkach, ale wcale tego nie czuł), odsunął zasłonę, odprowadził wzrokiem matkę maszerującą ze stukotem wysokich obcasów w kierunku parku, po czym westchnął głęboko kilka razy i poszedł do kuchni. Jego wzrok spoczął na szafce, w której stał wypchany ćwierćdolarówkami wazon; gdyby wziął stamtąd parę monet, na pewno by tego nie zauważyła, ale ani przez chwilę nie myślał o tym poważnie. Wydawanie zdobytych w ten sposób pieniędzy nie byłoby ani trochę przyjemne. Nie miał pojęcia, skąd o tym wie, ale traktował to jak pewnik od chwili, kiedy dowiedział się o istnieniu ukrytego w szafce wazonu, czyli niemal od dwóch lat. Raczej z żalem niż z zadowoleniem, że oparł się pokusie, pomaszerował do swojego pokoju i z namysłem przyjrzał się słoikowi z napisem FUNDUSZ ROWEROWY.

Mama miała rację: istotnie mógłby nieco uszczuplić oszczędności z okazji wycieczki do Savin Rock. Być może kupno roweru odsunęłoby się o kolejny miesiąc, ale przynajmniej miałby dobre samopoczucie, wydając te pieniądze. Gdyby po nie nie sięgnął, gdyby nie odważył się naruszyć oszczędności, zachowywałby się dokładnie tak jak ONA.

To przesądziło sprawę. Bobby wyłowił ze słoika pięć dziesięciocentówek, wrzucił je do kieszeni, wepchnął na wierzch jednorazową chusteczkę, żeby ich nie zgubić, po czym znowu zaczął się szykować do wycieczki. Niebawem zapomniał o zmartwieniach i nawet zaczął pogwizdywać. Ted przyszedł z góry, żeby zobaczyć, jak mu idzie.

- Wyruszasz w drogę, kapitanie Garfield?

Bobby skinął głową.

- W Savin Rock jest wdechowo. Wiesz, karuzele, kolejki i w ogóle.

- Wiem, wiem. Baw się dobrze i uważaj na siebie.

Bobby ruszył do drzwi, ale po dwóch krokach zatrzymał się i spojrzał na Teda, który stał w kapciach na najniższym stopniu schodów.

- Może usiądziesz na ganku? - zapytał. - W domu pewnie będzie gorąco.

- Chyba jednak zostanę tutaj - odparł Ted z uśmiechem.

- Dobrze się czujesz?

- Doskonale, chłopcze. Doskonale.

Przechodząc przez Broad Street, Bobby uświadomił sobie, że jest mu żal Teda, który bez żadnego powodu siedział w dusznym pokoju. Bo chyba nie istniał żaden powód, prawda? Nawet jeśli gdzieś tutaj, albo tym bardziej na zachodzie, byli jacyś mali ludzie w żółtych płaszczach, to czego mogli chcieć od takiego miłego starego człowieka jak Ted Brautigan?

Początkowo trochę ciążyło mu wspomnienie kłótni z matką (Rionda Hewson, pulchna, ładna przyjaciółka pani Gerber, zarzuciła mu nawet, że „chodzi z głową w chmurach", cokolwiek to znaczyło, po czym zaczęła go łaskotać po bokach i pod pachami, aż wreszcie nie wytrzymał i zaczął się śmiać jak szalony), jednak w miarę upływu czasu odzyskiwał dobry humor i zapał do zabawy.

Chociaż był to dopiero początek sezonu, Savin Rock już tętniło życiem: obracała się karuzela, pędziły kolejki, głośniki ryczały rock and rolla, sprzedawcy biletów nawoływali z budek. Smutny John nie zdobył upragnionego niedźwiadka, ponieważ nie udało mu się przewrócić jednej butelki (Rionda twierdziła, że są specjalnie obciążone, tak żeby trudniej było

się z nimi rozprawić), ale i tak dostał całkiem ładną nagrodę: pociesznego żółtego mrówkojada. Niewiele myśląc, ofiarował go mamie Carol. Anita roześmiała się, uściskała go, powiedziała, że jest najmilszym dzieciakiem na świecie i że gdyby był piętnaście lat starszy, z pewnością zdecydowałaby się na bigamię i wyszła za niego za mąż. Smutny John zaczerwienił się aż po czubki uszu.

Bobby rzucał gumowym kółkiem, chybił trzy razy, za to lepiej spisał się na strzelnicy, gdzie wygrał małego pluszowego misia. Dał go Ianowi-Smarkowi, który zachowywał się wyjątkowo przyzwoicie: nie wpadał w histerię, nie zsikał się w majtki ani nie próbował rąbnąć żadnego z chłopców w jądra. Maluch przytulił misia do piersi i wpatrzył się w Bobby'ego jak w Boga.

- To bardzo miłe z twojej strony - powiedziała Anita - ale może chciałbyś zabrać go do domu, dla mamy?

- Nie, ona nie bardzo lubi takie rzeczy. Spróbuję wygrać dla niej buteleczkę perfum.

Bobby i Smutny John pokpiwali z siebie nawzajem, że boją się pójść na kolejkę górską, aż wreszcie pojechali razem, wrzeszcząc co sił w płucach podczas szaleńczych zjazdów, równocześnie przekonani, że za chwilę umrą i będą żyć wiecznie. Zaliczyli też kilka innych atrakcji, aż wreszcie, zaledwie z piętnastoma centami przy duszy, Bobby znalazł się razem z Carol na diabelskim kole. Kiedy byli na samej górze, koło zatrzymało się, a wagonik zakołysał, wywołując zabawne uczucie w żołądku. Po lewej stronie Atlantyk kroczył ku lądowi mnóstwem biało postrzępionych fal. Plaża była oślepiająco biała, ocean soczyście granatowy. Słoneczny blask ześlizgiwał się po nim jak jedwab. W dole po szosie pełzły samochody, słychać było wydobywającą się z głośników piosenkę Freddy'ego Cannona: „Przyjechała z Tallahassee, nadwozie majak królowa szos…".

- Jakie to wszystko wydaje się malutkie - zauważyła wyjątkowo cicho Carol.

- Nie bój się, jesteśmy bezpieczni. Diabelskie koło jest wysokie, bo inaczej nie byłoby zabawy!

Carol nie tylko była najstarsza, ale również najpewniejsza siebie z nich wszystkich (jak na przykład tego dnia, kiedy kazała Smutnemu Johnowi nieść swoje książki za to, że używał brzydkich wyrazów), lecz teraz jej twarz wyglądała jak buzia małego dziecka: okrągła, blada, z wielkimi ze strachu błękitnymi oczami. Niewiele myśląc, Bobby pochylił się do niej i pocałował ją w usta; błękitne oczy otworzyły się jeszcze szerzej.

- Naprawdę nic nam nie grozi - powtórzył z uśmiechem.

- Zrób to jeszcze raz!

To był jej pierwszy prawdziwy pocałunek pierwszego dnia wakacji, a ona prawie go przegapiła! Właśnie dlatego chciała, żeby Bobby zrobił to ponownie - tak jej się przynajmniej wydawało.

- Lepiej nie.

Chociaż… Przecież byli tu w górze zupełnie sami.

- Pozwalam ci.

- A nikomu nie powiesz?

- Nie, słowo honoru. Pospiesz się, zanim zjedziemy na dół!

Pocałował ją więc ponownie. Miała gładkie, zamknięte usta, ciepłe od słońca. Chwilę potem koło ruszyło i Bobby cofnął się pospiesznie, ale Carol zdążyła na sekundę lub dwie przycisnąć głowę do jego piersi.

- Dziękuję, Bobby. Było mi bardzo przyjemnie.

- Mnie też.

Odsunęli się od siebie, a kiedy wagonik zatrzymał się przy platformie i wytatuowany człowiek z obsługi podniósł pałąk, Bobby wyskoczył pierwszy i nie oglądając się, pognał do Smutnego Johna. Wiedział już jednak na pewno, że ten pocałunek na szczycie diabelskiego młyna będzie najprzyjemniejszym wydarzeniem, jakie go dzisiaj spotkało. Dla niego również był to pierwszy raz w życiu. Ten pocałunek stał się wzorcem, z którym miał już zawsze porównywać inne pocałunki - i stwierdzać, że żaden nie może się z nim równać.

Około trzeciej po południu pani Gerber dała sygnał do pakowania: nadeszła pora, by wracać do domu. Carol dla przyzwoitości pojęczała przez chwilę, po czym zaczęła zbierać manatki. Pomagały jej koleżanki oraz Ian, który cały czas wlókł za sobą zapiaszczonego misia. Bobby podświadomie przypuszczał, że Carol będzie łaziła za nim przez resztę dnia, oraz był niemal pewien, że opowie koleżankom o wydarzeniach na diabelskim młynie (potwierdzeniem byłyby stłumione chichoty, ukradkowe spojrzenia rzucane w jego stronę i wymieniane szeptem uwagi), lecz nic takiego nie nastąpiło. Co prawda przechwycił kilka jej spojrzeń, ale co najmniej równie często sam zerkał w jej kierunku. Wciąż pamiętał wyraz oczu Carol tam, w górze: były takie wielkie i przerażone… A on po prostują pocałował, i już.

Bobby i Smutny John przytaszczyli większość toreb.

- Dzielni tragarze! - wykrzykiwała Rionda, zaśmiewając się do łez, kiedy wspinali się po schodkach prowadzących z plaży na nadmorski bulwar. - Szybciej, szybciej!

Pod grubą warstwą kremu była czerwona jak rak i bez przerwy skarżyła się Anicie Gerber, że w nocy nie zmruży oka, bo nawet jeśli nie będzie cierpiała z powodu słonecznych oparzeń, to na pewno nie da jej spokoju jedzenie, na które skusiła się w wesołym miasteczku.

- Chyba nikt cię nie zmuszał do wchłonięcia czterech parówek i dwóch pączków?

Bobby jeszcze nigdy nie widział pani Gerber w tak podłym nastroju. Przypuszczalnie była bardzo zmęczona - on sam czuł się trochę dziwnie po kilku godzinach spędzonych w pełnym słońcu, w dodatku piekły go plecy i miał mnóstwo piasku w skarpetkach. Plażowe torby, które niósł, obijały mu się o nogi.

- Ale to wszystko było takie dobre… - westchnęła ze smutkiem Rionda. Bobby nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

Powoli szli w kierunku parkingu, nie zwracając uwagi na otaczające ich atrakcje. Naganiaczom wystarczyło tylko rzucić na nich okiem - natychmiast koncentrowali wysiłki na innych przechodniach. Zmęczonych, obładowanych bagażami i spieczonych słońcem wycieczkowiczów można było od razu skreślić z listy potencjalnych klientów.

Na samym końcu bulwaru, po lewej stronie, stał kościsty mężczyzna w workowatych bermudach, podkoszulku i meloniku. Melonik był stary i spłowiały, ale właściciel nasadził go na głowę pod zawadiackim kątem, a na dodatek wetknął w niego plastikowy słonecznik. Prezentował się tak zabawnie, że dziewczęta nie mogły się powstrzymać od chichotu.

Spojrzał na nich jak człowiek, z którego śmiali się już najwięksi specjaliści w tej dziedzinie, i odpowiedział uśmiechem. Wywołało to kolejną falę chichotów. Wciąż uśmiechnięty, człowiek w meloniku rozpostarł ręce nad skleconym z kawałka płyty pilśniowej i dwóch kozłów stolikiem. Na płycie leżały trzy karty do gry z czerwonymi plecami. Odwrócił je szybkimi ruchami długich, białych palców. Ta nienaturalna biel od razu zwróciła uwagę Bobby’ego.

Środkowa karta była damą kierową. Mężczyzna w meloniku wziął ją do ręki, pokazał wszystkim, kazał jej przewędrować tam i z powrotem między palcami.

- Wskażcie mi damę w czerwieni, *cherchez la femme rouge,* tylko o to tu chodzi i tylko tyle musicie zrobić - rzekł. - To bardzo proste, prościutkie, najprostsze pod słońcem. - Skinął na Yvonne Loving. - Chodź tutaj, ślicznotko, i pokaż wszystkim, jak to się robi.

Wciąż rozchichotana i zaczerwieniona po cebulki włosów Yvonne przylgnęła do Riondy i wymamrotała, że nie ma ani centa.

- Nie szkodzi - odparł człowiek w meloniku. - To tylko pokaz. Chcę zademonstrować twojej mamie i jej pięknej przyjaciółce, jakie to proste.

- Tu nie ma mojej mamy.

Mimo to postąpiła krok naprzód.

- Powinniśmy już jechać, jeśli chcemy zdążyć przed szczytem - powiedziała pani Gerber.

- Zaczekajmy, zaczyna być zabawnie - wtrąciła się Rionda. - To gra w trzy karty. Bardzo prosta, tak jak on mówi, ale jeśli się nie uważa, można wszystko stracić.

Mężczyzna w meloniku posłał jej pełne dezaprobaty spojrzenie, ale zaraz potem szeroki uśmiech. W ten sposób uśmiechają się mali ludzie, przemknęło Bobby'emu przez głowę. Może nie ci, których obawiał się Ted, ale na pewno mali.

- Nie ulega wątpliwości - ciągnął mężczyzna w meloniku - iż padła pani kiedyś ofiarą ordynarnego oszusta, chociaż nie potrafię zrozumieć, jak ktoś mógłby być aż tak okrutny, żeby okpić tak piękną i dystyngowaną kobietę.

„Piękna i dystyngowana kobieta" - metr sześćdziesiąt wzrostu, dziewięćdziesiąt kilogramów wagi - roześmiała się pogodnie.

- Daruj pan sobie to kadzenie i lepiej pokaż dziecku, o co chodzi. Czy to aby na pewno legalne?

Mężczyzna odchylił głowę do tyłu i również się roześmiał.

- Wszystko jest legalne, dopóki człowieka nie przyłapią na gorącym uczynku… No dobrze: jak masz na imię, laleczko?

- Yvonne - odparła dziewczynka tak cicho, że Bobby z trudem ją słyszał. - Ale czasem mówią na mnie Ewie.

- W porządku, Ewie. Spójrz tutaj, proszę. Co widzisz? Powiedz mi, jak się nazywają te postacie. Na pewno wiesz, wyglądasz na bystrą dziewczynkę. Jeśli chcesz którejś z nich dotknąć, niczego się nie obawiaj.

- Ten na końcu to walet… Ten to król… A ta w środku to królowa.

- Zgadza się, laleczko. W kartach jak w życiu: mężczyzn często dzieli kobieta. Mają taką moc, o czym sama przekonasz się już za pięć, sześć lat. - Mówił cicho jednostajnym, niemal

hipnotyzującym głosem. - A teraz patrz uważnie i nie odrywaj wzroku od kart. - Ułożył je koszulkami do góry. - Gdzie jest teraz królowa?

Yvonne Loving wskazała środkową kartę.

- Czy tak?

Pytanie było skierowane do niezbyt licznej gromadki gapiów.

- Owszem, przynajmniej jak na razie!

Rionda zaśmiała się tak głośno, że jej obfity, wciśnięty w cienką letnią sukienkę brzuch zafalował gwałtownie. Mężczyzna uśmiechnął się i odgiął róg karty, pokazując zebranym symbol królowej kier.

- Brawo, złotko! Doskonale! A teraz patrz uważnie. To wyścig między twoim okiem i moją ręką. Kto zwycięży? Oto pytanie dnia! - Nucąc pod nosem, począł błyskawicznie przekładać karty. - Karta na stoliku, nie ma żadnego triku, karta taka sama, zgadnij, gdzie jest dama?… W prawo i w lewo, do góry i w dół, powiedz mi proszę, który z nich jest twój!

Podczas gdy Yvonne z namysłem przyglądała się ułożonym w „szeregu kartom, Smutny John pochylił się Bobby'emu do ucha i wyszeptał:

- Wcale nie trzeba go obserwować! Królowa ma zagięty róg, widzisz?

Bobby skinął głową i niemal równocześnie pomyślał „Mądra dziewczyna!", ponieważ Yvonne z wahaniem wskazała pierwszą kartę z lewej strony - właśnie tę z zagiętym rogiem. Mężczyzna odwrócił kartę i oczom zebranych ukazała się dama kier.

- Dobra robota! Masz zdumiewająco bystre oko, laleczko!

- Dziękuję…

Yvonne promieniała zupełnie jak Carol po drugim pocałunku z Bobbym.

- Gdybyś postawiła dziesięć centów, teraz wypłaciłbym ci dwadzieścia - ciągnął człowiek w meloniku. - Dlaczego aż tyle? Ano dlatego, że dzisiaj sobota, a w soboty płacę podwójnie! Może więc któraś z pań zechce postawić dziesięć centów w wyścigu między młodymi oczami a starymi, niedołężnymi rękami? Powiecie później mężom - ależ z nich szczęśliwcy! - że Herb McQuown z Savin Rock zafundował wam darmowe parkowanie. A może nie dziesięć centów, tylko ćwierć dolara? Wystarczy wskazać damę kier, a ja wypłacam pięćdziesiąt centów!

- Pół dolara? - wykrzyknął z entuzjazmem Smutny John. - W porządku! Akurat mam jeszcze dwadzieścia pięć centów. - Johnny, to jest hazard - zwróciła mu uwagę matka Carol. - Nie wydaje mi się, żebym powinna…

- Daj spokój, niech się czegoś nauczy - wtrąciła się Rionda. - Poza tym, być może ten człowiek pozwoli mu wygrać, żeby potem oskubać nas wszystkich.

Nawet nie zadała sobie trudu, żeby ściszyć głos, lecz człowiek w meloniku - Herb McQuown - tylko się uśmiechnął, po czym skoncentrował uwagę na Smutnym Johnie.

- W takim razie, dawaj kasę, kolego.

Smutny John wręczył mu ćwierćdolarówkę. McQuown przymknął jedną powiekę i przez chwilę oglądał ją w blasku popołudniowego słońca.

- Wygląda na prawdziwą - oświadczył wreszcie, po czym położył ją na stoliku obok kart. Następnie rozejrzał się szybko - być może po to, by upewnić się, że nigdzie w pobliżu nie ma policjanta - mrugnął porozumiewawczo do cynicznie uśmiechniętej Riondy i ponownie zajął się młodym klientem.

- Jak się nazywasz, kolego?

- John Sullivan.

McQuown wybałuszył oczy i jeszcze bardziej przekrzywił melonik. Plastikowy słonecznik zakołysał się zabawnie.

- Niezłe nazwisko! Wiesz pewnie, kogo mam na myśli?

- Jasne. Może kiedyś ja też będę bokserem - odparł Smutny John, po czym wyprowadził najpierw lewy, a zaraz potem prawy sierpowy. - Bach, bach!

- Bach, bach - powtórzył McQuown. - A jak z pańskimi oczami, panie Sullivan?

- Całkiem nieźle.

- W takim razie wytęż je ze wszystkich sił, bo wyścig zaraz się rozpocznie. Twoje oczy przeciwko moim rękom! Karta na stoliku, nie ma żadnego triku, karta taka sama, zgadnij; gdzie jest dama?…

Karty poruszały się szybciej niż poprzednio, aż wreszcie znieruchomiały.

Smutny John natychmiast wyciągnął rękę, ale zmarszczył brwi i znieruchomiał. Teraz już dwie karty miały identycznie zagięte narożniki. Chłopiec podniósł wzrok na uśmiechniętego McQuowna, stojącego z założonymi rękami przy stoliku.

- Nie spiesz się, synu. Ranek był szalony, ale teraz, po południu, nigdzie już się nam nie spieszy.

To tacy ludzie, którzy na przykład grają w kości w bocznej uliczce, pociągając z butelki. Albo tacy, którzy podpierają godzinami ściany, wycierają sobie czoła i karki niezbyt czystymi

chusteczkami i gwiżdżą na kobiety idące drugą stroną ulicy. Albo tacy, którzy uwielbiają nosić kapelusze z piórkiem i wyglądają tak, jakby znali odpowiedzi na wszystkie najgłupsze pytania, jakie może przynieść życie. Co prawda McQuown miał w kapeluszu nie piórko tylko plastikowy kwiat i nie trzymał w ręce butelki, ale z całą pewnością miał przynajmniej jedną w kieszeni. Bobby był pewien, że im bliżej wieczora, tym częściej będzie z niej pociągał.

Smutny John wskazał pierwszą z prawej. Nie… - zdążył tylko pomyśleć Bobby, a zaraz potem McQuown odwrócił kartę i okazało się, że to król pik. Pierwsza z lewej okazała się waletem trefl. Królowa leżała pośrodku.

- Przykro mi, synu. Tym razem przegrałeś, ale to się zdarza. Potraktuj to jako rozgrzewkę. Chcesz spróbować jeszcze raz?

- Nie mam więcej pieniędzy… - powiedział Smutny John grobowym tonem.

- I bardzo dobrze - wtrąciła się Rionda. - Obskubałby cię do ostatniego centa i puścił do domu w samych gatkach. - John oblał się szkarłatnym rumieńcem, dziewczęta chichotały, ale Rionda nawet tego nie zauważyła. - Pracowałam kiedyś w kasynie i wiem, na czym polega ta zabawa. Zagramy o dolara, przyjemniaczku, czy to dla ciebie za dużo? -zwróciła się wprost do mężczyzny w meloniku.

- W pani towarzystwie żadna suma nie wydaje mi się zbyt wysoka - odparł McQuown z galanterią, po czym porwał jej dolara w chwili, kiedy wyłonił się z portmonetki. Przyjrzał mu się uważnie pod światło, a następnie położył na stoliku obok kart. - W takim razie do roboty, ślicznotko. Jak masz na imię?

- Puddentane. Nie pytaj więcej, bo usłyszysz to samo.

- Ree, czy nie wydaje ci się, że… - odezwała się z wahaniem Anita Gerber, lecz Rionda nie pozwoliła jej dokończyć.

- Mówię ci, znam się na tych sztuczkach. Zaczynaj, cwaniaczku.

- Z przyjemnością.

Trzy karty poszły w ruch (Karta na stoliku, nie ma żadnego triku, karta taka sama, zgadnij, gdzie jest dama?), by wreszcie znieruchomieć w karnym szeregu. Bobby stwierdził ze zdumieniem, że teraz wszystkie trzy mają zagięte narożniki.

Uśmiech znikł z twarzy Riondy. Przeniosła wzrok na twarz mężczyzny, ponownie popatrzyła na karty, wreszcie spojrzała na leżący nieco na uboczu banknot. Na koniec utkwiła wzrok w oczach McQuowna.

- Wykiwałeś mnie, cwaniaczku.

- Wcale nie. Ja tylko zwyciężyłem w wyścigu. No więc, słucham?

- Powiem tylko tyle, że to był bardzo miły dolarowy banknot, leżał sobie grzecznie w mojej portmonetce i nie robił zamieszania, i przykro mi się z nim rozstać.

Rionda wskazała środkową kartę.

McQuown odwrócił kartę, pokazał wszystkim króla pik i zgarnął banknot do kieszeni. Tym razem królowa leżała pierwsza z lewej. McQuown, bogatszy o dolara i dwadzieścia pięć centów, uśmiechał się szeroko do gości z Harwich. Plastikowy słonecznik kołysał się miarowo w podmuchach słonego wiatru.

- Kto następny? Kto chce się ścigać z moimi rękami?

- Myślę, że wszyscy mamy już dosyć wyścigów - oświadczyła pani Gerber ze słabym uśmiechem, po czym położyła jedną rękę na ramieniu córki, drugą na ramieniu coraz bardziej sennego synka i odwróciła ich w kierunku parkingu.

- Proszę pani… - Bobby wolał sobie nie wyobrażać, co mogłaby pomyśleć jego mama, niegdyś zamężna z człowiekiem, który licytował nawet z najsłabszą parą w ręku, gdyby zobaczyła go stojącego przy zaimprowizowanym stoliku McQuowna. Teraz już dobrze wiedział, co to znaczy licytować i dlaczego nie zawsze roztropnie jest robić to z niezbyt silną kartą. - Mogę spróbować?

- Nie wydaje ci się, że powinniśmy już skończyć?

Wsunął rękę do kieszeni, pogrzebał pod chusteczką i wydobył trzy pięciocentówki.

- Czy tyle wystarczy? Więcej nie mam.

- Chłopcze, czasem zdarza mi się grywać nawet o jednego centa i nawet wtedy doskonale się bawię - zapewnił go McQuown.

Pani Gerber spojrzała pytająco na Riondę.

- A niech tam! - Rionda uszczypnęła Bobby'ego w policzek. - W końcu to nie majątek. Jeśli chce, niech się pozbędzie tych pieniędzy, a potem jedziemy do domu.

- W porządku, Bobby - westchnęła pani Gerber. - Skoro musisz…

- Połóż tutaj pieniądze, żebyśmy wszyscy je widzieli - zachęcił go McQuown. - Wygląda na to, że są w porządku. Jesteś gotów?

- Chyba tak.

- W takim razie ruszamy. Mam tutaj dwóch chłopców i jedną dziewczynkę. Chłopcy są niewiele warci, ale jeśli znajdziesz dziewczynkę, zarobisz drugie tyle.

Blade kościste palce poczęły przesuwać karty. Bobby co prawda obserwował ich ruchy, ale nawet nie starał się śledzić królowej kier. To nie było konieczne.

- Najpierw szybko, potem hop, znowu szybko, wreszcie stop! - Trzy karty znieruchomiały koszulkami do góry na stoliku. - Powiedz mi, Bobby, gdzie schowała się dziewczynka?

Bez wahania wskazał pierwszą z lewej.

- Tutaj.

- Tu głupku! - jęknął Smutny John. - Królowa jest pośrodku! Jestem pewien, bo tym razem nie spuściłem jej z oka.

McQuown w milczeniu przyglądał się Bobby'emu; chłopiec bez drgnięcia powieki odwzajemnił mu spojrzenie. Wreszcie McQuown odwrócił kartę wskazaną przez Boby'ego. Była to królowa kier.

- O kurczę! - wykrzyknął Smutny John.

Carol klasnęła w dłonie i podskoczyła, Rionda Hewson zapiszczała z uciechy i klepnęła go w ramię.

- Utarłeś mu nosa, Bobby! Zuch z ciebie!

McQuown uśmiechnął się dziwnie, sięgnął do kieszeni i wyjął garść drobniaków.

- Nieźle, chłopcze. Dzisiaj tylko tobie udało się ze mną wygrać. Naturalnie nie licząc tych, którym na to pozwoliłem. - Wyłowił ćwierćdolarówkę i pięciocentówkę, i położył je obok piętnastu centów Bobby'ego. - A może chciałbyś puścić je w ruch? - Szybko się zorientował, że chłopiec nie zrozumiał pytania. - Chcesz spróbować jeszcze raz?

- Mogę? - zapytał Bobby Anitę Gerber.

- Nie sądzisz, że powinieneś przestać, dopóki jesteś na plusie? - odparła, ale oczy jej błyszczały i ani słowem nie wspomniała o popołudniowym szczycie.

- Na pewno przestanę - zapewnił ją. - Chwalipięta! - roześmiał się McQuown. - Jeszcze ma mleko pod nosem, a proszę., jaki pewny siebie! Więc jak będzie z nami, panie Chwalipięto? Gramy dalej?

- Jasne.

Gdyby to Carol lub Smutny John zarzucili mu nadmierną pewność siebie, gorąco by zaprotestował; wszyscy jego ulubieni bohaterowie, od Johna Wayne'a poczynając, na Luckym

Starze z Kosmicznego Patrolu kończąc, byli okazami skromności, niedostrzegającymi nic nadzwyczajnego w tym, że przed chwilą ocalili pasażerów dyliżansu albo całą planetę. Nie odczuwał jednak najmniejszej potrzeby, żeby tłumaczyć się przed McQuownem, który był małym człowiekiem w granatowych szortach, a przypuszczalnie także szulerem. Bobby nie miał najmniejszego zamiaru się przechwalać, nie uważał też, że licytuje ze słabą parą w ręku - byłaby to czysta „zgadywanka", jak wielokrotnie powtarzał Charlie Yearman, szkolny woźny, który chętnie wprowadzał go w tajniki gry nieznane ani Smutnemu Johnowi, ani Denny'emu Riversowi - tutaj jednak nie wchodziło w grę żadne zgadywanie.

McQuown jeszcze przez chwilę mierzył go badawczym spojrzeniem. Chłodna pewność siebie Bobby'ego wyraźnie go zaniepokoiła. Wreszcie poprawił melonik, wyciągnął przed siebie ręce i zatrzepotał palcami jak Królik Bugs przed koncertem w Carnegie Hall.

- Czuj duch, chwalipięto! Tym razem dam z siebie wszystko. Czeka was spektakl na najwyższym światowym poziomie.

Karty śmigały w takim tempie, że wydawało się, jakby mężczyzna trzymał rozmazanego czerwonego węża.

- A niech mnie! - wykrztusił Smutny John.

- To za szybko! - zaprotestowała oburzonym tonem Tina, przyjaciółka Carol.

Bobby teraz też patrzył na karty, ale tylko dlatego, że tego właśnie od niego oczekiwano. McQuown tym razem nie recytował żadnych wierszyków.

Karty znieruchomiały, McQuown zaś uniósł brwi i wyzywająco spojrzał na chłopca. Jego usta wykrzywiał kpiący uśmieszek, ale górna warga była mokra od potu.

Bobby bez wahania wskazał pierwszą kartę z prawej strony.

- To ta.

- Skąd wiesz? - zapytał McQuown. Po uśmieszku nie zostało nawet wspomnienie. - Skąd wiesz, do diabła?

- Po prostu wiem, i już.

Zamiast odwrócić kartę, mężczyzna wykrzywił usta i z dezaprobatą spojrzał na deptak. Na jego czole pojawiła się głęboka pionowa bruzda. Nawet słonecznik kołysał się ponuro, a nie wesoło i swawolnie jak dotychczas.

- To wszystko, co potrafię - rzekł z nutą zdziwienia w głosie. - Na tym poziomie jeszcze nikt nigdy ze mną nie wygrał.

Rionda sięgnęła nad ramieniem Bobby'ego i odwróciła wskazaną przez niego kartę. Była to królowa kier. Tym razem wszyscy odruchowo klasnęli w dłonie. Bruzda na czole mężczyzny jeszcze się pogłębiła.

- Jeśli się nie mylę, jesteś winien naszemu chwalipięcie dziewięćdziesiąt centów - powiedziała Rionda. - Płacisz czy nie?

- A jeśli nie zapłacę? Co wtedy zrobicie? Wezwiecie policję?

- Chyba powinniśmy już wracać do domu - wtrąciła się nieco zdenerwowana Anita Gerber, ale Rionda nie zwróciła na nią najmniejszej uwagi.

- Policję? Chyba żartujesz. Na pewno nie będę wzywać policji do głupich dziewięćdziesięciu centów, szczególnie jeśli zgarnął je ktoś, kto wygląda jak wyrośnięty przedszkolak w krótkich gatkach.

Bobby doskonale zdawał sobie sprawę, że tu nie chodzi o pieniądze. McQuown wielokrotnie tracił znacznie większe sumy i jakoś potrafił się z tym pogodzić. Teraz jednak dał z siebie wszystko… i przegrał. Przegrał z dzieciakiem.

- Zamiast wzywać policję - ciągnęła Rionda - rozpowiem w całym wesołym miasteczku, że jesteś oszustem wartym dokładnie tyle, ile ukradniesz, czyli dziewięćdziesiąt centów. Myślisz, że w ten sposób nagonię ci klientów?

- Piękne dzięki za takich klientów! - warknął mężczyzna, niemniej jednak wyjął z kieszeni kolejną garść monet i szybko odliczył wygraną Bobby'ego. - Masz swoje dziewięćdziesiąt centów. Idź i kup sobie drinka.

Chłopiec zgarnął stosik monet i wrzucił je do kieszeni. Ważyły zaskakująco dużo, ale to był bardzo przyjemny ciężar.

- Ja naprawdę tylko zgadywałem. - Poranna kłótnia z matką straciła jakikolwiek sens. Wracał teraz do domu zamożniejszy niż wtedy, kiedy z niego wychodził. - Jestem w tym dobry, i tyle.

McQuown wyraźnie się odprężył. I tak nie zrobiłby im krzywdy - co prawda był małym człowiekiem, ale nie z tych, którzy fizycznie krzywdzą ludzi; nigdy nie naraziłby na szwank swoich długich, zwinnych palców - lecz Bobby nie chciał zostawiać go w ponurym nastroju.

- Rzeczywiście - mruknął mężczyzna. - Całkiem nieźle ci to wychodzi. Chcesz spróbować jeszcze raz? Fortuna czeka.

- Naprawdę musimy już jechać - wtrąciła pospiesznie pani Gerber.

- A ja wiem, że tym razem bym przegrał - dodał Bobby. - Dziękuję panu, panie McQuown. Miło się z panem ścigało.

- Zmykaj do domu, chłopcze.

McQuown nie patrzył już na nich. Niczym się teraz nie różnił od naganiaczy z deptaku: taksował spojrzeniem nowe twarze w poszukiwaniu świeżej krwi.

W drodze do domu Carol i pozostałe dziewczęta przyglądały mu się ze zdumieniem, a Smutny John z niedowierzaniem i podziwem. Bobby czuł się trochę nieswojo. W pewnej chwili Rionda odwróciła się z przedniego siedzenia i spojrzała mu prosto w oczy.

- Wcale nie zgadywałeś - rzekła stanowczo. Bobby w milczeniu czekał na ciąg dalszy.

- Miałeś przebłysk.

- Co to takiego?

- Mój ojciec nie miał szczęścia w hazardzie, ale od czasu do czasu zdarzało mu się coś, co nazywał przebłyskiem: obstawiał wtedy jakiś numer i wygrywał. Raz nawet było to pięćdziesiąt dolarów. Żyliśmy za to przez cały miesiąc. Ty też miałeś taki przebłysk, prawda?

- Całkiem możliwe - odparł Bobby. - Tak, to całkiem możliwe.

Matkę zastał na ganku. Siedziała z podwiniętymi nogami na bujanej ławce i smętnie spoglądała na ulicę. Miała na sobie domowe spodnie. Pożegnała mamę Carol skinieniem ręki, odprowadziła wzrokiem Anitę, bez słowa obserwowała, jak Bobby wchodzi po schodkach. Doskonale wiedział, co sobie myślała: co prawda mąż pani Gerber służył w marynarce, ale przynajmniej żył i troszczył się o rodzinę. Troszczył się na tyle dobrze, że Anita Gerber miała forda kombi. Liz mogła wybierać między przechadzką na piechotę a autobusem lub taksówką.

Jednak Bobby wyczuł, że chyba już się na niego nie gniewa, i bardzo się z tego ucieszył.

- Dobrze się bawiłeś, Bobby?

- Świetnie - odparł, w duchu zaś pomyślał: O co chodzi, mamo? Przecież ani trochę cię nie obchodzi, jak się bawiłem na wycieczce. Co naprawdę cię gryzie?

To pytanie musiało na razie pozostać bez odpowiedzi.

- Bardzo się cieszę. Posłuchaj… Przykro mi, że posprzeczaliśmy się dzisiaj rano. Nie znoszę pracować w soboty!

Zabrzmiało to prawie jak splunięcie.

- W porządku, mamo.

Dotknęła jego policzka i pokręciła głową.

- Ta twoja jasna cera! Nigdy się nie opalisz. Chodź, posmaruję cię olejkiem, żeby nie wyskoczyły ci bąble.

Posłusznie poszedł za nią do mieszkania, zdjął koszulę i stał cierpliwie, podczas gdy ona wcierała mu pachnący olejek w plecy, ramiona, kark i policzki. Było to bardzo miłe. Myślał o tym, jak bardzo ją kocha i jak bardzo lubi, kiedy ona go dotyka. Zastanawiał się też, jak by zareagowała, gdyby wiedziała, że pocałował Carol na diabelskim kole. Uśmiechnęłaby się? Chyba nie. A gdyby dowiedziała się o McQuownie i trzech kartach…

- Nie widziałam twojego przyjaciela z drugiego piętra. Wiem, że jest w domu, bo słuchał transmisji z meczu Jankesów, ale dlaczego nie wyszedł na ganek, żeby złapać trochę świeżego powietrza?

- Może nie miał ochoty. Mamo, czy wszystko w porządku?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Oczywiście.

Uśmiechnęła się, więc nie pozostało mu nic innego, jak tylko odwzajemnić uśmiech. Kosztowało go to sporo wysiłku, ponieważ podejrzewał, że mama nie mówi prawdy. W zasadzie był tego pewien.

Po prostu miał przebłysk, i tyle.

Tej nocy Bobby leżał w łóżku na wznak, z szeroko rozrzuconymi nogami i wzrokiem wbitym w sufit. Okno było otwarte na oścież, zasłony poruszały się w podmuchach ciepłego nocnego wiatru, z oddali dobiegały przytłumione dźwięki piosenki Plattersów: „U schyłku dnia, pod ciemnym błękitem zmierzchu…”. Jeszcze dalej mruczały silniki przelatującego samolotu, od czasu do czasu odezwał się samochodowy klakson.

Ojciec Riondy nazywał to „przebłyskiem” a raz nawet wygrał pięćdziesiąt dolarów - *pewnie, że tak, ja też miałem przebłysk* - ale przecież on, Bobby, choćby nie wiadomo jak się starał, nie wygrałby ani centa na żadnej loterii.

Cały dowcip polega bowiem na tym, że za każdym razem McQuown wiedział, gdzie jest królowa, i dlatego ja też to wiedziałem.

Jak tylko to sobie uświadomił, reszta też stała się jasna. Oczywista sprawa, bez najmniejszych wątpliwości, ale przecież nieźle się bawił, a poza tym… trudno wątpić w coś, co się po prostu wie, prawda? Można wątpić w przebłyski, w pojawiające się w tajemniczy sposób przeczucie, ale nie w WIEDZĘ.

Skąd jednak WIEDZIAŁ, że mama wkłada pieniądze do katalogu Searsa, który trzyma na najwyższej półce w szafie? Skąd wiedział o samym katalogu? Przecież nie od niej. Nie powiedziała mu również o wazonie z ćwierćdolarówkami, chociaż wiedział o nim od lat, nie był wszakże ślepy, mimo iż chwilami odnosił wrażenie, że ona go za takiego uważa. Ale katalog? Ćwierćdolarówki przeistaczały się w banknoty, te zaś trafiały między strony katalogu. W żaden sposób nie mógł wytłumaczyć, skąd o tym wie, ale nawet teraz, leżąc w swoim łóżku z szeroko otwartymi oczami, po prostu WIEDZIAŁ o wszystkim - wiedział, ponieważ ona o tym wiedziała. Podczas przejażdżki na diabelskim kole WIEDZIAŁ, że Carol naprawdę chce, by ją ponownie pocałował, ponieważ był to jej pierwszy w życiu prawdziwy pocałunek, a ona nie poświęciła mu dosyć uwagi, skończył się, zanim na dobre zorientowała się, co się dzieje. Ale przecież ta wiedzenie oznaczała, że posiadł zdolność przepowiadania przyszłości.

- Ja tylko czytam w myślach - wyszeptał, po czym zadrżał tak gwałtownie, jakby prosto z rozgrzanej słonecznymi promieniami plaży trafił do lodowatej wody.

Uważaj, kolego. Jeśli nie będziesz uważał, skończysz tak jak Ted z jego małymi ludźmi.

Zegar na rynku zaczął wybijać dziesiątą. Bobby odwrócił głowę i spojrzał na budzik na biurku; według Big Bena była dopiero dziewiąta pięćdziesiąt dwie.

A więc tamten się spieszy albo mój się późni. Wielka sprawa. Idź wreszcie spać.

Wątpił, żeby udało mu się szybko zrealizować ten zamiar, mijający dzień był bowiem pełen wrażeń: kłótnia z matką, wygrana w trzy karty, pocałunki na diabelskim młynie… Nawet nie spostrzegł, kiedy powoli i przyjemnie zaczął odpływać w niebyt.

Może ona jednak jest moją dziewczyną? - pomyślał. Może jednak?…

Zasnął, zanim zdążyło przebrzmieć ostatnie, przedwczesne uderzenie ratuszowego zegara.

5

Bobby czyta gazetę.

Brązowy z białym krawacikiem.

Wielka szansa Liz. Obóz przy Broad Street.

Niespokojny tydzień. W drogę do Providence.

W poniedziałek, jak tylko mama wyszła do pracy, Bobby pomaszerował na górę poczytać Tedowi gazetę. (Chociaż w rzeczywistości Ted nie miał żadnych problemów ze wzrokiem i mógłby robić to sam, twierdził, że polubił głos chłopca oraz przyzwyczaił się do luksusu, jakim była możliwość jednoczesnego golenia się i czytania porannej prasy). Ted stał w maleńkiej łazience przy otwartych drzwiach, Bobby natomiast sondażowo odczytywał tytuły artykułów.

- PROTESTY PRZECIWKO ZAANGAŻOWANIU W WIETNAMIE?

- Przed śniadaniem? Piękne dzięki!

- ARESZTOWANIE W ZWIĄZKU Z UPROWADZENIAMI WÓZKÓW SKLEPOWYCH?

- Pierwszy akapit.

- „Kiedy wczoraj późnym wieczorem policja zjawiła się w domu Johna T. Andersona w Harwich, gospodarz chętnie opowiedział o swoim hobby, a mianowicie o kolekcjonowaniu wózków na zakupy z supermarketów. «Miał mnóstwo wiadomości na ten temat - relacjonuje funkcjonariusz Kirby Malloy - ale nie rozwiał naszych podejrzeń co do tego, czy wszystkie okazy ze swojej kolekcji zdobył w sposób zgodny z prawem». Wkrótce okazało się, że spośród ponad pięćdziesięciu egzemplarzy aż dwadzieścia zostało skradzionych ze sklepów w Harwich, kilka zaś pochodziło aż ze Standbury”.

- Wystarczy. - Ted opłukał brzytwę w gorącej wodzie, a następnie przyłożył ostrze do namydlonej szyi. - Idiotycznie wesołkowate komentarze do pożałowania godnego przypadku kleptomanii.

- Nie rozumiem…

- Wszystko wskazuje na to, że ten Anderson cierpi na nerwicę. Mówiąc krótko, ma problemy z głową. Myślisz, że to zabawne?

- Pewnie, że nie. Żal mi ludzi, którym brakuje piątej klepki.

- Miło to słyszeć. Znałem nawet takich, którym brakowało znacznie więcej niż jednej klepki. Zazwyczaj budzą litość, czasem zdumienie, niekiedy są przerażający, ale nigdy zabawni. Uprowadzenia wózków sklepowych, rzeczywiście… Co mamy dalej?

- GWIAZDKA GINIE W WYPADKU SAMOCHODOWYM W EUROPIE?

Eee…

- JANKESI KUPUJĄ ZAWODNIKA OD SENATORSÓW?

- Nie interesuje mnie, co Jankesi robią z Senatorsami.

- ALBINI CIESZY SIĘ Z ROLI CZARNEGO KONIA?

- Może być.

Ted słuchał uważnie, nie spiesząc się z goleniem, ale zdaniem Bobby'ego artykuł był niezbyt interesujący (bądź co bądź, nie dotyczył przecież ani Floyda Pattersona, ani Ingemara Johanssona, o którym Smutny John nie mówił inaczej jak „Mały Ingie"). W przyszłą środę w Madison Square Garden miała się odbyć zakontraktowana na dwanaście rund walka między Tommym „Huraganem" Haywoodem i Eddiem Albinim. Obaj zawodnicy mogli się pochwalić równie imponującymi osiągnięciami, różnili się jednak zasadniczo wiekiem: Albini miał trzydzieści sześć lat, Haywood zaś zaledwie dwadzieścia trzy, i właśnie dlatego powszechnie uważano go za faworyta. Zwycięzca tego pojedynku miał spore szanse walczyć jesienią o mistrzowski pas w kategorii ciężkiej - przypuszczalnie mniej więcej w tym czasie, kiedy Nixon zostanie prezydentem; mama Bobby'ego uważała to za pewnik i była z tego bardzo zadowolona. Nie dlatego, że Kennedy był katolikiem, ale ze względu na jego młody wiek i brak doświadczenia.

Albini doskonale rozumiał, dlaczego stawia się go na straconej pozycji (przede wszystkim chodziło o wiek, ale i o to, że swoją poprzednią walkę przegrał przez techniczny nokaut). Zdawał sobie również sprawę, że Haywood ma większy zasięg ramion, ale nie przejmował się tym, pilnie trenował, a na sparingpartnera wybrał sobie pięściarza boksującego w stylu Haywooda. W artykule roiło się od słów „rozgrywka" i „determinacja", Albiniego przedstawiano jako „boksera z charakterem". Bobby odniósł wrażenie, że autor spodziewa się, iż Albini dostanie tęgie lanie i bardzo mu z tego powodu współczuje. „Huragan" Haywood nie znalazł czasu, by udzielić wywiadu, ale jego menedżer, niejaki I. Kleindienst (Ted podpowiedział chłopcu, jak wymówić to nazwisko), oświadczył, iż najprawdopodobniej będzie to ostatnia walka w karierze Albiniego.

„On dni świetności ma już dawno za sobą. Jeśli wytrzyma do szóstej rundy, każę swoim dzieciakom iść spać bez kolacji”.

- Irving Kleindienst jest *ka-mai* - powiedział Ted.

- Kim?

- Głupcem.

Ted spoglądał przez okno w kierunku, z którego dobiegało ujadanie psa pani O’Hara. Nie było to całkiem odejście, ale na pewno oddalenie.

- Znasz go?

- Nie, skądże znowu. - Pytanie najpierw zaskoczyło Teda, a potem wyraźnie go rozbawiło. - Ale wiem o nim wszystko.

- Wygląda na to, że ten Albini dostanie niezły wycisk.

- Nigdy nie wiadomo. Między innymi dlatego jest to takie interesujące.

- Co masz na myśli?

- Nieważne. Przejdź do komiksów. Na początek poproszę Flasha Gordona, tylko pamiętaj, że masz dokładnie opisać strój Dale Arden- Dlaczego?

- Bo coś mi się wydaje, że się w niej zakochałem - odparł Ted, a Bobby parsknął śmiechem. Jego starszy przyjaciel potrafił być czasem bardzo zabawny.

Nazajutrz, w drodze powrotnej ze Sterling House, gdzie zapisał się na przyszłoroczne zajęcia z baseballu, Bobby natknął się na starannie wydrukowane ogłoszenie przybite pinezką do pnia wiązu w Commonwealth Park:

POMÓŻCIE NAM ODNALEŹĆ PHILA!

PHIL JEST WALIJSKIM CORGI!

PHIL MA SIEDEM LAT!

PHIL JEST BRĄZOWY Z BIAŁYM KRA WACIKIEM!

MA BYSTRE I INTELIGENTNE SPOJRZENIE!

MA CZARNE CZUBKI USZU!

NA KOMENDĘ „POSPIESZ SIĘ, PHIL!” PRZYNOSI

PIŁECZKĘ!

PROSIMY DZWONIĆ HOusitonic 5-8337

lub

ODPROWADZIĆ NA Highgate Avenue 745!

NA PHILA CZEKA CAŁA RODZINA Sagamore!

Brakowało zdjęcia Phila.

Bobby długo wpatrywał się w ogłoszenie. Wewnętrzny głos podpowiadał mu, żeby jak najprędzej biec do domu i opowiedzieć Tedowi nie tylko o tym, ale również o gwieździe i półksiężycu narysowanych na chodniku obok pól do gry w klasy. Inny, znacznie spokojniejszy głos, zwracał mu jednak uwagę, że w parku wisi mnóstwo rozmaitych ogłoszeń - do pnia sąsiedniego wiązu przybito na przykład plakat z informacją o koncercie na rynku - musiałby być więc idiotą, żeby zawracać Tedowi głowę taką sprawą. Dwa głosy przemawiały do niego jednocześnie, coraz donośniej, aż wreszcie zamieniły się w dwa trące o siebie patyki, gotowe lada chwila zająć się ogniem.

Nie chcę o tym myśleć, zdecydował wreszcie, odwrócił się i odszedł. Niemal natychmiast odezwał się jednak trzeci, niebezpiecznie dorosły głos, który przypomniał mu, że przecież bierze pieniądze właśnie za to, by myśleć o takich rzeczach i o nich mówić. Bobby niezwłocznie kazał mu się zamknąć… i głos umilkł.

Mama znowu kołysała się na huśtawce, zszywając rozdarty rękaw domowej sukienki. Kiedy podniosła głowę, Bobby od razu zauważył zaczerwienione powieki i podpuchnięte oczy. W jednej ręce ściskała zmiętą jednorazową chusteczkę.

- Mamusiu…

…co się stało? - dokończył w myślach… i tylko w myślach. Wypowiedzenie tych słów na głos mogłoby się okazać bardzo nieroztropne. Wiedział to doskonale nawet bez pomocy przebłysków takich jak ten, dzięki któremu wygrał dziewięćdziesiąt centów w Savin Rock. Po prostu znał swoją matkę, znał jej spojrzenie, wiedział, co oznacza kurczowo zaciśnięta ręka z chusteczką, o czym świadczy głęboki wdech i wyprostowanie pleców.

- O co chodzi? Chciałeś o coś zapytać?

- Nie. - Nawet w jego uszach zabrzmiało to niezręcznie i tchórzliwie. - Byłem w Sterling House zapisać się na baseball. W tym sezonie też będę w Wilkach.

Skinęła głową i nieco się odprężyła.

- Jestem pewna, że w przyszłym wezmą cię do Lwów. - Zestawiła na podłogę koszyk z przyborami do szycia i poklepała opróżnione w ten sposób miejsce na huśtawce. - Usiądź tu, Bobby. Chcę ci coś powiedzieć.

Bobby'ego ogarnęły niedobre przeczucia (przecież płakała, a do tego mówiła dość ponurym tonem), ale problem okazał się mniej istotny, niż przypuszczał - przynajmniej jego zdaniem.

- Pan Biderman… to znaczy, Don… poprosił mnie, żebym pojechała z nim, z panem Cushmanem i panem Deanem na seminarium do Providence. To dla mnie wielka szansa.

- Co to jest seminarium?

- Coś w rodzaju konferencji. Ludzie przyjeżdżają z różnych stron, żeby dyskutować o jakimś problemie. To seminarium będzie dotyczyło handlu nieruchomościami w latach 60. Bardzo się zdziwiłam, że Don chce mnie zabrać. Oczywiście wiedziałam, że Bill Cushman i Curtis Dean na pewno pojadą, ale oni są agentami, a ja… - Zawiesiła głos, po czym uśmiechnęła się do syna. Uśmiech był chyba szczery, ale trochę dziwnie wyglądał w połączeniu z zaczerwienionymi powiekami. - Od dawna marzę o tym, żeby też zostać agentką, i właśnie teraz, zupełnie niespodziewanie… To dla mnie naprawdę ogromna szansa, Bobby. To szansa dla nas obojga.

Bobby doskonale wiedział, że mama chciałaby zajmować się handlem nieruchomościami. Miała sporo książek na ten temat i czytała je prawie co wieczór, niekiedy podkreślając spore fragmenty. Skoro jednak to była dla niej taka wielka szansa, to dlaczego płakała?

- Świetnie - powiedział. - Wdechowo. Mam nadzieję, że dowiesz się mnóstwa ciekawych rzeczy. Kiedy to jest?

- W przyszłym tygodniu. Wyjeżdżamy we wtorek rano, a wracamy we czwartek wieczorem, około ósmej. Obrady są w hotelu Warwick, w którym mieszkamy. Don już zarezerwował pokoje. Ostatnio mieszkałam w hotelu chyba ze dwanaście lat temu… Chyba mam tremę.

Czy trema objawia się płaczem? - przemknęło Bobby'emu przez głowę. U dorosłych widocznie tak. Przynajmniej u kobiet.

- Chciałabym, żebyś zapytał Smutnego Johna, czy możesz u niego zostać na noc z wtorku na środę i ze środy na czwartek. Myślę, że pani Sullivan…

Bobby pokręcił głową.

- Nic z tego.

- Dlaczego? - Liz zmarszczyła brwi. - Pani Sullivan nigdy nie miała nic przeciwko temu, żebyś zostawał u nich na noc. Chyba jej się niczym nie naraziłeś?

- Nie, mamo. Po prostu Smutny John wylosował tydzień pobytu w obozie Winnie.

Liz Garfield wciąż przyglądała się synowi spod zmarszczonych brwi. W jej oczach pojawiła się panika… albo coś bardzo do niej podobnego.

- O czym ty mówisz? Co to za obóz?

Bobby wytłumaczył wszystko od początku: że Smutny John jedzie na tygodniowy turnus do obozu, a pani Sullivan postanowiła w tym samym czasie odwiedzić rodziców w Wisconsin.

- Cholera! Słowo daję, trzeba mieć mojego pecha! - Mama prawie nigdy nie przeklinała, podkreślała natomiast często, że „mocne wyrazy" to ratunek dla ignorantów. Tym razem jednak zacisnęła pięść i uderzyła w poręcz huśtawki. - Niech to szlag trafi!

Umilkła, pogrążona głęboko w myślach. Bobby również się zastanawiał. Spośród jego przyjaciół przy tej samej ulicy mieszkała tylko Carol, ale jakoś nie wydawało mu się prawdopodobne, żeby jego mama zadzwoniła do Anity Gerber i poprosiła o przechowanie go przez dwie noce. Carol była dziewczyną, a kiedy w grę wchodziło nocowanie, takie sprawy nie wiedzieć czemu nabierały ogromnego znaczenia. Może więc ktoś z przyjaciół mamy?… Problem polegał na tym, że ona NIE MIAŁA przyjaciół - no, może z wyjątkiem Dona Bidermana i tamtych dwóch, którzy też wybierali się na seminarium do Providence). Owszem, miała mnóstwo znajomych, którym mówiła „Hej!" i „Witaj!", kiedy spotykała ich na ulicy albo w sklepie, ale ani jednej osoby, do której mogłaby zatelefonować i poprosić o zaopiekowanie się przez dwie noce jej jedenastoletnim synem. To samo, o ile Bobby wiedział, odnosiło się do krewnych. Nikogo.

Niczym ludzie podróżujący wiodącymi do tego samego celu drogami, Bobby i jego matka niemal równocześnie wpadli na identyczny pomysł. Bobby był najwyżej o sekundę lub dwie szybszy.

- A może Ted?

Omal nie zakrył ust ręką. Nawet uniósł ją z kolan.

Matka obserwowała go z lekkim półuśmieszkiem zazwyczaj towarzyszącym powiedzeniom w rodzaju: „Musisz się nacierpieć, zanim umrzesz", „Biednemu zawsze wiatr w oczy wieje", oraz naturalnie jej ulubionemu „Życie nie jest sprawiedliwe".

- Naprawdę myślałeś, że nie wiem, że mówisz mu po imieniu, kiedy jesteście sami? Widocznie masz mnie za idiotkę.

Umilkła i w zamyśleniu spoglądała na ulicę. Obok domu przejechał powoli chrysler new yorker - z ogromnymi tylnymi płetwami, potężnymi zderzakami, lśniący chromem. Bobby

odprowadził go spojrzeniem. Za kierownicą siedział siwowłosy mężczyzna w granatowej marynarce. Najprawdopodobniej w porządku: stary, ale nie mały.

- Może coś z tego będzie - odezwała się wreszcie Liz bardziej do siebie niż do syna. - Pójdźmy do Brautigana i pogadajmy.

Podążając za nią schodami na drugie piętro, Bobby zastanawiał się, od jak dawna jego matka potrafi prawidłowo wymawiać nazwisko Teda. Od tygodnia? Od miesiąca?

Od początku, głupku - pomyślał. Od samego początku.

Bobby uważał, że każdy z nich powinien spać w swoim mieszkaniu, tyle że przy otwartych drzwiach; gdyby któryś czegoś potrzebował, wystarczyłoby zawołać.

- Nie przypuszczam, żeby Kilgallenowie albo Prosky'owie byli szczególnie zachwyceni, gdybyś o trzeciej nad ranem obudził ich swoimi wrzaskami tylko z tego powodu, że przyśnił ci się jakiś koszmar - zauważyła cierpko.

Obie wymienione rodziny mieszkały na pierwszym piętrze. Liz i Bobby nie zaprzyjaźnili się z żadną z nich.

- Nie będę miał koszmarów! - Bobby poczuł się głęboko urażony, że traktuje się go jak małe dziecko. - Na pewno!

- Gadaj zdrów.

Siedzieli przy kuchennym stole w mieszkaniu Teda. Dorośli palili, Bobby miał przed sobą szklankę z lemoniadą.

- To chyba niezbyt dobry pomysł - odezwał się Ted. - Jesteś mądrym chłopcem, odpowiedzialnym i opanowanym, ale wydaje mi się, że jeszcze trochę za młodym, żeby zostać samemu na noc.

Bobby wolał, żeby z dwojga złego młody wiek wypominał mu raczej przyjaciel niż matka. Poza tym musiał uczciwie przyznać, że czułby się trochę dziwnie, gdyby miał obudzić się w środku nocy i pójść do łazienki ze świadomością, że oprócz niego w całym mieszkaniu nie ma nikogo. Jasne, na pewno dałby sobie radę… ale czułby się nietęgo, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości.

- A co z kanapą? - zapytał. - Jak się ją rozłoży, robi się z niej łóżko, prawda?

Nigdy nie wykorzystywali jej w ten sposób, ale Bobby'emu wydawało się, że mama wspominała kiedyś o takiej możliwości. Okazało się, że ma rację, i w ten sposób problem został rozwiązany. Mama najwyraźniej nie życzyła sobie, żeby spał w jej łóżku (a tym bardziej żeby

spał tam „Brattigan”), i z pewnością nie zgodziłaby się posłać go na górę, do dusznego i gorącego pokoju na drugim piętrze. Tak intensywnie szukała wyjścia z trudnej sytuacji, że przeoczyła to najbardziej oczywiste.

Postanowiono więc, że w następnym tygodniu Ted spędzi dwie noce na rozłożonej kanapie w salonie Garfieldów. Bobby był zachwycony: nie dość że czekały go dwa dni samodzielności (a nawet trzy, jeśli liczyć czwartek), to na dodatek w nocy miał z nim zostać jego dorosły przyjaciel, nie jakaś tam opiekunka do dzieci. Może to nie było to samo co tygodniowy turnus w obozie Winnie, ale i tak całkiem nieźle. Obóz przy Broad Street, pomyślał Bobby i niewiele brakowało, żeby roześmiał się głośno.

- Damy sobie radę - powiedział Ted. - Zrobię moją słynną casserole z fasolą i frankfurterkami.

Przesunął ręką po krótko obciętych włosach Bobby’ego.

- Skoro zamierzacie raczyć się takimi specjałami, może powinniście zabrać to na dół - zaproponowała Liz, wskazując papierosem wentylator Teda.

Obaj parsknęli śmiechem, ona zaś uśmiechnęła się z przekąsem, zaciągnęła się jeszcze raz i zgasiła papierosa w popielniczce. Bobby po raz kolejny zwrócił uwagę na jej opuchnięte powieki.

Schodząc za nią po schodach, Bobby przypomniał sobie ogłoszenie o zaginionym corgi imieniem PHIL, który przynosi PIŁECZKĘ, jeśli zawołać POSPIESZ SIĘ, PHIL! Powinien opowiedzieć o tym Tedowi. Powinien opowiedzieć mu o wszystkim. Ale jeżeli to zrobi, i jeżeli Ted spakuje się i wyjedzie, to kto zostanie z nim na noc w przyszłym tygodniu? Co się stanie z obozem przy Broad Street, w którym dwaj przyjaciele zajadają na obiad słynną casserole z fasolą i frankfurterkami (być może przed telewizorem, co w obecności mamy było prawie nie do pomyślenia), a potem siedzą do późnej nocy i kładą się spać wtedy, kiedy zechcą?

Przysiągł sobie, że w przyszły piątek, po powrocie mamy z konferencji, seminarium, czy czegoś tam, powie Tedowi o wszystkim. Złoży szczegółowy raport, a Ted zrobi, co będzie uważał za stosowne.

To postanowienie tak bardzo podniosło go na duchu, że kiedy dwa dni później na tablicy ogłoszeń w Total Grocery zobaczył przyczepioną do góry nogami kartkę z nadrukiem SPRZEDAM (chodziło o zmywarko-suszarkę do naczyń), szybko przeszedł nad tym do porządku dziennego.

Mimo wszystko był to trudny weekend dla Bobby'ego Garfielda. Nawet bardzo trudny. Wypatrzył jeszcze dwa ogłoszenia o zaginionych zwierzętach - jedno w centrum, drugie przy Asher Avenue, prawie kilometr za kinem. (Nie ograniczał się już do patrolowania jedynie najbliższej okolicy; jego wyprawy zwiadowcze stawały się coraz dłuższe i dłuższe). Ted częściej niż do tej pory tracił kontakt z rzeczywistością, a ataki te trwały dłużej niż dotychczas. Niekiedy coś wtedy mówił - nie zawsze po angielsku, a jeżeli nawet po angielsku, to nie zawsze z sensem. Przez większość czasu Bobby uważał Teda za jednego z najnormalniejszych, najbystrzejszych i najsympatyczniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkał, kiedy jednak nadchodził atak, robiło się strasznie. Na szczęście mama nie miała o niczym pojęcia. Bobby podejrzewał, że chyba nie zgodziłaby się zostawić go pod opieką człowieka, który od czasu do czasu całkowicie „rozłączał się" i wygadywał bzdury po angielsku albo w jakimś obcym języku.

Po jednym z tych incydentów, kiedy Ted niemal przez półtorej minuty wpatrywał się tępo w przestrzeń, nie reagując na coraz bardziej natarczywe pytania, Bobby'emu przyszło do głowy, iż być może jego przyjaciel wcale nie zamknął się we własnej głowie, lecz przeniósł się w zupełnie inny świat, zupełnie jak bohaterowie „Pierścienia wokół Słońca", wędrujący z planety na planetę.

W chwili kiedy Ted „odszedł", trzymał w palcach chesterfielda; papieros zamienił się w długi słupek popiołu, który w końcu spadł na stół. Gdy żar niebezpiecznie zbliżył się do palców mężczyzny, Bobby ostrożnie wyjął papierosa spomiędzy nieruchomych palców. W chwili kiedy upychał go w przepełnionej popielniczce, Ted odzyskał świadomość.

- Palisz? - zapytał ze zmarszczonymi brwiami. - Chyba jesteś na to trochę za młody.

- Chciałem go tylko zgasić. Bałem się, że… - Umilkł i wzruszył ramionami.

Ted popatrzył na pożółkłe od nikotyny palce swojej prawej ręki, po czym zaśmiał się chrapliwie. W jego głosie nie było ani śladu wesołości.

- Bałeś się, że się poparzę?

Chłopiec skinął głową.

- Co myślisz, kiedy to cię nachodzi? Gdzie wtedy jesteś?

- Tego nie da się tak łatwo wyjaśnić - odparł Ted, a następnie poprosił o przeczytanie horoskopu.

Rozmyślania o zagadkowych transach Teda były mocno absorbujące, a ponieważ Bobby wracał także myślami do tego wszystkiego, o czym powinien był powiedzieć, a nie powiedział

swemu pracodawcy, trudno się dziwić, że fatalnie pudłował podczas popołudniowego meczu, w piątek zaś, kiedy padał deszcz, przegrał ze Smutnym Johnem cztery razy z rzędu w okręty.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał wreszcie Smutny John. - Przecież już tu strzelałeś! A ja muszę prawie wrzeszczeć, żebyś raczył mnie usłyszeć. O co chodzi?

- O nic - odparł Bobby, chociaż w głębi duszy wiedział, że chodziło o wszystko.

Także Carol pytała go kilka razy, czy wszystko w porządku, pani Gerber chciała wiedzieć, jak z jego apetytem, Yvonne Loving z kolei zapytała z niewinną minką, czy może ma mononukleozę, po czym rozchichotała się tak bardzo, że mało nie rozpadła się na kawałki.

Jedyną osobą, która nie zwróciła uwagi na dziwne zachowanie Bobby'ego, była jego mama. Liz Garfield coraz bardziej angażowała się w przygotowania do wyjazdu do Providence; wieczorami prowadziła długie telefoniczne rozmowy z panem Bidermanem oraz z dwoma pozostałymi uczestnikami wyjazdu (jeden z nich nazywał się Bill Cushman, nazwisko drugiego wciąż uciekało Bobby'emu z pamięci), rozkładała na łóżku ubrania, przyglądała im się krytycznie, potrząsała z dezaprobatą głową, wpychała je z powrotem do szafy, umawiała się do fryzjera, chwilę potem dzwoniła ponownie i pytała, czy przy okazji będą mogli zrobić jej manicure. Bobby nie był pewien, co to jest manicure, ale postanowił zapytać o to Teda.

Nie ulegało wątpliwości, że jest bardzo podekscytowana perspektywą wyjazdu, ale jej nastrój był daleki od beztroski. Zachowywała się trochę jak żołnierz czyniący ostatnie przygotowania do szturmu na okopy nieprzyjaciela albo jak spadochroniarz tuż przed skokiem na terytorium zajętym przez wroga. Jedna z szeptanych wieczornych rozmów telefonicznych bardzo przypominała kłótnię - rozmówcą był chyba pan Biderman. Kiedy w sobotę Bobby wszedł do jej pokoju, właśnie oglądała dwie nowe sukienki; bardzo ładne sukienki, jedna z cienkimi ramiączkami, druga w ogóle bez ramiączek. Na podłodze walały się otwarte pudła, w których je przywieziono, a mama patrzyła na sukienki z wyrazem twarzy, którego Bobby nigdy u niej nie widział: szeroko otwarte oczy, ściągnięte brwi, blade policzki z czerwonymi plamami wypieków. Uniosła rękę do ust i bezwiednie obgryzała paznokcie. W popielniczce na toaletce dogasał zapomniany papieros.

- Mamo…

Aż podskoczyła - NAPRAWDĘ podskoczyła - i spiorunowała go wzrokiem.

- Bobby, do cholery! Nie potrafisz pukać?

- Przepraszam - wyszeptał i począł tyłem wycofywać się z pokoju. Do tej pory nigdy nie wspominała o pukaniu. - Dobrze się czujesz, mamusiu?

- Doskonale! - Sięgnęła po papierosa, zaciągnęła się łapczywie i wypuściła dym z taką siłą, że Bobby wcale by się nie zdziwił, gdyby wydobył się nie tylko z ust i nosa, ale i uszu. - A czułabym się jeszcze lepiej, gdyby udało mi się znaleźć sukienkę, w której nie wyglądałabym jak krowa. Czy wiesz o tym, że kiedyś nosiłam rozmiar 6? Zanim wyszłam za twojego ojca, nosiłam rozmiar 6! A teraz spójrz na mnie: tłusta krowa, cholerny Moby Dick!

- Mamo, wcale nie jesteś gruba. Ostatnio nawet…

- Proszę cię, idź sobie. Zostaw mnie w spokoju. Boli mnie głowa.

Tej nocy znowu słyszał jej płacz, nazajutrz zaś zobaczył, jak starannie pakuje do walizki jedną z nowych sukienek - tę z cienkimi ramiączkami. Druga wróciła do pudła z napisem SUKNIE I SUKIENKI OD LUCIE Z BRIDGEPORT.

W poniedziałek Liz zaprosiła na obiad Teda Brautigana. Bobby uwielbiał rzymską pieczeń mamy i zazwyczaj prosił o dokładkę, tym razem jednak miał poważne problemy ze zjedzeniem choćby jednej porcji. Bał się, że Ted wpadnie w trans, a mama dostanie wtedy ataku szału.

Na szczęście jego obawy okazały się nieuzasadnione. Ted opowiadał o swoim dzieciństwie w New Jersey, a potem, poproszony o to przez gospodynię, o pracy w Hartford. Co prawda chłopiec odniósł wrażenie, że na tym gruncie Ted czuł się niezbyt pewnie, ale mama chyba nie zwróciła na to uwagi. Następnie Ted poprosił o dokładkę.

Po posiłku mama dała mu kartkę z numerami telefonów. Były tam między innymi numery doktora Gordona, kierownika Sterling House oraz hotelu Warwick.

- Gdyby były jakieś problemy, proszę natychmiast dzwonić, dobrze?

Ted skinął głową.

- Oczywiście.

- A jak z tobą, Bobby? - Na sekundę położyła mu rękę na czole, jakby sprawdzała temperaturę. - Nie boisz się?

- Pewnie, że nie! Będziemy się świetnie bawić, prawda, panie Brautigan?

- Och, mów mu Ted! - Zabrzmiało to niemal jak parsknięcie. - A skoro ma spać w naszym salonie, ja też chyba powinnam mówić mu po imieniu. Mogę?

- Bardzo proszę. A więc od tej pory jestem Ted.

Uśmiechnął się. Zdaniem Bobby'ego był to uroczy uśmiech, szczery i przyjazny. Nie rozumiał, jak ktokolwiek mógłby się mu oprzeć, ale jego mama mogła i potrafiła to uczynić. Chociaż odpowiedziała uśmiechem, palce, w których trzymała chusteczkę, zaciskały się i rozluźniały w doskonale znanym Bobby'emu geście dezaprobaty. Natychmiast przyszło mu na myśl jedno z jej ulubionych powiedzonek: „Ufam mu (albo jej) na tyle, na ile sama mogę przesunąć fortepian".

- A ja jestem Liz.

Podali sobie nad stołem ręce i uścisnęli je, jakby dopiero co się spotkali. Bobby jednak doskonale zdawał sobie sprawę, że ze strony mamy to tylko pozory, że nikt ani nic nie zdoła już zmienić jej nieprzychylnego nastawienia do Teda i że gdyby nie znalazła się w sytuacji bez wyjścia, za nic w świecie nie zostawiłaby syna pod opieką nowego lokatora z drugiego piętra.

Wyjęła z torebki białą kopertę i podała ją Tedowi.

- Tu jest dziesięć dolarów. Przypuszczam, że przynajmniej raz będziecie chcieli zjeść coś na mieście albo pójść do kina… Nie mam pojęcia, co poza tym mogłoby się zdarzyć, ale lepiej dmuchać na zimne, prawda?

Ted skinął głową.

- Masz całkowitą rację. - Starannie schował kopertę do przedniej kieszeni spodni. - Chociaż wątpię, czy uda nam się wydać dziesięć dolarów przez trzy dni, prawda, Bobby?

- Pewnie, że nie. Choć byśmy nie wiadomo jak się starali.

- Oszczędzaj, a nigdy nie będziesz w potrzebie. - Jeszcze jedno powiedzonko, prawie równie często powtarzane, jak „Głupiego pieniądz się nie trzyma". Wyjęła papierosa z paczki leżącej na kanapie i zapaliła lekko drżącą ręką. - Dacie sobie radę. Przypuszczam, że będziecie się bawili lepiej ode mnie.

Nawet na pewno, pomyślał Bobby, patrząc na jej poobgryzane paznokcie.

Podróż do Providence miała się odbyć samochodem pana Bidermana. Nazajutrz o siódmej rano Liz i Bobby czekali na ganku. Lekka mgiełka świadczyła o tym, że nadeszły upalne letnie dni. Od strony Asher Avenue dobiegały odgłosy porannego ruchu, ale po Broad Street tylko od czasu do czasu przejeżdżał jakiś samotny samochód osobowy albo furgonetka. Słychać było posykiwanie zraszaczy trawników oraz stłumione, nieustające ujadanie Bowsera. Bowser szczekał zawsze tak samo, niezależnie od pory roku. Dla Bobby'ego był niezmienny jak Bóg.

- Wcale nie musisz tu stać ze mną - powiedziała Liz.

Miała na sobie cienki płaszcz i paliła papierosa. Mimo mocniejszego niż zazwyczaj makijażu Bobby bez trudu dostrzegł sińce pod jej oczami, nieomylną oznakę kolejnej nieprzespanej nocy.

- Wiem.

- Mam nadzieję, że to był dobry pomysł, żebyś z nim został.

- Nie martw się, mamo. Ted to dobry człowiek.

Mruknęła pod nosem niezrozumiale.

U podnóża wzniesienia błysnęło coś srebrzyście i ozdobiony licznymi chromowaniami mercury pana Bidermana (może nie do końca wulgarny, ale i tak ogromny) skręcił w ich ulicę i majestatycznie potoczył się w kierunku numeru 149.

- Już jest! - Liz była podekscytowana i zarazem zdenerwowana. - Daj mi szybko buziaka! Nie będę cię całować, żeby nie rozmazać sobie szminki.

Bobby objął ją za szyję i delikatnie pocałował w policzek. Czuł zapach jej włosów, perfum, pudru. Ostatni raz całował matkę z bezgraniczną, niczym nieprzyćmioną miłością.

Uśmiechnęła się z roztargnieniem, ale patrzyła nie na niego, lecz na wielki samochód pana Bidermana, który z wdziękiem zjechał do krawężnika i zatrzymał się przed domem. Sięgnęła po walizki (Bobby'emu wydawało się, że dwie walizki to dość dużo bagaży jak na dwa dni, chociaż z drugiej strony nowa sukienka przypuszczalnie zajmowała większą część jednej z nich), lecz on był szybszy.

- To dla ciebie za ciężkie, Bobby. Spadniesz ze schodków.

- Nie spadnę.

Zerknęła na niego badawczo, ale zaraz potem skoncentrowała uwagę na panu Bidermanie, który właśnie wysiadł z samochodu: pomachała mu, szybko zeszła po schodkach, stukając obcasami.

Bobby podążył za nią, starając się nie dać po sobie poznać, ile wysiłku go to kosztuje. Co ona tam napchała? Ubrania czy cegły?

Udało mu się jakoś przetaszczyć je na chodnik. Pan Biderman przelotnie pocałował mamę w policzek, a następnie wyjął z kieszeni kluczyk od bagażnika.

- Jak tam, spryciarzu? Co słychać? - Pan Biderman zawsze nazywał Bobby'ego spryciarzem. - Dawaj tu ten majdan. Kobiety zawsze muszą zabrać co najmniej pół domu, no nie? Ale cóż, znasz to stare powiedzenie: trudno z nimi wytrzymać, ale strzelać nie wolno, chyba

że w Montanie… -Pokazał zęby w uśmiechu, który przywiódł Bobby'emu na myśl Jacka z „Władcy much". - Wziąć jedną?

- Dam sobie radę - wysapał Bobby i z ponuro opuszczoną głową ruszył w kierunku krawężnika. Potwornie bolały go ramiona, a kark piekł jak spalony słońcem.

Pan Biderman podniósł klapę bagażnika, przejął od niego walizki i włożył je do środka. Mama rozmawiała przez otwarte okno z dwoma mężczyznami siedzącymi z tyłu. Roześmiała się głośno, ale Bobby nie dał się zwieść: jej śmiech był równie autentyczny jak drewniana noga.

Pan Biderman zatrzasnął bagażnik i spojrzał w dół na chłopca. Był szczupłym mężczyzną o nieproporcjonalnie szerokiej twarzy i zawsze zarumienionych policzkach. Między starannie przyczesanymi włosami przeświecała różowa skóra. Nosił nieduże okrągłe okularki w złotych oprawkach. Również jego uśmiech nie miał w sobie nic naturalnego.

- Będziesz grał tego lata w baseball, spryciarzu? Ugiął nogi w kolanach i udał, że szykuje się do uderzenia. Wyglądał jak kretyn.

- Tak, proszę pana. Gram w drużynie Wilków ze Sterling House. Miałem nadzieję, że wezmą mnie do Lwów, ale…

- Świetnie. Doskonale. - Pan Biderman z namaszczeniem spojrzał na zegarek (ogromny złoty twist-o-flex, błyszczący oślepiająco w promieniach słońca), a następnie poklepał Bobby'ego po policzku. Chłopiec najchętniej cofnąłby się o krok, ale jakoś zdołał nad sobą zapanować. - Musimy już ruszać. Baw się dobrze, spryciarzu. I dzięki, że pożyczyłeś nam mamę.

Odwrócił się i zaprowadził Liz do drzwi po stronie pasażera. Objął ją lekko w talii - Bobby'emu podobało się to jeszcze mniej niż niedawny pocałunek. W chwili kiedy spojrzał na siedzących z tyłu mężczyzn (teraz sobie przypomniał: ten drugi nazywał się Dean), obaj uśmiechnęli się do siebie porozumiewawczo i trącili się łokciami.

Coś tu nie gra, przemknęło Bobby'emu przez głowę. Kiedy pan Biderman otworzył przed mamą drzwi, ona zaś skinęła głową, zebrała fałdy sukienki i wsiadła, niewiele brakowało, żeby podbiegł do niej i poprosił, by nie jechała. Rhode Island była bardzo daleko. Ba, nawet Bridgeport było zbyt daleko. Powinna zostać w domu.

Nic jednak nie powiedział, tylko stał na krawężniku i patrzył, jak pan Biderman zatrzaskuje drzwi po stronie pasażera, a następnie okrąża samochód i otwiera te po stronie kierowcy. Mężczyzna zatrzymał się, odwrócił do Bobby'ego i ponownie odegrał baseballową

pantomimę, na koniec zaś wesołkowato zatrzepotał palcami. Boże, co za dureń, pomyślał chłopiec.

- Nie rozrabiaj za bardzo, spryciarzu! - zawołał.

- A jeśli już, to niczego sobie nie żałuj! - zawtórował mu Cushman.

Bobby nie bardzo rozumiał, o co chodzi, ale chyba było to coś zabawnego, ponieważ Dean parsknął śmiechem, pan Biderman natomiast posłał Cushmanowi porozumiewawcze mrugnięcie.

Mama wychyliła się przez okno.

- Sprawuj się dobrze, Bobby. Będę we czwartek około ósmej, a na pewno nie później niż o dziesiątej. Jesteś pewien, że dasz sobie rad"?

Nie, wcale nie jestem pewien. Nie jedź z nimi, mamusiu, nie jedź z panem Bidermanem i tymi dwoma szczerzącymi zęby kretynami! Proszę!

- Pewnie, że tak! - odpowiedział za niego pan Biderman. - Prawda, spryciarzu?

- Bobby? - Patrzyła mu badawczo w oczy.

- Jasne - odparł przez ściśnięte gardło. - Wszystko będzie w porządku.

Pan Biderman roześmiał się chrapliwie - jak zarzynana świnia, przemknęło Bobby'emu przez głowę - i uruchomił silnik.

- A więc do Providence! - wykrzyknął, po czym samochód ruszył z miejsca i Majestatycznie potoczył się w kierunku Asher Avenue. Bobby stał na krawężniku i machał; mercury minął najpierw dom Carol… Potem Smutnego Johna…

Bolało go serce, jakby utkwił w nim kościany grot strzały. Jeżeli tak wyglądało przeczucie - przebłysk - to wolałby już nigdy żadnego nie mieć.

Poczuł na ramieniu czyjąś rękę. Odwrócił się i zobaczył Teda w szlafroku i kapciach, z papierosem w dłoni. Z pewnością nie zdążył się uczesać, ponieważ siwe włosy sterczały mu zabawnie we wszystkie strony.

- Więc to był jej szef? Bidermeyer, zgadza się?

- Biderman.

- Lubisz go, Bobby?

- Ufam mu na tyle, na ile sam mogę przesunąć fortepian - odparł chłopiec przygaszonym tonem.

6

Obleśny staruch. Casserole Teda. Zły sen.

„Wioska przeklętych”. Dolizna.

Jakąś godzinę po odjeździe matki Bobby zjawił się na boisku B za Sterling House. Prawdziwe mecze miały się rozpocząć dopiero po południu, teraz zaś trwały jedynie rozgrzewki i ćwiczenia techniczne, ale nawet to było lepsze niż nic. Na boisku A gromada dzieciaków udawała, że gra w baseball, na boisku C z kolei nieco starsi zawodnicy grali bardziej na serio.

Krótko po tym, jak ratuszowy zegar wybił południe i zawodnicy rozbiegli się w poszukiwaniu wózka z hot dogami, Bill Pratt zapytał:

- Co to za dziwny gość?

Wskazywał na ukrytą w cieniu ławkę. Chociaż Ted miał na sobie długi płaszcz, stary kapelusz z szerokim rondem i ciemne okulary, Bobby rozpoznał go niemal natychmiast. Przypuszczalnie rozpoznałby go również Smutny John, gdyby nie to, że był teraz w Obozie Winnie. Bobby odruchowo podniósł rękę, żeby pomachać, ale natychmiast ją opuścił; przecież Ted był w przebraniu. Mimo to chłopcu zrobiło się bardzo przyjemnie, że jego starszy przyjaciel zadał sobie tyle trudu, by tu przyjść i oglądać go na boisku. Mama zdobyła się na to tylko dwa razy, w sierpniu zeszłego roku, kiedy drużyna Bobby’ego awansowała do finałowych rozgrywek mistrzostw trójmiasta, ale nawet wtedy nie wytrwała do końca meczu, a właśnie w końcówce Boby zdobył punkty decydujące o zwycięstwie. „Ktoś musi pracować, Bobby-O - powiedziałaby z pewnością, gdyby odważył się poruszyć ten temat. - Twój ojciec nie zostawił nam zbyt wiele”. Naturalnie miałaby rację: ona musiała przecież pracować, Ted natomiast był już na emeryturze… Ale z drugiej strony Ted ukrywał się przed małymi ludźmi w żółtych płaszczach, a to zadanie wymagało pełnego zaangażowania przez całą dobę. Fakt, że ludzie ci nie istnieli, nie miał najmniejszego znaczenia. Ted wierzył w ich istnienie, a mimo to przyszedł tu, żeby mu kibicować.

- To pewnie jakiś obleśny staruch, który czeka, aż jakiś dzieciak zrobi mu loda - powiedział Harry Shaw.

Harry był niski i twardy, parł przez życie z zaciśniętymi pięściami i czołem pochylonym do ataku. W towarzystwie Billa i Harry’ego Bobby jeszcze bardziej tęsknił za Smutnym Johnem,

który w poniedziałek, o zupełnie kretyńskiej piątej rano, odjechał autokarem do Obozu Winnie. Smutny John był spokojny i życzliwie nastawiony do świata, i chyba właśnie tę życzliwość Bobby cenił sobie najbardziej.

Z boiska C dobiegł suchy, donośny odgłos soczystego uderzenia pałką - żaden z młodszych chłopców tak jeszcze nie potrafił bić - zaraz potem rozległy się dzikie, radosne okrzyki i pohukiwania. Bill, Harry i Bobby nerwowo zerknęli w tamtą stronę.

- Chłopaki z Gabriela - mruknął Bill. - Wydaje im się, że są sami na świecie.

- To palanty - parsknął lekceważąco Harry. - Dałbym radę każdemu z nich.

- A piętnastu albo dwudziestu naraz? - zapytał Bill, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Na horyzoncie, błyszczący jak lustro, pojawił się wózek z hot dogami. Bobby wsunął rękę do kieszeni, gdzie spoczywał dolarowy banknot. Ted wyjął go z koperty, którą wręczyła mu matka Bobby'ego, potem wsunął ją za opiekacz i powiedział chłopcu, żeby sięgał tam zawsze, kiedy uzna za stosowne. Tak wielkie zaufanie wprawiło Bobby'ego niemal w uniesienie.

- Każdy kij ma dwa końce - zauważył Bill. - Może ci z Gabriela dadzą wycisk temu obleśnemu staruchowi.

Bobby kupił nie dwa hot dogi, jak zamierzał, ale tylko jednego. Nagle stracił apetyt. Kiedy wrócili na boisko B, na którym tymczasem zjawili się trenerzy Wilków ze sprzętem, ławka w cieniu była już pusta.

- Z życiem, panowie, z życiem! - zawołał na ich widok
trener Terrell. - Macie ochotę pograć trochę w baseball?

Tego wieczoru Ted przygotował swoją słynną casserole. W praktyce oznaczało to kilka kolejnych hot dogów, ale latem 1960 roku Bobby Garfield mógłby jadać nawet trzy hot dogi dziennie i dodatkowo jednego przed pójściem do łóżka.

W czasie kiedy Ted szykował posiłek, Bobby czytał mu gazetę. Teda zainteresowało tylko kilka szczegółów dotyczących zbliżającej się walki Pattersona z Johanssonem, zwanej przez niektórych walką stulecia, oraz wszystkie informacje na temat pojedynku Albiniego z Haywoodem w Madison Square Garden w Nowym Jorku. Chłopcu wydało się to co najmniej dziwne, ale był zbyt szczęśliwy, żeby wspomnieć o tym choć słowem, a tym bardziej narzekać.

Pierwszy raz w życiu spędzał wieczór bez matki i bardzo za nią tęsknił, równocześnie jednak był zadowolony, że wyjechała. Od kilku tygodni, może nawet od miesięcy, atmosfera w domu była dziwnie napięta - zupełnie jakby gdzieś w tle bezustannie brzęczało jakieś urządzenie

elektryczne, lecz z istnienia tego dokuczliwego dźwięku najłatwiej można było zdać sobie sprawę dopiero wtedy, kiedy ucichł. To skojarzenie przywiodło mu na myśl jeszcze jedno powiedzonko mamy.

- O czym tak rozmyślasz? - zapytał Ted, kiedy Bobby przyszedł po talerze.

- Że zmiany bywają niekiedy równie mile widziane jak ich brak. Tak mawia moja mama. Mam nadzieję, że bawi się tak samo dobrze jak ja.

- Ja też mam taką nadzieję - odparł Ted, pochylając się nad otwartym piekarnikiem. - Ja też.

Casserole była doskonała: z puszkowanej fasoli B&M (ulubionego gatunku Bobby'ego) oraz rzadko spotykanych pikantnych parówek kupionych nie w supermarkecie, lecz u rzeźnika w jednej z uliczek odchodzących od rynku. (Bobby przypuszczał, że Ted kupił je, będąc w przebraniu). Do tego również pikantny sos, od którego najpierw szczypało w ustach, a potem pot zalewał twarz. Ted wchłonął dwie porcje, Bobby natomiast aż trzy, spłukując gardło ogromnymi ilościami napoju grapefruitowego.

Podczas posiłku Tedowi zdarzyło się jedno „odejście": najpierw powiedział, że czuje ICH na dnie oczu, potem zaś przez krótką chwilę bełkotał w jakimś obcym języku; incydent ten trwał jednak krótko i w najmniejszym nawet stopniu nie wpłynął na osłabienie apetytu Bobby'ego. Zdążył już przywyknąć, że niespodziewane transy stanowią nieodłączną cechę Teda na równi z jego powłóczeniem nogami oraz nikotynowymi plamami na palcach.

Sprzątali razem: Ted schował resztki casserole do lodówki i zajął się zmywaniem, Bobby wycierał naczynia i odstawiał na miejsce.

- Chciałbyś wyskoczyć jutro ze mną do Bridgeport? - zapytał Ted. - Mam tam coś do załatwienia, a przy okazji moglibyśmy pójść do kina.

- Jasne! A co chciałbyś zobaczyć?

- Jestem otwarty na propozycje, ale chętnie obejrzałbym „Wioskę przeklętych". To angielski film, na podstawie bardzo dobrej powieści science fiction Johna Wyndhama. Pasuje?

Bobby aż zaniemówił z radości. Widział w gazetach reklamy tego filmu - te dzieciaki ze świecącymi oczami! - ale nawet przez myśl mu nie przeszło, że będzie mógł go obejrzeć. Takich filmów raczej nie pokazywano na porannych sobotnich seansach w Harwich ani w Asher Empire; zawsze natomiast można było liczyć na jakieś dzieło o wyłupiastookich potworach, western albo coś z wojennego repertuaru Audie Murphy'ego. Co prawda mama dość często zabierała go ze

sobą również na wieczorne seanse, jednakże unikała filmów science fiction (uwielbiała za to nastrojowe historie miłosne takie jak „The Dark at the Top of the Stairs"). Również kina w Bridgeport w niczym nie przypominały zabytkowego Harwich ani odrobinę nijakiego Empire: były jak bajkowe pałace z ogromnymi ekranami ukrytymi za suto marszczonymi zasłonami z pluszu, sufitami rozbłyskującymi setkami lampek udających gwiazdy, wspaniałymi głośnikami… i DWOMA balkonami.

- Więc jak, Bobby?

- No pewnie! - Był niemal pewien, że nie zaśnie tej nocy. - Super! Ale nie boisz się… No wiesz… - Nie pojedziemy autobusem, tylko taksówką, a po seansie wezwiemy taksówkę przez telefon. Wszystko będzie w porządku. Poza tym mam wrażenie, że się oddalają. Nie wyczuwam ich już tak wyraźnie.

Jednak mówiąc to, uciekł spojrzeniem w bok, jak człowiek, który sam sobie usiłuje wmówić mało prawdopodobną historię. Z pewnością miał ku temu powody, jeśli sądzić po coraz częstszych nawrotach transów…

Przestań, mali ludzie nie istnieją, są tak samo prawdziwi jak Flash Gordon i Dale Arden. Te rzeczy, których masz wypatrywać, to… to po prostu rzeczy. Pamiętaj o tym, Bobby-O. Po prostu zwyczajne rzeczy.

Kiedy już wszystko było posprzątane, zasiedli przed telewizorem, by obejrzeć „Bronco" z Ty Hardinem, może nie najlepszy spośród tak zwanych dorosłych westernów (najlepsze były bez wątpienia „Cheyenne" i „Maverick"), ale i nie najgorszy. Mniej więcej w połowie filmu Bobby puścił dość głośnego bąka; casserole Teda zaczęła działać. Zażenowany zerknął ukradkiem na Teda, ale ten ani się nie skrzywił, ani demonstracyjnie nie zatkał nosa. Po prostu siedział i patrzył w ekran.

Podczas przerwy na reklamy (jakaś aktorka zachwalała lodówki) Ted zapytał, czy Bobby miałby ochotę na szklankę lemoniady. Chłopiec odparł, że owszem.

- A mnie przydałaby się jedna z tabletek alka-seltzer, które zauważyłem w łazience. Chyba trochę za dużo zjadłem.

W chwili kiedy wstawał, rozległo się donośne, dźwięczne pierdnięcie. Bobby zasłonił sobie usta ręką i zachichotał, na co Ted obrzucił go bolesnym spojrzeniem i wyszedł. Rechoczący Bobby nie potrafił zapanować nad żołądkiem; kolejne bąki rozśmieszały go coraz bardziej, tak że

kiedy wreszcie Ted wrócił z dwiema szklankami - jedną wypełnioną wodą z wciąż jeszcze syczącą tabletką, drugą z lemoniadą - chłopiec aż płakał ze śmiechu.

- To powinno nam pomóc - oświadczył Ted. Pochylił się, by postawić szklanki na stoliku, i dodał wagi swoim słowom potężnym trąbnięciem. - Zdaje się, że właśnie gęś wyleciała mi z tyłka - dodał jakby nigdy nic, co rozbawiło Bobby'ego do tego stopnia, że zsunął się z fotela i rechocząc jak opętany, zwinął się w kłębek na podłodze.

- Zaraz wracam - powiedział Ted. - Przyda nam się coś jeszcze.

Wychodząc z mieszkania, zostawił otwarte drzwi, dzięki czemu Bobby słyszał, jak wspina się po schodach. Kiedy Ted dotarł na swoje piętro, chłopiec zdołał się jakoś wgramolić z powrotem na fotel. Nigdy w życiu się tak nie uśmiał. Przełknął nieco lemoniady… i oczywiście znowu pierdnął.

- To tylko… To tylko gęś… wyleciała… wyleciała…

Nie zdołał dokończyć. Opadł bez sił na fotel i wył ze śmiechu, bezradnie kręcąc głową.

Zaskrzypiały schody, a wkrótce potem do pokoju wkroczył Ted z wentylatorem pod pachą.

- Twoja mama miała rację - powiedział.

Kiedy się schylił, by wsadzić wtyczkę do kontaktu, uwolnił kolejną gęś.

- Ona prawie zawsze ma rację - odparł Bobby.

Nie wiedzieć czemu, obu szalenie to rozbawiło. Wentylator młócił łopatkami wirnika coraz bardziej wonne powietrze, a oni tak sobie siedzieli i zaśmiewali się do rozpuku. Bobby pomyślał, że jeśli zaraz nie przestanie, to niedługo po prostu pęknie.

Jak tylko „Bronco" dobiegł końca (Bobby nie był w stanie uważnie śledzić intrygi), wspólnymi siłami rozłożyli kanapę. Łóżko nie prezentowało się zbyt okazale, ale Liz naszykowała świeżą pościel i Ted stwierdził, że będzie mu doskonale. Bobby poszedł umyć zęby, a w drodze do swego pokoju zajrzał do salonu, w którym Ted siedział na krawędzi łóżka i oglądał wiadomości.

- Dobranoc.

Mężczyzna spojrzał na niego i Bobby'emu wydawało się przez chwilę, że Ted zaraz wstanie, podejdzie, obejmie go i może nawet pocałuje, ale on tylko podniósł rękę w zabawnym, niezdarnym salucie.

- Śpij dobrze, chłopcze.

- Dziękuję.

Bobby zamknął drzwi swojego pokoju, wyłączył światło, położył się na wznak w łóżku i szeroko rozłożył nogi. Wpatrując się w ciemność, myślał o tym, jak kiedyś Ted położył mu ręce na ramionach, a potem splótł dłonie na jego karku. Ich twarze były wtedy niemal tak blisko jak twarze Bobby'ego i Carol tuż przed pocałunkiem. Myślał też o kłótni z matką… o dniu, w którym dowiedział się o pieniądzach w katalogu… i o dniu, w którym wygrał dziewięćdziesiąt centów od McQuowna. „Idź i kup sobie drinka" - powiedział McQuown.

Czy zawdzięczał to Tedowi? Czy „przebłyski" zaczęły się pojawiać po tamtym, bliskim zetknięciu?

- Chyba tak - wyszeptał w ciemność. - Chyba tak właśnie było.

W takim razie co się stanie, jeżeli znowu mnie dotknie?

Zasnął, szukając odpowiedzi na to pytanie.

Śniło mu się, że na jego matkę polują w dżungli Jack i Prosiaczek, maluchy, Don Biderman, Cushman i Dean. Matka miała na sobie nową sukienkę od Lucie, czarną w prążki, poszarpaną w wielu miejscach przez ciernie i gałęzie. W równie opłakanym stanie znajdowały się jej pończochy, wyglądały jak martwa skóra zwieszająca się płatami z nóg. Oczy zamieniły się w dwie studnie wypełnione przerażeniem. Goniący ją chłopcy byli nadzy, Biderman i dwaj pozostali mężczyźni mieli na sobie garnitury. Wszyscy wymalowali sobie twarze czerwoną i białą farbą, wymachiwali włóczniami i wrzeszczeli: „Zabij świnię, chlaśnij gardło! Zabij świnię, wypij krew! Zabij świnię, rozpruj brzuch!".

Roztrzęsiony obudził się o szarym świcie i poszedł do łazienki. Kiedy wrócił do łóżka, szczegóły koszmarnego snu zatarły się już w jego pamięci. Przespał jeszcze dwie godziny, a gdy obudził się ponownie, poczuł zapach jajecznicy na boczku. Przez okno wlewał się słoneczny blask, a w kuchni Ted krzątał się przy śniadaniu.

„Wioska przeklętych" była ostatnim i zarazem najwspanialszym filmem, jaki Bobby Garfield obejrzał w dzieciństwie, oraz pierwszym i najwspanialszym filmem, jaki obejrzał w tym dziwnym, mrocznym okresie, który rozpoczyna się zaraz po dzieciństwie, kiedy często bywał niedobry, a jeszcze częściej zdezorientowany i kiedy niemal bez przerwy towarzyszyło mu wrażenie, że jest kimś, kogo prawie wcale nie zna. Policjant, który aresztował go po raz pierwszy, miał jasne włosy; kiedy wiózł go na komisariat ze sklepu, do którego Bobby się włamał (w tym czasie mieszkał z matką na przedmieściach Bostonu), chłopak myślał o tych

wszystkich jasnowłosych dzieciakach z „Wioski przeklętych”. Policjant wyglądał jak nieco starsza wersja któregoś z nich.

Film grano w Criterionie, najbardziej bajkowym ze wszystkich bajkowych pałaców, o których Bobby rozmyślał minionego wieczoru. Co prawda obraz był czarno-biały, ale za to ostry i wyraźny, nie tak jak na ekranie zenitha w mieszkaniu, a przede wszystkim OGROMNY. Muzyka z potężnych głośników również robiła wstrząsające wrażenie, szczególnie wtedy kiedy dzieci z Midwich naprawdę zaczęły robić użytek ze swych zdolności.

Film oczarował Bobby’ego. Nie minęły nawet cztery minuty projekcji, kiedy chłopiec zrozumiał, że ta historia jest prawdziwa - tak samo jak prawdziwa była historia opowiedziana we „Władcy much”. Ludzie wyglądali jak zwykli ludzie, wskutek czego wszelkie niesamowitości stawały się jeszcze bardziej niesamowite. Smutny John przypuszczalnie nudziłby się jak mops - no, może tylko samo zakończenie trochę by go rozruszało. Smutny John uwielbiał patrzeć, jak ogromne skorpiony niszczą Mexico City albo jak Rodan pustoszy Tokio, poza tym niewiele filmów mogło wzbudzić jego zainteresowanie. Jednak Smutny John był daleko… i chyba po raz pierwszy od wyjazdu przyjaciela Bobby wcale tego nie żałował.

Zdążyli na seans o pierwszej. Sala świeciła pustkami. Ted (w kapeluszu na głowie, z ciemnymi okularami schowanymi do kieszonki koszuli) kupił wielką torbę prażonej kukurydzy, paczkę drażetek owocowych, colę dla Bobby’ego i lemoniadę – a jakżeby inaczej! - dla siebie. Od czasu do czasu podsuwał chłopcu torbę lub pudełko, ten zaś odruchowo się częstował, ledwo jednak zdawał sobie sprawę z tego, że je, a już na pewno nie miał najmniejszego pojęcia co.

Film zaczął się od tego, że wszyscy mieszkańcy angielskiej wioski Midwich nagle zapadli w sen. (Człowiek, który akurat jechał traktorem, zginął, podobnie jak kobieta, która wpadła twarzą w rozpalony piecyk). Powiadomiono wojsko, które wysłało samolot zwiadowczy. Pilot zasnął natychmiast, jak tylko maszyna znalazła się nad Midwich, i oczywiście samolot roztrzaskał się o ziemię. Żołnierz, obwiązany w pasie liną, zdołał dotrzeć na dziesięć kroków w głąb „zakazanego” terenu, po czym również zapadł w głęboki sen. Obudził się gdy tylko wyciągnięto go poza namalowaną na szosie „linię snu”.

Po jakimś czasie mieszkańcy się obudzili i wydawało się, że wszystko wróciło do normy, ale kilka tygodni później kobiety z wioski stwierdziły, że są w ciąży. Stare, młode, nawet dziewczęta w wieku Carol Gerber - wszystkie zaszły w ciążę, a dzieci, które urodziły, to były właśnie te niesamowite dzieci z plakatu, z jasnymi włosami i świecącymi oczami.

Chociaż w filmie nie powiedziano tego wprost, Bobby odgadł, iż za pojawienie się Przeklętych Dzieci odpowiada jakiś kosmiczny fenomen, podobnie jak było w „Inwazji porywaczy ciał". Rosły szybciej od innych dzieci, były bardzo bystre, potrafiły zmuszać ludzi, żeby postępowali zgodnie z ich wolą… i były bezwzględne. Kiedy pewien ojciec postanowił ukarać jedno z nich, zebrały się i skierowały myśli na niewygodnego dorosłego (świecące oczy, pulsująca muzyka - ramiona Bobby'ego natychmiast pokryły się gęsią skórką), aż wreszcie nieszczęśnik zastrzelił się z własnej strzelby (na szczęście nie pokazano tego na ekranie).

Bohater nazywał się George Sanders. Jego żona również urodziła jasnowłose dziecko. Smutny John z pewnością kręciłby na niego nosem, nazywałby go „staruchem" albo „dziwakiem", ale Bobby'emu podobał się znacznie bardziej od bohaterów w rodzaju Randolpha Scotta, Richarda Carlsona i Audie Murphy'ego. Istotnie był trochę dziwny (w dodatku na szczególny angielski sposób), a poza tym, jak powiedziałby Denny Rivers, „nie dawał sobie w kaszę dmuchać". Nosił eleganckie krawaty, włosy czesał do tyłu i z pewnością nie wyglądał na kogoś, kto potrafiłby spuścić lanie paru knajpianym osiłkom, ale Przeklęte Dzieci tylko z nim chciały rozmawiać. Ba, nawet wymyśliły sobie, że będzie ich nauczycielem. Bobby jakoś nie mógł sobie wyobrazić, żeby supermądre dzieciaki z kosmosu zdołały się czegokolwiek nauczyć od Randolpha Scotta albo Audie Murphy'ego.

I to właśnie George Sanders zdołał się ich w końcu pozbyć. Odkrył sposób na ukrycie swoich myśli przed niesamowitymi dzieciakami: wystarczyło, że wyobraził sobie ceglany mur, za którymi ukrywał najskrytsze tajemnice. Kiedy wszyscy postanowili, że trzeba z nimi skończyć (doskonale dawały sobie radę z matematyką, ale nie potrafiły pojąć, że nie należy karać ludzi, zrzucając ich w przepaść), Sanders zapakował do teczki bombę zegarową i zabrał ją do szkolnej sali, bo tylko tam gromadziły się Przeklęte Dzieci. Bobby domyślał się instynktownie, iż stanowią one nadnaturalną wersję Jacka Merridew i jego myśliwych z „Władcy much".

Jednak domyśliły się, że coś przed nimi ukrywa. W niesamowitej finałowej scenie filmu widać było cegły sypiące się z muru wzniesionego w głowie Sandersa. Mur rozpadał się coraz szybciej pod naporem umysłów Przeklętych Dzieci, aż wreszcie ukazał się obraz bomby w teczce: kilka lasek dynamitu z podłączonym budzikiem. W niesamowitych złocistych oczach pojawiło się zrozumienie, ale było już za późno. Nastąpiła eksplozja. Bobby był wstrząśnięty śmiercią głównego bohatera (Randolph Scott, Audie Murphy ani Richard Carlson nigdy nie ginęli w filmach, które wyświetlano w Empire w sobotnie przedpołudnia), zdawał sobie jednak

sprawę, iż George Sanders oddał życie w Słusznej Sprawie. Przy okazji zrozumiał też (albo przynajmniej tak mu się zdawało) coś jeszcze: transy Teda.

Podczas ich pobytu w filmowym Midwich dzień w prawdziwym południowym Connecticut stał się suchy i gorący. Po dobrym filmie Bobby zawsze z niechęcią wracał do rzeczywistości; przez pewien czas odbierał ją jak niesympatyczny żart pełen ludzi o pustych oczach, nieciekawych planach i krostowatych twarzach. Niekiedy wydawało mu się, że życie byłoby znacznie ciekawsze, gdyby toczyło się według jakiegoś scenariusza.

- Brautigan i Garfield ruszają w miasto! - wykrzyknął Ted, gdy tylko wyszli na ulicę spod obszernej markizy ozdobionej reklamą papierosów Kool. - I co, podobało ci się?

- Jasne! Dzięki, że mnie zabrałeś. To chyba najlepszy film, jaki widziałem. Wtedy kiedy wziął ten dynamit… Myślałeś, że uda mu się ich nabrać?

- Pamiętaj, że wcześniej czytałem książkę. Myślisz, że też ją przeczytasz?

- Pewnie! - W gruncie rzeczy Bobby marzył tylko o tym, żeby jak najprędzej wrócić do Harwich, co sił w nogach popędzić do biblioteki i wypożyczyć „Kukułcze jaja z Midwich" na swoją nową kartę biblioteczną. - Czy ten człowiek napisał coś jeszcze?

- John Wyndham? Tak, mnóstwo książek. I na pewno napisze jeszcze niejedną. Autorzy science fiction i kryminałów mają tę miłą cechę, że rzadko kiedy robią sobie dłuższe przerwy między książkami, co z kolei jest niemal regułą wśród „poważnych" pisarzy, którzy piją wtedy whisky i romansują.

- Czy te inne książki są tak dobre jak ta?

- „Dzień tryfidów" jest co najmniej równie dobry, „Przebudzenie krakena" chyba nawet lepsze.

- Co to takiego ten kraken? Doszli do skrzyżowania i zatrzymali się przy krawężniku, czekając na zielone światło. Ted wykrzywił usta, wytrzeszczył oczy i pochylił się groźnie nad chłopcem.

- Kraken to potwór! - wycharczał niemal tak samo jak Boris Karloff.

Idąc dalej, dyskutowali najpierw o filmie, potem o prawdopodobieństwie występowania w kosmosie innych form życia, o niezwykłych krawatach George'a Sandersa (Ted powiedział, że taki rodzaj krawata nazywa się ascot). Kiedy Bobby wreszcie rozejrzał się dookoła, stwierdził, że dotarli do rejonu Bridgeport, w którym nigdy jeszcze nie był; przyjeżdżając tu z matką, kręcił się wyłącznie po centrum, gdzie znajdowały się duże sklepy. Tutaj sklepy były małe i ciasno

stłoczone, sprzedawano w nich zupełnie co innego niż w dużych. Miejsce ubrań, sprzętu gospodarstwa domowego, obuwia i zabawek zajęli ślusarze, lombardy i antykwariaty. RUSZNIKARIA RODA, głosił jeden szyld, JADŁODAJNIA WO FAT, obwieszczał drugi, FOTOGRAF, informował trzeci. Chwilę potem minęli sklep ze SPECJALNYMI UPOMINKAMI. Ulica tak bardzo przypominała promenadę w wesołym miasteczku w Savin Rock, iż Bobby spodziewał się lada chwila ujrzeć człowieka w meloniku stojącego przy skleconym z byle czego stoliku i tasującego karty o krwistoczerwonych koszulkach.

Usiłował zajrzeć przez szybę wystawową do wnętrza sklepu ze SPECJALNYMI UPOMINKAMI, ale witryna była zasłonięta bambusową matą. Jeszcze nigdy nie widział czynnego sklepu z zasłoniętą witryną.

- Na co komu specjalny upominek z Bridgeport? - zastanawiał się głośno.

- Nie wydaje mi się, żeby tu naprawdę sprzedawali upominki - odparł Ted. - Myślę, że raczej chodzi o rozmaite przedmioty związane z seksem, zapewne w większości niezbyt legalne.

Bobby'emu cisnęły się na usta setki pytań, lecz uznał, że lepiej będzie z nimi zaczekać. Zatrzymał się pod trzema złocistymi kulami zawieszonymi u wejścia do lombardu, by przyjrzeć się ułożonym na pluszu częściowo otwartym brzytwom. Tworzyły obszerny krąg i - przynajmniej w oczach chłopca - wyglądały niezwykle i pięknie, niczym fragment jakieś tajemniczej, ale z pewnością śmiercionośnej maszynerii. Uchwyty tych brzytew były znacznie bardziej niezwykłe niż uchwyt brzytwy Teda. Jeden wyglądał tak, jakby był zrobiony z kości słoniowej, inny miał zakończenie ze sztucznego rubinu, jeszcze inny wykonano z jakiegoś kryształu.

- Gdybyś kupił sobie taką brzytwę, goliłbyś się w wielkim stylu, prawda?

Myślał, że Ted się uśmiechnie, ale tak się nie stało.

- Ludzie kupują takie brzytwy nie po to, żeby się nimi golić.

- Jak to?

Ted nie chciał mu tego wyjaśnić, za to kupił mu w greckim sklepie spożywczym kanapkę o obco brzmiącej nazwie gyros. Oprócz mięsa i warzyw składały się na nią wielka pajda domowego chleba oraz podejrzany biały sos nasuwający nie najlepsze skojarzenia. Bobby musiał się przemóc, żeby jej skosztować… i stwierdził, że tak pysznej kanapki jeszcze w życiu nie jadł. Była równie mięsista jak hot dog albo hamburger z Colony Diner, ale różniła się od nich niezwykłym smakiem, jakiego nigdy nie miał żaden hot dog ani hamburger. Poza tym wspaniale

było jakby nigdy nic pałaszować ją na ulicy, przechadzając się niespiesznie z przyjacielem, patrząc na ludzi i czując na sobie ich spojrzenia.

- Jak się nazywa ta część miasta? Jeśli w ogóle ma jakąś nazwę, ma się rozumieć.

Ted wzruszył ramionami.

- Pojęcia nie mam, jak jest teraz, ale kiedyś nazywano ją Grecką Dzielnicą. Potem zjawili się Włosi, Portorykańczycy, Murzyni… Pewien pisarz nazwiskiem David Goodis - jeden z tych, których książek nie czyta żaden krytyk literacki - mówi o niej Dolizna. Jego zdaniem w każdym mieście jest taka dzielnica, gdzie można kupić seks, marihuanę albo papugę, która zna brzydkie wyrazy, gdzie mężczyźni

siedzą na schodkach i rozmawiają tak jak ci po drugiej stronie ulicy, gdzie kobiety wrzeszczą na dzieciaki, żeby natychmiast wracały do domu, bo jak nie, to czeka je lanie, i gdzie wino pakuje się w papierowe torebki. - Wskazał na rynsztok, gdzie istotnie leżała wymięta papierowa torba, z której sterczała szyjka butelki po winie. - To właśnie jest Dolizna: miejsce, gdzie nikt nikogo nie pyta o nazwisko i gdzie możesz kupić wszystko, pod warunkiem że masz forsę w kieszeni.

Dolizna, powtórzył Bobby w myślach, zerkając z ukosa na niespuszczających z nich oka trzech śniadoskórych nastolatków w skórzanych kurtkach. Kraina półotwartych brzytew i specjalnych pamiątek.

Criterion i sklep Muncie nagle wydały mu się niezmiernie odległe. A Broad Street?. Całe Harwich równie dobrze mogło być w innym układzie słonecznym.

Wreszcie dotarli do szyldu z napisem: NAROŻNIK -BILARD, GRY ZRĘCZNOŚCIOWE - PIWO Z BECZKI. Obok wisiała reklama papierosów taka sama jak ta na markizie przed Criterionem. W chwili kiedy ją mijali, drzwi otworzyły się i na ulicę wyszedł młody człowiek w pasiastym podkoszulku i kapeluszu trochę podobnym do tego, w którym występował Frank Sinatra. W ręce trzymał długi, cienki futerał. On ma tam kij bilardowy, uświadomił sobie Bobby ze zdumieniem i rozbawieniem. Nosi ze sobą kij bilardowy, jakby to była gitara albo coś takiego.

- Co się tak gapisz? - zapytał z uśmiechem.

Bobby również się uśmiechnął, a wtedy chłopak wycelował w niego wskazujący palec, jakby to był pistolet. Bobby zrewanżował się tym samym; chłopak skinął z aprobatą głową, a następnie pomaszerował sprężystym krokiem, strzelając palcami i kołysząc się w takt rozbrzmiewającej w jego głowie muzyki.

Ted rozejrzał się dookoła. Przed nimi trójka murzyńskich dzieci dokazywała w wodzie lejącej się z hydrantu, z tyłu dwaj młodzi mężczyźni, jeden biały, drugi chyba Portorykańczyk, sprawnie niczym lekarze wykonujący rutynową operację zdejmowali kołpaki ze starego forda. Na ten widok Ted westchnął głęboko, po czym spojrzał na Bobby'ego.

- Narożnik to niezbyt odpowiednie miejsce dla dzieci, nawet w środku dnia, ale przecież nie zostawię cię na ulicy. Chodźmy.

Wziął go za rękę i wprowadził do środka.

7

Narożnik. Ostatnia koszula.

Przed restauracją. Francuska kokota.

Zapach piwa był tak silny, że aż niemal materialny, jakby pito je tutaj co najmniej od czasów, kiedy piramidy znajdowały się jeszcze w niezbyt zaawansowanym stadium projektów. Do tego dźwięki wydobywające się z telewizora nastawionego nie na kanał muzyczny, lecz na popołudniową operę mydlaną („Och, John… Och, Marsha…" - jak mawiała mama Bobby'ego), oraz nieustający stukot bil. Dopiero później dołączyły wrażenia wzrokowe, ponieważ oczy potrzebowały trochę czasu, żeby się dostosować. Wnętrze było wyjątkowo mroczne.

I bardzo długie. Zaraz po prawej stronie, za łukowato sklepionym przejściem zaczynała się ciągnąca chyba w nieskończoność sala. Większość stołów była przykryta pokrowcami, kilka stało w kałużach jaskrawego blasku. Wokół nich przechadzali się niespiesznie mężczyźni, zatrzymywali się, pochylali i zaraz potem prostowali się, by wznowić powolną wędrówkę. Inni, ledwo widoczni mężczyźni siedzieli na wysokich krzesłach ustawionych wzdłuż ścian. Jednemu z nich, tak na oko mniej więcej tysiącletniemu, pucybut czyścił właśnie pantofle.

Na wprost znajdowało się również duże, ale nie tak długie pomieszczenie z bilardami elektrycznymi. Tysiące czerwonych i kolorowych lampek wydłubywało z mroku napis JEŚLI DWA RAZY SPRÓBUJESZ PORUSZYĆ TĘ SAMĄ MASZYNĘ, BĘDZIEMY ZMUSZENI CIĘ WYPROSIĆ. Młody człowiek w takim samym kapeluszu jak ten na głowie bilardzisty, z którym minęli się w drzwiach, tkwił jak zaczarowany przy jednym z flipperów i w błyskawicznym tempie naciskał przyciski. Dym z przyklejonego do dolnej wargi papierosa prześlizgiwał się po jego twarzy i zaczesanych do tyłu włosach. Chłopak był przewiązany w pasie odwróconą na lewą stronę marynarką.

Po lewej stronie znajdował się bar. To stamtąd dobiegały dźwięki telewizora i zapach piwa. Całą klientelę stanowili trzej siedzący z dala od siebie, zgarbieni nad szklankami mężczyźni. W niczym nie przypominali zadowolonych z życia piwoszy z reklam; zdaniem Bobby'ego wyglądali na najbardziej samotnych ludzi pod słońcem. Czemu nie usiądą przy jednym stoliku i nie pogadają? - przemknęło mu przez głowę.

W centralnej części niewielkiego hallu między tymi trzema pomieszczeniami usytuowano coś w rodzaju recepcji. Drzwi za kontuarem otworzyły się i pojawił się niezwykle otyły mężczyzna. Grubas miał na sobie koszulkę w palmy, w ustach trzymał cygaro, strzelał palcami niczym postać z filmu rysunkowego i nucił pod nosem mniej więcej tak: „Czu, czu, czuuuu! Czu, czu, ka, czu, czu! Czu, czu, czuuu, czuuu!" Chociaż z pewnym trudem, ale jednak Bobby rozpoznał „Tequile" The Champs.

- Kto ty jesteś? - zapytał Teda. - Nie znam cię. A ten - wskazał brudnym paluchem na chłopca - niech stąd lepiej zmyka. Nie umiecie czytać?

Wycelował paluch w tabliczkę z napisem WSTĘP OD LAT 21.

- Nie zna mnie pan, ale chyba zna pan Jimmy'ego Girardi - odparł uprzejmie Ted. - Powiedział mi, że powinienem się z panem spotkać… Jeśli mam przyjemność z Lenem Filesem, ma się rozumieć.

- Tak, jestem Len. - Grubas zmienił ton na bardziej przyjazny i podał Tedowi rękę niemal równie białą i wielką jak dłonie Myszki Miki i Kaczora Donalda. - Znasz Jimmy'ego Gee, co? Niech szlag go trafi! Jego dziadek właśnie czyści sobie buty przy bilardzie. Cholernie często ostatnio to robi! - Len Files mrugnął porozumiewawczo, Ted zaś uśmiechnął się i uścisnął wyciągniętą rękę. - To pański chłopak? - Len pochylił się nad kontuarem i uważnie przyjrzał się Bobby'emu. Chłopiec poczuł wymieszaną woń miętowych pastylek, papierosów i potu. Kołnierzyk koszuli Filesa był upstrzony łupieżem.

- To przyjaciel - odparł krótko Ted. Niewiele brakowało, żeby Bobby pękł z dumy. - Wolałem nie zostawiać go na ulicy.

- Jasne, mógłby go pan już nie znaleźć - przyznał mu rację Len Files. - Wiesz co, chłopcze? Kogoś mi przypominasz. Bywałeś czasem w tej okolicy?

Bobby pokręcił głową. Na myśl o tym, że wygląda jak ktoś, kogo zna Len Files, ciarki przebiegły mu po grzbiecie. Jednak jego gest pozostał niezauważony, grubas bowiem zdążył się już wyprostować i ponownie spojrzeć na Teda.

- Nie mogę wpuszczać dzieci, panie…

- Ted Brautigan.

Tym razem to Ted wyciągnął rękę, a Files ją uścisnął.

- Wiesz jak jest, Ted. W moim fachu jest się ciągle pod lupą.

- Jasne. Ale on nie wejdzie do sali, tylko zostanie tutaj. Prawda, Bobby?

- Pewnie. - A my szybko załatwimy interes. To całkiem niezły interes, panie Files.

- Len.

Oczywiście, pomyślał Bobby. Po prostu Len. Przecież tu jest Dolizna.

- A więc, Len, to jest całkiem niezły interes. Myślę, że przyznasz mi rację.

- Skoro znasz Jimmy'ego Gee, to wiesz też, że nie zajmuję się drobiazgami. Zostawiam je czarnuchom. Co to ma być? Patterson-Johansson?

- Albini-Haywood. Jutro w Madison Square Garden.

Len otworzył szerzej oczy, a jego tłusta twarz rozpromieniła się w uśmiechu.

- No, no, no… Chyba powinniśmy o tym pogadać.

- Też tak uważam.

Len Files wytoczył się zza kontuaru, ujął Teda pod ramię i ruszył z nim w kierunku sali bilardowej, ale po kilku krokach zatrzymał się i odwrócił do chłopca.

- Zdaje się, że nazywasz się Bobby, prawda?

- Tak, proszę pana. - W innym miejscu i innych okolicznościach dodałby: „Bobby Garfield", ale tutaj było to całkowicie zbędne. Tutaj posługiwano się wyłącznie imionami.

- W takim razie posłuchaj, Bobby: wiem, że te elektryczne bilardy wyglądają cholernie interesująco i że pewnie masz trochę drobnych w kieszeni, ale postaraj się pójść w ślady Adama i oprzeć się pokusie. Zrobisz to dla mnie?

- Tak, proszę pana.

- To nie potrwa długo - zapewnił go Ted.

Zaraz potem wraz z Lenem Filesem przeszedł pod łukiem i podążył wzdłuż szeregu stołów bilardowych. Zatrzymali się obok mężczyzny, przy którym uwijał się pucybut, i Ted zamienił z nim kilka słów. W porównaniu z dziadkiem Jimmy'ego Gee Ted Brautigan wyglądał niemal jak młodzieniaszek. Starzec podniósł na niego wzrok, Ted powiedział coś jeszcze i obaj roześmiali się głośno. Jak na kogoś tak wiekowego, dziadek Jimmy'ego Gee miał zdumiewająco donośny śmiech. Ted delikatnie i z uczuciem poklepał go po policzkach, wywołując kolejny wybuch śmiechu, a następnie pozwolił Lenowi zaciągnąć się do ukrytej za zasłoną wnęki.

Bobby stał przy kontuarze jak przyśrubowany do podłogi, ale Len nie zakazał mu przecież rozglądać się dookoła, więc chłopiec z zapałem oddał się temu zajęciu. Na ścianach wisiały reklamy rozmaitych gatunków piwa i kalendarze z podobiznami skąpo ubranych dziewcząt. Jedna wspinała się na wiejski plot, inna wysiadała z packarda z wysoko zakasaną

spódnicą, prezentując majtki. Nad kontuarem umieszczono mnóstwo tabliczek z rozmaitymi napisami (JEŚLI NIE PODOBA CI SIĘ W NASZYM MIEŚCIE, SŁUŻYMY ROZKŁADEM JAZDY; NIE KAŻ CHŁOPCU ROBIĆ TEGO, CO POWINIEN ZROBIĆ MĘŻCZYZNA; NIE ISTNIEJE COŚ TAKIEGO JAK DARMOWY OBIAD; NIE PRZYJMUJEMY CZEKÓW; NIE DAJEMY NICZEGO NA KREDYT; NIE OCIERAMY ŁEZ), na ladzie zaś pysznił się wielki czerwony przycisk opatrzony podpisem POLICJA. Pod sufitem, na zakurzonych kablach wisiały kolorowe opakowania: ŻEŃ-SZEŃ - ORIENTALNY KORZEŃ MIŁOŚCI i HISZPAŃSKIE SPECJAŁY. Czyżby jakieś witaminy? Ale dlaczego w takim miejscu mieliby sprzedawać witaminy?

Młodzieniec znęcający się nad flipperem uderzył obiema rękami w obudowę, cofnął się o krok, pokazał maszynie palec, poprawił kapelusz na głowie i wyszedł z sali. Bobby wycelował w niego wyimaginowany pistolet; tamten w pierwszej chwili trochę się zdziwił, ale zaraz potem uśmiechnął się i zrobił to samo, po czym ruszył do drzwi, rozwiązując po drodze rękawy kurtki.

- Nie pozwalają tu tego nosić - wyjaśnił, widząc zdziwioną minę Bobby'ego. - Takie przepisy. Żeby nikt nie wiedział, kto z jakiego jest gangu.

- Aha.

- Ale ja ich przechytrzyłem. - Podniósł rękę i pokazał dłoń. Widniał na niej nieduży niebieski trójząb. - Mam znaczek, o tutaj. Widzisz?

- Widzę.

Tatuaż. Bobby'ego aż skręciło z zazdrości. Tamten chyba to zauważył, bo uśmiechnął się szeroko, prezentując garnitur oślepiająco białych zębów.

- Jestem z Diabłów, koleś! My, pieprzone Diabły, rządzimy ulicami. Reszta to cipy!

- Ulicami… tutaj, prawda?

- Pewnie, że tutaj. A niby gdzie? Wiesz co, koleś? Podobasz mi się. Gdybyś jeszcze nie był tak wystrzyżony…

Drzwi otworzyły się, wpuszczając uliczny hałas i nieco gorącego powietrza, i zamknęły. Chłopak zniknął.

Uwagę Bobby'ego przykuł niewielki wiklinowy koszyk na kontuarze. Przechylił go i zajrzał do środka. Było tam mnóstwo kółek do kluczy z plastikowymi breloczkami. Na wszystkich breloczkach widniał taki sam wytłoczony złocistymi literkami napis: NAROŻNIK - AUTOMATY DO GRY - BILARD - PIWO - KENMORE 8-2127.

- Weź sobie jedną.

Bobby tak się przestraszył, że mało nie wysypał wszystkiego na podłogę. Kobieta, która wyłoniła się zza tych samych drzwi co Len Files, była od niego jeszcze grubsza, niemal jak Najgrubsza Kobieta Świata z cyrku, ale poruszała się z wdziękiem i szybkością baletnicy. Jeszcze chwilę temu jej nie było, a teraz górowała nad Bobbym.

- Przepraszam… - wymamrotał i odsunął koszyk czubkami palców. Tak bardzo się starał, że pewnie zrzuciłby go na podłogę z drugiej strony kontuaru, gdyby kobieta nie zatrzymała koszyka wielką ręką. Uśmiechała się i nawet nie wyglądała na zagniewaną, co Bobby stwierdził z ogromną ulgą.

- Wcale nie żartuję, naprawdę możesz wziąć sobie jeden. - Podała mu zielony breloczek. - Wiem, że to tandeta, ale przynajmniej jest za darmo. Rozdajemy je jako reklamówki, zamiast zapałek… ale dziecku na pewno nie dałabym zapałek. Chyba nie palisz, prawda?

- Nie, proszę pani.

- To dobrze. Od butelki też trzymaj się z daleka. Masz, proszę. Korzystaj, jeśli dają coś za darmo, bo w dzisiejszym świecie nieczęsto się to spotyka.

Bobby wyjął breloczek z jej palców.

- Dziękuję pani. Jest bardzo ładny.

Schował prezent do kieszeni, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że będzie musiał się go pozbyć. Gdyby mama znalazła coś takiego w jego rzeczach, na pewno nie byłaby zadowolona. Od razu miałaby ze dwadzieścia pytań, jak mawiał Smutny John. Kto wie, może nawet trzydzieści.

- Jak się nazywasz?

- Bobby.

Był ciekaw, czy zapyta go o nazwisko, ale ku jego zadowoleniu nie zrobiła tego.

- A ja jestem Alanna. - Podała mu rękę obwieszoną pierścionkami. Migotały jak lampki w bilardach elektrycznych. - Przyszedłeś tu z ojcem?

- Nie, z przyjacielem. Mam wrażenie, że właśnie obstawia wynik walki Haywooda z Albinim.

Jego słowa rozbawiły i zarazem przestraszyły Alannę. Przyłożyła palec do pomalowanych na intensywnie czerwony kolor ust i pochyliła się nad Bobbym.

- Ciiii! - W jej oddechu wyraźnie czuć było alkohol. - Nigdy nie używaj tutaj słowa „obstawiać". Tu gra się w bilard i na automatach. Zapamiętaj to sobie, a wszystko będzie w porządku.

- Dobrze.

- Przystojniaczek z ciebie, Bobby. Wydaje mi się, że… - Zastanowiła się przez chwilę. - Czy to możliwe, żebym znała twojego ojca?

Pokręcił głową, ale niezbyt zdecydowanie; Lenowi też przecież kogoś przypominał.

- Mój tata nie żyje. Umarł dawno temu.

Zawsze to dodawał, żeby ludzie zanadto się nie roztkliwiali.

- A jak się nazywał? - Zanim zdążył otworzyć usta, sama sobie przypomniała. - Randy, prawda? Randy Garrett, Greer, albo coś w tym rodzaju. Zgadza się?

Na chwilę odjęło mu mowę.

- Randy Garfield - wykrztusił, kiedy wreszcie zdołał nabrać powietrza. - Ale jak pani…

Roześmiała się, wyraźnie z siebie zadowolona. Bujne piersi zafalowały majestatycznie.

- Przede wszystkim po włosach, ale trochę po piegach… i po nosie…

Pochyliła się tak głęboko, że na wysokości oczu Bobby'ego pojawiły się w dużej mierze odsłonięte piersi wielkości arbuzów.

- Przychodził tu grać w bilard?

- Niezupełnie. Zazwyczaj wypił piwo albo dwa, a czasem…

Wykonała gest, jakby rozdawała niewidzialne karty. Bobby'emu natychmiast przyszedł na myśl McQuown.

- No tak - mruknął. - Podobno licytował nawet z najsłabszą parą w ręku. Tak przynajmniej słyszałem.

- Nic o tym nie wiem, ale miły był z niego gość. Zazwyczaj wpadał w poniedziałek wieczorem, kiedy tu jest ponuro jak w grobie, i najdalej po godzinie robiło się wesoło. Puszczał tę piosenkę Jo Stafforda i kazał Lenny'emu ustawić szafę najgłośniej, jak tylko można. Tak, naprawdę był w porządku, i dlatego go zapamiętałam. Nie co dzień spotyka się miłych rudzielców. Nigdy nie postawił drinka komuś, kto już miał w czubie, ale poza tym oddałby ci ostatnią koszulę. Wystarczyło tylko poprosić.

- Pewnie stracił mnóstwo pieniędzy, prawda?

Bobby czuł się jak we śnie. Nie mógł uwierzyć, że rozmawia z kimś, kto znał jego ojca, choć równocześnie podejrzewał, że takie rzeczy zdarzają się całkiem często: idziesz spokojnie przed siebie, zajmujesz się własnymi sprawami, aż nagle ni stąd, ni zowąd wpadasz po szyję w przeszłość.

- Randy? - zdziwiła się. - Skądże znowu. Wpadał najwyżej trzy razy w tygodniu, jeśli akurat był w okolicy. Zdaje się, że zajmował się handlem nieruchomościami albo ubezpieczeniami…

- Nieruchomościami. Handlował nieruchomościami.

- …i gdzieś w pobliżu było biuro, do którego często zaglądał. Jesteś pewien, że to nie ubezpieczenia?

- Nieruchomości.

- Ależ ta pamięć zabawnie działa! Niektóre rzeczy są jasne i wyraźne, innych prawie nie widać… Nawiasem mówiąc, od tamtej pory wszystkie biura wyniosły się z okolicy.

Bobby'ego ani trochę nie interesowała historia powolnego upadku Dolizny.

- Ale kiedy grał, zawsze przegrywał. Nie potrafił powiedzieć „dosyć".

- Wiesz o tym od matki?

Bobby nie odpowiedział.

Alanna wzruszyła ramionami, wywołując interesującą reakcję swoich frontowych partii.

- Cóż, to wasza sprawa… i być może twój tata przepuszczał forsę gdzieś indziej. Ja wiem tylko tyle, że tutaj grywał ze znajomymi najwyżej raz albo dwa razy w miesiącu, kończył około północy i wracał do domu. Zapamiętałabym, gdyby choć raz dużo wygrał albo przegrał, a ponieważ nie pamiętam niczego takiego, to pewnie najczęściej wychodził na zero, co świadczy o tym, że był dobrym pokerzystą. Na
pewno lepszym od tych tutaj. - Skierowała spojrzenie w kierunku sali, do której weszli Ted i jej brat.

Bobby wpatrywał się w nią z narastającym zdumieniem. „Twój ojciec nie zostawił nam zbyt wiele", mawiała mama. Wygasła polisa ubezpieczeniowa, stosy niezapłaconych rachunków… „Mało wiedziałam - poinformowała go na wiosnę. - Bardzo mało wiedziałam". To samo mógłby teraz powiedzieć o sobie.

- Twój ojciec był cholernie przystojny - ciągnęła Alanna. - Ten nos Boba Hope'a, i w ogóle… Odziedziczyłeś to po nim. Masz dziewczynę?

- Tak, proszę pani.

Czyżby nie zapłacone rachunki stanowiły jedynie wymysł matki? Czyżby pieniądze z ważnej polisy, zamiast między kartki katalogu Searsa, trafiły na konto bankowe? Bobby nie mógł sobie wyobrazić, dlaczego jego mama chciałaby, żeby uważał swojego ojca za

(małego człowieka z rudymi włosami)

złego człowieka, jeżeli nim wcale nie był, ale taka możliwość wcale nie wydała mu się nieprawdopodobna. Przecież dobrze wiedział, jaka bywała zapamiętała w złości, a wtedy mówiła rozmaite rzeczy. Niewykluczone, iż jego ojciec (którego mama nigdy, ale to nigdy nie nazywała po imieniu) zbyt wielu ludziom oddawał ostatnią koszulę z grzbietu, co w końcu doprowadziło Liz Garfield do wściekłości. Liz nikomu nie oddawała koszuli ani z własnego grzbietu, ani z czyjegokolwiek. Koszulę należało zatrzymać dla siebie, ponieważ życie nie było sprawiedliwe.

- Jak ma na imię?

- Liz.

Kręciło mu się w głowie, zupełnie jak po wyjściu z sali kinowej w jasny słoneczny dzień.

- Jak Liz Taylor. Ładne imię dla dziewczyny.

Bobby roześmiał się, lekko zawstydzony.

- Nie, Liz to moja mama. Moja dziewczyna nazywa się Carol.

- Jest ładna?

- Wdechowa!

Reakcja Alanny sprawiła mu ogromną przyjemność: kobieta wybuchnęła śmiechem, sięgnęła nad kontuarem (jej ramię wyglądało jak potężny wałek miękkiego, kołyszącego się ciasta) i dość mocno uszczypnęła go w policzek.

- Spryciarz z ciebie! Mogę ci coś powiedzieć?

- Jasne.

- Nawet jeśli mężczyzna lubi od czasu do czasu zagrać w karty, to jeszcze nie znaczy, że jest najgorszym człowiekiem na świecie. Wiesz chyba o tym, prawda? Bobby skinął głową - najpierw z wahaniem, potem bardziej zdecydowanie.

- Matka to matka. Nigdy nie powiem złego słowa na czyjąś matkę, bo za bardzo kocham własną, ale nie wszystkim matkom podobają się karty, bilard albo miejsca takie jak to. To kwestia punktu widzenia, niczego więcej. Rozumiesz?

- Tak - odparł Bobby.

Naprawdę rozumiał i czuł się bardzo dziwnie, chciało mu się równocześnie śmiać się i płakać. Mój tata bywał tutaj, powtarzał sobie w myślach, i na razie tylko to się liczyło, bez względu na kłamstwa, jakich naopowiadała mu mama. Bywał tutaj i kto wie, może nawet stał w tym samym miejscu co on teraz.

- Cieszę się, że jestem do niego podobny – wykrztusił przez ściśnięte gardło.

Alanna z uśmiechem skinęła głową.

- Niezły zbieg okoliczności, co? Szedłeś sobie ulicą, zajrzałeś tutaj, i proszę… Jak myślisz, jakie miałeś szanse, żeby spotkać kogoś, kto znał twojego ojca?

- Nie wiem. Ale dziękuję, że mi pani o nim powiedziała. Bardzo dziękuję.

- Gdyby mu pozwolić, grałby tę piosenkę Jo Stafforda całymi wieczorami… No dobrze, muszę iść. Tylko nie ruszaj się stąd, dobrze?

- Dobrze, proszę pani.

- Alanna.

- Dobrze, Alanno.

Posłała mu buziaka, roześmiała się, kiedy Bobby udał, że go łapie, po czym znikła za drzwiami za kontuarem. Bobby zdążył dostrzec fragment obszernego pokoju z dużym krzyżem na ścianie.

Wsunął rękę do kieszeni, wsadził palec w kółko przy breloczku (to był jego osobisty „specjalny upominek" z pobytu w Bridgeport) i wyobraził sobie, że jedzie po Broad Street na nowiutkim, dopiero co kupionym rowerze. Zmierzał w kierunku parku. Na głowie miał zawadiacko przekrzywiony kapelusz w kolorze czekolady, spod którego wyłaniały się długie, modnie uczesane włosy. W pasie przewiązał się kurtką w barwach gangu, na dłoni pysznił się ciemnoniebieski tatuaż. Spieszył się, ponieważ na boisku B czekała na niego Carol. Był pewien, że będzie go obserwować, że pomyśli „Och, ten mój szalony chłopak!", kiedy zahamuje z szurgotem opon, posyłając fontannę żwiru w kierunku (ale tylko w kierunku!) jej białych pantofli. Szalony - tak, to właściwe słowo. Szalony i groźny.

Zza zasłony wyłonili się Len Files i Ted, obaj bardzo z siebie zadowoleni. Len wyglądał wręcz jak kot, który przed chwilą pożarł kanarka. Ted zamienił kilka słów ze staruszkiem, a ten uśmiechnął się i skinął głową. Kiedy dotarli do recepcji, Ted skierował się do wiszącego w kącie automatu telefonicznego, ale Len chwycił go za ramię i popchnął w kierunku kontuaru, następnie zaś przejechał ręką po krótko ostrzyżonej czuprynie Bobby'ego.

- Przypomniałem sobie. Twój ojciec nazywał się…

- Garfield. Randy Garfield. - Chłopiec wpatrywał się w Lena, tak bardzo podobnego do swojej siostry, i myślał o tym, jak wspaniale być tak blisko związanym z krewnymi; tak' blisko, że zupełnie obcy ludzie bez większego trudu potrafią cię z nimi skojarzyć. - Lubił go pan, panie Files?

- Randy'ego? Jasne. Równy był z niego gość. - Jednak sądząc po tym, że nie wdawał się w szczegóły, zapamiętał go w zupełnie inny sposób niż siostra. Ani słowa o piosence Jo Stafforda albo o ostatniej koszuli. Nigdy nie stawiał drinka tym, którzy mieli w czubie, i to wszystko. - Twój kumpel też jest w porządku - ciągnął Len ze znacznie większym entuzjazmem. - Lubię ludzi z klasą, a oni mnie lubią, ale niestety tacy jak on rzadko tu zaglądają. - Odwrócił się do Teda, który przerzucał kartki książki telefonicznej. - Spróbuj Circle Taxi, Kenmore 6-7400.

- Dzięki.

- Nie ma za co.

Len przecisnął się obok Teda i zniknął na zapleczu. Bobby ponownie zobaczył fragment pokoju z krzyżem na ścianie. Gdy tylko drzwi się zamknęły, Ted powiedział:

- Wystarczy postawić pięćset dolarów, żeby dostąpić zaszczytu korzystania ze służbowego telefonu.

Bobby poczuł się tak, jakby ktoś wyssał mu z płuc powietrze.

- Postawiłeś pięćset dolarów na „Huragana" Haywooda? - wyszeptał wreszcie, kiedy zdołał nabrać nieco tchu w piersi.

Ted wytrząsnął chesterfielda z paczki, wsadził go do ust, zapalił i uśmiechnął się chytrze.

- Ależ skąd. Postawiłem na Albiniego.

Wezwawszy taksówkę, Ted usiadł z Bobbym przy barze i zamówił dwie lemoniady. On nie ma pojęcia, że tak naprawdę to ja wcale nie lubię lemoniady, uświadomił sobie chłopiec. Jeszcze jeden element zagadkowej układanki z Tedem w roli głównej. Obsługiwał ich sam Len; ani słowem nie wspomniał o tym, że Bobby nie powinien siedzieć przy barze. Widocznie przywileje dla klientów, którzy stawiali pięćset dolarów na boksera z góry skazanego na porażkę, nie kończyły się na darmowych rozmowach telefonicznych. Jednak ani dreszcz podniecenia, ani radość z faktu, że jak się okazało, jego ojciec wcale nie był takim złym człowiekiem, nie mogły uspokoić chłopca, który czuł w żołądku ustawiczne ssanie. Ted potrzebował wygranej nie po to, by zaspokoić jakieś swoje zachcianki. Gromadził pieniądze, ponieważ szykował się do ucieczki.

Taksówka okazała się checkerem z ogromną tylną kanapą. Kierowca był do tego stopnia pochłonięty radiową transmisją z meczu Jankesów, że co jakiś czas nawiązywał rozmowę ze sprawozdawcą.

- Files i jego siostra znali twojego ojca?

W gruncie rzeczy nie było to pytanie.

- Tak. Szczególnie Alanna. Jej zdaniem był całkiem miły… Ale moja mama tak nie uważa.

- Przypuszczalnie twoja mama znała go od strony, której Alanna Files nigdy nie widziała - odparł Ted. - Może nawet od kilku takich stron. Pod tym względem ludzie przypominają brylanty: mają mnóstwo stron.

- Ale mama mówiła…

Nie, to było zbyt skomplikowane. W gruncie rzeczy mama niczego wprost nie mówiła, tylko sugerowała różne rzeczy. Bobby nie miał pojęcia, jak powiedzieć Tedowi, że jego mama też ma wiele stron, i kiedy brało się pod uwagę niektóre z nich, to trudno było uwierzyć w te rzeczy, których nigdy jasno i wyraźnie nie powiedziała. A poza tym czy naprawdę zależy mu na tym, żeby się wszystkiego dowiedzieć? Przecież mama, w przeciwieństwie do taty, żyje, a on musi ją kochać. Nie ma na świecie nikogo innego, kogo mógłby kochać. Nawet Teda, ponieważ…

- Kiedy wyjeżdżasz? - zapytał cicho.

- Zaraz po powrocie twojej mamy. - Ted westchnął, spojrzał przez okno, a potem na swoje ręce oparte na kolanie. - Pewnie w piątek rano. Pieniądze odbiorę najwcześniej jutro wieczorem. Obstawiłem cztery do jednego, czyli zgarnę dwa tysiące. Mój kumpel Lennie będzie musiał zadzwonić do Nowego Jorku, żeby zebrać tyle gotówki.

Przejechali przez most nad kanałem wyznaczającym granicę Dolizny. Bobby znowu znalazł się w części miasta, którą odwiedzał z matką. Ludzie na ulicach byli znacznie porządniej ubrani, ani jedna kobieta nie przypominała Alanny Files i Bobby przypuszczał również, że oddech żadnej z nich nie był przesycony wonią alkoholu. Przynajmniej nie o czwartej po południu.

- Wiem, dlaczego nie obstawiłeś wyniku walki Pattersona z Johanssonem. Po prostu nie wiesz, kto wygra.

- Myślę, że tym razem zwycięży Patterson, bo lepiej się przygotował. Mógłbym postawić na niego ze dwa dolary, ale nie pięćset. Żeby postawić pięćset, trzeba albo mieć pewność, albo być idiotą.

- Walka Albiniego z Haywoodem jest ustawiona, prawda?

Ted skinął głową.

- Domyśliłem się tego natychmiast, jak tylko się okazało, że w to wszystko jest zamieszany Kleindienst.

- Bo wcześniej obstawiałeś już walki, z którymi Kleindienst miał coś wspólnego.

To również nie było pytanie. Ted przez jakiś czas bez słowa spoglądał przez okno. Z głośnika dobiegał podekscytowany głos komentatora. Wreszcie Ted powiedział:

- To mógł być Haywood. Mało prawdopodobne, ale jednak. Nie miałem stuprocentowej pewności, lecz potem… Zauważyłeś tego staruszka przy stole bilardowym? Tego, któremu pucybut czyścił pantofle?

- Jasne. Poklepałeś go po policzkach.

- To Arthur Girardi. Files pozwala mu się tam kręcić, bo stary kiedyś znał wielu ludzi. To znaczy, Files uważa, że to było dawno temu i że teraz Girardi to tylko sklerotyczny staruszek, który przychodzi o dziesiątej, czyści sobie buty, zapomina o tym i wraca o trzeciej, żeby znowu je wyczyścić. Girardi nie wyprowadza go z błędu. Gdyby Files powiedział, że księżyc to kawałek spleśniałego sera, Girardi pierwszy by mu przyklasnął. Stary Girardi przesiaduje godzinami w sali bilardowej, bo tam jest klimatyzacja. Prawda jest jednak taka, że on wciąż zna wielu ludzi. - Na przykład Jimmy'ego Gee.

- Na przykład.

- Pan Files nie wie o tym, że walka jest ustawiona?

- Nie, i to mnie trochę dziwi.

- Ale stary Gee wie. I wie też, kto ma zwyciężyć.

- I na tym polega moje szczęście. „Huragan" Haywood zostanie znokautowany w ósmej rundzie. Za rok, kiedy będzie więcej pieniędzy do zgarnięcia, odbije to sobie z nawiązką.

- Postawiłbyś te pięćset dolarów, gdybyś nie spotkał pana Girardiego?

- Nie - odparł Ted bez wahania.

- Więc w jaki sposób zdobyłbyś pieniądze, kiedy byś wyjechał?

Ted wyraźnie posmutniał. Zrobił ruch, jakby zamierzał objąć chłopca, ale zrezygnował.

- Zawsze można spotkać kogoś, kto o czymś wie.

Jechali już Asher Avenue, wciąż w Bridgeport, ale zaledwie półtora kilometra od administracyjnej granicy Harwich. Z pełną świadomością tego, co robi, Bobby wyciągnął dłoń w kierunku dużej, pokrytej nikotynowymi plamami ręki mężczyzny. Ted odsunął kolana w kierunku drzwi, a razem z nimi ręce.

- Lepiej nie.

Bobby nie musiał pytać dlaczego. Kartka z napisem UWAGA: ŚWIEŻO MALOWANE ostrzega, że jeśli dotkniesz świeżej farby, pobrudzisz sobie ręce. Oczywiście z czasem uda ci się je domyć albo farba sama zniknie, ale przez pewien czas będzie doskonale widoczna.

- Dokąd pojedziesz?

- Nie wiem.

- Paskudnie się czuję - wyznał Bobby, czując, jak łzy napływają mu do oczu. - Jeżeli coś ci się stanie, to będzie moja wina. Widziałem wszystko, przed czym mnie ostrzegałeś, ale ci nie powiedziałem. Nie chciałem, żebyś wyjechał, więc wytłumaczyłem sobie, że masz hopla na punkcie tych małych ludzi w żółtych płaszczach i nie powiedziałem ci ani słowa. Dałeś mi pracę, a ja nawaliłem.

Ted znowu podniósł rękę, zawahał się, poklepał go po nodze i szybko ją cofnął. Sprawozdawca, przekrzykując ryk tysięcy gardeł, relacjonował mistrzowskie zagranie Tony'ego Kubeka.

- Ja i tak wiedziałem - powiedział cicho Ted.

Bobby wybałuszył na niego oczy.

- Jak to?

- Czułem, że się zbliżają. Właśnie dlatego coraz częściej zdarzały mi się transy, ale mimo to okłamywałem sam siebie, tak samo jak ty. Zresztą z tych samych powodów. Myślisz, że łatwo mi opuścić cię właśnie teraz, kiedy twoja matka jest taka zdezorientowana i nieszczęśliwa? Szczerze mówiąc, nie chodzi mi o nią, bo nie lubimy się od chwili, kiedy zobaczyliśmy się po raz pierwszy, ale jest twoją matką i dlatego…

- Co się z nią dzieje? - Bobby nie podniósł głosu, lecz złapał Teda za ramię i mocno potrząsnął. - Powiedz mi! Wiem, że wiesz! Chodzi o pana Bidermana? Czy to ma coś wspólnego z panem Bidermanem?

Ted przez jakiś czas spoglądał przez okno ze zmarszczonymi brwiami i mocno zaciśniętymi ustami, po czym westchnął, wytrząsnął papierosa z paczki i zapalił.

- Pan Biderman nie jest dobrym człowiekiem. Twoja mama zdaje sobie z tego sprawę, ale wie też, że niekiedy musimy mieć do czynienia z takimi ludźmi. W ciągu minionego roku zrobiła wiele rzeczy, których się wstydzi, ale była ostrożna. Pod wieloma względami musiała być równie ostrożna jak ja, i chociaż jej nie lubię, to ją za to podziwiam.

- Co zrobiła? Co on kazał jej zrobić? - Bobby miał wrażenie, że zamiast serca ma w piersi ciężką bryłę lodu. - Po co zabrał ją do Providence?

- Na konferencję w sprawie handlu nieruchomościami.

- Tylko po to?

- Nie wiem, podobnie jak ona. A może wiedziała, ale zdołała sobie wmówić, że to nieprawda. Nie mam pojęcia. Niekiedy widzę wszystko jasno i wyraźnie: na przykład, kiedy cię poznałem, od razu wiedziałem, że chcesz sobie kupić rower, że to dla ciebie niezmiernie ważne i że postanowiłeś uzbierać na niego pieniądze w ciągu lata. Bardzo mi się spodobała twoja determinacja.

- Dotykałeś mnie celowo, prawda?

- Tak, przynajmniej za pierwszym razem. Zrobiłem to, żeby cię trochę poznać, ale przyjaciele nie szpiegują się nawzajem. Przyjaźń polega również na uszanowaniu prywatności. Poza tym, kiedy kogoś dotykam, przekazuję mu jakby… otwieram w nim coś w rodzaju okna. Wiesz, o czym mówię. Drugi raz, kiedy cię dotknąłem… tak naprawdę, długo i mocno… to był błąd, ale niezbyt poważny. Przez chwilę wiedziałeś więcej, niż powinieneś, ale to minęło, prawda? Gdyby to jednak trwało dłużej… Gdybym dotykał cię częściej, tak jak czynią ludzie, którzy są ze sobą blisko, sprawy zaszłyby za daleko. Ta dodatkowa wiedza zostałaby z tobą już na zawsze. - Spojrzał z odrazą na papierosa. - To tak jak z papierosami: wypalisz o jednego za dużo i jesteś załatwiony na całe życie.

- Czy mojej mamie nic teraz nie grozi? - zapytał chłopiec, chociaż zdawał sobie sprawę, że nie uzyska odpowiedzi. Dar Teda, czymkolwiek był, nie sięgał aż tak daleko.

- Nie wiem. Po prostu nie…

Ted nagle umilkł i zesztywniał, wpatrzony w coś na ulicy. Chwilę później tak gwałtownie zdusił papierosa w popielniczce umieszczonej w drzwiach samochodu, że aż posypały się iskry.

- Boże… O mój Boże… Bobby, wygląda na to, że mamy kłopoty.

Chłopiec wyciągnął szyję, usiłując dojrzeć coś ponad jego ramieniem. W głowie wciąż rozbrzmiewały mu słowa Teda: „Gdybym dotykał cię częściej, tak jak czynią ludzie, którzy są ze sobą blisko…".

Taksówka zbliżała się do placu Purytanów, czyli skrzyżowania trzech ulic: Asher Avenue, Bridgeport Avenue i Connecticut Pike. Miedziane przewody trakcji trolejbusowej lśniły w promieniach popołudniowego słońca, kierowcy dostawczych furgonetek trąbili niecierpliwie, czekając na okazję włączenia się do ruchu. Ruchem kierował spocony policjant w białych rękawiczkach i z gwizdkiem w ustach. Po lewej stronie znajdowała się William Penn Grille, słynna restauracja, gdzie podobno serwowano najlepsze steki w Connecticut (po sprzedaniu posiadłości rodziny Waverley pan Biderman zaprosił tam wszystkich pracowników i mama Bobby'ego wróciła do domu z kilkoma pudełkami firmowych zapałek. Jej zdaniem, restauracja cieszyła się tak wielką sławą wyłącznie z tego względu, że bar znajdował się w Harwich, sala jadalna zaś była już na terytorium Bridgeport).

Przed wejściem do lokalu stał deSoto polakierowany na tak przeraźliwy fioletowy kolor, jakiego istnienia Bobby nawet nie podejrzewał. Od patrzenia bolały nie tylko oczy, ale cała głowa.

Te samochody będą jak żółte płaszcze, buty w szpic i perfumowane mazidło do włosów, którego używają: rzucające się w oczy i bez gustu.

Fioletowy samochód wręcz ociekał chromem, na masce niczym sztuczny brylant lśniła głowa wodza DeSoto, opony miały białe ścianki boczne, ozdobne kołpaki błyszczały jak kryształowe zwierciadła. Na szczycie anteny kołysał się ogon szopa pracza.

- Mali ludzie… - wyszeptał Bobby. Nie miał najmniejszych wątpliwości. Co prawda to był zwyczajny deSoto, ale jednocześnie wyglądał obco jak asteroida. Czegoś takiego Bobby nie widział jeszcze nigdy w życiu. W miarę jak powoli zbliżali się do zatłoczonego skrzyżowania, jego oczom ukazywało się coraz więcej szczegółów: zgniłozielona, przeraźliwie kontrastująca z barwą nadwozia tapicerka, biały futrzak na kierownicy… - Rety, to naprawdę oni!

- Musisz ukryć swoje myśli! - Ted chwycił go za ramiona (z głośnika wciąż dobiegał podekscytowany głos sprawozdawcy, zasłuchany kierowca nie zwracał najmniejszej uwagi na pasażerów, dzięki Bogu choć za to) i potrząsnął raz, ale bardzo mocno, po czym cofnął ręce. - Rozumiesz? Musisz je natychmiast ukryć!

Bobby zrozumiał. George Sanders zbudował ceglany mur, żeby ukryć przed Dziećmi swoje plany. Bobby posłużył się kiedyś Maurym Willsem, ale teraz mogło to nie wystarczyć.

Kilka przecznic dalej nad chodnikiem zwieszały się markizy Asher Empire. W głowie Bobby'ego rozległ się świst jo-jo Smutnego Johna, a zaraz potem rozbrzmiał jego głos: „Jeżeli ona jest śmieciem, to ja chciałbym być śmieciarzem".

Oczami wyobraźni chłopiec ujrzał plakat przedstawiający Brigitte Bardot („francuska kokota", tak pisały o niej gazety) przyodzianej tylko w ręcznik i uśmiech. Trochę przypominała kobietę wysiadającą z samochodu w kalendarzu wiszącym w Narożniku, tę z sukienką w garści i majtkami na wierzchu, ale Brigitte Bardot była od niej znacznie ładniejsza… a w dodatku PRAWDZIWA. Niestety również znacznie za stara dla kogoś takiego jak Bobby Garfield

(jestem taki stary, a ty taka młoda, śpiewał Paul Anka w tysiącach tranzystorowych odbiorników)

ale przecież wciąż piękna, a nawet kot może sobie popatrzeć na królową, jak mawiała jego mama. Nawet kot może popatrzeć na królową.

Bobby opadł na oparcie kanapy, jego oczy przybrały rozmarzony, półprzytomny wyraz, niemal taki jak oczy Teda podczas jego transów. Widział ją coraz wyraźniej: rozfalowane jasne włosy, wypukłość piersi pod ręcznikiem, smukłe uda, stopy z pomalowanymi paznokciami wsparte na napisie TYLKO DLA DOROSŁYCH, WSTĘP ZA OKAZANIEM PRAWA JAZDY LUB ŚWIADECTWA URODZENIA. Czuł delikatny, kwiatowy zapach jej mydła, czuł zapach

(Nuit en Paris)

perfum, słyszał muzykę z radia w jej pokoju. Śpiewał Freddy Cannon, piosenkarskie uosobienie Savin Rock: „Jak ona tańczy, cza-cza-cza, Jak się kołysze, cha-cha-cha…".

Zdawał sobie sprawę (ale była to mocno zamglona, niewyraźna świadomość, jakby transmitowana z jakiejś odległej planety), że taksówka, którą jadą, zatrzymuje się przed wejściem do William Penn Grille, tuż obok jadowicie fioletowego deSoto. Bobby niemal słyszał go w swojej głowie; gdyby ten samochód umiał mówić, z pewnością krzyczałby do przechodniów: „Niech mnie ktoś zastrzeli, jestem zbyt fioletowy! Niech mnie ktoś zastrzeli!". A nieco dalej, w głębi, znajdowali się ONI. Siedzieli w restauracji i jedli steki; obaj zamówili krwiste, prawie surowe. Przed wyjściem z pewnością powieszą przy automacie telefonicznym ogłoszenie o zaginionym kocie albo o sprzedaży samochodu z pierwszej ręki - do góry nogami, ma się

rozumieć. Byli tam: mali ludzie w żółtych płaszczach i białych półbutach, spłukujący kęsy niemal surowego mięsa łykami martini. Gdyby choć na chwilę skierowali myśli w jego stronę…

Kabinę prysznicową wypełniały kłęby pary. BB wspięła się na bosych stopach, rozchyliła poły ręcznika i pozwoliła mu opaść na podłogę. W tej samej chwili okazało się, że to wcale nie jest Brigitte Bardot, lecz Carol Gerber. „Trzeba mieć dużo odwagi, żeby pokazywać się ludziom w samym ręczniku", powiedziała, a teraz pozbyła się nawet tego skromnego okrycia. Widział ją taką, jaka mogła być za osiem lub dziesięć lat.

Pożerał ją wzrokiem, niezdolny wykonać jakiegokolwiek ruchu, zatracony w miłości, w zapachu mydła i perfum, w muzyce dobiegającej z radia (zamiast Freddy'ego Cannona grali teraz The Platters - *niebiański całun nocy właśnie opadł…),* w widoku palców u stóp z pomalowanymi paznokciami. Serce łomotało mu w piersi w szaleńczym tempie, a każde uderzenie przenosiło go między światami całkowicie odmiennymi od tego, w którym przyszło mu żyć.

Taksówka powoli ruszyła naprzód, fioletowy czterodrzwiowy koszmar (zostawili go tuż za zakazem postoju, ale czy musieli przejmować się takimi głupotami?) z wolna zostawał z tyłu. Chwilę potem taksówkarz gwałtownie zahamował, by uniknąć zderzenia z jadącym szybko trolejbusem. Kierowca zaklął pod nosem. DeSoto był już dość daleko z tyłu, ale refleksy słońca odbijającego się w jego niezliczonych chromowanych ozdobach wciąż jeszcze tańczyły po kabinie taksówki. Nagle Bobby poczuł silne, dokuczliwe swędzenie na dnie oczu, a zaraz potem przesunął się przed nimi jakiś ruchliwy poskręcany cień. Chłopiec wciąż widział Carol, ale mniej wyraźnie, jakby między nim a dziewczyną pojawiła się brudna, deformująca szyba.

Wyczuli nas… albo coś. Boże, pozwól nam się stąd wydostać. Zabierz nas stąd.

Kierowca dostrzegł lukę między samochodami, skręcił gwałtownie, dodał gazu i już po chwili jechali z całkiem przyzwoitą prędkością. Swędzenie oczu powoli ustępowało, zakłócenia widzenia znikły całkowicie i Bobby stwierdził, że patrzy wcale nie na Carol ani nawet nie na Brigitte Bardot, lecz na dziewczynę z kalendarza w Narożniku, rozebraną do naga siłą jego wyobraźni. Muzyka ucichła, zapach mydła i perfum rozwiał się, życie z niej uciekło i była już tylko… już tylko…

- …obrazkiem na ścianie - powiedział Bobby, prostując się na tylnej kanapie taksówki.

- Co powiedziałeś, chłopcze? - zapytał kierowca i wyłączył radio. Mecz dobiegł końca. Mel Allen sprzedawał papierosy.

- Nic.

- Przysnąłeś trochę, co? Gorąco, duży ruch… Zdziwiłbyś się, jak wielu ludziom to się zdarza. Spójrz, twój kumpel jeszcze śpi.

- Wcale nie - odparł Ted. Przeciągnął się i rozprostował ręce, aż zatrzeszczało mu w stawach. - Chociaż przyznaję, że trochę się zdrzemnąłem. - Spojrzał w tylną szybę, ale restauracja Williama Penna była już daleko. - Przypuszczam, że Jankesi wygrali?

- A jakże! Dali tamtym popalić! - Taksówkarz roześmiał się triumfalnie, po czym z niedowierzaniem pokręcił głową. – Nie rozumiem,jak ludzie mogą spać, kiedy w radiu leci transmisja z meczu!

Skręcili w Broad Street i dwie minuty później taksówka zatrzymała się przed domem numer 149. Bobby przyglądał mu się szeroko otwartymi oczami, jakby się spodziewał ujrzeć nową fasadę lub dobudowane skrzydło. Czuł się tak, jakby wracał po dziesięcioletniej nieobecności. W pewnym sensie tak właśnie było: czyż nie widział całkiem dorosłej Carol Gerber?

Ożenię się z nią, postanowił, wysiadając z taksówki. Odpowiedziało mu ujadanie psa pani O'Hara, jakby natrząsającego się z tego i wszystkich innych ludzkich pragnień.

Ted pochylił się do okna po stronie kierowcy, wyjął z portfela dwa banknoty jednodolarowe, zastanowił się przez chwilę i dołożył trzeci.

- Reszty nie trzeba.

- Klawy z pana gość - powiedział taksówkarz.

- I to jak! - potwierdził z uśmiechem Bobby.

- Wejdźmy do środka - ponaglił go Ted. - Tutaj nie jest zbyt bezpiecznie.

Wspięli się po schodkach na ganek. Grzebiąc kluczem w zamku, Bobby myślał o nieprzyjemnym swędzeniu oczu i czarnych cieniach. Ich właśnie najbardziej się przestraszył, wrażenie bowiem było takie, jakby tracił wzrok.

- Czy myślisz, że oni nas zauważyli, wyczuli czy jak się tam mówi?

- Przecież wiesz, że tak… ale nie przypuszczam, żeby wiedzieli, jak blisko byliśmy. - Gdy tylko weszli do mieszkania Garfieldów, Ted zdjął ciemne okulary i schował je do kieszeni. - Najwidoczniej dobrze się przed nimi ukryłeś. Rety, ależ tu gorąco!

- Skąd wiesz, że nie wiedzieli, że byliśmy tak blisko?

Ted właśnie otwierał okno, ale przerwał na chwilę i zerknął przez ramię na chłopca.

- Bo gdyby było inaczej, ten fioletowy samochód stałby już przed domem.

- To nie był samochód. - Bobby również wziął się do otwierania okien, chociaż niewiele to pomagało. Powietrze z zewnątrz, choć wprawiało w ruch zwisające do tej pory smętnie zasłony, było niemal równie gorące jak to w pokoju. - Nie mam pojęcia, co to było, ale tylko wyglądało jak samochód. Co prawda nie widziałem ich, tylko czułem, ale i tak… Mimo upału ciałem Bobby'ego wstrząsnął gwałtowny dreszcz. Ted ustawił wentylator na parapecie.

- Maskują się najlepiej, jak potrafią, ale my i tak ich wyczuwamy. Nawet ludzie, którzy nie mają pojęcia, kim oni naprawdę są. Kamuflaż nigdy nie jest doskonały, a to, co wygląda spod niego, budzi przerażenie. Mam nadzieję, że nigdy nie zobaczysz tego w całej okazałości.

Bobby również miał taką nadzieję.

- Skąd oni się biorą?

- Z bardzo mrocznego miejsca.

Ted przykląkł, wsadził wtyczkę do kontaktu, włączył wentylator. Powietrze, które zaczęło napływać do pokoju, było nieco chłodniejsze, ale nie tak chłodne jak w Narożniku albo Criterionie.

- Czy to jest inna planeta, tak jak w „Pierścieniu wokół Słońca"?

Ted wciąż klęczał przy wentylatorze. Wyglądało to tak, jakby się modlił, ale Bobby widział również, że jego przyjaciel jest ogromnie zmęczony, wręcz wycieńczony. W takim stanie z pewnością nie zdołałby uciec przed małymi ludźmi; przypuszczalnie potknąłby się na pierwszym napotkanym krawężniku.

- Owszem - przemówił wreszcie. - Oni są z innej planety. Z innego „gdzieś" i innego „kiedyś". Tylko tyle mogę ci powiedzieć. Lepiej, żebyś nie wiedział więcej.

Ale Bobby musiał zadać jeszcze jedno pytanie:

- Czy ty też pochodzisz z innej planety?

Ted spojrzał mu prosto w oczy.

- Pochodzę z Teaneck - oświadczył poważnie.

Chłopiec przez dłuższą chwilę przyglądał mu się, zupełnie zdezorientowany, po czym parsknął śmiechem. Ted, który ciągle klęczał, ochoczo mu zawtórował.

- O czym myślałeś w taksówce? - zapytał Ted, kiedy wreszcie zdołali się opanować. - Dokąd uciekłeś, kiedy zaczęły się kłopoty? Co widziałeś?

Bobby przypomniał sobie dwudziestoletnią Carol z paznokciami u stóp pomalowanymi różowym lakierem, nagą Carol z ręcznikiem wokół kostek, otoczoną kłębami pary. TYLKO DLA

DOROSŁYCH, WSTĘP ZA OKAZANIEM PRAWA JAZDY LUB ŚWIADECTWA URODZENIA.

- Nie mogę powiedzieć. Nie mogę, bo… bo…

- Bo są sprawy, o których nikomu nie powinno się mówić.

Rozumiem. - Ted z wysiłkiem dźwignął się na nogi. Bobby chciał mu pomóc, ale mężczyzna odgonił go machnięciem ręki. - Może chciałbyś pobawić się trochę na dworze? Około szóstej nałożę ciemne okulary i pójdziemy przekąsić coś w Colony Diner. Co ty na to?

- W porządku. Byle nie fasolę.

Kąciki ust Teda drgnęły we wspomnieniu uśmiechu.

- Rzecz jasna, że nie fasolę. Fasola jest *verboten.* A później, o dziesiątej, zadzwonię do mojego przyjaciela Lena i zapytam o wynik walki.

- Czy oni… Czy mali ludzie teraz będą i mnie szukać?

- Gdyby tak było, nie pozwoliłbym ci wystawić nosa na ulicę - odparł Ted. - Nic ci nie grozi i moja w tym głowa, żeby tak zostało. A teraz zmykaj, bo mam parę spraw do załatwienia. Tylko wróć najpóźniej o szóstej, żebym się nie denerwował.

- Dobra.

Bobby poszedł do swojego pokoju, wrzucił do słoika cztery ćwierćdolarówki, które pożyczył na wyprawę do Bridgeport, po czym rozejrzał się, jakby trafił tu po raz pierwszy w życiu: narzuta w indiańskie wzory, na ścianie fotografia mamy i opatrzone autografem zdjęcie Claytona Moore'a (zdobyte dzięki zgromadzonym kuponom z opakowań po płatkach owsianych), ciśnięte w kąt wrotki, biurko przy ścianie… Pokój wydał mu się śmiesznie mały: to już nie było miejsce, do którego się wraca, ale takie, z którego należy odejść. Zrozumiał, że zaczął dorastać do pomarańczowej karty bibliotecznej i jakiś głos w jego wnętrzu krzyknął rozpaczliwie: nie, nie, nie!

8

Wyznanie Bobby'ego. Smarkula i smarkacz.

Rionda. Ted rozmawia przez telefon.

Łowiecki zew.

W parku małe dzieciaki grały w dwa ognie. Boisko B było puste, na boisku C kilku nastolatków w pomarańczowych koszulkach Gabriela rzucało od niechcenia piłką baseballową. Carol Gerber siedziała na ławce ze skakanką na kolanach i przyglądała im się. Jak tylko zauważyła Bobby'ego, uśmiechnęła się, lecz uśmiech szybko zniknął z jej ust.

- Bobby, co ci się stało?

Dopiero pytanie Carol uświadomiło mu, że istotnie COŚ mu się stało: przekonał się o istnieniu małych ludzi, w drodze powrotnej z Bridgeport niemal się o nich otarł, jeszcze bardziej niż do tej pory niepokoił się o mamę i Teda. Doskonale zdawał sobie sprawę, dlaczego Ted niemal wypchnął go z domu, i dobrze wiedział, co jego przyjaciel robił teraz: pakował swoje rzeczy do walizek i papierowych toreb na zakupy. Szykował się do wyjazdu.

Kiedy sobie to wszystko uświadomił, po prostu się rozpłakał. Nie chciał wyjść na mazgaja przed dziewczyną, a już na pewno nie przed TĄ dziewczyną, ale nic nie mógł na to poradzić.

Carol przez chwilę wpatrywała się w niego z zaskoczeniem i zdumieniem, po czym zerwała się z ławki, podbiegła i objęła go mocno.

- Wszystko w porządku - uspokajała go. - Nie płacz, Bobby. Wszystko w porządku.

Prawie nic nie widząc zza łez, szlochając jak jeszcze nigdy w życiu (czuł się tak, jakby w jego głowie rozszalała się gwałtowna wiosenna burza), dał się zaprowadzić w kierunku kępy rosnących nieco na uboczu drzew, z dala od boisk i najbardziej uczęszczanych ścieżek. Wciąż go obejmując, Carol usiadła w trawie, po czym zaczęła gładzić go po spoconej głowie. Milczała, a Bobby nie był w stanie wykrztusić ani słowa; mógł tylko szlochać, aż rozbolało go gardło i oczy.

Wreszcie przerwy między chlipnięciami zaczęły się wydłużać. Wkrótce potem chłopiec wyprostował się i otarł twarz przedramieniem; niemal zapadł się pod ziemię ze wstydu, czując, że wyciera nie tylko łzy, ale również ślinę i smarki. Wcześniej to samo z pewnością znalazło się na JEJ rękach i ubraniu.

Nawet jeśli Carol to zauważyła, to niczego nie dała po sobie poznać. Delikatnie dotknęła jego mokrej twarzy; Bobby cofnął się gwałtownie, z jego piersi wyrwał się jeszcze jeden szloch, po czym wbił spojrzenie w trawę. Z zadziwiającą dokładnością widział każde źdźbło, każdy, nawet najmniejszy listek.

- Już wszystko dobrze… - wyszeptała, on jednak wciąż za bardzo się wstydził, żeby na nią spojrzeć.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, po czym Carol powiedziała:

- Jeśli chcesz, będę twoją dziewczyną.

- Już nią jesteś - odparł.

- W takim razie powiedz mi, co się stało.

I Bobby opowiedział jej wszystko od samego początku: o tym, jak Ted sprowadził się do ich domu i jak mama od razu go znielubiła. Opowiedział o pierwszym transie Teda, o małych ludziach i śladach, jakie zostawiają. Kiedy do tego dotarł, Carol położyła mu rękę na ramieniu.

- Nie wierzysz mi, prawda? - Obolałe gardło wciąż było nieprzyjemnie opuchnięte, ale z każdą chwilą czuł się coraz lepiej. Nawet jeśli Carol mu nie uwierzy, nie będzie miał do niej pretensji. Szczerze mówiąc, wcale go to nie zdziwi. To i tak była ogromna ulga, móc wreszcie komuś o tym opowiedzieć. - Nie szkodzi. Wiem, że to brzmi jak…

- Ja też widziałam te rysunki na chodnikach. Yvonne i Angie także. Nawet o nich rozmawiałyśmy. Małe gwiazdki, księżyce, a czasem komety.

Bobby wybałuszył oczy.

- Żartujesz?

- Wcale nie. Dziewczynki zawsze oglądają pola do gry w klasy. Nie mam pojęcia dlaczego. Lepiej zamknij buzię, bo połkniesz muchę.

Zamknął usta. Carol skinęła głową, wzięła go za rękę i splotła ich palce. Bobby nie mógł wyjść ze zdumienia, że tak dokładnie do siebie pasują.

- A teraz opowiedz mi resztę.

Zrobił to, kończąc relacją z minionego dnia, pełnego zdumiewających wydarzeń. Film, Narożnik, rozmowa z Alanną o ojcu, groźne spotkanie w drodze powrotnej. Starał się wyjaśnić, dlaczego fioletowy deSoto nie wyglądał ani trochę jak prawdziwy samochód, tylko jak coś żywego, trochę jak złowroga wersja strusia, na którym niekiedy podróżował dr Dolittle w tych książkach o mówiących zwierzętach; w drugiej klasie wszyscy oszaleli na ich punkcie. Nie

wspomniał ani słowem tylko o tym, gdzie ukrył swoje myśli, kiedy przejeżdżali obok William Penn Grille.

Na końcu, po ciężkiej walce z samym sobą, wykrztusił najtrudniejsze: boi się, że mama popełniła błąd, decydując się na wyjazd do Providence z panem Bidermanem i tamtymi dwoma. Poważny błąd.

- Myślisz, że ten Biderman ją podrywa?

Wolnym krokiem wracali do ławki, na której poprzednio siedziała Carol. Bobby podał jej skakankę, po czym ruszyli w kierunku Broad Street.

- Możliwe - odparł ponuro. - Albo… - Zupełnie niespodziewanie w całej okazałości ukazał mu się fragment jego obaw, jak gdyby z ogromnego, nieokreślonego do tej pory kształtu zsunęła się spowijająca go zasłona. - Albo przynajmniej jej się tak wydaje…

- Myślisz, że się jej oświadczy? Jeśli tak, to będzie twoim ojczymem.

- Boże!

Do tej pory taka myśl nie przyszła Bobby'emu do głowy. Pomysł, że pan Biderman mógłby zostać jego ojczymem, był tak okropny, że aż ciarki przeszły mu po grzbiecie.

- Jeśli ona go kocha, to lepiej zacznij się przyzwyczajać do tej myśli - powiedziała Carol tonem dorosłej, dobrze znającej życie kobiety, który, zdaniem Bobby'ego, zupełnie do niej nie pasował. Najprawdopodobniej brało się to ze zbyt częstego oglądania oper mydlanych w telewizji.

Szczerze mówiąc, nic go nie obchodziło, czy jego mama kocha pana Bidermana, czy nie. Kiepska sprawa, gdyby tak było, ale w ostateczności mógłby to zrozumieć. W grę wchodziło jednak coś więcej, coś ściśle związanego z oszczędnością (a raczej po prostu z skąpstwem) mamy, z jej powrotem do palenia i nocnymi atakami płaczu. Być może miało to także związek z różnicą między Randallem Garfieldem z jej opowieści - niepoprawnym hazardzistą, który zostawił rodzinie tylko stos niezapłaconych rachunków - a Randym Garfieldem ze wspomnień Alanny: miłym gościem, który lubił od czasu do czasu wypić piwo i posłuchać głośnej muzyki z szafy grającej. (Czy niezapłacone rachunki naprawdę istniały? Czy naprawdę istniała nieodnowiona w porę polisa na życie? A jeśli nie, to dlaczego matka go okłamywała?). O tym wszystkim nie mógł jednak rozmawiać z Carol. Nie dlatego że nie chciał, ale dlatego że nie potrafił.

Powoli ruszyli wiodącą pod górę ulicą. Bobby wziął od Carol jeden koniec skakanki, a ponieważ szli blisko siebie, skakanka wlokła się między nimi po chodniku. Nagle Bobby zatrzymał się i wskazał przed siebie.

- Patrz.

Z przerzuconych nad ulicą przewodów elektrycznych zwisał żółty ogon latawca. Zaplątał się w kable w taki sposób, że z daleka trochę przypominał znak zapytania.

- Widzę - powiedziała Carol ponurym tonem. - Moim zdaniem, powinien wyjechać jeszcze dzisiaj.

- Nie może. Wieczorem jest walka i jeżeli Albini zwycięży, jutro Ted odbierze wygraną. Zdaje się, że bardzo jej potrzebuje.

- No pewnie. Sądząc po jego ubraniu, jest zupełnie spłukany. Założę się, że postawił ostatnie pieniądze.

Tylko kobiety zwracają uwagę na takie szczegóły jak ubranie, pomyślał Bobby. Zamierzał powiedzieć to głośno, ale nie zdążył, ponieważ za ich plecami rozległ się szyderczy głos:

- Patrzcie tylko! Kogo my tu mamy? Smarkulę i smarkacza. Jak się macie?

Obejrzeli się oboje. W ich stronę, pedałując powoli, zmierzali trzej chłopcy w pomarańczowych koszulkach szkoły średniej imienia Św. Gabriela. W przytroczonych do rowerów koszykach wieźli sprzęt baseballowy. Jeden z nich, elegancik o wyglądzie alfonsa, z dużym srebrnym krzyżem dyndającym na szyi, miał na plecach kij w domowej roboty futerale. Pewnie sobie wyobraża, że jest Robin Hoodem, przemknęło Bobby'emu przez głowę, ale wcale nie było mu do śmiechu. Tamci byli duzi, silni, wyrośnięci. Jeśli zechcą posłać go do szpitala, z łatwością tego dokonają. Młodzi mali ludzie w pomarańczowych koszulkach, pomyślał.

- Cześć, Willie - powiedziała Carol do jednego z nich. Nie do tego z kijem baseballowym. Chociaż zabrzmiało to pogodnie, niemal wesoło, Bobby wyraźnie słyszał pobrzmiewający w tle strach, niczym trzepot skrzydeł schwytanego ptaka. - Widziałam, jak graliście. Nieźle rzucasz.

Chłopak miał niełądną, jeszcze nie do końca ukształtowaną twarz pod strzechą kasztanowych włosów, wieńczącą ciało dorosłego mężczyzny. Rower, na którym jechał, sprawiał wrażenie nieproporcjonalnie małego. Bobby'emu chłopak skojarzył się z trollem z bajki.

- Co ci do tego, mała? - warknął Willie.

Starsi chłopcy zrównali się z nimi, po czym dwaj z nich (ten z dyndającym krzyżem oraz Willie) wyprzedzili ich, zatrzymali się i stanęli okrakiem nad swymi rowerami. Bobby uświadomił sobie, że on i Carol są otoczeni. Od tamtych mocno zalatywało potem.

- Co z tobą, mały? - odezwał się trzeci chłopak, pochylił się nad kierownicą roweru i z udawaną uwagą przyjrzał się Bobby'emu. - Ty jesteś Garfield, zgadza się? Bill Donahue wciąż cię szuka. Ma wielką ochotę powybijać ci zęby. Na pewno byłby mi wdzięczny, gdybym mu trochę pomógł.

Bobby czuł się tak, jakby w jego żołądku zagnieździła się gromada ruchliwych węży. Nie będę płakał, powtarzał w myślach. Cokolwiek się stanie, nie będę płakał. I zrobię wszystko, żeby ją obronić.

Obronić przed takimi osiłkami? Śmiechu warte.

- Willie, dlaczego się wygłupiasz? - Carol wciąż zwracała się wyłącznie do chłopaka z kasztanowymi włosami. - Kiedy jesteś sam, zachowujesz się zupełnie inaczej. Dlaczego teraz jesteś taki paskudny?

Willie oblał się szkarłatnym rumieńcem. W połączeniu z jego włosami dało to taki efekt, jakby od szyi w górę stanął w płomieniach. Przypuszczalnie nie chciał, żeby jego koledzy wiedzieli, iż gdy jest bez nich, swoim postępowaniem przypomina niekiedy człowieka.

- Zamknij się! - parsknął. - Lepiej zamknij się i pocałuj swojego chłoptasia, dopóki jeszcze ma wszystkie zęby!

Trzeci chłopak miał zapięty z boku pas motocyklowy, a na nogach rozpadające się, potwornie brudne sportowe pantofle. Do tej pory stał nieruchomo okrakiem nad rowerem krok lub dwa za Carol, ale teraz zbliżył się do niej, złapał za jej koński ogon i pociągnął.

- Au! - krzyknęła i szarpnęła się tak mocno, że prawie upadła. Bobby złapał ją w ostatniej chwili; Willie (który, według Carol, z dala od swoich koleżków nawet potrafił być miły), parsknął śmiechem.

- Dlaczego to zrobiłeś? - wrzasnął Bobby, lecz jeszcze zanim jego słowa zdążyły przebrzmieć, odniósł wrażenie, że słyszał je już tysiące razy. To był rytuał, tradycyjne słowne utarczki poprzedzające autentyczne przepychanki i szarpaninę. Po raz kolejny przyszedł mu na myśl „Władca much", a szczególnie Ralph uciekający przed Jackiem i pozostałymi. Na wyspie wymyślonej przez Goldinga przynajmniej była dżungla. Tutaj nie mieli dokąd uciekać.

Teraz powie: „Bo tak mi się podobało". Tak to się zwykle odbywa.

Zanim jednak chłopak w pasie motocyklowym zdążył otworzyć usta, wyręczył go Robin Hood z kijem baseballowym w futerale.

- Bo tak mu się podobało. Masz coś przeciwko temu, dzidziusiu?

Znienacka uderzył Bobby'ego na odlew w twarz. Stało się to tak szybko, że chłopiec nie zdążył się zasłonić. Willie roześmiał się ponownie.

Carol zrobiła krok w jego stronę.

- Willie, proszę…

Robin Hood chwycił ją za bluzkę i ścisnął.

- Masz już cycuszki? E, marniutkie. Też jeszcze dzidziuś z ciebie.

Popchnął ją mocno. Bobby, któremu wciąż dzwoniło w uszach po uderzeniu, złapał ją ponownie, chroniąc przed upadkiem.

- Wiecie co? Chodźcie, stłuczemy tego gnojka! - zaproponował radosnym tonem ten z pasem motocyklowym. - Ma paskudną gębę.

Powoli zaczęli zacieśniać krąg. Rowerowe opony ponuro popiskiwały na asfalcie. Nagle Willie rzucił swój rower na ziemię i sięgnął po Bobby'ego, ten podniósł pięści, żałośnie naśladując Floyda Pattersona…

- Co tu się dzieje, chłopcy?

Willie, z ręką uniesioną do zadania ciosu, obejrzał się przez ramię. To samo uczynili Robin Hood i chłopak w pasie motocyklowym. Przy krawężniku stał wiekowy studebaker z przerdzewiałymi błotnikami i figurką Jezusa na tablicy przyrządów. Obok, piersiasta i biodrzasta, stała przyjaciółka Anity Gerber, Rionda. Jeszcze nie uszyto takiej letniej sukienki, w której byłoby jej do twarzy (nawet jedenastoletni Bobby doskonale zdawał sobie z tego sprawę), ale akurat teraz, przynajmniej jego zdaniem, wyglądała wspaniale.

- Rionda! - wykrzyknęła Carol niemal z płaczem i podbiegła do niej.

Nikt nie próbował jej zatrzymać. Wszyscy trzej chłopcy z Gabriela gapili się na Riondę, Bobby zaś stwierdził, że nie może oderwać wzroku od uniesionej ręki Williego. Niekiedy zdarzało mu się budzić ze sztywnym, twardym jak kij siusiakiem; zanim doszedł do łazienki, zazwyczaj wszystko wracało do normy. Miał wrażenie, że teraz obserwuje ten sam proces: wisząca nieruchomo w powietrzu ręka Williego zaczęła powoli opadać, palce się rozluźniły… Skojarzenie bardzo go rozbawiło, ale powstrzymał cisnący mu się na usta uśmiech. Gdyby się uśmiechnął, teraz nic by mu nie zrobili, ale później…

Rionda objęła Carol ramieniem i przytuliła ją do bujnej piersi. Bez drgnięcia powieki obserwowała trzech osiłków… i uśmiechała się. Nie czyniła najmniejszych starań, żeby to ukryć.

- Willie Shearman, zgadza się?

Ręka zupełnie opadła, chłopak wymamrotał coś pod nosem i schylił się po rower.

- Richie O'Meara?

Chłopiec w pasie motocyklowym wbił wzrok w czubki zniszczonych butów i bąknął coś niezrozumiale. Był czerwony jak piwonia.

- W każdym razie na pewno O'Meara. Tylu was jest, że wciąż mi się mylicie. - Przeniosła spojrzenie na Robin Hooda. - A kim ty jesteś, dryblasie? Nazywasz się może Dedham?

Robin Hood z zainteresowaniem oglądał sobie ręce, obracając na palcu klasowy sygnet.

Rionda wciąż otaczała ramieniem Carol, która z kolei podjęła z góry skazaną na niepowodzenie próbę objęcia kobiety w talii. Weszły na wąski trawnik między jezdnią i chodnikiem. Carol odwróciła wzrok, Rionda natomiast cały czas wpatrywała się w Robin Hooda.

- Lepiej odpowiedz, kiedy cię pytam, chłopcze. Jeśli będę chciała, i tak dotrę do twojej matki. Wystarczy, że poproszę o pomoc ojca Fitzgeralda.

- Harry Doolin - wymamrotał wreszcie chłopak, coraz szybciej kręcąc sygnetem na palcu.

- A więc niewiele się pomyliłam, prawda? - zauważyła uprzejmym tonem Rionda, wciąż zbliżając się do speszonej trójki. Carol usiłowała ją powstrzymać, ale bezskutecznie. - Dedhamowie i Doolinowie to przecież jedna paczka, czyż nie tak?

Nie Robin Hood, tylko Harry Doolin z idiotycznym, domowej roboty futerałem na kij baseballowy. Nie Marlon Brando, tylko Richie O'Meara, który pomimo pasa motocyklowego będzie musiał poczekać na swojego pierwszego harleya jeszcze co najmniej pięć lat, jeśli nie dłużej. A do kompletu Willie Shearman, który w towarzystwie kolegów wstydził się być uprzejmy wobec dziewczyny. Dzięki komu wrócili do prawdziwych rozmiarów? Ano dzięki samotnej, pulchnej kobiecie w letniej sukience, która przybyła na odsiecz nie na białym rumaku, lecz w rozsypującym się studebakerze rocznik 1954. Wszystko to powinno podnieść Bobby'ego na duchu… ale nie podniosło. Myślał o słowach Williama Goldinga, który powiedział, że co prawda chłopców uratowała załoga krążownika, i bardzo dobrze, ale kto uratuje załogę?

Może to była głupota, może Rionda Hewson wyglądała na ostatnią osobę na świecie, którą trzeba by ratować, niemniej jednak słowa pisarza nie dawały Bobby'emu spokoju. A gdyby dorośli nie istnieli? Gdyby stanowili jedynie złudzenie? Gdyby ich pieniądze okazały się w

rzeczywistości tylko kamykami, wielkie interesy - giełdą znaczków pocztowych, wojny - gonitwami w parku? Gdyby tak naprawdę w eleganckich garniturach i sukniach tkwiły zasmarkane dzieciaki? Boże, lepiej było nawet o tym nie myśleć!

Rionda wciąż miażdżyła chłopców z Gabriela lekceważącym uśmieszkiem.

- Tacy jak wy na pewno nie czepialiby się młodszych i mniejszych dzieci, prawda? Szczególnie jeśli jedno z nich byłoby dziewczynką w wieku waszych młodszych sióstr.

Już nawet nic nie mamrotali, tylko przestępowali z nogi na nogę.

- Wiem, że byście tego nie robili, bo to by było tchórzostwo, zgadza się?

Ponownie dała im szansę na udzielenie odpowiedzi i mnóstwo czasu na to, by wsłuchali się w swoje milczenie.

- Willie? Richie? Harry? Niczego od nich nie chcieliście, prawda?

- Jasne, że nie - bąknął Harry. Gdyby obracał sygnet jeszcze odrobinę szybciej, jego palec prawdopodobnie zająłby się płomieniem.

- Jeślibym jednak podejrzewała, że jest inaczej - ciągnęła Rionda, wciąż z uśmiechem na ustach - musiałabym porozmawiać o tym z ojcem Fitzgeraldem, prawda? A on prawie na pewno uznałby za stosowne porozmawiać z waszymi rodzicami, co przypuszczalnie miałoby taki skutek, że wasi ojcowie przetrzepaliby wam tyłki. I mieliby rację, prawda? Ponownie odpowiedziała jej głucha cisza. Wszyscy trzej stali już okrakiem nad swoimi śmiesznie małymi rowerami.

- Czy oni chcieli czegoś od ciebie, Bobby?

- Nie - odpowiedział bez wahania.

Rionda wsunęła palec pod brodę Carol i zmusiła ją do podniesienia głowy.

- A od ciebie, kochanie?

- Nie.

Rionda uśmiechnęła się do niej, a dziewczyna, chociaż z oczami wilgotnymi od łez, odpowiedziała jej uśmiechem.

- W takim razie nie ma sprawy. Chociaż… Wydaje mi się, że powinniście podziękować im za to, że zdecydowali się zeznawać na waszą korzyść. Chyba zgadzacie się ze mną, prawda?

Odpowiedziało jej niezrozumiałe mamrotanie. Błagam, daj spokój, modlił się bezgłośnie Bobby. Nie każ im nam dziękować. Nie upokarzaj ich.

Być może Rionda usłyszała jego nieme błagania (Bobby miał powody, by wierzyć, że takie rzeczy są możliwe).

- No cóż, tym razem możemy sobie to darować - rzekła z pewnym żalem. - Zmykajcie do domów, chłopcy. A ty, Harry, powiedz Moirze Dedham, że Rionda wciąż raz w tygodniu jeździ do Bridgeport pograć w bingo i że zawsze chętnie ją zabierze.

- Jasne, na pewno powiem - wymamrotał Harry, po czym wskoczył na siodełko i nie odrywając wzroku od ziemi, pomknął chodnikiem w kierunku szczytu wzniesienia. Gdyby ktoś akurat nadchodził, z pewnością by na niego wpadł. Pozostała dwójka ruszyła jego śladem, stając na pedałach, by go dogonić.

Rionda odprowadziła ich wzrokiem. Uśmiech na jej ustach powoli gasł.

- Cholerni Irlandczycy - mruknęła. - Skorzystają z każdej okazji, żeby narobić zamieszania. Carol, na pewno nic ci nie jest?

- Na pewno.

- A co z tobą, Bobby?

- Wszystko w porządku.

Musiał się zdrowo wysilić, żeby nie zacząć trząść się jak galareta, ale skoro Carol zdołała się jakoś opanować, to on nie mógł być gorszy.

- Wsiadaj do samochodu - powiedziała Rionda do Carol. - Odwiozę cię do domu. Ty, Bobby, lepiej już dzisiaj nie wychodź. Do jutra o was zapomną, ale dziś na pewno próbowaliby się odegrać.

- Dobrze - odparł, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że tamci nie zapomną o nich ani jutro, ani za tydzień, ani nawet za dwa miesiące. On i Carol będą musieli długo mieć się na baczności. - Na razie, Carol.

- Do zobaczenia.

Przeszedł na drugą stronę Broad Street, zatrzymał się i zaczekał, aż studebaker stanie przed domem Carol. Kiedy dziewczyna wysiadła, odwróciła się i pomachała. Bobby również pomachał, a następnie wszedł po schodkach na ganek, otworzył drzwi i zniknął we wnętrzu.

Ted siedział w salonie, palił papierosa i czytał „Life" z Anitą Ekberg na okładce. Bobby nie miał najmniejszych wątpliwości, że walizki i torby są już spakowane, ale nigdzie nie było ich widać; widocznie zostawił je na górze, w swoim pokoju. I bardzo dobrze. Bobby nie miał najmniejszej ochoty ich oglądać. Sama świadomość, że są, działała na niego wystarczająco przygnębiająco.

- Co porabiałeś? - spytał Ted.

- Nic szczególnego. Chyba położę się teraz i poczytam aż do obiadu.

Poszedł do swojego pokoju. Na podłodze przy łóżku leżały trzy książki z działu dla dorosłych Biblioteki Publicznej w Harwich: „Kosmiczni inżynierowie" Clifforda D. Siniaka, „Tajemnica rzymskiego kapelusza" Ellery Queen oraz „Spadkobiercy" Williama Goldinga. Bobby wziął „Spadkobierców" i ułożył się wygodnie z głową w nogach łóżka i stopami na poduszce. Na okładce narysowano jaskiniowców, ale tak pobieżnie i niedokładnie, że rysunek był niemal abstrakcyjny. Na okładkach dziecięcych książek nie umieszczano takich ilustracji. Dorosła karta biblioteczna to jednak była wspaniała rzecz… choć może nie aż tak wspaniała, jak się początkowo wydawało.

O dziewiątej wieczorem nadawano „Hawaiian Eye". W normalnej sytuacji Bobby byłby zachwycony możliwością obejrzenia choćby jednego odcinka serialu (zdaniem jego mamy, „Hawaiian Eye" oraz „Nietykalni" były zbyt brutalne i nie nadawały się dla dzieci), teraz jednak miał myśli zaprzątnięte zupełnie czym innym. Niecałe sto kilometrów stąd Eddie Albini i „Huragan" Haywood szykowali się do wyjścia na ring… Dziewczęta reklamujące najnowsze produkty Gilette porządkowały tablice z wielkimi cyframi, które miały pokazywać publiczności przed kolejnymi rundami: 1…2… 3… 4…

Po półgodzinie nie potrafiłby nawet wskazać głównego bohatera-detektywa, a cóż dopiero mówić o śledzeniu kryminalnej intrygi. „Huragan" Haywood zostanie znokautowany w ósmej rundzie, powiedział Ted. Stary Gee nie miał co do tego żadnych wątpliwości. A jeśli jednak coś pójdzie nie tak, jak powinno? Bobby bardzo chciałby, żeby Ted został, jeśli jednak koniecznie musiał odejść, to nie z pustym portfelem! Czy coś się może zdarzyć? Na pewno nie. A jeśli jednak?… Bobby widział kiedyś film o bokserze, który „ustawił" walkę, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie. Gdyby coś takiego zdarzyło się dzisiaj… Jasne, „ustawianie" walk to oszustwo i nic dobrego, ale jeśli „Huragan" Haywood dziś wieczorem nie popełni oszustwa, Ted znajdzie się w kłopotach. „Wpadnie po uszy w bagno", jak powiedziałby Smutny John.

Dziewiąta trzydzieści na ściennym zegarze. Jeśli obliczenia Bobby'ego były prawidłowe, decydująca ósma runda powinna już się zacząć.

- Podobają ci się „Spadkobiercy"?

Był tak głęboko pogrążony w myślach, że na dźwięk głosu Teda aż podskoczył. Na ekranie telewizora Keenan Wynn stał przed spychaczem i mówił, że byłby gotów pójść kilometr po papierosa.

- Są dużo trudniejsi od „Władcy much” - odpowiedział. - Występują tam dwie rodziny jaskiniowców: jedna jest mądrzejsza, ale autor najwięcej opowiada o tej głupszej. Chciałem już dać sobie spokój, ale teraz zrobiło się bardziej interesująco. Chyba doczytam do końca.

- Rodzina, którą poznałeś na początku, ta z małą dziewczynką, to neandertalczycy. Druga rodzina (chociaż w rzeczywistości to wcale nie są rodziny, tylko plemiona), to kromaniończycy. To oni są spadkobiercami. Wydarzenia, w których uczestniczą obie grupy, noszą wszelkie znamiona tragedii antycznej: nieuchronnie prowadzą do tragicznego zakończenia.

Potem Ted mówił jeszcze o Szekspirze, wierszach Edgara Allana Poe i powieściach Theodore’a Dreisera. W każdej innej sytuacji Bobby słuchałby go z zainteresowaniem, tego wieczoru jednak myślami był w Madison Square Garden. Oczami wyobraźni widział ring oświetlony równie rzęsiście jak nieliczne czynne stoły w Narożniku. Słyszał ryk podekscytowanego tłumu, kiedy Haywood rzucił się jak zwierzę na Albiniego, zasypując go gradem ciosów z lewej i prawej. Haywood nie miał najmniejszego zamiaru oddać walki; niczym ten bokser z filmu telewizyjnego w ostatniej chwili zmienił zdanie i postanowił spuścić przeciwnikowi tęgie lanie. Bobby czuł woń potu, słyszał łomot uderzeń… Oczy Albiniego zaszły mgłą… Kolana ugięły się pod nim… Widzowie zerwali się z miejsc, wrzeszcząc jak opętani…

- …wymyślili Grecy. Pewien dramatopisarz imieniem Eurypides…

- Zadzwoń - powiedział niespodziewanie Bobby. Chociaż jeszcze nigdy nie miał papierosa w ustach (w roku 1964 wypalał ponad karton tygodniowo), mówił równie ochryple jak Ted późnym wieczorem, po wypaleniu dziennej porcji chesterfieldów.

- Proszę?

- Zadzwoń do pana Filesa i zapytaj o wynik walki. - Zegar wskazywał za kwadrans dziesiątą. - Jeśli naprawdę trwała tylko osiem rund, powinna już się skończyć.

- Ja też myślę, że już się skończyła, ale gdybym zadzwonił tak wcześnie, Files mógłby nabrać podejrzeń. Z radia przecież nie mogłem się niczego dowiedzieć, bo nie ma transmisji. Lepiej zaczekajmy jeszcze trochę. Niech pomyśli, że miałem przeczucie. Zadzwonię o dziesiątej, tak jakbym się spodziewał, że o wyniku zadecyduje werdykt sędziów. Nic się nie martw, Bobby. Wszystko ułoży się po naszej myśli.

Bobby już nawet nie starał się śledzić akcji filmu; siedział na kanapie ze wzrokiem wbitym w ekran i słuchał paplaniny z głośnika. Jakiś mężczyzna krzyczał na tłustego hawajskiego gliniarza. Kobieta w białym kostiumie kąpielowym wbiegła do wody. Ścigały się

dwa samochody. Wskazówki ściennego zegara pięły się powoli ku dziesiątce i dwunastce niczym dwaj himalaiści pokonujący ostatnie metry przed szczytem Mount Everestu. Morderca zginął po finałowej pogoni na plantacji ananasów i film wreszcie dobiegł końca.

Boby nie zaczekał, aż dobiegnie końca zapowiedź kolejnego odcinka, tylko wyłączył telewizor i odwrócił się do Teda.

- Zadzwoń już, dobrze? Proszę!

- Za chwilkę. Chyba wypiłem o jedną lemoniadę za wiele. Zdaje się, że z wiekiem zmniejsza się pojemność zbiornika.

Powłócząc nogami, udał się do łazienki. Ciągnącą się bez końca ciszę przerwał wreszcie odgłos ciurkania.

- Ach! - westchnął Ted z ulgą.

Bobby nie mógł usiedzieć ze zniecierpliwienia. Chodził nerwowo po pokoju jak zwierzę w klatce. Był pewien, że Tommy „Huragan" Haywood właśnie odbiera gratulacje za zwycięstwo, posiniaczony i poobijany, ale szeroko uśmiechnięty w blasku błyskających fleszy. Towarzyszyła mu jedna z roześmianych dziewcząt od Gilette, podczas gdy w przeciwległym narożniku sekundanci wciąż jeszcze cucili Eddiego Albiniego.

Kiedy Ted wreszcie wrócił, chłopiec był już w czarnej rozpaczy. Po prostu WIEDZIAŁ, że Albini przegrał pojedynek i że jego przyjaciel stracił pięćset dolarów. Czy teraz, kiedy Ted był bez pieniędzy, zdecyduje się zostać? Całkiem możliwe, ale jeśli mali ludzie go tu odnajdą…

Zaciskając i prostując palce, patrzył, jak Ted podnosi słuchawkę i wybiera numer.

- Odpręż się - poradził mu Ted. - Wszystko będzie dobrze.

Ale Bobby nie mógł się odprężyć. Czas mijał, a Ted wciąż bez słowa trzymał przy uchu słuchawkę.

- Dlaczego nie odbiera? - wyszeptał rozpaczliwie Bobby.

- Były dopiero dwa sygnały. Może… Halo? Dobry wieczór, mówi Ted Brautigan… Tak, to ja byłem u państwa dziś po południu. - Niewiarygodne, ale posłał Bobby'emu porozumiewawcze mrugnięcie. Jakim cudem zachowywał taki spokój? Chłopiec podejrzewał, że na jego miejscu z trudem utrzymałby słuchawkę przy uchu, a co dopiero mówić o jakimś mruganiu. - Owszem, jest tutaj. - Ted odwrócił się do Bobby'ego i nie zasłaniając mikrofonu, powiedział: - Alanna pyta, jak się miewa twoja dziewczyna.

Bobby otworzył usta, ale wydobyło się z nich tylko niezrozumiałe stęknięcie.

- Mówi, że doskonale. Jest śliczna jak letni poranek. Czy mogę rozmawiać z Lenem? Oczywiście, zaczekam. Czy może mi pani powiedzieć, jak skończyła się walka? - Słuchał z kamienną twarzą.

Słuchał. I słuchał. Kiedy wreszcie ponownie odwrócił się do chłopca, zasłonił mikrofon. - Mówi, że przez pięć rund Albini zbierał cięgi, w szóstej i siódmej zaczął się odgryzać, a w ósmej prawym sierpowym posłał Haywooda na deski. Kto by się tego spodziewał, prawda?

- Prawda…

A więc jednak się udało. Ale to oznaczało, że w piątek o tej porze Ted będzie już daleko. Z dwoma tysiącami dolarów w kieszeni można daleko uciec nawet przed całą gromadą małych ludzi. Z dwoma tysiącami w kieszeni można uciec przed kimkolwiek.

Bobby poszedł do łazienki i wycisnął pastę na szczoteczkę do zębów. Obawy, że Ted postawił na niewłaściwego boksera, znikły, lecz pozostał smutek spowodowany nieuniknionym rozstaniem. Ba, nie tylko pozostał, ale nawet przybrał na sile. Nigdy by nie przypuszczał, że coś, co się jeszcze nie wydarzyło, może tak bardzo boleć. Najdalej za tydzień zapomnę, dlaczego go tak lubiłem, a za rok już prawie wcale nie będę go pamiętać.

Czy to prawda? Boże, czy tak może być naprawdę?

Nie, postanowił Bobby w duchu. Nie dopuszczę do tego.

Ted rozmawiał z Lenem Filesem. Przyjazna pogawędka przebiegała zgodnie z przewidzianym przez niego scenariuszem: zgadza się, zdał się na przeczucie, było wyjątkowo silne i proszę, nie zawiodło go… Jasne, może przyjechać jutro o wpół do dziesiątej wieczorem, pod warunkiem że matka jego młodego przyjaciela wróci o ósmej, jak zapowiadała. Gdyby się spóźniła, czy Len będzie uprzejmy zaczekać z wypłatą do dziesiątej albo nawet do wpół do jedenastej? Tak? To znakomicie.

Bobby odstawił szczoteczkę do kubka i sięgnął do kieszeni spodni. Jego palce natrafiły na jakiś nowy, obcy przedmiot; wyjąwszy rękę, stwierdził, że trzyma zielony breloczek do kluczy, specjalną pamiątkę z tej części Bridgeport, o której jego matka nie miała najmniejszego pojęcia. Z Dolizny. NAROŻNIK - BILARD, GRY ZRĘCZNOŚCIOWE -PIWO Z BECZKI - KENMORE 8-2127.

Powinien był już się tego pozbyć albo przynajmniej porządnie to ukryć… lecz nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Co prawda tego wieczoru nic nie było w stanie go rozweselić, ale to przynajmniej odrobinę podniosło go na duchu: da breloczek w prezencie Carol,

oczywiście przykazawszy jej, żeby dobrze schowała ją przed swoją mamą. Wiedział, że Carol ma co najmniej dwa klucze, do których mogłaby ją doczepić: do domu i do pamiętnika, który dostała na urodziny od Riondy. (Carol była o trzy miesiące starsza od Bobby'ego, ale nigdy nie zadzierała nosa z tego powodu). Breloczek mógłby pełnić funkcję czegoś w rodzaju pierścionka zaręczynowego. Wiedzieliby o tym tylko oni dwoje. Carol na pewno by się domyśliła. Między innymi z tego powodu była taka wdechowa.

Położył breloczek na półce obok kubka. Kiedy już przebrany w piżamę wrócił do salonu, zastał Teda siedzącego na kanapie z papierosem w ustach.

- Wszystko w porządku, Bobby?

- Chyba tak. Jest tak, jak musi być, prawda?

Ted skinął głową.

- Na to wygląda.

- Zobaczę cię jeszcze kiedyś? - zapytał chłopiec, modląc się w duchu, żeby Ted nie uraczył go żadnym tekstem w stylu Dzielnego Szeryfa: „Nie bój się, kolego, na pewno się jeszcze kiedyś spotkamy…". To nawet nie były teksty, tylko bzdury. Miał wrażenie, że Ted nigdy do tej pory go nie okłamał, i wolałby, żeby tak zostało.

- Nie wiem. - Ted w skupieniu przyglądał się koniuszkowi swojego papierosa. Kiedy oderwał od niego wzrok i spojrzał na Bobby'ego, chłopiec zobaczył, że ma oczy mokre od łez. - Raczej nie.

Te łzy zupełnie rozbroiły Bobby'ego. Popędził przez pokój, żeby objąć Teda, żeby się do niego przytulić… lecz stanął jak wryty, ponieważ Ted wykonał ruch, jakby chciał się przed nim zasłonić, a na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia wymieszanego z przerażeniem. Bobby jakiś czas stał bez ruchu z wyciągniętymi rękami, potem powoli je opuścił. Bez uścisków, bez dotykania - tak brzmiała zasada. Bardzo okrutna zasada. Błędna.

- Będziesz pisał?

- Będę przysyłał pocztówki - odparł Ted po krótkim namyśle. - Ale na pewno nie bezpośrednio do ciebie. To by było zbyt niebezpieczne dla nas obu. Masz jakiś pomysł?

- Przysyłaj je do Carol! - zaproponował.

- Kiedy opowiedziałeś jej o małych ludziach?

W głosie Teda nie słyszał potępienia. Niby dlaczego miałby słyszeć? Przecież wyjeżdżał, prawda? Jego historia równie dobrze mogłaby ukazać się w gazecie pod nagłówkiem:

ZBZIKOWANY STARZEC UCIEKA PRZED PRZYBYSZAMI Z KOSMOSU. Ludzie przeczytaliby to przy śniadaniu, uśmialiby się i zaraz o wszystkim zapomnieli. Małomiasteczkowe poczucie humoru… Jeśli jednak miało to być takie zabawne, to dlaczego tak bolało? Dlaczego tak bardzo bolało?

- Dzisiaj - odparł bardzo cicho. - Spotkałem ją w parku i… i tak jakoś wyszło.

- To się zdarza - przyznał Ted, wzdychając głęboko. - Dobrze o tym wiem. Czasem tama po prostu pęka i nic nie jesteś w stanie na to poradzić. Może zresztą i lepiej… Powiesz jej, że niewykluczone, że skontaktuję się z tobą za jej pośrednictwem?

- Tak.

Ted przez chwilę zastanawiał się głęboko, w zamyśleniu skubiąc górną wargę.

- Kartka zawsze będzie się zaczynała od „Droga C", a podpisana będzie „Przyjaciel". Dzięki temu zorientujecie się, kto ją przysłał. W porządku?

- Jasne. Wdechowo.

To wcale nie było wdechowe - NIC już nie było wdechowe - ale musiało wystarczyć.

Niespodziewanie dla samego siebie Bobby podniósł rękę do ust i posłał Tedowi całusa. Ted uśmiechnął się, chwycił go w locie i przylepił sobie do pooranego bruzdami policzka.

- Idź już spać, Bobby. To był długi dzień.

I Bobby poszedł spać.

Początkowo wydawało mu się, że to ten sam sen: Biderman, Cushman i Dean ścigający jego mamę w dżungli na wyspie Williama Goldinga. Prędko jednak spostrzegł, iż drzewa i pnącza stanowią część tapety, ścieżka zaś, po której co sił biegnie mama, jest wyłożona brązowym chodnikiem. To nie była dżungla, lecz hotelowy korytarz. Tak sobie wyobrażał wnętrze hotelu Warwick.

Nie zmieniło się natomiast to, że pan Biderman i jego dwaj kolesie wciąż ją gonili. Dołączyli do nich również chłopcy z Gabriela - Willie, Richie i Harry Doolin. Mieli twarze pomalowane w czerwone i białe pasy, a na ich jaskrawożółtych kamizelkach widniało ogromne czerwone oko:

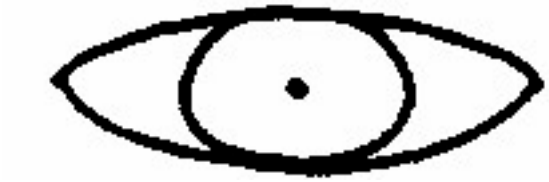

Kamizelki stanowiły ich jedyne odzienie. Wstydliwe części ciała podrygiwały i podskakiwały w krzaczastych gniazdach ciemnych włosów. Wszyscy, z wyjątkiem Harry'ego Doolina, byli uzbrojeni we włócznie; Harry wymachiwał zaostrzonym z obu końców kijem baseballowym.

- Zabić sukę! - wrzeszczał Cushman.

- Wypić krew! - wykrzyknął Don Biderman i cisnął włócznię, ale Liz w tej samej chwili skręciła w boczną odnogę korytarza i włócznia utkwiła w ścianie.

- Wsadzić jej to w cipę! - darł się Willie, który z dala od kumpli potrafił nawet być miły dla dziewcząt. Czerwone oko na jego kamizelce gapiło się intensywną czerwienią, tak samo jak sterczący niżej penis.

Uciekaj, mamo! Uciekaj! - usiłował krzyknąć Bobby, lecz nie był w stanie wydać żadnego dźwięku. Nie miał ust, nie miał ciała… Był tam, a jednocześnie go nie było. Sunął obok matki niczym cień, słyszał jej chrapliwy oddech, widział wykrzywione w grymasie przerażenia usta i podarte pończochy. Elegancka sukienka wisiała na niej w strzępach, ze skaleczenia na piersi sączyła się krew, jedno oko było prawie niewidoczne spod opuchlizny. Wyglądała tak, jakby stoczyła kilkurundowy pojedynek z Eddiem Abinim albo „Huraganem" Haywoodem… Lub oboma naraz.

- Rozpłatam cię! - wrzeszczał Richie.

- Zeżrę cię żywcem! - wtórował mu Curtis Dean. - Wypiją twoją krew! Wypruję ci bebechy!

Mama obejrzała się, potknęła (dopiero teraz zauważył, że biegła boso). Nie rób tego, mamo! - jęknął rozpaczliwie. - Błagam cię, nie rób tego!

Jakby go usłyszała, odwróciła głowę i popędziła przed siebie jeszcze szybciej. Minęli wiszące na ścianie ogłoszenie:

POMÓŻCIE NAM ODSZUKAĆ NASZĄ

UKOCHANA ŚWINKĘ!

LIZ to nasza MASKOTKA!

LIZ MA 34 LATA!

TO WŚCIEKŁA MACIORA, ale MY JĄ KOCHAMY!

ZROBI WSZYSTKO, JEŚLI POWIESZ „OBIECUJĘ"

albo

„Z TEGO BĘDĄ PIENIĄDZE”!

DZWOŃCIE HOusitonic 5-8337

albo

PRZYPROWADŹCIE JĄ

DO WILLIAM PENN GRILLE!

Pytajcie o MAŁYCH LUDZI

W ŻÓŁTYCH PŁASZCZACH!

Hasto: „NA SUROWO!”

Mama też zauważyła ogłoszenie, potknęła się ponownie i tym razem runęła jak długa.

Wstawaj, mamo! - krzyknął Bobby, ale ona nie wstała -być może nie mogła - tylko czołgała się rozpaczliwie po brązowym dywanie, co chwila zerkając z przerażeniem za siebie. Włosy wisiały po obu stronach jej twarzy w grubych, zlepionym potem strąkach, rozdarta sukienka opadła na boki, odsłaniając nagie pośladki. Tylna strona ud była zbroczona krwią. Co oni jej zrobili? Co oni zrobili jego matce?

Zza zakrętu Z PRZODU wyłonił się Don Biderman. Widocznie znalazł jakiś skrót. Chwilę potem pojawili się pozostali. Penis Bidermana sterczał tak samo jak niekiedy Bobby’ego, zanim chłopiec wstał rano z łóżka i poszedł do łazienki, tyle że kutas Bidermana był wielki, ogromny, wyglądał jak kraken, jak jakiś potwór, i Bobby od razu zrozumiał, skąd wzięła się krew na nogach mamy. Nie chciał zrozumieć, ale jednak zrozumiał.

Zostaw ją w spokoju! - usiłował krzyknąć na Bidermana. - Już wystarczy!

Szkarłatne oko na żółtej kamizelce mężczyzny nagle otworzyło się jeszcze szerzej… i umknęło w bok. Bobby był niewidzialny, zostawił swoje ciało w innym świecie - a jednak oko go dostrzegło. Czerwone oko widziało wszystko.

- Zabić świnię, wypić krew! - zaintonował Biderman niskim, zmienionym nie do poznania głosem.

- Zabić świnię, wypić krew! - dołączyli Bill Cushman i Curtis Dean.

- Zabić świnię, wypruć flaki, zeżreć mięso! - mamrotali Willie i Rockie. Ich członki również zamieniły się w sterczące włócznie.

- Zjeść ją, pić ją, rozpruć ją, pieprzyć ją! - śpiewał Harry.

Mamo, wstawaj! Uciekaj!

Spróbowała się podnieść, lecz w tej samej chwili Biderman rzucił się na nią, a za nim pozostali. Kiedy ich szponiaste palce zaczęły zdzierać z niej resztki ubrania, Bobby pomyślał rozpaczliwie: Chcę stąd uciec, chcę wrócić do swojego świata, chcę wrócić do siebie, niech wszystko zacznie się kręcić w przeciwną stronę…

Ale tu nie miało się co kręcić, ponieważ był w nieruchomej, niebotycznie wysokiej wieży, w której tłoczyło się wszelkie istnienie, a potem wszystko znikło i na chwilę ogarnęła go cudowna nicość. Kiedy otworzył oczy, pokój był zalany ciepłym słonecznym blaskiem - porannym słonecznym blaskiem we czwartek, ostatniego czerwca prezydentury Eisenhowera.

9

Paskudny czwartek.

Tedowi Brautiganowi jedno na pewno trzeba było przyznać: potrafił doskonale gotować. Śniadanie, które postawił przed Bobbym (rzadką jajecznicę, grzankę, chrupiący bekon), było znacznie lepsze od wszystkiego, co dostawał na śniadanie od matki - jej specjalnością były wielkie, pozbawione smaku naleśniki, które maczało się w syropie od ciotki Jemimy - i co najmniej równie smaczne jak dania w Colony Diner albo Harwich. Problem polegał na tym, że chłopiec wcale nie był głodny. Nie pamiętał szczegółów snu, ale wiedział, że z pewnością były koszmarne; sądząc po tym, że obudził się na wilgotnej poduszce, nieźle spłakał się w nocy. Jednakże sen nie był jedyną przyczyną jego fatalnego nastroju - sny przecież nie są prawdziwe. Prawdziwy był natomiast zbliżający się wyjazd Teda. Na zawsze.

- Wyruszysz od razu z Narożnika? - zapytał Bobby, kiedy Ted usiadł naprzeciwko ze swoją porcją jajecznicy i bekonu.

- Tak będzie najbezpieczniej. - Jadł powoli, bez apetytu. Najwyraźniej on też nie czuł się najlepiej. Bobby był z tego nawet zadowolony. - Twojej mamie powiem, że jadę do chorego brata w Illinois.

- Pojedziesz autobusem? - Raczej pociągiem - odparł Ted z uśmiechem. - Nie zapominaj, że jestem teraz zamożnym człowiekiem.

- Którym pociągiem?

- Lepiej, żebyś nie znał zbyt wielu szczegółów. Jeśli czegoś nie wiesz, nikomu tego nie wygadasz… i nikt nic z ciebie nie wyciśnie.

Bobby przez chwilę zastanawiał się nad słowami Teda.

- A będziesz pamiętał o pocztówkach?

Ted nabił na widelec kawałek bekonu, podniósł do ust, rozmyślił się, odłożył go na talerz.

- Będę, obiecuję. A teraz porozmawiajmy o czymś innym.

- Na przykład o czym?

Ted uśmiechnął się szeroko. Z takim szczerym, ciepłym uśmiechem na ustach wyglądał tak, jakby znowu miał dwadzieścia lat.

- O książkach, ma się rozumieć. Porozmawiajmy o książkach.

Już o dziewiątej rano stało się jasne, że dzień będzie potwornie upalny. Bobby pomógł sprzątać po śniadaniu - wycierał naczynia i odstawiał na miejsce - po czym usiedli w salonie, gdzie wentylator Teda pracowicie młócił zmęczone powietrze, i rozmawiali o książkach… a raczej to Ted mówił o książkach. Tym razem Bobby łapczywie chłonął każde słowo, jego uwagi nie zaprzątała bowiem walka Albiniego z Haywoodem. Nie wszystko było dla niego jasne, zrozumiał jednak wystarczająco wiele, aby pojąć, że książki tworzą własny, zupełnie odrębny świat i że Biblioteka Publiczna w Harwich jest zaledwie furtką do tego świata.

Ted opowiadał o Williamie Goldingu i dystopii fantastycznej, o Herbercie George'u Wellsie i jego „Wehikule czasu", doszukując się związków pomiędzy tą książką a „Władcą much" Goldinga; opowiadał o najważniejszych zadaniach literatury, którymi, jego zdaniem, były rozważania o niewinności i doświadczeniu, o dobrze i złu. Pod koniec zaimprowizowanego wykładu wspomniał o książce „Egzorcysta", która zajmowała się wszystkimi tymi problemami („w kontekście kultury masowej, ma się rozumieć"), po czym nagle umilkł w pół słowa, potrząsnął głową i potarł oczy.

- Co się stało?

Bobby pociągnął łyk lemoniady. Wciąż niezbyt ją lubił, ale był to jedyny zimny napój w mieszkaniu.

- Co ja wygaduję! - Ted przesunął ręką po twarzy, jakby usiłował zedrzeć z niej niewidzialną zasłonę. - Przecież nikt jej jeszcze nie napisał!

- Co to znaczy?

- Nic. Wszystko mi się plącze. Może wyszedłbyś na dwór rozprostować kości? Chyba położę się na trochę. Nie spałem zbyt dobrze w nocy.

- W porządku.

Bobby przypuszczał, że odrobina świeżego powietrza - nawet GORĄCEGO świeżego powietrza - raczej mu nie zaszkodzi. Poza tym, chociaż to, co mówił Ted, bardzo go interesowało, z biegiem czasu ogarniało go coraz silniejsze przeświadczenie, że ściany pokoju zbliżają się i napierają na niego ze wszystkich stron. Najprawdopodobniej miało to związek ze zbliżającym się nieuchronnie wyjazdem Teda.

Kiedy wrócił do pokoju po rękawicę baseballową, pomyślał przelotnie o breloczku do kluczy z Narożnika i o swoim postanowieniu, żeby wręczyć go Carol jako namiastkę pierścionka zaręczynowego. Zaraz potem jednak przypomniał sobie Harry'ego Doolina, Richiego O'Meare i

Williego Shearmana. Gdyby się na nich natknął, z pewnością mógłby pożegnać się z kilkoma zębami. Po raz pierwszy od dwóch albo trzech dni odczuł brak Smutnego Johna, który co prawda był równie mały jak on, ale za to znacznie twardszy. Doolin wraz z kumplami i tak zapewne złoiłby mu skórę, ale za sprawą Johna sporo by ich to kosztowało. Niestety Smutny John był na obozie i to załatwiało sprawę.

Nawet nie przyszło mu do głowy, że mógłby zostać w domu (przecież z powodu takiego śmiecia jak Willie Shearman nie spędzi całego lata w swoim pokoju!), lecz stanąwszy w progu, rozejrzał się uważnie na wszystkie strony. Jeśli zachowa ostrożność, jeśli będzie się miał na baczności, być może zdoła uniknąć kłopotów.

Zaprzątnięty myślami o chłopcach z Gabriela, Bobby zupełnie zapomniał o zielonym breloczku do kluczy, specjalnym upominku z Dolizny. Leżał na półeczce w łazience tuż obok kubka i szczoteczki do zębów, tam gdzie zostawił go minionego wieczoru.

Włóczył się po całym Harwich: od Broad Street po Commonwealth Park (na boisku C zamiast chłopców z Gabriela oddział Amerykańskiego Legionu ćwiczył musztrę paradną), potem na rynek, stamtąd na stację kolejową. Kiedy stał przy niedużym kiosku z prasą i książkami, gapiąc się na okładki (właściciel kiosku, pan Burton, pozwalał na to pod warunkiem, że nie dotykało się towaru), rozległ się gwizdek oznaczający godzinę dwunastą. Obaj aż podskoczyli z zaskoczenia.

- Co to ma być, do diabła? - zapytał z oburzeniem pan Burton. Rozsypał na podłodze zawartość pudełka z opakowaniami gumy do żucia i teraz schylił się, żeby je pozbierać. - Przecież dopiero co był kwadrans po jedenastej!

- Zgadza się, coś się dzisiaj pospieszyli - przyznał mu rację Bobby.

Zaraz po tym ruszył w dalszą drogę. Nawet książki przestały go chwilowo cieszyć. Maszerując w kierunku River Avenue, wstąpił do piekarni, żeby kupić pół bochenka chleba z porannego wypieku (dwa centy) i zapytać Georgiego Sullivana, co słychać u Smutnego Johna.

- Wszystko w porządku - powiedział najstarszy brat Johna. - We wtorek przysłał widokówkę. Napisał, że tęskni i chce wracać. W środę przysłał następną: że uczy się nurkować. Dzisiaj przyszła następna: świetnie się bawi i ani myśli o powrocie. - Roześmiał się głośno: wielki dwudziestoletni irlandzki chłopak z wielkimi irlandzkimi ramionami i barami. - Może on o tym nie myśli, ale mama cholernie za nim tęskni. Idziesz karmić kaczki?

- Aha.

- Tylko uważaj, żeby nie udziobały cię w palce. Te cholerne rzeczne kaczki roznoszą mnóstwo chorób. Słyszałem, że…

Zegar na ratuszowej wieży zaczął wybijać południe.

- Co się dzisiaj dzieje? - zdziwił się Georgie. – Najpierw gwizdek, teraz ten cholerny zegar odzywa się trzy kwadranse za wcześnie…

- Może to z gorąca - podsunął Bobby.

Georgie spojrzał na niego z powątpiewaniem.

- Bo ja wiem… Takie sobie to twoje wytłumaczenie.

Może i takie sobie, pomyślał chłopiec, ale za to znacznie bezpieczniejsze od paru innych.

Pogryzając nieco sczerstwiały chleb, Bobby skręcił w dół ku River Avenue. Kiedy wreszcie znalazł wolną ławkę nad rzeką, większa część bochenka znikła już w jego żołądku. Spomiędzy trzcin natychmiast wyłoniły się kaczki i ochoczo podreptały w jego kierunku. Bobby sypał im obficie kawałki chleba, obserwując z rozbawieniem, jak podkradają je sobie nawzajem i jak wysoko podnoszą głowy przy przełykaniu.

Po pewnym czasie zaczęła go ogarniać senność. Popatrzył na rzekę, na migoczące w wodzie odbicia świateł… i senność jeszcze bardziej się pogłębiła. Co prawda przespał całą noc, ale na pewno nie wypoczął, więc teraz, z rękami pełnymi okruchów chleba, zapadł w drzemkę na ławce. Kaczki uporały się z tym, co leżało na trawie, i podchodziły do niego coraz bliżej, pokwakując flegmatycznie. Dwadzieścia po dwunastej zegar ratuszowy wybił drugą; przechodnie kręcili z niedowierzaniem głowami i pytali się nawzajem, do czego zmierza świat. Sen Bobby'ego pogłębiał się coraz bardziej; kiedy na chłopca padł cień, ten nie poczuł tego ani tym bardziej nie zauważył.

- Hej, mały!

Głos był cichy, ale przepełniony napięciem. Bobby ocknął się gwałtownie, resztki chleba posypały się na ziemię. W jego żołądku znowu rozgościły się wijące węże. Tym razem nie był to Willie Shearman ani Richie O'Meara, ani Harry Doolin - chociaż jeszcze nie do końca przytomny, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości - lecz z ręką na sercu wolałby, żeby to był któryś z nich. Albo nawet wszyscy trzej. Lanie to wcale nie najgorsza rzecz, jaka może spotkać cię w życiu. Są dużo gorsze. Rety, czemu przyszedł akurat tutaj i zasnął jak dziecko?

- Mały!

Kaczki deptały mu po nogach, łapczywie połykając nie-rozdrobnione kawałki chleba. Ocierały się o jego łydki, zawadzały skrzydłami i dziobami o kostki, lecz Bobby prawie tego nie czuł, wpatrzony w cień na trawie. Był to cień mężczyzny stojącego za jego plecami.

- Mały!

Bobby wreszcie się odwrócił - powoli, pokonując niemal fizyczny opór. Był pewien, że mężczyzna będzie miał na sobie żółty płaszcz z namalowanym wielkim czerwonym okiem.

Pomylił się. Tamten był w beżowym letnim garniturze. Przód marynarki nieco odstawał, wypchnięty do przodu przez brzuch, który z średniego właśnie zaczynał robić się pokaźny. To na pewno nie był żaden z NICH: Bobby'ego nie swędziały oczy, w polu widzenia nie przemykały żadne cienie. Miał do czynienia człowiekiem z krwi i kości, a nie jakąś istotą, która tylko człowieka udawała.

- Słucham? - wymamrotał niewyraźnym, nieco ochrypłym głosem. Wciąż nie mógł uwierzyć, że ot tak, po prostu zasnął na ławce. - Czego pan chce?

- Dam ci dwa dolary, jeśli pozwolisz, żebym ci obciągnął - powiedział człowiek w beżowym garniturze, po czym wyjął z kieszeni portfel. - Schowamy się za tamtym drzewem. Nikt nas nie zobaczy. Na pewno ci się to spodoba.

- Nie - odparł Bobby, podnosząc się z miejsca. Nie był do końca pewien, czego chce od niego mężczyzna, ale mniej więcej się domyślał. Kaczki rozpierzchły się na boki, lecz chleb stanowił dla nich zbyt wielką pokusę: natychmiast wróciły i w dalszym ciągu uwijały się wokół stóp chłopca. - Muszę już wracać do domu. Moja mama…

Mężczyzna zbliżał się powoli z wyciągniętym przed siebie portfelem, jakby zamierzał wręczyć go Bobby'emu w całości, pal licho te nędzne dwa dolary.

- Nic nie musisz robić, ja się wszystkim zajmę. Chodź, nie bój się. Co powiesz na trzy dolary?

W jego głosie pojawiło się drżenie, mówił piskliwie, by zaraz potem przeskoczyć na znacznie niższe tony.

- Za trzy dolary będziesz mógł chodzić do kina przez miesiąc.

- Nie, ja naprawdę muszę…

- Polubisz to, wszyscy moi chłopcy to lubią…

Sięgnął obiema rękami do Bobby'ego, któremu nagle stanął przed oczami obraz Teda kładącego mu ręce na ramionach, splatającego mu dłonie na karku, przyciągającego go coraz

bliżej, jak do pocałunku. To oczywiście nie było to samo… a zarazem było. Przynajmniej częściowo.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, Bobby schylił się, złapał jedną z kaczek, podniósł ją przy wtórze przerażonego kwakania i rozpaczliwego łopotu skrzydeł - w przelocie mignął mu czarny paciorek oka - i wepchnął w objęcia mężczyzny, który wrzasnął przeraźliwie i cofnął się, zasłaniając twarz rękami.

Bobby rzucił się do ucieczki.

W drodze powrotnej do domu spostrzegł ogłoszenie na słupie przed sklepem cukierniczym. Zatrzymał się i przeczytał je z rosnącym z każdą chwilą przerażeniem. Nie pamiętał dokładnie swojego snu z minionej nocy, ale był pewien, że widział w nim coś w tym rodzaju. Całkowicie pewien.

CZY WIDZIELIŚCIE BRAUTIGANA?

Jest STARYM KUNDLEM, ale KOCHAMY GO!

Ma SIWĄ SIERŚĆ i BŁĘKITNE OCZY!

Jest PRZYJACIELSKI!

JE Z RĘKI! WYSOKA NAGRODA!

Jeśli widzieliście BRAUTIGANA

DZWOŃCIE HOusitonic 5-8337!

lub

ODPROWADŹCIE GO NA Highgate Avenue 745

Do domu RODZINY SAGAMORE!

To nie jest dobry dzień, pomyślał Bobby, obserwując swoją rękę, która wyciągnęła się bez udziału jego woli i zdarła ogłoszenie ze słupa. Nieco dalej, zaczepiony o markizę przed wejściem do kina Harwich, trzepotał na wietrze błękitny ogon latawca. To paskudny dzień. Niepotrzebnie wychodziłem z domu. Chyba nawet niepotrzebnie wstawałem z łóżka.

HOusitonic 5-8337, numer identyczny z tym na ogłoszeniu o walijskim corgi imieniem Phil… tyle że Bobby nigdy nie słyszał o centrali o takiej nazwie. Jedne numery należały do centrali HArwich, inne do Commonwealth, ale HOusitonic? Ani tu, ani w Bridgeport niczego takiego nie było.

Zmiął ogłoszenie i wrzucił je do kosza na śmieci na najbliższym skrzyżowaniu, ale po drugiej stronie ulicy natrafił na drugie, takie samo… a trochę dalej na trzecie, naklejone na

skrzynce pocztowej. Tamte również zniszczył. Albo mali ludzie byli coraz bliżej, albo wpadli w panikę. Albo w grę wchodziły obie te rzeczy naraz. Nie ma mowy o tym, żeby Ted wystawił dzisiaj nos z domu. Trzeba mu o tym jak najprędzej powiedzieć.

Szedł szybkim krokiem przez park, miejscami nawet podbiegając, żeby jak najprędzej dotrzeć z wiadomościami do domu. Był tak pochłonięty myślami, że kiedy mijał boiska, niewiele brakowało a nie usłyszałby cichego, rozpaczliwego wołania dobiegającego z lewej strony:

- Bobby!…

Stanął jak wryty i spojrzał w kierunku kępy drzew, tej samej, do której dzień wcześniej zaprowadziła go Carol, kiedy zaczął się mazać. Chwilę potem wołanie rozległo się ponownie i Bobby zorientował się, że to właśnie ona.

- Bobby, proszę, pomóż mi…

Skręcił z cementowej ścieżki, wszedł między drzewa. Widok, który ujrzał, sprawił, że wypuścił z rąk rękawicę baseballową. Kiedy dużo później przypomniał sobie o niej, rękawicy już nie było. Ktoś widocznie ją znalazł i wziął sobie. I co z tego? To akurat był najmniejszy problem.

Carol siedziała z kolanami pod brodą pod tym samym wiązem, pod którym nie tak dawno go pocieszała. Była śmiertelnie blada, a podkrążone oczy upodabniały ją do szopa. Z nosa ciekła jej strużka krwi. W lewej ręce zebrała kilka fałd materiału i przyciskała je do rysujących się niewyraźnie piersi. Łokieć podtrzymywała prawą ręką.

Miała na sobie szorty i obszerną bluzę z długimi rękawami - taką, którą po prostu naciąga się przez głowę. Później Bobby doszedł do wniosku, że znaczną część winy za to, co się wydarzyło, ponosi właśnie ta bluza. Włożyła ją pewnie po to, żeby uchronić się przed poparzeniami słonecznymi, no bo z jakiego innego powodu w taki upalny dzień można nosić bluzę z długimi rękawami? Ciekawe, czy sama wpadła na ten pomysł, czy namówiła ją pani Gerber? A czy to miało jakiekolwiek znaczenie? Tak, pomyślał Bobby, kiedy wreszcie nadszedł czas na myślenie. Miało. I to cholernie duże.

Tymczasem jednak ledwo ją zauważył, ponieważ jego uwagę przykuło lewe ramię Carol. Wyglądało tak, jakby uległo rozdwojeniu.

- Bobby… - Wpatrywała się w niego nieprzytomnym spojrzeniem. - Oni zrobili mi krzywdę…

Oczywiście była w szoku, on zresztą też, działał instynktownie. Spróbował ją podnieść, ale krzyknęła przeraźliwie - Boże, co za krzyk.

- Pobiegnę po pomoc - zdecydował. - A ty siedź tutaj i się nie ruszaj.

Pokręciła głową, bardzo ostrożnie, żeby nie urazić kontuzjowanego ramienia. W jej ciemnych oczach błyszczały ból i przerażenie.

- Nie! Nie zostawiaj mnie samej! A jeśli wrócą? A jeśli wrócą i skrzywdzą mnie jeszcze bardziej?

Znaczna część wydarzeń tego długiego upalnego czwartku znikła z jego pamięci wessana przez wir szoku, to jednak zapamiętał z całą ostrością- przerażone, wpatrzone w niego oczy Carol i jej słowa: „A jeśli wrócą i skrzywdzą mnie jeszcze bardziej?”.

- Ale… Ja muszę…

- Mogę iść. Jeśli mi pomożesz, na pewno dam radę pójść.

Bobby objął ją ostrożnie, modląc się w duchu, żeby nie krzyknęła. Tamten krzyk był zbyt okropny.

Carol powoli wstała, opierając się plecami o pień drzewa. Lewe ramię poruszyło się lekko, groteskowo zdeformowany bark wybrzuszył się jeszcze bardziej. Jęknęła, ale nie krzyknęła. Dzięki Bogu.

- Może jednak lepiej tu zostań…

- Nie. Nie chcę. Pomóż mi. Boże, jak to boli…

Kiedy się wyprostowała, zrobiło się trochę łatwiej. Wyszli z kępy drzew ramię w ramię, poważnie i powoli, niczym para narzeczonych. Dzień wydawał się jeszcze gorętszy i oślepiająco jasny. Bobby rozejrzał się, lecz dookoła nie było żywego ducha. Gdzieś daleko grupa dzieci (przypuszczalnie były to Wróble albo Rudziki ze Sterling House) śpiewała piosenkę, ale boiska, oraz teren wokół nich, były zupełnie opustoszałe: ani dzieciaków, ani matek z wózkami, ani śladu posterunkowego Raymera, który, jeśli akurat był w dobrym humorze, czasem kupował dzieciarni lody lub fistaszki. Wszyscy uciekli przed skwarem do domów.

Wciąż bardzo powoli podążali ścieżką wiodącą ku skrzyżowaniu Commonwealth i Broad Street. Broad Street była równie opustoszała jak park; powietrze nad rozgrzanymi chodnikami drżało jak w hucie, w zasięgu wzroku nie było ani jednego pieszego czy samochodu.

Zatrzymali się przy krawężniku i Bobby właśnie zamierzał spytać, czy Carol zdoła przejść przez jezdnię, ale nie zdążył.

- Bobby… Ja chyba mdleję… - wyszeptała.

Pod półprzymkniętymi powiekami błysnęły białka oczu, dziewczyna zachwiała się jak drzewo, które zamierza lada chwila runąć. Niewiele myśląc, Bobby schylił się i wziął ją pod uda; sekundę później Carol zaczęła się powoli osuwać.

Ponieważ stał po prawej stronie, mógł działać, nie narażając jej lewego barku na dodatkowe urazy. Poza tym, chociaż na pół zemdlona, dziewczyna wciąż kurczowo trzymała się za lewy łokieć, dzięki czemu ramię było prawie całkowicie unieruchomione.

Carol Gerber była nieco wyższa od Bobby'ego i ważyła prawie tyle co on. W normalnych warunkach nawet nie zdołałby jej dźwignąć, cóż dopiero mówić o przeniesieniu choćby na niewielką odległość, ale w szoku ludzie są zdolni do nadzwyczajnego wysiłku. Bobby po prostują poniósł, i to bynajmniej nie zataczając się ani nie słaniając. Nikt go nie zatrzymał, nikt nie zapytał, co się stało, nikt nie zaofiarował pomocy. Od strony Asher Avenue dobiegał stłumiony uliczny hałas, lecz poza tym panował zdumiewający spokój, zupełnie jak w Midwich, gdzie wszyscy równocześnie zapadli w sen.

Nawet nie przyszło mu do głowy, żeby zanieść Carol do jej mamy, i to nie tylko dlatego, że do domu Gerberów było nieco dalej. Pierwszym, który przyszedł mu na myśl, był Ted, i na nim poprzestał. Musiał zanieść ją do Teda. On na pewno będzie wiedział, co robić.

Nadnaturalna siła opuściła go w chwili, kiedy wchodził po schodkach na ganek. Zatoczył się i zawadził barkiem dziewczyny o balustradę. Carol zesztywniała mu w ramionach, szeroko otworzyła oczy i krzyknęła z bólu.

- Już jesteśmy… - wychrypiał obco brzmiącym głosem. - Już prawie jesteśmy… Przepraszam, że cię zabolało, ale już… zaraz…

Otworzyły się drzwi i w progu stanął Ted w szarych spodniach od garnituru i podkoszulku, z opuszczonymi szelkami. Minę miał zaskoczoną i zatroskaną, ale na pewno nie wystraszoną.

Bobby z najwyższym trudem wspiął się na ostatni stopień, wyprostował się… i niewiele brakowało, żeby runął do tyłu, być może roztrzaskując sobie czaszkę na chodniku. Ted złapał go w ostatniej chwili.

- Daj mi ją.

- Przejdź z drugiej strony… - wysapał Bobby. Mięśnie ramion drżały mu jak struny gitary, barki płonęły żywym ogniem. - Z tej… Z tej ją boli…

Ted podszedł od strony Bobby'ego. Carol była już przytomna, wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami. Jej jasne włosy spływały na rękę Bobby'ego.

- Zrobili mi krzywdę… - wyszeptała. - Prosiłam Williego… żeby przestali… ale on… ale on nie chciał mnie słuchać.

- Nic nie mów - poradził jej Ted. - Wszystko będzie dobrze.

Najdelikatniej, jak potrafił, odebrał ją chłopcu, ale Carol i tak jęknęła, po czym rozpłakała się cicho. Z nosa znowu pociekła krew, szkarłatna kropla spadła na białą skórę. Bobby'emu nagle przypomniał się jeden ze szczegółów koszmarnego snu: oko. Czerwone oko.

- Przytrzymaj drzwi, Bobby.

Chłopiec otworzył je na oścież i Ted zaniósł Carol do mieszkania Garfieldów. W tym samym czasie Liz Garfield schodziła po metalowych schodach prowadzących z przystanku kolei podmiejskiej na Main Street, tuż przy postoju taksówek. Poruszała się powoli i niezbyt pewnie, jak zepsuty automat albo inwalida. W obu rękach trzymała walizki. Pan Burton, właściciel kiosku z gazetami książkami, stał akurat w drzwiach i palił papierosa. Widział, jak Liz schodzi z ostatniego stopnia, podnosi skromną woalkę przy kapeluszu i delikatnie dotyka twarzy chusteczką, krzywiąc się przy tym boleśnie. Była mocno umalowana, ale niewiele to pomogło; krzykliwy makijaż tylko zwracał na nią uwagę. Woalka była nieco lepsza, chociaż zasłaniała jedynie górną połowę twarzy. Ponownie wzięła walizki do rąk i podeszła do pierwszej z trzech stojących na postoju taksówek. Kierowca wysiadł, by włożyć je do bagażnika.

Burton zastanawiał się, kto ją tak potraktował. Miał nadzieję, że ten ktoś, kimkolwiek był, właśnie jest obsługiwany przez kilku barczystych masażystów w policyjnych mundurach, z potężnymi, twardymi jak stal pałkami. Człowiek, który postępuje w ten sposób z kobietą, nie powinien przebywać na wolności. Takiego zdania był pan Burton.

Wbrew oczekiwaniom Bobby'ego Ted nie położył Carol na kanapie, lecz wciąż trzymając ją w objęciach, usiadł na jedynym krześle w salonie. Trochę przypominał świętego Mikołaja z domu towarowego Granta, siedzącego na tronie i kolejno obejmującego tłoczące się do niego dzieci.

- Gdzie jeszcze cię boli?

- Bili mnie w brzuch…I w bok…

- Który? - Prawy.

Ted delikatnie uniósł bluzę z tej strony. Bobby aż wciągnął głośno powietrze na widok ogromnego podłużnego siniaka w poprzek jej żeber. Bez trudu rozpoznał kształt kija baseballowego, od razu też się domyślił, do kogo ten kij należał: do Harry'ego Doolina, niedorobionego Robin Hooda z pokręconej fantastycznej krainy w jego umyśle. To właśnie on, a także Richie O'Meara i Willie Shearman spotkali Carol w parku. Tamci dwaj ją trzymali, Harry zaś tłukł kijem. Wszyscy trzej zaśmiewali się przy tym do rozpuku. Być może miał to być żart, który potem wymknął się spod kontroli, zupełnie jak we „Władcy much". Ostatnio sporo rzeczy wymknęło się spod kontroli.

Ted ostrożnie dotknął ciała Carol czubkami palców, po czym powoli przesunął je w górę. Miał przechyloną głowę i przymknięte oczy, jakby raczej zdał się na zmysł słuchu, a nie dotyku. Być może tak właśnie było. Kiedy palce dotarły do siniaka, Carol jęknęła.

- Boli? - spytał Ted.

- Trochę. Nie tak bardzo jak bark. Złamali mi rękę, prawda?

- Nie wydaje mi się.

- Usłyszałam trzask, a potem oni uciekli.

- Na pewno usłyszałaś.

Po wciąż bladej jak papier twarzy płynęły łzy, ale Carol wyraźnie się uspokoiła. Ted podsunął jej bluzę aż pod pachę i przyglądał się siniakowi. On też wie, co to za kształt, przemknęło Bobby'emu przez głowę.

- Ilu ich było? Trzech, pomyślał Bobby.

- Trzech.

- Sami chłopcy? Skinęła głową.

- Trzech chłopców przeciwko jednej dziewczynie. Chyba bardzo się ciebie bali. Być może uważali, że mają do czynienia z lwicą. Czy jesteś lwicą, Carol?

- Chciałabym być - odparła i spróbowała się uśmiechnąć. - Zaryczałabym, a oni by uciekli.

Siniak puchł niemal w oczach. Ted położył na nim rękę.

- Czy bardziej boli, kiedy tu uciskam? Pokręciła głową.

- A przy oddychaniu? - Nie.

- Nawet kiedy przesuwam rękę?

- Cały czas tak samo. Ale to nic. Najgorsze jest… Zerknęła na swój zdeformowany bark i szybko odwróciła spojrzenie.

- Wiem. Biedactwo. Zaraz się tym zajmiemy. Gdzie jeszcze cię bili? Mówiłaś, że w brzuch?

- Tak.

Ted podciągnął bluzę z przodu. Był tam jeszcze jeden siniak, ale nie tak widoczny jak ten na żebrach. Ted ostrożnie uciskał brzuch dziewczyny najpierw powyżej, a potem poniżej pępka. Carol stwierdziła, że tam również ból się nie nasila, niezależnie od ucisku.

- Bili cię po plecach?

- Nie.

- A po głowie albo po karku?

- Nie. Tylko po boku i brzuchu, a potem uderzyli w ramię, trzasnęło, i uciekli. A ja kiedyś myślałam, że Willie Shearman to porządny chłopiec!

Pokręciła głową z niedowierzaniem.

- Spójrz w tamtą stronę… A teraz tam… Nie boli cię, kiedy poruszasz głową?

- Nie.

- I jesteś pewna, że cię tam nie uderzyli?

- Nie. To znaczy, tak. Jestem pewna.

- Szczęściara.

Bobby nie mógł zrozumieć, jak Ted może uważać Carol za szczęściarę. Jej lewe ramię wyglądało tak, jakby ktoś usiłował je wyrwać i rozmyślił się w połowie pracy. Oczami wyobraźni ujrzał leżącego na półmisku pieczonego kurczaka, rękę chwytającą za skrzydełko, usłyszał cichy trzask połączony z mlaśnięciem rozdzieranego mięsa… Niewiele brakowało i rozstałby się z resztkami śniadania i ćwiartką czerstwego chleba, którą zjadł na lunch. Nadzwyczajnym wysiłkiem woli opanował mdłości. Ted i bez tego miał teraz dosyć problemów.

- Wszystko w porządku, Bobby? - zapytał Ted tonem człowieka, który ma w zanadrzu lekarstwo na każdy problem.

- Tak.

Istotnie, żołądek przestał wyczyniać dziwne harce.

- Cieszę się. Dobrze zrobiłeś, że ją tutaj przyniosłeś. Dzielny z ciebie chłopak. Możesz być dzielny jeszcze trochę?

- Pewnie.

- Przynieś mi nożyczki.

Bobby poszedł do pokoju mamy i z najwyższej szuflady w komodzie wyjął wiklinowy koszyk z przyborami do szycia. Były tam między innymi krawieckie nożyce średniej wielkości. Popędził z powrotem do salonu i wręczył je Tedowi.

- Mogą być?

- Jasne. - Wziął je, po czym odwrócił się do dziewczyny.

- Obawiam się, że będę musiał zniszczyć twoją bluzę. Przykro mi, ale muszę zbadać bark, a nie chciałbym sprawiać ci więcej bólu, niż to konieczne.

- W porządku - odparła i ponownie spróbowała się uśmiechnąć.

Bobby był pełen podziwu dla jej wytrzymałości. Gdyby to jego bark wyglądał w ten sposób, najprawdopodobniej Bobby kwiliłby niczym zając schwytany we wnyki.

- Później Bobby da ci jakąś swoją bluzę, żebyś miała w czym iść do domu. Prawda, Bobby?

- Pewnie, że tak. Będzie parę nowych pcheł do kolekcji.

- Bardzo śmieszne! - mruknęła Carol.

Ted ostrożnie rozciął bluzę z tyłu i z przodu, po czym ściągnął obie połówki niczym skorupkę z jajka. Szczególnie delikatnie obchodził się z lewym bokiem dziewczyny, ale i tak w pewnej chwili Carol krzyknęła przeraźliwie. Bobby aż podskoczył, a jego serce, które zdążyło się już nieco uspokoić, znowu załomotało jak szalone.

- Przepraszam - bąknął Ted. - Boże, spójrz tylko na to!

Bark wyglądał paskudnie, ale nie aż tak źle, jak Bobby się obawiał. Chyba większość groźnych rzeczy po bliższym przyjrzeniu okazywała się mniej groźna, niż początkowo się wydawało. Drugi, dodatkowy bark znajdował się nieco nad pierwszym, skóra była tak napięta, że Bobby nie mógł zrozumieć, jakim cudem jeszcze nie pękła. Miała niezwykły fioletowy kolor.

- Aż tak źle? - zapytała Carol. Odwróciła głowę i wpatrywała się w najodleglejszy kąt pokoju. Jej drobna, szczupła twarz jakby jeszcze bardziej zmalała, upodabniając się do twarzy niedożywionych dzieci na pocztówkach UNICEF-u.

- Pewnie całe lato będę w gipsie, prawda?

- Myślę, że obejdzie się bez gipsu.

Carol spojrzała niedowierzająco na Teda.

- Kość nie jest złamana, tylko przemieszczona. Ktoś uderzył cię w bark…

- Harry Doolin!

- …tak mocno, że główka kości wyskoczyła ze stawu. Myślę, że zdołam ją tam z powrotem wsadzić. Wytrzymasz kilka chwil bardzo silnego bólu, jeżeli będziesz miała pewność, że zaraz potem poczujesz się lepiej?

- Tak - odparła bez wahania. - Wytrzymam.

Bobby przyglądał się przyjacielowi z lekkim powątpiewaniem.

- Na pewno dasz sobie radę?

- Tak. Daj mi pasek.

Bobby rozpiął pasek - prezent na minione święta - wysunął go ze szlufek i podał Tedowi.

- Jak się nazywasz?

- Gerber. Czasem śmieją się ze mnie, że zawsze będę dzidziusiem, ale to nieprawda.

- Oczywiście, że nieprawda. Teraz będziesz miała okazję to udowodnić. - Wstał, posadził ją na krześle, po czym ukląkł przed nią niczym bohater jakiegoś starego filmu szykujący się do oświadczyn. Złożył pasek w pół, delikatnie rozchylił zaciśnięte na łokciu palce prawej ręki Carol i wsunął między nie złożony pasek. - A teraz weź go do ust.

- Mam wziąć do ust pasek Bobby'ego?!

Ted wciąż nie odrywał od niej wzroku. Łagodnie głaskał ją po zdrowym ramieniu, od łokcia do ręki i z powrotem, od łokcia do ręki i z powrotem… Zupełnie jakby ją hipnotyzował, pomyślał Bobby. On ją naprawdę hipnotyzuje! - poprawił się natychmiast. Źrenice Teda rozszerzały się i zwężały… rozszerzały i zwężały… rozszerzały i zwężały w doskonałej koordynacji z ruchami ręki. Carol wpatrywała się w niego z lekko rozchylonymi ustami.

- Ted… Twoje oczy…

- Tak, tak - mruknął ze zniecierpliwieniem, jakby niewiele go obchodziło, co dzieje się z jego oczami. - Czy wiesz, że ból płynie w górę?

- Nie…

Oczy wpatrzone w oczy, jego palce na jej ramieniu, sunące tam i z powrotem. Źrenice pulsujące jak leniwe serca. Carol wyraźnie się odprężyła. Kiedy Ted przerwał głaskanie, by delikatnie dotknąć wierzchu jej ręki, bez protestów podniosła pasek do ust.

- O tak - mówił przyciszonym głosem. - Ból płynie w górę od swego źródła aż do mózgu. Kiedy będę nastawiał ci ramię, popłynie go bardzo dużo, ale większą jego część chwycisz w usta.

Zaciśniesz na nim zęby i nie pozwolisz, żeby dotarł do twojej głowy, gdzie ból jest najsilniejszy. Rozumiesz?

- Tak…

Jej głos dobiegał jakby z wielkiego oddalenia. Kiedy tak siedziała na krześle tylko w szortach i butach, wydawała się bardzo mała. Oczy Teda przestały wyczyniać dziwne harce.

- Weź pasek do ust.

Wsunęła złożony pasek między wargi.

- Kiedy zaboli, gryź go.

- Kiedy zaboli…

- Złap ból.

- Złapię go.

Ted jeszcze raz przesunął palcami od jej łokcia aż po rękę, a następnie spojrzał na Bobby'ego.

- Trzymaj za mnie kciuki.

- Jasne.

- Bobby rzucił kaczką w jakiegoś człowieka… - powiedziała Carol jakby przez sen.

- Naprawdę?

Bardzo, ale to bardzo ostrożnie Ted zacisnął palce lewej ręki na lewym nadgarstku dziewczyny.

- Myślał, że to mały człowiek…

Ted zerknął na chłopca.

- Nie TAKI mały człowiek, tylko trochę inny. Poza tym… Ech, nieważne.

- Tak czy inaczej, są blisko - stwierdził Ted. - Zegar na wieży, gwizdek…

Bobby ponuro skinął głową.

- Słyszałem.

- Nie będę czekał do powrotu twojej mamy. Nie odważę się. Pójdę do kina albo do parku. W ostateczności są jeszcze nędzne hoteliki w Bridgeport. Jesteś gotowa, Carol?

- Tak.

- Co zrobisz, kiedy ból popłynie w górę?

- Złapię go. Ugryzę pasek.

- Mądra dziewczynka. Za dziesięć sekund poczujesz się znacznie lepiej. - Wziął głęboki wdech, po czym podniósł prawą rękę i zbliżył ją do fioletowego wybrzuszenia na barku Carol. - A teraz zaboli, i to bardzo. Odwagi, mała.

Nie trwało to dziesięciu sekund ani nawet pięciu. Zdaniem Bobby'ego, najwyżej sekundę albo dwie. Prawa ręka Teda naparła mocno na fioletowe wybrzuszenie, lewą gwałtownie szarpnął Carol za nadgarstek. Dziewczyna zatopiła zęby w pasku, rozległ się delikatny trzask, jaki towarzyszy niekiedy poruszeniu zdrętwiałym karkiem… i bark znów wyglądał normalnie.

- Hura! - wykrzyknął Ted. - Udało się! Jak tam, Carol?

Otworzyła usta, pasek wysunął się spomiędzy zębów i spadł jej na kolana. Był niemal przegryziony na pół.

- Już nie boli! - zauważyła ze zdziwieniem. Sięgnęła ręką do barku, który tymczasem zmienił kolor na jeszcze bardziej fioletowy, dotknęła siniaka i skrzywiła się. - To znaczy boli, ale dużo mniej.

- Tak będzie jeszcze mniej więcej przez tydzień. Przez następne dwa tygodnie nie powinnaś niczego dźwigać ani rzucać, bo kość znowu wyskoczy ze stawu.

- Będę uważać.

Dopiero teraz odważyła się spojrzeć na ramię. Ponownie badawczo przesunęła po nim palcami.

- Jak dużo bólu udało ci się przechwycić?

Chociaż Ted zadał pytanie ze śmiertelnie poważną miną, Bobby mógłby przysiąc, że dosłyszał w jego głosie nutę rozbawienia.

- Większość - odparła Carol. - Prawie nic nie poczułam.

Ledwo zdążyła to powiedzieć, osunęła się bezwładnie na krzesło i znieruchomiała z lekko przechyloną głową. Zemdlała po raz drugi.

Ted kazał Bobby'emu przynieść wilgotny ręcznik.

- Zmocz go w zimnej wodzie, ale za bardzo nie wyżymaj.

Chłopiec pobiegł do łazienki, złapał pierwszy czysty ręcznik z półki przy wannie i wsadził go pod zimną wodę. Dolna połowa łazienkowego okna była z matowego szkła, ale gdyby spojrzał przez górną połowę, zobaczyłby, jak przed domem zatrzymuje się taksówka. Bobby jednak nie spojrzał; był zanadto zaabsorbowany swoim zadaniem. Nie zwrócił też uwagi na zielony breloczek do kluczy, chociaż leżał na półeczce niemal przed jego nosem.

Kiedy wrócił do pokoju, zastał Teda siedzącego na krześle, z Carol w objęciach. Bobby już wcześniej zwrócił uwagę, jak bardzo różnią się jej opalone ramiona od reszty ciała, która była niemal śnieżnobiała (z wyjątkiem fioletowych siniaków, ma się rozumieć). Zupełnie jakby włożyła pończochy na ramiona, pomyślał z rozbawieniem. Miała już nieco przytomniejsze spojrzenie i nawet śledziła go wzrokiem, kiedy poruszał się po pokoju, ale wyglądała raczej marnie: zmierzwione włosy, spocona twarz i częściowo zaschnięta strużka krwi między nosem a kącikiem ust.

Ted wziął od niego mokry ręcznik i zaczął wycierać jej twarz. Bobby ukląkł obok krzesła. Carol wyprostowała się nieco; widać było, że wilgotny, zimny dotyk sprawia jej przyjemność. Ted starł krwawą strużkę, odłożył ręcznik na stół, odgarnął dziewczynie z czoła spocone włosy. Niesforny kosmyk znowu opadł, więc sięgnął ręką, by odgarnąć go ponownie.

Zanim zdążył to uczynić, drzwi wejściowe otworzyły się z hukiem, rozległy się szybkie kroki. Bobby i Ted spojrzeli sobie w oczy i równocześnie rozbłysła im w głowach ta sama myśl: ONI.

- Nie - powiedziała Carol. - To nie oni, to twoja ma…

W otwartych drzwiach mieszkania stanęła Liz z kluczem w jednej ręce i kapeluszem z woalką w drugiej. Drzwi wejściowe, za którymi zaczynał się rozpalony, gorący świat, również były otwarte. Na ganku stały jej walizki.

- Bobby, ile razy mam ci powtarzać, żebyś zamykał te choler…

Umilkła w pół słowa. Później Bobby wiele razy odtwarzał tę chwilę w pamięci, usiłując jak najplastyczniej i najpełniej wyobrazić sobie obraz, jaki ujrzała jego mama zaraz po powrocie z koszmarnej wyprawy do Providence: jej syn klęczy przy krześle, na nim siedzi stary człowiek, którego nigdy nie lubiła ani nie darzyła zaufaniem, i trzyma na kolanach oszołomioną dziewczynkę. Dziewczynka ma potargane, mokre od potu włosy, jest półnaga, podarta na strzępy bluza leży na podłodze. Mimo opuchniętych oczu Liz bez trudu dostrzega sińce na ciele Carol: na barku, klatce piersiowej i na brzuchu.

Carol, Bobby oraz Ted Brautigan widzieli ją również, wręcz boleśnie wyraźnie. Podbite oczy (z prawego została tylko wąska szparka w fioletowej opuchliźnie), rozbita i również opuchnięta dolna warga ze śladami zaschniętej krwi, zdeformowany nos zakrzywiony jak u karykatury Baby Jagi.

Na chwilę zapadła cisza - głęboka, wypełniona niedowierzaniem, gorąca jak ten upalny letni dzień. Gdzieś daleko wystrzelił tłumik samochodu, jakieś dziecko zawołało „Szybko, pospieszcie się!”, a w tle przez cały czas rozbrzmiewał odgłos, który później zawsze kojarzył się Bobby’emu z dzieciństwem, szczególnie z tym czwartkowym popołudniem: nieustające ujadanie Bowsera pani O’Hara, wgryzającego się swoim szczekaniem coraz głębiej w dwudziesty wiek.

Więc jednak Jack ją dogonił, przemknęło mu przez głowę. Jack Merridew i jego kolesie.

- Rety, co się stało? - zapytał, przerywając milczenie. Nie chciał wiedzieć, ale musiał. Zerwał się na równe nogi i podbiegł do niej, płacząc ze strachu, ale i z rozpaczy. Jej twarz, jej nieszczęsna twarz! Liz prawie nie przypominała jego mamy. Wyglądała jak jakaś staruszka, nie z Broad Street, lecz z Dolizny, gdzie ludzie pili wino z butelek ukrytych w papierowych torebkach i nie używali nazwisk. - Co on ci zrobił? Co ten drań ci zrobił?

Zupełnie jakby go nie słyszała. Co prawda wyciągnęła do niego ręce, tylko po to jednak, by chwycić go za ramiona i zacisnąć palce z zaskakującą siłą, po czym odsunąć go na bok, nie zaszczyciwszy bodaj jednym spojrzeniem.

- Zostaw ją, stary zwyrodnialcu - wycedziła chrapliwym głosem. - Natychmiast zostaw ją w spokoju!

- Pani Garfield, proszę nie wyciągać pochopnych wniosków… - Ted ostrożnie zdjął Carol z kolan, przez cały czas uważając, by nie urazić jej barku, a następnie podniósł się z krzesła i ukradkiem rozprostował wymięte nogawki spodni. - Bobby znalazł ją w tym stanie i…

- Ty draniu! - wrzasnęła Liz.

Chwyciła wazon ze stojącego po jej prawej stronie stolika i cisnęła nim w Teda. Uchylił się, ale nie dość szybko: wazon zahaczył o jego czaszkę, odbił się jak płaski kamień od powierzchni wody i roztrzaskał się o ścianę.

Carol krzyknęła.

- Mamo, nie! - zawołał Bobby. - On nie zrobił niczego złego!

Liz wciąż nie zwracała na niego uwagi.

- Jak śmiesz jej dotykać? Mojego syna też tak dotykałeś? Dotykałeś, prawda? Nie jesteś wybredny: ważne, żeby byli młodzi, co?

Ted zrobił krok w jej kierunku. Szelki kołysały mu się przy nogach, na szczycie czaszki pojawiły się krople szkarłatnej krwi.

- Pani Garfield, zapewniam panią, że…

- Wsadź sobie gdzieś te swoje zapewnienia!

Na stoliku nic już nie stało, złapała więc stolik. Uderzenie w pierś było tak silne, że Ted zatoczył się do tyłu i byłby z pewnością upadł, gdyby nie krzesło. Klapnął na nie z rozmachem i niedowierzająco wytrzeszczył oczy. Drżały mu usta.

- A może on ci pomagał? - zapytała Liz ze śmiertelnie bladą twarzą. Podbite i opuchnięte oczy wyglądały jak atramentowe plamy. - Uczyłeś go, jak to się robi?

- Mamo, on naprawdę nie zrobił nic złego! - Zdesperowany Bobby chwycił ją wpół. - On tylko jej pomagał, bo…

Podniosła go z równą łatwością jak najpierw wazon, a potem stolik. Później zrozumiał, że przepełniała ją ta sama siła, która pozwoliła mu przynieść Carol z parku. Rzuciła go jak szmacianą lalkę. Rąbnął w ścianę, tyłem głowy uderzył w zegar, który spadł na podłogę i umilkł na zawsze. Przed oczami chłopca zatańczyły czarne plamy, nie wiadomo czemu jego pomieszane myśli skierowały się

(są coraz bliżej zbliżają się teraz na ogłoszeniach pojawi się jego nazwisko)

ku małym ludziom, a potem osunął się na podłogę. Usiłował do tego nie dopuścić, ale nogi miał jak z waty.

Liz popatrzyła na niego obojętnie, po czym przeniosła spojrzenie na Teda, który siedział na krześle ze stolikiem w objęciach. Krew spływała mu już na policzek, włosy były bardziej czerwone niż siwe. Usiłował coś powiedzieć, z jego ust wydobył się jednak tylko jakby słaby kaszel starego palacza.

- Obrzydliwiec. Najchętniej ściągnęłabym ci spodnie i wyrwała to paskudztwo.

Odwróciła się i ponownie spojrzała na swego skulonego pod ścianą syna. Wyraz jej twarzy - odraza połączona z pogardą - sprawił, że Bobby rozpłakał się jeszcze bardziej. Co prawda nie powiedziała „Tobie też!", ale jej wzrok był aż nadto wymowny. Potem znowu skupiła uwagę na Tedzie.

- Wiesz co? Pójdziesz za to do więzienia. - Mówiła, celując w niego oskarżycielsko palcem. Nawet przez łzy Bobby zauważył, że na palcu brakuje paznokcia, który był tam przed jej wyjazdem na seminarium. Mówiła trochę niewyraźnie, bez wątpienia z powodu rozbitej wargi. - Zaraz wezwę policję. Jeśli masz dość oleju w głowie, zaczekasz tu grzecznie i nie będziesz próbował żadnych głupstw. - Podrapane i posiniaczone ręce zacisnęły się w pięści. - Jeżeli spróbujesz uciekać, dopadnę cię i sama zrobię z tobą porządek najostrzejszym nożem, jaki

znajdę. Spróbuj, jeśli nie wierzysz. Zrobię to na ulicy, tak żeby wszyscy widzieli, a zacznę od tego, co ci… co wam sprawia tyle problemów. Siedź więc spokojnie, Brattigan. Siedź spokojnie, jeżeli chcesz trafić żywy do ciupy. Telefon stał na stole przy kanapie. Podeszła do niego. Ted siedział nieruchomo ze stolikiem w objęciach i krwią spływającą powoli po policzku. Bobby kulił się na podłodze obok roztrzaskanego zegara. Przez okno, wraz z powietrzem tłoczonym przez wentylator Teda, sączyło się bezustanne ujadanie Bowsera.

- Pani nie ma pojęcia, co tutaj się stało. Wiem, że przydarzyła się pani okropna rzecz i bardzo pani współczuję, ale z Carol to było zupełnie co innego…

- Zamknij się.

Nie słuchała. Nawet na niego nie spojrzała. Carol podbiegła do Liz, wyciągnęła ręce, stanęła jak wryta i szeroko otworzyła oczy.

- Ściągnęli z pani sukienkę? - wyszeptała z przerażeniem.

Liz przerwała wybieranie numeru i powoli odwróciła się do niej.

- Dlaczego to zrobili?

Wyglądało na to, że Liz zastanawia się nad odpowiedzią. Zastanawiała się długo i głęboko.

- Cicho bądź - warknęła wreszcie.

- Dlaczego cię gonili? Który cię bił? - Głos Carol wznosił się i opadał. - Który?

- Przestań!

Liz rzuciła słuchawkę, rozpaczliwie zasłoniła uszy. Bobby wpatrywał się w nią z narastającym przerażeniem.

Carol odwróciła głowę w jego kierunku. Po policzkach dziewczyny płynęły łzy, ale jej oczy WIEDZIAŁY. Była to ta sama, chłodna i niewzruszona wiedza, jaka towarzyszyła Bobby'emu podczas spotkania z McQuownem.

- Gonili ją - powiedziała. - Gonili ją, złapali i zaciągnęli z powrotem do pokoju.

Bobby też o tym wiedział. Gonili ją w korytarzu hotelowym. Widział to. Nie pamiętał gdzie i kiedy, ale widział.

- Niech przestaną! Nie chcę tego widzieć! – krzyczała Carol. - Ona kopie, gryzie, ale nie może im uciec!

Ted wreszcie zrzucił stolik na podłogę i dźwignął się na nogi.

- Obejmij ją! Obejmij ją mocno! Wtedy to się skończy!

Carol objęła zdrowym ramieniem matkę Bobby'ego. Liz cofnęła się o krok, zahaczyła obcasem o nogę kanapy, niewiele brakowało, żeby się przewróciła. Jakoś utrzymała równowagę, ale telefon runął na podłogę. Ze słuchawki dobiegało natarczywe buczenie.

Przez chwilę nic się nie działo, zupełnie jakby bawili się w „Posągi" i ktoś właśnie zawołał „Stop!". Pierwsza poruszyła się Carol; zwolniła uchwyt i cofnęła się nieco. Zlepione potem włosy opadały jej na oczy. Ted wyciągnął do niej rękę.

- Nie dotykaj jej - powiedziała Liz, ale uczyniła to odruchowo, bez przekonania. Cokolwiek rozbłysło w niej na widok posiniaczonej, półnagiej dziewczynki siedzącej na kolanach Teda, zdążyło już przygasnąć. Była nieziemsko wyczerpana.

Mimo to Ted cofnął rękę.

- Ma pani rację.

Liz nabrała powietrza w płuca, zatrzymała je na chwilę i wypuściła. Jeszcze raz spojrzała na Bobby'ego, po czym odwróciła wzrok. Chłopiec miał nadzieję, że wyciągnie do niego ręce, pomoże mu wstać… ale ona odwróciła się do Carol. Podniósł się więc samodzielnie.

- Co tu się działo? - zapytała.

Łkając i szlochając, dziewczynka opowiedziała matce Bobby'ego o tym, jak trzech wyrostków spotkało ją w parku i jak na początku wydawało się, że to tylko kolejny wygłup, może trochę bardziej wredny i brutalny niż zwykle, ale jednak wygłup. A potem tamci dwaj ją trzymali, a Harry bił. Przestraszył ich dopiero okropny trzask w jej barku i uciekli. Opowiedziała, jak Bobby znalazł ją pięć albo dziesięć minut później i przyniósł do domu, i jak Ted nastawił jej ramię, kazawszy najpierw zacisnąć zęby na pasku Bobby'ego. Schyliła się, podniosła pasek z podłogi, z mieszanką dumy i zażenowania pokazała ślady po zębach.

- Nie złapałam całego bólu, ale na pewno większość.

Liz przelotnie zerknęła na pasek, po czym zwróciła się do Teda.

- No a dlaczego podarłeś na niej bluzkę, cwaniaczku?

- Nie podarł! - krzyknął Bobby. Nagle ogarnęła go potworna złość na matkę. - Rozciął ją, żeby nie bolało przy zdejmowaniu! Sam przyniosłem mu nożyczki! Jak możesz być taka głupia? Nie rozumiesz, że…

Uderzyła na oślep, więc nawet nie zdążył się zasłonić. Ręka z rozczapierzonymi palcami trafiła go w policzek, jeden palec zahaczył o oko; ból wbił mu się w mózg długą ostrą igłą. Łzy przestały płynąć, jakby zepsuła się tłocząca je pompa.

- Nie waż się nigdy tak do mnie mówić – wycedziła przez zęby. - Nigdy tak do mnie nie mów, bo pożałujesz.

Carol z lękiem wpatrywała się w posiniaczoną wiedźmę, która przyjechała taksówką przebrana za panią Garfield. Za panią Garfield, która uciekała i walczyła nawet wtedy, kiedy nie miała już szans. W końcu i tak wzięli od niej, co chcieli.

- Nie powinna go pani bić - powiedziała. - On nie jest taki jak tamci.

Liz roześmiała się szyderczo.

- Bo jest twoim chłopcem? Świetnie! Gratuluję! Powiem ci jednak coś w sekrecie, złotko: jest taki sam jak jego tatuś, jak twój tatuś i jak wszyscy kochani tatusiowie na świecie. A teraz idź do łazienki, umyj się, a ja poszukam czegoś, co mogłabyś na siebie włożyć. Boże, ale bałagan!

Carol przyglądała się jej jeszcze przez chwilę, po czym odwróciła się i weszła do łazienki. Jej nagie plecy wydawały się nienaturalnie drobne i wrażliwe. I białe. Bardzo białe w porównaniu z opalonymi ramionami.

- Już lepiej? - zawołał za nią Ted.

Bobby doskonale zdawał sobie sprawę, że pytanie nie dotyczy kontuzjowanego barku.

- Tak - odparła, nie odwracając się. - Ale wciąż jeszcze słyszę, jak krzyczy.

- Kto taki? - spytała Liz, lecz Carol bez słowa zamknęła za sobą drzwi łazienki. Liz wpatrywała się w nie przez parę sekund, po czym odwróciła się do Teda. - O kim ona mówi?

Ale Ted tylko przyglądał się jej nieufnie, jakby lada chwila spodziewał się kolejnego ataku balistycznego.

Na twarzy Liz pojawił się doskonale znany Bobby'emu uśmiech. Oznaczał: uważajcie, bo zaczynam tracić cierpliwość. Czy to możliwe, że jeszcze do końca jej nie straciła? W połączeniu z podbitymi oczami, złamanym nosem i opuchniętą wargą uśmiech dał przerażający efekt; to już nie była jego matka, tylko jakaś wariatka.

- Odgrywasz dobrego samarytanina, co? A jak udało ci się obmacywanko? Towaru jeszcze niewiele, ale na pewno dokładnie go zbadałeś, mam rację? Pewnie należysz do tych, co nie przepuszczą żadnej okazji…

Bobby'ego ogarniała coraz głębsza rozpacz. Carol powiedziała jej wszystko od początku do końca, lecz to niczego nie zmieniło! Dobry Boże, niczego!

- W tym pokoju rzeczywiście jest ktoś niebezpieczny, ale to nie jestem ja - odparł Ted.

W pierwszej chwili chyba nie zrozumiała, jednak zaraz potem wyszczerzyła wściekle zęby.

- Że co, proszę? Jak śmiesz tak mówić!

- On nie zrobił nic złego! - krzyknął co sił w płucach. - Nie słyszałaś, co mówiła Carol? On nie…

- Zamknij się! - syknęła, nawet nie zaszczyciwszy go spojrzeniem. Wciąż wpatrywała się w Teda. - Myślę, że policja chętnie się tobą zajmie. W piątek Don zadzwonił do Hartford, zanim… Poprosiłam go. Ma tam znajomych. Nigdy nie miałeś stanowej posady, nigdy nie byłeś rewidentem. Siedziałeś w pudle, zgadza się?

- W pewnym sensie. - Ted był zupełnie spokojny, chociaż krew wciąż sączyła się z rany we włosach. Z kieszeni na piersi wyjął papierosy, popatrzył na nie i schował. - Ale nie w takim, jaki pani ma na myśli.

I nie w tym świecie, dodał w myślach Bobby.

- Za co cię wsadzili? - ciągnęła bezlitośnie. - Może za obmacywanie małych dziewczynek?

- Posiadam coś bardzo wartościowego. - Ted popukał palcem w skroń. Czubek palca zabarwił się na czerwono. - Są jeszcze inni tacy jak ja i są ludzie, którzy mają za zadanie wyłapać nas, zamknąć i wykorzystać do… Nieważne. Uciekłem, ja i jeszcze dwóch. Jednego schwytano, jeden został zabity. Tylko ja zostałem na wolności. - Potoczył dokoła kpiącym spojrzeniem. - Jeśli można uznać to za wolność, ma się rozumieć.

- Jesteś wariatem. Stary wariat Brattigan, i tyle. Zaraz zadzwonię na policję, niech oni się martwią, co z tobą zrobić. Albo wsadzą cię z powrotem do ciupy, albo do domu bez klamek.

Schyliła się po telefon.

- Mamo, nie! - zawołał Bobby, wyciągając do niej ręce.

- Nie rób tego!

- Przestań, Bobby! - powiedział Ted ostrym tonem. - Chłopiec cofnął się posłusznie. - Ona jest teraz w takim stanie, że nic do niej dociera. Musi kąsać, bo dzięki temu nie myśli o niczym innym.

Liz Garfield uśmiechnęła się do niego drapieżnie, po czym zdjęła słuchawkę z widełek.

- Co się dzieje? - zawołała Carol z łazienki. - Mogę już wyjść?

- Jeszcze nie! - odpowiedział Ted. - Zaczekaj jeszcze trochę.

Liz kilkakrotnie stuknęła w widełki, przyłożyła słuchawkę do ucha, uśmiechnęła się z zadowoleniem i zaczęła wybierać numer.

- Wkrótce się przekonamy, kim naprawdę jesteś. - Mówiła dziwnym, niemal konfidencjonalnym tonem. - To może się okazać bardzo interesujące. I dowiemy się, co przeskrobałeś. To z pewnością będzie jeszcze ciekawsze.

- Jeżeli zadzwoni pani na policję, wyjdzie również na jaw, kim PANI jest i co PANI zrobiła - powiedział spokojnie Ted.

Palec Liz znieruchomiał na tarczy telefonu. Posłała Tedowi badawcze, chytre spojrzenie, którego Bobby jeszcze nigdy u niej nie widział.

- O czym ty mówisz, na litość boską?

- O głupiej kobiecie, która powinna zastanowić się nad tym, co robi. O głupiej kobiecie, która wystarczająco dobrze znała swojego szefa i dość często słuchała jego rozmów z kolegami, żeby wiedzieć, że wszystkie „seminaria", na które jeździł, to tylko zwykłe pijatyki połączone z orgiami. O głupiej kobiecie, która dała się opętać chciwości i…

- A co ty wiesz o tym, jak to jest być zupełnie samemu? - przerwała mu. - Mam syna na wychowaniu!

Spojrzała na Bobby'ego, jakby chciała się upewnić, że syn, którego wychowuje, naprawdę istnieje.

- Ile, pani zdaniem, powinien usłyszeć?

- Niczego nie wiesz! Niczego!

- Przeciwnie: wiem wszystko. Pytanie brzmi: ile ma dowiedzieć się Bobby? Ile mają wiedzieć sąsiedzi? Jeżeli zjawi się tu policja i zaczną mnie przesłuchiwać, niczego przed nimi nie ukryje. Daję pani słowo honoru. - Umilkł na chwilę. Jego źrenice nie zmieniały wielkości, ale oczy stały się jakby trochę większe. - Ja naprawdę wiem wszystko. Nie radzę tego sprawdzać.

- Dlaczego miałbyś mi to zrobić?

- Na pewno tego nie zrobię, jeśli będę miał wybór. Inni wystarczająco panią skrzywdzili. Sama też się pani skrzywdziła. Po prostu proszę pozwolić mi odejść. I tak zamierzałem to zrobić. Starałem się tylko pomóc tej dziewczynce, to wszystko.

- No pewnie! - Roześmiała się z goryczą. - W związku z tym posadziłeś ją sobie prawie nagą na kolanach!

- Pani też starałbym się pomóc, gdyby…

- Jasne, wiem o tym!

Roześmiała się ponownie.

Bobby otworzył usta, ale nic nie powiedział, ponieważ pochwycił ostrzegawcze spojrzenie Teda. Z łazienki dobiegał odgłos wody spływającej do umywalki. Liz długo zastanawiała się z pochyloną głową, aż wreszcie podniosła ją i oświadczyła:

- W porządku, zrobimy tak: pomogę przyjaciółce Bobby'ego doprowadzić się do porządku, dam jej aspirynę i ubiorę ją w coś, w czym będzie mogła pójść do domu. Przy okazji zadam jej parę pytań. Jeśli odpowiedzi mnie zadowolą, będziesz mógł pójść. Nikt tu nie będzie za tobą tęsknił.

- Mamo…

Podniosła rękę jak policjant kierujący ruchem. Patrzyła Tedowi prosto w oczy, a jemu nawet nie drgnęła powieka.

- Później odprowadzę ją do domu i zaczekam, aż zamknie drzwi. Sama zadecyduje, co powiedzieć matce. Potem pójdę do parku, żeby trochę posiedzieć na ławce. Mam za sobą ciężką noc. - Niechcący wyrwało się jej głębokie westchnienie. - Bardzo ciężką. Pójdę więc do parku, usiądę w cieniu na ławce i zastanowię się, co robić dalej. Co robić, żebyśmy oboje nie wylądowali w przytułku dla bezdomnych. Jeśli po powrocie z parku jeszcze cię tutaj zastanę, natychmiast wezwę policję. Możesz sobie wtedy mówić, co ci się spodoba; i tak nikt nie będzie cię słuchał, jeśli im powiem, że przyłapałam cię z ręką
w majtkach jedenastoletniej dziewczynki.

Bobby wpatrywał się w matkę ze zdumieniem i przerażeniem, ale ona wciąż nie odwracała wzroku od Teda.

- Jeśli jednak wrócę, a ciebie już tu nie będzie, oszczędzisz mi konieczności dzwonienia do kogokolwiek. *Tout fini.*

Jadę z tobą! - pomyślał Bobby do Teda. - Nie obchodzą mnie mali ludzie! Wolę, żeby szukało mnie tysiąc albo nawet milion małych ludzi w żółtych płaszczach, niż żebym musiał z nią mieszkać! Nienawidzę jej!

- No i co? - spytała Liz.

- Umowa stoi. Zniknę za godzinę, może nawet szybciej.

- Nie! - krzyknął przeraźliwie Bobby. Rano, zaraz po obudzeniu, był już całkiem pogodzony z koniecznością wyjazdu Teda. Smutny, ale pogodzony. Teraz ból wrócił, chyba nawet jeszcze silniejszy. - Nie!

- Cicho bądź - syknęła matka, wciąż na niego nie patrząc.

- To jedyne wyjście, Bobby - powiedział Ted. - Przecież sam wiesz. - Ponownie spojrzał na Liz. - Proszę zająć się Carol. Chcę porozmawiać z Bobbym.

- Nie masz prawa o nic prosić - odparła wyniośle Liz, lecz mimo to poszła do łazienki.

Bobby dopiero teraz zauważył, że matka kuleje. Co prawda jeden z pantofli miał złamany obcas, ale chłopiec przypuszczał, że to nie jedyny powód. Zapukała i, nie czekając na odpowiedź, weszła do środka.

Bobby natychmiast popędził w kierunku Teda, lecz zanim zdążył go objąć, mężczyzna chwycił go za ręce, ścisnął mocno i odsunął go od siebie.

- Zabierz mnie! - poprosił żałośnie Bobby. - Co dwie pary oczu to nie jedna! Będziemy razem ich wypatrywać. Proszę, zabierz mnie ze sobą!

- Nie mogę tego zrobić, ale za to ty możesz pójść ze mną do kuchni. Nie tylko Carol musi doprowadzić się do porządku.

Ted dźwignął się z krzesła i zachwiał się tak bardzo, że Bobby odruchowo wyciągnął ręce, by go podtrzymać. Jednak Ted również tym razem odepchnął go łagodnie, ale stanowczo. To bolało. Może nie tak bardzo jak całkowita obojętność matki, ale bolało.

Poszedł z Tedem do kuchni, trzymając się na tyle blisko, żeby go nie dotykać, a jednocześnie zdążyć go podtrzymać, gdyby coś się stało. Nic się nie stało. Ted przyjrzał się swojemu niewyraźnemu odbiciu w szybie nad zlewozmywakiem, westchnął, odkręcił kurek z zimną wodą, zwilżył ścierkę do naczyń i zajął się zmywaniem krwi z policzka.

- Twoja mama potrzebuje cię teraz bardziej niż kiedykolwiek - odezwał się po jakimś czasie. - Potrzebuje kogoś, komu może zaufać.

- Ona mi nie ufa. Myślę, że nawet mnie nie lubi.

Przez twarz Teda przemknął trudny do nazwania grymas i Bobby domyślił się, że powiedział prawdę, że jego przyjaciel już wcześniej wyczytał to z myśli jego matki. Bobby nie musiał czytać w myślach, żeby o tym wiedzieć. Podejrzewał to od dłuższego czasu, dlaczego więc teraz łzy znowu zaczęły mu się cisnąć do oczu?

Ted wyciągnął ku niemu rękę, w ostatniej chwili przypomniał sobie, że to raczej nie najlepszy pomysł i ponownie zajął się wycieraniem twarzy.

- No dobrze. Załóżmy, że cię nie lubi. Nawet jeśli tak jest, to nie ty jesteś temu winien, tylko to, kim jesteś.

- Chłopcem - powiedział Bobby z goryczą. - Pieprzonym chłopcem.

- W dodatku synem swojego ojca, nie zapominaj o tym. Pamiętaj jednak, że chociaż cię nie lubi, to nadal cię kocha. Wiem, że to brzmi idiotycznie, ale tak właśnie jest. Ma tylko ciebie na świecie. Teraz spotkała ją okropna krzywda, ale…

- Sama się o to prosiła! - wybuchnął. - Przecież wiedziała, co się święci! Sam to powiedziałeś! Wiedziała od tygodni, nawet od miesięcy, i co? I nic! Wiedziała, a mimo to pojechała z nimi do Providence! Pojechała jakby nigdy nic!

- Poskramiacz lwów też wie, co mu grozi, a mimo to wchodzi do klatki. Robi to, bo za to mu płacą.

- Ale ona ma pieniądze!

- Za mało.

- Dla niej zawsze będzie za mało.

- Kocha cię.

- Guzik mnie to obchodzi! Ja jej nie kocham!

- Owszem, kochasz. Będziesz kochał. Musisz ją kochać. To jest *ka.*

- *Ka*? Co to takiego?

- Przeznaczenie. - Ted już wcześniej uporał się z krwią na policzku, a teraz zdołał prawie doprowadzić do porządku swoje siwe włosy. Zakręcił wodę i ponownie przyjrzał się niewyraźnemu odbiciu w szybie. Po drugiej stronie okna rozkwitało młode, gorące lato - młodsze nie tylko od Teda Brautigana, ale nawet od Bobby'ego. - *Ka* to przeznaczenie. Powiedz mi: zależy ci na mnie?

- Przecież wiesz. - Łzy znowu popłynęły Bobby'emu z oczu. Ostatnio płacz stał się jednym z jego głównych zajęć. Bolały go już od tego oczy. - Bardzo.

- W takim razie spróbuj zaprzyjaźnić się z mamą. Jeśli nie chcesz zrobić tego dla siebie, zrób to dla mnie. Zostań z nią i pomóż zaleczyć się ranie, a ja od czasu do czasu będę przysyłał ci pocztówki.

Powoli wracali do pokoju. Chłopcu zrobiło się odrobinę raźniej, ale czułby się znacznie lepiej, gdyby Ted otoczył go ramieniem. W tej chwili zależało mu na tym jak na niczym innym na świecie.

Otworzyły się drzwi łazienki. Carol wyszła pierwsza, ze wzrokiem utkwionym w ziemi z zupełnie nienaturalną dla niej skromnością. Mokre włosy miała zaczesane do tyłu i spięte gumką. Nałożyła starą bluzkę Liz - tak długą, że sięgała jej prawie do kolan, całkowicie zasłaniając czerwone szorty.

- Zaczekaj na ganku - poleciła jej matka Bobby'ego.

- Dobrze.

- Tylko nie idź sama do domu!

Przez twarz dziewczynki przemknął grymas przerażenia.

- Na pewno nie pójdę.

- W porządku. Stań przy walizkach.

Carol posłusznie ruszyła w kierunku drzwi, ale zaledwie po kilku krokach zatrzymała się i odwróciła.

- Dziękuję za pomoc, Ted. Mam nadzieję, że nie narobiłam ci kłopotów. Nie chciałam…

- Idź wreszcie na ten cholerny ganek! - wysyczała Liz.

- …nikomu narobić problemów… - dokończyła Carol głosikiem myszy z filmu rysunkowego, odwróciła się i wyszła. Poły bluzki trzepotały jej koło kolan. W każdej innej sytuacji z pewnością wyglądałoby to bardzo zabawnie. Kiedy Bobby spojrzał na matkę, ponownie ogarnęła go czarna rozpacz: znowu była wściekła. Na jej policzkach rozkwitły krwistoczerwone rumieńce. Rety, co znowu? - pomyślał. Chwilę potem oskarżycielskim gestem pokazała mu zielony breloczek do kluczy i wszystko zrozumiał.

- Skąd to masz?

- Ja… To…

Nic nie przychodziło mu do głowy: żaden wykręt, żadne usprawiedliwienie, nawet prawda. Nagle poczuł się bardzo zmęczony. Najchętniej poczłapałby do swojego pokoju wlazł do łóżka, nakrył się kołdrą na głowę i zasnął.

- Dostał ode mnie - powiedział spokojnie Ted. - Wczoraj.

- Zawiozłeś mojego syna do domu gry w Bridgeport?

Na breloczku nie ma o tym ani słowa, przemknęło Bobby'emu przez głową. Ona wie, co to jest Narożnik, ponieważ jeździł tam mój ojciec. A jaki ojciec, taki syn. Tak właśnie się mówi: jaki ojciec, taki syn.

- Zabrałem go na film. „Wioska przeklętych" w Criterionie. Zostawiłem go tam, a sam poszedłem załatwić kilka spraw.

- Jakich spraw?

- Obstawiłem wynik walki bokserskiej.

Co się z tobą dzieje? - pomyślał rozpaczliwie Bobby. Dlaczego mówisz jej prawdę? Gdybyś wiedział, co ona myśli o takich sprawach…

Ale przecież Ted wiedział. Oczywiście, że wiedział.

- Obstawiłeś wynik walki bokserskiej… - Skinęła głową. - Aha. Zostawiłeś mojego syna samego w kinie, żeby obstawić wynik walki bokserskiej. - Roześmiała się szyderczo. - Cóż, chyba powinnam być ci wdzięczna, prawda? Dałeś mu taki piękny upominek. Gdyby kiedyś przyszło mu do głowy postawić na coś pieniądze albo zagrać w pokera, przynajmniej będzie wiedział, dokąd pójść.

- Zostawiłem go na dwie godziny w kinie. Pani zostawiła go ze mną na znacznie dłużej. Mimo to jest cały i zdrowy, prawda?

Liz przez chwilę wyglądała tak, jakby dostała w twarz, a potem jakby miała zamiar się rozpłakać. Szybko jednak zdołała się opanować i przyoblec nieprzeniknioną maskę. Bez słowa schowała breloczek do kieszeni sukienki. Bobby wiedział, że już więcej nie zobaczy swojego specjalnego upominku z Dolizny, ale niewiele go to obchodziło. Nie chciał go już oglądać.

- Idź do swojego pokoju.

- Nie.

- Bobby, idź do swojego pokoju!

- Nie!

Stojąc w słonecznej plamie na wycieraczce obok walizek Liz Garfield, Carol rozpłakała się na dźwięk podniesionych głosów.

- Idź do pokoju - powiedział spokojnie Ted. – Cieszę się, że mogłem cię poznać i być z tobą.

- Być z tobą! - powtórzyła Liz szyderczym, gniewnym tonem.

Bobby nie zrozumiał zaczepki, Ted zaś nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

- Idź do pokoju - powtórzył.

- Dasz sobie radę? Wiesz, o co pytam.

- Jasne. - Ted uśmiechnął się i posłał mu całusa.

Bobby chwycił go, mocno zacisnął pięść. - Wszystko będzie w porządku.

Powłócząc nogami i z opuszczoną głową, Bobby ruszył w kierunku swego pokoju. Był już prawie przed drzwiami, kiedy nagle rozbłysła mu rozpaczliwa myśl: Nie mogę tego zrobić! Nie mogę go tak zostawić!

Zawrócił, podbiegł do Teda, objął go z całej siły i obsypał jego twarz pocałunkami.

- Ted, kocham cię!

Tym razem Ted zrezygnował z oporu i odwzajemnił uścisk. Bobby poczuł zapach mydła do golenia i znacznie silniejszą woń chesterfieldów. Zapachy te miały mu towarzyszyć przez wiele lat, podobnie jak wspomnienie mocnego dotyku dłoni Teda gładzących go po plecach, po karku i głowie.

- Ja też cię kocham. Bobby.

- Na litość boską!

To był prawie krzyk. Bobby odwrócił się gwałtownie i zobaczył, jak Don Biderman powoli, ale uparcie wpychają do kąta. W tle orkiestra Benny'ego Goodmana grała „One O'Clock Jump". Biderman wyciągał ręce i pytał ją, czy chce trochę więcej, bo jeśli tak, to oczywiście może dostać, bardzo chętnie, bez najmniejszego problemu. Bobby niemal czul jej przerażenie wypływające z pełnego zrozumienia tego pytania.

- A więc jednak nie wiedziałaś do końca… - wyszeptał. - Nie wiedziałaś, czego będą od ciebie chcieli. Oni myśleli, że wiesz, ale ty nie wiedziałaś.

- Natychmiast idź do swojego pokoju albo wezwę policję. Ja nie żartuję, Bobby.

- Wiem.

Zamknął za sobą drzwi. Jeszcze przez chwilę wydawało mu się, że czuje się całkiem nieźle, ale zaraz potem odniósł wrażenie, że zaraz zemdleje, zwymiotuje albo zrobi obie te rzeczy naraz. Z trudem dowlókł się do łóżka. Zamierzał tylko na nim usiąść, lecz runął w poprzek na wznak, jakby mięśnie brzucha i grzbietu odmówiły mu posłuszeństwa. Usiłował podnieść nogi, ale mięśnie nóg również go nie słuchały. Oczami wyobraźni ujrzał Smutnego Johna w kąpielówkach wspinającego się na pomost, biorącego rozpęd, skaczącego do wody… Jakże chciałby teraz być przy nim! Byle nie tutaj. Wszędzie, byle nie tutaj.

Kiedy się obudził, w pokoju panował półmrok, a cień rosnącego za oknem drzewa stał się prawie niewidoczny. Przespał - albo przeleżał nieprzytomny - co najmniej trzy albo cztery godziny. Był mokry od potu, nie czuł nóg, których nie zdołał wciągnąć na łóżko.

Spróbował to zrobić teraz, ale osiągnął tylko tyle, że w nogi wbiły mu się tysiące niewidzialnych igiełek. Mało nie krzyknął z bólu, zsunął się na podłogę i znieruchomiał z podkulonymi nogami, fala ukłuć szybko zbliżała się do jego krocza. Bolały go plecy, miał wrażenie, że jego głowę wypełnia wilgotna wata. Zdawał sobie sprawę, że wydarzyło się coś okropnego, ale początkowo nie mógł sobie przypomnieć, co to było. Dopiero po kilku minutach spędzonych na wytężonym wpatrywaniu się w zdjęcie Claytona Moore'a wszystko zaczęło stopniowo wracać: zwichnięty bark Carol, powrót mamy z „seminarium", zielony breloczek, Ted…

Ted z pewnością już wyjechał i chyba dobrze się stało, ale w niczym nie zmniejszało to jego żalu.

Wstał z trudem, dwa razy okrążył pokój. Za drugim razem zatrzymał się przy oknie i wyjrzał na zewnątrz, masując sobie sztywny kark. Bliźniaczki Sigsby, Dina i Diane bawiły się skakankami; poza tym ulica była pusta. Wszystkie dzieciaki poszły już do domów na kolację. Powoli przejechał samochód z włączonymi światłami. Było później, niż przypuszczał; na świat powoli opadała kurtyna nocy.

Czując się trochę jak więzień w celi, jeszcze raz okrążył pokój. Co prawda w drzwiach nie było zamka, ale wrażenie uwięzienia nie chciało ustąpić. Co gorsza, bał się wyjść na zewnątrz. Mama nie zawołała go na kolację, ale chociaż był głodny, bał się wyjść z pokoju. Bał się jej widoku, a także tego, że mógłby jej nie zobaczyć. A jeśli doszła do wniosku, że ma już dosyć tego cholernego, łgającego, paskudnego Bobby'ego, nieodrodnego syna swojego ojca? Nawet jeśli jednak ją zobaczy, pozornie całkiem normalną, to… to czy w ogóle istnieje coś takiego jak normalność? Ludzie pod maskami twarzy kryją niekiedy okropne rzeczy. Zdążył się już o tym przekonać.

W końcu skierował się ku drzwiom pokoju, ale zanim do nich dotarł, zobaczył na podłodze kartkę. Schylił się, podniósł ją i rozłożył. Było jeszcze dość jasno, by przeczytał ją bez najmniejszego trudu.

Drogi Bobby,

Kiedy będziesz to czytał, ja będę już daleko, ale zabiorę Cię w moich myślach. Proszę, kochaj swoją mamę i pamiętaj, że ona Ciebie też kocha. Dziś po południu była zrozpaczona, przerażona i zdesperowana, a w takim stanie ludzie nigdy nie prezentują się zbyt dobrze. Zostawiłem Ci coś w moim pokoju. Pamiętam o obietnicy.

Kocham Cię, Ted

Obiecał, że będzie przysyłał mi pocztówki. To właśnie mi obiecał.

Nieco podniesiony na duchu Bobby z powrotem złożył kartkę, którą Ted przed wyjściem z domu wsunął przez szparę, i otworzył drzwi.

Salon był pusty, ale panował w nim nienaganny porządek. Wszystko wyglądało jak dawniej - brakowało zegara na ścianie obok telewizora. Został po nim tylko pusty haczyk.

Dopiero po chwili chłopiec uświadomił sobie, że odgłos, który słyszy, to dobiegające z pokoju mamy chrapanie. Zawsze chrapała, tym razem jednak czyniła to znacznie głośniej niż zwykle, jak ktoś bardzo stary albo mocno pijany.. To przez to, co jej zrobili, przemknęło mu przez głowę i na chwilę zobaczył

{Jak tam, spryciarzu? Co słychać?)

pana Bidermana i jego dwóch kumpli trącających się porozumiewawczo łokciami na tylnej kanapie samochodu. Zabij świnię, chlaśnij gardło, pomyślał, chociaż wcale nie chciał.

Przemknął na palcach przez salon, ostrożnie otworzył drzwi mieszkania, wyszedł do holu, bezszelestnie wspiął się na piętro (trzymał się blisko balustrady, przeczytał bowiem w jednej z książek o chłopcach Hardy'ego, że wtedy schody mniej skrzypią), a potem co sił w nogach wbiegł na drugie.

Drzwi do mieszkania Teda stały otworem, pokój był prawie całkiem pusty. Znikły wszystkie nieliczne przedmioty, którymi starał się nadać wnętrzu bardziej osobisty charakter: obrazek przedstawiający wędkarza o zachodzie słońca, drugi, z Marią Magdaleną obmywającą Jezusowi stopy, ścienny kalendarz. Popielniczka na stole była pusta, obok niej jednak stała papierowa torba na zakupy. W środku Bobby znalazł cztery książki: „Folwark zwierzęcy", „Noc łowcy", „Wyspę skarbów" oraz „Myszy i ludzie". Na torbie Ted nagryzmolił koślawym, ale doskonale czytelnym charakterem pisma: *Zacznij od Steinbecka. „Ludzie jak my", mówi George, kiedy opowiada Lenniemu historię, którą Lennie zawsze chciał usłyszeć. Kim byli ci ludzie? Kim byli dla Steinbecka? Kim są dla Ciebie? Spróbuj sobie odpowiedzieć na te pytania.*

Bobby wziął książki, ale zostawił torbę; bał się, że gdyby mama znalazła ją w jego pokoju, znowu dostałaby ataku szału. Zajrzał do lodówki, lecz dostrzegł tam tylko słoik z musztardą i torebkę z sodą oczyszczoną. Jeszcze raz rozejrzał się dookoła. Pokój wyglądał tak, jakby nikt nigdy w nim nie mieszkał, z wyjątkiem…

Podszedł do stołu, wziął do ręki popielniczkę, zbliżył do nosa i głęboko, wciągnął powietrze. Zapach chesterfieldów był tak silny, że chłopiec niemal zobaczył przed sobą Teda siedzącego przy stole i opowiadającego o „Władcy much", Teda stojącego przed lustrem w łazience i golącego się brzytwą, słuchającego przez otwarte drzwi Bobby'ego zajętego czytaniem na głos artykułów, z których niewiele co rozumiał.

Oraz Teda, który pisał na papierowej torbie: Ludzie jak my. Kim są ludzie jak my?

Bobby wykonał jeszcze jeden wdech. Do jego nosa dostały się drobinki popiołu, ale powstrzymał się przed kichnięciem, zacisnął powieki i skoncentrował się na tym, by zapamiętać tę woń i wszystkie związane z nią obrazy. Przez uchylone okno sączyła się ciemność wypełniona bezustannym ujadaniem Bowsera.

Wreszcie odstawił popielniczkę. Ochota na kichanie minęła. Będę palił chesterfieldy, postanowił. Będę palił je przez całe życie.

Ruszył w dół po schodach z książkami pod pachą. Drogę z pierwszego piętra na parter znów odbył przy balustradzie. Wślizgnął się do mieszkania, przemknął przez salon(mama chrapała jeszcze głośniej), wszedł do swojego pokoju i wepchnął książki głęboko pod łóżko. Jeśli mama je znajdzie, powie jej, że to prezent od pana Burtona. Oczywiście będzie to kłamstwo, ale jeżeli powie prawdę, mama z pewnością zabierze książki. Poza tym kłamstwo niekiedy staje się koniecznością, z czasem zaś można je nawet polubić.

Co dalej? Odpowiedź podsunęło mu burczenie w żołądku. Najwyższa pora na parę kanapek z masłem orzechowym i dżemem.

Ruszył na palcach do kuchni, ale przechodząc obok uchylonych drzwi pokoju mamy stanął jak wryty. Poruszyła się na łóżku, chrapanie przybrało na sile, potem nagle ucichło i coś niewyraźnie wymamrotała. Tak niewyraźnie, że nic nie zrozumiał, lecz niemal natychmiast uświadomił sobie, że wcale nie musi tego rozumieć, bo i tak ją słyszy. I widzi. Czyżby jej myśli? Sny? Cokolwiek to było, było przerażające.

Zrobił jeszcze trzy kroki, po czym dostrzegł coś tak strasznego, że oddech uwiązł mu w gardle jak lodowy sopel: CZY WIDZIELIŚCIE BRAUTIGANA? Jest STARYM KUNDLEM, ale KOCHAMY GO!

- Nie… - wyszeptał. - Mamo, tylko nie to…

Wzdragał się przed tym, ale nogi same zaprowadziły go do jej pokoju. Czuł się jak więzień własnego ciała. Obserwował własną rękę, która podniosła się bez udziału jego woli i pchnęła uchylone drzwi.

Mama leżała na przykrytym łóżku w sukience, z jedną nogą podciągniętą tak wysoko, że kolano niemal dotykało brody. Widać było całą pończochę i podwiązki. Przyszła mu na myśl kobieta z kalendarza w Narożniku, ta wysiadająca z samochodu ze spódnicą w garści. Ale ona nie miała paskudnych siniaków na udach.

Na twarzy Liz - przynajmniej tam, gdzie nie było sińców ani zadrapań - wciąż rozkwitał rumieniec, policzki były mokre od łez i pokryte rozmazanym makijażem. Pod stopą chłopca skrzypnęła deska; Liz krzyknęła, on zaś zamarł w bezruchu, przekonany, że mama zaraz otworzy oczy.

Nie obudziła się jednak, tylko odwróciła twarzą do ściany. Emanujące z niej myśli i obrazy były nie tyle wyraźniejsze, ile bardziej intensywne; wywoływały skojarzenia z potem poważnie chorej osoby. Łączyły je dźwięki „One O'Clock Jump" w wykonaniu orkiestry Benny'ego Goodmana oraz smak krwi sączącej się po tylnej ścianie gardła.

CZY WIDZIELIŚCIE BRAUTIGANA? Jest STARYM KUNDLEM, ale KOCHAMY GO!

Przed położeniem się do łóżka zasłoniła okno, toteż w pokoju było bardzo ciemno. Posuwał się ostrożnie naprzód, aż dotarł do toaletki. Leżała tam jej torebka. Przypomniał sobie uścisk Teda - uścisk, którego tak bardzo pragnął i potrzebował - dotyk jego rąk i słowa: „Kiedy kogoś dotykam, otwieram w nim coś w rodzaju okna" - powiedział Ted w drodze powrotnej z Bridgeport. Teraz, stojąc z zaciśniętymi pięściami przy toaletce matki, Bobby ostrożnie zajrzał przez okno do jej umysłu.

Najpierw zobaczył ją wracającą pociągiem z Providence: siedziała skulona przy szybie, zaglądała w tysiące podwórek przy linii kolejowej, żeby tylko ukryć przed współpasażerami zmaltretowaną twarz. Był świadkiem, jak dostrzegła na półce w łazience zielony breloczek do kluczy, obserwował ją, kiedy odprowadzała Carol, przez cały czas zasypując ją pytaniami. Carol,

roztrzęsiona i oszołomiona, odpowiadała szczerze na wszystkie. Widział, jak idzie, a raczej kuśtyka, przez park, słyszał jej myśli: Żeby tylko dało się z tego wszystkiego coś uratować, żeby tylko dało się coś uratować…

Usiadła w cieniu na ławce, ale szybko wstała i poszła do apteki po proszki od bólu głowy. Tuż przed wyjściem z parku zauważyła coś na drzewie, coś, co w kilku miejscach widziała wcześniej, ale aż do tej pory nie zwróciła na to uwagi.

Bobby znowu poczuł się jak pasażer we własnym ciele. Obserwował swoją rękę, patrzył, jak palce (już za kilka lat miał się na nich pojawić żółty nikotynowy nalot) zaciskają się na czymś, co wystawało z torebki. Pociągnął, wyjął kartkę, rozłożył i mimo gęstniejącej ciemności bez trudu odczytał dwie górne linijki:

CZY WIDZIELIŚCIE BRAUTIGANA? Jest STARYM KUNDLEM, ale KOCHAMY GO!

Zaraz potem jego wzrok przesunął niżej, do fragmentu, który z pewnością przykuł uwagę matki i całkowicie zawładnął jej myślami:

WYSOKA NAGRODA!

$$$$$$$

Oto było coś, co mogło wynagrodzić jej cierpienia, coś, co można było z tego wszystkiego uratować: WYSOKA NAGRODA.

Czy zawahała się choć przez chwilę? Czy pomyślała: „Zaraz, przecież mój chłopak bardzo lubi tego staruszka”?

Nie.

Nie mogła się wahać, ponieważ w życiu roiło się od Donów Bidermanów, a poza tym życie nie jest sprawiedliwe.

Bobby wycofał się z pokoju z ogłoszeniem w ręce. Za każdym razem, kiedy podłoga skrzypnęła pod jego stopą, zamierał w bezruchu, potem robił szybko dwa lub trzy kroki, aż do następnego skrzypnięcia. Mama umilkła, ale po chwili ponownie rozległo się chrapanie. Jak tylko przekroczył próg pokoju, bezszelestnie zamknął za sobą drzwi, po czym rzucił się do telefonu. Serce łomotało mu w szaleńczym tempie, w gardle czuł smak starych miedziaków. O głodzie zdążył już zupełnie zapomnieć.

Złapał słuchawkę, zerknął za siebie, aby upewnić się, że drzwi są zamknięte, a następnie wybrał numer. Wcale nie musiał patrzeć na kartkę, ponieważ był wyryty w jego pamięci: HOusitonic 5-8337.

W słuchawce panowała głucha cisza - i nic dziwnego, jako że w Harwich nie było takiej centrali. Lodowaty chłód, który ogarnął jego ciało (z wyjątkiem jąder i podeszew stóp, które były zaskakująco gorące), wziął się wyłącznie z troski o Teda. Z niczego innego. Na pewno.

Miał już odłożyć słuchawkę, kiedy usłyszał głuche stuknięcie, a zaraz potem odezwał się czyjś głos:

- Tak?

To Biderman! - przemknęło mu przez głowę. Rety, to Biderman!

- Tak? - powtórzył głos.

Nie, to nie był Biderman. Głos był zbyt niski, ale i tak Bobby'emu zrobiło się jeszcze zimniej. Miał całkowitą pewność, że w szafie tamtego człowieka wisi przynajmniej jeden żółty płaszcz.

Nagle poczuł dokuczliwe swędzenie oczu. Zamierzał zapytać, czy to dom rodziny Sagamore, a po ewentualnym uzyskaniu twierdzącej odpowiedzi chciał poprosić, żeby zostawili Teda w spokoju. Był gotów obiecać, że w zamian on, Bobby Garfield, zrobi wszystko, naprawdę wszystko, byle tylko Ted mógł spokojnie wyjechać. Milczał jednak, ponieważ zupełnie odjęło mu mowę. Aż do tej chwili chyba jednak nie do końca wierzył w małych ludzi w żółtych płaszczach, teraz jednak ktoś podniósł słuchawkę po drugiej stronie… Ktoś, a raczej coś, co nie miało nic wspólnego z życiem w rozumieniu Bobby'ego Garfielda.

- Bobby? - W głosie zabrzmiała nuta niemal zmysłowej satysfakcji. - Bobby. - Powtórzył już bez najmniejszego wahania.

Przed oczami chłopca zatańczyły ciemne plamy, zupełnie jakby w pokoju zaczął sypać gęsty czarny śnieg.

- Proszę… - wyszeptał, umilkł, zebrał w sobie siły i dokończył z najwyższym trudem: - Proszę, zostawcie go w spokoju…

- Nie ma mowy - odparł głos. - On należy do Króla. Trzymaj się z daleka, Bobby. Nie wtrącaj się. Ted to nasz pies. Jeśli nie chcesz stać się naszym psem, trzymaj się z daleka.

Stuk.

Bobby jeszcze przez jakiś czas stał ze słuchawką przyciśniętą do ucha. Bardzo chciałby się trząść, ale było mu zbyt zimno. Na szczęście nieprzyjemne swędzenie oczu zaczęło szybko ustępować, a czarne płatki wtopiły się w panujący w pokoju półmrok. Wreszcie zdołał oderwać słuchawkę od ucha, lecz zanim odłożył ją na widełki, ponownie znieruchomiał; na szarym bakelicie pojawiły się liczne czerwone wybroczyny, zupełnie jakby tamten głos sprawił, że słuchawka zaczęła krwawić.

Pojękując żałośnie przy każdym oddechu, chłopiec cisnął ją na widełki. „Nie wtrącaj się - powiedział głos. - Ted to nasz pies". Ale przecież Ted nie był psem, tylko człowiekiem, a w dodatku przyjacielem Bobby'ego.

Doniosła im, gdzie będą mogli go dzisiaj znaleźć, przemknęło mu przez głowę. Wyciągnęła tę informację od Carol i podała im go na talerzu.

Pobiegł do swojego pokoju, złapał słoik z pieniędzmi na rower, wytrząsnął je, wepchnął do kieszeni i wrócił do salonu. Przez chwilę zastanawiał się, czy zostawić matce kartkę z wyjaśnieniem, ale doszedł do wniosku, że to by było nierozsądne. Mogła znowu zatelefonować pod HOusitonic 5-8337 i donieść o planach syna. To był jeden powód. Drugi był taki, że jeśli zdoła odszukać Teda, to na pewno już tu nie wróci. Ted będzie musiał go zabrać - przecież teraz Bobby'emu również groziło niebezpieczeństwo ze strony małych ludzi.

Obrzucił mieszkanie pożegnalnym spojrzeniem. Zza zamkniętych drzwi wciąż dobiegało chrapanie matki. Poczuł bolesne ukłucie w sercu. Ted miał rację: mimo wszystko wciąż ją kochał. Jeśli naprawdę istniało coś takiego jak *ka,* to miłość do matki stanowiła jego nieodłączną część.

A mimo to miał nadzieję, że już nigdy jej nie zobaczy.

- Żegnaj, mamo - szepnął.

Minutę później pędził Broad Street w gęstniejącą ciemność, przyciskając rękę do wypchanej pieniędzmi kieszeni, żeby nie zgubić ani centa.

10

Znowu Dolizna. Chłopcy z rogu.

Mali ludzie w żółtych płaszczach. Zapłata.

Wezwał taksówkę z automatu telefonicznego w aptece. Czekając na jej przyjazd, zdjął z wiszącej na ścianie budynku tablicy ogłoszenie o zaginionym Brautiganie oraz przyczepione do góry nogami ogłoszenie o sprzedaży ramblera rocznik ‘57. Zmiął obie kartki i wrzucił je do kosza na śmieci. Nawet nie zadał sobie trudu, żeby zaczekać, aż właściciel - znany z cholerycznego usposobienia i niezbyt życzliwego stosunku do dzieci - odwróci się lub zniknie na chwilę na zapleczu.

Bliźniaczki Sigsby odłożyły skakanki i grały teraz w klasy. Jak tylko Bobby do nich podszedł, od razu zauważył narysowane na chodniku

figury. Przyklęknął i począł gołymi rękami zacierać kontury. Dina Sigsby wytrzeszczyła na niego oczy, Dianne zasłoniła usta brudnymi palcami i chichotała jak szalona, lecz on nie zwracał na nie najmniejszej uwagi. Uporawszy się z zadaniem, wstał i jakby nigdy nic otrzepał ręce. Zapłonęła lampa na słupie nad niewielkim parkingiem przy aptece; dzieciom nagle wyrosły długie cienie.

- Po co to zrobiłeś, głupolu? - zapytała Dina. - Były takie ładne!

- Przynoszą pecha - odparł lakonicznie. - Dlaczego nie jesteście jeszcze w domu?

Sprawa była dość oczywista: odpowiedź jarzyła się w ich głowach niczym neonowa reklama piwa.

- Mama i tata znowu się pokłócili. Mama mówi, że tata kogoś ma.

Dianne parsknęła śmiechem. Siostra natychmiast jej zawtórowała, ale w oczach obu dziewczynek czaił się strach. Przypominały Bobby'emu maluchy z „Władcy much".

- Wróćcie do domu, zanim się całkiem ściemni - poradził.

- Ale mama kazała nam zostać na dworze!

- Więc jest głupia, i wasz ojciec też. Idźcie już!

Spojrzenie, które wymieniły, świadczyło o tym, że mocno je wystraszył, ale nic go to nie obchodziło. Złapały skakanki i popędziły w kierunku szczytu wzniesienia. Pięć minut potem przed aptekę zajechała taksówka.

- Bo ja wiem?… - zastanawiał się głośno kierowca. - Chyba nie powinienem wieźć takiego dzieciaka samego do Brodgeport, nawet jeśli ma forsę… Przecież już ciemno, i w ogóle…

- Proszę się nie martwić - powiedział Bobby, sadowiąc się z tyłu. - Czeka na mnie dziadek. - Ale nie w Narożniku, postanowił. Nie mógł zajechać taksówką przed samo wejście. Ktoś mógł go obserwować. - W Jadłodajni Wo Fat. To jest przy Narragansett Avenue.

Narożnik był przy tej samej ulicy. Oczywiście nie zapamiętał wtedy nazwy, ale teraz, po wezwaniu taksówki, z łatwością znalazł ją w książce telefonicznej.

Kierowca wrzucił już wsteczny bieg, ale nie nacisnął gazu.

- Narragansett? To nie miejsce dla dzieci nawet w biały dzień, a co dopiero w nocy!

- Czeka na mnie dziadek - powtórzył Bobby. - Kazał dać panu pół dolara napiwku.

Taksówkarz wciąż się wahał. Boby zastanawiał się rozpaczliwie, w jaki sposób go przekonać, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Wreszcie kierowca westchnął, wzruszył ramionami, złamał chorągiewkę i ruszyli. Kiedy przejeżdżali obok numeru 149, Bobby stwierdził, że okna mieszkania na parterze wciąż są ciemne. Potem opadł na oparcie kanapy i czekał, aż Harwich odpłynie w noc.

Jeśli wierzyć tabliczce na taksometrze, kierowca nazywał się Roy DeLois. Przez całą drogę nie odezwał się ani słowem. Był przygnębiony, ponieważ musiał uśpić Pete'a. Pete miał czternaście lat, czyli całkiem sporo jak na collie, i był jedynym prawdziwym przyjacielem Roya. „Częstuj się, chłopcze, ja stawiam" - mawiał Roy, dając mu jeść. Roy DeLois był rozwiedziony. Niekiedy odwiedzał lokal ze striptizem w Hartford. Bobby widział rozmazane sylwetki tancerek, w większości z kolorowymi piórami i w białych długich rękawiczkach. Pete był znacznie

wyraźniejszy. W drodze powrotnej od weterynarza Roy trzymał się całkiem dzielnie, ale kiedy zobaczył pustą miskę Pete'a, nie wytrzymał i rozpłakał się jak dziecko.

Minęli William Penn Grille. Z okien wylewały się potoki światła, po obu stronach ulicy stały rzędy zaparkowanych samochodów, lecz Bobby nie zauważył jadowicie fioletowych deSoto ani innych pojazdów, co do których można było powziąć podejrzenie, że są tylko byle jak przebranymi żywymi istotami. Nie swędziały go oczy, nie pojawiły się ciemne plamy.

Taksówka przejechała przez most nad kanałem i znaleźli się w Doliźnie. Z kilkupiętrowych domów dobiegały głośne dźwięki latynoskiej muzyki, schody pożarowe znaczyły ściany zygzakami niczym metalowe błyskawice. Na skrzyżowaniach tu i ówdzie stały grupki młodych mężczyzn o lśniących, zaczesanych do tyłu włosach; gdzieniegdzie widać było też podobne grupki roześmianych dziewcząt. Kiedy taksówka zatrzymała się na czerwonym świetle, nie wiadomo skąd zjawił się śniadoskóry człowiek i zaproponował umycie szyby trzymanym w ręce, brudnym gałganem. Roy DeLois pokręcił głową i jak tylko światło zmieniło się na zielone, ruszył z piskiem opon.

- Cholerni meksykańce - mruknął. - Powinno się wyrzucić ich z kraju. Mało mamy problemów z czarnuchami?

Nocą Narragansett Street wyglądała zupełnie inaczej – trochę groźniej, a równocześnie nieco bardziej elegancko. Ślusarze… lombardy… bary rozsiewające dokoła śmiech, muzykę i mężczyzn z butelkami piwa w rękach… rusznikarnia… a trochę dalej, zaraz za sklepem ze SPECJALNYMI UPOMINKAMI, JADŁODAJNIA WO FAT. Narożnik był najwyżej trzy przecznice stąd. Dopiero zbliżała się ósma, więc Bobby miał jeszcze sporo czasu.

Kiedy Roy DeLois zatrzymał samochód przy krawężniku, licznik pokazywał osiemdziesiąt centów. Osiemdziesiąt centów plus pięćdziesiąt centów równało się ogromnej dziurze w budżecie, ale chłopiec nic sobie z tego nie robił. Nie zamierzał traktować pieniędzy jak ONA - z bałwochwalczym nabożeństwem. W tej chwili zależało mu tylko na tym, żeby w porę ostrzec Teda przed małymi ludźmi w żółtych płaszczach.

- Wolałbym nie zostawiać cię tu samego - powiedział Roy DeLois. - Gdzie twój dziadek?

- Zaraz przyjdzie - odparł Bobby, starając się nadać głosowi beztroskie, wręcz radosne brzmienie. Prawie mu się udało. To zdumiewające, do jakich rzeczy jest zdolny człowiek przyparty do muru.

Podał kierowcy pieniądze. Roy DeLois zawahał się przez chwilę; przemknęło mu przez głowę, że chyba powinien odwieźć dzieciaka z powrotem do Harwich, chociaż z drugiej strony… Nawet jeśli z tym dziadkiem to bujda, to co on tutaj robi? - pomyślał. - Za młody, żeby szukać przygód…

Wszystko w porządku, pomyślał do niego Bobby. Tak, to też potrafił, choć jeszcze w niewielkim stopniu. Nie martw się, nic mi nie grozi.

Roy DeLois wreszcie podjął decyzję i wziął od niego wymięty banknot oraz trzy monety.

- To naprawdę za dużo - powiedział.

- Dziadek zawsze mi powtarza, żeby nie być dusigroszem - odparł chłopiec, otwierając drzwi samochodu. - Może powinien pan sobie kupić nowego psa? Najlepiej szczeniaka.

Roy miał około pięćdziesiątki, ale ze zdumioną miną wyglądał znacznie młodziej.

- Skąd…

Zanim dokończył zdanie, doszedł do wniosku, że nic go to nie obchodzi. Pogrążony głęboko w myślach odjechał, zostawiając Bobby'ego przed wejściem do Wo Fat.

Chłopiec zaczekał, aż tylne światła samochodu znikną w oddali, po czym ruszył w kierunku Narożnika. Mijając sklep ze SPECJALNYMI UPOMINKAMI, zatrzymał się przed brudną szybą wystawową.

Bambusowa roleta była podniesiona, w witrynie jednak znajdował się tylko jeden przedmiot: ceramiczna popielniczka w kształcie muszli klozetowej, z wyżłobieniem na papierosa. WSADŹ GO TUTAJ, głosił napis. Bobby uznał pomysł za dość zabawny, chociaż, szczerze mówiąc, wystawa nieco go rozczarowała. Liczył na ekspozycję związaną z seksem - szczególnie teraz, po zachodzie słońca…

Minął DRUKI OKOLICZNOŚCIOWE, WIZYTÓWKI, potem NAPRAWĘ BUTÓW NA POCZEKANIU, a także WIDOKÓWKI NA WSZYSTKIE OKAZJE. Dalej był jeszcze jeden bar, grupki młodych ludzi na rogu, oraz piosenka The Cadillacs. Bobby zgarbił się, pochylił głowę, wbił ręce w kieszenie i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Znajdowała się tam nieczynna restauracja. Nad zamalowanymi białą farbą oknami wciąż jeszcze wisiały poszarpane markizy. Bobby wtopił się w rzucany przez nie cień i bezszelestnie sunął naprzód, kuląc się jeszcze bardziej, ilekroć rozległ się krzyk lub brzęk tłuczonego szkła. Na następnym skrzyżowaniu wrócił na tę stronę ulicy, po której znajdował się Narożnik.

Starał się sięgnąć myślami jak najdalej naprzód i wyczuć Teda, ale bez powodzenia. Wcale go to nie zdziwiło. Na miejscu Teda zaszyłby się na przykład w jakiejś bibliotece, gdzie nikt nie zwróciłby na niego uwagi, a po jej zamknięciu poszedłby coś zjeść. Potem przyjechałby taksówką po wypłatę. Nie przypuszczał, żeby Ted był gdzieś blisko, niemniej jednak nasłuchiwał w skupieniu. W tak dużym skupieniu, że zagapił się i wpadł na kogoś z impetem.

- Hej, *cabrón!* - Mężczyzna roześmiał się, ale nie był to przyjemny śmiech. Mocne ręce opadły na ramiona Bobby'ego i zatrzymały go. - Co ty wyrabiasz, *putino*?

Bobby podniósł wzrok i zobaczył trzech chłopaków (jego mama z pewnością nazwałaby ich ulicznikami), stojących przed lokalem o nazwie BODEGA. Byli to Portorykańczycy. Mieli na sobie spodnie z ostrymi jak brzytwa kantami, czarne buty w szpic oraz granatowe kurtki z napisem DIABLOS na plecach. Litera „I" kończyła się trójzębem. Trójząb wyglądał dość znajomo, ale Bobby nie miał czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Uświadomił sobie z przerażeniem, że stanął twarzą w twarz z członkami jakiegoś gangu.

- Ja… bardzo przepraszam - wymamrotał. – Zagapiłem się. Naprawdę bardzo mi przykro.

Cofnął się i spróbował ominąć stojącego na jego drodze chłopaka, ale natychmiast zatrzymał go jeden z pozostałych.

- Dokąd się wybierasz, *tio*?

Bobby i tym razem zdołał się uwolnić, ale wpadł na czwartego chłopaka, który pchnął go w kierunku drugiego, ten zaś złapał go znacznie mocniej. Sytuacja przypominała tę, kiedy otoczył go Harry z kumplami… Ale teraz sprawa była znacznie poważniejsza.

- Masz forsę, *tio*? - zapytał trzeci. - Pobieramy opłatę za przejście.

Roześmiali się i postąpili krok w jego kierunku. Czuł ostry zapach wody po goleniu, brylantyny i własnego strachu. Nie słyszał ich myśli, ale jakie to miało znaczenie? Przypuszczalnie zamierzali stłuc go do nieprzytomności i zabrać pieniądze. Przy odrobinie szczęścia powinno się na tym skończyć… ale przecież nigdzie nie było powiedziane, że będzie mu sprzyjało szczęście.

- Słuchaj, chłopaczku - powiedział śpiewnym tonem czwarty chłopak, chwycił obiema rękami za krótkie włosy nad uszami Bobby'ego i pociągnął tak mocno, że chłopcu łzy nabiegły do oczu. - Mały *muchacho,* co masz? Ile starych dobrych *dinero*? Jeśli coś znajdziesz, będziesz mógł sobie pójść. Jeśli nie, urwiemy ci jaja.

- Zostaw go, Juan.

Obejrzeli się wszyscy, Bobby też. Nowo przybyły też miał nienagannie uprasowane spodnie i granatową kurtkę z napisem i trójzębnym emblematem. Tylko spod mankietów spodni, zamiast spiczastych czarnych butów wystawały sportowe pantofle. Bobby natychmiast rozpoznał w nim osobnika, który znęcał się nad flipperem w Narożniku, kiedy Ted poszedł obstawiać wynik walki. Nic dziwnego, że trójząb wyglądał znajomo: przecież tamten miał taki tatuaż na ręce. Co prawda musiał zdjąć kurtkę i obwiązać się nią w pasie („Takie przepisy" - powiedział), ale mimo to mógł z dumą prezentować znak swojego gangu.

Bobby spróbował zajrzeć do jego umysłu, lecz dostrzegł tylko niewyraźne, nieokreślone kształty. Nadzwyczajne zdolności szybko go opuszczały, tak samo jak podczas wycieczki do Savin Rock; wkrótce po tym, jak rozstali się z McQuownem, zostało po nich tylko wspomnienie. Tym razem przebłysk trwał dłużej, ale właśnie dobiegał końca.

- Co jest, Dee? - odezwał się ten, który pociągnął Bobby'ego za włosy. - Chcemy go trochę rozruszać. Niech zapłaci za przejście przez nasz teren.

- Nic z tego. Ja go znam. To mój *compadre*.

- A mnie wygląda na zasikanego elegancika - powiedział ten, który nazwał Bobby'ego *cabrón i putino*. - Chętnie dam mu nauczkę.

- On nie musi się od ciebie niczego uczyć, Moso - odparł Dee. - Chyba że ty chcesz wziąć lekcję ode mnie?

Moso wzruszył ramionami, cofnął się, wyjął z kieszeni papierosa i wetknął go do ust. Jeden z pozostałych natychmiast mu go przypalił, Dee zaś pociągnął Bobby'ego i ruszył wraz z nim w kierunku Narożnika.

- Co tu porabiasz, *amigo*? - zapytał, położywszy pokrytą tatuażem rękę na ramieniu Bobby'ego. - Tylko głupek przychodzi tu sam, a tylko *loco* przychodzi tu sam w nocy!

- Nic na to nie poradzę - odparł Bobby. - Muszę znaleźć człowieka, z którym byłem tu wczoraj. Nazywa się Ted. Jest stary, chudy i wysoki. Trochę się garbi, jak Boris Karloff… Wiesz, ten aktor z filmów o potworach.

- Znam Borisa Karloffa, ale nie znam żadnego pieprzonego Teda. W życiu go nie widziałem. Lepiej stąd spływaj.

- Muszę pójść do Narożnika.

- Właśnie stamtąd wracam. Nie widziałem żadnego gościa podobnego do Borisa Karloffa.

- Bo jeszcze za wcześnie. Myślę, że przyjdzie między wpół do dziesiątej a dziesiątą. Muszę tam wtedy być, bo ścigają go źli ludzie… Noszą żółte płaszcze i białe buty… i jeżdżą wielkimi paskudnymi samochodami, takimi jak fioletowy deSoto…

Dee chwycił go niespodziewanie i tak mocno pchnął na drzwi lombardu, który właśnie mijali, że w pierwszej chwili Bobby pomyślał, iż jego znajomy postanowił jednak wprowadzić w życie zamiary swych kolegów. Siedzący w lombardzie łysy mężczyzna w okularach oderwał wzrok od gazety, spojrzał z irytacją w kierunku wejścia, po czym wrócił do przerwanej lektury.

- *Jefes* w żółtych płaszczach… - wydyszał Dee. - Widziałem ich, inni też ich widzieli! Z takimi lepiej nie zadzierać, *chico.* Coś z nimi jest nie w porządku. Dziwnie wyglądają. Przy nich chłopaki z knajpy Mallory'ego wyglądają jak przedszkolaki.

Wyraz twarzy Dee przywiódł Bobby'emu na myśl Smutnego Johna i minę, z jaką jego przyjaciel opowiadał o dwóch dziwnych ludziach przy wejściu do Commonwealth Park. Kiedy Bobby zapytał, co właściwie było w nich dziwnego, Smutny John odparł, że nie wie. Bobby już wiedział. Smutny John widział małych ludzi. Już wtedy węszyli dookoła.

- Kiedy ich widziałeś? Dzisiaj?

- Bez przesady, koleś. Wstałem jakieś dwie godziny temu i prawie cały czas przesiedziałem w łazience, żeby jakoś wyglądać. Czekaj, niech pomyślę… Tak, to było chyba przedwczoraj. Dwóch takich wychodziło z Narożnika. Ostatnio dzieją się tam dziwne rzeczy. - Zastanawiał się przez chwilę, po czym zawołał: - Hej, Juan, chodź no tutaj!

Ten od ciągnięcia za włosy podbiegł żwawym truchtem. Dee powiedział coś po hiszpańsku, Juan odpowiedział, Dee dorzucił coś jeszcze, wskazując na Bobby'ego. Juan oparł ręce na kolanach i pochylił się nad chłopcem.

- Też ich widziałeś?

Bobby skinął głową.

- Jedna banda w fioletowym deSoto, druga w chryslerze, trzecia w oldsie?

Co prawda Bobby widział tylko deSoto, ale ponownie skinął głową.

- Te wozy nie są prawdziwe - rzekł z przekonaniem Juan. Zerknął z ukosa na Dee, jakby chciał sprawdzić, czy ten się śmieje, ale Dee nie było do śmiechu. Zachęcił Juana skinieniem głowy, żeby mówił dalej. - To coś całkiem innego.

- Myślę, że one są żywe - powiedział Bobby.

Oczy Juana rozbłysły.

- Właśnie! A ci ludzie…

- Jak oni dokładnie wyglądają? Ja widziałem ich tylko w samochodach.

Juan bardzo się starał, ale nie był w stanie odpowiedzieć na to pytanie - przynajmniej po angielsku, po kilku nieudanych próbach przeszedł więc na hiszpański. Dee początkowo tłumaczył, potem jednak zapomniał o Bobbym i pogrążył się w dyskusji z Juanem. Pozostali chłopcy (teraz Bobby widział wyraźnie, że to jeszcze chłopcy) wkrótce przyłączyli się do wymiany poglądów. Co prawda Bobby niewiele rozumiał, wydawało mu się jednak, że wszyscy są nieco wystraszeni. Byli odważni i twardzi - inaczej nie daliby sobie tu rady - a mimo to mali ludzie w żółtych płaszczach zdołali napędzić im stracha. Przechwycił już tylko jeden wyraźny obraz: wysoka postać w sięgającym do połowy łydek płaszczu koloru musztardy, takim jakie nosili bohaterowie „Strzelaniny w corralu" albo „Siedmiu wspaniałych".

- Widziałem czterech, jak wychodzili od fryzjera, tego przy parkingu - powiedział Filio. - Oni zawsze węszą i zadają pytania. Podjeżdżają wozem, zostawiają go na ulicy z włączonym silnikiem, wchodzą i pytają. To głupota zostawiać na ulicy otwarty wóz z włączonym silnikiem, ale kto by ukradł coś takiego?

Nikt, pomyślał Bobby. Gdyby ktoś spróbował, mogłoby się okazać, że zamiast kierownicy trzyma w rękach żywego węża albo że siedzi na skorpionie.

- Chodzą gromadą, zawsze w tych żółtych płaszczach, nawet jeśli jest taki upał, że można jajka smażyć na chodniku. I mają takie białe spiczaste buty, bardzo eleganckie. Wiem, bo ja zawsze patrzę, co ludzie mają na nogach, ale oni… oni…

Zawahał się, skrzywił i dodał coś po hiszpańsku. Bobby zapytał, o co chodzi.

- Mówi, że oni nie dotykają ziemi - powiedział Dee z wielkimi jak spodki oczami. - Mówi, że wysiadają z tego wielkiego chryslera, a kiedy wracają, te ich pieprzone białe buty nie dotykają ziemi.

Juan splunął przez rozłożone palce i przeżegnał się pospiesznie. Przez jakąś minutę panowało milczenie, po czym Dee znowu pochylił się nad Bobbym.

- To ci goście szukają twojego kumpla?

- Tak. Muszę go ostrzec.

Nie wiedzieć czemu wyobraził sobie, że Dee postanowi towarzyszyć mu w wyprawie do Narożnika, po chwili zaś zdecydują się na to również pozostali, i że ruszą razem środkiem ulicy,

strzelając palcami w rytmie niesłyszalnej melodii: on i jego nowi przyjaciele, ulicznicy o dobrych sercach.

Rzecz jasna, nic takiego się nie stało. Moso niespiesznie wrócił tam, gdzie Bobby zderzył się z nim parę minut temu. Reszta poszła za nim.

- Jeśli spotkasz tych *cabelleros,* jesteś martwy *putino, tio mio* - rzucił na odchodnym Juan.

Został przy nim tylko Dee, który powiedział:

- On ma rację. Powinieneś wrócić do swojego świata, kolego. Niech twój *amigo* sam sobie radzi.

- Nie mogę - odparł Bobby, a potem zapytał z autentyczną ciekawością: - A ty mógłbyś? - Nie, gdyby chodziło o normalnych ludzi, lecz oni nie są normalni. Sam słyszałeś.

- To prawda - przyznał Bobby. - Ale to niczego nie zmienia.

- Masz nie po kolei w głowie. *Poco loco.*

- Chyba tak.

Istotnie, czuł się trochę jak szaleniec. *Poco loco* albo nawet jeszcze lepiej. Szurnięty jak mysz z wychodka, powiedziałaby jego matka.

Serce ścisnęło mu się boleśnie, kiedy Dee odwrócił się na pięcie i odszedł. Po kilku krokach chłopak obejrzał się, wycelował w niego wskazujący palec i uśmiechnął się. Bobby zrewanżował się tym samym.

- *Vaya con Dios, mi amigo loco* - powiedział Dee, postawił kołnierz kurtki i przeszedł na drugą stronę ulicy do czekających na niego kumpli.

Bobby odwrócił się w przeciwnym kierunku, po czym ruszył w dalszą drogę, starannie omijając kałuże neonowego blasku.

Naprzeciwko Narożnika znajdował się zakład pogrzebowy. DOM OSTATNIEJ POSŁUGI - głosił napis na zielonej markizie. W oknie wisiał zegar okolony błękitną jarzeniówką, poniżej zaś tabliczka z sentencją: CZAS I WODA W RZECE NA NIKOGO NIE CZEKAJĄ. Według zegara było dwadzieścia po ósmej. Miał jeszcze czas, mnóstwo czasu, zaraz za budynkiem zaczynała się wąska alejka, w której mógłby bezpiecznie zaczekać, ale chociaż wiedział, że tak byłoby najrozsądniej, to doskonale zdawał sobie sprawę, iż ma za mało cierpliwości. Poza tym gdyby był naprawdę rozsądny, w ogóle by się tu nie zjawił. Nie dysponował mądrością starej sowy; był małym chłopcem, który potrzebował pomocy. Wątpił, czy znajdzie ją w Narożniku, ale może się mylił.

Przeszedł pod reklamą zachwalającą chłodne piwo. Chyba jeszcze nigdy w życiu myśl o chłodnym napoju i o chłodzie w ogóle nie była mu bardziej obca. Mimo wysokiej temperatury i duchoty czuł się potwornie zziębnięty.

Boże, jeśli tu jesteś, pomóż mi, proszę. Potrzebuję dużo odwagi… i jeszcze więcej szczęścia.

Otworzył drzwi i wszedł do środka.

Woń piwa była znacznie intensywniejsza niż poprzednio, salę z automatami do gry wypełniał hałas i migotanie kolorowych lampek. Tam gdzie poprzednio urzędował samotny Dee, teraz tłoczyło się kilkunastu mężczyzn w podkoszulkach i kapeluszach w stylu Franka Sinatry. Każdemu towarzyszyła butelka z piwem.

W recepcji było znacznie jaśniej, przede wszystkim dlatego, że zarówno przy barze - gdzie panował spory ścisk - jak i w sali z automatami płonęło więcej świateł. Również długie pomieszczenie ze stołami bilardowymi było oświetlone jak sala operacyjna. Przy wszystkich stołach kręcili się mężczyźni z kijami w rękach, wydmuchując kłęby papierosowego dymu, również wszystkie krzesła ustawione wzdłuż ścian były zajęte. Bobby wypatrzył starego Gee, który opierał stopy na stołeczku do czyszczenia butów i…

- Co ty tu robisz, do kurwy nędzy?!

Odwrócił się gwałtownie, przestraszony tonem, jakim zadano pytanie, i zdumiony, że TAKIE słowo mogło paść z ust kobiety. Za kontuarem stała Alanna Files. Drzwi prowadzące na zaplecze właśnie się zamykały. Dzisiaj miała na sobie bluzkę z białego jedwabiu odsłaniającą ramiona - ładne, białe i okrągłe jak piersi - oraz górną część obfitego biustu. Poniżej bluzki zaczynały się najobszerniejsze czerwone spodnie, jakie Bobby widział w życiu. Wczoraj Alanna była łagodna i uśmiechnięta, nawet jakby trochę rozbawiona; dzisiaj wyglądała na śmiertelnie przerażoną.

- Przepraszam… Ja tylko… Wiem, że nie powinienem tu przychodzić, ale szukam mojego przyjaciela Teda i pomyślałem sobie… pomyślałem, że…

Jego głos przypominał dźwięki wydobywające się z balonika, któremu pozwolono polatać przez chwilę po pokoju, aż ujdzie z niego powietrze.

Coś było bardzo, ale to bardzo nie w porządku. Czuł się jak we śnie, który kiedyś dość często go nawiedzał: w tym śnie siedział w ławce i pisał klasówkę albo rozwiązywał zadanie,

albo po prostu czytał, i nagle wszyscy, uczniowie i nauczyciele, wybuchali śmiechem, on zaś stwierdzał z przerażeniem, że przyszedł do szkoły bez spodni.

Kanonada dzwonków i stukotów nie ucichła zupełnie, lecz wyraźnie straciła na sile. W barze ustały niemal wszystkie rozmowy. Bile znieruchomiały na stołach. Bobby, z kłębowiskiem węży w żołądku, w panice rozglądał się dookoła.

Niemal wszyscy patrzyli na niego. Stary Gee przeszywał go spojrzeniem oczu podobnych do otworów wypalonych w brudnym papierze. Chociaż okno w umyśle chłopca już prawie zupełnie zmatowiało - zostało zamalowane białą farbą - to jednak wyraźnie czuł, iż znaczna część zebranych oczekiwała jego przybycia. Nie przypuszczał, by zdawali sobie z tego sprawę, a gdyby nawet sobie zdawali, to nie wiedzieliby dlaczego. W pewnym sensie spali jak mieszkańcy Midwich. Mali ludzie byli tu przed nim. Mali ludzie byli tu i…

- Uciekaj, Randy - wyszeptała ochryple Alanna. W zdenerwowaniu pomyliła go z jego ojcem. - Uciekaj, póki jeszcze możesz.

Stary Gee zsunął się z krzesła. Poła sfatygowanej, wymiętej marynarki zaczepiła o jedną z podpórek pod nogi, materiał pękł z trzaskiem, lecz starzec nie zwrócił na to najmniejszej uwagi, tylko powoli ruszył naprzód, ciągnąc za sobą oderwaną połę. Jego oczy wciąż przypominały dziury o osmolonych brzegach.

- Bierzcie go! - zaskrzeczał. - Bierzcie tego smarkacza!

Bobby'emu w zupełności to wystarczyło. Tutaj na pewno nie miał co liczyć na pomoc. Rzucił się do drzwi, szarpnął, otworzył. Czuł, jak za jego plecami ludzie ruszają ławą - na szczęście powoli. Zbyt powoli.

Uciekł w noc.

Minął dwie przecznice, zanim dokuczliwe kłucie w boku zmusiło go najpierw do zwolnienia, a potem do zatrzymania. Nikt go nie ścigał, i bardzo dobrze, ale gdyby Ted zjawił się w Narożniku po pieniądze, byłoby po nim. Koniec. *Kaput.* Nie chodziło już tylko o małych ludzi; teraz miał przeciwko sobie również starego Gee i całą resztę, ale o tym nie wiedział. Pytanie brzmiało: co Bobby może zrobić w tej sprawie?

Rozejrzawszy się dookoła, stwierdził, że w pobliżu nie ma ani jednego sklepu; dotarł do magazynów. Ogromne hale majaczyły w ciemności niczym twarze pozbawione indywidualnych rysów. W powietrzu unosiła się woń ryb i trocin, a także coś jeszcze, co mogło być pozostałością po smrodzie gnijącego mięsa.

Nic nie mógł zrobić. Był tylko dzieckiem i wydarzenia znacznie go przerosły. Zdawał sobie z tego sprawę, równocześnie jednak wiedział, że nie może pozwolić, by Ted wpadł w zastawioną pułapkę, że musi przynajmniej spróbować go ostrzec. Nie było w tym nic z Chłopców Hardy'ego - po prostu musiał spróbować, i tyle. A znalazł się w tej sytuacji przez matkę. Przez własną matkę.

- Nienawidzę cię, mamo - wyszeptał. Chociaż wciąż było mu przeraźliwie zimno, całe ciało miał mokre od potu. - Nie obchodzi mnie, co ci zrobił Don Biderman i jego kumple. Jesteś suką, a ja cię nienawidzę.

Zawrócił i potruchtał z powrotem, trzymając się w najgłębszym cieniu. Dwukrotnie usłyszał głosy - krył się w bramach, kulił się w najciemniejszych zakątkach, usiłując stać się jeszcze mniejszy. Było to wyjątkowo łatwe. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się równie mały.

Tym razem skręcił w alejkę za budynkiem. Po jednej stronie stały pojemniki na śmieci, po drugiej piętrzyła się piramida kartonowych pudeł wypełnionych zwrotnymi butelkami po piwie. Piramida była o kilkanaście centymetrów wyższa od Bobby'ego; kiedy za nią wszedł, stał się zupełnie niewidoczny dla wszystkich, którzy przechodzili ulicą. W pewnej chwili otarło mu się o nogę coś gorącego i włochatego. Krzyk podszedł mu do gardła, zdusił go w ostatniej chwili, spojrzał w dół i zobaczył przyglądającego mu się podejrzliwie szczura.

- Spadaj! - syknął i spróbował go kopnąć.

Szczur obnażył ostre jak igiełki zęby, parsknął, a następnie potruchtał niespiesznie, poruszając z odrazą ogonem. Przez ceglaną ścianę przenikało basowe dudnienie szafy grającej z Narożnika. Mickey i Sylvia śpiewali „Miłość to dziwna rzecz". Rzeczywiście, dziwna. I upierdliwa.

Ze swojej kryjówki Bobby nie widział zegara w witrynie zakładu pogrzebowego i szybko stracił poczucie upływającego czasu. Przez wypełniający alejkę smród śmieci i skwaśniałego piwa docierały do niego dźwięki ulicznej opery: czasem radosne, a czasem gniewne okrzyki (nie zawsze po angielsku), huk eksplozji (w pierwszej chwili wydawało mu się, że to strzały z broni palnej, i aż zesztywniał ze strachu, ale to były tylko fajerwerki), warkot silników, raz nawet odgłosy bójki. Pijana i chyba smutna kobieta odśpiewała cała zwrotkę „Gdzie są nasi chłopcy", w pewnej chwili zawyła syrena policyjnego radiowozu, ale szybko umilkła w oddali.

Bobby nie zasnął, ale śnił na jawie. Mieszkał z Tedem na jakiejś farmie, przypuszczalnie na Florydzie. Ciężko pracowali, lecz Ted miał mnóstwo sił, odkąd rzucił palenie i pozbył się

uporczywego kaszlu. Bobby chodził do szkoły pod innym imieniem i nazwiskiem - Ralph Sullivan - wieczorami przesiadywali na werandzie, jedli to, co przygotował Ted, i pili mrożoną herbatę. Później Bobby czytał mu gazetę a kiedy kładli się spać, zasypiali szybko i spali smacznie aż do rana. W piątki jeździli na zakupy; chłopiec sprawdzał wówczas, czy na tablicach i słupach nie pojawiły się ogłoszenia o zaginionych zwierzętach i samochodach na sprzedaż, ale nigdy żadnego nie znalazł. Mali ludzie stracili trop. Ted nie był już niczyim psem, nic im nie groziło. Żyli ze sobą nie jak ojciec z synem albo dziadek z wnukiem, lecz po prostu jak przyjaciele.

Ludzie jak my, pomyślał sennie Bobby. Siedział oparty plecami o ceglaną ścianę, z głową pochyloną tak nisko, że brodą prawie dotykał klatki piersiowej. Ludzie jak my… Dlaczego mielibyśmy nie znaleźć sobie gdzieś miejsca?

U wylotu alejki błysnęły reflektory. Za każdym razem, kiedy tak się działo, Bobby ostrożnie wysuwał głowę zza kartonowej barykady. Niewiele brakowało, żeby teraz tego nie zrobił (marzył tylko o tym, żeby znowu zamknąć oczy i wrócić na farmę), ale jednak się przemógł i ujrzał zatrzymującą się przed wejściem do Narożnika taksówkę.

Potężny zastrzyk adrenaliny błyskawicznie wyrwał go z odrętwienia. W głowie zrobiło mu się zupełnie jasno, jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Wyskoczył z kryjówki, zrzucając dwa pudła ze szczytu piramidy, zawadził nogą o pojemnik na śmieci i niewiele brakowało, żeby nadepnął na coś kosmatego i wściekle syczącego: znowu ten sam kot. Kopnął go i popędził w kierunku ulicy. Na zakręcie poślizgnął się, upadł na kolano, kątem oka dostrzegł zegar za szybą zakładu pogrzebowego: za kwadrans dziesiąta. Taksówka stała przy krawężniku, silnik pracował na wolnych obrotach, Ted pochylał się do okna po stronie kierowcy i płacił za kurs. Bardziej niż kiedykolwiek przypominał Borisa Karloffa.

Po przeciwnej stronie ulicy, przed zakładem pogrzebowym, zaparkował gigantyczny oldsmobile w kolorze spodni Alanny. Bobby był pewien, że wcześniej go tam nie widział. Kiedy się na niego patrzyło, łzawiły oczy. Coś było z nim nie w porządku.

- Ted! - Miał to być krzyk, ale z gardła chłopca wydobył się tylko ochrypły szept. Dlaczego ich nie wyczuwa? - myślał rozpaczliwie. Dlaczego nie wie, że są tutaj?

Być może dlatego, że mali ludzie w jakiś sposób zablokowali jego nadzwyczajne zdolności, albo może uczynili to ci z Narożnika - stary Gee i reszta. Niewykluczone, że mali ludzie przeistoczyli ich w gąbki pochłaniające wszelkie sygnały ostrzegawcze, jakie mogły dotrzeć do Teda.

W chwili kiedy Ted wyprostował się, a taksówka ruszyła, zza zakrętu wyprysnął fioletowy deSoto; gdyby nie szybka reakcja taksówkarza, z pewnością doszłoby do zderzenia. W blasku latarni deSoto wyglądał jak ogromny krwawy skrzep ozdobiony chromem i szkłem. Reflektory migotały tak, jakby świeciły pod wodą, a potem… zamrugały! To wcale nie były reflektory, tylko oczy!

Ted! Wciąż tylko ten bezsensowny szept, a co gorsza, Bobby stwierdził, że nie jest w stanie się podnieść. Ogarnął go monstrualny, paraliżujący strach. Bał się potwornie już wtedy, gdy przejeżdżał taksówką obok fioletowego deSoto zaparkowanego przed restauracją Williama Penna; teraz, kiedy patrzył wprost w rozżarzone reflektory… nie, w oczy!… samochodu, czuł się tysiąc razy gorzej. A raczej milion.

Zdawał sobie sprawę, że rozdarł spodnie i starł skórę z kolana, słyszał Little Richarda zawodzącego z czyjegoś otwartego okna, wciąż widział przed sobą widmowy ślad błękitnej jarzeniówki otaczającej tarczę zegara… lecz wszystko to wydawało mu się całkowicie nierealne. To były tylko dekoracje, tandetne, byle jak zmontowane i pomalowane krzykliwymi kolorami. Rzeczywistość, która zaczynała się zaraz za nimi, miała kolor jednolicie czarny.

Chromowana atrapa deSoto poruszyła się, wykrzywiła… „Te wozy nie są prawdziwe - powiedział Juan. - To coś całkiem innego”.

Rzeczywiście, coś całkiem innego.

- Ted…

Wreszcie przełamał barierę szeptu… i Ted usłyszał. Odwrócił się z szeroko otwartymi ze zdziwienia oczami. W tej samej chwili deSoto wjechał na chodnik za jego plecami, rozchwiane snopy światła wywlekły z niego długie cienie, tak samo jak wtedy, kiedy zapłonęła latarnia na słupie, oświetlając bliźniaczki Sigsby i Bobby’ego.

Ted obrócił się w kierunku samochodu, osłaniając ręką oczy. Pojawiły się kolejne światła: tym razem był to jadowicie zielony cadillac z rekinimi płetwami, długi na kilometr, z falującymi skrzelami. Wpadł z impetem na chodnik za plecami Bobby’ego, znieruchomiał zaledwie kilkanaście centymetrów od jego nóg. Chłopiec usłyszał głośne sapanie: silnik samochodu oddychał.

Otworzyły się drzwi, ze wszystkich trzech samochodów wysypali się ludzie - a w każdym razie stwory na pierwszy rzut oka bardzo do nich podobne. Sześciu… Ośmiu… W końcu Bobby przestał liczyć. Wszyscy byli w długich płaszczach koloru musztardy, każdy miał na prawej

klapie szkarłatnoczerwone oko, które chłopiec widział we śnie. Przypuszczalnie były to jakieś odznaki, ale jakie? Policyjne? Raczej nie. Może więc byli to fałszywi gliniarze, jak w filmie? Nie, choć trochę bliżej. Gangsterzy? Jeszcze bliżej, ale nie do końca. To byli…

Regulatorzy. Jak w tym filmie, który w zeszłym roku oglądałem ze Smutnym Johnem. W tym, w którym występowali John Payne i Karen Steele.

Właśnie. W filmie regulatorzy okazali się po prostu bandziorami, na pierwszy rzut oka jednak można było wziąć ich za duchy, potwory albo coś w tym rodzaju. Bobby był niemal pewien, że CI regulatorzy na pewno są potworami.

Jeden z nich chwycił go za ramię i chłopiec krzyknął przeraźliwie; czegoś tak okropnego nie doświadczył jeszcze nigdy w życiu. Matka, która cisnęła nim o ścianę jak szmacianą lalką, to była przy tym błahostka. Miał wrażenie, że dotyka go pięciopalczasty termofor wypełniony gorącą wodą… a potem obrzydliwie miękkie palce stwardniały w szpony… przeszyły go na wylot, chociaż wcale nie wbiły się w ciało… To kij Jacka, przemknęło mu przez głowę. Ten zaostrzony z obu stron.

Pociągnęli go w stronę Teda, potknął się, z najwyższym trudem utrzymał się na nogach. Naprawdę wydawało mu się, że zdoła ostrzec przyjaciela, że uciekną w podskokach, tak jak czasem robiła Carol? Zabawne, prawda?

O dziwo, Ted wcale nie wyglądał na przerażonego. Chociaż zewsząd otaczali go mali ludzie w żółtych płaszczach, na jego twarzy malowała się jedynie troska o chłopca. Obrzydliwa, zmieniająca się ręka zwolniła uchwyt, Bobby potknął się o własne nogi, któryś ze stworów wykrzyknął coś piskliwie i pchnął go w plecy. Bobby wpadł prosto w objęcia Teda i szlochając rozpaczliwie, przycisnął twarz do jego piersi. Dobrze znany zapach papierosów i płynu po goleniu był za słaby, żeby pokonać smród bijący od napastników oraz jeszcze obrzydliwszy, który roztaczały ich samochody. Bobby podniósł głowę i spojrzał Tedowi w oczy.

- To moja mama! - załkał. - To ona im powiedziała!

- Nie wiń jej - odparł Ted. - Nic nie mogła na to poradzić. Powinienem był zniknąć wcześniej.

- Miałeś udane wakacje? - spytał jeden z małych ludzi.

W jego głosie pobrzmiewało dziwne brzęczenie, jakby w gardle miał pełno żywej szarańczy albo świerszczy. Możliwe, że to właśnie z nim Bobby rozmawiał przez telefon, że to właśnie ten nazwał Teda ich psem… Ale możliwe też, że wszyscy mieli identyczne głosy. „Jeśli

nie chcesz stać się naszym psem, trzymaj się z daleka” - usłyszał wtedy w słuchawce, lecz nie zastosował się do rady, zjawił się tutaj, a teraz… Boże, a teraz…

- Całkiem niezłe - odparł Ted.

- Mam nadzieję, że przynajmniej coś zdupczyłeś, bo teraz będziesz miał z tym trochę problemów - odezwał się inny.

Bobby rozejrzał się dookoła. Mali ludzie w żółtych płaszczach otaczali ich ciasnym kręgiem, zalewali smrodem, zasłaniali widok na ulicę. Wszyscy mieli śniadą cerę, głęboko osadzone oczy, intensywnie czerwone usta (jakby jedli wiśnie…) i wcale, ale to wcale nie byli tacy, na jakich wyglądali. Twarze usiłowały spłynąć z wyznaczonych miejsc, rysy rozmywały się, zmieniały i falowały, spod śniadej cery przeświytywała skóra biała jak ich spiczaste buty. Ale usta są czerwone, pomyślał. Usta zawsze są czerwone. Z kolei oczy były nieodmiennie czarne, wcale nie oczy, tylko bezdenne jamy. Są bardzo wysocy, uświadomił sobie. Są bardzo wysocy i szczupli. W ich głowach i sercach nie ma miejsca na ludzkie myśli i uczucia.

Po drugiej stronie ulicy rozległo się niskie, mlaszczące stęknięcie. Jedna z opon wielkiego oldsmobile’a zamieniła się w ciemnoszarą mackę, która sięgnęła po leżące nieopodal puste opakowanie po papierosach i zgarnęła je zachłannie. Chwilę potem opona znów była oponą, ale teraz sterczał z niej kawałek częściowo wchłoniętego opakowania.

- Gotów do powrotu? - spytał jeden z małych ludzi i pochylił się w stronę Teda. Żółty płaszcz zaszeleścił cicho, czerwone oko spoglądało łakomie z klapy. - Obowiązki wzywają.

- Wrócę, ale chłopiec zostanie tutaj.

Kilka rąk opadło na Bobby’ego, coś jakby żywa gałąź otarła mu się o kark. Brzęczenie rozległo się ponownie, niepokojące i zarazem chorobliwe, wlało mu się do głowy i zamieszkało tam jak rój pszczół. W tle zadźwięczał dzwon… drugi… trzeci… a potem jeszcze więcej, jakby na planecie gęsto zabudowanej dzwonnicami rozszalał się huragan. Zjawisko to miało zapewne jakiś związek z miejscem, z którego przybywali mali ludzie - miejscem położonym tysiące kilometrów od Connecticut i jego matki. Wsie płonęły pod obcymi konstelacjami, ludzie krzyczeli rozpaczliwie, a ten dotyk na karku… ten okropny dotyk…

Bobby jęknął boleśnie i ponownie wtulił twarz w pierś Teda.

- On chce być z tobą - zabrzęczał ohydny głos. – Chyba mu na to pozwolimy. Co prawda nie ma naturalnych uzdolnień, żeby być Łamaczem, ale… Jak dobrze wiesz, wszystko służy Królowi.

Obrzydliwe palce znów przesunęły się po karku chłopca.

- Wszystko służy Promieniowi - poprawił go Ted karcącym tonem.

- Już niedługo - odparł tamten i roześmiał się.

Na odgłos tego śmiechu Bobby'emu puściły zwieracze.

- Dawać go! - odezwał się inny głos. Chociaż wszystkie brzmiały podobnie, chłopiec nie miał już najmniejszych wątpliwości, że właśnie z tym stworem rozmawiał przez telefon.

- Nie! - odparł stanowczo Ted, obejmując go mocniej. - On tu zostaje!

- Kim jesteś, żeby nam rozkazywać? - zdziwił się głos z telefonu. - Jak szybko obrosłeś w pychę! Jak bardzo stałeś się zarozumiały! Ale już wkrótce wrócisz do tego samego pokoju, w którym spędziłeś tyle czasu, a jeżeli ja mówię, że zabieramy chłopca, to znaczy, że zabieramy!

- Jeśli to zrobicie, będziecie musieli brać ode mnie siłą to, czego chcecie - powiedział Ted.

Mówił spokojnie, bez lęku. Bobby przytulił się do niego najmocniej, jak potrafił, i zacisnął powieki. Za nic w świecie nie chciał patrzeć na małych ludzi w żółtych płaszczach. Najgorsze w nich było chyba to, że ich dotyk pod pewnym względem przypominał dotyk Teda: otwierał okno. Ale kto miałby ochotę patrzeć przez takie okno? Kto miałby ochotę ujrzeć prawdziwe kształty tych patykowatych postaci o krwistoczerwonych ustach? Kto miałby ochotę zobaczyć właściciela tego czerwonego Oka?

- Jesteś Łamaczem, Ted. Do tego właśnie zostałeś stworzony. Kiedy rozkażemy ci łamać, będziesz łamał.

- Owszem, możecie mnie zmusić… na pewno jesteście do tego zdolni… ale jeśli go tu zostawicie, będę wam służył z własnej woli, a mam wiele do zaofiarowania. Być może więcej, niż jesteście w stanie sobie wyobrazić.

- Chcę tego chłopca - odpowiedział najważniejszy, lecz w jego głosie zabrzmiała nuta niepewności. - Chcę zrobić z niego upominek Królowi.

- Wątpię, czy Szkarłatnego Króla ucieszy upominek, który przeszkodzi mu w realizacji jego planów - zauważył Ted. - Jest przecież Rewolwerowiec…

- Rewolwerowiec! Ha!

- …który wraz z towarzyszami dotarł już do granic Ostatniego Świata. - Teraz Ted mówił powoli, z wahaniem, starannie ważąc każde słowo. - Jeżeli dam wam z własnej woli to, czego ode mnie chcecie, być może uda mi się przyspieszyć bieg wydarzeń o jakieś pięćdziesiąt lat, albo

nawet więcej. Sam powiedziałeś, że jestem urodzonym Łamaczem. Takich jak ja nie ma zbyt wielu. Potrzebujecie wszystkich, a najbardziej mnie. Dlatego że jestem najlepszy.

- Pochlebiasz sobie i przeceniasz swoje znaczenie dla Króla.

- Czyżby? Wątpię. Mroczna Wieża będzie wznosić się tylko dopóty, dopóki nikt nie przełamie Promienia… Naprawdę muszę wam o tym przypominać? Czy chłopiec jest wart tego ryzyka?

Bobby nie miał pojęcia, o czym mówi Ted i ani trochę go to nie obchodziło. Wiedział tylko tyle, że jego dalsze losy ważą się na chodniku przed salonem bilardowym w Bridgeport. Słyszał szelest płaszczy małych ludzi, czuł ich zapach, wyczuwał ich całym sobą. Znowu pojawiło się to okropne swędzenie oczu, w odrażający sposób harmonizujące z brzęczeniem w jego głowie. Z nieba sypnął czarny śnieg i Bobby nagle zrozumiał, kim oni są, czemu służą. W „Pierścieniu wokół Słońca" Clifforda Simaka po to, by dostać się w inny świat, należało kierować się ku górze, po pnącej się coraz wyżej spirali.

Tutaj tę funkcję pełniły czarne plamy. Były żywe… I głodne.

- Niech chłopiec sam zdecyduje - powiedział wreszcie przywódca małych ludzi i jego palec-gałąź ponownie musnął kark Bobby'ego. - On cię bardzo kocha, Teddy. Jesteś jego *te-ka,* prawda? To oznacza przyjaciela zesłanego przez przeznaczenie - dodał na użytek chłopca. - Tym właśnie dla ciebie jest ten stary, siwy Teddy: przyjacielem zesłanym przez przeznaczenie, zgadza się?

Bobby w milczeniu przyciskał zimną jak sopel lodu twarz do koszuli Teda. Z całego serca żałował, że się tu znalazł - gdyby znał prawdę o małych ludziach, zostałby w domu i wlazł pod łóżko - ale nie zmieniało to w niczym faktu, że stwór miał rację: Ted istotnie był jego *te-ka.* Niewiele wiedział o przeznaczeniu, przecież był jeszcze dzieckiem, ale miał pewność, że Ted jest jego przyjacielem. Ludzie jak my, pomyślał żałośnie. Ludzie jak my.

- Co teraz myślisz, kiedy wreszcie nas poznałeś? - zapytał mały człowiek. - Chciałbyś pójść z nami, żeby być blisko swego przyjaciela? Mógłbyś widywać go w co drugi weekend, dyskutować z nim o literaturze, nauczyłbyś się jeść to, co myjemy, i pić to, co pijemy… - Znowu ten okropny palec, to przerażające pieszczotliwe dotknięcie. Brzęczenie przybrało na sile, czarne płatki urosły, wydłużyły się, zamieniły w kiwające się zachęcająco palce. - Jemy wszystko, co gorące, Bobby… - wyszeptał stwór. - I pijemy same gorące rzeczy… Gorące i słodkie… Gorące i bardzo słodkie…

- Przestań! - parsknął Ted.

- A może wolisz zostać z matką? - ciągnął głos jakby nigdy nic. - Nie, chyba nie. Przecież jesteś chłopcem z zasadami, odkryłeś uroki przyjaźni i literatury. Z pewnością postanowisz towarzyszyć swojemu staremu *ka-mai*. Prawda? Dobrze się zastanów. Pamiętaj, że taką decyzję podejmuje się tylko raz w życiu. Potem nie ma już odwrotu.

Nie wiadomo czemu Bobby przypomniał sobie migające w szaleńczym tempie karty i głos McQuowna: Karta na stoliku, nie ma żadnego triku, karta taka sama, zgadnij, gdzie jest dama.

Nie dam rady, pomyślał. Po prostu nie dam rady.

- Puśćcie mnie - wyszeptał. - Proszę, nie zabierajcie mnie ze sobą.

- Nawet jeśli to oznacza, że twój *te-ka* będzie musiał się obyć bez twego wspaniałego, radosnego towarzystwa?

Głos był pogodny, lecz Bobby nie dał się zwieść: pod cienką wierzchnią warstwą kryła się szydercza pogarda. Jego ciałem wstrząsnął dreszcz, ale jednocześnie poczuł wielką ulgę, domyślił się bowiem, że jednak zostawią go w spokoju. W niczym nie zmniejszyło to palącego wstydu: przecież to była tchórzliwa ucieczka! Żaden z jego ulubionych filmowych bohaterów nie zniżyłby się do czegoś takiego, ale jego ulubieni filmowi bohaterowie nigdy nie mieli do czynienia z małymi ludźmi w żółtych płaszczach ani z czarnymi płatkami śniegu. A przecież Bobby nie widział jeszcze najgorszego. Co by było, gdyby musiał stawić temu czoło? Co by było, gdyby czarne płatki wciągnęły go do świata, w którym mali ludzie w żółtych płaszczach objawiliby mu się w swojej autentycznej postaci? Co by było, gdyby zobaczył kształty ukryte pod przebraniem?

- Tak… - wyszeptał i rozpłakał się.

- Co „tak”?

- Nawet jeżeli będzie musiał pójść beze mnie.

- Aha. I nawet jeśli to oznacza powrót do matki?

- Tak.

- Zapewne teraz trochę lepiej rozumiesz tę sukę?

- Tak - odparł Bobby po raz trzeci. Zabrzmiało to niemal jak jęk. - Chyba tak.

- Wystarczy! - wtrąci! się Ted. - Przestańcie.

Ale głos nie zamierzał przestać. Jeszcze nie.

- Nauczyłeś się, jak być tchórzem, prawda?

- Tak! - wykrzyknął, z twarzą wciąż przyciśniętą do piersi Teda. - Tchórzem, mazgajem, szmatą, gówniarzem, czym tylko chcecie! Tak, tak, tak! Pozwólcie mi tylko wrócić do domu! - Nabrał powietrza w płuca i uwolnił je z przeraźliwym wrzaskiem: - JA CHCĘ DO MAMY!!!

Zabrzmiało to jak krzyk przerażonego malucha, który przez najkrótszą z możliwych chwil ujrzał oblicze bestii.

- W porządku - powiedział mały człowiek w żółtym płaszczu. - Zgoda, skoro podchodzisz do sprawy w ten sposób… Naturalnie pod warunkiem że twój przyjaciel potwierdzi, iż wróci do swych obowiązków i będzie je wykonywał dobrowolnie, a nie przykuty do wiosła, jak poprzednio.

- Obiecuję. Uwolnił Bobby'ego z objęć, lecz chłopiec wciąż stał jak kamienny posąg przytulony do jego piersi. Ted odsunął go delikatnie.

- Idź do Narożnika i powiedz Filesowi, żeby odwiózł cię do domu. Powiedz mu też, że nic mu nie grozi ze strony moich przyjaciół.

- Wybacz mi, Ted. Naprawdę chciałem z tobą pójść. Pragnąłem z tobą zostać… ale nie mogę. Tak mi przykro.

- Nie przejmuj się, chłopcze.

Jednak posępna mina Teda zdawała się świadczyć o tym, iż dobrze wie, jak poważne konsekwencje będzie miała ta decyzja dla przyszłego życia Bobby'ego.

Dwa żółte płaszcze chwyciły Teda pod ramiona.

- Nie musicie tego robić, Cam - powiedział do tego, który stał za Bobbym i głaskał go po karku okropnym, patykowatym palcem.

- Puśćcie go - rozkazał Cam. Jego podwładni bezzwłocznie wykonali polecenie, on zaś po raz ostatni musnął palcem kark chłopca. Z ust Bobby'ego wyrwał się zduszony okrzyk. Jeśli on to zrobi jeszcze raz, po prostu oszaleję, pomyślał. Nic na to nie poradzę, oszaleję, i już. Zacznę krzyczeć i nie będę mógł przestać. Będę krzyczał tak długo, aż głowa rozpadnie mi się na kawałki. - Zmykaj, mały. Tylko szybko, zanim się rozmyślę.

Bobby ruszył chwiejnym krokiem w kierunku otwartych na oścież drzwi Narożnika. Nikogo za nimi nie widział. Wspiął się na stopień, odwrócił i zobaczył Teda w otoczeniu trzech ludzi w żółtych płaszczach, zmierzającego ku fioletowemu deSoto.

- Ted!

Ted zatrzymał się, uśmiechnął i podniósł rękę, żeby mu pomachać, ale nie zdążył, ponieważ Cam chwycił go za ramiona, wepchnął do samochodu i zatrzasnął drzwi. Przez ułamek sekundy Bobby widział nieprawdopodobnie chudą postać w długim żółtym płaszczu, o ciele białym jak śnieg i karmazynowych ustach. W głębokich, mrocznych oczodołach płonęły złowieszcze ogniki, źrenice rozszerzały się i kurczyły w dobrze znany chłopcu sposób. Czerwone usta wykrzywiły się w drapieżnym uśmiechu, odsłaniając ostre zęby, których mógłby pozazdrościć każdy zdziczały kot. Spomiędzy zębów wysunął się gruby czarny język, zafalował obleśnie, a zaraz potem stwór przebiegł na drugą stronę samochodu i wskoczył za kierownicę. Po drugiej stronie ulicy ożył silnik oldsmobile'a: ryknął jak smok (możliwe, że to NAPRAWDĘ był smok), chwilę potem zawtórował mu Cadillac. Blask żywych reflektorów skąpał ten odcinek Narragansett Avenue w pulsującej poświacie. DeSoto zawrócił z piskiem opon, spod tylnego zderzaka strzeliły snopy iskier, w tylnej szybie na mgnienie oka pojawiła się twarz Teda. Bobby pomachał mu ze wszystkich sił; wydawało mu się, że Ted też to uczynił, ale nie był pewien, a zaraz potem głowę wypełnił mu tętent niezliczonych kopyt.

Nigdy więcej nie zobaczył Teda Brautigana.

- Spadaj, smarkaczu - warknął Len Files. Był śmiertelnie blady, jego twarz zdawała się co najmniej o dwa numery za duża i zwisała jak tłuste ciało na ramionach jego siostry. Za plecami Filesa w pustej sali migotały światełka automatów do gry. Wszyscy goście stłoczyli się w recepcji niczym przerażone dzieci. W pobliżu wejścia do sali bilardowej zgromadzili się gracze; wielu trzymało kije w taki sposób,

jakby zamierzali lada chwila użyć ich jako broni. Stary Gee stał obok automatu z papierosami. Zamiast kija bilardowego ściskał w ręce pistolet, ale Bobby wcale się go nie bał. Wątpił, żeby po spotkaniu z Camem i jego kolesiami w żółtych płaszczach cokolwiek mogło go jeszcze przestraszyć. Przynajmniej na razie. - Zmykaj stąd, i to szybko.

- Lepiej go posłuchaj - dodała Alanna za kontuaru.

Bobby zerknął na nią i pomyślał: Gdybym był starszy, na pewno coś byś ode mnie dostała. Na pewno.

Zrozumiała jego spojrzenie i pospiesznie odwróciła wzrok, zawstydzona, zdezorientowana i wystraszona. Bobby ponownie spojrzał na jej brata.

- Chce pan, żeby tu wrócili?

Twarz Lena obwisła jeszcze bardziej.

- Chyba żartujesz!

- W takim razie proszę mi dać to, o co proszę, i już nigdy mnie pan nie zobaczy. - Umilkł na chwilę. - Ani ich.

- A czego chcesz, chłopcze? - zapytał stary Gee łamiącym się głosem.

Cokolwiek to było, Bobby mógł być pewien, że to dostanie. Stary Gee miał tę informację wypisaną wielkimi literami w głowie. Umysł starca pracował szybko i precyzyjnie jak wtedy, kiedy Gee był jeszcze młody. Roiło się w nim od różnych paskudztw, ale w porównaniu z Camem i jego regulatorami Gee był niewinny jak gołąbek.

- Po pierwsze, żeby ktoś odwiózł mnie do domu.

A potem, zwracając się raczej do starego Gee niż do Lena, powiedział, co po drugie.

Len miał całkiem nowego buicka, wielkiego i rzucającego się w oczy, ale to był po prostu samochód. W drodze do Harwich towarzyszyły im dźwięki muzyki z lat czterdziestych. Len odezwał się tylko raz:

- Tylko nie przestawiaj radia na rock and rolla. Dość mam tego gówna w robocie.

Kiedy mijali Asher Empire, Bobby zauważył Brigitte Bardot naturalnej wielkości, wyciętą z kartonu, stała na lewo od kasy. Przyjrzał się jej bez większego zainteresowania. Czuł się dla niej za stary.

Skręcili w Broad Street. Potężny buick niemal bezszelestnie sunął w dół wzgórza. Bobby wskazał swój dom. Okna mieszkania Garfieldów były rzęsiście oświetlone. Zegarek na desce rozdzielczej buicka wskazywał niemal punktualnie jedenastą.

Len Files odzyskał mowę dopiero wtedy, kiedy samochód zatrzymał się przed gankiem.

- Kto to był, chłopcze? Co to byli za goście?

Bobby prawie się uśmiechnął. Podobne pytanie padało na zakończenie każdego odcinka „Samotnego strażnika”: „Kim był ten człowiek w masce?”.

- Mali ludzie. To byli mali ludzie w żółtych płaszczach.

- Wiesz co? Chyba nie chciałbym teraz zostać twoim kumplem.

- Ani ja - odparł Bobby i zadrżał, jakby owionął go lodowaty wiatr. - Dziękuję za podwiezienie.

- Nie ma sprawy. Trzymaj się tylko z daleka ode mnie i mojego interesu. Masz tam zakaz wstępu do końca życia.

Buick - wielki, paskudny, ale poza tym całkiem zwyczajny - odpłynął w ciemność. Bobby odprowadził go wzrokiem aż do chwili, kiedy minął dom Carol i znikł za zakrętem, po czym spojrzał w górę, na gwiazdy. Miliony gwiazd, a za nimi kolejne miliony, obracające się powoli w czarnej pustce.

Jest Wieża, która wszystko spaja, pomyślał. Jest Promień, który ją chroni. Jest Szkarłatny Król, są Łamacze, którzy usiłują zniszczyć

Promień…Nie dlatego że chcą, ale dlatego że ON im każe. Szkarłatny Król.

Czy Ted trafił już z powrotem między innych Łamaczy? Czy siedział już przy swoim wiośle?

Przykro mi, pomyślał, i ruszył w górę po schodkach. Jeszcze niedawno siedział jakby nigdy nic na tym ganku i czytał Tedowi gazetę. Jakby nigdy nic. Chciałem pójść z tobą, ale nie mogłem. W końcu okazało się, że nie mogłem.

Zatrzymał się, nasłuchując, ale do jego uszu nie docierało żadne szczekanie. Bowser zasnął. To graniczyło z cudem. Uśmiechnął się lekko i ruszył dalej. Mama chyba usłyszała skrzypnięcie drugiego stopnia, ponieważ wykrzyknęła jego imię, a zaraz potem rozległ się tupot pospiesznych kroków, drzwi otworzyły się gwałtownie i Liz Garfield wybiegła na ganek. Wciąż miała na sobie ten sam strój, w którym wróciła z Providence. Włosy okalały jej twarz zlepionymi, brudnymi strąkami.

- Bobby! - łkała. - Bobby! Dzięki Bogu!

Chwyciła go w ramiona, zaczęła obracać niczym w jakimś szaleńczym tańcu. Twarz miał po chwili mokrą od jej łez.

- Nie wzięłam tych pieniędzy! - bełkotała. - Zadzwonili później i zapytali o adres żeby przysłać nagrodę ale ja im powiedziałam nie trzeba nie chcę tak mi było przykro tak okropnie przykro Bobby powiedziałam nie, nie chcę waszych pieniędzy…

Doskonale wiedział, że kłamała. Ktoś wsunął przez szparę pod drzwiami zaadresowaną do niej kopertę. W środku było trzysta dolarów gotówką. Nędznych trzysta dolarów za ich najlepszego Łamacza. Byli jeszcze bardziej skąpi od niej.

- Słyszysz? Powiedziałam, że nie chcę tych pieniędzy!

Zaniosła go do mieszkania. Ważył prawie pięćdziesiąt kilogramów i był dla niej dużo za ciężki, lecz mimo to go zaniosła. Paplała bez przerwy; Bobby zorientował się trochę z jej gadania, a trochę z tego, co w niej wyczytał, że nie zawiadomiła policji. Przesiedziała cały

wieczór, mnąc w rękach spódnicę i modląc się chaotycznie o jego powrót. Kochała go. Ta myśl kołatała się w jej umyśle jak uwięziony ptak. Kochała go. Niewiele to zmieniało, ale przynajmniej trochę. Nawet jeśli ptak nie mógł odzyskać wolności.

- Powiedziałam im, że niczego nie potrzebujemy, żeby je sobie zatrzymali, żeby…

- W porządku, mamo. Postaw mnie.

- Gdzie byłeś? Nic ci się nie stało? Jesteś głodny?

Zaczął od końca.

- Tak, jestem głodny. Nie, nic mi się nie stało. Byłem w Bridgeport. Patrz, co przywiozłem.

Wyjął z kieszeni garść pieniędzy. Jedno- i dwudolarówki ze słoika były wymieszane z banknotami dziesięcio-, dwudziesto- i pięćdziesięciodolarowymi. Sięgnął ponownie… I jeszcze raz… Matka bez słowa wpatrywała się w rosnącą stertę pieniędzy. Jej zdrowe oko robiło się coraz większe, aż wreszcie Bobby zaczął się obawiać, że zaraz wypadnie. Drugiego w ogóle nie było widać pod sinofioletową opuchlizną. Wyglądała jak jednooki pirat nad dopiero co odkopanym skarbem. Bobby wolałby jej takiej nie oglądać, ale obraz ten wrył mu się w pamięć i nie opuszczał go przez piętnaście lat dzielących ten wieczór od jej śmierci. Równocześnie jednak jakaś nowa, niezbyt sympatyczna część jego duszy cieszyła się z tego widoku, z upodobaniem chłonęła każdy szczegół wyglądu tej starej, brzydkiej, żałosnej, głupiej i jednocześnie chytrej kobiety. To moja matka, pomyślał głosem Jimmy'ego Durante. Oboje go zdradziliśmy, ale przynajmniej zgarnąłem większą kasę. Zgadza się, mamuśku? Zgadza się?

- Och, Bobby… - wyszeptała łamiącym się głosem. Może i wyglądała jak pirat, lecz zachowywała się jak niedowierzający własnemu szczęściu zwycięzca teleturnieju „Właściwa cena". - Tyle pieniędzy! Skąd je masz?

- To wypłata Teda.

- Aon… Czy…

- Jemu nie będzie już potrzebna.

Skrzywiła się, jakby nagle dała o sobie znać jedna z jej licznych kontuzji, po czym zaczęła szybko sortować i układać banknoty.

- Kupię ci ten rower - mamrotała. Jej palce poruszały się z wprawą, jakiej mógłby pozazdrościć niejeden kuglarz. - Zaraz z samego rana. Jak tylko otworzą sklep. A potem…

- Nie chcę roweru. Nie za te pieniądze. I nie od ciebie.

Znieruchomiała z rękami pełnymi pieniędzy. W oka mgnieniu wezbrała w niej wściekłość, czerwona i pulsująca.

- Oczywiście, ani śladu wdzięczności! Głupia jestem, że czegoś oczekiwałam! Wykapany ojciec, słowo daję!

Wzięła zamach ręką z rozczapierzonymi palcami, ale tym razem kontrolował sytuację. Poprzednio działała z zaskoczenia.

- Skąd wiesz? - zapytał. - Naopowiadałaś o nim tyle kłamstw, że pewnie sama już nie pamiętasz, jak było na prawdę.

Trafił w dziesiątkę. Zajrzał do jej wspomnień… i prawie nie znalazł tam Randalla Garfielda, tylko pudełko z nazwiskiem i rozmazaną twarz, która mogła należeć do kogokolwiek. Właśnie w tym pudełku trzymała wszystko, co bolesne. Nie pamiętała, że lubił piosenkę Jo Stafforda; nie pamiętała (zakładając, że kiedykolwiek zdawała sobie z tego sprawę), iż Randall Garfield oddałby potrzebującemu ostatnią koszulę. W pudełku nie było miejsca na takie wspomnienia. Bobby pomyślał, że to musi być okropne, odczuwać potrzebę posiadania takiego pudełka.

- Nigdy nie postawił drinka komuś, kto już miał w czubie. Wiedziałaś o tym?

- Co ty wygadujesz, do wszystkich diabłów?

- Nie zmusisz mnie, żebym go nienawidził… i nie zmusisz mnie, żebym był taki jak on. - Podniósł zaciśniętą pięść. - Nie będę jego duchem. Jeśli chcesz, powtarzaj do upojenia te wszystkie kłamstwa o niezapłaconych rachunkach, o nieważnej polisie na życie, o tym, że licytował nawet z najsłabszą parą w ręce, ale powtarzaj je SOBIE. Ja nie chcę tego więcej słyszeć.

- Nie podnoś na mnie ręki, Bobby. Nie waż się tego robić!

W odpowiedzi zacisnął również drugą pięść.

- Chcesz mnie uderzyć? Proszę, spróbuj, ale tym razem ci oddam, i to z nawiązką. Zasłużyłaś sobie na to. No, śmiało.

Zawahała się, a potem wściekłość wyparowała jeszcze szybciej, niż się pojawiła. Zastąpiła ją bezdenna pustka, w której rozgościł się strach. Strach przed synem, przed tym, co mógłby jej zrobić. Jeszcze nie teraz, skądże. Nie tymi małymi chłopięcymi piąstkami.

Ale mali chłopcy szybko dorastają.

Czy jednak był aż o tyle lepszy, żeby patrzeć na nią z wyższością i udzielać napuszonych reprymend? Czy W OGÓLE był od niej lepszy? W jego głowie ponownie rozległ się szyderczy głos pytający, czy rzeczywiście chce wrócić do domu, nawet gdyby miało to oznaczać, że jego przyjaciel Ted zostanie sam. Tak, odpowiedział wtedy. Nawet jeśli oznacza to powrót do matki? Tak, odpowiedział ponownie. Zdaje się, że teraz trochę lepiej ją rozumiesz? - spytał Cam, a Bobby po raz trzeci udzielił twierdzącej odpowiedzi.

Kiedy usłyszał za drzwiami jej pospieszne kroki, ogarnęła go wielka ulga i radość. Przez chwilę nie czuł nic więcej.

Rozluźnił palce, wyciągnął rękę i ujął ją za dłoń wciąż uniesioną do zadania ciosu. Początkowo stawiała opór, ale dość szybko go pokonał. Pocałował ją w rękę. Spojrzał prosto w zmasakrowaną twarz matki i pocałował ponownie. Tak dobrze ją znał, tak dobrze wiedział, co się dzieje w jej duszy… i chętnie obyłby bez tej wiedzy. Marzył o tym, by okno w jego umyśle zamknęło się jak najprędzej, by szyby jak najszybciej znowu zmatowiały, ponieważ tylko wtedy miłość jest możliwa - i niezbędna. Im mniej wiesz, w tym więcej możesz uwierzyć.

- Nie powiedziałem, że niczego od ciebie nie chcę - odezwał się wreszcie. - Chodziło mi tylko o rower.

- A czego chcesz? - zapytała niepewnie, z obawą. - Czego ode mnie chcesz, Bobby?

- Naleśników. - Uśmiechnął się. - Mnóstwa naleśników. Umieram z głodu.

Usmażyła mnóstwo naleśników, usiedli naprzeciwko siebie przy kuchennym stole i o północy zjedli obfite śniadanie. Potem, chociaż dochodziła już pierwsza, pomógł jej zmywać. Czemu nie? - przekonywał. Przecież nie idzie do szkoły, więc będzie mógł spać ile dusza zapragnie.

Kiedy ostatnia kropla wody wypłynęła ze zlewozmywaka, a Bobby odstawiał do szafki ostatni talerz, na Colony Street znowu rozległo się ujadanie Bowsera. Chłopiec i matka spojrzeli sobie w oczy, jak na komendę parsknęli śmiechem i przez chwilę wszystko było w porządku.

Początkowo leżał w łóżku po dawnemu, na wznak, z szeroko rozłożonymi nogami, ale nie mógł zasnąć. W tej pozycji czuł się zupełnie bezbronny: gdyby coś wyskoczyło z szafy i rzuciło się na niego, mogłoby rozpruć mu brzuch jednym uderzeniem szponów. Przekręcił się na bok i zastanawiał się, gdzie teraz jest Ted. Wyciągnął rękę w nadziei, że na niego trafi, ale napotkał tylko pustkę. Tak samo jak wtedy, na ulicy przed Narożnikiem. Bardzo chciał za nim zapłakać, ale nie mógł. Jeszcze nie.

Przez noc, niczym samotny sen biegnący jednocześnie we wszystkich kierunkach, rozległo się pojedyncze uderzenie ratuszowego zegara. Fosforyzujące wskazówki Big Bena na biurku pokazywały punktualnie pierwszą. To dobrze.

- Znikli - wyszeptał Bobby. - Mali ludzie znikli.

Przespał noc na boku, z kolanami podciągniętymi pod brodę. Czasy spania na wznak, z rozrzuconymi nogami, odeszły bezpowrotnie w przeszłość.

11

Wilki i Lwy. Bobby na boisku. Raymer.

Bobby i Carol. Niedobre czasy. Koperta.

Smutny John wrócił z obozu z opalenizną, dziesięcioma tysiącami bąbli po ukłuciach komarów i milionem opowieści… ale Bobby wysłuchał tylko niewielu z nich. Tego lata stara przyjaźń między Bobbym, Smutnym Johnem i Carol rozpadła się bezpowrotnie. Co prawda niekiedy chodzili jeszcze razem do Sterling House, ale tam, na miejscu, zajmowali się zupełnie różnymi sprawami. Carol wraz z koleżankami zapisała się na zajęcia plastyczne, softball i badmintona, Bobby i Smutny John wybrali zajęcia przyrodnicze i baseball.

John awansował z Wilków do Lwów i chociaż chłopcy uczestniczyli wspólnie w wielu zajęciach i razem jeździli starym, obdrapanym autobusem na wycieczki za miasto, to Smutny John coraz więcej czasu spędzał w towarzystwie Ronniego Olmquista i Duke'a Wendella, z którymi był na obozie. Bez przerwy opowiadali te same historie o zbyt krótkich łóżkach i wieczornych gonitwach po lesie, aż wreszcie Bobby zaczął mieć tego dosyć. Można by pomyśleć, że Smutny John spędził w obozie co najmniej pięćdziesiąt lat.

Czwartego Lipca Wilki starły się z Lwami w tradycyjnym corocznym meczu. W ciągu piętnastu lat, jakie minęły od zakończenia drugiej wojny światowej, Wilkom nigdy nie udało się zwyciężyć, ale w roku 1960 przynajmniej nawiązały równorzędną walkę - głównie za sprawą Bobby'ego Garfielda. Chociaż bez swojej ukochanej rękawicy, dokonywał na boisku prawdziwych cudów. (Kiedy nagrodzony huraganowymi oklaskami wstał po szczególnie widowiskowym chwycie, przez chwilę zrobiło mu się żal, że nie widzi tego jego matka).

W ostatniej kolejce Bobby bez trudu trafił w silnie rzuconą piłkę i posłał ją daleko w lewą stronę. Startując w kierunku pierwszej bazy, usłyszał okrzyk Smutnego Johna:

- Aleś trafił!

Rzeczywiście, trafienie było dobre, ale wystarczało najwyżej na tyle, żeby dobiec do drugiej bazy. Mimo to postanowił zaryzykować. Trzynastoletnim dzieciakom bardzo rzadko zdarzały się celne podania z głębi pola; jak na złość, Duke Wendell dopadł piłki i posłał ją prosto w ręce Ronniego Olmquista. Widząc, co się święci, Bobby wykonał rozpaczliwy wślizg, lecz

ręka Ronniego dotknęła jego kostki ułamek sekundy wcześniej, zanim stopa Bobby'ego przekroczyła granicę bazy.

- Aut! - wykrzyknął sędzia.

Kibice Lwów podnieśli radosną wrzawę.

Bobby wstał i zmierzył sędziego wściekłym spojrzeniem. Był to może dwudziestoletni wychowawca ze Sterling House, z gwizdkiem i nosem wymazanym kremem przeciwko pryszczom.

- Nieprawda! Byłem pierwszy!

- Przykro mi, Bob - odparł chłopak, już nie tonem sędziego, lecz wychowawcy. - To było świetne uderzenie, ale byłeś trochę za wolny.

- Oszukujesz! Dlaczego trzymasz ich stronę?

- Wyrzucić go! - zawołał ojciec któregoś z zawodników. - Co to za zachowanie na boisku?

- Wracaj na ławkę, Bobby.

- Byłem pierwszy! - wrzasnął Bobby. - Nawet ślepiec by to zobaczył! - Wskazał na mężczyznę, który chciał, żeby usunięto go z boiska. - A może ten grubas dał ci w łapę, żebyśmy na pewno przegrali?

- Wystarczy, Bobby. - Jak idiotycznie wyglądał ten chłopak w kretyńskim kapelusiku jakiegoś studenckiego stowarzyszenia i z gwizdkiem na szyi! - Uważaj, co mówisz.

Ronnie Olmquist odwrócił się bez słowa, najwyraźniej zdegustowany kłótnią. Jego Bobby też nienawidził.

- Oszust z ciebie, i tyle!

Był w stanie powstrzymać łzy wściekłości, ale nie potrafił ukryć drżenia głosu.

- Ostrzegam cię po raz ostatni - powiedział wychowawca. - Wracaj na ławkę, usiądź, uspokój się…

- Ty beznadziejny fiucie!

Stojąca nieopodal kobieta nabrała głośno powietrza.

- Wystarczy - rzucił wychowawca bezbarwnym tonem. - Wynocha z boiska. Natychmiast.

Bobby odwrócił się na pięcie i ruszył przed siebie, ale po kilku krokach przystanął i powiedział przez ramię:

- Chyba coś narobiło ci na nos. Tylko głupek by tego nie zauważył. Wytrzyj go sobie, bo wyglądasz jak palant.

W jego uszach zabrzmiało to bardzo zabawnie, ale jakoś nikt się nie roześmiał. Smutny John przestępował z nogi na nogę, w swoim ekwipunku łapacza wielki jak dom i poważny jak zawał serca. Był wzburzony i czerwony jak burak. Smutny John spędził tydzień w obozie Winnie, spał na zbyt krótkich łóżkach, wieczorami słuchał przy ognisku opowieści o duchach i już do końca życia miał być Lwem, nigdy Wilkiem. Jego Bobby też nienawidził.

- Co cię ugryzło? - zapytał John, kiedy Bobby doczłapał do bazy.

W obu drużynach zapadła śmiertelna cisza. Zawodnicy i rodzice przyglądali mu się jak jakiemuś odrażającemu robakowi. Mieli rację, ale z zupełnie innych powodów, niż im się wydawało.

Wiesz co, John? - pomyślał. Może ty byłeś w obozie Winnie, ale ja za to byłem w Doliźnie. Nigdy nie zrozumiesz, co to znaczy.

- Bobby…

- Nic mnie nie ugryzło - powiedział, nie podnosząc wzroku. - Zresztą, jakie to ma znaczenie? Przeprowadzam się do Massachusetts. Może tam jest trochę mniej niedowidzących oszustów.

- Posłuchaj…

- Daj spokój.

Ruszył dalej, wpatrując się w czubki swoich butów.

Liz Garfield nie nawiązywała przyjaźni („Jestem zwykłą szarą ćmą, a nie motylem, który bryluje w towarzystwie” - mówiła czasem Bobby’emu), ale w początkowym okresie pracy w agencji handlu nieruchomościami Home Town utrzymywała całkiem poprawne stosunki z niejaką Myrą Calhoun. Tańczymy do tej samej muzyki, odbieramy te same stacje, patrzymy na świat w taki sam sposób - tak to określała w swoim języku. Myra była wówczas sekretarką Dona Bidermana, Liz zaś jedyną etatową pracownicą, obsługującą wszystkich agentów. W roku 1955 Myra niespodziewanie odeszła, nie podając żadnych powodów, zaledwie kilka miesięcy później Liz objęła jej stanowisko.

Od tego czasu pisywały do siebie kartki z życzeniami świątecznymi, a niekiedy nawet listy. Myra przeprowadziła się do Massachusetts i otworzyła własną agencję. Pod koniec czerwca roku 1960 Liz zapytała ją listownie, czy Calhoun Real Estate potrzebuje wspólnika, który mógłby

wnieść niewielki kapitał. Chociaż, z drugiej strony, trzy i pół tysiąca dolarów to nie takie znowu nic.

Być może panna Calhoun miała za sobą takie same przejścia jak mama Bobby'ego, a może nie… W każdym razie wyraziła zainteresowanie propozycją i nawet przesłała bukiet kwiatów. Po raz pierwszy od wielu tygodni, a kto wie, czy nie od lat, Liz Garfield była naprawdę szczęśliwa. Przeprowadzali się z Harwich do Danvers w Massachusetts. Przeprowadzka miała się odbyć w sierpniu, żeby Bobby - zupełnie inny, spokojny, a niekiedy wręcz ponury - zdążył zapisać się do nowej szkoły.

Zanim jednak miało to nastąpić, musiał jeszcze coś tutaj załatwić.

Był za młody i za mały, żeby zabrać się do tego w normalny sposób. Musiał wykazać się sprytem i przebiegłością, i nie miał nic przeciwko temu. Nie zależało mu już na tym, żeby postępować jak Audie Murphy albo Randolph Scott, a poza tym z niektórymi ludźmi po prostu nie dało się postępować otwarcie. Na kryjówkę wybrał tę samą kępę drzew, w której kiedyś, wieki temu, rozczulał się przed Carol. Tam właśnie postanowił zaczekać na Harry'ego Doolina, tego Robin Hooda od siedmiu boleści.

Harry dorabiał sobie w supermarkecie przy rozkładaniu towarów na półkach. Bobby widywał go tam od jakiegoś czasu podczas zakupów, wiedział też, że Harry zazwyczaj wraca do domu około trzeciej po południu. Zwykle towarzyszył mu Richie O'Meara; Willie Shearman wypadł z jego osobistej orbity mniej więcej w ten sam sposób jak Smutny John z orbity wokół Bobby'ego. Czy sam, czy w towarzystwie, Harry zawsze skracał sobie drogę przez Commonwealth Park.

Bobby zaczął spędzać popołudnia w parku. Teraz, kiedy nadeszły prawdziwe upały, dzieciaki grały w baseball wyłącznie rano; po południu boiska świeciły pustką. Wcześniej czy później Harry musiał pojawić się sam, bez żadnego kumpla, tymczasem zaś Bobby codziennie zaszywał się w kępie drzew, w której kiedyś płakał z głową w objęciach Carol. Niekiedy czytał tam książki. Przy tej o George'u i Lennie znowu się rozpłakał. „Ludzie jak my, tacy, co pracują na ranczach, są najsamotniejszymi ludźmi na świecie". Tak uważał George. „Ludzie jak my nie mają żadnej przyszłości". Lennie marzył o tym, żeby założyć farmę i hodować króliki, ale Bobby wiedział już na długo przed końcem powieści, że to marzenie nigdy się nie spełni. Dlaczego? Ponieważ ludzie muszą na kogoś polować. Wystarczy, że spotkają na swojej drodze Ralpha albo

Prosiaczka, albo wielkiego, głupiego Lenniego, i natychmiast przeistaczają się w małych ludzi. Wkładają żółte płaszcze, ostrzą kije i wyruszają na polowanie.

Ale czasem ludzie jak my potrafimy im się zrewanżować, myślał Bobby, cierpliwie czekając na dzień, kiedy Harry będzie wracał samotnie do domu. Czasem nam się udaje.

Długo oczekiwana chwila nadeszła szóstego sierpnia. Harry, wciąż w czerwonym sklepowym fartuchu, maszerował w kierunku Broad Street, śpiewając „Mackie Majcher" głosem, od którego plomby wypadały z zębów. Ostrożnie, żeby nie zawadzić o gałęzie, Bobby wyszedł zza blisko rosnących drzew i na palcach podążył za nim. Wziął zamach trzymanym oburącz kijem baseballowym dopiero wtedy, kiedy od pleców Harry'ego dzieliło go zaledwie pół metra. Trzech chłopaków na jedną dziewczynę, pomyślał. Pewnie myśleli, że jesteś lwicą. Ale Carol nie była lwicą, a on nie był lwem - Lwem był za to Smutny John, lecz on został gdzieś daleko. Osobnik czający się teraz za plecami Harry'ego Doolina nie był już nawet Wilkiem, tylko co najwyżej hieną, ale co z tego? Czy Harry Doolin zasługiwał na cokolwiek więcej?

Jasne, że nie, pomyślał i zadał cios. Odgłos, który towarzyszył uderzeniu, sprawił mu jeszcze więcej satysfakcji niż soczyste stuknięcie, z jakim uderzał w piłki podczas dzisiejszego meczu.

Harry krzyknął z bólu i zaskoczenia i runął jak długi na ścieżkę. Jak tylko przetoczył się na plecy, Bobby z całej siły rąbnął go w lewą nogę tuż pod kolanem.

- Aaaaaaa! - wrzasnął przeraźliwie Harry. - Aaaaaaa! Boli!

W uszach Bobby'ego te krzyki brzmiały jak najcudowniejsza melodia. Nie mogę pozwolić, żeby wstał, myślał, chłodnym okiem szukając kolejnego miejsca do zadania ciosu. Jest dwa razy większy ode mnie. Jeśli wstanie i jeśli nie trafię go jak trzeba, powyrywa mi ręce i nogi, a potem mnie zabije.

Harry jednak ani myślał o wstawaniu. Cofał się rozpaczliwie, wiosłując rękami i ciągnąc tyłek po ścieżce. Bobby uderzył w żołądek; chłopak stracił oddech, padł na plecy i znieruchomiał. Oczy zaszły mu łzami, pryszcze odznaczały się czerwonymi plamkami na twarzy białej jak kartka papieru. Usta, wąskie i bezwzględne tego dnia, kiedy Bobby'ego i Carol ocaliło pojawienie się Riondy Hewson, teraz drżały jak w febrze.

- Przestań! Błagam, przestań! Poddaję się!

On mnie nie poznał, uświadomił sobie Bobby. Słońce świeci mu prosto w twarz i on nawet nie wie, z kim ma do czynienia.

Bobby nie mógł tego tak zostawić. „Postarajcie się bardziej, chłopcy!” - wykrzykiwał opiekun na obozie po inspekcji domków. Smutny John opowiadał o tym dziesiątki razy. Nie to, żeby Bobby’ego obchodziły takie bzdury: kto ma czas zaprzątać sobie głowę sprzątaniem domków i słaniem łóżek? TO natomiast bardzo go obchodziło, schylił się więc i zbliżył twarz do zamglonych oczu Harry’ego.

- Pamiętasz mnie, Robin Hoodzie? - wyszeptał. - Pamiętasz mnie? To ja, dzidziuś!

Harry umilkł i wytrzeszczył oczy. Teraz na pewno go rozpoznał.

- Jak… jak cię dorwę… - wysapał.

- Nikogo nie dorwiesz - poinformował go Bobby, a kiedy tamten spróbował złapać go za kostkę, z zimną krwią kopnął go w żebra.

- Aaaaaa! - ryknął przeraźliwie Harry.

Kretyn, pomyślał z odrazą Bobby. Kompletny kretyn. Mnie pewnie zabolało bardziej niż jego. Nie powinno się nikogo kopać, jeśli nie ma się butów z twardymi czubami.

Harry przekręcił się na brzuch, Bobby zaś skwapliwie skorzystał z okazji i z całej siły uderzył w wypięte pośladki. Taki sam dźwięk, piękny i satysfakcjonujący, wydawały podczas trzepania grube wełniane dywany. Bobby nie posiadał się z zadowolenia. Szczęśliwszy byłby chyba tylko wtedy, gdyby tuż obok na ścieżce leżał pan Biderman. Wiedziałby doskonale, gdzie go uderzyć.

Cóż, lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu. W każdym razie tak często powtarzała mama.

- A to było za niemowlaka - poinformował Harry’ego, który znowu rozciągnął się jak długi na ziemi i szlochał rozpaczliwie. Z nosa płynęły mu gluty, jedną ręką tarł pośladki, próbując przywrócić w nich czucie.

Bobby zacisnął mocniej palce na oklejonej taśmą izolacyjną rękojeści. Korciło go, żeby zadać jeszcze jeden, miażdżący cios: nie w nogi, nie w żołądek, ale w głowę. Pragnął usłyszeć trzask pękającej czaszki, a poza tym, czy ktoś żałowałby takiego śmiecia? Pieprzony irlandzki gówniarz. Pieprzony…

Uspokój się, Bobby - rozległ się w jego głowie głos Teda. Już wystarczy. Opanuj się.

- Jeśli jeszcze raz jej dotkniesz, zabiję cię - wycedził. - Jeśli spróbujesz mnie dotknąć, spalę ci dom. Pieprzony kretyn.

Przykucnął obok Harry'ego, żeby ten na pewno go usłyszał. Powiedziawszy, co miał do powiedzenia, wstał, rozejrzał się dookoła i ruszył do domu. Kiedy parę minut później spotkał bliźniaczki Sigsby, pogwizdywał już od niechcenia.

Przez kilka kolejnych lat Liz Garfield zdążyła się niemal przyzwyczaić do widoku policjantów w drzwiach swojego domu. Pierwszym, który się pojawił, był posterunkowy Raymer - gruby miejscowy glina, który niekiedy kupował dzieciakom w parku orzeszki i lody. Kiedy wieczorem szóstego sierpnia zadzwonił do drzwi mieszkania na parterze domu przy Broad Street 149, nie miał zbyt szczęśliwej miny. Towarzyszyli mu Harry Doolin, na najbliższy tydzień skazany na siadanie wyłącznie na miękkich poduszkach, oraz matka chłopca, Mary Doolin. Harry wchodził po schodkach jak starzec, z rękami przyciśniętymi do krzyża.

Liz otworzyła drzwi z Bobbym u boku. Mary Doolin bezzwłocznie wycelowała w niego palec i wykrzyknęła:

- To on! To on pobił mojego Harry'ego! Trzeba go aresztować!

- O co chodzi, George? - zapytała Liz.

Posterunkowy Raymer nie odpowiedział, tylko przez chwilę spoglądał z powątpiewaniem to na Bobby'ego (metr sześćdziesiąt dwa wzrostu, czterdzieści osiem kilogramów wagi), to na Harry'ego (metr osiemdziesiąt wzrostu, osiemdziesiąt pięć kilogramów wagi). Harry był co prawda głupi, ale nie tak bardzo, żeby nie zrozumieć tego spojrzenia.

- On się zaczaił! Wyskoczył na mnie z tyłu! – poskarżył się płaczliwym tonem.

Raymer pochylił się, oparł na kolanach wielkie czerwone ręce i powiedział:

- Harry twierdzi, że dzisiaj po południu, kiedy wracał do domu, napadłeś na niego w parku i go pobiłeś. Twierdzi, że schowałeś się za drzewem i uderzyłeś go kijem baseballowym, zanim zdążył się odwrócić. Co ty na to, kolego? Czy to prawda?

Bobby zdążył już wcześniej przygotować się na taką sytuację. Trochę żałował, że w parku nie powiedział Harry'emu jeszcze paru rzeczy: że rachunki zostały wyrównane, ale jeśli tamten piśnie choć słówko, on, Bobby, powie komu trzeba całą prawdę o pobiciu Carol. Problem polegał na tym, że zarówno Harry, jak i jego kumple z pewnością wszystkiego by się wyparli, i Carol zeznawałaby samotnie przeciwko Harry'emu, Richiemu i Williemu. Tak więc Bobby po prostu zostawił go na ziemi, licząc na to, że upokorzony i zawstydzony osiłek - bądź co bądź, przyłożył mu smarkacz dwa razy mniejszy od niego! - będzie trzymał gębę na kłódkę. Tak się jednak nie

stało, ale teraz, widząc zawziętą twarz pani Doolin i jej oczy miotające błyskawice, Bobby zrozumiał dlaczego: to ona prośbą i groźbą wyciągnęła zeznania ze swego syna.

- Nie tknąłem go palcem - powiedział spokojnie, patrząc policjantowi w oczy.

Mary Doolin aż sapnęła ze zdumienia. Nawet Harry, dla którego kłamstwo bez wątpienia stanowiło najlepszy sposób na życie, zrobił mocno zdziwioną minę.

- Bezczelny kłamca! - wykrzyknęła pani Doolin, odzyskawszy mowę. - Zaraz z nim pogadam i wyciągnę z niego całą prawdę!

Ruszyła naprzód, ale Raymer, nie odrywając wzroku od Bobbyego, zatrzymał ją ruchem ręki.

- Posłuchaj, kolego: jak myślisz, dlaczego taki baleron jak Harry Doolin miałby rozpowiadać, że pobił go taki mikrus jak ty, gdyby to nie była prawda?

- Jak pan śmie nazywać mojego syna baleronem?! - wrzasnęła pani Doolin. - Czy nie wystarczy, że ten bandyta prawie pozbawił go życia? Czy…

- Zamknij się - wycedziła Liz Garfield. Odezwała się po raz pierwszy od chwili, kiedy zapytała policjanta, co się stało. - Niech odpowie.

- Chce się na mnie odegrać, i tyle - wyjaśnił Bobby. -Zimą on i jeszcze paru chłopaków z Gabriela gonili mnie w parku, a on poślizgnął się i wpadł w kałużę. Obiecał, że się zemści, i pewnie myśli, że to dobry sposób.

- Kłamiesz! - wrzasnął Harry. - Nie ja cię goniłem, tylko Bill Donahue, a poza tym…

Umilkł i rozejrzał się niepewnie dookoła. Wydawało mu się mgliście, że chyba powiedział coś nie tak jak trzeba, ale nie miał pojęcia co.

- Nic mu nie zrobiłem - powtórzył Bobby bez drgnięcia powieki. - Gdybym napadł na takiego spaślaka, już bym nie żył.

- Przeklęty kłamca! - parsknęła Mary Doolin.

- A gdzie byłeś dzisiaj około wpół do czwartej po południu? - spytał Raymer. - Potrafisz odpowiedzieć na to pytanie?

- W domu.

- Co pani na to, pani Garfield?

- Oczywiście - potwierdziła spokojnie. - Cały czas był ze mną. Pomagał mi sprzątać. Szykujemy się do przeprowadzki, więc chcę zostawić mieszkanie jak nowe. Bobby trochę

marudził, bo chyba żaden chłopiec nie lubi sprzątania, ale dzielnie mi pomagał. A potem piliśmy mrożoną herbatę.

- Kłamcy! - zawyła pani Doolin. Harry przysłuchiwał się z wyrazem osłupienia na twarzy. - Przeklęci kłamcy!

Rzuciła się w kierunku Liz Garfield, ale posterunkowy Raymer po raz drugi bez wysiłku ją powstrzymał. Tym razem uczynił to nieco bardziej obcesowo.

- Może pani przysiąc, że cały czas był z panią w domu?

- Przysięgam.

- A ty, Bobby? Możesz przysiąc, że nie pobiłeś Harry'ego?

- Przysięgam.

- Na Boga?

- Na Boga.

- Ja cię jeszcze dorwę, Garfield! - wycedził Harry. - Dorwę cię i spuszczę ci taki łomot, *że*...

Raymer odwrócił się tak gwałtownie, że gdyby matka nie chwyciła Harry'ego za łokieć, najprawdopodobniej stoczyłby się po schodkach.

- Zamknij tę głupią jadaczkę! - warknął policjant, a kiedy Mary Doolin otworzyła usta, wycelował w nią palec. - I ty też, Mary Doolin! A następnym razem, jak przyjdzie ci do głowy oskarżyć kogoś o pobicie, zacznij od własnego męża! Będzie wtedy więcej świadków!

Wytrzeszczyła na niego oczy, wściekła i upokorzona.

Raymer opuścił rękę, jakby nagle przybrała na wadze, przez chwilę spoglądał to na Harry'ego i Mary, to na Bobby'ego i Liz, po czym cofnął się o krok, zdjął czapkę, podrapał się po spoconym czole i włożył ją z powrotem.

- Źle się dzieje w państwie duńskim - mruknął. – Ktoś tu łże szybciej niż skunks pierdzi!

- On…

- On…

Harry i Bobby odezwali się niemal jednocześnie, ale posterunkowy George Raymer nie miał najmniejszej ochoty ich słuchać.

- Zamknąć się! - ryknął tak głośno, że przechadzająca się po drugiej stronie ulicy starsza para przystanęła i spojrzała w tę stronę. - Uznaję sprawę za zamkniętą, ale jeżeli wy… - wskazał na chłopców - albo wy… - wycelował palec w ich matki - będziecie jeszcze próbowali rozrabiać,

daję wam słowo honoru, że nie wykpicie się tak tanim kosztem. Podacie sobie ręce na zgodę? Zachowacie się jak mężczyźni? Tak myślałem… Ten świat to paskudne miejsce. Dobra, chodźcie już. Zaprowadzę was do domu.

Bobby i jego matka w milczeniu obserwowali, jak cała trójka schodzi z ganku. Harry utykał tak przesadnie, że wydawało się, iż lada chwila runie na ziemię. Jak tylko znaleźli się na chodniku, matka zdzieliła go solidnie w głowę.

- Nie pogarszaj sprawy, matole!

Harry posłusznie zastosował się do polecenia, ale i tak nie był w stanie iść zupełnie prosto.

- Czy to był jeden z tych, którzy napadli na Carol? - zapytała Liz, gdy tylko znów znaleźli się sami.

- Tak.

- Możesz trzymać się od nich z daleka, aż się stąd wyprowadzimy?

- Spróbuję.

- To dobrze - powiedziała i pocałowała go. Rzadko to robiła i chyba właśnie dlatego ten pocałunek smakował podwójnie wspaniale.

Niecały tydzień przed przeprowadzką - w mieszkaniu było już wtedy pełno kartonowych pudeł - Bobby dopadł w parku Carol. Nareszcie zobaczył ją samą, ostatnio bowiem prawie nigdzie nie ruszała się bez licznej obstawy koleżanek. Teraz jednak była sama, ale kiedy już prawie się z nią zrównał i zerknęła na niego przez ramię, dostrzegł w jej oczach lęk i od razu domyślił się, iż celowo unikała spotkania.

- Jak się masz, Bobby?

- Bo ja wiem? Chyba nieźle. Dawno się nie widzieliśmy.

- Bo nie przychodzisz do mnie.

- Zgadza się. Byłem… To znaczy, miałem… - Co miał jej powiedzieć, do diabła? - Byłem bardzo zajęty.

- Aha.

Mógł znieść obojętność, ale nie mógł znieść lęku, który starała się ukryć. Lęku przed nim. Jakby był psem, który może w każdej chwili ugryźć. Przemknął mu przez głową absurdalny obraz, jak nagle zaczyna biegać na czworakach i ujadać.

- Wyprowadzam się.

- Wiem, John mi powiedział. Ale nie wiedział dokąd. Chyba już się nie kumplujecie jak dawniej?

- Chyba nie - przyznał Bobby. - Mam coś dla ciebie.

Wyjął z tylnej kieszeni złożoną na pół kartkę ze szkolnego zeszytu. Carol przyjrzała się jej podejrzliwie, wyciągnęła rękę, rozmyśliła się.

- To tylko mój adres - wyjaśnił. - Wyjeżdżamy do Massachusetts. Miasto nazywa się Danvers.

Podał jej kartkę, ale Carol wciąż się wahała. Zbierało mu się na płacz. Wciąż pamiętał, jak był z nią na szczycie diabelskiego koła i jak mu się wtedy wydawało, że mają cały świat u stóp. Pamiętał ręcznik, który otworzył się jak skrzydła, stopy z polakierowanymi paznokciami i zapach perfum. W sąsiednim pomieszczeniu Freddy Cannon śpiewał „Jak ona tańczy, cza-cza-cza, Jak się kołysze, cha-cha-cha…". Śpiewał o Carol, o Carol, o Carol…

- Gdybyś chciała do mnie napisać - powiedział. - Wiesz,
mogę trochę tęsknić: nowe miejsce, i w ogóle…

Carol wreszcie wzięła od niego kartkę i schowała ją do kieszeni, nawet nie rzuciwszy na nią okiem. Pewnie wyrzuci ją, jak tylko wróci do domu, pomyślał, ale niewiele go to obchodziło. Najważniejsze, że w ogóle ją wzięła. Dzięki temu zyskał punkt zaczepienia na wypadek, gdyby kiedyś, w przyszłości, musiał czymś bardzo, ale to bardzo zająć myśli… Przekonał się już, iż takie sytuacje zdarzają się nawet wtedy, kiedy w pobliżu nie ma małych ludzi.

- John mówi, że teraz jesteś jakiś inny.

Bobby milczał.

- Mnóstwo ludzi tak mówi. Wciąż nie odpowiadał.

- Czy to ty pobiłeś Harry'ego Doolina? - Zacisnęła lodowatą rękę na jego nadgarstku. - Powiedz, ty to zrobiłeś?

Powoli skinął głową.

Carol zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała tak mocno, że aż zderzyli się zębami. Ich usta rozdzieliły się z głośnym cmoknięciem. Miały minąć trzy lata, zanim Boby znowu pocałował jakąś dziewczynę… ale TAKI pocałunek już nigdy się nie powtórzył.

- To dobrze! - Zabrzmiało to jak drapieżny pomruk. - To bardzo dobrze!

A potem odwróciła się i pobiegła w kierunku Broad Street. Jej opalone, podrapane nogi migały w szaleńczym tempie.

- Carol! Carol, zaczekaj!

Biegła jeszcze szybciej.

- Kocham cię, Carol!

Zatrzymała się - być może dlatego, że dotarła do ulicy i musiała przepuścić jadące jezdnią samochody. W każdym razie przystanęła, odwróciła się i spojrzała na niego. Miała szeroko otwarte oczy i lekko uchylone usta.

- Carol!

- Muszę wracać do domu, zrobić sałatkę!

Przebiegła na drugą stronę ulicy i znikła na zawsze z jego życia. I chyba dobrze się stało.

Przeprowadzili się do Danvers. Bobby chodził do tamtejszej szkoły podstawowej, miał kilku przyjaciół i znacznie więcej wrogów. Zaczęły się bójki, a wkrótce potem wagary.

Pewnego dnia przyniósł w dzienniczku następującą uwagę od pani Rivers: „Szanowna Pani Garfield, Robert jest bardzo uzdolnionym chłopcem, ale odnoszę wrażenie, że ma jakieś problemy osobiste. Czy zechciałaby pani porozmawiać ze mną na ten temat?".

Pani Garfield oczywiście zechciała, lecz nie na wiele się to zdało, ponieważ było zbyt wiele spraw, o których nie mogła mówić: Providence, ogłoszenie o zaginionym psie imieniem Brautigan, pochodzenie pieniędzy, za które kupiła sobie nowe miejsce w życiu… Matka i wychowawczyni doszły do wspólnego wniosku, że problemy chłopca wynikają z kłopotów z przystosowaniem się do nowego środowiska, z pewnością sobie jednak z tym poradzi, ponieważ jest bystry i rozsądny.

Liz doskonale sobie radziła jako agentka w handlu nieruchomościami, Bobby radził sobie nieźle z angielskim (dostał szóstkę za wypracowanie, w którym porównywał „Myszy i ludzi" Steinbecka z „Władcą much" Goldinga) oraz bardzo słabo z innymi przedmiotami. Wkrótce zaczął palić.

Carol jednak pisała od czasu do czasu: ogólnikowe, chwilami wręcz zdawkowe listy o szkole, koleżankach i weekendowych wyjazdach z Riondą do Nowego Jorku. Listowi z marca 1961 (wszystkie pisała na papeterii z roztańczonymi pluszowymi misiami) towarzyszyło postscriptum: „Wydaje mi się, że rodzice się rozwodzą. Tata znowu wypłynął w długi rejs, a mama tylko siedzi i płacze". Zazwyczaj jednak trzymała się pogodniejszych tematów: uczyła się tańczyć, dostała nowe łyżwy na urodziny, w przeciwieństwie do Yvonne i Tiny uważała, że Fabian jest w porządku, była na szkolnej zabawie i nie siedziała ani przez chwilę.

To już na pewno ostatni, myślał za każdym razem, kiedy otwierał kopertę i wyjmował list. Już więcej do mnie nie napisze. Dzieci nie piszą listów, nawet jeśli obiecają. Za dużo nowych wydarzeń, za dużo nowych twarzy. Czas płynie zbyt szybko. Niedługo o mnie zapomni.

Ale nie zamierzał jej tego ułatwiać. Natychmiast odpowiadał na każdy list. Pisał o domu na Brooklynie, który jego mama sprzedała za dwadzieścia pięć tysięcy dolarów - ta jedna prowizja równała się jej półrocznym zarobkom w poprzednim miejscu pracy. Pisał o szóstce za wypracowanie, o swoim przyjacielu Morriem, który uczył go grać w szachy. Nie wspomniał jednak o tym, że z tym samym Morriem urządzał od czasu do czasu ryzykowne rowerowe eskapady (wreszcie uzbierał na nowiutki rower), podczas których, pędząc co sił w nogach, ciskali kamieniami w witryny sklepowe. Pominął również milczeniem rozmowę z panem Hurleyem, zastępcą dyrektora szkoły, któremu kazał się pocałować w różowy tyłeczek, na co pan Hurley zdzielił go na odlew w twarz i nazwał wstrętnym, obrzydliwym chłopaczyskiem. Nie pochwalił się, że zaczął się trudnić kradzieżami sklepowymi ani że był już cztery albo pięć razy pijany, ani że czasem stał długo przy torach kolejowych i zastanawiał się, czy nie warto skorzystać z usług jakiegoś ekspresu i skończyć z tym wszystkim. Przeraźliwy gwizd, cień, podmuch, i koniec. Chociaż kto wie, może to wcale nie było takie proste? Wszystkie listy kończył w ten sam sposób:

Bardzo za tobą tęskni

Twój przyjaciel

Bobby

Potem mijało kilka tygodni i w skrzynce zjawiała się kolejna koperta w misie i serduszka, i znowu czytał o łyżwach, tańcach, nowych pantoflach, koleżankach i kolegach. Każdy taki list był jak jeszcze jeden ciężki oddech śmiertelnie chorej bliskiej osoby. Jeszcze jeden.

Smutny John też przysłał kilka listów. Co prawda przestały przychodzić już na początku 1961, ale Bobby i tak był mile zaskoczony, że John w ogóle spróbował. Z pisanych dziecinnymi kulfonami, rojącymi się od błędów listów wyłaniał się obraz młodego dobrodusznego człowieka, który z takim samym zapałem uganiał się za piłką i za dziewczynami i dla którego zawiłości interpunkcji stanowiły przeszkodę znacznie trudniejszą do pokonania niż złożona z wyrośniętych dryblasów linia obrony drużyny przeciwnika. Chwilami Bobby odnosił wrażenie, że już teraz widzi Johna w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych: sprzedawcę samochodów, a może nawet samodzielnego dealera. Kupujcie chevrolety u Johna. Będzie miał wielkie brzuszysko, mnóstwo pucharów na półkach, w wolnych chwilach będzie trenował amatorską drużynę

piłkarską, będzie zaczynał przedmeczowe odprawy od „A teraz słuchajcie, chłopaki…”, będzie uczęszczał do kościoła, maszerował w paradach, zasiadał w radzie miejskiej i tak dalej. To będzie dobre życie - raczej farma z królikami niż kij zaostrzony na obu końcach, chociaż kij też miał go nie ominąć: czekał w prowincji Dong Ha w postaci starej *mamasan* - tej, która nie chciała odejść.

Kiedy Bobby miał czternaście lat, policjant przyłapał go na wynoszeniu ze sklepu dwóch sześciopaków piwa (Narragansett) oraz trzech kartonów papierosów (oczywiście chesterfieldy). Był to jasnowłosy policjant z „Wioski przeklętych”.

Bobby wyjaśnił mu, że wcale się nie włamał, że drzwi od zaplecza były otwarte i że po prostu wszedł do środka, ale kiedy policjant poświecił latarką, okazało się, że zamek jest prawie całkiem wyrwany.

- Co ty na to? - zapytał, a Bobby tylko wzruszył ramionami.

Wsiedli do radiowozu (policjant pozwolił Bobby’emu usiąść z przodu, ale odmówił zgody na zapalenie papierosa) i blondyn w mundurze zaczął wypełniać protokół. Zapytał chłopca o imię i nazwisko.

- Ralph - powiedział Bobby. - Ralph Garfield.

Kiedy jednak zajechali przed dom, w którym mieszkał z matką - tak, mieli cały piętrowy dom tylko dla siebie, tak dobrze im się powodziło - przyznał się do kłamstwa.

- Naprawdę mam na imię Jack.

- Ach tak? - powiedział policjant z „Wioski przeklętych”.

- Tak. - Skinął głową. - Jack Merridew Garfield. Tak właśnie się nazywam.

Listy od Carol przestały przychodzić w 1963. W tym samym roku Bobby został po raz pierwszy wyrzucony ze szkoły i również po raz pierwszy trafił do poprawczaka w Bedford. Stało się tak z powodu trzech papierosów z marihuaną, zwanych przez Bobby’ego i kolegów „kijaszkami”. Bobby został skazany na dziewięćdziesiąt dni, z czego trzydzieści darowano mu za dobre sprawowanie. W poprawczaku bardzo dużo czytał. Dzieciaki nazywały go Profesorem, ale jemu wcale to nie przeszkadzało.

Wkrótce potem odwiedził go w domu kurator społeczny i zapytał, czy taka nauczka mu wystarczy i czy zamierza wrócić na właściwą drogę. Bobby zapewnił, że owszem, i przez jakiś czas wydawało się, że tak było w istocie. Jednak jesienią 1964 tak dotkliwie pobił pewnego chłopca, iż ten trafił do szpitala i nawet istniały poważne obawy, że nigdy nie odzyska w pełni zdrowia. Chłopak nie chciał dać Bobby’emu gitary, więc Bobby pobił go i wziął ją sobie. W

chwili aresztowania grał na niej w swoim pokoju - nieszczególnie dobrze. Matce powiedział, że kupił ją w lombardzie.

Kiedy policjanci prowadzili go do radiowozu, Liz stała w drzwiach i płakała.

- Jeśli nie przestaniesz, wyrzeknę się ciebie! - zawołała za nim. - Nie żartuję! Naprawdę to zrobię!

- Zrób to od razu - odparł, wsiadając do samochodu. - Oszczędź sobie czasu i zrób to teraz.

- Myślałem, że tamta nauczka ci wystarczy i że wrócisz na właściwą drogę - powiedział jeden z policjantów w drodze na posterunek.

- Ja też tak myślałem - odparł Bobby.

Tym razem dostał pół roku.

Po wyjściu z poprawczaka sprzedał swój darmowy bilet i wrócił autostopem do domu. Matka nawet nie wyszła go przywitać.

- Masz list - powiedziała ze swojego pogrążonego w półmroku pokoju. - Leży na biurku.

Na widok koperty serce zabiło Bobby'emu mocniej w piersi. Misie i serduszka znikły - była już na to zbyt dorosła - ale bez trudu rozpoznał charakter pisma Carol. Rozdarł kopertę; ze środka wypadła pojedyncza kartka i druga, mniejsza koperta. Pospiesznie przeczytał króciutki list, ostatni, jaki od niej otrzymał:

Drogi Bobby!

Jak się masz? U mnie wszystko w porządku. Dostałeś coś od twojego starego przyjaciela, tego, który nastawił mi kiedyś ramię. Przysłał to mnie, bo chyba nie wiedział, gdzie cię szukać. Prosił, żeby ci to przekazać, więc przekazuję. Pozdrów mamę.

Carol

Ani słowa o szkolnych zabawach, ani słowa o klasówkach z matematyki, ani słowa o koleżankach i kolegach.

Wziął w drżące palce drugą kopertę. Serce waliło mu jak młotem. Na kopercie widniało tylko jedno słowo napisane miękkim ołówkiem: jego imię. Od razu poznał pismo Teda.)tworzył ją z wyschniętym na wiór gardłem i oczami mokrymi od łez. Była tak mała jak te, w których dzieciaki przesyłają swoje pierwsze walentynki.

Najpierw poczuł najcudowniejszy zapach, z jakim kiedykolwiek miał do czynienia. Przywiódł mu na myśl matczyne pieszczoty z najwcześniejszego dzieciństwa, zapach jej perfum,

dezodorantu i lakieru do włosów… Commonwealth Park w środku gorącego lata… półki z książkami v bibliotece w Harwich… Po jego policzkach popłynęły łzy. przywykł już do tego, że czuł się stary; teraz nagle znów poczuł się młodo i zupełnie nie wiedział, co z tym począć.

W kopercie nie było ani listu, ani pocztówki. Kiedy ją przechylił, na biurko wysypały się najbardziej pąsowe płatki róż, jakie można sobie wyobrazić.

Krew prosto z serca, pomyślał, i nie wiedzieć czemu ogarnęło go radosne uniesienie. Po raz pierwszy od wielu lat przypomniał sobie, że można oderwać myśli od przyziemnych, codziennych spraw, że można skierować je znacznie wyżej. Niemal natychmiast poczuł, iż to właśnie się z nimi dzieje, że szybują coraz wyżej i wyżej. Pąsowe płatki lśniły na porysowanym blacie biurka jak rubiny, jak tajemne światło utoczone ze skrytego serca świata.

Nie jednego świata, przemknęło mu przez głowę. Wcale nie jednego. Są przecież inne, miliony światów obracających się na iglicy Wieży.

A zaraz potem: uciekł im. Znowu jest wolny.

Płatki stanowiły tego najlepszy dowód. Nie trzeba było innego. To było najdobitniejsze TAK, jakiego mógł oczekiwać.

Karta taka sama, zgadnij, gdzie jest dama… Gdzieś, kiedyś słyszał te słowa, ale nie miał pojęcia, gdzie i kiedy to było ani dlaczego teraz mu się przypomniały. I nic go to nie Dochodziło.

Ted był wolny. Nie w tym czasie i świecie, nie… Tym rajem musiał uciekać w innym kierunku, ale GDZIEŚ był wolny.

Bobby zgarnął płatki z biurka - przypominały delikatne jedwabne monety - zebrał je na dłoni i zbliżył do twarzy. Chętnie utonąłby w ich słodkim aromacie. W tym zapachu był też Ted, zupełnie jak żywy, powłóczący nogami, siwowłosy, z żółtymi nikotynowymi plamami na palcach prawej ręki. I ze swoimi papierowymi torbami na zakupy.

Znowu usłyszał jego głos, zupełnie jak tego dnia, kiedy wyrównał rachunki z Harrym Doolinem. Wtedy było to złudzenie, teraz wydawało mu się, że słyszy go naprawdę, że głos przemówił do niego z różanych płatków.

Uspokój się, Bobby. Już wystarczy. Opanuj się.

Bardzo długo siedział bez ruchu przy biurku z twarzą wtuloną w pąsowe płatki. Wreszcie schował je ostrożnie do koperty i starannie zagiął rozdartą krawędź.

Jest wolny. Jest… gdzieś. I pamiętał o mnie.

- Pamiętał o mnie - powiedział głośno. - Pamiętał.

Poszedł do kuchni, nastawił wodę w czajniku, po czym wszedł do pokoju matki. Leżała na łóżku w samej halce, z podkulonymi nogami. Po raz pierwszy stwierdził, że zaczyna wyglądać staro. Kiedy usiadł obok niej, odwróciła twarz, lecz pozwoliła wziąć się za rękę. Głaskał ją, czekając, aż czajnik zacznie gwizdać. Po pewnym czasie spojrzała na niego.

- Bobby… - wyszeptała. - Strasznie narozrabialiśmy, ty i ja. Co teraz zrobimy?

- Spróbujemy sobie poradzić. - Uniósł rękę matki do ust i pocałował tam, gdzie jej linie życia i serca splatały się na chwilę, by zaraz potem rozejść się w przeciwne strony. - Najlepiej, jak potrafimy.

1966: Człowieku, ależ się uchachaliśmy.

Serca Atlantydów

1

Gdy w roku 1966 przyjechałem na Uniwersytet Maine, na starym samochodzie, który odziedziczyłem po bracie, nadal widniała nalepka Goldwatera, spłowiała i wystrzępiona na brzegach, ale doskonale czytelna (AuH20 - 4 - USA). Gdy w roku 1970 opuszczałem uniwersytet, nie miałem samochodu, miałem natomiast brodę, włosy do ramion i plecak z nalepką RICHARD NIXON JEST ZBRODNIARZEM WOJENNYM. Na kołnierzu dżinsowej kurtki przyczepiłem znaczek JESTEM Z POKOLENIA PECHOWCÓW. Studia są zawsze okresem zmian, definitywnym końcem dzieciństwa, ale wątpię', żeby komuś zdarzyły się zmiany równie ważne jak te, przed którymi stanęli studenci z końca lat sześćdziesiątych.

Na ogół nie wspominamy tych czasów, nie żebyśmy ich nie pamiętali, ale dlatego że język, którym wówczas mówiliśmy, dziś już nie istnieje. Kiedy usiłuję opowiadać o latach sześćdziesiątych - kiedy nawet próbuję o nich myśleć - przejmuje mnie przerażenie i wesołość zarazem. Widzę spodnie dzwony i buty na koturnach. Czuję zapach paczuli i marychy, kadzidła i miętówek. I słyszę Donovana Leitcha, śpiewającego słodką i głupią piosenkę o Atlantydzie; podczas nocnych czuwań, gdy sen nie nadchodzi, jej słowa nadal wydają mi się głębokie. Im bardziej się starzeję, tym trudniej mi wybaczyć idiotyzm tej piosenki i skupić się na jej słodyczy. Muszę sobie przypominać, że wtedy byliśmy mniejsi, tak malutcy, że wiedliśmy nasze landrynkowe życie pod parasolami grzybów, biorąc je za drzewa, które osłaniają nas przed parasolem nieba. Wiem, że to bez sensu, ale tylko tyle mogę zrobić: oddać cześć Atlantydzie.

2

Na ostatnim roku mieszkałem poza kampusem, w dzielnicy LSD, pełnej spróchniałych domków nad rzeką Stillwater, ale tuż po rozpoczęciu studiów ulokowałem się w Chamberlain Hall, będącym częścią kompleksu trzech budynków: Chamberlain (panowie), King (panowie) i Franklin (panie). Była tam również stołówka, nieco na uboczu - niezbyt daleko od akademików, choć w zimowe noce, kiedy wiał wicher i chwytał mróz, wydawało się, że jest na końcu świata. Wystarczająco daleko, by nazywano ją Pałacem na Równinach.

Na studiach nauczyłem się wielu rzeczy, głównie poza salą wykładową. Nauczyłem się całować dziewczynę i jednocześnie nakładać kondom (umiejętność niezbędna, choć często pomijana), obalić półlitrową puszkę piwa i nie porzygać się od razu, dorabiać (pisaniem prac semestralnych dla gości bardziej szmalownych ode mnie, czyli prawie dla wszystkich), nie być republikaninem, choć wywodziłem się z ich długiej linii, iść po ulicy z transparentem nad głową, śpiewając „Raz i dwa, i trzy, wojnę olewamy", albo „Mordercy dzieci!". Nauczyłem się, że jeśli puszczają gaz łzawiący, trzeba stawać z wiatrem, a jeśli to niemożliwe, to powoli oddychać przez chusteczkę lub bandanę. Nauczyłem się, że kiedy policjanci wyciągają pałki, należy upaść na ziemię, przyciągnąć kolana do piersi i zasłonić dłońmi potylicę. W 1968 roku w Chicago dowiedziałem się też, że policjanci potrafią zrobić z ciebie bitki, choćbyś się nie wiadomo jak zasłaniał.

Ale zanim się tego wszystkiego nauczyłem, poznałem rozkosze i niebezpieczeństwa gry w kierki. Jesienią 1966 roku na drugim piętrze Chamberlain Hall mieszkało trzydziestu dwóch chłopców; do stycznia 1967 dziewiętnastu wyprowadziło się lub wyleciało ze studiów - ofiary kart. Tamtej jesieni zapadliśmy na to jak na wyjątkowo zaraźliwą grypę. Tylko trzej z naszego piętra okazali się kompletnie uodpornieni. Pierwszym z nich był Nathan Hoppenstand, z którym dzieliłem pokój. Drugim David „Złotko" Dearborn, gospodarz piętra. Trzecim - Stokely Jones III, który wkrótce miał zasłynąć w społeczeństwie Chamberlain Hall jako Ciach- Ciach. Czasem wydaje mi się, że to o nim chcę opowiedzieć. Innym razem sądzę, że o Skipie Kirku (później oczywiście, znanym, jako Kapitan Kirk), moim najlepszym kumplu ze studiów. A czasem, że o Carol. Albo o samych latach sześćdziesiątych, które zawsze wydawały mi się idiotyczne. Ale zanim się zdecyduję, lepiej opowiem o kierkach.

Skip powiedział kiedyś, że wist to brydż dla wieśniaków, a kierki to brydż dla beznadziejnych wieśniaków. Nie sprzeciwiałem się, choć to trochę fałszuje obraz rzeczywistości. Kierki to fajna zabawa, a kiedy gra się na pieniądze - w Chamberlainie stawka wynosiła pięć centów za punkt - można się szybko uzależnić. Najlepiej, gdy graczy jest czterech. Należy rozdać wszystkie karty, a potem zbiera się lewy. Początkowo dostaje się po dwadzieścia sześć punktów: trzynaście kierów, wszystkie po jednym punkcie, oraz dama pik (nazywaliśmy ją Suką), warta trzynaście punktów. Gra się kończy, kiedy jeden z graczy przekroczy sto punktów. Wygrywa ten, który ma ich najmniej.

Podczas naszych maratonów zawsze któryś z trzech pozostałych graczy musiał płacić. Jeśli, na przykład, pod koniec gry pomiędzy mną i Skipem istniało dwadzieścia punktów różnicy, musiałem mu zapłacić dolara według stawki dycha za punkt. Dziś wydaje się to bez znaczenia, ale w roku 1966 dolar miał swoją wartość dla beznadziejnych idiotów z drugiego piętra Chamberlaina.

3

Doskonale sobie przypominam, kiedy zaczęła się epidemia kierek: w pierwszy weekend października. Pamiętam to, ponieważ właśnie zakończył się pierwszy etap semestralnych egzaminów i przetrwałem. Przetrwanie było dla większości chłopaków z Chamberlaina podstawowym celem; znaleźliśmy się na uniwersytecie dzięki najróżniejszym stypendiom, pożyczkom (przeważnie, tak jak w moim przypadku, z kasy Ministerstwa Edukacji) oraz dorywczym pracom. To coś takiego, jak jazda blaszanym samochodzikiem, posklejanym do kupy na plastelinę. I choć każdy z nas był w nieco innej sytuacji - co przeważnie zależało od sprytu przy wypełnianiu formularzy oraz umiejętności szkolnych doradców - surowa rzeczywistość pozostawała taka sama dla wszystkich. Jej symbol stanowiła dla mnie makatka z memento, wisząca na drugim piętrze, gdzie odbywały się nasze turnieje. Dzieło matki Tony'ego DeLucca, która kazała mu powiesić makatkę w miejscu, gdzie będzie widział ją codziennie. Jesień 1966 roku zbliżała się do końca, na jej miejsce nadeszła zima, a makatka pani DeLucca robiła się coraz większa i groźniejsza - z każdą lewą, z każdym pojawieniem się Suki, z każdym wieczorem, gdy padałem na łóżko, nie zajrzawszy do książek, nie tknąwszy pracy domowej. Parę razy mi się przyśniła:

2,5

To właśnie na niej było - wielkie czerwone cyfry. Pani DeLucca wiedziała, co znaczą. My też. Jeśli mieszka się w zwykłym akademiku - Jacklin, Dunn, Pease czy Chadbourne - można się utrzymać ze średnią 1,6… oczywiście pod warunkiem, że rodzice będą płacić. Tak jest w zwyczajnych szkołach, nie mówimy o Harvardzie czy Wellesley. Natomiast studenci usiłujący się wywiązać z wymagań stypendialnych musieli utrzymać średnią 2,5. Wynik poniżej - czyli zejście z troi do trzy minus - oznaczało, że blaszany samochodzik rozpadnie się jak domek z kart. No i do widzenia, ślepa Gienia, jak mawiał Skip Kirk.

Podczas pierwszych egzaminów poszło mi dobrze, zwłaszcza jak na chłopca niemal chorego z tęsknoty za domem (nigdy w życiu nie wyjechałem na tak długo, wyjąwszy jeden tydzień spędzony na obozie sportowym, z którego wróciłem ze skręconą kostką i grzybicą palców i genitaliów). Miałem pięć przedmiotów i ze wszystkich otrzymałem czwórki, oprócz angielskiego. Z niego miałem piątkę. Nauczyciel, który później rozwiódł się z żoną i zajął się przedstawieniami w kampusie Berkeley, napisał obok jednej z moich odpowiedzi „Absolutnie

doskonały przykład onomatopei". Wysłałem tę pracę rodzicom. Od matki dostałem pocztówkę z jednym słowem - „Brawo!" - gorączkowo nagryzmolonym na odwrocie. Wspominam to z niespodziewanym ukłuciem niemal fizycznego bólu. To chyba ostatni raz, kiedy przyniosłem rodzicom pracę ze złotą gwiazdką w rogu.

Po pierwszych egzaminach posłusznie podliczyłem swoją średnią i wyszło mi 3,3. Nigdy więcej nie zbliżyłem się do tego wyniku, a pod koniec grudnia zdałem sobie sprawę, że stoję przed prostym wyborem: rzucić karty i być może jakoś przebiedować następny semestr lub dalej polować na Sukę pod makatką pani DeLucca, a po gwiazdce wrócić na stałe do Gates Falls.

Mógłbym dostać pracę w przędzalni; ojciec pracował tam przez dwadzieścia lat, aż do wypadku, w którym stracił wzrok. Mógłby mnie zaprotegować. Matkę bym unieszczęśliwił, ale nie broniłaby mi, gdybym powiedział, że tego właśnie chcę. To ona była w naszej rodzinie największą realistką. Omal nie oszalała z powodu ambicji i niespełnionych nadziei, ale i tak pozostała realistką. Przez jakiś czas martwiłaby się moją porażką, a ja przez pewien okres miałbym wyrzuty sumienia, ale obojgu by nam przeszło. W końcu chciałem zostać pisarzem, a nie nauczycielem angielskiego, i wiedziałem, że tylko snoby muszą mieć papier z uczelni, żeby pisać.

A jednak nie chciałem wylecieć ze studiów. Uznałem, że nie powinno się tak zaczynać dorosłego życia. Taki początek cuchnął porażką, a Whitmanowskie gadki o tym, jak to pisarz powinien tworzyć wśród ludu, kojarzyły się z usprawiedliwianiem tejże porażki. A jednak drugie piętro wabiło mnie ku sobie - szelest kart, rozgorączkowane głosy, ktoś pytający, kto ma Żołądki (rozdanie rozpoczyna posiadacz dwójki trefl, w gronie nałogowców znanej jako Żołądki). Czasem śniło mi się, jak Ronnie Malenfant, pierwszy prawdziwy niekłamany sukinsyn, jakiego spotkałem od czasu liceum, zaczyna zrzucać piki, wrzeszcząc rozdygotanym, piskliwym głosem: „Dawać Sukę! Dawać mi tę dziwkę!". Niemal zawsze wiemy, co jest dla nas najlepsze, ale czasem wiedza wydaje się bardzo blada w porównaniu z namiętnością. Smutna prawda.

4

Mój współlokator nie grywał w kierki. Mój współlokator nijak nie wpłynął na wojnę w Wietnamie. Mój współlokator codziennie pisał do swojej dziewczyny, która kończyła właśnie szkołę klasztorną. Gdyby tak postawić obok Nate'a Hoppenstanda szklankę wody, woda wyglądałaby jak burzliwy żywioł.

Mieszkaliśmy w pokoju 302, obok schodów, naprzeciwko apartamentu gospodarza piętra (legowiska potwornego Złotka) i po drugiej stronie świetlicy, gdzie znajdowały się stoliki do kart, popielniczki stojące na podłodze i okno z widokiem na Pałac na Równinach. Fakt, że umieszczono nas w jednym pokoju, dowodził - przynajmniej według mnie - że najbardziej makabryczne domysły na temat administracji muszą być prawdziwe. W kwestionariuszu, który wypełniłem w kwietniu 1966 roku (kiedy moim największym problemem było, do której knajpy powinienem zabrać Annmarie Soucie po balu maturalnym), napisałem, że jestem:

a. palaczem

b. młodym republikaninem

c. gitarzystą folkowym

d. nocnym markiem.

Tymczasem administracja w swej niezgłębionej mądrości przydzieliła mi Nate'a, niepalącego przyszłego dentystę, którego rodzice byli demokratami z okręgu Aroostook (fakt, iż Lyndon Johnson był demokratą, nie dawał Nate'owi spokoju, gdy amerykańscy żołnierze walczyli w Wietnamie). Ja nad łóżkiem powiesiłem plakat z Humphreyem Bogartem. On - fotografię swego psa i dziewczyny. Dziewczyna była myszowatym stworzeniem w mundurku szkoły klasztornej. Miała na imię Cindy. Pies nazywał się Rinty. I pies, i dziewczyna szczerzyli zęby w identyczny sposób. Kurewsko surrealistyczne.

Najgorszą wadą Nate'a, przynajmniej według Skipa i mnie, była kolekcja albumów płytowych, które stały w porządku alfabetycznym na półce pod zdjęciem Cindy i Rinty'ego, tuż nad ślicznym małym adapterem. Miał trzy płyty Mitcha Millera („Sing Along with Mitch", „More Sing Along with Mitch", „Mitch and the Gang Sing John Henry and Other American Folk Favorites"), „Meet Trini Lopez", longplay Deana Martina („Dino Swings Vegas!"), longplay Gerry and the Pacemakers, pierwszy album Dave Clark Five, prawdopodobnie najbardziej

hałaśliwą płytę z kiepskim rockiem - a także inne z tego samego gatunku. Nie pamiętam ich. I dobrze.

- Och, nie - powiedział Skip pewnego wieczoru. - Nate, błagam… nie. - Było to na krótko przed wybuchem epidemii kierek, być może zaledwie parę dni przed nią.

- Co „błagam nie”? - spytał Nate, nie podnosząc głowy znad pracy. Bez przerwy siedział w klasie lub przy biurku. Czasem przyłapywałem go na dłubaniu w nosie. Wycierał gluty (najpierw uważnie się im przyjrzawszy) pod środkową szufladą. Było to jego jedyne hobby… jeśli nie liczyć strasznego gustu muzycznego. Skip przeglądał płyty Nate’a, co robił odruchowo u wszystkich, których odwiedzał. Trzymał jedną z nich z wyrazem twarzy lekarza, który przygląda się wyjątkowo złowieszczemu zdjęciu rentgenowskiemu, na którym widać wielki i prawdopodobnie złośliwy guz. Stał pomiędzy łóżkiem Nate’a a moim, w szkolnej marynarce i czapce baseballowej. Nigdy, zwłaszcza na studiach, nie spotkałem mężczyzny tak cholernie po amerykańsku przystojnego jak Kapitan. Skip niby to nie zdawał sobie sprawy z własnego wyglądu, ale nie mógł o nim nie wiedzieć - w przeciwnym razie nie podrywałby tylu towarów. Były to czasy, kiedy właściwie wszyscy sypiali ze wszystkimi, ale nawet jak na tamte standardy Skip miał pełne ręce roboty. Jednak na jesieni roku 1966 jeszcze nie było o tym mowy. W tym czasie serce Skipa, tak jak moje, należało wyłącznie do kierek.

- To straszne, mój mały - powiedział z łagodną kpiną. - Wybacz, ale to żenada.

Siedziałem przy swoim biurku, paląc pall maila i szukając kartek na obiad. Zawsze gubiłem to gówno.

- Jaka żenada? Dlaczego szperasz w moich płytach? - Nate siedział nad podręcznikiem biologii. Rysował liść na kalce technicznej. Na głowie miał niebieską czapeczkę pierwszoroczniaka. Chyba on jeden na całym roku naprawdę nosił tę głupią niebieską ścierę, dopóki beznadziejna drużyna piłkarska Maine wreszcie nie wygrała… co nastąpiło gdzieś koło Święta Dziękczynienia.

Skip wrócił do studiowania albumu.

- Nudne do zajebania. Naprawdę.

- Nie lubię, jak tak mówisz! - warknął Nate, ale był zbyt uparty, by podnieść głowę. Skip dobrze wiedział, że Nate nie lubi takich słów i właśnie dlatego ich używał. - O co ci właściwie chodzi?

- Wybacz, jeśli cię uraziłem, ale u mnie co w sercu, to na języku. Po prostu. A to jest żenada. To mi sprawia ból. Ból jak skurwysyn.

- Co? - Zirytowany Nate wreszcie oderwał się od swojego liścia, który rysował tak pieczołowicie, jakby to była mapa wyspy skarbów. - Co?!

- To.

Na okładce albumu dziarska dziewczyna z pyzatą buzią i małymi piersiami pod obcisłą bluzeczką tańczyła na pokładzie statku. Jedna ręka uniesiona wnętrzem do góry w zamaszystym geście, na głowie - mała dziarska marynarska czapeczka.

- Chyba jesteś jedynym studentem w Ameryce, który przywiózł do szkoły „Diane Renee Sings Navy Blue" - powiedział Skip. - Nate, to niedobrze. To się powinno znaleźć na strychu, razem ze spodniami, które, idę o zakład, nosiłeś na kościelnych wycieczkach.

Jeśli chodziło mu o takie poliestrowe z dziwną i bezsensowną szlufką z tyłu, to Nate przywiózł do szkoły całą ich kolekcję… i miał je na sobie podczas tej rozmowy. Ja się nie odzywałem. Wziąłem zdjęcie mojej dziewczyny i zauważyłem zatknięte za ramkę kartki obiadowe. Schowałem je do kieszeni levisow.

- To dobra płyta - oznajmił Nate z godnością. - Bardzo dobra. Swingowa.

- Swingowa, tak? - Skip rzucił ją na łóżko Nate'a (nie odłożył jej na miejsce, ponieważ wiedział, że to doprowadzi Nate'a do furii). - Jeśli to jest według ciebie dobre, na pewno nie dam ci się zbadać.

- Będę stomatologiem, nie internistą - wycedził Nate. Wystąpiły mu żyły na skroniach. O ile mi wiadomo, Skip Kirk jako jedyny w Chamberlain Hall, a może i w całym miasteczku akademickim, potrafił wkurzyć mojego współlokatora. - Jestem na stomatologii, jeśli rozumiesz, co to znaczy. Będę dentystą, Skip, dentystą! A to znaczy…

- Więc na pewno nie dam ci, kurwa, grzebać w moich zębach.

- Dlaczego ciągle to powtarzasz?

- Co? - spytał Skip obłudnie. Chciał usłyszeć to słowo w ustach Nate'a. Wreszcie Nate je wypowiedział, czerwieniejąc przy tym jak burak. Skip obserwował go z fascynacją. Nate w ogóle go fascynował; Kapitan powiedział mi kiedyś, że jest przekonany, iż Nate to kosmita z planety Grzecznych Chłopców.

- Kurwa - powiedział Nate Hoppenstand i natychmiast na policzki wystąpiły mu purpurowe rumieńce. Wyglądał jak jakaś postać z Dickensa, uczciwy młodzieniec rysowany przez Boża. - To.

- Miałem trudne dzieciństwo. Boję się o twoją przyszłość, Nate. Kurwa, a co będzie, jeśli Paul Anka znowu się stanie popularny?

- Nawet nie znasz tej płyty. - Nate porwał „Diane Renee" z łóżka i włożył ją pomiędzy Mitcha Millera i „Stella Stevens in Love!".

- I, kurwa, nie chcę poznać. Chodź, Pete, zjedzmy coś. Kurewsko zgłodniałem.

Zabrałem podręcznik do geologii - w przyszły wtorek miał być sprawdzian. Skip wyjął mi książkę z ręki i rzucił na biurko, przewracając przy okazji zdjęcie mojej dziewczyny, która nie chciała się pieprzyć, ale potrafiła bardzo pięknie obciągnąć, jeśli była w nastroju. Nikt nie obciąga lepiej niż katoliczki. Przez wszystkie lata moje życia pożegnałem się z wieloma przekonaniami - ale nie z tym.

- Czemu to zrobiłeś? - spytałem.

- Nie czyta się przy stole. Nawet przy korycie w jadalni. Wychowałeś się w stajni?

- Wiesz, Skip, wychowałem się w rodzinie, gdzie wszyscy czytali przy stole. Wiem, trudno ci pojąć, że można coś robić inaczej niż ty, ale tak to już jest.

Nagle spoważniał. Wziął mnie za ramiona, spojrzał mi w oczy.

- Przynajmniej nie wkuwaj przy jedzeniu. Dobra?

- Dobra. - W duchu powiedziałem sobie, że będę wkuwać, gdzie mi się spodoba, i nic mu do tego.

- Możesz się nabawić wrzodów. Mój stary na to umarł. Wykończył się.

- O… Przykro mi.

- Nie przejmuj się, było minęło. No, chodź, bo nam zeżrą całą zapiekankę z tuńczykiem. Idziesz, Natebo?

- Muszę dokończyć liść.

- Pieprz ten liść, chłopie.

Gdyby Nate usłyszał to od kogoś innego, spojrzałby na niego jak na robaka i wrócił bez słowa do pracy. W tym wypadku zastanowił się przez chwilę, wstał i zdjął marynarkę z wieszaka na drzwiach. Włożył ją starannie. Poprawił czapeczkę. Nikt, nawet Skip, nie odważył się za bardzo kpić z jego upodobania do tego symbolu pierwszoroczniaków. (Kiedy spytałem Skipa, co

zrobił ze swoją - było to trzeciego dnia po rozpoczęciu roku i nazajutrz po tym, jak się spotkaliśmy - powiedział „podtarłem się nią i wyrzuciłem na drzewo”. Pewnie nie była to prawda, ale nie mogłem też całkowicie wykluczyć tej ewentualności).

Popędziliśmy w dół schodami i wypadliśmy w łagodny mrok październikowego wieczoru. Z trzech akademików wylewały się strumienie studentów spieszących do stołówki Holyoke, gdzie pracowałem przy dziewięciu posiłkach na miesiąc. Byłem chłopakiem od talerzy, niedawno awansowanym z chłopaka od sztućców. Przy dobrym obrocie sprawy do Święta Dziękczynienia mogłem dojść jeszcze wyżej. Chamberlain, King i Franklin leżały na wzniesieniu, podobnie jak Pałac. Studenci schodzili asfaltowymi ścieżkami w coś w rodzaju głębokiego wąwozu, po czym docierali do wspólnej ceglanej drogi i się wspinali. Stołówka znajdowała się w największym ze wszystkich czterech budynków i lśniła w mroku jak krążownik na oceanie.

Miejsce w wąwozie, gdzie zbiegały się wszystkie asfaltowe drogi, nazywało się Ścieżką Benneta - jeśli nawet wiedziałem dlaczego, to dawno zapomniałem. Dwoma ścieżkami nadchodzili chłopcy z Kinga i Chamberlaina, trzecią - dziewczyny z Franklina. Wymieniali spojrzenia, szczere i nieśmiałe zarazem. Dalej szli już razem Alejką Benneta aż do jadalni.

Z przeciwka przedzierał się przez tłum Stokely Jones III - ze spuszczoną głową i odpychającym wyrazem bladej, zaciętej twarzy. Był wysoki, ale prawie nikt tego nie zauważał, ponieważ zawsze garbił się nad kulami. Jego włosy, idealna lśniąca czerń bez najmniejszej jasnej nitki, spadały mu na czoło i uszy, sięgając paroma ukośnymi kosmykami na blade policzki.

Były to czasy, gdy wszyscy czesali się na modłę Beatlesów, co na ogół oznaczało, że chłopcy starannie sczesywali włosy w dół, zamiast jak dotąd starannie zaczesywać do góry. Stoke Jones nie zniżał się do tego. Jego włosy układały się, jak chciały. Garbił się, jakby miał wadę kręgosłupa - być może miał. Zwykle chodził ze wzrokiem wbitym w ziemię, jakby śledził ruchy swoich kul. Jeśli przypadkiem podnosił głowę i napotykał czyjeś spojrzenie, ze zdumieniem odkrywało się bijącą z jego oczu potężną inteligencję. Był jak Heathcliff z Nowej Anglii - Heathcliff zdegenerowany od pasa w dół. Nogi, zwykle zamknięte w potężnych metalowych klamrach, poruszały się z najwyższym trudem, jak macki zdychającej ośmiornicy. Za to od górnej połowy ciała biło tężyzną. Stoke Jones wyglądał jak reklama siłowni „przed” i „po” w jednym. Zjadał posiłki natychmiast po otwarciu Holyoke i wkrótce dowiedzieliśmy się, że robił to nie dlatego, że jest inwalidą, lecz dlatego że chciał być sam, jak Greta Garbo.

- Pieprz się - powiedział pewnego dnia Ronnie Malenfant, gdy szliśmy na śniadanie - właśnie przywitał się z Jonesem, a Jones zwyczajnie przekuśtykał obok niego, nie skinąwszy nawet głową. - Kulawy palant. - Cały Ronnie, jak zwykle pełen współczucia. Podejrzewam, że dorastał w dzielnicy zarzyganych knajp na Lisbon Street w Lewinston i stamtąd właśnie wyniósł swój słynny wdzięk *i joie de vivre.*

- Stoke, jak leci? - spytał Skip tamtego wieczora, gdy Jones sunął ku nam o kulach. Stoke zawsze chodził takim samym wahadłowym krokiem, pochylony do przodu, tak że wyglądał jak figura na dziobie statku, Stoke nieustannie urągający temu, co mu zmiażdżyło dolną połowę ciała, Stoke wypinający się na to coś, Stoke spoglądający na ciebie tymi dzikimi inteligentnymi oczami i mówiący, żebyś i ty się pieprzył, że i ty możesz mu skoczyć, cmoknąć go w dupę, a potem spadać na bambus.

Nie odpowiedział, ale na chwilę podniósł głowę i spojrzał Skipowi prosto w oczy. Potem zgarbił się i przeszedł obok. Pot ściekał mu ze zmierzwionych włosów i skroni.

- Ciach-ciach, ciach-ciach, ciach-ciach - mruczał pod nosem, jakby wyznaczał sobie tempo… albo wyrażał to, co chciał zrobić nam, normalnie chodzącym. Może zresztą chodziło o obie te sprawy. Jak zwykle zalatywał od niego kwaśny odór potu, ponieważ nigdy nie szedł powoli; wyglądało na to, że czułby się urażony, gdyby miał zwolnić, choć chodziło o coś jeszcze. Pot dawał się odczuć, ale nie był odrażający. Zapach, który krył się pod nim, był o wiele gorszy.
W liceum trenowałem biegi (na pierwszym roku postawiony przed wyborem: pall maile lub sprint, wybrałem rakotwory) i znałem już tę szczególną kombinację. Czułem ją zwykle, gdy jakiś koleś z grypą lub anginą zmuszał się do biegu. Jedynym zapachem nasuwającym się na myśl jest woń transformatora zmuszonego do zbyt długiej pracy.

Później nas minął. Stoke Jones, którego Ronnie Malenfant wkrótce miał ochrzcić Ciach-Ciachem, uwolniony na jeden wieczór z wielkich klamer na nogi, w drodze do akademika.

- Hej, co to jest? - spytał Nate. Zatrzymał się i spoglądał przez ramię. Skip i ja też się zatrzymaliśmy i obejrzeliśmy. Już miałem spytać, o co mu chodzi, kiedy zobaczyłem. Jones miał na sobie dżinsową kurtkę. Na jej plecach widniał znak, namalowany chyba czarnym pisakiem, ledwie widoczny w zapadających ciemnościach znak wpisany w okrąg.

- Bo ja wiem? - mruknął Skip. - Wygląda jak kurza łapka.

Chłopak o kulach wmieszał się w tłum studentów idących na kolejną kolację w kolejny czwartek, kolejnego października. Chłopcy byli na ogół ogoleni, dziewczyny najczęściej nosiły

spódniczki do kolan i bluzki z kołnierzykiem bebe. Księżyc zbliżał się do pełni, rzucał na nich pomarańczowe światło. Rozkwit Ery Wariatów miał nastąpić dopiero za dwa lata i żaden z nas nie zdawał sobie sprawy, że tego wieczora po raz pierwszy zobaczyliśmy pacyfkę.

5

W sobotnie poranki pracowałem w jadalni. Był to dobra pora, ponieważ na sobotnim śniadaniu zjawiało się niewiele osób. Carol Gerber, dziewczyna od sztućców, stała u szczytu ruchomej taśmy. Ja byłem obok: moim zadaniem było chwytanie talerzy z nadjeżdżających tac, opłukiwanie i odkładanie na wózek obok. Jeśli taśma była pełna, jak zwykle wieczorami w weekendy, układałem tylko talerze, brudne i w ogóle, a płukałem później, kiedy tempo zwalniało. Obok mnie stał ktoś od szklanek, kto zabierał je i wkładał do specjalnych przegródek w zmywarce. Dobrze było pracować w Holyoke. Od czasu do czasu jakiś żartowniś w rodzaju Ronniego Malenfanta oddawał niezjedzoną owsiankę z napisem ZERŻNĘ CIĘ, ułożonym starannie z oddartych pasków serwetki (raz na dnie głębokiego talerza, w zgęstniałym sosie ktoś napisał POMOCY, JESTEM WIĘŹNIEM NA TYM ZADUPIU), no i aż trudno uwierzyć, jak niektórzy potrafią świnić przy jedzeniu - talerze umazane keczupem, szklanki pełne kartofli, rozgrzebane warzywa - a jednak nie była to taka kiepska robota, zwłaszcza w sobotnie poranki.

Raz spojrzałem ponad ramieniem Carol (która wyglądała wyjątkowo ładnie jak na tak wczesną godzinę) i zobaczyłem Stoke'a Jonesa. Siedział tyłem do okienka, przez które wydawano jedzenie, ale nie można było nie zauważyć kul opartych o jego krzesło albo tego szczególnego symbolu na kurtce. Skip miał rację, symbol wyglądał jak kurza łapka (rok później po raz pierwszy usłyszałem, jak jakiś gość z telewizji nazwał go „śladem amerykańskiego kurzego móżdżku").

- Wiesz, co to jest? - spytałem Carol.

Przyglądała się mu długo, po czym pokręciła głową.

- Nie. Pewnie to jakiś prywatny żart.

- Stoke nie zna się na żartach.

Po pracy odprowadziłem ją do akademika (tłumaczyłem sobie, że jestem tylko uprzejmy, a spacer z Carol Gerber do Franklin Hall nie jest zdradą Annmarie Soucie z Gates Falls), potem wróciłem do Chamberlaina, zastanawiając się, co może oznaczać ta kurza łapka. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że nie przyszło mi do głowy, aby zapytać o to samego Jonesa. Kiedy dotarłem na swoje piętro, ujrzałem coś, co kompletnie zmieniło bieg moich myśli. Od szóstej trzydzieści rano, kiedy na wpół uśpiony wyszedłem, by zająć miejsce za Carol przy ruchomej taśmie, ktoś zdążył wysmarować drzwi Davida Dearborna kremem do golenia - futryny, klamkę i

zwłaszcza próg. Na podwójnej warstwie kremu na podłodze widniały ślady, na których widok musiałem się uśmiechnąć. Złotko otwiera drzwi, mając na sobie tylko ręcznik i ślizg! Dzieńdoberek.

Z uśmiechem wszedłem do pokoju 302. Nate pisał coś przy biurku. Jako że zasłaniał notes ręką, wydedukowałem, iż jest to jego codzienny list do Cindy.

- Ktoś wysmarował kremem do golenia drzwi Złotka - oznajmiłem, podchodząc do półki i biorąc podręcznik geologii. Zamierzałem pójść do świetlicy na drugim piętrze i przygotować się do wtorkowego sprawdzianu.

Nate usiłował zrobić surową minę, ale też nie mógł powstrzymać uśmiechu. W tamtym okresie nieustannie silił się na powagę i co chwila coś mu przeszkadzało. Podejrzewam, że z czasem nabrał większej wprawy. Szkoda.

- Szkoda, że nie słyszałeś, jak wrzeszczał – powiedział i parsknął śmiechem. Zakrył usta dłonią, by zdławić niestosowną wesołość. - A jak przeklinał…! Przez chwilę prawie dorównał Skipowi.

- Wątpię. W przeklinaniu Skip jest bezkonkurencyjny.

Nate spojrzał na mnie z troską.

- Chyba to nie twoje dzieło, co? Wiem, że wstałeś wcześnie…

- Gdybym chciał ustroić drzwi Złotka, zrobiłbym to papierem toaletowym. Krem zużywam wyłącznie do golenia. Jestem ubogim studentem, tak jak ty. Pamiętasz?

Zatroskanie zniknęło z twarzy Nate'a, który znów nabrał wyglądu ministranta. Dopiero wtedy do mnie dotarło, że siedzi w pokoju w bokserkach i tej głupiej niebieskiej czapeczce.

- To dobrze - powiedział - bo David wrzeszczał, że złapie tego, co to zrobił, i dopilnuje, żeby go zawiesili.

- Zawieszenie za głupie drzwi? Daj spokój.

- Dziwne, ale on mówił poważnie. Czasami przypomina mi tego szalonego kapitana statku. Humphrey Bogart tam grał. Wiesz, o co mi chodzi?

- Tak. „Bunt na okręcie".

- Mhm. A David… no, powiedzmy, że rozdawanie zawieszeń go rajcuje.

W kodeksie naszego uniwersytetu wydalenie z uczelni było armatą zarezerwowaną na takie okazje, jak kradzież, napaść oraz posiadanie i używanie narkotyków. Zawieszenie było o jedno oczko niżej i stosowano je w razie przyłapania dziewczyny w twoim pokoju (jeśli było to

po ciszy nocnej dziewczyn, można było nawet zaliczyć wylotkę, choć dziś trudno w to uwierzyć), trzymanie alkoholu w pokoju, ściąganie i przynoszenie cudzych prac. Te ostatnie przestępstwa teoretycznie mogły grozić winowajcy wydaleniem i w przypadku ściągania często tak było (zwłaszcza podczas egzaminów półrocznych lub końcowych), ale przeważnie kończyło się na dyscyplinarnym zawieszeniu, które ciążyło nad człowiekiem przez cały semestr. Nie chciało mi się wierzyć, żeby starosta akademika miał poprosić dziekana o zawieszenie za parę maźnięć kremem do golenia… ale przecież chodziło o Złotko, drania, który co tydzień uparcie pojawiał się na inspekcjach pokojów i przynosił ze sobą stołeczek, żeby zaglądać na najwyższe półki trzydziestu dwóch szaf, co najwyraźniej uważał za swój obowiązek. Pewnie dlatego dostał się do ROTC, programu, który kochał równie gorąco, jak Nate kochał Cindy i Rinty'ego. Dawał także korepetycje uczniom - co nadal należy do polityki szkolnej, choć poza programem ROTC praktycznie nie istnieje. Wystarczy osiągnąć pewną liczbę godzin korepetycji i już dostaje się do ręki władzę nad innymi. Można teoretycznie wyrzucić ze szkoły kogoś, kto potem dostawał powołanie do wojska i lądował pod gradem kul w Wietnamie, ponieważ zapomniał wyrzucić śmieci czy pozamiatać pod łóżkiem.

David Dearborn sam studiował dzięki stypendium, a jego funkcja teoretycznie nie różniła się od mojej roboty przy garach. Ale on sam tak nie uważał. On uważał się za Lepszego Od Innych, jednego z nielicznych, dumnych i dzielnych. Jego rodzina pochodziła z wybrzeża, z Falmouth, gdzie w 1966 roku nadal obowiązywało ponad pięćdziesiąt zasad odziedziczonych po purytanach. Jego rodzina przeżyła coś, co przyczyniło się do jej Zubożenia, jak w starym melodramacie, ale Złotko nadal nosił się jak absolwent liceum w Falmouth, na zajęcia przychodził w blezerze, a w niedziele nosił garnitur. Trudno było znaleźć kogoś różniącego się od niego bardziej niż Ronnie Malenfant z niewyparzoną gębą i najróżniejszymi uprzedzeniami. Kiedy się mijali w korytarzu, widać było, że Złotko cofa się jak najdalej od Ronniego, którego twarz jakby uciekała sama od siebie, od wypukłego czoła do nieistniejącego podbródka. Pod rudymi kudłatymi włosami widniały nieustannie zaropiałe oczy i cieknący nos… nie wspominając już o ustach, które zawsze były tak czerwone, jakby Ronnie pomalował je tanią szminką.

Złotko nie lubił Ronniego, ale nie tylko jego. Złotko nie lubił nikogo na swoim piętrze. My też go nie lubiliśmy, a Ronnie wręcz go nienawidził. Antypatia Skipa Kirka była zawsze zabarwiona pogardą. Był w ROTC razem ze Złotkiem (do listopada, kiedy Skip rzucił szkołę) i

twierdził, że Złotko jest kiepski we wszystkim z wyjątkiem włażenia w dupę bez masła. Skip, który omal nie znalazł się w stanowej drużynie futbolowej, żywił z jednego powodu urazę do naszego opiekuna - Złotko, jak twierdził, nie potrafił się zaprezentować. Dla Skipa był to grzech główny. Trzeba się umieć pokazać. Nawet jeśli się pasa świnie, należy się dobrze prezentować.

Ja nie lubiłem Złotka, tak samo jak wszyscy. Potrafię się pogodzić z wieloma ludzkimi słabostkami, ale nienawidzę buców. A jednak miałem dla niego także odrobinę współczucia. Na przykład Złotko był pozbawiony poczucia humoru, a według mnie jest to takie samo kalectwo jak to Stoke'a Jonesa. Poza tym wydaje mi się, że sam Złotko nie miał dla siebie zbyt wiele sympatii.

- Nie będzie problemu, jeśli nie znajdą winnego - powiedziałem. - *A* nawet jeśli znajdą, nie bardzo chce mi się wierzyć, żeby dziekan Garretsen zgodził się zawiesić kogoś tylko dlatego, że wysmarował drzwi gospodarza piętra.

Ale Złotko miał zdolność perswazji. Może i pochodził z Rodziny Zubożałej, ale miał w sobie coś arystokratycznego. A przez to, oczywiście, nie lubiliśmy go jeszcze bardziej.

Skip nazywał go Dreptakiem, ponieważ na boisku nie biegał normalnie, tylko drobił truchcikiem.

- Pod warunkiem że tego nie zrobiłeś - oznajmił Nate. Prawie parsknąłem śmiechem. Nate Hoppenstand siedział w gaciach i czapeczce, z dziecięcą piersią, wątłą, bez włosów i obsypaną piegami, spoglądał na mnie poważnie sponad wystających żeber i bawił się w tatusia. - Myślisz, że to robota Skipa? - spytał, zniżając głos.

- Nie. Gdybym miał zgadywać, dla kogo wysmarowanie kremem drzwi jest fantastycznym ubawem, powiedziałbym, żęto…

- Ronnie Malenfant.

- Bingo. - Wycelowałem w Nate'a palec jak pistolet i mrugnąłem.

- Widziałem, jak idziesz do Franklina z tą blondynką. Carol. Bardzo ładna.

- Odprowadziłem ją, i tyle.

Nate siedział w bokserkach i czapeczce i uśmiechał się, jakby wiedział lepiej. I pewnie wiedział. Lubiłem ją, owszem, choć nie znałem jej zbyt dobrze. Wiedziałem tylko, że jest z Connecticut. Niewielu studentów przyjeżdżało z tego stanu.

Ruszyłem do świetlicy z książką pod pachą. Zastałem tam Ronniego w czapeczce z tak przypiętym daszkiem, że wyglądała jak nakrycie głowy dziennikarza. Wraz z nim siedziało

dwóch innych chłopaków z naszego piętra, Hugh Brennan i Ashley Rice. Nie wyglądali, jakby się dobrze bawili, ale na mój widok Ronniemu zaświeciły się oczy.

- Pete Riley! Właśnie ciebie szukam! Umiesz grać w kierki?

- Tak. Na szczęście umiem też się uczyć. - Pokazałem mu podręcznik do geologii, myśląc, że prawdopodobnie jednak skończy się na partyjce… jeśli, oczywiście, w ogóle zamierzałem coś zrobić. Bo Ronnie nie potrafił się zamknąć. Był do tego po prostu niezdolny. Ronnie Malenfant miał napęd atomowy.

- Chodź, tylko jedną partyjkę - kusił. - Piątka za punkt, a ci dwaj grają jak pierdoły.

Hugh i Ashley uśmiechnęli się głupio, jakby usłyszeli komplement. Obelgi Ronniego były tak bezczelne, tak ociekające jadem, że ludzie przeważnie brali je za żarty, może nawet za zawoalowane komplementy. Ale tak nie było. Ronnie mówił po prostu to, co myślał.

- Słuchaj, we wtorek mam sprawdzian i nie rozumiem tych geosynklin.

- Sraj na geosynkliny - powiedział Ronnie. Ashley Rice zachichotał. - Masz jeszcze całą sobotę, niedzielę i poniedziałek na te twoje geopierdziny.

- W poniedziałek mam zajęcia, a jutro idę ze Skipem na stare miasto. W kościele metodystów będzie otwarte nabożeństwo i chcemy…

- Nie, nie, nie truj dupy, człowieku, wszystkie te owieczki mogą mnie grupowo cmoknąć, wiesz? Słuchaj, Pete…

- Ronnie, ja naprawdę…

- Stójcie tu, palanty i nie ruszajcie się. - Ronnie obrzucił Ashelya i Hugha władczym spojrzeniem. Znieśli to bez szemrania. Mieli pewnie osiemnaście lat, jak my wszyscy, ale każdy, kto kiedykolwiek studiował, zna takich bardzo niedojrzałych osiemnastolatków, zwłaszcza z rolniczych stanów. Ronnie był bogiem dla tych żółtodziobów. Podziwiali go. Pożyczał od nich kartki na obiady, bił ich ręcznikiem pod prysznicami, oskarżał o wspieranie wielebnego czarnucha Martina Luthera (który jeździ na wiece jaguarem, jak twierdził), pożyczał od nich pieniądze, a gdy chcieli odebrać dług, odpowiadał „pocałuj mnie w dupę, smarku”. A jednak go kochali. Kochali go właśnie za to. Kochali go, ponieważ był stuprocentowym studentem.

Ronnie chwycił mnie za kark i usiłował wyciągnąć na korytarz, żeby pogadać na osobności. Ale ja, nieczuły na studencką aurę, lecz zupełnie nie obojętny na soczysty aromat dobywający się spod jego pach, rozgiąłem mu palce i zdjąłem z siebie jego rękę.

- Przestań.

- Dobra, dobra, dobra! Wyjdźmy na chwilę i tyle, dobra? Przestań, boli! Tą ręką walę konia! Puść! Kurwa!

Puściłem go (ciekawe, czy umył się po ostatnim waleniu), ale pozwoliłem mu się pociągnąć na korytarz. Tu chwycił mnie za ramiona i przemówił z przejęciem, szeroko otwierając zaropiałe oczy.

- Oni nie umieją grać - szepnął konfidencjonalnie. - To dwa wyskrobki, ale uwielbiają karty. Kurewsko uwielbiają, wiesz? Ja nie uwielbiam, ale w przeciwieństwie do nich umiem grać. Poza tym jestem spłukany, a w Hauck dają dziś filmy z Bogartem. Jeśli z nich wycisnę ze dwa dolce…

- Z Bogartem? A dają „Bunt na okręcie”?

- Tak, „Bunt na okręcie” i „Sokola maltańskiego”. Bogie w kurewsko dobrej formie, patrzy prosto na ciebie. Pójdę, jak wycisnę z tych dwóch wypierdków ze dwa dolce. Jak wycisnę cztery, poderwę sobie jaką panienkę z Franklin, pójdę z nią i może mi obciągnie. - Cały Ronnie, jak zwykle romantyczny. Wyobrażałem go sobie jako Sama Spade’a z „Sokoła maltańskiego”, kiedy mówi Mary Astor, żeby się brała do roboty. Na samą myśl o tym gardło mi się ściskało.

- Ale jest jeden problem. Kierki na trzy osoby to ryzykowna zabawa. Kto się ośmieli zaryzykować, jeśli trzeba się martwić o pozostałe karty?

- Jak gracie? Po stówie koniec, przegrani płacą wygranemu?

- Aha. A jeśli do nas dołączysz, odpalę ci połowę. I oddam ci to, co przegrasz. - Posłał mi świątobliwy uśmiech.

- A przypuśćmy, że to ja wygram?

Ronnie spojrzał na mnie z autentycznym zdumieniem, po czym uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Nigdy w życiu, kochanie. W kartach jestem geniuszem.

Zerknąłem na zegarek, potem na Ashleya i Hugh. Naprawdę nie wyglądali na silną konkurencję, niech Bóg nad nimi czuwa.

- Wiesz co? Jedna partyjka do setki. Piątka za punkt. Nikt nikomu nic nie oddaje. Zagramy, potem ja pójdę się uczyć i wszyscy będą mieli miły weekend.

- Jasne. - W świetlicy dodał jeszcze: - Lubię cię, Pete, ale biznes to biznes. Pedałki w szkole nigdy cię tak nie wydymały, jak ja to zrobię dzisiaj.

- Nie znałem żadnych pedałów - odparłem. - Przez wszystkie weekendy jeździłem do Lewiston, żeby dymać twoją siostrę.

Ronnie uśmiechnął się szeroko, wziął talię kart i zaczął ją tasować.

- Nieźle ją wykształciłem, nie?

O to chodzi. Nie można upaść niżej niż kochany synek pani Malenfant. Wielu próbowało, ale o ile mi wiadomo, żadnemu się nie udało.

6

Ronnie był małpoludem z niewyparzonym pyskiem, odrażającym charakterem i nieustannie śmierdział capem, ale muszę przyznać, że naprawdę potrafił grać w karty. Nie był geniuszem, za jakiego się uważał, przynajmniej nie w kierkach, gdzie najważniejszy jest łut szczęścia, ale był dobry. Kiedy się skupił, pamiętał prawie wszystkie karty, jakie się pojawiły… i chyba dlatego nie lubił grać w trzy osoby, ze względu na dodatkowy element ryzyka. Po jego wyeliminowaniu Ronnie stawał się potęgą.

Tego pierwszego poranka mnie także szło dobrze. Kiedy Hugh Brennan za pierwszym razem minął setkę, miałem trzydzieści trzy punkty przy dwudziestu ośmiu Ronniego. Od czasu gdy po raz ostatni grałem w kierki, minęły dwa lub trzy lata, ale po raz pierwszy w życiu grałem na pieniądze i uznałem, że dwadzieścia pięć centów to mało za tyle niespodziewanej rozrywki. Ashley wybulił dwa dolary i pięćdziesiąt centów, przegrany Hugh musiał z siebie wydusić trzy dolce sześćdziesiąt. Wszystko wskazywało na to, że Ronnie pójdzie dziś na randkę, choć według mnie dziewczyna musiałaby naprawdę szaleć za Bogartem, żeby zgodzić się obciągnąć Ronniemu za bilet. Właściwie nawet całusek na dobranoc byłby już przesadą.

Ronnie zaskrzeczał jak wrona nad świeżą padliną.

- Już wiem! Szkoda, że wy nie, ale ja już wiem! To tak, jak w piosence Doorsów, mężczyźni tego nie wiedzą, ale dziewczynki to rozumieją.

- Ronnie, jesteś chory - powiedziałem.

- Chcę zagrać jeszcze raz! - odezwał się Hugh. Pomyślałem, że P. T. Barnum miał świętą rację, rzeczywiście co chwila rodzi się ktoś w rodzaju Hugh. - Chcę się odegrać.

- Nooo… - Ronnie wyszczerzył żółte zęby. - Dobra, dam ci przynajmniej szansę. - Spojrzał na mnie. - Co powiesz, brachu?

Podręcznik do geologii leżał obok mnie. Chciałem odzyskać swoje dwadzieścia pięć centów i zarobić jeszcze parę. A przede wszystkim chciałem dać szkołę Ronniemu.

- Dobra - rzuciłem i po raz pierwszy wypowiedziałem słowa, które miałem powtórzyć tysiące razy w ciągu nadchodzących niespokojnych tygodni: - Kto rozdaje?

- Ten po prawej, idioto - zaskrzeczał Ronnie, przeciągnął się i z upodobaniem spojrzał na fruwające karty. - Bo że, jak ja kocham grać!

7

Bakcyla złapałem dopiero przy drugim rozdaniu. Tym razem to Ashley nabił sto punktów, w czym entuzjastycznie pomagał mu Ronnie, rzucając mu Sukę przy każdej okazji. Mnie przyszła tylko dwa razy. Za pierwszym zatrzymałem ją do czasu, gdy będę mógł nią dobić Ashleya. Już sądziłem, że się przeliczyłem, gdyż Ashley stracił prowadzenie i na czoło wysforował się Hugh Brennan. Powinien wiedzieć, że niebezpieczeństwo czai się u mnie i to od pierwszego rozdania, ale Hughowie tego świata w ogóle niewiele wiedzą. Podejrzewam, że to dlatego wszyscy Ronnie tego świata tak lubią z nimi grać. Wreszcie rzuciłem Sukę, złapałem się za nos i zatrąbiłem na Hugh. W ten sposób obwieszczaliśmy w owych czasach przegranego.

Ronnie spojrzał na mnie wilkiem.

- Odbiło ci? Mogłeś go wykończyć! - Skinął na Ashleya, który przyglądał się nam dość tępym wzrokiem.

- Tak, ale nie jestem aż tak głupi. - Stuknąłem w kartkę z punktacją. Ronnie zebrał już trzydzieści punktów, ja miałem trzydzieści cztery. Pozostali dwaj mieli znacznie więcej. Problem polegał nie na tym, który z jeleni przegra, lecz kto z tych dwóch, co potrafią grać, wygra. - Wiesz, chętnie sam obejrzę Bogiego… kochanie.

Ronnie ukazał w uśmiechu swoje nieciekawe uzębienie. Do tego czasu mieliśmy już widownię, co najmniej dwanaście osób. Widziałem Skipa i Nate'a.

- Więc o to ci chodzi? Dobra. Wypnij się, palancie, bo zaraz ci nakopię.

Dwa rozdania później mogłem powiedzieć to samo. Ashley, który rozpoczął to ostatnie rozdanie z dziewięćdziesięcioma ośmioma punktami, dobił do setki w efektownym stylu. Widzowie siedzieli w martwej ciszy, chcąc zobaczyć, czy rzeczywiście pobiję Ronniego, który musiał zebrać sześć kierów.

Ronnie początkowo spisywał się dobrze, utrzymywał się w niezłej normie. Jeśli ma się niskie karty, jest się właściwie niezniszczalnym.

- Riley jest ugotowany! - poinformował widownię. – Na miękko!

Też tak sądziłem, ale przynajmniej miałem damę pik. Gdybym mu ją rzucił, i tak bym wygrał. Nie dostałbym od niego wiele, ale pozostali dwaj byli już nam winni kupę szmalu: razem pięć dolców. I mógłbym sobie popatrzeć na minę Ronniego. Tego chciałem najbardziej - ujrzeć, jak mu oklapną te napuszone piórka. Chciałem, żeby się wreszcie zamknął.

Wystarczyły trzy ostatnie lewy. Ashley rzucił szóstkę kier, Hugh piątkę, ja trójkę. Ronnie rzucił dziewiątkę i zebrał lewę; widziałem, jak uśmiech spełza mu z twarzy. Co więcej, wreszcie to on musiał rozegrać. Został mi już tylko walet trefl i dama pik. Gdyby Ronnie miał słabe trefle, zostałbym z Suką i musiałbym ścierpieć jego rechot, który byłby bardzo złośliwy. Ale jeśli…

Ronnie rzucił piątkę karo. Hugh dał dwójkę karo, a Ashley, uśmiechając się w sposób świadczący, że ni cholery nie rozumie, co robi, nie dołożył do koloru.

Martwa cisza.

Wtedy z uśmiechem dokończyłem lewę - lewę Ronniego - rzucając damę pik na pozostałe trzy karty. Wokół stolika rozległo się ciche westchnienie, a kiedy podniosłem głowę, zobaczyłem, że tłum zgęstniał. David Dearborn stał w drzwiach z założonymi rękami, marszcząc brwi. Za nim majaczyła inna sylwetka, wspierająca się na kulach.

Podejrzewam, że Złotko dobrze sprawdził w swoim kodeksie - „Regulamin akademicki Uniwersytetu Maine, 1966-1967” - i z rozczarowaniem przekonał się, że nie ma tam nic o grze w karty, nawet na pieniądze. Jednak, wierzcie mi, jego rozczarowanie nie mogło się nawet równać z rozczarowaniem Ronniego.

Istnieją na tym świecie ludzie, którzy umieją przegrywać, i tacy, którzy przegrywać nie umieją - naburmuszeni, obraźliwi, płaczliwi… są też tacy, którym po przegranej zaczyna odbijać. Ronnie należał do tego ostatniego rodzaju. Policzki mu poczerwieniały, a miejsca wokół pryszczy zrobiły się wręcz fioletowe. Zacisnął usta tak, że zupełnie zniknęły, a mięśnie szczęk zaczęły mu drgać.

- Jejku, jejku - odezwał się Skip. - Patrzcie, kto wdepnął w gówno.

- Dlaczego to zrobiłeś? - wybuchnął Ronnie, ignorując Skipa i wszystkich, którzy byli w pokoju. - No dlaczego, ty złamasie?

To pytanie mnie rozbawiło, a wściekłość, muszę to przyznać, napełniła absolutną błogością.

- Jak mówi Vince Lombardi, zwycięstwo nie jest ważne. Jest najważniejsze. Wyskakuj z kasy.

- Ty cioto! Ty zafajdany pedale! Kto to rozdawał?

- Ashley. A jeśli chcesz powiedzieć, że oszukiwałem, to teraz, głośno, bo zamierzam ci spuścić taki łomot, żeby ci smarki wyszły uszami.

- Nikt nikogo nie będzie łomotać w mojej świetlicy -rzucił ostro Złotko, ale nikt na niego nie zwrócił uwagi. Wszyscy patrzyli na Ronniego i mnie.

- Nie powiedziałem, że oszukujesz. Spytałem, kto to rozdawał - powiedział Ronnie. Widziałem, jak usiłuje się wziąć w garść i przełknąć to, czym go poczęstowałem. I udało mu się, ale w oczach stanęły mu łzy wściekłości (te oczy, duże i jasnozielone, były jego jedynym atutem), a na szyi nabrzmiały pulsujące żyły. Zupełnie jakby pod uszami biły mu dwa serca. - Kogo to obchodzi. Jesteś lepszy o dziesięć punktów. To pięćdziesiąt centów, wielkie rzeczy.

W przeciwieństwie do Skipa Kirka nie byłem w liceum równym kumplem - kółko dyskusyjne i biegi były moimi jedynymi zajęciami poza programem - i jeszcze nigdy w życiu nie groziłem nikomu łomotem. Ronnie wyglądał na takiego, od którego można zacząć. I, dobry Boże, mówiłem z głębi serca. Chyba wszyscy to czuli. W świetlicy zrobiło się gęsto od adrenaliny, prawie było ją widać w powietrzu. Coś we mnie - coś dużego - chciało, żeby Ronnie się odszczeknął. Miałem ochotę go rozmazać po podłodze.

Na stoliku pojawiły się pieniądze. Złotko zrobił krok naprzód, jeszcze bardziej naburmuszony, ale się nie odezwał… przynajmniej nie na ten temat. Natomiast spytał, czy ktoś z obecnych wysmarował jego drzwi kremem do golenia bądź zna sprawcę. Wszyscy odwrócili się, żeby na niego spojrzeć, i dostrzegli Stoke'a Jonesa, który stanął na progu, gdy Złotko wszedł do pokoju. Opierał się na kulach i patrzył na nas swymi dziko inteligentnymi oczami.

Na chwilę zapadła cisza. Potem Skip powiedział:

- A może to sam zrobiłeś, we śnie? Może lunatykujesz?

Wszyscy ryknęli śmiechem i teraz to Złotko się zaczerwienił. Rumieniec pojawił się na jego szyi i popełzł powoli ku policzkom i czołu, aż po korzonki krótkich włosów - Złotko nie zniżyłby się do pedalskiej fryzurki na Beatlesa.

- Powiedzcie innym, że to się nie powinno powtórzyć - powiedział Złotko. Naśladował Bogiego, wcale o tym nie wiedząc. - Nie pozwolę podważać mojego autorytetu.

- Spadaj na bambus - mruknął Ronnie. Zebrał karty i tasował je markotnie.

Złotko zrobił trzy wielkie kroki, złapał go za koszulę i podniósł. Ronnie wstał z własnej woli, chroniąc koszulę przed rozdarciem. Nie miał zbyt wielu dobrych ciuchów. Jak my wszyscy.

- Co powiedziałeś, Malenfant?

Ronnie obejrzał się i ujrzał to, co szło za nim przez całe życie, jak mi się wydaje: brak współczucia, znikąd pomocy. Jak zwykle mógł liczyć tylko na siebie. I nie miał pojęcia dlaczego.

- Nic nie powiedziałem. Nie wpadaj w paranoję.

- Przeproś.

Ronnie szarpnął się w jego chwycie.

- Skoro nic nie powiedziałem, to za co mam przepraszać.

- Przeproś, ale szczerze!

- Dajcie spokój - odezwał się Stoke Jones. - Wszyscy. Powinniście siebie zobaczyć. Głupota do entej potęgi.

Złotko obejrzał się na niego z zaskoczeniem. Wszyscy się zdziwiliśmy. Stoke chyba też.

- Jesteś wkurzony, bo ktoś ci wymazał drzwi - powiedział Skip.

- Zgadza się. Jestem wkurzony. I masz mnie przeprosić, Malenfant.

- Zostaw go - mówił dalej Skip. - Ronnie trochę się zapomniał, bo wygrana przeszła mu koło nosa. Nie wysmarował tych twoich drzwi.

Przyglądałem się Ronniemu, żeby sprawdzić, jak zareaguje na rzadki wypadek pomocy z zewnątrz i dostrzegłem wymowny błysk zielonych oczu, prawie drgnięcie. W tej samej chwili zyskałem niemal stuprocentową pewność, że winowajcą był on. Kto spomiędzy moich znajomych kwalifikował się lepiej?

Gdyby Złotko zobaczył ten słaby błysk, pewnie doszedłby do takiego samego wniosku. Ale on patrzył na Skipa. Skip odpowiadał mu spokojnym spojrzeniem i po paru chwilach Złotko uznał jego słowa za własne. Puścił koszulę Ronniego, który się otrząsnął, wygładził zagniecenia na ramionach i zaczął grzebać w kieszeniach w poszukiwaniu drobnych dla mnie.

- Przepraszam - powiedział. - Jak chcesz, to przepraszam. Przepraszam jak cholera i jak sukinsyn. Tak cię przepraszam, że aż mnie dupa od tego boli. W porządku?

Złotko cofnął się o krok. Prawie czułem przypływ adrenaliny w świetlicy; podejrzewałem, że Złotko równie wyraźnie czuł napływające ku niemu fale antypatii. Nawet Ashley Rice, który wyglądał jak tłuściutki misio z kreskówki, spoglądał na niego tym nieruchomym, nieprzyjaznym wzrokiem. Był to przypadek, który poeta Gary Snyder nazwałby baseballem złej karmy. Złotko był gospodarzem - pierwszy strzał. Chciał rządzić całym piętrem, jakby podlegało jego ukochanemu programowi ROTC - strzał drugi. I był tępym studentem ostatniego roku w czasach, gdy uważano, że tępienie pierwszaków należy do ich świętych obowiązków. Strzał trzeci, Złotko wypada z gry.

- Powiedzcie innym, że nie będę tolerować tych szkolnych wygłupów na moim piętrze. - Złotko powiedział „na moim piętrze", jeśli zauważyliście. Stał wyprostowany jak struna, w bluzie z nadrukiem uniwersytetu i spodniach khaki - świeżo odprasowanych, ponieważ była sobota. - Tu nie liceum, panowie, to Uniwersytet Maine. Koniec pieprzenia po kątach. Pora zachowywać się jak studenci.

Podejrzewam, że nieprzypadkowo określono mnie w albumie szkoły Gates Falls jako klasowego błazna. Strzeliłem obcasami i zasalutowałem jak angielski żołnierz, z ręką zwróconą wnętrzem do przodu.

- Tak jest! - krzyknąłem. W tłumie rozległy się nerwowe śmiechy, rubaszne parsknięcie Ronniego, Skip też się uśmiechnął. Skip spojrzał na Złotko i wzruszył ramionami, unosząc brwi. Widzisz, na co się narażasz? - mówił jego gest. Zachowuj się jak dupek, a ludzie będą cię traktować tak jak teraz. Zdaje się, że milczące gesty są zawsze najbardziej wymowne.

Złotko spojrzał na Skipa, także w milczeniu. Potem na mnie. Twarz miał zupełnie pozbawioną wyrazu, niemal jak maska, choć gorąco żałowałem swego idiotycznego impulsu. Impulsy mają to do siebie, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć działa się pod ich wpływem, nie dając dojść do głosu rozumowi. Zakładam się, że w dawnych czasach, gdy rycerze mieli fantazję, niejeden błazen zawisł za jaja. Nie czyta się o tym w „Rycerzach Okrągłego Stołu", ale podejrzewam, że tak właśnie bywa - i kto się teraz śmieje, ty wyskrobku? W każdym razie dotarło do mnie, że właśnie zrobiłem sobie wroga.

Złotko płynnie okręcił się na pięcie i wymaszerował ze świetlicy. Ronnie skrzywił się w grymasie, który jeszcze bardziej oszpecił jego brzydką gębę: szczerzył się jak złoczyńca w melodramacie. Pomachał sztywno wyprostowanym plecom Złotka. Hugh Brennan zachichotał cicho, ale poza nim nikt się nie śmiał. Stoke Jones zniknął, prawdopodobnie pełen niesmaku do nas wszystkich.

Ronnie rozejrzał się z błyszczącymi oczami.

- Dobra, kto chce zagrać? Piątka za punkt.

- Ja - odezwał się Skip.

- Ja też - dodałem, zapomniawszy o podręczniku.

- Kierki? - spytał Kirby McClendon. Był najwyższy na naszym piętrze, być może najwyższy w całym uniwersytecie - co najmniej dwa metry, plus podłużna, żałosna twarz, jak pysk charta. - Pewnie. Bardzo dobrze.

- A my? - pisnął Ashley.

- Właśnie! - dodał Hugh.

Niektórzy naprawdę nie mają dość.

- Przy tym stole jesteście za słabi - powiedział Ronnie tonem, który u niego oznaczał życzliwość. - Może zagracie przy własnym?

Ashley i Hugh poszli za jego radą. O czwartej po południu wszystkie stoliki były już obsadzone przez pierwszo-rocznych studentów, biednych chłopców, którzy musieli kupować używane podręczniki i grali po pięć centów za punkt. I tak rozpoczęło się szaleństwo.

8

Sobotni wieczór spędzałem w Holyoke przy taśmie. Mimo swojej fascynacji Carol Gerber usiłowałem namówić Brata Witherspoona, żeby się ze mną zamienił - przydzielono mu niedzielne śniadania i nienawidził wcześnie wstawać niemal tak samo jak Skip - ale odmówił. Do tego czasu i on zdążył wsiąknąć w kierki i stracił już dwa dolce. Tak bardzo chciał się odegrać, że prawie mu odbiło. Pokręcił tylko głową i wyszedł w piki.

- Dawać Sukę! - krzyknął, dziwnie przypominając Ronniego Malenfanta. Najdziwniejsze w Ronniem było to, że niektóre słabe charaktery lubiły się na nim wzorować.

Opuściłem stolik, gdzie spędziłem prawie cały dzień. Moje miejsce natychmiast zajął niejaki Kenny Auster. Byłem prawie dziewięć dolarów do przodu (głównie dlatego, że Ronnie przeniósł się do innego stołu, żebym mu nie psuł szyków) i powinienem się czuć dobrze, ale tak nie było. Nie chodziło o pieniądze, tylko o grę. Chciałem grać dalej.

Smętnie powlokłem się do pokoju i spytałem Nate'a, czy chce zjeść wcześniej razem z personelem kuchennym. Pokręcił tylko głową i machnął ręką, nie odrywając się od podręcznika do historii. Kiedy mówi się o zamieszkach studenckich w latach sześćdziesiątych, pamiętam, że większość moich kolegów przetrwała ten szalony sezon tak jak Nate. Z pochylonymi głowami i wzrokiem wbitym w podręczniki, podczas gdy wokół nich działy się wydarzenia historyczne. Oczywiście nie mogę powiedzieć, że Nate był kompletnie oderwany od rzeczywistości czy też zupełnie pochłonięty studiami. Jeszcze o tym wspomnę.

Powlokłem się do Pałacu na Równinach, zapinając kurtkę, ponieważ wiał zimny wiatr. Było kwadrans po czwartej. Stołówkę otwierano przeważnie koło piątej, więc dróżki zbiegające się na Ścieżce Benneta były jeszcze puste. Oczywiście Stoke Jones już czekał, oparty o kule i pogrążony w myślach. Jego widok mnie nie dziwił; kiedy jest się kaleką, można jadać godzinę wcześniej niż inni. O ile sobie przypominam, był to jedyny przywilej przysługujący inwalidom. Jeśli twojemu ciału coś dolega, możesz jadać z personelem kuchennym. W popołudniowym świetle kurza łapka na jego kurtce wydawała się bardzo czarna i wyraźna.

Kiedy się zbliżyłem, dostrzegłem, na co patrzy: „Wprowadzenie do socjologii". Upuścił książkę na czerwoną kostkę Alejki Benneta i zastanawiał się, jak ma ją podnieść, nie przewracając się na twarz. Trącał ją kulą. Miał dwie, może nawet trzy pary kul; te miały oparcia z szeregu stalowych okręgów. Słyszałem, jak mruczy: „ciach-ciach", przesuwając książkę z

miejsca na miejsce. Gdy szedł, to „ciach-ciach” brzmiało z wielką determinacją. Teraz było wyrazem frustracji. Kiedy lepiej poznałem Stoke’a (nie będę go nazywać Ciach-Ciachem, choć wielu Ronniepodobnych typów robiło to chętnie), zafascynowało mnie bogactwo sposobów, na jakie można powiedzieć to „ciach-ciach”. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że Nawahowie mają czterdzieści sposobów artykulacji słowa „chmura”. Zresztą wtedy nie wiedziałem jeszcze mnóstwa rzeczy.

Usłyszał moje kroki i poderwał głowę tak gwałtownie, że omal się nie wywrócił. Wyciągnąłem rękę, żeby go podtrzymać. Cofnął się w głębi zbyt obszernej wojskowej kurtki.

- Odwal się! - Jakby myślał, że chcę go popchnąć. Uniosłem obie ręce, pokazując mu, że jestem bezbronny. Potem przykucnąłem. - I zostaw moją książkę!

Nie zareagowałem, podniosłem podręcznik i wsadziłem mu go pod ramię jak gazetę.

- Nie potrzebuję pomocy!

Miałem już odwarknąć, ale znowu zauważyłem śmiertelną bladość jego policzków pod purpurowymi plackami rumieńców oraz wilgotne od potu włosy. Znowu czułem bijący od niego zapach - tę woń przepracowanego mechanizmu - i zdałem sobie sprawę, że tym razem go także słychać: oddychał ostro, chrapliwie. Jeśli jeszcze nie znalazł drogi do uniwersyteckiego szpitala, najwyższa pora mu ją pokazać.

- Na miłość boską, nie proponowałem, że cię wezmę na barana. - Usiłowałem się uśmiechnąć i do pewnego stopnia mi się to udało. W końcu dlaczego nie? Dzień ledwie się zaczął, a ja już miałem w kieszeni dziewięć dolców. Jak na warunki drugiego piętra w Chamberlainie byłem bogaczem.

Jones wbił we mnie te swoje czarne oczy. Zacisnął usta, ale po chwili skinął głową.

- Dobra. Punkt dla ciebie. Dzięki. - I podjął drogę pod górę. Początkowo wysforował się naprzód, ale potem droga dała mu się we znaki i musiał zwolnić. Chrypliwy oddech stał się głośniejszy. Słyszałem go wyraźnie, w miarę jak się zbliżałem.

- Może dasz sobie trochę luzu? - rzuciłem.

Zmierzył mnie rozdrażnionym spojrzeniem typu „jeszcze tu jesteś?”.

- A może mi obciągniesz? Wskazałem na książkę.

- Zaraz ci znowu wypadnie.

Poprawił ją i znów oparł się na kulach, przygarbiony jak rozeźlona czapla. Rzucił mi paskudne spojrzenie spod strzechy zmierzwionych czarnych włosów.

- Idź. Nie potrzebuję niańki. Wzruszyłem ramionami.

- Nie chciałem się tobą opiekować, tylko pogadać.

- A ja nie.

Ruszyłem przed siebie, wkurzony pomimo tych dziewięciu dolców. My, klasowe wesołki, nie staramy się zdobywać przyjaciół - dwóch lub trzech wystarczy nam na całe życie - ale nie tolerujemy sczyszczania. Naszym celem jest posiadanie tłumów znajomych, których możemy rozbawić.

- Riley - odezwał się Stoke.

Odwróciłem się. Myślałem, że jednak zdecydował się trochę spuścić z tonu. Bardzo się myliłem.

- Są gesty i gesty. Wysmarowanie drzwi Złotka stoi o centymetr wyżej niż ciągnięcie małej Susie za warkocze, bo nie umiesz inaczej jej powiedzieć, że ją kochasz.

- Nie wysmarowałem tych drzwi - wycedziłem jeszcze bardziej rozdrażniony.

- Tak, ale grasz w karty z dupkiem, który to zrobił. Udzielasz mu swojej wiarygodności. - Zdaje się, że wtedy po raz pierwszy usłyszałem to słowo, które później zrobiło nieprawdopodobną karierę w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Głównie w polityce. Zdaje się, że słowo to umarło ze wstydu około 1989 roku, podobnie jak wszystkie hasła z lat sześćdziesiątych. - Po co marnujesz czas?

To wystarczyło, żeby mnie doprowadzić do furii, więc palnąłem coś, co teraz wydaje mi się niewiarygodną głupotą.

- Mam masę czasu do marnowania.

Jones pokiwał głową, jakby spodziewał się po mnie dokładnie tego i niczego więcej. Ruszył i minął mnie swym wahadłowym krokiem, ze spuszczoną głową i przygarbionymi plecami, przepoconymi włosami i książką ściskaną pod pachą. Czekałem, aż znowu mu się wyśliźnie. Tym razem bym jej nie podniósł.

Ale nie wypadła mu, a kiedy dotarł do drzwi jadalni, otworzył je z mozołem i wreszcie zniknął w środku, ruszyłem w swoją drogę. Napełniłem tacę i usiadłem z Carol Gerber i resztą ekipy kuchennej. Siedzieliśmy najdalej jak można od Jonesa, co mi odpowiadało. A on siedział z dala od innych inwalidów. Stoke Jones stronił od wszystkich. Clint Eastwood o kulach.

9

Wydawanie obiadów zaczynało się o piątej. Kwadrans po taśma była już w ruchu i tak przez następną godzinę. Mnóstwo studentów na weekendy wracało do domu, ale ci, którzy zostawali, zjawiali się w komplecie, ponieważ w soboty podawano fasolę i chleb kukurydziany. Na deser była galaretka. Deserem w Pałacu na Równinach niemal zawsze była galaretka. Kiedy kucharz miał wyjątkowo dobry humor, w deserze znajdowały się małe kawałki owoców.

Carol zajmowała się sztućcami; gdy jednak ruch się zmniejszył, nagle odeszła od okienka, zanosząc się ze śmiechu, aż poczerwieniały jej policzki. Środkiem taśmy nadjeżdżało dzieło Skipa. Przyznał się tego samego wieczoru, aleja wiedziałem od pierwszej chwili, że to jego. Choć miał zostać nauczycielem historii i trenerem baseballu w dobrym starym liceum Dextera, gdzie czekała go praca pedagogiczna aż do śmierci z przepracowania i przepicia, powinien się znaleźć na wydziale sztuk pięknych… i prawdopodobnie tak by się stało, gdyby nie pochodził z rodziny farmerów, którzy nie znają się na takich wydziwianiach. Był drugim lub trzecim potomkiem tej licznej rodziny (ich wyznanie to irlandzcy alkoholicy, jak powiedział), który poszedł na studia. Klan Kirków mógł się ostatecznie pogodzić z nauczycielem w rodzinie - ostatecznie - ale nie z malarzem czy rzeźbiarzem. W wieku osiemnastu lat Skip nie miał lepszego oglądu rzeczy niż oni. Przeczuwał, że nie całkiem pasuje do miejsca, w które usiłował się wcisnąć, i to go niepokoiło. To dlatego wędrował po cudzych pokojach, przeglądał cudze płyty i krytykował cudze muzyczne upodobania.

W roku 1969 także nie miał pojęcia, kim właściwie jest. Był to rok, kiedy skonstruował wietnamską rodzinę z *papier-mache,* która spłonęła pod koniec demonstracji pokojowej przed biblioteką Foglera, podczas gdy grano „Get Together", a sympatycy hipisowskiego ruchu usiłowali wyglądać jak wojownicy wracający z polowania. Widzicie, jak mi się to wszystko wymieszało? To była Atlantyda, tego jestem pewien, głęboko na dnie oceanu. Spalona papierowa rodzina, hipisi skandujący „napalm, napalm, gówno z nieba", tańczący, a potem inni, równe chłopaki i prawdziwi mężczyźni, rzucający w nich czym popadnie. Najpierw jajkami, potem kamieniami.

Ale to nie na widok rodziny z *papier-mache* Carol zatoczyła się ze śmiechu przy ruchomej taśmie na jesieni 1966 roku. Jurny człowieczek z hot doga stał na Matterhornie z pieczonej fasoli. Parówka sterczała mu we właściwym miejscu, w ręce trzymał mały proporczyk

uniwersytetu, na głowie miał strzępek niebieskiej chusteczki, złożony tak, że wyglądał jak czapeczka pierwszoroczniaków. Na tacy, starannie wypisane literkami z pokruszonego kukurydzianego chleba, widniało hasło: JEDZ DUŻO FASOLI!

Podczas mojego stażu na pasie transmisyjnym nadjechało wiele jadalnych dzieł sztuki, ale to było absolutnie najlepsze. Stoke Jones bez wątpienia uznałby to za stratę czasu, lecz w tym wypadku jednak nie miałby racji. Rzecz, na której wspomnienie śmiejesz się jeszcze po trzydziestu latach, nie jest marnowaniem czasu. Według mnie to coś bliskiego nieśmiertelności.

10

Wyszedłem z roboty o wpół do siódmej, wyszedłem tylnymi drzwiami z ostatnim workiem śmieci i wrzuciłem go do jednego z czterech pojemników ustawionych rządkiem za jadalnią jak stalowe resoraki.

Kiedy się odwróciłem, ujrzałem Carol Gerber i parę innych osób. Stali za rogiem budynku, palili i obserwowali wschód księżyca. Dwoje ruszyło do akademika w chwili, gdy podszedłem, wyjmując pall maile.

- Hej, Pete, jedz dużo fasoli - odezwała się Carol i parsknęła śmiechem.

- Mhm. - Zapaliłem papierosa. Potem, właściwie bez namysłu, dodałem: - Dziś wieczorem w Hauck puszczają filmy Bogarta. Zaczynają o siódmej. Jest jeszcze czas. Masz ochotę?

Paliła, przez jakiś czas zwlekając z odpowiedzią, ale uśmiechała się i wiedziałem, że się zgodzi. Do niedawna myślałem tylko o tym, żeby wrócić do świetlicy na drugim piętrze i siąść znów do kierek.

Jednak teraz, gdy znalazłem się z dala od gry, wydała mi się o wiele mniej ważna. Czy rzeczywiście tak się wkurzyłem, że chciałem spuścić łomot Ronniemu Malenfantowi? Tak sądziłem - wspomnienie było dość wyraźne - ale kiedy stałem z Carol na chłodnym powietrzu, trudno mi było zrozumieć, dlaczego to powiedziałem.

- Mam chłopca - odezwała się wreszcie.

- Czy to znaczy „nie”?

Pokręciła głową, ciągle z tym słabym uśmiechem. Dym z papierosa zasłonił jej twarz. Włosy, uwolnione z siatki, którą dziewczyny musiały wkładać do pracy, opadły jej na czoło.

- To informacja. Pamiętasz „Więźnia”? „Numerze Sześć, potrzebujemy… informacji”.

- Mam dziewczynę. Więcej informacji.

- Mam jeszcze inną pracę, uczę matematyki. Obiecałam, że dziś spędzę godzinkę z dziewczyną z pierwszego piętra. Jest beznadziejna i ciągle jęczy, ale zawsze to sześć dolarów za godzinę. - Roześmiała się. - Dobrze nam idzie, wymieniamy informacje jak wściekli.

- Ale Bogie chyba nie ma szans - dodałem. Nie martwiłem się. Wiedziałem, że pójdziemy do kina. Wydaje mi się, że przeczuwałem też czekający nas romans. Czułem uniesienie, takie mrowienie w żołądku.

- Mogę zadzwonić do Esther z Hauck i powiedzieć, że przesuwam lekcję na dziesiątą. Esther to smutny przypadek. Nigdy nie wychodzi. Przeważnie siedzi w pokoju z włosami na wałkach i pisze do domu o tym, jak ciężko jest na studiach. Zobaczymy przynajmniej pierwszy film.

- Może być.

Ruszyliśmy w stronę Hauck. O, to były czasy: nie trzeba było wynajmować opiekunki do dziecka, wyprowadzać psa, karmić kota czy włączać w domu alarmu. Po prostu się szło i już.

- Czy to randka? - spytała po chwili.

- No, pewnie coś w tym rodzaju. - Na ścieżkach pojawili się inni, kierujący się do audytorium.

- To dobrze, bo zostawiłam torebkę w pokoju. Nie mogę za siebie zapłacić.

- Nie przejmuj się, jestem dziś bogaty. Nieźle wygrałem.

- W pokera?

- W kierki. Umiesz grać?

- Żartujesz? Kiedy miałam dwanaście lat, spędziłam trzy tygodnie na obozie. To był obóz YMCA, dla biednych dzieci, jak mawiała moja mama. Lało codziennie i w kółko graliśmy w kierki. Polowanie na Sukę. - W jej oczach pojawiło się odległe spojrzenie, jakie mają ludzie, którzy potkną się o jakieś wspomnienie jak o but w ciemnościach. - Szukajcie czarnej damy. *Cherchez la femme noire.*

- Tak, o to chodzi - powiedziałem, wiedząc, że w tej chwili nie ma jej przy mnie. Potem wróciła, uśmiechnęła się i wyjęła papierosy z kieszeni dżinsów. W tamtych czasach strasznie dużo paliliśmy. Wszyscy. Wtedy można było jeszcze palić w poczekalniach szpitalnych. Opowiedziałem o tym córce i początkowo myślała, że ją nabieram.

Także wyjąłem papierosy i przypaliłem nam obojgu. Fajna chwila, kiedy tak spoglądaliśmy na siebie przez płomyk zapalniczki Zippo. Nie tak słodka jak pocałunek, ale miła. Znowu poczułem tę lekkość, odniosłem wrażenie, że się unoszę. Czasami wydaje ci się, że widzisz więcej niż zwykle i być może tak właśnie jest. Takie chwile są dobre. Zamknąłem zapalniczkę i ruszyliśmy dalej. Grzbiety naszych dłoni były blisko siebie, choć właściwie się nie ocierały.

- O jakiej sumie mówimy? - spytała. - Wystarczy, żeby
uciec do Kalifornii czy niekoniecznie?

- Dziewięć dolarów.

Roześmiała się i wzięła mnie za rękę.

- Więc to prawdziwa randka. Możesz mi kupić także popcorn.

- Pewnie. Zależy ci na jakiejś szczególnej kolejności?

Pokręciła głową.

- Bogie to Bogie.

- Racja. - Ale miałem nadzieję, że pierwszy będzie „Sokół maltański".

I był. W połowie, gdy Peter Lorre odwrócił się w dość złowieszczy sposób, a Bogie spojrzał na niego z uprzejmym i rozbawionym niedowierzaniem, spojrzałem na Carol. Patrzyła na mnie. Pochyliłem się i pocałowałem jej pachnące popcornem i masłem usta przy czarno-białym księżycowym świetle pierwszego natchnionego filmu Johna Hustona. Miała słodkie, uległe wargi. Cofnąłem się nieco. Ciągle na mnie patrzyła. Lekki uśmiech powrócił. Podała mi torbę popcornu, a ja zrewanżowałem się pudełkiem rodzynek w czekoladzie i obejrzeliśmy resztę filmu.

11

W drodze powrotnej do akademików wziąłem ją za rękę, prawie się nad tym nie zastanawiając. Splotła palce z moimi w dość naturalny sposób, ale wydawało mi się, że czuję jej rezerwę.

- Wrócisz na „Bunt na okręcie”? - spytała. - Możesz, jeśli nie wyrzuciłeś biletu. Mogę ci dać swój.

- Nie, muszę się pouczyć geologii.

- Raczej będziesz grać przez całą noc.

- Nie stać mnie. - Mówiłem szczerze. Naprawdę zamierzałem zabrać się do roboty. Naprawdę.

- „Samotna walka albo żywot stypendysty”. Wstrząsająca powieść Dickensa. Rozdzierające serce losy dzielnego Petera Rileya, którzy rzuca się do rzeki na wieść, że stracił stypendium.

Roześmiałem się. Była bardzo inteligentna.

- Wiesz, jadę na tym samym wózku. Jeśli oboje oblejemy, może popełnimy razem samobójstwo? Chlup do wody. Żegnaj, okrutny świecie.

- Co dziewczyna z Connecticut robi na Uniwersytecie Maine?

- To dość skomplikowane. A jeśli zamierzasz jeszcze kiedyś się ze mną umówić, musisz wiedzieć, że podpadasz pod paragraf. Jestem nieletnia. Zrobiłam dwie klasy w jeden rok. Akurat wtedy rozwodzili się moi rodzice i czułam się okropnie. Mogłam albo się uczyć całymi dniami, albo zostać jedną z puszczalskich z liceum. Wiesz, tych, co się specjalizują we francuskich pocałunkach i zwykle zachodzą w ciążę jako szesnastolatki. Wiesz, o których mówię?

- Jasne. - W Gates widywało się je chichoczące w małych grupkach przed sklepem, gdzie czekały na chłopców z fordach i plymouthach. Te same dziewczyny widywało się później jako kobiety, starsze o dziesięć lat i grubsze o dwadzieścia kilo, pijące piwo i wódkę po drugiej stronie ulicy w knajpie Chucky’ego.

- Stałam się kujonem. Ojciec był marynarzem. Dostał rentę i przeprowadził się do Maine… do Damariscotty, na wybrzeżu.

Skinąłem głową, myśląc o Dianie Renee i chłopcu, co do marynarki gna, o szabadabada.

- Mieszkałam z matką w Connecticut i chodziłam do Harwich.

Złożyłam papiery do szesnastu uczelni i wszystkie z wyjątkiem trzech mnie przyjęły… ale…

- Spodziewały się, że będziesz płaciła czesne, a ty nie mogłaś.

Skinęła głową.

- Do fajnego stypendium brakowało mi około dwudziestu punktów. Jakaś działalność pozalekcyjna też by nie zawadziła, ale byłam zbyt pochłonięta wkuwaniem. Poza tym byłam już ze Smutnym Johnem.

- To twój chłopak?

Skinęła głową, ale nie tak, jakby ją naprawdę interesował.

- Najlepsze stypendia dawały Uniwersytet Maine i UConn. Zdecydowałam się na Maine, ponieważ zaczęłam się już kłócić z matką. Nie rozumiałyśmy się.

- Z ojcem jest lepiej?

- Rzadko go widuję - powiedziała suchym, oficjalnym tonem. - Mieszka z taką kobietą… no, dużo piją i kłócą się ze sobą, nie wnikajmy w to. Ale on jest tu zameldowany, ja jestem jego córką, a to uniwersytet, który daje stypendia. Nie dostałam wszystkiego, czego potrzebowałam - prawdę mówiąc, UConn proponował mi lepsze warunki - lecz nie boję się pracy. Wszystko, byle się wyrwać.

Odetchnęła głęboko; z ust uleciał jej ledwie widoczny obłoczek pary. Byliśmy już prawie we Franklinie. W korytarzu widziałem chłopaków na twardych plastikowych krzesłach, czekali, aż dziewczyny do nich zejdą. Wyglądali jak galeria złoczyńców. Wszystko, byle się wyrwać. Chodziło jej o matkę, miasto i liceum, czy także chłopaka?

Przed podwójnymi drzwiami akademika objąłem Carol i pochyliłem się, żeby ją znowu pocałować. Oparła mi ręce na piersi i powstrzymała mnie, patrząc z tym swoim uśmieszkiem. Mógłbym go pokochać - był to uśmiech, o którym można myśleć w środku nocy, obudziwszy się z głębokiego snu. Błękitne oczy i jasne włosy też się liczyły, ale głównie chodziło o uśmiech. Usta wyginały się bardzo lekko, lecz w kącikach i tak pojawiały się dołeczki.

- Mój chłopak naprawdę nazywa się John Sullivan - powiedziała. - Jak ten bokser. Teraz powiedz, jak się nazywa twoja dziewczyna.

- Annmarie. Annmarie Soucie. Chodzi do klasy maturalnej w Gates Falls. Puściłem ją. Kiedy to zrobiłem, oderwała dłonie od mojej piersi i wzięła mnie za ręce.

- To informacja. Informacja, nic więcej! Nadal chcesz mnie pocałować?

Przytaknąłem. Chciałem bardziej niż dotąd.

- Dobrze. - Przechyliła głowę, zamknęła oczy, lekko rozchyliła usta. Wyglądała jak dziecko, które czeka, aż tatuś pocałuje je na dobranoc. Była tak słodka, że prawie się roześmiałem. Ale jednak pochyliłem się i ją pocałowałem. Oddała pocałunek z przyjemnością i entuzjazmem. Nie pieściliśmy się językami, ale był to rzetelny, głęboki pocałunek. Kiedy się cofnęła, miała zarumienione policzki i błyszczące oczy.

- Dobranoc. Dziękuję za film.

- Chcesz to powtórzyć?

- Muszę się zastanowić. - Uśmiechała się, ale oczy miała poważne. Podejrzewam, że myślała o swoim chłopaku. Ja na pewno myślałem o Annmarie. - Może ty też się zastanów. Zobaczymy się w poniedziałek w kuchni. Co masz?

- Obiad i kolację.

- A ja śniadanie i obiad. Do zobaczenia przy obiedzie.

- Jedz dużo fasoli.

Rozśmieszyłem ją. Weszła do akademika. Odprowadziłem ją wzrokiem, stojąc na dworze z podniesionym kołnierzem, rękami w kieszeniach i papierosem w ustach. Czułem się jak Bogie. Carol powiedziała coś do dziewczyny w recepcji i pobiegła na górę, ciągle się śmiejąc.

Wróciłem do Chamberlaina przy blasku księżyca, zdecydowany poważnie zabrać się do nauki o geosynklinach.

12

Przysięgam na wszystko, do świetlicy wszedłem tylko po podręcznik do geologii. Wszystkie stoliki - plus parę przyniesionych z innych pięter - były obsadzone napalonymi idiotami. W kącie na podłodze siedziała grupa wpatrzona ze skupieniem w karty. Wyglądali jak rąbnięci jogini.

- Polowanie na Sukę! - ryknął Ronnie Malenfant na całą świetlicę. - Dopadniemy Sukę, chłopaki!

Wziąłem podręcznik z sofy, gdzie przeleżał cały dzień i wieczór (ktoś na nim usiadł i prawie zupełnie go wepchnął pomiędzy poduszki, ale ta cegła była za wielka, żeby się zupełnie schować), i spojrzałem na niego, jakbym miał przed sobą wynalazek o nieznanym przeznaczeniu. W audytorium Haucka, gdy siedziałem obok Carol Gerber, ten szalony hazard wydawał mi się snem. Teraz to Carol stała się snem - Carol z dołeczkami w policzkach i chłopakiem, który nazywał się tak samo jak bokser. W kieszeni miałem jeszcze sześć dolarów i to absurd, ale czułem się zawiedziony, ponieważ przy żadnym stoliku nie było wolnego miejsca.

Powinienem wkuwać. Zaprzyjaźnić się z geosynkliną. Pójdę do świetlicy na trzecim piętrze albo znajdę sobie zaciszny kącik w sali telewizyjnej.

Właśnie wychodziłem, gdy Kirby McClendon rzucił karty na stół i krzyknął:

- Pieprzę, jestem bez grosza! Tylko dlatego, że ciągle dostaję tę kurwę pik! Dam wam wszystkim weksle, ale przysięgam na Boga, jestem bez grosza. - Wyszedł, nie oglądając się za siebie; przechodząc przez drzwi, musiał się pochylić. Zawsze uważałem, że taki wzrost to dopust Boży. Miesiąc później Kirby znalazł się w znacznie gorszych opałach; przerażeni rodzice zabrali go z uniwersytetu po jego załamaniu i idiotycznej próbie samobójczej. Nie był pierwszą ofiarą kierkowej manii, ale tylko on próbował zejść z tego świata za pomocą dwóch butelek aspiryny o smaku pomarańczowym, przeznaczonej dla dzieci.

Lennie Doria nawet się na niego nie obejrzał. Natomiast spojrzał na mnie.

- Wchodzisz, Riley?

W mojej duszy rozgorzała krótka, lecz prawdziwa walka. Musiałem się uczyć. Zamierzałem się uczyć, a w przypadku stypendysty był to jedyny słuszny plan, z pewnością słuszniejszy niż pomysł siedzenia w zadymionym pokoju i pogarszanie atmosfery własnymi pall mailami.

Toteż powiedziałem:

- Jasne, czemu nie. - Usiadłem i grałem w kierki do pierwszej w nocy. Gdy wreszcie dowlokłem się do pokoju, Nate leżał w łóżku, czytając Biblię. Zawsze to robił przed zaśnięciem. Czytał Słowo Boże po raz trzeci, od początku do końca. Doszedł już do Księgi Nehemiasza. Podniósł na mnie oczy z wyrazem spokojnej ciekawości - ten wyraz nie zmieniał się przez większość dnia. Teraz, skoro się już nad tym zastanawiam dochodzę do wniosku, że Nate w ogóle prawie się nie zmieniał. Był na stomatologii i pozostał na niej; w ostatniej kartce na Boże Narodzenie, którą od niego dostałem, było zdjęcie jego nowego gabinetu w Houlton. Na przysypanym śniegiem trawniku stali trzej królowie wokół żłóbka. Za Matką Boską i Józefem widać było tabliczkę na drzwiach: NATHANIEL HOPPENSTAND, LEK. STOM. Ożenił się z Cindy. Nadal byli małżeństwem, a trójka ich dzieci prawie dorosła. Rinty pewnie zdechł i zastąpili go nowym psem.

- Wygrałeś? - spytał niemal takim samym głosem jak moja żona parę lat później, kiedy wracałem podpity do domu po czwartkowym pokerze.

- Owszem. - Dotarłem do stołu, przy którym brylował Ronnie, i przegrałem trzy z ocalałych sześciu dolarów, po czym przeniosłem się do następnego, gdzie się odegrałem i wyszedłem dobrze do przodu. Ale nie zbliżyłem się nawet na centymetr do geosynkliny lub tajemnicy ruchów tektonicznych.

Nate miał na sobie piżamę w biało-czerwone paski. On jeden ze wszystkich moich współlokatorów, mężczyzn i kobiet, nosił piżamę. Oczywiście także on jeden był dumnym właścicielem „Diane Renee Sings Navy Blue". Kiedy zacząłem się rozbierać, Nate schował się pod kołdrę i odwrócony tyłem zgasił lampkę na biurku.

- Przygotowałeś się do testu? - spytał w ciemnościach.

- Mniej więcej. - Parę lat później, kiedy wracałem z tych partyjek pokera, a żona pytała mnie, czy jestem bardzo pijany, dokładnie takim samym tonem odpowiadałem, że wypiłem tylko parę kieliszków.

Rzuciłem się na łóżko, wyłączyłem lampkę i zasnąłem niemal w ułamku sekundy. Śniło mi się, że gram w kierki. Rozdawał Ronnie Malenfant; Stoke Jones stał w drzwiach, zgarbiony nad kulami i przyglądał mi się - nam wszystkim - z dezaprobatą purytanina. Na stole leżała ogromna sterta pieniędzy, setki dolarów w pomiętych piątkach i jedynkach, weksle, nawet parę

czeków. Spojrzałem na to i obejrzałem się na drzwi. Po jednej stronie Jonesa stała Carol, po drugiej Nate w piżamie prążkowanej jak cukrowa pałeczka.

- Chcemy informacji - powiedziała Carol.

- Nie ma mowy - odparłem, tak jak Patrick McGoohan odpowiadał Numerowi Dwa.

- Zostawiłeś otwarte okno - odezwał się Nate. - W pokoju jest zimno i wiatr rozrzucił kartki.

Na to nie zdołałem wymyślić dobrej odpowiedzi, wziąłem więc karty, które przede mną leżały, i ułożyłem je w wachlarz. Trzynaście kart, a każda z nich była damą pik. Trzynaście czarnych dam. Trzynaście Suk.

13

Wojna w Wietnamie toczyła się pomyślnie - tak powiedział Lyndon Johnson w drodze przez południowy Pacyfik. Owszem, zdarzyło się też parę drobnych niepowodzeń. Wietkong zestrzelił trzy amerykańskie samoloty właściwie o krok od Sajgonu; nieco dalej jakiś tysiąc żołnierzy Wietkongu dokopał dwa razy liczebniejszym wojskom Wietnamu Południowego. W Delcie Mekongu okręty amerykańskie zatopiły sto dwadzieścia łodzi patrolowych Wietkongu, w których, jak się okazało - ups! - było wiele dzieci, uciekających przed wojną. W październiku Ameryka straciła czterechsetny samolot, F-105 Thunderchief. Pilot uratował się, skacząc na spadochronie. W Manili premier Wietnamu Południowego, Nguyen Cao Ky, upierał się, że nie jest oszustem. Podobnie jak członkowie jego gabinetu, dodał, a fakt, że podczas jego pobytu na Filipinach tuzin z nich podało się do dymisji, jest czystym zbiegiem okoliczności.

W San Diego Bob Hope występował przed żołnierzami skierowanymi na zachodnie wybrzeże Stanów.

- Miałem zadzwonić do Binga i wysłać go z wami - powiedział - ale ten skubany sukinkot ma zastrzeżony numer.

Żołnierze ryczeli ze śmiechu.

W radiu królowali ? and The Mysterians. Ich piosenka, „96 łez", była megaprzebojem. Drugiego już nie napisali.

W Honolulu tancerki hula-hula powitały prezydenta Johnsona.

W ONZ sekretarz generalny U Thant błagał przedstawiciela Ameryki, Arthura Goldberga, żeby zaprzestać, przynajmniej czasowo, bombardowania Wietnamu Północnego. Arthur Goldberg skontaktował się z Wielkim Białym Ojcem na Hawajach. Wielki Biały Ojciec, pewnie ciągle w wieńcu z kwiatów, powiedział, że nie ma mowy; jak przestanie Wietkong, to i my przestaniemy. (Johnson raz i to niezgrabnie zatańczył z dziewczętami hula-hula. Pamiętam, że widziałem to w telewizji i pomyślałem, że tańczy jak każdy znany mi biały facet).

W Greenwich Village policja rozpędziła demonstrację pokojową. Podobno demonstranci nie mieli pozwolenia. W San Francisco członkowie demonstracji z plastikowymi czaszkami na tyczkach i twarzami pomalowanymi na biało zostali rozpędzeni gazem łzawiącym. W Denver policja zdarła tysiące plakatów obwieszczających, że w Chautauqua Park w Boulder odbędzie się marsz antywojenny. Znaleziono jakieś przepisy zabraniające rozklejania takich plakatów. Ale

regulamin nie zabrania, jak zapewnił dowódca policji w Denver, rozwieszania plakatów filmowych, ogłaszających wyprzedaże starych ubrań, informujących o potańcówkach czy nagrodzie za znalezienie zaginionego psa. Te plakaty, jak wyjaśnił dowódca, nie mają politycznej wymowy.

Naszą cegiełką było zorganizowanie strajku okupacyjnego w Pawilonie Wschodnim, gdzie zakłady chemiczne Colemana zorganizowały spotkania w sprawie pracy. Coleman, podobnie jak Dow, produkował napalm. Wytwarzał także mieszankę pomarańczową, składniki jadu kiełbasianego oraz antrachinon. Nikt nie wiedział, dlaczego w 1980 roku fabryki zbankrutowały. W naszej gazetce uniwersyteckiej zamieszczono zdjęcie aresztowanych demonstrantów. Większa fotografia ukazywała jednego z nich; odciągał go od drzwi Pawilonu jeden policjant, podczas gdy drugi stał obok, trzymając kule rzeczonego demonstranta, którym oczywiście był Stoke Jones w dżinsowej kurtce z kurzą łapką na plecach. Policjanci obchodzili się z nim dość łagodnie, jestem tego pewien - w tamtych czasach demonstracje były jeszcze nowinką, nie irytującą przeszkodą - ale zestawienie wielkiego gliniarza z potykającym się kalekim chłopcem nadawało zdjęciu ohydny wydźwięk. Zastanawiałem się nad tym nieraz, zwłaszcza w latach 1968-1971, gdy według Boba Dylana „gra stała się ostra". Największe zdjęcie w tym wydaniu gazety przedstawiało manewry wojskowe, chłopców w mundurach maszerujących po zalanym słońcem boisku. MANEWRY ŚCIĄGAJĄ TŁUMY WIDZÓW, głosił nagłówek.

Jeśli chodzi o bardziej przyziemne sprawy, niejaki Peter Riley dostał pałę z geologii, a dwa dni później dwóję z minusem na sprawdzianie z socjologii. W piątek otrzymałem sprawdzone jednostronicowe wypracowanie, które nagryzmoliłem tuż przed zajęciami z angielskiego w poniedziałek rano. Temat brzmiał: „Krawaty" (czy mężczyźni powinni je wkładać do restauracji). Ja uznałem, że nie. Krótkie uzasadnienie zasłużyło na dużą czerwoną troję, pierwszą troję z angielskiego od początku studiów, po liceum przejechanym na samych szóstkach. Ten czerwony gryzmoł wstrząsnął mną bardziej niż dwója ze sprawdzianu i jeszcze bardziej mnie wkurzył. Na górze kartki pan Babcock napisał: „Zachowałeś dotychczasową klarowność, ale w tym wypadku demaskuje ona tylko jałowość tego, co napisałeś. Dowcip, aczkolwiek przychodzi ci łatwo, jest płaski. Ta tróją to właściwie prezent. Niedbała praca".

Zastanawiałem się, czy nie porozmawiać z nim po zajęciach, ale zrezygnowałem. Pan Babcock, zawsze w muszce i dużych okularach w rogowej oprawie, już w pierwszych tygodniach

nauki dał nam jasno do zrozumienia, że uważa lizusów za najniższą formę życia. Poza tym dochodziło południe. Jeśli-szybko przegryzę coś w Pałacu na Równinach, do pierwszej wrócę na drugie piętro. Do trzeciej wszystkie stoliki w świetlicy (plus wszystkie kąty pokoju) będą już zajęte, ale o pierwszej jeszcze się jakoś wcisnę. Do tej pory wygrałem już dwadzieścia dolarów i zamierzałem powiększyć tę sumę przez weekend. W sobotę wybierałem się na tańce. Carol zgodziła się pójść. Mieli wystąpić Cumberlands, popularny uniwersytecki zespól. Wcześniej czy później (raczej wcześniej) zagrają „96 łez".

Głos sumienia, który zaczął mówić tonem Nate'a Hoppenstanda, przypomniał mi, że dobrze by było spędzić choć parę godzin nad książkami. Miałem do przeczytania dwa rozdziały geologii, dwa rozdziały socjologii, czterdzieści stron podręcznika do historii (średniowiecze za jednym podejściem), plus zestaw pytań dotyczących handlu.

Zdążę, zdążę, zapowiedziałem sumieniu. Będę się uczyć w niedzielę. Możesz na to liczyć, masz to jak w banku. I rzeczywiście w niedzielę przeczytałem sobie o prawach i sankcjach. Poczytałem o nich pomiędzy rozdaniami. Potem zrobiło się ciekawie i książka wylądowała na podłodze pod kanapą. Kładąc się spać w niedzielę - bardzo późno - uświadomiłem sobie, że nie tylko uszczupliłem swój majątek, zamiast go powiększyć (Ronnie teraz wręcz mnie szukał), ale nie wzbogaciłem się też zanadto w wiedzę. Poza tym nie zadzwoniłem do pewnej osoby.

Jeśli naprawdę chcesz mnie dotknąć, powiedziała Carol z tym swoim lekkim uśmiechem, składającym się z samych dołeczków i błysku oczu. Jeśli naprawdę chcesz mnie dotknąć.

Mniej więcej w połowie sobotnich tańców wyszliśmy na dymka. Noc była ciepła i pod północną ceglaną ścianą stało ze dwadzieścia par, obejmujących się i całujących przy świetle młodego księżyca. Poszliśmy w ich ślady. Zanim się zorientowałem, trzymałem już rękę pod jej swetrem. Potarłem kciukiem miseczkę miękkiego bawełnianego stanika, poczułem twardniejącą brodawkę. Mnie także podniosła się temperatura. Tak jak jej. Carol spojrzała mi w oczy, nadal trzymając mnie za szyję i powiedziała:

- Jeśli naprawdę chcesz mnie dotknąć, chyba powinieneś do kogoś zadzwonić, prawda?

Mam jeszcze czas, pomyślałem zapadając w sen. Mam mnóstwo czasu na naukę i telefony. Mnóstwo.

14

Skip Kirk oblał sprawdzian z antropologii - połowę odpowiedzi zgadywał i skończył z wynikiem pięćdziesięciu ośmiu punktów. Z matematyki dostał troję z minusem i to tylko dlatego, że w liceum przerabiał już te zagadnienia. Byliśmy na tym samym kursie socjologii i ze sprawdzianu dostał dwóję z minusem.

Nie tylko my mieliśmy problemy. Ronnie wygrywał w kierki, przez dziesięć dni zarobił ponad pięćdziesiąt dolców, oczywiście jeśli mówił prawdę (nikt mu nie wierzył, choć wszyscy widzieli, że wygrywa), ale na wykładach dostawał w kuper tak samo jak my. Oblał sprawdzian z francuskiego, dostał pałę z wypracowania z angielskiego („Mam gdzieś krawaty, chodzę do McDonalds'a", powiedział) i cudem zdał sprawdzian z historii, tuż przed klasówką zapoznawszy się z notatkami któregoś swojego wielbiciela.

Kirby McClendon przestał się golić i zaczął obgryzać paznokcie. Opuszczał wiele zajęć. Jack Frady przekonał swojego doradcę, żeby pozwolił mu zrezygnować z kursów statystyki, choć okres próbny już minął.

- Popłakałem się - wyjaśnił mi rzeczowo w świetlicy, gdzie graliśmy w kierki aż do bladego świtu. – Nauczyłem się w kółku dramatycznym.

Parę dni temu Lennie Doria zapukał do moich drzwi - Nate spał już od godziny snem sprawiedliwego - i spytał, czy nie byłbym zainteresowany napisaniem wypracowania na temat Crispusa Atticusa. Słyszał, że się tym zajmuję. Dobrze zapłaci; ostatnio wygrał dziesięć dolców. Powiedziałem, że mi przykro, ale nie mogę. Sam mam parę zaległych wypracowań. Lennie skinął głową i zniknął.

Ashley Rice dostał potwornego ropnego trądziku na całej twarzy. Mark St. Pierre zaczął lunatykować po pewnej makabrycznej nocy, gdy stracił prawie dwadzieścia dolców. Brad Witherspoon pobił się z gościem z parteru. Ów gość pozwolił sobie na niewinny żarcik. Później Brad sam przyznał, że rzeczywiście był niewinny, ale wtedy, trzy razy z rzędu dostawszy Sukę, chciał tylko napić się coli z automatu na parterze i nie miał nastroju do niewinnych żarcików. Odwrócił się, rzucił nierozpieczętowaną puszkę do stojącej w pobliżu popielniczki i zaczął młócić małego. Zbił mu okulary i naruszył ząb. I tak Brad Witherspoon, zazwyczaj tak samo niebezpieczny jak stara bibliotekarka, pierwszy dostał dyscyplinarne zawieszenie.

Zastanawiałem się, czy nie zadzwonić do Annmarie i nie powiedzieć jej, że umawiam się z inną, ale wydawało mi się to zbyt męczące, przede wszystkim psychicznie. Modliłem się, żeby to ona zerwała. Tymczasem Annmarie ciągle pisała, jak za mną tęskni i że przygotowała dla mnie „coś wyjątkowego" na gwiazdkę. Co prawdopodobnie oznaczało sweter w reniferki. Swetry w reniferki były jej specjalnością (w ogóle była dobra w rozmaitych robótkach ręcznych). Przysłała mi zdjęcie, na którym była w krótkiej spódniczce. Patrząc na nią nie poczułem się jurny, tylko zmęczony, winny i oszukany. Przy Carol także czułem się oszukany. Chciałem się jedynie zabawić, nie zmieniać całego życia. Mojego lub jej. Ale lubiłem ją, musiałem to przyznać. Bardzo ją lubiłem. Ten jej uśmiech, inteligentne poczucie humoru. Dobrze nam idzie, powiedziała, wymieniamy informacje jak wściekli.

Jakiś tydzień później wróciłem z Holyoke, gdzie pracowałem z nią przy obiedzie, i zobaczyłem na korytarzu drugiego piętra Franka Stuarta, powoli szedł z walizką w ręce. Frank pochodził z zachodniego Maine, jednego z tych małych miasteczek, całych w drzewach, a mówił z niesamowitym jankeskim akcentem. W kierki szło mu średnio, zwykle tracił sporo pieniędzy, ale był cholernie miły. Zawsze się uśmiechał… choć nie wtedy kiedy zastałem go przy schodach, z kufrem w objęciach.

- Zmieniasz pokój, Frank? - spytałem, ale już wiedziałem - przez ten wyraz jego twarzy, poważnej, i zapadniętej.

Pokręcił głową.

- Wracam do domu. Mama przysłała list. Powiedziała, że potrzebują zarządcy w jednej posiadłości, dość blisko nas. Zgodziłem się. Tutaj tylko marnuję czas.

- Wcale nie! - zawołałem, dość wstrząśnięty. - Chryste Panie, Frankie, przecież studiujesz!

- Wcale nie, w tym sęk. - W korytarzu panował mrok, na dworze lało. Mimo to wydało mi się, że na policzkach Franka pojawił się rumieniec. Wstydził się. To dlatego chciał wyjechać w środku dnia, kiedy w akademiku jest pusto. - Nic tu nie robiłem, tylko grałem w karty. Zresztą nie za dobrze. I mam masę zaległości.

- Ale nie aż tyle! Jest dopiero dwudziesty piąty października!

Skinął głową.

- Wiem. Lecz nie jestem bystry jak niektórzy. W liceum też nie byłem. Muszę dobrze się przyłożyć do wkuwania, kuć i kuć, jak alpiniści, kiedy się wspinają. A tego nie robiłem. Jeśli nie

zrobisz dziury w skale, to nie wbijesz haka i nie dojdziesz wysoko. Odchodzę, Pete. Muszę odejść, bo w styczniu mnie wyrzucą.

Poczłapał dalej z kufrem, który trzymał przed sobą za uchwyty. Jego biały podkoszulek majaczył jeszcze przez chwilę w ciemnościach; kiedy minął spływające deszczem okno, krótko obcięte włosy zamigotały złotem.

Dotarł na podest pierwszego piętra i jego kroki zaczęły się odbijać echem. Dopiero wtedy podbiegłem do schodów i spojrzałem w dół.

- Frankie! Hej, Frank!

Kroki się zatrzymały. W ciemnościach dostrzegłem uniesioną ku mnie okrągłą twarz i zarysy kufra.

- Frank, a co z wojskiem? Jeśli odejdziesz ze studiów, wezmą cię do woja!

Długa cisza, jakby Frank nie wiedział, co odpowiedzieć. I nie odpowiedział, przynajmniej nie wprost. Za to odpowiedział czynem. Znów usłyszałem jego kroki. Nigdy więcej go nie widziałem.

Pamiętam, jak stałem przy schodach i myślałem ze strachem: to może się zdarzyć i mnie… może już się dzieje. Potem odsunąłem od siebie tę myśl.

Doszedłem do wniosku, że Frank był ostrzeżeniem, którego nie zlekceważę. Mnie się uda. Trochę przyhamowałem, ale pora znów włączyć dopalanie. Z dołu dobiegł mnie radosny wrzask Ronniego, że będzie polował na Sukę, że wywabi tę kurwę z kryjówki… i doszedłem do wniosku, że zacznę od jutra. Mam jeszcze dużo czasu, żeby włączyć swoje słynne odrzutowe silniki. Dziś zamierzałem rozegrać pożegnalną partyjkę kierek. Może dwie. A może czterdzieści.

15

Minęło wiele lat, zanim zrozumiałem, co było najważniejszą częścią mojej ostatniej rozmowy z Frankiem Stuartem. Powiedziałem mu, że nie może mieć jeszcze zbyt wielkich zaległości, a on stwierdził, że ma, ponieważ nie jest zbyt pojętny. Obaj się myliliśmy. W rzeczywistości można narobić sobie katastrofalnych zaległości przez krótki okres, a uczniowie, którym wiedza szybko wchodzi do głowy, jak ja, Skip i Mark St. Pierre, także bywają kujonami. W głębi duszy żywiliśmy nadzieję, że uda nam się szybko nadrobić zaległości, bo tak samo robiliśmy to w naszych sennych małomiasteczkowych liceach. Ale jak słusznie zauważył Złotko Dearborn, byliśmy na uniwersytecie.

Wspominałem już, że z trzydziestu dwóch studentów z naszego piętra (trzydziestu trzech, jeśli doliczyć Złotko… ale on był nieczuły na wdzięki kierek) tylko piętnastu dotrwało do semestru letniego. Nie oznacza to, że tych dziewiętnastu, którzy odpadli, to idioci. O nie. Prawdę mówiąc, najinteligentniejsi faceci z drugiego piętra Chamberlaina przenieśli się do innych akademików, zanim zaczęła im grozić wylotka ze studiów. Steve Ogg i Jack Frady, którzy mieszkali naprzeciwko Nate'a i mnie, w pierwszym tygodniu listopada przenieśli się do Chadbourne, motywując to w podaniu o przeniesienie „niesprzyjającą atmosferą". Kiedy administrator spytał, co to za atmosfera, odparli, że taka jak zwykle - dręczenie przez starszych, nocne awantury. Po namyśle dodali, że chyba zbyt wiele grają w karty. Podobno w Chadbourne jest spokojniej.

Pytania administratora były przewidywalne, odpowiedzi przygotowane jak na klasówkę. Steve ani Jack nie chcieli doprowadzić do likwidacji jaskini gry w świetlicy; to by ich naraziło na sporo nieprzyjemności ze strony tych, którzy by się poczuli urażeni. Zamierzali tylko spieprzać z Chamberlaina, dopóki jeszcze mogli uratować stypendia.

16

Kiepskie wyniki w nauce były jedynie drobnymi nieprzyjemnościami. Dla Skipa, mnie i wielu naszych kumpli od kart dopiero druga runda egzaminów okazała się koszmarem pierwszej kategorii. Z angielskiego dostałem szóstkę z minusem, z historii Europy - troję, ale oblałem socjologię i geologię - w pierwszym przypadku zabrakło mi paru punktów, o drugim lepiej w ogóle nie mówić. Skip oblał egzamin z antropologii, z historii kolonialnej oraz socjologii. Dostał troję z matematyki (ale i tu chodził już po bardzo kruchym lodzie, jak mi powiedział), a czwórkę z wypracowania z angielskiego. Tak więc uznaliśmy, że życie byłoby dużo prostsze, gdyby wszyscy zadawali nam same wypracowania, których tworzenie nie musiało się odbywać poza świetlicą na drugim piętrze. Innymi słowy, podświadomie tęskniliśmy za liceum.

- Dobra, wystarczy - powiedział Skip tego piątkowego wieczoru. - Kończę z tym. Mam gdzieś dyplom, nie będą go sobie wieszać nad kominkiem, ale niech mnie szlag, jeśli wrócę do Dexter i będę pasał krowy z resztą przygłupów, aż mnie wezmą w kamasze.

Siedział na łóżku Nate'a, który właśnie zajadał piątkową rybę w Pałacu na Równinach. Miło było stwierdzić, że ktoś z drugiego piętra jeszcze miał apetyt. Nie moglibyśmy tak rozmawiać w obecności mojego współlokatora; myszowaty Nate całkiem nieźle sobie poradził w ostatniej rundzie egzaminów, jechał na czwórkach i piątkach. Oczywiście nie odezwałby się ani słowem, ale patrzyłby na nas jak na idiotów. Jakbyśmy mieli słabe morale, choć to nie nasza wina.

- Jestem z tobą - oznajmiłem i właśnie w tej chwili z głębi korytarza dobiegł nas jęk rozpaczy („ooooo… dobijcie mnie!"), który rozpoznaliśmy bez trudu: ktoś dostał Sukę. Spojrzeliśmy na siebie. Nie wiem, jak Skip, nie jestem tego pewien (choć był na studiach moim najlepszym kumplem), aleja ciągle myślałem, że mam czas… i właściwie dlaczego miałbym tak nie myśleć? Do tej pory zawsze tak było. Skip wyszczerzył zęby. Ja też. Skip zachichotał. Ja też.

- A co…! - powiedział.

- Tylko dziś - dodałem. - Jutro razem pójdziemy do biblioteki.

- Wkuwać.

- Przez cały dzień. Ale teraz… Wstał.

- Zapolujemy na Sukę.

I tak zrobiliśmy. Nie byliśmy osamotnieni. Oczywiście wiem, że to nie żadne usprawiedliwienie. Po prostu tak było.

Następnego ranka przy śniadaniu Carol spytała mnie nad ruchomą taśmą:

- Podobno w waszym akademiku gra się na całego. To prawda?

- Chyba tak.

Obejrzała się na mnie przez ramię z tym swoim uśmiechem - zawsze mi się przypominał, kiedy o niej myślałem. Nadal mi się przypomina.

- Kierki? Polujecie na Sukę?

- Kierki - zgodziłem się. - Polujemy.

- Podobno niektórzy wpadli po uszy. Opuścili się w nauce.

- Chyba tak - powiedziałem. Taśma była pusta, nie nadjeżdżała nią nawet jedna taca. Nigdy nie ma ruchu, kiedy akurat by się przydał.

- A jak tam twoje stopnie? - spytała. - Wiem, że to nie moja sprawa, ale…

- Chodzi o informacje, jasne. Wiem. Idzie mi nieźle. Poza tym rezygnuję z gry.

Uśmiechnęła się tylko i ten uśmiech wciąż pamiętam. Wart był tego. Te dołeczki, lekko wygięta dolna warga, która znała tyle słodkich tajemnic pocałunków, te rozmigotane niebieskie oczy. W tamtych czasach żadna dziewczyna nie zawędrowała dalej niż do holu w męskim akademiku… i vice versa, oczywiście. Mimo to nadal odnoszę wrażenie, że przez jakiś czas w październiku i listopadzie 1966 roku Carol widziała bardzo wiele, więcej ode mnie. Ale naturalnie nie była szalona - jeszcze nie wtedy. Jej szaleństwem stała się wojna w Wietnamie. Moim też. I Skipa. I Nate'a. Kierki w ogóle się przy tym nie liczyły, były jak lekkie drgnięcie ziemi, takie, od którego okiennice lekko skrzypią, a szyby cicho dzwonią. Prawdziwe, mordercze trzęsienie ziemi - apokalipsa, która zatopiła cały kontynent - miało dopiero nadejść.

17

Barry Margeaux i Brad Witherspoon zaprenumerowali „Wiadomości Derry” i te dwa egzemplarze zwykle pod koniec dnia zaczynały krążyć po całym drugim piętrze - wieczorami, gdy siadaliśmy do kierek, znajdowaliśmy ich resztki, strony podarte i porozrzucane, krzyżówka rozwiązana trzema lub czterema charakterami pisma. Twarze Lyndona Johnsona, Ramseya Clarka i Martina Luthera Kinga miały dorysowane wąsy (ktoś, do dziś nie wiem kto, nieodmiennie domalowywał rogi wiceprezydentowi Humphreyowi i maleńkimi drukowanymi literkami dopisywał „Diabeł Hubert”). „Wiadomości” entuzjazmowały się wojną, rozgłaszały triumfalnie wszystkie sukcesy, a doniesienia o demonstracjach zsyłały na najczarniejszy koniec, przeważnie upychając je gdzieś za rubryką towarzyską.

A mimo to przy kartach coraz częściej dyskutowaliśmy nie o filmach, dziewczynach czy wykładach, lecz o Wietnamie. Choćby wieści były najlepsze na świecie, zawsze trafiało się przynajmniej jedno zdjęcie udręczonych amerykańskich żołnierzy lub płaczących wietnamskich dzieci, które patrzyły na płonącą wioskę. Gdzieś w „codziennym spisie zgonów”, jak to nazywał Skip, zawsze trafiała się przemycona niepokojąca informacja, na przykład o tych dzieciach, które poszły na dno, gdy zatopiliśmy łodzie Wietkongu.

Oczywiście Nate nie grywał w kierki. Nie dyskutował także na temat wojny - podejrzewam, że nie wiedział, tak jak i my, iż Wietnam był kiedyś pod rządami Francji, albo co się stało z Francuzami, którzy mieli pecha znaleźć się w 1954 roku w Dien Bien Phu. A już na pewno nie wiedział, dlaczego prezydent Diem poszedł do wielkiego *papasan* w niebie, żeby Nguyen Cao Ky ze swymi generałami mógł przejąć władzę. Nate wiedział tylko, że partyzanci nic mu nie zrobili i w najbliższej przyszłości nie zamierzają zaatakować Waszyngtonu.

- Nie słyszałeś nigdy o teorii domina, idioto? – spytał mały pierwszoroczniak Nicholas Prouty. Mój współlokator rzadko pojawiał się w świetlicy na drugim piętrze, przedkładając nad nią spokojniejsze rewiry pierwszego piętra, ale tym razem zajrzał do nas na chwilę.

Spojrzał na Nicka Prouta, syna rybaka i wiernego wielbiciela Ronnie Malenfanta, i westchnął.

- Skoro mowa już o dominie, wychodzę. To beznadziejnie nudna gra. Taka jest moja teoria domina. - Rzucił na mnie okiem. Szybko odwróciłem głowę, ale nie dość szybko, by nie

zauważyć jego wzroku: co się z tobą dzieje, do cholery? Potem Nate poczłapał w swych futrzanych kapciach do pokoju, by podjąć przerwane studia nad ubytkami.

- Wiesz, Riley, masz walniętego kumpla - odezwał się Ronnie z papierosem w kąciku ust. Zapalił zapałkę jedną ręką - była to jego specjalność - i przytknął do papierosa.

O nie, pomyślałem, Nate jest zdrowy jak rzepa. To my jesteśmy walnięci. Przez chwilę czułem przejmującą rozpacz. W tej właśnie chwili zdałem sobie sprawę, że wdepnąłem w straszne bagno i nie mam pojęcia, jak się z niego wydostać. Czułem na sobie wzrok Skipa i zrozumiałem, że jeśli rzucę karty Ronniemu w twarz i wyjdę, Skip pójdzie w moje ślady. Prawdopodobnie z ulgą. Potem wrażenie minęło. Minęło równie szybko, jak się pojawiło.

- Nate jest w porządku - powiedziałem. - Ma tylko dziwne pomysły.

- Dziwne komunistyczne pomysły - odezwał się Hugh Brennan. Jego starszy brat służył w marynarce i ostatnio pisał z Morza Wschodniochińskiego. Hugh nie miał zrozumienia dla demonstracji przeciwko wojnie. Ja, jako republikanin, powinienem być taki sam, ale Nate powoli mnie przekonywał. Miałem dużą wiedzę i brakowało mi prawdziwych argumentów przemawiających na korzyść wojny… nie miałem też czasu, żeby jakieś wymyślić. Za bardzo mnie pochłaniały studia nad socjologią.

Jestem całkowicie pewien, że tamtego wieczoru byłem o włos od zadzwonienia do Annmarie Soucie. Budka telefoniczna naprzeciwko świetlicy stała pusta, ja miałem pełną kieszeń drobnych po ostatnim triumfie w kierkowej potyczce i raptem uznałem, że nadeszła wiekopomna chwila. Wykręciłem jej numer (znałem go na pamięć, choć nad czterema ostatnimi cyframi musiałem się przez chwilę zastanowić 8146 czy 8164?) i wrzuciłem trzy dwudziestopięciocentówki. Odczekałem jeden sygnał, po czym nagle rzuciłem słuchawkę i zabrałem monetki, które z brzękiem wysypały się z telefonu.

18

Parę dni później, tuż po Halloween, Nate przyniósł album faceta, o którym coś tam słyszałem: Phila Ochsa. Śpiewak folkowy, ale nie z tych brzękających na banjo. Na okładce rozczochrany trubadur siedział na krawężniku nowojorskiej ulicy. Dziwnie nie pasował do innych płyt Nate'a - Deana Martina w smokingu, Mitcha Millera z jaśniejącym uśmiechem, Diane Renee w marynarskiej czapeczce… Płyta Ochsa była zatytułowana „Nie chcę już maszerować" i Nate często ją puszczał. Ja także nabrałem tego zwyczaju, a Nate nie miał chyba nic przeciwko temu.

W głosie Ochsa pobrzmiewał dziwny ton, jakby zagubienie i gniew. Podejrzewam, że mi się podobał, ponieważ wtedy sam byłem dość zagubiony. Przypominał Dylana, ale nie był tak skomplikowany, a jego bunt brzmiał wyraźniej. Najlepszą piosenką na płycie - i najbardziej niepokojącą - była tytułowa. Ochs mówił otwarcie, że wojna nie jest warta swojej ceny, nigdy nie była jej warta. Ta myśl plus wizja dziesiątków tysięcy młodych ludzi opuszczających Lyndona z jego wietnamską obsesją podnieciła moją wyobraźnię w sposób, który nie miał nic wspólnego z historią, polityką czy racjonalnym myśleniem. Zabiłem milion ludzi, a oni chcą, żebym to zrobił jeszcze raz, lecz ja już nie chcę maszerować, śpiewał Phil Ochs z głośników ślicznego adaptera Nate'a. Innymi słowy, przestańcie. Przestańcie robić to, co wam każą, przestańcie realizować ich cele, odejdźcie z gry. To bardzo stara gra, a tym razem Suka poluje na was.

I może aby pokazać, jak poważne są jego intencje, człowiek zaczyna nosić symbol swego oporu - coś, czemu inni najpierw się dziwią, a co potem zaczynają przeklinać. Parę dni po Halloween Nate Hoppenstand pokazał nam, co to za symbol. Dowiedzieliśmy się tego z pogniecionych resztek gazety ze świetlicy na drugim piętrze.

19

- O w mordę, patrzcie - odezwał się Billy Marchant.

Harvey Twiller tasował karty przy jego stole, Lennie Doria podliczał punkty, a Billy tymczasem przeglądał szybko wiadomości lokalne. Kirby McClendon - nieogolony, wysoki i roztrzęsiony, już w drodze na spotkanie z dziecięcą aspiryną o smaku pomarańczowym, pochylił się nad nim, żeby spojrzeć.

Billy cofnął się i zamachał ręką przed nosem.

- Jezu, Kirb, kiedy się ostatnio myłeś? Na gwiazdkę?

- Pokaż - powiedział Kirby, jakby go nie słyszał. Wyszarpnął mu gazetę. - Kurna, to Ciach-ciach!

Ronnie Malenfant wstał tak gwałtownie, że przewrócił krzesło, zaintrygowany pojawieniem się Stoke'a w gazecie. Gazeta wspominała o studentach tylko wtedy, gdy mieli kłopoty (z wyjątkiem stron sportowych, ma się rozumieć). Inni otoczyli Kirby'ego, ja i Skip także. Rzeczywiście, w gazecie był Stokely Jones III, jak żywy, i nie tylko on. Twarze prawie ginęły w grubym ziarnie zdjęcia…

- Chryste! - zawołał Skip. - To chyba Nate. - W jego głosie brzmiało rozbawienie i zaskoczenie.

- A tu Carol Gerber - dodałem śmiesznie przejętym głosem. Poznałem tę kurtkę z napisem „Liceum Harwich" na plecach, poznałem te jasne włosy zebrane w koński ogon, poznałem te wytarte dżinsy. I poznałem tę twarz. Poznałem ją, choć była na wpół odwrócona i ukryta w cieniu transparentu w napisem USA PRECZ Z WIETNAMU.

- To moja dziewczyna. - Wtedy po raz pierwszy ją tak nazwałem, choć myślałem o niej w ten sposób co najmniej od paru tygodni.

POLICJA ROZPĘDZA ZAIMPROWIZOWANĄ DEMONSTRACJĘ, głosił podpis. Nie wymieniono żadnych nazwisk. Z tekstu wynikało, że pod budynkami rządowymi zgromadziło się około dziesięciorga demonstrantów z Uniwersytetu Maine. Mieli transparenty i przez jakąś godzinę maszerowali wokół wejścia do biura rekrutacyjnego, śpiewając piosenki i „skandując hasła, nierzadko obsceniczne". Wezwano policję, która początkowo jedynie stała obok, pilnując, by demonstracja toczyła się własnym torem, ale wówczas pojawiła się opozycyjna demonstracja, złożona głównie z murarzy, którzy mieli przerwę obiadową. Murarze zaczęli wykrzykiwać

własne hasła i choć gazeta nie podała, czy były obsceniczne, podejrzewam, że sprowadzały się do zachęcania demonstrantów do powrotu do Rosji, sugestii, gdzie mogą wsadzić transparenty, kiedy ich nie używają, oraz wskazówek, jak trafić do fryzjera.

Kiedy demonstranci zaczęli się odgryzać, a murarze zaczęli rzucać w nich owocami, które zabrali na obiad, policja wkroczyła do akcji. Powołując się na brak zezwolenia na demonstrację (najwyraźniej nie słyszeli o prawie Amerykanów do zgromadzeń pokojowych), otoczyli studentów i zabrali ich na posterunek policji na Witcham Street. Potem ich wypuścili. „Chcieliśmy ich zabrać, bo robiło się nieciekawie - powiedział jeden policjant. - Jeśli tam wrócą, są jeszcze głupsi, niżby się wydawało".

Fotografia w gazecie nie różniła się specjalnie od tej zrobionej pod Pawilonem Wschodnim podczas protestu przeciwko zakładom chemicznym Colemana. Ukazywała policjantów odprowadzających demonstrantów, podczas gdy robotnicy (jakiś rok później wszyscy nosili na kaskach naklejki z amerykańską flagą) szydzili z nich, śmiali się i wygrażali im pięściami. Jakiś policjant został uchwycony, gdy usiłował złapać Carol za ramię. Stojący za nią Nate jakoś go nie zainteresował. Dwaj policjanci eskortowali Stoke Jonesa, co prawda był odwrócony plecami do obiektywu, ale dawał się rozpoznać dzięki kulom. A gdyby ktoś miał jeszcze jakieś wątpliwości, na jego kurtce widniała kurza stopka.

- A to głupi kutas! - zaskrzeczał Ronnie. (Ronnie, który oblał dwa z czterech egzaminów, miał czelność nazywać kogoś innego głupim kutasem). - Nie ma nic innego do roboty?

Skip go zignorował. Ja też. Gadanina Ronniego już do nas nie docierała, bez względu na temat. Byliśmy zafascynowani widokiem Carol… i Nate Hoppenstanda za jej plecami, który spoglądał na odprowadzanych demonstrantów. Nate, schludny jak zwykle, w eleganckiej koszuli i dżinsach z mankietami i kantami, Nate stojący blisko szydzących, machających pięściami robotników, lecz całkowicie przez nich ignorowany. Przez policjantów też. Żaden z nich nie wiedział, że mój współlokator od niedawna jest fanem buntownika Phila Ochsa.

Wymknąłem się do budki telefonicznej i zadzwoniłem na pierwsze piętro Franklin Hall. Ktoś odebrał, a kiedy powiedziałem, że chcę mówić z Carol, dziewczyna odparta, że jej nie ma, poszła z Libby Sexton do biblioteki.

- Czy to Pete?

- Tak.

- Zostawiła ci wiadomość na lustrze. - W tamtych czasach taki panował zwyczaj. - Napisała, że później do ciebie zadzwoni.

- Dobrze. Dzięki.

Skip czekał na zewnątrz. Machał na mnie niecierpliwie. Poszliśmy spotkać się z Nate'em, choć wiedzieliśmy, że stracimy miejsca przy stoliku. W tym wypadku ciekawość okazała się silniejsza od obsesji.

Nate nie zmienił wyrazu twarzy, kiedy pokazaliśmy mu gazetę i spytaliśmy, jak było na demonstracji, ale on w ogóle rzadko zmieniał wyraz twarzy. Mimo to wyczułem, że jest nieszczęśliwy, być może nawet zrozpaczony. Nie rozumiałem dlaczego - w końcu wszystko dobrze się skończyło, nikt nie trafił do więzienia ani nawet nie został wymieniony w gazecie.

W chwili gdy uznałem, że za dużo sobie wyobrażam, Kirby spytał:

- Co cię gryzie?

W jego głosie brzmiało coś w rodzaju surowej troski. Na ten dźwięk dolna warga Nate'a zadrżała. Pochylił się nad wysprzątanym biurkiem (swoim, bo moje już dawno zginęło pod dziewiętnastoma warstwami śmieci) i wyszarpnął chusteczkę z pudełka, które trzymał obok adapteru. Długo i głośno wycierał nos. Kiedy skończył, znów był opanowany, ale widziałem w jego oczach dezorientację i smutek. Coś we mnie - moja ciemna strona - przyjrzało się temu z satysfakcją. Dobrze wiedzieć, że nie trzeba się zmieniać w ludzki, uzależniony od kierek wrak, żeby mieć problemy. Człowiek potrafi być czasem podły.

- Przyjechałem ze Stokiem, Harrym Swidrowskym i innymi - powiedział.

- Carol była z wami?

Pokręcił głową.

- Chyba trzymała się z paczką George'a Gilmana. Przyjechaliśmy pięcioma samochodami. - Nie miałem pojęcia, co to za jeden, ten George Gilman, ale to mi nie przeszkodziło znienawidzić drania za sam fakt istnienia. – Harry i Stoke są w Komitecie Oporu. Gilman też. No więc…

- Komitet Oporu? - podchwycił Skip. - Co to?

- Taki klub - powiedział Nate i westchnął. - Oni uważają, że coś więcej… zwłaszcza Harry i George, są naprawdę napaleni… ale tak naprawdę to tylko zwykły klub.

Nate powiedział, że sam poszedł z nimi, bo był wtorek, a we wtorki nie ma żadnych zajęć. Nikt nie wydawał rozkazów, nikt nie kazał przysięgać wierności ani nawet nic podpisywać. Nikt

nikogo nie zmuszał, żeby maszerować i nie było tego paramilitarnego ferworu, który później zakradł się do demonstracji antywojennych. Carol i inni śmiali się i szturchali transparentami, tak twierdził Nate. (Śmiała się. Śmiała się z George'em Gilmanem. Znowu dźgnęła mnie jadowita strzała zazdrości).

Kiedy dotarli na miejsce, niektórzy zaczęli demonstrację, maszerując w kółko przed drzwiami biura rekrutacyjnego, a niektórzy nie. Nate należał do tych, co nie maszerowali. Wyznał nam to z twarzą skrzywioną w przelotnym grymasie, który u gorzej wychowanego chłopca oznaczałby prawdziwą rozpacz.

- Chciałem z nimi maszerować - dodał. - Przez całą drogę sądziłem, że będę. Było fajnie, jechaliśmy w szóstkę w saabie Swidrowsky'ego. Prawdziwa wycieczka. Hunter McPhail… znacie go?

Obaj pokręciliśmy głowami. Zdaje się, że z pewnym oszołomieniem przekonaliśmy się, że posiadacz „Meet Trini Lopez" i „Diane Renee Sings Navy Blue" wiedzie tajemne życie i nawiązuje znajomości z ludźmi, którzy przyciągają policję i dziennikarzy.

- Razem z George'em Gilmanem założył Komitet. No, w każdym razie Hunter trzymał za oknem kule Stoke'a, bo nie chciały się zmieścić do środka, i śpiewaliśmy „Nie chcę już maszerować", mówiliśmy, że być może zdołamy po wstrzymać wojnę, jeśli zbierze się nas dość dużo. To znaczy wszyscy tak mówili z wyjątkiem Stoke'a. On jest raczej milczący.

Ach, tak, pomyślałem. Jest milczący nawet przy nich… chyba że przyjdzie mu ochota wygłosić wykład na temat wiarygodności. Ale Nate nie myślał o Stoke'u, Nate myślał o Nacie. Zastanawiał się, dlaczego jego nogi okazały się obojętne na zew serca.

- Przez całą drogę myślałem: będę z nimi maszerować, będę maszerować, bo mają rację… przynajmniej tak mi się zdaje… a jeśli ktoś się na mnie rzuci, powstrzymam się od przemocy, tak jak ci od strajków okupacyjnych. Oni wygrali, może i nam się uda. - Spojrzał na nas. - Chodzi o to, że nie miałem najmniejszych wątpliwości. Wiecie?

- Aha - powiedział Skip. - Wiem.

- Ale kiedy już tam byliśmy, nagle nie mogłem! Rozdawałem transparenty z napisem POWSTRZYMAĆ WOJNĘ, USA PRECZ Z WIETNAMU i SPROWADŹCIE CHŁOPCÓW DO DOMU… Razem z Carol pomogłem Stoke'owi, żeby mógł iść z transparentem, nawet o kulach… ale sam nie mogłem wziąć żadnego. Stałem na chodniku z Billem Shadwickiem, Kerrym Morinem i taką dziewczyną, Lorlie McGinnis… pracuję z nią w laboratorium

biologicznym… - Odebrał Skipowi gazetę i przyjrzał się jej, jakby znowu musiał się upewnić, że to naprawdę się stało, tak, pan Rinty'ego i chłopiec Cindy naprawdę poszedł na demonstrację antywojenną. Westchnął i upuścił gazetę na podłogę. To było tak do niego niepodobne, że aż mnie coś ścisnęło w środku.

- Wydawało mi się, że będę z nimi maszerować. No bo po co bym jechał? Przez całą drogę nie miałem najmniejszych wątpliwości, wiecie?

Spojrzał na mnie, prawie błagalnie. Kiwnąłem głową, jakbym coś rozumiał.

- A potem nie mogłem, nie wiem dlaczego.

Skip usiadł przy nim na łóżku. Wyjąłem płytę Phila Ochsa i włączyłem adapter. Nate spojrzał na Skipa i odwrócił wzrok. Miał małe i zgrabne dłonie, jak cały on, z wyjątkiem paznokci. Paznokcie miał poszarpane, obgryzione prawie do żywego mięsa.

- W porządku - powiedział, jakby Skip zadał mu pytanie na głos. - Wiem dlaczego. Bałem się, że ich aresztują, a mnie razem z nimi. Że moje zdjęcie ukaże się w gazecie i moi rodzice je zobaczą.

Nastąpiła długa chwila ciszy. Biedny stary Nate usiłował wydusić z siebie resztę. Trzymałem igłę nad pierwszym rowkiem obracającej się płyty, czekając, aż się odezwie. Wreszcie to powiedział.

- Że moja matka to zobaczy.

- W porządku, Nate - mruknął Skip.

- Nie sądzę - odparł Nate rozdygotanym głosem. - Nie sądzę.

- Nie mógł spojrzeć Skipowi w oczy. Siedział na łóżku w spodniach od piżamy i czapeczce; żebra mu wystawały, spoglądał na swoje poobgryzane paznokcie. - Nie lubię występować przeciwko wojnie. Harry lubi… i Lorlie, a George Gilman, ha, temu to trudno zamknąć buzię. Inni z Komitetu są podobni. Ale kiedy przychodzi do gadania, jestem bardziej podobny do Stoke'a.

- Nikt nie jest podobny do Stoke'a. - Pamiętałem dzień, w którym spotkałem go na Ścieżce Benneta. Może dasz sobie trochę luzu, spytałem. Może mi obciągniesz, odpowiedział specjalista od wiarygodności.

Nate ciągle przyglądał się paznokciom.

- Według mnie Johnson wysyła Amerykanów, żeby tam ginęli bez żadnej przyczyny. To nie imperializm ani kolonializm, jak sądzi Harry Swidrowsky, to w ogóle nie jest żaden „izm".

Johnsonowi odbiło na tle Davy Crocketta i Daniela Boone'a, ot co. A skoro tak sądzę, powinienem to powiedzieć. Powinienem temu przeciwdziałać. Tego uczono mnie w kościele, szkole, nawet w cholernych skautach. Trzeba umieć bronić swego zdania. Jeśli widzisz, że dzieje się coś

złego, na przykład wielki facet bije małego faceta, należy się przeciwstawić i przynajmniej spróbować coś zmienić. Ale bałem się, że matka zobaczy moje zdjęcie i będzie płakać.

Podniósł głowę i zobaczyliśmy, że także płacze. Tylko troszkę, mokre powieki i rzęsy, nic więcej. Ale u niego to było coś wyjątkowego.

- Za to czegoś się dowiedziałem - dodał. - Co to jest to coś na plecach kurtki Stoke'a Jonesa.

- Co?

- Połączenie dwóch liter z sygnalizacji marynarki brytyjskiej. Patrzcie. - Stanął, wyprężony na baczność. Podniósł lewą rękę prosto ku sufitowi, a prawą skierował ku podłodze, tworząc linię prostą.

- To N. - Następnie rozchylił ręce pod kątem czterdziestu pięciu stopni do ciała. Teraz widziałem, że te dwa symbole nałożone na siebie dają kształt narysowany na starej dżinsowej kurtce Stoke'a. - To D.

- ND - powiedział Skip. - I co?

- To symbole nuklearnego rozbrojenia. Ten symbol wymyślił w latach pięćdziesiątych Bertrand Russell. - Narysował go na okładce swego notatnika. - To się nazywa pacyfka.

- Fajowo.

Nate uśmiechnął się i otarł oczy.

- Też tak myślałem. Klawo.

Opuściłem igłę na płytę i zaczęliśmy słuchać Phila Ochsa. Był klawy, jak mawialiśmy my, Atlantydzi.

20

Świetlica na środku drugiego piętra stała się moim Jowiszem - złowrogą planetą o wielkiej grawitacji. Jednak tego wieczora się jej oparłem, znowu poszedłem do budki telefonicznej i zatelefonowałem do Carol. Tym razem ją zastałem.

- Nic mi nie jest - powiedziała z cichym śmiechem. - Czuję się doskonale. Jeden policjant mówił dziś do mnie „młoda damo". Kurczę, jaki troskliwy.

Kusiło mnie, żeby spytać: a ten Gilman, też był troskliwy? Ale nawet w wieku osiemnastu lat wiedziałem już, że nie tędy droga.

- Powinnaś do mnie zadzwonić - oznajmiłem. – Może bym z tobą pojechał. Moglibyśmy wziąć mój samochód.

Carol zachichotała, słodko, lecz niepokojąco.

- Co?

- Właśnie sobie wyobraziłam, jak jedziemy na demonstrację antywojenną w rodzinnym samochodzie z hasłem Goldwatera na zderzaku.

Prawdopodobnie rzeczywiście było to śmieszne.

- Poza ty pewnie miałeś inne rzeczy na głowie.

- Co to miało znaczyć? - Jakbym nie wiedział. Przez szklane ściany budki telefonicznej i świetlicy widziałem moich kolegów w oparach dymu. I nawet przez zamknięte drzwi dobiegał mnie donośny rechot Ronniego Malenfanta. Polowanie na Sukę, chłopcy, *cherche* la dziwka *noir* i wyciągnijcie ją z krzaczorów.

- Naukę kierek - odparła. - Albo naprawdę naukę. Na moim piętrze mieszka dziewczyna, która chodzi z Lenniem Dorią - a raczej chodziła, kiedy jeszcze miał dla niej czas. Według niej to piekielna gra. Czy już się zmieniłam w zrzędę?

- Nie - mruknąłem bez przekonania. Być może potrzebowałem, żeby ktoś mi trochę pozrzędził. - Jak się czujesz?

Długa chwila ciszy.

- Dobrze. No… dobrze.

- Ci robotnicy…

- Głównie wrzeszczeli. Nic się nie stało, naprawdę. Ale niepokoiło mnie coś w jej głosie… no i niepokoiłem się też o George'a Gilmana. Martwił mnie bardziej niż Sully, jej chłopak.

- Jesteś w tym Komitecie? Nate mi powiedział. W tym Komitecie Oporu?

- Nie. Przynajmniej jeszcze nie. George mi proponował, żebym do nich przystąpiła. To taki chłopak z kursu nauk politycznych. George Gilman. Znasz go?

- Coś słyszałem. - Zbyt mocno ściskałem słuchawkę i nie mogłem rozewrzeć palców.

- To on mi powiedział o demonstracji. Pojechałam razem z nim i innymi. I… - Urwała, po czym spytała z niekłamaną ciekawością: - Chyba nie jesteś o niego zazdrosny?

- No… - odparłem ostrożnie. - To on spędził z tobą ten dzień. O to na pewno jestem zazdrosny.

- Nie musisz. Jest mądry, nawet bardzo, ale ma okropną fryzurę i takie wielkie, rozbiegane oczy. Goli się, lecz zawsze omija sporą łatę. Nie jest atrakcyjny, możesz mi wierzyć.

- Więc o co chodzi?

- Możemy się spotkać? Chcę ci coś pokazać. To nie potrwa długo, ale być może dzięki temu lepiej ci wyjaśnię… - Przy ostatnim słowie głos jej zadrżał i dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że jest bliska łez.

- Co się stało?

- Poza tym, że ojciec prawdopodobnie nie wpuści mnie za próg, kiedy mnie zobaczy w gazecie? Do końca tygodnia zmieni zamki w drzwiach. Jeśli już tego nie zrobił.

Przypomniałem sobie, jak Nate się bał, żeby matka nie zobaczyła go na zdjęciu wśród aresztowanych. Pieszczoszek mamusi wsadzony do pudła za udział w nielegalnej demonstracji. Jaki wstyd! A ojciec Carol? To inny przypadek, choć w pewnym sensie podobny. Ojciec Carol był przecież marynarzem, dzielnym chłopcem.

- Może nie widział artykułu. A jeśli widział, to nie podano waszych nazwisk.

- Zdjęcie - powiedziała cierpliwie jak do półgłówka. - Nie widziałeś?

Zacząłem jej tłumaczyć, że właściwie była prawie odwrócona i w cieniu, ale potem przypomniałem sobie o jej kurtce z napisem LICEUM HARWICH, wyraźnym jak cholera. Poza tym to był jej ojciec, jak rany. Poznałby ją, nawet gdyby stała tyłem.

- Może nie widział zdjęcia - powiedziałem bez przekonania. - „Wiadomości" pewnie nie dochodzą do Damariscotty.

- Czy tak chcesz żyć? - Ciągle mówiła cierpliwie, choć nerwy zaczynały ją wyraźnie ponosić. - Modląc się, żeby inni się nie dowiedzieli, co robisz?

- Nie. - Czy mogłem się na nią wściekać, zważywszy na fakt, że Annmarie Soucie nadal nie miała zielonego pojęcia o istnieniu Carol Gerber? Raczej nie. Nie byliśmy małżeństwem, ale nie o to tu chodziło. - Nie, tak nie chcę. Ale… chyba nie musisz mu koniecznie pokazywać tej cholernej gazety?

Roześmiała się. W jej głosie nie było tej radości, którą słyszałem wcześniej, lecz doszedłem do wniosku, że nawet ponury śmiech to już coś.

- Nie muszę. I tak się dowie. Taki już jest. Ale musiałam pójść. I pewnie jednak wstąpię do Komitetu Oporu, choć George Gilman wygląda jak dzieciak przyłapany na jedzeniu robali, a Harry Swidrowsky ma strasznie cuchnący oddech. Ponieważ… chodzi o to… widzisz… - W słuchawce rozległo się jej zdesperowane westchnienie. - Słuchaj, wiesz, gdzie wychodzimy na dymka?

- W Holyoke? Koło śmietnika.

- Spotkajmy się tam. Za kwadrans. Możesz?

- Tak.

- Mam sporo wkuwania i nie mogę zostać dłużej, ale… ale…

- Będę tam.

Odłożyłem słuchawkę i wyszedłem z budki. Ashley Rice stał w drzwiach świetlicy, paląc papierosa i nerwowo przebierając nogami. Wydedukowałem, że jest pomiędzy dwiema partyjkami. Był zbyt blady, czarny zarost na policzkach wyglądał jak kropki zrobione długopisem, a jego koszula nie była już zwyczajnie brudna, wyglądała na wręcz zamieszkaną. Miał szeroko otwarte szkliste oczy o spojrzeniu typu „uwaga, wysokie napięcie", które później nauczyłem się łączyć z kokainą. I tym właśnie była ta gra - narkotykiem. Ale nie takim, który spowalniał reakcje.

- Jak tam, Pete? - rzucił. - Masz ochotę na małe rozdanko?

- Może później - rzuciłem i minąłem go. Stoke Jones wracał z łazienki otulony starym wytartym szlafrokiem. Jego kule zostawiały okrągłe mokre stempelki na czerwonym linoleum. Długie, rozwichrzone włosy ociekały wodą. Zastanawiałem się, jak Jones sobie radzi pod prysznicem; w tamtych czasach w kabinach nie było tych uchwytów i poręczy, które teraz są w

każdej publicznej toalecie. Ale Jones nie robił wrażenia, jakby miał ochotę dyskutować na ten temat. Ani na żaden inny.

- Jak leci, Stoke? - spytałem.

Minął mnie bez słowa, ze spuszczoną głową, mokrymi włosami przyklejonymi do policzków, z mydłem i ręcznikiem pod pachą. Mruczał pod nosem „ciach-ciach, ciach-ciach". Nawet na mnie nie spojrzał. Mówcie sobie, co wam się podoba, ale jeśli chcecie, żeby was ktoś zdołował, zawsze możecie liczyć na Stoke'a Jonesa.

21

Carol już na mnie czekała. Przyniosła spod śmietników dwie skrzynki po mleku i siedziała na jednej po turecku, paląc papierosa. Usiadłem obok, objąłem ją i pocałowałem. Na chwilę oparła mi głowę na ramieniu, nic nie mówiąc. To było dziwnie nie w jej stylu, ale zrobiło mi się miło. Otoczyłem ją ramieniem i spojrzałem w gwiazdy. Noc była ciepła jak na tę porę roku i mnóstwo ludzi, przeważnie par, wyszło na spacer. Zewsząd słyszałem ciche głosy. Gdzieś na górze radio grało „Hang On, Sloopy". Pewnie to jakiś woźny.

Carol podniosła głowę i odsunęła się nieco - na tyle, że musiałem cofnąć rękę. To już było do niej podobne.

- Dziękuję - powiedziała. - Chciałam się przytulić.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Trochę się boję rozmowy z ojcem. Nie bardzo, ale trochę.

- Wszystko będzie dobrze. - Nie powiedziałem tego z całym przekonaniem - w końcu skąd mogłem wiedzieć - ale dlatego że to się mówi w takich sytuacjach. No nie? Tak się mówi.

- Nie poszłam z Harrym i George'em z powodu ojca. To nie żaden freudowski bunt czy coś w tym stylu.

Wyrzuciła papierosa; uderzył w cegiełkę Ścieżki Benneta, tryskając iskrami. Potem wzięła małą torebkę, otworzyła ją, wyjęła portfel, rozłożyła i przejrzała zdjęcia wciśnięte w foliową kieszonkę. Wyciągnęła jedno i podała mi. Pochyliłem się do światła sączącego się przez okna jadalni, gdzie woźny pewnie mył podłogę.

Na zdjęciu stało troje dzieci, jedenasto-, dwunastoletnich, dziewczynka oraz dwóch chłopców. Mieli na sobie niebieskie podkoszulki z czerwonym napisem STERLING HOUSE i obejmowali się jak najlepsi kumple, gest ten miał w sobie coś pięknego. Dziewczynka stała w środku. Tą dziewczynką była oczywiście Carol.

- Który to Smutny John? - spytałem. Spojrzała na mnie, trochę zaskoczona… ale z uśmiechem. Wydawało mi się, że odgadłem. Smutny John to ten ze zmierzwionymi czarnymi włosami, szerokimi barami i uśmiechem. Włosy miał takie jak Stoke, choć Smutny John na pewno się uczesał. Puknąłem w niego palcem. - Ten, co?

- Tak - przyznała i dotknęła czubkiem palca twarzy drugiego chłopca. Był spalony słońcem, nie opalony. Twarz miał bardziej pociągłą, oczy blisko siebie, włos rude jak marchewka

i ostrzyżone najeża. Na jego czole dostrzegłem małą zmarszczkę. Smutny byl dość muskularny jak na dziecko; ten drugi był chudy, miał ramiona jak patyki. W wolnej ręce trzymał dużą brązową rękawicę do baseballu.

- To Bobby - powiedziała. Głos jej się jakoś zmienił. Brzmiało w nim coś, czego dotąd nie słyszałem. Smutek? Ale ciągle się uśmiechała. Jeśli było jej smutno, skąd ten uśmiech? - Bobby Garfield. Mój pierwszy chłopak. I chyba pierwsza miłość. Wtedy był najlepszym kumplem Smutnego. Nie tak dawno, w 1960, ale wydaje się, że wieki temu.

- Co się z nim stało? - Nie wiem dlaczego, spodziewałem się, że umarł, ten chłopiec z pociągłą twarzą i rudym jeżem.

- Wyprowadził się razem z mamą. Przez jakiś czas często do siebie pisaliśmy, a potem kontakt się urwał. Wiesz, jakie są dzieci.

- Ładna rękawica.

Carol siedziała z uśmiechem. Widziałem, że do oczu napływają jej łzy, ale uśmiech pozostał. W białym świetle jarzeniówek sączącym się z jadalni jej łzy wydawały się srebrne łzy księżniczki z bajki.

- Jego ukochana. Był jakiś gracz, który się nazywał Alvin Dark, tak?

- Był.

- Bobby miał rękawicę taką jak on. Model Alvina Darka.

- Ja miałem Teda Williamsa. Matka sprzedała ją rok temu.

- Rękawicę Bobby'ego ukradł Willie - powiedziała Carol. Chyba zapomniała o mnie. Ciągle dotykała tej pociągłej, nieco surowej twarzy na zdjęciu. Jakby cofnęła się w przeszłość. Podobno niektórych ludzi do takiego stanu można doprowadzić w hipnozie.

- Willie?

- Willie Shearman. Rok później zobaczyłam, jak gra w baseball przed Sterling House. Byłam wściekła. Rodzice kłócili się na okrągło, chyba przygotowywali sobie grunt pod rozwód, a ja przez cały czas chodziłam wściekła. Na nich, na mojego nauczyciela matematyki, na cały świat. Ciągle się bałam Williego, ale głównie byłam na niego wściekła… poza tym nie byłam wtedy sobą. Więc pomaszerowałam prosto do niego i oświadczyłam, że wiem, że to rękawica Bobby'ego i że powinien mi ją oddać. Mam adres Bobby'ego i mogę mu ją odesłać. Willie powiedział, że mi odbiło, to jego rękawica, i pokazał mi swoje nazwisko wypisane na boku.

Wydrapał nazwisko Bobby'ego - najlepiej, jak potrafił - i napisał na tym miejscu własne. Ale i tak ciągle widziałam „bby" od „Bobby".

W głosie zabrzmiało święte oburzenie, które odjęło jej lat. I rzeczywiście, nagle wydała mi się bardzo młoda. Podejrzewam, że mogłem to sobie wymyślić, choć nie sądzę. Kiedy tak siedziała w białym świetle padającym z jadalni, wyglądała na jakieś dwanaście lat. Najwyżej trzynaście.

- Ale nie zdołał wytrzeć podpisu Alvina Darka w kieszeni ani go zamazać… i nagle zrobił się czerwony. Jak burak. I wiesz co? Przeprosił mnie za to, co mi zrobił, on i jego koledzy. Tylko on mnie za to przeprosił i chyba mówił szczerze. Ale nie chciał się przyznać do tej rękawicy. Chyba mu na niej nie zależało, była stara i źle mu leżała na ręce, ale skłamał, żeby ją zatrzymać. Nigdy nie zrozumiałam dlaczego.

- Nie rozumiem.

- Nie możesz. Mnie samej wszystko się miesza, a przecież tam byłam. Matka powiedziała mi kiedyś, że to się zdarza ludziom, którzy mają wypadki. Niektóre rzeczy pamiętam bardzo dobrze - głównie to z Bobbym - ale wszystkiego innego dowiedziałam się dopiero od ludzi. Byłam w parku naprzeciwko domu, a ci trzej chłopcy szli z naprzeciwka - Harry Doolin, Willie Shearman i jeszcze jakiś jeden, nie pamiętam, jak się nazywał. Nieważne. Pobili mnie. Miałam dopiero dwanaście lat, ale to im nie przeszkodziło. Harry Doolin uderzył mnie kijem baseballowym. Willie i ten drugi mnie trzymali, żebym nie uciekła.

- Kijem…? Nabierasz mnie czy co?

Pokręciła głową.

- Najpierw żartowali, tak mi się wydaje, a potem… potem już nie. Ręka wyskoczyła mi ze stawu. Wrzasnęłam, a oni uciekli. Usiadłam na ziemi, trzymając się za rękę, zbyt obolała i… chyba wstrząśnięta… żeby coś postanowić. A może usiłowałam wstać i szukać pomocy, ale nie mogłam. Potem pojawił się Bobby. Wyprowadził mnie z parku, wziął na ręce i zaniósł do swojego mieszkania… Aż na Broad
Street Hill, w jeden z najgorętszych dni w roku. Zaniósł mnie na rękach.

Wyjąłem jej zdjęcie z dłoni, przechyliłem je do światła i spojrzałem z bliska na chłopca z rudym jeżem. Przyjrzałem się jego chudym ramionom, potem dziewczynce. Była od niego niższa najwyżej o pięć centymetrów i na pewno szersza w ramionach. Spojrzałem na drugiego chłopca,

Smutnego Johna. Czarne niesforne włosy i amerykański uśmiech. Włosy Stoke'a Jonesa, uśmiech Skipa Kirka. Ten Smutny mógł ją wziąć na ręce, to pewne, ale ten drugi…

- Wiem - odezwała się. - Wydaje się za mały, prawda? Ale mnie zaniósł. Straciłam przytomność, a on mnie niósł na rękach. - Odebrała mi zdjęcie.

- A wtedy ten Willie wrócił i ukradł mu rękawicę?

Skinęła głową.

- Bobby zabrał mnie do swojego mieszkania. Na górze mieszkał taki starszy gość, Ted, który znał się na wszystkim po trosze. Nastawił mi rękę. Pamiętam, że dał mi pas, abym wbiła w niego zęby. A może to był pas Bobby'ego. Powiedział, że dzięki temu wytrzymam. I wytrzymałam. A potem… potem stało się coś złego.

- Gorszego niż pobicie kijem baseballowym?

- Na swój sposób. Nie chcę o tym mówić. - Otarła łzy, najpierw z jednego, potem z drugiego policzka, ciągle nie odrywając wzroku od zdjęcia. - Później, zanim Bobby i jego matka wyjechali z Harwich, Bobby pobił chłopaka, który trzymał wtedy kij. Harry'ego Doolina.

Włożyła fotografię na miejsce.

- To, co najlepiej pamiętam… co jest warte zapamiętania… to Bobby Garfield, który się za mną ujął. Smutny był większy i pewnie też by się za mną ujął, gdyby tam był, ale go nie było. Bobby akurat się napatoczył i wniósł mnie na rękach na wzgórze. Zrobił to, co trzeba. To najlepsza rzecz, najważniejsza, jaką ktokolwiek dla mnie zrobił w całym moim życiu. Rozumiesz?

- Chyba tak.

Rozumiałem także coś więcej: mówiła niemal dokładnie to, co przed godziną usłyszałem od Nate'a… ale ona przystąpiła do protestu. Miała transparent i maszerowała z nim. Oczywiście Nate Hoppenstand nigdy nie dostał od chłopców, którzy zaczęli żartować, a potem uznali, że jednak nie żartują. I może właśnie w tym sęk.

- Wniósł mnie aż do mieszkania - ciągnęła. - Zawsze chciałam mu powiedzieć, że strasznie go za to kocham i jeszcze za to, że pokazał Harry'emu Doolinowi, że trzeba zapłacić, jeśli się krzywdzi ludzi, zwłaszcza mniejszych od siebie i takich, którzy nie chcą zrobić nic złego.

- Więc poszłaś na demonstrację.

- Poszłam. Chciałam komuś wytłumaczyć dlaczego. Komuś, kto zrozumie. Ojciec nie zechce zrozumieć, matka nie potrafi. Dzwoniła do mnie jej przyjaciółka Rionda i powiedziała… - Nie skończyła. Siedziała na skrzynce i bawiła się swoją torebką.

- Co powiedziała?

- Nic. - Miała bardzo zmęczony głos. Chciałem ją pocałować lub przynajmniej objąć, ale bałem się zepsuć tę chwilę. Bo ta chwila należała do niezwykłych. W opowieści Carol było coś magicznego, nie wprost, ale gdzieś w podtekście. Czułem to.

- Poszłam na demonstrację i pewnie wstąpię do tego Komitetu. Dziewczyna, z którą mieszkam, mówi, że mi odbiło. Nigdzie nie znajdę pracy, jeśli będę miała w papierach, że przyłączyłam się do komunistów, ale chyba to zrobię. - A twój ojciec?

- Pieprzyć go.

Nastąpiła chwila osłupienia, w której dotarło do nas, co powiedziała. Carol zachichotała.

- No, to dopiero freudyzm. - Wstała. - Muszę wracać do wkuwania. Dzięki, że przyszedłeś. Nikomu oprócz ciebie nie pokazałam tego zdjęcia. Sama nie przyglądałam mu się od dawna. Już mi lepiej. O wiele.

- To dobrze. - Wstałem. - Zanim sobie pójdziesz, pomożesz mi w czymś?

- Jasne. W czym?

- Pokażę ci. To nie potrwa długo.

Poprowadziłem ją wzdłuż jadalni, a potem pod górę.

Jakieś dwieście metrów dalej znajdował się parking, gdzie musieli trzymać samochody wszyscy ci, których nie stać było na parking strzeżony (pierwszo-, drugoroczniaki i większość juniorów). Było to świetne miejsce na randki w samochodzie, ale tamtej nocy myślałem o czymś zupełnie innym.

- Powiedziałaś Bobby'emu, kto mu ukradł rękawicę? Pisałaś do niego.

- Uznałam, że to nie ma sensu.

Przez chwilę szliśmy w milczeniu. Potem powiedziałem:

- W Święto Dziękczynienia zerwę z Annmarie.

Już raz do niej dzwoniłem, ale odłożyłem słuchawkę. Jeśli mam to zrobić, to raczej osobiście. - Do tej pory nie wiedziałem, że tak zdecyduję, ale postanowienie jakoś we mnie dojrzało. Na pewno nie powiedziałem tego po to, żeby się przypodobać Carol.

Skinęła głową, szurając w liściach stopami w trampkach. W jednym ręku trzymała tę swoją torebkę. Nie patrzyła na mnie.

- Ja musiałam przez telefon. Zadzwoniłam do SJ i powiedziałam, że się z kimś spotykam.

Zatrzymałem się.

- Kiedy?

- W zeszłym tygodniu. - Spojrzała na mnie.

Dołeczki, lekko wygięta dolna warga i ten uśmiech.

- W zeszłym tygodniu? I nie powiedziałaś?

- To była moja sprawa. Pomiędzy mną i Johnem. No wiesz, nie będzie cię ganiać z… - Urwała i milczała tak długo, że oboje zdążyliśmy pomyśleć „z kijem baseballowym".

- Nie będzie się ciebie czepiać. Jeśli mamy coś zrobić, to zróbmy. Ale nie pojadę z tobą. Muszę się uczyć.

- Nigdzie nie jedziemy.

Znowu ruszyliśmy. Wtedy parking wydawał mi się bardzo duży - setki samochodów stojących w dziesiątkach rzędów. Z trudem sobie przypomniałem, gdzie zostawiłem dużego forda mojego brata. Kiedy ostatni raz odwiedziłem uniwersytet, parking był trzy, cztery razy większy i mógł pomieścić pewnie ponad tysiąc samochodów. Czas mija i wszystko rośnie - z wyjątkiem nas.

- Hej, Pete. - Idzie.

Spogląda pod nogi, choć byliśmy już na asfalcie i liście zniknęły.

- Mhm.

- Nie zrywaj z Annmarie tylko ze względu na mnie. Bo sądzę, że… nie będziemy długo ze sobą. W porządku?

- Mhm. - Jej słowa mnie przygnębiły - skwasiły, jak mawiali mieszkańcy Atlantydy - ale nie zaskoczyły. - Tak chyba musi być.

- Lubię cię i lubię z tobą być, ale to tylko sympatia, nic więcej, i muszę to powiedzieć szczerze. Więc jeśli chcesz ją zatrzymać…

- Zatrzymać? Jak zapasową oponę, na wypadek gdybyśmy złapali gumę?

Spojrzała na mnie z zaskoczeniem. Potem się roześmiała.

- Punkt dla ciebie.

- Za co?

- Nawet nie wiem… ale naprawdę cię lubię.

Zatrzymała się, zarzuciła mi ręce na szyję. Przez chwilę całowaliśmy się pomiędzy dwoma rzędami samochodów, całowaliśmy się, aż mi stanął, co ona musiała poczuć. Wreszcie musnęła moje wargi po raz ostatni i ruszyliśmy dalej.

- Co powiedział John? Nie wiem, czy mogę spytać, ale…

- Chodzi ci o informacje - powiedziała ochrypłym głosem Numeru Drugiego. Parsknęła śmiechem. Ponurym. - Spodziewałam się, że się wścieknie, może nawet zacznie płakać. Smutny jest duży i wszyscy pałkarze boją się go jak ognia, ale ma wrażliwe serce. Natomiast nie spodziewałam się, że odetchnie z ulgą.

- Z ulgą?

- Właśnie. Od miesiąca spotyka się z taką dziewczyną z Bridgeport… choć przyjaciółka mamy, Rionda, twierdzi, że to właściwie kobieta. Ma dwadzieścia cztery lub pięć lat. - Brzmi niebezpiecznie - powiedziałem, usiłując zachować spokojny ton. Prawdę mówiąc, byłem zachwycony. To zrozumiałe.

Już prawie doszliśmy do mojego samochodu. Wyglądał równie paskudnie jak pozostałe, ale dzięki hojności brata należał do mnie.

- Ma jeszcze inne sprawy na głowie niż romanse - odezwała się Carol. - W czerwcu, kiedy skończy liceum, pójdzie do wojska. Już to sobie załatwił. Nie może się doczekać, żeby stanąć na wietnamskiej ziemi i walczyć o demokrację.

- Kłóciłaś się z nim o wojnę?

- Nie. Co by mi z tego przyszło? I co bym mu miała powiedzieć? Że jestem w tym przez Bobby'ego Garfielda? Że to wszystko, o czym bredzi Harry Swidrowsky, George Gilman i Hunter McPhail wydaje mi się złudą i snem w porównaniu z Bobbym, który niósł mnie na rękach na Broad Street Hill? Pomyślałby, że mi odbiło. Albo by powiedział, że to dlatego, że za dużo myślę. Smutny współczuje ludziom, którzy myślą za dużo. Twierdzi, że to taka choroba. I może ma rację. Właściwie go kocham. Jest słodki. I jest takim facetem, którym ktoś musi się zaopiekować.

Mam nadzieję, że znajdzie sobie kogoś takiego, pomyślałem. Byle nie ciebie.

Przyjrzała się krytycznie memu fordowi.

- No dobrze. Jest brzydki, strasznie potrzebuje wizyty w myjni, ale zawsze to jakiś środek transportu. Pytanie tylko, co tu robimy, skoro powinnam się zapoznawać z historią Flannery O'Connor?

Wyjąłem scyzoryk i otworzyłem go.

- Masz tam w tej torebce pilnik do paznokci?

- Jakbyś zgadł. Będziemy walczyć? Numer Dwa i Numer Sześć wdają się w bójkę na parkingu?

- Nie bądź taka mądra. Wyjmij go i idź za mną.

Kiedy obeszliśmy mój samochód, Carol zaczęła się śmiać - nie tak ponuro, ale spontanicznie, jak wtedy gdy pasem transmisyjnym nadjechał jurny hotdogowy ludzik Skipa.

Wreszcie zrozumiała, po co tu przyszliśmy.

Zaczęła zdrapywać naklejkę z jednej strony, ja z drugiej, spotkaliśmy się w środku. Potem przyglądaliśmy się, jak wiatr niesie po asfalcie strzępki papieru. *Au revoir,* AuH2O4- USA. Siemanko, Barry. I śmialiśmy się jak dzicy. Człowieku, ależ się uchachaliśmy.

22

Parę dni później mój najlepszy kumpel Skip, który przyjechał na studia ze świadomością polityczną omułka, powiesił plakat w pokoju, który dzielił z Bradem Witherspoonem. Widniał na nim uśmiechnięty biznesmen w trzyczęściowym garniturze. Jedną rękę wyciągał do uścisku. Drugą krył za plecami, ale to, co w niej trzymał, ociekało krwią. WOJNA TO DOBRY INTERES, głosił plakat. ZAINWESTUJ SWOJEGO SYNA.

Złotko był siny.

- Więc teraz jesteś przeciwko Wietnamowi, tak? - spytał, kiedy tylko go zobaczył. Mimo butnej postawy widać było, że plakat nim wstrząsnął. Skip był przecież pierwszorzędnym baseballistą. Miał grać także na studiach. O jego osobę ubiegały się Delta Tau Delta i Phi Gam, najlepsze bractwa. Skip nie był chorym kaleką jak Stoke Jones (Złotko nabrał zwyczaju nazywania go Ciach-Ciachem) ani ża-biookim dziwakiem jak George Gilman.

- No co, ten plakat oznacza, że mnóstwo ludzi robi pieniądze na tym krwawym draństwie - odparł Skip. - McDonnell-Douglas. Boeing. GE. Dow Chemical i Coleman Chemicals. Cholerna Pepsi Cola. I wiele innych.

Lodowate spojrzenie naszego prefekta miało wyrażać, że zanalizował tę kwestię o wiele głębiej niż Skip Kirk.

- Pozwól, że cię o coś spytam. Uważasz, że powinniśmy się bezczynnie przyglądać, jak wujek Ho sobie poczyna?

- Jeszcze nie wiem, co uważam. Zacząłem się interesować tym tematem parę tygodni temu. Na razie robię rozgrzewkę.

Było wpół do ósmej rano, a nasza grupka stała pod drzwiami Skipa, gotowa do wyruszenia na wykłady o ósmej. Był tam Ronnie (i Nick Prouty; do tego czasu stali się nierozłączni), Ashley Rice, Lennie Doria, Billy Marchant, może jeszcze ze czterech, pięciu innych. Nate opierał się o drzwi pokoju 302, ubrany w podkoszulek i gacie od piżamy. Stoke Jones stał przy schodach, wsparty na kulach. Chyba wychodził i zawrócił, słysząc naszą dyskusję.

- Kiedy Wietkong przychodzi do jakiejś wioski, przede wszystkim szuka ludzi z krzyżami, medalikami ze świętym Krzysztofem, Matką Boską, wszystkim w tym stylu. Zabija ją katolików. Zabijają wszystkich, którzy wierzą w Boga.

Uważasz, że powinniśmy się bezczynnie przyglądać, jak komuniści zabijają wierzących?

- Dlaczego nie? - odezwał się Stoke. - Przyglądaliśmy się bezczynnie przez sześć lat, jak hitlerowcy zabijają Żydów. Żydzi wierzą w Boga, przynajmniej tak słyszałem.

- Pieprz się, Ciach-Ciach! - krzyknął Ronnie. - Pytał cię ktoś o zdanie?

Ale Stoke Jones vel Ciach-Ciach już schodził po schodach. Echo jego kul przypomniało mi niedawno zmarłego Franka Stuarta.

Złotko znowu odwrócił się do Skipa. Trzymał się pod boki. Na białym podkoszulku miał kilka identyfikatorów. Jak nam wyjawił, jego ojciec nosił je we Francji i Niemczech; nosił je, leżąc za drzewami i kryjąc się przed ostrzałem, w którym zginęli dwaj żołnierze z jego kompanii, a czterej odnieśli rany. Nikt nie wiedział, co to ma wspólnego w Wietnamem, ale widać było, że Złotko uważa je za skarb, więc go nie pytaliśmy. Nawet Ronnie miał dość rozumu, żeby trzymać gębę na kłódkę.

- Jeśli pozwolimy im zabrać Wietnam Południowy, wezmą też Kambodżę. - Oczy Złotka wędrowały od Skipa do mnie, potem do Ronniego… po wszystkich. - Potem Laos. Filipiny. Po kolei.

- Skoro tego dokonają, to chyba zwycięstwo słusznie im się należy - odezwałem się.

Złotko spojrzał na mnie osłupiały. Sam też się trochę zdziwiłem, ale nie mogłem już tego odwołać.

23

Przed Świętem Dziękczynienia czekała nas jeszcze jedna runda egzaminów, która dla młodych spragnionych wiedzy umysłów z drugiego piętra Chamberlaina okazała się katastrofą. Do tego czasu większość z nas już rozumiała, że to my jesteśmy temu winni, iż popełniamy coś w rodzaju zbiorowego samobójstwa. Kirby McClendon wykonał swój numer z aspiryną i zniknął jak królik w cylindrze. Kenny Auster, który podczas naszych maratonów siedział zwykle w kącie świetlicy i dłubał w nosie, zastanawiając się nad wyborem karty, pewnego dnia po prostu nawiał. Na poduszce zostawił damę kier z napisem „odchodzę". George Lessard zamieszkał ze Steve'em Oggiem i Jackiem Fradym w Chadwicku, akademiku kujonów.

Sześciu z głowy, jeszcze trzynastu.

To powinno nam wystarczyć. Do cholery, powinno nam wystarczyć już samo to, co spotkało biednego starego Kirby'ego; zanim mu odbiło, przez jakieś trzy lub cztery dni ręce trzęsły mu się tak bardzo, że prawie nie mógł zbierać kart ze stołu, a przy każdym trzaśnięciu drzwiami podskakiwał pod sufit. Kirby powinien nam wystarczyć, ale nie wystarczył. Podobnie jak nie wystarczyły mi chwile, która spędzałem z Carol. Owszem, było fajnie, kiedy mieliśmy randkę. Właściwie kiedy się z nią spotykałem, myślałem tylko o informacjach (i może jeszcze, żeby zdjąć z niej sweterek). Ale kiedy przychodziłem do akademika, a już zwłaszcza na to cholerne drugie piętro, stawałem się innym Peterem Rileyem. W świetlicy na drugim piętrze przeobrażałem się w człowieka, którego nie znałem.

W miarę jak zbliżało się Święto Dziękczynienia, stawaliśmy się coraz większymi fatalistami. Oczywiście nikt o tym nie wspominał. Rozmawialiśmy o filmach, seksie („mam więcej towaru niż supermarket" - obwieszczał Ronnie, zwykle bez uprzedzenia i żadnych wstępów), ale głównym tematem był Wietnam… i kierki. Rozmowy o kierkach dotyczyły tego, kto wygrywa, kto przegrywa oraz kto nie umie udoskonalić paru prostych strategicznych zagrywek: oddać średnie kiery komuś, kto lubi ryzykować, a jeśli trzeba wziąć lewę, to najwyższą kartę.

Naszą jedyną szczerą reakcją na te nachodzące egzaminy była zmiana rozgrywek karcianych w jeden niekończący się maraton. Nadal graliśmy po piątce za punkt, ale obecnie graliśmy także na „podwójne punkty". System tej punktacji był dość skomplikowany, ale podczas dwóch rozgorączkowanych nocnych sesji Randy Echolls i Hugh Brennan zdołali

opracować całkiem niezłą formułę. Zresztą obaj oblali matematykę i pod koniec semestru ich kariera się skończyła.

Od czasu tamtych egzaminów minęły trzydzieści trzy lata, a mężczyzna, którym stał się tamten chłopiec, nadal wzdryga się na ich wspomnienie. Oblałem wszystko z wyjątkiem socjologii i angielskiego. Nie musiałem nawet sprawdzać, i tak to wiedziałem. Skip powiedział, że oblał wszystko z wyjątkiem matematyki, a i tu prześliznął się cudem. Tamtego wieczora zabrałem Carol do kina, na ostatnią randkę przed Świętem Dziękczynienia (i w ogóle ostatnią, o czym jeszcze nie wiedziałem); po drodze do samochodu spotkałem Ronniego Malenfanta. Spytałem, jak mu poszło. Uśmiechnął się, mrugnął i powiedział:

- Jestem mistrzem, brachu. Nie ma lepszych ode mnie. O nic się nie martwię. - Ale w świetle latarni zauważyłem, jak blady jest jego uśmiech. Blada była także jego twarz, a trądzik, paskudny już na początku studiów, teraz wyglądał gorzej niż kiedykolwiek. - A ty?

- Chcą, żebym od razu został dziekanem. Mówi ci to coś?

Parsknął rechotem.

- Ty pierdoło! - Klepnął mnie w ramię. Zadzierżyste spojrzenie zniknęło, a w jego oczach pojawił się strach, który ujął mu lat. - Wychodzisz?

- Mhm.

- Z Carol?

- Tak.

- Masz szczęście. To cholernie fajna cizia. - U Ronniego była to niemal rozdzierająca serce życzliwość. - A gdybyśmy się już nie spotkali w świetlicy, wesołego indyka.

- I wzajemnie, Ronnie.

- Jasne. - Zerknął na mnie kątem oka, powstrzymując uśmiech. - Jeden z nas na pewno będzie miał niedługo wesołego ptaka.

- Tak, chyba tak można ująć.

24

Było gorąco, choć wyłączyłem silnik i ogrzewanie, ale i tak było gorąco od naszych ciał, okna zaparowały tak, że światło latarni stało się łagodne i rozproszone, jakby sączyło się przez mleczną szybę, a radio wciąż grało, Wspaniały John Marshall puszczał stare przeboje, Skromny, lecz Zarazem Wspaniały John Marshall puszczał The Four Seasons, The Dovells, Jacka Scotta, Little Richarda i Freddie „Boom Boom" Cannona, wszystkie złote przeboje, a jej sweter był rozpięty, stanik zwisał z oparcia, jedno białe ramiączko dyndało w powietrzu, białe grube ramiączko, bo w tamtych czasach technologia produkcji staników nie była jeszcze tak zaawansowana i Boże, jaką miała ciepłą skórę, sutek w moich ustach wydawał się chropowaty i choć ciągle miała na sobie majtki, to tylko do pewnego stopnia, ponieważ ściągnąłem je na jedną stronę i najpierw włożyłem w nią jeden, a potem dwa palce, a Chuck Berry śpiewał „Johnny B. Goode" i „The Royal Teens", a ona położyła mi rękę na rozporku, wsunęła ją w moje szorty i czułem zapach Carol, woń jej szyi, potem na skroniach, na linii włosów, i słyszałem ją, żywy puls jej oddechu, niezrozumiale szepty, gdy się całowaliśmy, a wszystko na przednim siedzeniu mojego samochodu, odsuniętym do tyłu, ile się dało, bez jednej myśli o oblanych egzaminach, wojnie w Wietnamie, Johnsonie w leju, kierkach czy czymkolwiek, tylko o tym, że jej pragnę, teraz zaraz, i raptem wyprostowała się, odepchnęła mnie obiema rękami. Znowu pochyliłem się ku niej, dotknąłem jej uda, a ona prawie krzyknęła:

- Pete, nie! - I zsunęła nogi, tak gwałtownie, że kolana klasnęły o siebie. Ten definitywny dźwięk oznaczał, że randka się skończyła, trudno i darmo. Nie byłem zachwycony, ale przestałem.

Oparłem głowę o zaparowane okno po stronie kierowcy, zdyszany. Członek stał mi jak drut, tak twardy, że bolało. To wkrótce minie - żaden wzwód nie trwa wiecznie, to chyba słowa Benjamina Disraelego - ale sine jaja pozostaną. Smutny fakt z życia faceta.

Wcześniej wyszliśmy z kina - szedł jakiś straszny kit z Burtem Reynoldsem - i wróciliśmy na parking, myśląc o tym samym… przynajmniej na to liczyłem. Prawdopodobnie tak było, choć miałem nadzieję na więcej.

Carol ściągnęła poły sweterka, ale nie włożyła stanika i wyglądała dziko pociągająco z piersiami prawie na wierzchu i widocznymi do połowy sutkami. Otworzyła torebkę i zaczęła w niej grzebać drżącymi dłońmi.

- Uuuu… - Głos także jej drżał. - Rany boskie.

- Wyglądasz w tym sweterku jak Brigitte Bardot.

Podniosła głowę, zaskoczona i chyba mile połechtana.

- Naprawdę? A może chodzi ci tylko o włosy?

- Włosy? Kurna, nie, głównie chodzi o… - Wskazałem jej dekolt. Spojrzała na niego i parsknęła śmiechem. Ale nie zapięła swetra ani nie usiłowała się nim otulić. Zresztą chyba nie mogła - o ile sobie przypominam, był to rozkosznie obcisły sweterek.

- Kiedy byłam mała, na naszej ulicy znajdowało się kino. Teraz je zburzyli, ale wtedy bez przerwy pokazywali jej filmy. Jeden, „I Bóg stworzył kobietę", puścili chyba z tysiąc razy.

Roześmiałem się i wyjąłem ze skrytki papierosy.

- W kinie samochodowym w Gates Falls dawali to jako trzeci film.

- Widziałeś?

- Żartujesz? Mogłem oglądać tylko filmy Disneya. Ale widziałem zapowiedzi. Brigitte w ręczniku.

- Nie wrócę na studia - powiedziała, zapalając papierosa. Rzuciła to tak od niechcenia, że przez chwilę wydawało mi się, że ciągle rozmawiamy o starych filmach, północy w Kalkucie czy czymkolwiek, by przekonać nasze ciała, że już po wszystkim, akcja się skończyła. Potem do mnie dotarło.

- Powiedziałaś… że…?

- Że nie wrócę po przerwie. I nie będą to miłe święta, ale co mi tam.

- Chodzi o ojca?

Pokręciła głową, zaciągnęła się. W świetle ognika cała jej twarz była w pomarańczowym połysku i grafitowym cieniu. Wydawała się starsza. Nadal piękna, lecz starsza. Paul Anka śpiewał „Dianę". Wyłączyłem go.

- Ojciec nie ma z tym nie wspólnego. Wracam do Harwich. Pamiętasz, jak mówiłam o Riondzie, przyjaciółce mamy?

Coś tam kojarzyłem, więc skinąłem głową.

- To Rionda zrobiła zdjęcie, które ci pokazałam, to z Bobbym i SJ. Powiedziała… - Carol spojrzała na spódnicę, jeszcze zadartą i zaczęła ją skubać. Nigdy nie wiadomo, co będzie dla innych powodem do wstydu: czasami to sprawy toalety, czasem seksualne zachowania krewnych, niekiedy zbyt ostentacyjne zachowanie. A czasami alkohol.

- Powiedzmy to w ten sposób: w rodzinie Gerberów nie tylko ojciec ma problem z piciem. Nauczył matkę dawać w gaz i nauka nie poszła na marne. Długo z tym walczyła - zdaje się, że chodziła na spotkania AA - ale Rionda twierdzi, że znów zaczęła. Więc wracam do domu. Nie wiem, czy zdołam jej pomóc, ale muszę spróbować. Chodzi także o mojego brata. Rionda powiedziała, że z trudem sobie radzi.

- Słuchaj, to chyba dość kiepski pomysł. Przerywać studia w taki sposób…

Poderwała głowę, spojrzała na mnie gniewnie.

- Chcesz pogadać o przerywaniu studiów? Wiesz, co ostatnio usłyszałam? Że wszyscy z twojego piętra wylecą ze szkoły do gwiazdki, włącznie z tobą. Penny Lang mówi, że do przyszłego semestru nie zostanie tam nikt z wyjątkiem tego porąbanego gospodarza piętra.

- Iii… To już przesada. Nate zostanie. I Stokely Jones, jeśli w końcu nie spadnie ze schodów.

- Zachowujesz się, jakby to było śmieszne.

- Nie jest. - Nie, nie było.

- Więc dlaczego się nie wycofasz?

Teraz to ja się wkurzyłem. Odepchnęła mnie, powiedziała, że wyjeżdża akurat wtedy, gdy zacząłem ją nie tylko lubić, ale pragnąć jej, zafundowała mi pierwszorzędny przypadek sinych jaj… i jeszcze się na mnie drze.

- Nie wiem, dlaczego się nie wycofam - warknąłem. - A dlaczego ty nie znajdziesz kogoś, kto by się zajął twoją matką? Dlaczego ta jej przyjaciółka, Rawanda…

- Rionda!

- …się nią nie zajmie? Czy to twoja wina, że masz matkę pijaczkę?

- Nie jest pijaczką! Nie mów tak!

- Na pewno jest kimś w tym rodzaju, skoro musisz rzucać dla niej studia. Na pewno, skoro jest już tak źle.

- Rionda pracuje i musi się zajmować własną matką - powiedziała Carol. Gniew już z niej wyparował. Miała zgaszony, przygnębiony głos. Pamiętałem roześmianą dziewczynę, która przy mnie stała, przyglądając się strzępkom naklejki, ale ona wydawała się kimś innym. - Matka to matka. Ma tylko lana i mnie, a łan ledwie sobie radzi w liceum. Poza tym zawsze jest uniwersytet w Connecticut.

- Chcesz informacji? - Głos mi ochrypł. - Usłyszysz, choćbyś nawet nie chciała. Łamiesz mi serce. O to chodzi. Łamiesz mi, psiakrew, serce.

- Nieprawda. Serca są twarde. Na ogół się nie łamią. Przeważnie tylko się naginają.

Jasne, jasne, a Konfuncjusz powiedział, że kobieta, która wyskoczy z okna, zrobi sobie krzywdę. Rozpłakałem się. Nie tak na całego, ale łzy się pojawiły. Pewnie dlatego, że byłem nieprzygotowany. No dobrze, płakałem także nad sobą, ponieważ się bałem. Oblałem bądź niewiele brakowało, bym oblał wszystkie przedmioty z wyjątkiem jednego, moja przyjaciółka zamierzała się ewakuować, a ja nie mogłem przestać grać w karty. Nic nie szło tak, jak się spodziewałem i to mnie przerażało.

- Nie wyjeżdżaj - powiedziałem. - Kocham cię. - Potem usiłowałem się uśmiechnąć. - Następna informacja.

Patrzyła na mnie z nieodgadniona miną, uchyliła okno i wyrzuciła papierosa. Podkręciła szybę, wyciągnęła do mnie ręce.

- Chodź tutaj.

Wcisnąłem papierosa do przepełnionej popielniczki i przysunąłem się do Carol. Pocałowała mnie, spojrzała mi w oczy.

- Może mnie kochasz, może nie. Powiem ci tylko, że nigdy nie próbowałam nikogo namówić, żeby się we mnie odkochał. Miłość nie trafia się często. Ale ty się pogubiłeś. Szkoła, kierki, Annmarie i ja. Pogubiłeś się.

Chciałem zaprzeczyć, ale miała rację.

- Pójdę na uniwersytet w Connecticut - powiedziała. - Na pewno pójdę, jeśli matka dojdzie do siebie. Jeśli nie, będę chodziła na kursy w Pennington albo nawet do wieczorówki w Stratford lub Harwich. Mogę sobie na to pozwolić, mam ten przywilej, ponieważ jestem dziewczyną. To dobre czasy dla kobiet, wierz mi. Lyndon Johnson o to zadbał.

- Carol…

Delikatnie zamknęła mi usta.

- Jeśli oblejesz w grudniu, następną gwiazdkę spędzisz w dżungli. Musisz o tym pamiętać. John to co innego. On uważa, że tak jest dobrze i chce pojechać. Ale ty nie wiesz, czego chcesz ani co uważasz, i nie dowiesz się, dopóki będziesz grać.

- Jak to, przecież zdrapałem Goldwatera, no nie? - spytałem i od razu poczułem się jak kretyn.

Nie odpowiedziała.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Jutro po południu. Mam autobus o czwartej. Przystanek w Harwich jest o parę przecznic ode mnie.

- Wyjeżdżasz z Derry?

- Tak.

- Mogę cię odwieźć na dworzec? Mógłbym po ciebie przyjechać o trzeciej.

Zastanowiła się i skinęła głową… ale widziałem cień w jej oczach. Trudno go było nie zauważyć, bo zwykle jej oczy patrzyły szczerze i otwarcie.

- Wspaniale. Dziękuję. I nie okłamałam cię, prawda? Powiedziałam, że nie będziemy ze sobą długo.

Westchnąłem.

- Tak.

Byliśmy krócej, niż się spodziewałem.

- Więc, Numerze Szósty… chcemy informacji.

- Nie dostaniecie ich. - Trudno było naśladować twardego Patricka McGoohana, kiedy nadal chciało mi się płakać, ale starałem się, jak mogłem.

- Nawet jeśli ładnie poproszę? - Wzięła moją dłoń, włożyła pod sweterek, umieściła na swojej lewej piersi. Ta moja część, która właśnie zaczęła omdlewać, natychmiast stanęła na baczność.

- Hm…

- Robiłeś to? Tak na całość? O tę informację mi chodzi.

Zawahałem się. Podejrzewam, że jest to najtrudniejsze pytanie, jakie można zadać chłopakowi. Większość z nas nie mówi prawdy. Nie chciałem jej okłamywać.

- Nie.

Wyśliznęła się zgrabnie z fig, rzuciła je na tylne siedzenie i objęła mnie za szyję.

- Ja robiłam. Dwa razy. Z Sullym. Nie wydaje mi się, żeby był najlepszy, ale… nie był studentem. A ty jesteś.

W ustach mi wyschło, choć musiało mi się wydawać, bo kiedy ją pocałowałem, nasze języki, wargi i zęby były wilgotne.

- Chętnie podzielę się wiedzą - wykrztusiłem, kiedy już mogłem mówić.

- Włącz radio - szepnęła, rozpinając mi pasek i dżinsy. - Włącz radio, Pete. Lubię stare przeboje.

Więc włączyłem radio, pocałowałem ją i znalazłem miejsce, takie jedno miejsce, ona pomogła mi je znaleźć, i po chwili już tam byłem, już tam byłem. Poczułem ciepło. Było ciepło i ciasno. Carol szeptała mi do ucha, łaskocząc wargami moją skórę:

- Nie spiesz się. Spraw się dobrze, a zasłużysz na nagrodę.

Roy Orbison śpiewał „Only the Lonely", a ja się nie spieszyłem. Wanda Jackson śpiewała „Let'a Have a Party", a ja się nie spieszyłem. Mighty John wystąpił w reklamie Branningana, najmodniejszego klubu w Derry, a ja się nie spieszyłem. Potem ona zaczęła jęczeć i nie czułem już jej palców, ale paznokcie, i zaczęła poruszać biodrami, urywanymi ,gwałtownymi szarpnięciami i nie mogłem się już nie spieszyć. Nadeszła pora na The Platters, a ona jęczała, że nie wiedziała, nie miała pojęcia, och, och Pete, o Jezu, Jezu Chryste, Pete, i całowała mnie w usta, brodę, policzki, jak szalona. Słyszałem skrzypienie siedzenia, czułem dym z papierosów i odświeżacz o leśnym zapachu, dyndający na wstecznym lusterku, i ja także zacząłem jęczeć, nie wiem co. Usłyszałem z radia „Codziennie modlę się, żeby nadszedł wieczór, bym mógł być z tobą" i raptem się zaczęło. Ekstatyczny łomot krwi. Zamknąłem oczy, wszedłem w nią, dygocząc konwulsyjnie. Słyszałem, jak moje obcasy wystukują na drzwiach samochodu gorączkowy rytm, i myślałem, że mógłbym to robić nawet umierając, umierając, umierając. I to także była jakaś informacja. Ekstatyczny łomot krwi, karty padają na miejsce, świat toczy się dalej, dama się chowa, potem się ją znajduje i to wszystko.

25

Następnego ranka miałem krótkie spotkanie z moim wykładowcą geologii, który mi wyjawił, że „znalazłem się niemal w opłakanej sytuacji". To nie jest nowa informacja, Numerze Szósty, miałem ochotę mu powiedzieć, ale się powstrzymałem. Tego ranka świat wyglądał inaczej - jakby się zmienił jednocześnie na lepsze i gorsze.

W Chamberlainie zastałem Nate'a gotowego do podróży. Trzymał walizkę z naklejką ZDOBYŁEM SZCZYT WASZYNGTONA. Na ramieniu niósł worek z brudnymi ubraniami. Podobnie jak reszta świata, Nate także wydał mi się zmieniony.

- Wesołych świąt - powiedziałem. Otworzyłem szafę i zacząłem wyciągać spodnie i koszule, prawie na nie nie patrząc. - Jedz dużo farszu, jesteś za chudy.

- Na pewno. I sos żurawinowy. W pierwszym tygodniu, kiedy najbardziej tęskniłem za domem, myślałem tylko o tym sosie.

Spakowałem się, myśląc, że mógłbym odwieźć Carol na dworzec, a potem pojechać dalej. Jeśli autostrada będzie w miarę luźna, dotrę do domu przed zmrokiem. Może nawet jeszcze wpadnę do knajpy Franka na szklankę piwa korzennego. Nagle ucieczka z tego miejsca - Chamberlaina, stołówki, całego tego cholernego uniwersytetu - wydała mi się najważniejsze na świecie. Pogubiłeś się, powiedziała wczoraj Carol. Nie wiesz, czego chcesz, i nie będziesz wiedzieć, dopóki nie rzucisz kart.

No i teraz miałem okazję je rzucić. Bolało mnie, że Carol odjeżdża, ale skłamałbym, twierdząc, że myślałem tylko o tym. W tamtej chwili najważniejsza była ucieczka od świetlicy. Od Suki. Jeśli oblejesz w grudniu, następny grudzień spędzisz w dżungli. To na razicho, jak by powiedział Skip Kirk.

Zamknąłem walizkę, odwróciłem się i zobaczyłem, że Nate nadal stoi w drzwiach. Drgnąłem i chyba pisnąłem ze strachu. Jakbym zobaczył ducha, psiakostka.

- Hej, zjeżdżaj stąd - powiedziałem. - Czas nie czeka na nikogo, nawet na przyszłych stomatologów.

Nate tylko stał i patrzył.

- Wyrzucą cię - oznajmił.

Znowu przyszło mi do głowy, jak niesamowicie są do siebie podobni Nate i Carol, prawie jak męska i żeńska strona tej samej monety. Usiłowałem się uśmiechnąć, ale Nate nie

odpowiedział. Miał małą, białą, skrzywioną twarzyczkę. Idealny Jankes. Chudy facecik, który nie opala się, tylko spieka na raka, za szczyt elegancji uważa krawat z rzemyka i dużą ilość wody po goleniu, wygląda, jakby od trzech lat miał zatwardzenie, a jego ostatnie słowa to „sos żurawinowy".

- E tam. Nie pękaj, Natie. Wszystko gra.

- Wyrzucą cię - powtórzył. Na policzkach pojawiły się mu ceglaste wypieki. - Ty i Skip jesteście najlepszymi facetami, jakich znam, w całym liceum nie było takich jak wy, przynajmniej w moim liceum, a teraz wylecisz i to wszystko traci sens!

- Nie wylecę - powtórzyłem… choć od poprzedniego dnia zacząłem się oswajać z myślą, że jednak mogę wylecieć. Nie stałem na krawędzi, człowieku, ja już tkwiłem po uszy w gównie. - Ani Skip. Wszystko pod kontrolą.

- Świat się wali, a wy dwaj wylecicie ze szkoły przez karty! Przez głupie kierki!

Zanim zdołałem odpowiedzieć, już go nie było. Poleciał na spotkanie z indykiem i sosem. Kto wie, może Cindy mu pomasuje przez spodnie. Czemu nie? To Święto Dziękczynienia.

26

Nie czytuję horoskopów, rzadko oglądam „Z archiwum X” i nigdy w życiu, przysięgam, nie dzwoniłem na gorącą linię „Nie do wiary”, ale wierzę, że wszyscy czasem miewamy chwile jasnowidzenia. Ja przeżyłem coś w tym stylu owego popołudnia, gdy podjechałem samochodem brata przed Franklin Hall. Wiedziałem, że Carol już zniknęła.

Wszedłem do środka. Hol, w którym zwykle na plastikowych krzesłach czekało ośmiu, dziewięciu dżentelmenów, wydawał się dziwnie pusty. Sprzątaczka w niebieskim fartuchu jeździła odkurzaczem po gigantycznej wykładzinie. Dziewczyna z recepcji czytała gazetę i słuchała radia, w którym akurat lecieli ? and The Mysterians. Płacz, maleńka, płacz. Dziewięćdziesiąt sześć łez.

- Pete Riley do Carol Gerber - powiedziałem.

Podniosła głowę, odłożyła gazetę i spojrzała na mnie ze współczuciem, jak lekarz, który musi ci zakomunikować: ogromnie mi przykro, to nieuleczalne. Masz pecha, facet, lepiej się zacznij kolegować z Jezusem.

- Carol powiedziała, że musi wyjechać wcześniej. Pojechała do Derry. Ale uprzedziła, że przyjdziesz, i prosiła, żeby ci to oddać.

Wręczyła mi kopertę; na której widniało moje nazwisko. Podziękowałem i wyszedłem. Przez jakiś czas stałem przy samochodzie, spoglądając ku Holyoke, słynnemu Pałacowi na Równinach, rezydencji jurnego hotdogowego ludzika. Poniżej, na Ścieżce Benneta, wiatr rozrzucał liście. Kolory już z nich spełzły, został tylko listopadowy bury brąz. W Nowej Anglii Święto Dziękczynienia jest przedsionkiem zimy. Świat był wietrzny i rozświetlony ostrym słońcem. Znowu zacząłem płakać, wiedziałem, bo czułem ciepło na policzkach.

Wsiadłem do samochodu, w którym poprzedniego dnia straciłem niewinność i otworzyłem kopertę. W środku znajdowała się jedna kartka. Zwięzłość to dusza rozumu. Jeśli tak, list Carol był rozumny jak jasna cholera.

Drogi Pete,

Ta noc powinna być pożegnaniem - czy można wymyślić coś lepszego? Może napiszę do ciebie na adres uniwersytetu, a może nie, na razie jestem tak zagubiona, że sama nie wiem (a może nawet zmienię zdanie i wrócę?). Ale proszę, nie szukaj ze mną kontaktu, dobrze?

Powiedziałeś, że mnie kochasz. Jeśli to prawda, pozwól, żebym to ja napisała pierwsza. Zrobię to, obiecuję.

Carol

PS Nigdy nie przeżyłam czegoś tak słodkiego jak nasza noc. Jeśli może być jeszcze lepiej, nie wiem, jak ludzie mogą to przeżyć.

PS 2 Rzuć tę głupią grę.

Napisała, że nigdy nie przeżyła czegoś tak słodkiego, ale nie że mnie kocha. Mimo to… „Jeśli może być jeszcze lepiej, nie wiem, jak ludzie mogą to przeżyć". Dobrzeją rozumiałem. Dotknąłem siedzenia, na którym leżała. Na którym leżeliśmy razem.

Włącz radio, Pete. Lubię stare przeboje.

Spojrzałem na zegarek. Przyjechałem po Carol wcześnie (pewnie pchały mnie przeczucia) i było dopiero po trzeciej. Mógłbym spokojnie zdążyć na dworzec przed jej wyjazdem… ale nie zamierzałem tego zrobić. Miała rację. To, co się stało w samochodzie mego brata, stanowiło idealne pożegnanie. Wszystko inne byłoby krokiem w dół. W najlepszym razie poczulibyśmy, że mówimy tym samym językiem. W najgorszym - zniszczylibyśmy kłótnią wspomnienie zeszłej nocy.

Chcemy informacji.

Tak. I dostaliśmy je, Bóg mi świadkiem.

Złożyłem jej list, wsadziłem do tylnej kieszeni dżinsów i pojechałem do Gates Falls. Początkowo oczy mnie piekły i ciągle musiałem je wycierać. Wreszcie włączyłem radio i muzyka trochę mnie uspokoiła. Z tą muzyką już tak jest. Teraz jestem po pięćdziesiątce, a muzyka nadal mnie uspokaja. Słynny odruch Pawłowa.

27

Do Gates dotarłem około wpół do szóstej, zwolniłem koło knajpy Franka i pojechałem dalej. Wtedy bardziej mi zależało na dotarciu do domu niż na pogaduszkach z Frankiem Parmeleau. Powitanie mojej matki wyglądało następująco: mówiła mi, że jestem za chudy, mam za długie włosy i że chyba się boję brzytwy. Potem siadła w fotelu na biegunach i płakała nad powrotem syna marnotrawnego. Ojciec całował mnie w policzek, przytulał jedną ręką i człapał do lodówki po szklankę przyrządzanej przez mamę czerwonej herbaty, wyciągając głowę z golfu brązowego swetra jak ciekawski żółw.

Wydawało nam się - mamie i mnie - że widzenie w jego lewym oku raczej nie przekraczało dwudziestu procent. Trudno powiedzieć, bo tak rzadko się odzywał. Była to pamiątka po okropnym upadku z pierwszego piętra. Na lewym policzku i szyi i miał blizny, a na czaszce zrobiło się mu wgłębienie, którego nie porastały włosy. Po wypadku niemal stracił wzrok i coś mu się stało z głową. Nie był jednak „kompletnym półgłówkiem", jak powiedział pewien dupek u fryzjera, nie był także niemy, jak sądziła większość. Przez dziewiętnaście dni leżał w śpiączce. Po przebudzeniu często milczał, to prawda, i coś mu się pomieszało w głowie, ale czasami nadal był z nami, przytomny i poczytalny. Gdy wróciłem, także był przytomny, pocałował mnie i przytulił jedną ręką, co robił od zawsze. Kochałem mojego staruszka… a po semestrze spędzonym na grze w kierki z Ronniem Malenfantem doszedłem do wniosku, że rozmowa jest bardzo przereklamowaną umiejętnością.

Posiedziałem z nimi przez jakiś czas, opowiedziałem, co słychać na uniwerku (choć pominąłem polowanie na Sukę) i wyszedłem. Grabiłem liście w zapadającym mroku (mroźne powietrze wydawało się błogosławieństwem), machałem do przechodzących sąsiadów i zjadłem trzy hamburgery mojej mamy. Potem mama powiedziała, że wybiera się do kościoła, gdzie kółko pań przygotowuje posiłek dla chorych. Nie sądzi, żebym chciał spędzić pierwszy wieczór w domu ze starymi kwokami, ale jeśli mam ochotę, mogę przyjść na kurczaka. Podziękowałem i powiedziałem, że zadzwonię do Annmarie.

- Jakoś mnie to nie dziwi - odparła i wyszła.

Odczekałem, aż usłyszę warkot samochodu, i bez większego zachwytu zadzwoniłem do Annmarie Soucie. Godzinę później przyjechała furgonetką ojca, uśmiechnięta, z rozpuszczonymi włosami i ustami błyszczącymi od szminki. Ten uśmiech nie wytrzymał długo, jak się pewnie

sami domyślacie i kwadrans później Annmarie zniknęła z mojego domu i życia. To na razicho, kotku. Jakoś równocześnie z Woodstock wyszła za agenta ubezpieczeniowego z Lewiston i została Annmarie Jalbert. Mają troje dzieci i nadal są małżeństwem. To chyba dobrze, nie? Nawet jeśli nie, musicie przyznać, że to cholernie amerykańskie.

Stałem przy oknie koło zlewu i patrzyłem na znikające tylne światła samochodu pana Soucie. Czułem do siebie niesmak - Chryste, te jej rozszerzone oczy, te uśmiechnięte usta, które zaczęły drżeć - ale czułem też obrzydliwą ulgę i byłem szczęśliwy jak diabli. Coś mnie unosiło, tak że mógłbym tańczyć na ścianach i suficie jak Fred Astaire.

Za moimi plecami rozległo się człapanie. Odwróciłem się i zobaczyłem ojca, sunął powoli jak żółw. Jedną rękę wyciągał przed siebie. Skóra na niej zaczynała już wisieć, jak wielka luźna rękawica.

- Czy przed chwilą słyszałem, jak młoda dama nazywa młodego dżentelmena pieprzonym palantem? - spytał miłym, nieobowiązującym tonem.

- Mhm - mruknąłem.

Otworzył lodówkę i namacał dzbanek czerwonej herbaty. Pił ją bez cukru. Ja także się tego nauczyłem i muszę przyznać, że w takiej postaci smakuje jak nic na świecie. Według mnie ojciec wolał czerwoną herbatę, bo była najbardziej kolorowa ze wszystkich napojów w lodówce i zawsze wiedział, gdzie stoi.

- To ta Soucie, tak?

- Tak, tato. Annmarie.

- Wszyscy ci Soucie mają paskudne charaktery. Trzasnęła drzwiami, co?

Uśmiechałem się. Nie mogłem się powstrzymać. Aż dziw, że nasze biedne stare drzwi to wytrzymały.

- O, tak.

- Wymieniłeś ją na nowszy model ze studiów?

Była to dość skomplikowana kwestia. Najprostszą odpowiedzią - i chyba najprawdziwszą - było zaprzeczenie. Toteż zaprzeczyłem.

Ojciec skinął głową, postawił na szafce przy lodówce największą szklankę, lecz i tak wyglądało na to, że rozleje herbatę po całej podłodze i sobie na nogi.

- Ja ci naleję - powiedziałem. - Dobrze?

Nie odpowiedział, ale cofnął się i pozwolił się wyręczyć. Włożyłem mu w dłoń szklankę napełnioną w trzech czwartych, a dzbanek odstawiłem do lodówki.

- Smaczna?

Nic. Trzymał szklankę w obu dłoniach, jak dziecko, i popijał herbatę małymi łykami. Czekałem przez jakiś czas, wreszcie uznałem, że mi nie odpowie, więc przyniosłem walizkę stojącą w kącie kuchni. Przywiozłem w niej podręczniki, które teraz wyjąłem.

- Chcesz się uczyć w święta - odezwał się ojciec.

Drgnąłem - prawie zapomniałem o jego obecności. - Rety.

- Mam trochę zaległości. Nauczyciele są surowsi niż w liceum.

- Studia - powiedział. Długa cisza. - Jesteś na studiach.

Zabrzmiało to prawie jak pytanie, więc potwierdziłem.

Stał jeszcze przez jakiś czas i chyba mi się przyglądał, gdy rozkładałem książki i zeszyty. Może się przyglądał, a może tylko stał. Trudno to było stwierdzić. Wreszcie poczłapał do drzwi, z wyciągniętą szyją, jedną ręką wyprostowaną w - obronnym geście, drugą - tą, w której trzymał szklankę z czerwoną herbatą - przytuloną do piersi. Zatrzymał się w progu i rzucił, nie odwracając się do mnie:

- Dobrze, że się rozstałeś z tą Soucie. Wszyscy oni mają paskudne charaktery. Słoma z butów wystaje. Zasługujesz na kogoś lepszego.

Wyszedł, tuląc szklankę do piersi.

28

Uczyłem się uczciwie aż do przyjazdu brata z żoną. Nadrobiłem połowę socjologii, przebrnąłem przez czterdzieści stron geologii, a wszystko przez trzy godziny intensywnego wkuwania. Kiedy urządziłem sobie przerwę na kawę, poczułem słabą nadzieję. Miałem zaległości, katastrofalne zaległości, ale może jeszcze nie wszystko stracone. Czułem się jak piłkarz, który dogonił piłkę i wraca z nią na boisko.

Oczywiście pod warunkiem, że będę się trzymać z dala od świetlicy na drugim piętrze.

Za kwadrans dziesiąta przyszedł mój brat, który - jeśli tylko sytuacja na to pozwala - nigdy nie pojawia się przed zachodem słońca. Jego żona niosła pudding. W ósmym miesiącu ciąży bardzo ładnie wyglądała w płaszczu z kołnierzem z prawdziwych norek. Dave trzymał salaterkę fasoli. Ze wszystkich ludzi na Ziemi chyba tylko mojemu bratu przyszło do głowy wieźć do domu michę fasoli jasiek.

Dobry chłopak z tego Dave'a. Jest ode mnie starszy o sześć lat i w 1966 roku był księgowym niewielkiej sieci knajpek z hamburgerami w Maine i New Hampshire. Do końca 1996 zrobiło się ich osiemdziesiąt, a mój brat przejął firmę wraz z trzema partnerami. Teraz ma trzy miliony dolarów - w każdym razie na papierze - oraz potrójny bypas. Wypada po jednym za milion.

Zaraz po Davie i Katie przybyła mama, obsypana mąką, uniesiona poczuciem dobrze spełnionego obowiązku i szczęśliwa, bo miała w domu obu synów. Było mnóstwo radosnego paplania. Tata siedział w kącie, słuchając w milczeniu… ale uśmiechał się i wodził od Dave'a do mnie tymi dziwnymi oczami o rozszerzonych źrenicach. Prawdopodobnie reagował na nasze głosy, nie twarze. Dave spytał, gdzie się podziewa Annmarie, więc powiedziałem, że postanowiliśmy na jakiś czas dać sobie spokój. Spytał, czy to znaczy, że… Ale zanim zdążył skończyć, Katie i mama szturchnęły go ostro z obu stron, co oznacza: „nie teraz, chłopie, nie teraz". Zerknąwszy na rozszerzone oczy mamy, odgadłem, że ona też ma do mnie parę pytań, prawdopodobnie całkiem sporo. Chciała ode mnie wyciągnąć wszystkie informacje. Jak to mama.

Pominąwszy spotkanie z Annmarie i pojawiające się czasem myśli o Carol Gerber (głównie rozważania, czy nie zmieniła zdania i czy spędza święta z tym miłośnikiem wojska Smutnym Johnem), były to całkiem fajne dni. Cała rodzina snuła się po domu, obgryzając

indycze udka, oglądała mecze w telewizji, reagując rykiem radości przy golach, rąbała drewno do kuchni (w niedzielę mama miała już tyle polan, że mogłaby ogrzewać dom przez całą zimę wyłącznie drewnem). Po kolacji jedliśmy placek i graliśmy w scrabble. A co było najfajniejsze, Dave i Katie kłócili się jak wściekli o dom, który zamierzali kupić, i Katie cisnęła w mojego brata pudełkiem z resztkami. Sam nieraz oberwałem od Dave'a, toteż z przyjemnością ujrzałem, jak plastikowy pojemnik odbija się od jego skroni. Człowieku, ależ się uchachałem.

Ale pod tymi dobrymi rzeczami, zwykłą radością, którą odczuwasz, gdy jesteś wśród bliskich, krył się strach o to, co mnie czeka po powrocie do szkoły. W czwartek późnym wieczorem znalazłem godzinkę na wkuwanie, gdy resztki kolacji znalazły się w lodówce, a wszyscy poszli spać, a w piątek po południu - dwie godziny, gdy krewni chwilowo przestali nas odwiedzać, a Dave i Katie, zawarłszy rozejm, ucięli sobie wyjątkowo hałaśliwą „drzemkę".

Nadal miałem wrażenie, że uda mi się nadrobić zaległości - wiedziałem to - ale wiedziałem też, że nie zrobię tego sam czy z Nate'em. Musiałem mieć takiego kumpla, który rozumiałby samobójcze tendencje nas, graczy z drugiego piętra, i wiedział, co czuje człowiek wychodzący w piki, by wywabić Sukę z ukrycia. Potrzebowałem kogoś, kto podzielałby prymitywną przyjemność płynącą z rzucenia Ronniemu *la femme noire.*

To musi być Skip, pomyślałem. Nawet jeśli Carol wróci, nigdy nie zrozumie mnie tak jak on. Razem ominiemy kipiele i dotrzemy na brzeg. Jeśli razem w to wpadliśmy, razem się wydostaniemy. Nie żebym się nim aż tak przejmował. Przyznaję, to brzmi dość paskudnie, ale tak wyglądała prawda. W świąteczną sobotę przysłuchałem się temu, co mi w duszy grało, i zrozumiałem, że chodzi mi głównie o siebie, o Numer Szósty. Jeśli Skip chciał się mną posłużyć, to dobrze, bo ja zamierzałem się posłużyć nim.

W sobotę po południu na tyle zapoznałem się z podręcznikiem geologii, by wiedzieć, że przy paru sprawach potrzebuję czyjejś pomocy, i to szybko. W tym semestrze były tylko dwie duże sesje egzaminacyjne: wstępna i końcowa. Na obu musiałem wypaść bardzo dobrze, żeby dalej otrzymywać stypendium.

Dave i Katie wyjechali w sobotę wieczorem, nadal piekląc się (teraz już z mniejszą zaciekłością) o dom w Pownal, który chcieli kupić. Ja usiadłem przy stole w kuchni i zacząłem czytać socjologię, coś o wewnętrznych sankcjach. Zrozumiałem tyle, że nawet nudziarze muszą mieć swoje czarne owce. Dość przygnębiające.

W pewnym momencie zdałem sobie sprawę, że ktoś jest w kuchni. Podniosłem głowę i zobaczyłem matkę w starej różowej podomce, z twarzą upiornie białą od kremu. Nie zdziwiłem się, że nie usłyszałem jej nadejścia. Po dwudziestu pięciu latach krzątania się po tym małym domku znała wszystkie skrzypiące deski. Myślałem, że wreszcie zamierza mnie spytać o Annmarie, ale okazało się, że moje życie miłosne jest ostatnią z jej trosk.

- Narobiłeś sobie wielkich kłopotów?

Przyszło mi do głowy z tysiąc odpowiedzi, ale zdecydowałem się wyjawić prawdę.

- Właściwie nie wiem.

- Czy chodzi o coś szczególnego?

Tym razem nie byłem aż tak prawdomówny, a dziś, gdy się nad tym zastanawiam, uświadamiam sobie, jak wymowne było moje kłamstwo: coś we mnie, obojętne na moje dobro, lecz bardzo silne, nie chciało zrezygnować z prawa do tańca nad przepaścią… oraz skoku w dół.

Tak, mamo, chodzi o świetlicę na drugim piętrze, chodzi o karty - za każdym razem mówię sobie, że to tylko parę rozdań, ale raptem się okazuje, że jest kwadrans po północy, a ja jestem zbyt zmęczony i nie mogę się uczyć. Nie, jestem zbyt podkręcony, żeby się uczyć. Oprócz gry w kierki jedynym moim osiągnięciem była strata dziewictwa.

Gdybym powiedział choćby pierwsze zdanie, byłoby to jak odgadnięcie zaklęcia i otwarcie Sezamu. Ale tak się nie stało. Powiedziałem tylko, że muszę się przyzwyczaić do szybszej nauki. Muszę przywyknąć do życia na studiach, nauczyć się nowych zwyczajów. Ale na pewno sobie poradzę.

Matka stała w progu jeszcze przez chwilę, ze splecionymi rękami i dłońmi ukrytymi w rękawach - wyglądała trochę jak mandaryn - a potem powiedziała:

- Zawsze będę cię kochać, Pete. Ojciec też. Nie mówi tego, ale tak jest. Oboje cię kochamy. Wiesz o tym, prawda?

- Tak, wiem. - Wstałem i uścisnąłem ją.

Umarła na raka trzustki. Przynajmniej nie męczyła się długo, choć wydawało mi się, że to trwa wieczność. Pewnie zawsze tak jest, kiedy traci się kogoś ukochanego.

- Ale musisz się dużo uczyć. Chłopcy, którzy nie uczą się dobrze, giną. - Uśmiechnęła się. Z wielkim smutkiem. - Pewnie już o tym wiesz.

- Coś słyszałem.

- Znowu urosłeś - powiedziała, unosząc głowę.

- Nie, chyba nie.

- Tak. Co najmniej dwa centymetry. I te włosy! Czemu ich nie obetniesz?

- Podobają mi się.

- Jak u dziewczyny. Radzę ci, zetnij te włosy. Zadbaj o siebie. Nie jesteś Rolling Stonesem.

Parsknąłem śmiechem. Nie mogłem się powstrzymać.

- Zastanowię się, mamo, dobrze?

- Dobrze. - Mocno mnie przytuliła, a następnie cofnęła się. Wyglądała na dość zmęczoną, choć mnie się wydała piękna. - Zabijają naszych chłopców. Najpierw myślałam, że jest w tym jakiś sens, ale ojciec twierdzi, że nie i teraz sama nie wiem, czy nie ma racji. Ucz się dobrze. Jeśli będziesz potrzebować pieniędzy na książki lub korepetycje, coś znajdziemy.

- Dziękuję, mamo. Jesteś wielka.

- E tam. Jestem stara i zmęczona. Idę spać.

Uczyłem się jeszcze przez godzinę, aż wreszcie zaczęło mi się dwoić przed oczami. Też się położyłem, ale nie mogłem zasnąć. Za każdym razem, gdy zapadałem w drzemkę, widziałem karty, które zaczynałem układać w wachlarz. Wreszcie zrezygnowałem i spojrzałem w sufit. Chłopcy, którzy nie uczą się dobrze, giną, powiedziała matka. A Carol powiedziała, że dobrze jest teraz być kobietą, Lyndon Johnson o to zadbał.

Polowanie na Sukę!

Kto zaczyna?

Jezu Chryste, patrzcie, ależ mu karta idzie!

Głosy w mojej głowie. Głosy dźwięczące w czystym powietrzu.

Jedyną radą na moje problemy było rzucenie kierek, ale nawet teraz, sześćdziesiąt kilometrów od świetlicy na drugim piętrze czułem jej zew, niemający nic wspólnego z rozumem i zdrowym rozsądkiem. Zebrałem ogółem dwanaście punktów, tylko Ronnie był ode mnie lepszy. Nie rozumiem, jak mógłbym teraz zrezygnować, po prostu odejść i dać wygrać idiocie Malenfantowi. Carol pomogła mi na niego spojrzeć z pewnej perspektywy; dzięki niej zobaczyłem w nim ograniczonego, pryszczatego gnoma, którym w istocie był. Ale skoro Carol odjechała…

Ronnie także niedługo się zwinie, wtrącił się głos rozsądku. Do końca semestru dotrwa chyba cudem.

Tak. Poza tym jego jedynym atutem są kierki. Jest niezdarny, już teraz ma brzuszek i wątłe ramiona. Wygląda jak zaczątek starszego pana, którym się stanie. Ze wszystkich sił stara się ukryć poczucie niższości. Te jego przechwałki na temat dziewczyn są wręcz idiotyczne. Poza tym nie jest inteligentny jak niektórzy z zagrożonych (na przykład Skip Kirk). Kierki i przechwałki, oto jego umiejętności, tyle mi było wiadomo, więc dlaczego go nie zostawić w spokoju. Niech gra i chwali się, póki jeszcze może.

Nie mogłem tego zrobić, ponieważ nie chciałem. Ponieważ chciałem mu zetrzeć uśmiech z tego pryszczatego, durnego pyska i wreszcie zdławić jego wkurzający rechot. Byłem podły, ale tak właśnie miały się sprawy. Ronnie podobał mi się najbardziej, kiedy był w złym humorze, gdy spoglądał na mnie wilkiem spod przetłuszczonej grzywki. Ponadto były jeszcze kierki. Uwielbiałem grać. Nie mogłem przestać o nich myśleć nawet w łóżku, więc jak miałem się trzymać z dala od świetlicy, kiedy była na wyciągnięcie ręki? Jak mogłem zlekceważyć Marka St. Pierre'a, który wrzeszczał do mnie, żebym się pospieszył, bo jest wolne miejsce? Chryste!

Kukułka z zegara w salonie wykukała drugą w nocy, a ja ciągle nie spałem. Wstałem, narzuciłem stary szlafrok w szkocką kratę i zszedłem na dół. Nalałem sobie szklankę mleka i usiadłem przy stole. Było ciemno, wyjąwszy mżenie świetlówki nad kuchenką, i cicho, jeśli pominąć pomruk pieca centralnego ogrzewania i ciche chrapanie ojca. Czułem się dziwnie, jakby od indyka i sosu żurawinowego coś mi się zrobiło w głowie. I jakbym miał nie spać, powiedzmy, aż do dnia świętego Patryka.

Zerknąłem na drzwi. Na wieszaku dyndała moja szkolna marynarka z dużymi białymi literami GF na piersi. Tylko inicjały; nie należałem do żadnych stowarzyszeń. Kiedy Skip mnie spytał, w pierwszych dniach na uniwersytecie, czy miałem jakieś dodatkowe litery, powiedziałem, że tak - duże M, jak masturbacja, pierwsza liga, ze specjalnością na krótkie dystanse. Skip popłakał się ze śmiechu i chyba wtedy zaczęliśmy się przyjaźnić. Podejrzewam, że tak naprawdę mógłbym sobie dać D za dyskusje lub dramatyczne kółko, ale kto by chciał się do tego przyznawać. Nie ja.

Tamtej nocy liceum wydało mi się odległą przeszłością, jakby istniało w innym układzie słonecznym… ale widziałem przecież kurtkę, prezent na moje szesnaste urodziny od rodziców. Podszedłem i zdjąłem ją z haczyka. Powąchałem ją; przypomniałem sobie audytorium pana Mezensika - gorzką woń strużyn z ołówka, szepty i chichoty dziewczyn, wrzaski z boiska, na którym upośledzeni uczniowie grali w leczniczą siatkówkę, jak mawiały chłopaki. Od wiszenia

na haczyku na plecach marynarki zrobił się jakby dziubek; nikt jej nie nosił pewnie od zeszłego kwietnia lub maja, nawet matka nie narzucała jej na nocną koszulę, gdy wychodziła do skrzynki pocztowej.

Przypomniała mi się twarz Carol zastygła na gruboziarnistej fotografii, ginąca w cieniu transparentu, z kucykiem leżącym na kołnierzu szkolnej marynarki… i wpadłem na pewien pomysł.

Nasz telefon, bakelitowy dinozaur z okrągłą tarczą, stał na stoliku w korytarzu. W szufladzie znajdowała się książka telefoniczna Gates Falls, notes mojej matki i najróżniejsze ołówki i długopisy. Wśród nich znajdował się ołówek kopiowy. Znalazłem go i usiadłem przy stole. Rozpostarłem sobie na kolanach szkolną marynarkę i ołówkiem narysowałem na niej wielką kurzą łapkę. Rysując, czułem, jak uchodzi ze mnie napięcie. Przyszło mi do głowy, że jest to coś w rodzaju mojej litery i że właśnie za coś takiego uważam ten znak.

Uniosłem kurtkę i oceniłem efekt. W białym blasku świetlówki moje dzieło prezentowało się ostentacyjnie, surowo i trochę infantylnie:

Ale i tak mi się podobało. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, jakie mam poglądy na wojnę, ale cholernie mi się podobała ta kurza łapka. I poczułem, że wreszcie mogę spać; wszystko dlatego, że ją narysowałem. Umyłem szklankę po mleku i poszedłem na górę z kurtką pod pachą. Włożyłem ją do szafy i wróciłem do łóżka. Pomyślałem o Carol, która położyła sobie na piersi moją rękę, o smaku jej oddechu. Myślałem o tym, że za zaparowanymi oknami mojego starego rzęcha byliśmy sobą, może w najlepszej postaci. I myślałem o tym, jak staliśmy i przyglądaliśmy się ze śmiechem strzępkom nalepki Goldwatera, frunącym z wiatrem nad parkingiem. Z tymi myślami zasnąłem.

W niedzielę spakowałem ozdobioną kurtkę do walizki; mimo niedawno zdradzonych wątpliwości co do wojny panów Johnsona i McNamary, mama zadawałaby mi mnóstwo pytań o kurzą łapkę, a ja na razie nie mogłem jej odpowiedzieć.

Jednak czułem się gotów do noszenia kurtki - i nosiłem ją. Wylewałem na nią piwo, strzepywałem popiół, rzygałem, krwawiłem, dostałem się w chmurę gazu łzawiącego, gdy wrzeszczałem na całe gardło: „Świat na was patrzy!”. Dziewczyny płakały mi w splecione litery GF na lewej piersi, a jedna na niej leżała, gdy się kochaliśmy. Były to czasy seksu bez zabezpieczenia, więc na pikowanej podszewce zostały pewnie także ślady nasienia. Do 1970 roku, gdy się spakowałem i wyjechałem, z pacyfki narysowanej w kuchni mojej matki został tylko cień. Ale został. Może inni jej nie dostrzegali, lecz ja zawsze wiedziałem, że tam jest.

29

Po Święcie Dziękczynienia wróciliśmy do szkoły w niedzielę w następującej kolejności: Skip o piątej (mieszkał w Dexter, najbliżej z nas trzech), ja o siódmej, Nate koło dziewiątej.

Zadzwoniłem do Franklin Hall jeszcze przed rozpakowaniem walizki. Nie, powiedziała recepcjonistka, Carol Gerber nie wróciła. Wyraźnie nie chciała ze mną rozmawiać, ale nie dałem się zbyć. Na biurku leżą dwie kartki z napisem „opuściła szkołę". Na jednej z nich widnieje nazwisko Carol i numer jej pokoju.

Podziękowałem i odłożyłem słuchawkę. Stałem nieruchomo przez minutę, a para z moich ust kondensowała się na szybach budki telefonicznej. Potem się odwróciłem. W świetlicy Skip siedział przy stoliku i podnosił rozsypane karty.

Czasami się zastanawiam, czy wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby Carol jednak wróciła albo gdybym zdążył dopaść Skipa, zanim dopadły go kierki. Ale tak się nie stało.

Sterczałem w budce telefonicznej, paliłem pall maila i użalałem się nad sobą. Potem w świetlicy ktoś krzyknął:

- Ożty w życiu! Nie, nie wierzę!

Na co Ronnie Malenfant (nie widziałem go z budki, ale, jego głosu nie dało się pomylić z żadnym innym) odwrzasnął triumfalnie:

- Ha! Patrzcie wszyscy - Randy Echolls zgarnął pierwszą Sukę ery postdziękczynieniowej!

Nie idź tam, powiedziałem sobie. Będziesz absolutnym popaprańcem, jeśli tam pójdziesz, serdecznie i do głębi pojebanym popaprańcem.

Ale oczywiście poszedłem. Wszystkie stoliki były pozajmowane, lecz stali tam trzej faceci: Billy Marchant, Tony DeLucca i Hugh Brennan. Mogliśmy razem usiąść na podłodze w kącie.

Skip podniósł głowę znad kart i pomachał do mnie w zadymionym wnętrzu.

- Witaj w wariatkowie!

- Hej! - zakrzyknął Ronnie. - Patrzcie, kogo tu mamy! Jedyny sukinsyn, który prawie umie w to grać! Gdzieś się szlajał, pyszczku?

- W Lewiston, dymałem twoją babcię.

Ronnie zarechotał, aż poczerwieniały mu pryszczate policzki.

Skip patrzył na mnie poważnie i chyba miał coś w oczach. Nie powiem tego na pewno. Czas mija, Atlantyda coraz głębiej osuwa się w głąb oceanu, a człowiek nabiera tendencji do romantyzmu. I mitologizowania. Może zobaczyłem, że się poddał, że postanowił zostać tu, grać i czekać, co przyniesie czas. Może dawał mi zezwolenie, bym szedł w swoją stronę. Ale miałem osiemnaście lat i w wielu kwestiach bardziej przypominałem Nate'a, niż chciałbym to przyznać. Nigdy nie miałem też przyjaciela takiego jak Skip. Skip nie znał strachu, Skip co chwila mówił „kurwa"; kiedy Skip jadł w Pałacu, dziewczyny nie mogły od niego oderwać oczu. Był magnesem dla dziewczyn, o czym Ronnie mógł wyłącznie marzyć w najbardziej rozpustnych snach. Ale Skip miał też w sobie coś niepokojącego, coś w rodzaju odprysku kości, który po latach nieszkodliwych wędrówek może przebić serce albo mózg. I wiedział o tym. Nawet wtedy, gdy czasy liceum ciągle otaczały go jak kokon, nawet gdy sądził, że jakoś mu się uda uniknąć prowadzenia zajęć w szkole. Wiedział. A ja go kochałem. Za wygląd, uśmiech, ruchy i głos. Kochałem go i nie mogłem go zostawić.

- No dobra - zwróciłem" się do Billy'ego, Tony'ego i Hugh. - Dać wam po nosie?

- Piątka za punkt! - zawołał Hugh, śmiejąc się jak szaleniec. Przepraszam, on był szaleńcem. - Do roboty! Rozdawać i nie gadać!

Wkrótce wszyscy siedzieliśmy w kącie, paliliśmy zażarcie i rzucaliśmy kartami. Pamiętałem rozpaczliwe wkuwanie w domu, pamiętałem słowa matki o chłopcach, którzy giną.

Pamiętałem to wszystko, ale wydawało mi się to równie odległe jak seks z Carol przy starych przebojach.

Raz podniosłem głowę i zobaczyłem w drzwiach Stoke'a Jonesa, wspartego na kulach i spoglądającego na nas z lekką pogardą. Czarne włosy miał gęstsze niż kiedykolwiek i bardziej rozwichrzone. Ciągle pociągał nosem, miał załzawione oczy i katar, ale nie wyglądał na bardziej chorego niż przed przerwą.

- Stoke! - zawołałem - Jak leci?

- Kto to wie. Pewnie lepiej niż tobie.

- No, Ciach-Ciach, nie pękaj - powiedział Ronnie. - Chodź, to cię nauczymy.

- Od was niczego nie chciałbym się nauczyć - odparł Stoke i odszedł ze stukotem kul. Nasłuchiwaliśmy jego cichnącego kaszlu.

- Kocha mnie - odezwał się Ronnie. - Tylko tego nie pokazuje.

- Zaraz ja ci coś pokażę, jak nie zaczniesz grać - zagroził Skip.

- Bałdzo, bałdzo się boję. - Ronnie przybrał głos Elmera Fudda, co tylko jemu wydawało się zabawne. Oparł głowę na ramieniu Marka St. Pierre'a, żeby pokazać, jaki jest przerażony.

Mark odepchnął go gwałtownie.

- Spieprzaj, Malenfant, to nowa koszula. Pobrudzisz mi ją ropą.

Zanim na twarzy Ronniego pojawił się uśmiech, dostrzegłem mgnienie rozpaczliwego bólu. Nie wzruszyłem się. Problemy Ronniego pewnie były prawdziwe, ale przez to nie robił się łatwiejszy do zniesienia. Dla mnie był zwykłym prostakiem, który umiał grać w karty.

- Dobra - powiedziałem do Billly'ego Marchanta. - Rozdawaj. Chcę się jeszcze pouczyć.

Ale oczywiście tego dnia nikt z nas nie miał czasu na naukę. Gorączka nie wypaliła się przez święta; była jeszcze wyższa niż kiedykolwiek.

Za piętnaście dziesiąta poszedłem do siebie po nową paczkę papierosów i już sześć pokojów wcześniej wiedziałem, że Nate wrócił. Z pokoju Nicka Prouty'ego i Barry'ego Margeaux słychać było „Love Grows Where My Rosemary Goes", ale zaraz potem dobiegł mnie głos Phila Ochsa.

Nate prawie wszedł do szafy, wieszając ubrania. Był nie tylko jedynym znanym mi nosicielem piżamy, ale w dodatku tylko on korzystał z wieszaków. Ja powiesiłem tylko moją licealną kurtkę. Teraz ją wyjąłem i zacząłem szperać w kieszeniach.

- Hej, Nate, jak leci? Najadłeś się sosu z żurawin, jakoś wytrzymasz bez domu?

- Jeśli… - zaczął i urwał, widząc plecy mojej kurtki. Zachichotał.

- Co? To takie śmieszne?

- Na swój sposób - powiedział i zniknął w szafie. - Patrz.

- Wyłonił się ze starą marynarską kurtką. Odwrócił ją, że
bym zobaczył plecy. Widniał na nich, o wiele schludniejszy
od mego dzieła, znak kurzej stopki. Nate zrobił go ze srebrnej taśmy izolacyjnej. Tym razem roześmieliśmy się obaj.

- Wtórność - mruknąłem.

- Nonsens! Wielkie umysły rozumują podobnie.

- Myślisz, że to to?

- No… wolę tak myśleć. Czy to znaczy, że zmieniłeś poglądy na wojnę?

- Jakie poglądy?

30

Andy White i Ashley Rice w ogóle nie wrócili na studia - ośmiu z głowy. Dla pozostałych na trzy dni przed pierwszą burzą śnieżną tego roku nastąpiła wyraźna zmiana na gorsze - to znaczy wyraźna dla wszystkich poza nami. Jeśli siedzi się w gównie i płonie z gorączki, coś takiego wydaje się tylko lekkim zboczeniem z normalnej trasy.

Przed Świętem Dziękczynienia zestaw graczy przy stolikach zwykle się zmieniał. Czasami gra zamierała, gdy wszyscy byli na zajęciach. Teraz grupy stały się niemal zupełnie statyczne, jedyne zmiany zachodziły, gdy ktoś szedł spać albo przechodził do innego stolika, żeby uciec przed umiejętnościami Ronniego i jego niezmienną wredotą. Taki stan zaistniał dlatego, że większość graczy z drugiego piętra nie wróciła po to, by uzupełniać edukację; Barry, Mick, Mark, Harvey, i sam nie wiem ilu innych, zupełnie zapomnieli o studiach. Wrócili, by podjąć walkę o kompletnie bezwartościowe punkty. Wielu mieszkańców drugiego piętra było w tej chwili dyplomowanymi graczami w kierki. Wyznaję ze smutkiem, że ja i Skip Kirk także.

W poniedziałek poszedłem na parę wykładów, resztę olałem. We wtorek w ogóle nie poszedłem się uczyć, w nocy śniłem, że gram (pamiętam fragment o tym, jak rzuciłem Sukę i ujrzałem, że ma twarz Carol), a w środę grałem naprawdę. Geologia, socjologia, historia… wszystko to wymysły bez znaczenia.

W Wietnamie eskadra B-52 zbombardowała kwatery Wietkongu blisko Dong Ha. Przy okazji udało się jej także trafić w kompanię amerykańskiej piechoty morskiej, zabijając dwunastu i raniąc czterdziestu żołnierzy - ups! W prognozie pogody na czwartek powiedzieli, że śnieg przejdzie w deszcz i marznącą mżawkę. Niewielu zwróciło na to uwagę. Z pewnością nie miałem powodu przypuszczać, że ta burza zmieni moje życie.

W środę poszedłem spać o dwunastej i spałem jak kamień. Jeśli śniły mi się kierki lub Carol Gerber, nie pamiętam. Obudziłem się w czwartek o ósmej rano; śnieg padał tak gęsto, że ledwie widziałem światła Franklin Hall. Wziąłem prysznic i powlokłem się do świetlicy, żeby sprawdzić, czy gra się zaczęła. Lennie Doria, Randy Echolls, Billy Marchant i Skip już grali. Byli bladzi i zarośnięci, jakby siedzieli tam przez całą noc. Pewnie siedzieli. Stałem w drzwiach i przyglądałem się grze. Na zewnątrz, za zasłoną śniegu działo się coś ciekawszego, ale żaden z nas jeszcze tego nie wiedział.

31

Tom Huckabee mieszkał w Kingu, innym akademiku naszego miasteczka. Becka Aubert mieszkała we Franklinie. Od trzech, czterech miesięcy bardzo się do siebie zbliżyli, a to oznaczało, że nawet jadali razem. Tego śnieżnego poranka pod koniec listopada wracali ze śniadania, gdy nagle ujrzeli napis na północnej ścianie Chamberlain Hall. Była to ściana zwrócona w stronę miasteczka akademickiego… zwłaszcza Pawilonu Wschodniego, w którym wielkie firmy organizowały rozmowy kwalifikacyjne w sprawie pracy.

Podeszli bliżej, zstąpili ze ścieżki na świeży śnieg - do tej pory spadło go już ze dwadzieścia centymetrów.

- Patrz - odezwała się Becka, wskazując w dół. Na białym puchu widniały dziwne ślady - nie odciski stóp, lecz koleiny i głębokie okrągłe dziurki na zewnątrz. Tom Huckabee powiedział, że skojarzyły mu się ze śladami narciarza z kijkami. Żadnemu z nich nie wpadło do głowy, że takie ślady zostawiałby człowiek o kulach. Do czasu.

Podeszli bliżej. Litery były wielkie i czarne, ale śnieg padał już tak gęsto, że dopiero trzy metry od ściany zdołali odczytać słowa, wypisane farbą w sprayu… i sądząc po ich wyglądzie, czystą furią. (I znowu nie przyszło im do głowy, że tak koślawe litery mógłby napisać ktoś, kto jednocześnie za pomocą kul usiłuje utrzymać równowagę).

Napis głosił:

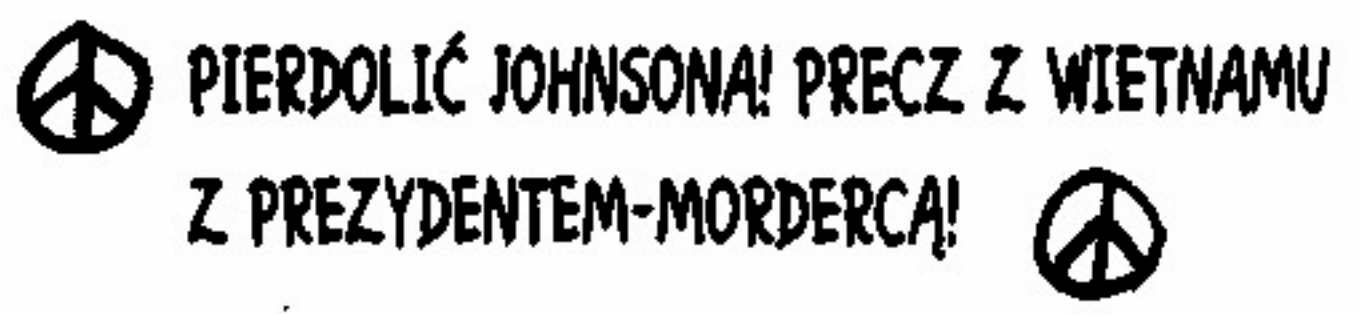

32

Czytałem, że niektórzy przestępcy - być może nawet większość - pragną zostać złapani. Wydaje mi się, że tak było ze Stokiem Jonesem. Nie wiem, czego szukał na Uniwersytecie Maine, ale tego nie znalazł. Podejrzewam, że zdecydował się odejść… a skoro miał odejść, chciał to zrobić z możliwie największym hukiem.

Tom Huckabee rozpaplał wszystkim, co widział na naszym akademiku. Becka Aubert też. Między innymi powiadomiła gospodynię pierwszego piętra z Franklina, chudą zasadniczą dziewuchę, niejaką Marjorie Stuttenheimer. Marjorie stała się w 1969 roku znaną figurą, zakładając i przewodnicząc Organizacji Studiujących Amerykańskich Chrześcijan. OSAC popierała wojnę w Wietnamie i sprzedawała te wpinane znaczki z amerykańską flagą, które tak rozsławiły Richarda Nixona.

W czwartki miałem dyżur przy obiedzie w Pałacu na Równinach i choć często zrywałem się z zajęć, nawet nie przyszło mi do głowy, że mógłbym rzucić pracę - taki już byłem. Oddałem moje miejsce Tony'emu DeLucce i mniej więcej o jedenastej ruszyłem do Holyoke, by stanąć przy taśmie. Na zewnątrz zobaczyłem sporą grupę studentów wpatrzonych w ścianę akademika. Podszedłem, przeczytałem i od razu wiedziałem, czyje to dzieło.

Na Ścieżce Benneta stanął niebieski sedan i jeden z dwóch akademickich radiowozów. Margie Stuttenheimer już była na miejscu, obok dwóch akademickich policjantów, dziekana męskich akademików i Charlesa Ebersole'a, uniwersyteckiego oficera do spraw dyscyplinarnych.

Tłum liczył już jakieś pięćdziesiąt osób; przez pięć minut, kiedy stałem, wyciągając szyję i wypatrując oczy, zrobiło się nas co najmniej siedemdziesięcioro pięcioro. Gdy skończyłem zmianę o pierwszej piętnaście i wróciłem do Chamberlaina, na miejscu wypadku było już pewnie ze dwustu studentów. Teraz trudno uwierzyć, że graffiti mogło wzbudzać takie emocje, zwłaszcza w cholernie brzydki dzień, ale mówimy o dawnych czasach, gdy żadne amerykańskie czasopismo (może z wyjątkiem „Popular Photography") nie ośmieliło się opublikować zdjęcia kogoś tak gołego, żeby było mu widać włosy łonowe; gdy żadna gazeta nie ośmielała się nawet szepnąć o życiu seksualnym jakiegokolwiek polityka. Mówimy o czasach sprzed zatonięcia Atlantydy. Było to tak dawno, że przynajmniej jeden satyryk trafił do pudła za użycie słowa „pierdolić". Był to świat, w którym słowa mogły jeszcze szokować.

Tak, znaliśmy słowo „pierdolić”. Oczywiście. Mówiliśmy to bez przerwy: pierdol się, ja pierdolę, idź wypierdol swoją siostrę, co tylko chcecie. Ale tu widzieliśmy słowa wypisane wielkimi czarnymi literami: PIERDOLIĆ JOHNSONA. Prezydenta Stanów Zjednoczonych! I PREZYDENT-MORDERCA! Nie mogliśmy uwierzyć własnym oczom.

Gdy wróciłem z Holyoke, pojawił się też drugi akademicki radiowóz i było już sześciu policjantów - chyba cały oddział, jak mi się zdawało. Usiłowali zakryć napis wielką żółtą płachtą. Tłum mruczał nieżyczliwie, rozległy się gwizdy. Policjanci obejrzeli się z rozdrażnieniem. Jeden krzyknął, żeby się zamknęli i rozeszli, chyba mają jakieś zajęcie. Pewnie mieli, ale najwyraźniej woleli tu stać, ponieważ tłum się nie zmniejszył.

Jeden z policjantów pośliznął się i prawie upadł. Parę osób zaczęło klaskać. Ten, co się pośliznął, spojrzał w ich kierunku z wyrazem ponurej nienawiści, jego twarz natychmiast zmieniła się w morderczą maskę. W tej chwili odczułem przepaść między pokoleniami. Dopiero w tym momencie świat zaczął się zmieniać na moich oczach.

Policjant odwrócił się i znów zaczął się szarpać z płachtą. W końcu udało się im zakryć pierwszą pacyfkę i PIERDOLIĆ JOHNSONA! Kiedy zniknęło Bardzo Brzydkie Słowo, tłum zaczął się rozchodzić. Padał śnieg z deszczem i długie stanie na dworze było nieprzyjemne.

- Lepiej nie pokazuj im pleców - odezwał się Skip. Odwróciłem się. Stał obok mnie w bluzie z kapturem, z rękami schowanymi w kieszeni na brzuchu. Z ust wychodziły mu kłęby pary; nie odwracał oczu od policjantów i reszty hasła: JOHNSONA! PRECZ Z WIETNAMU Z PREZYDENTEM-MORDERCĄ! - Pomyślą, że to twoja robota. Albo moja.

Odwrócił się z lekkim uśmiechem. Na plecach bluzy widniała wymalowana czerwonym tuszem pacyfka.

- Jezu. Kiedy to zrobiłeś?

- Dziś rano. Zobaczyłem kurtkę Nate’a. - Wzruszył ramionami. - Była zbyt fajna, żeby jej nie zmałpować.

- Nie pomyślą, że to my. Nie ma mowy.

- Chyba nie.

Pytanie tylko, czy już przesłuchiwali Stoke’a… oczywiście nie muszą mu zadawać wielu pytań, żeby wyciągnąć z niego prawdę. Ale jeśli Ebersole, oficer dyscyplinarny, i dziekan Garretsen jeszcze go nie wezwali, to tylko dlatego, że nie rozmawiali z…

- Gdzie Złotko? - spytałem. - Wiesz?

Deszcz ze śniegiem padał coraz gęściejszy, mroził każdy centymetr odsłoniętej skóry.

- Nasz dzielny młodzieniec posypuje piaskiem chodniki wraz ze swymi kolegami z ROTC. Widzieliśmy ich ze świetlicy. Jeżdżą w prawdziwej wojskowej furgonetce. Malenfant powiedział, że pewnie tak im stoi, że przez tydzień nie będą mogli spać na brzuchu. Jak na niego to całkiem nieźle.

- Kiedy Złotko wróci…

- Tak, kiedy wróci… - Skip wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że sytuacja wymknęła się spod kontroli. -Na razie zbierajmy się. Może zagramy, co ty na to?

Chciałem powiedzieć wiele rzeczy… ale właściwie nie całkiem. Weszliśmy do akademika i gra rozkręciła się na dobre. Toczyła się przy pięciu stolikach, w świetlicy zrobiło się sino od dymu, a ktoś przytargał adapter, więc słuchaliśmy Beatlesów i Stonesów. Ktoś przyniósł nawet porysowaną płytę z „96 łez" i puszczał ją non stop co najmniej przez godzinę: płacz, płacz, płacz. Przez okna widzieliśmy Ścieżkę i Alejkę Benneta, więc od czasu do czasu wyglądałem, spodziewając się ujrzeć Davida Dearborna i jego odzianych w khaki kumpli, wpatrujących się w północną ścianę akademika i dyskutujących, czy zapolować na Stoke'a Jonesa z karabinami, czy tylko z bagnetami. Oczywiście nie pozwoliliby sobie na nic podobnego. Skandowaliby tylko: „Wietkong precz! Niech żyje USA!", jak na musztrze, ale to dlatego że Stoke był kaleką. Zadowoliliby się wyrzuceniem komunisty z uniwersytetu.

Nie chciałem, żeby do tego doszło, ale nie sądziłem, żeby można było temu zaradzić. Stoke nosił pacyfkę od początku roku, na długo przed tym, nim się dowiedzieliśmy, co ona oznacza. Złotko o tym wiedział. Poza tym Stoke się przyzna. Będzie postępował z dziekanem i oficerem dyscyplinarnym w ten sam sposób, w jaki się obchodził z kulami - z dziką determinacją.

Zresztą niech będzie, wszystko to stało się dla mnie dziwnie odległe i nieprawdziwe, jak wykłady. Jak Carol, kiedy już do mnie dotarło, że nie wróci. Jak perspektywa powołania do wojska i wyjazdu do dżungli. Ważne i prawdziwe wydawało się tylko polowanie na podłą Sukę. Prawdziwe były jedynie kierki.

Ale wtedy wydarzyło się coś nowego.

33

Koło czwartej ze śniegu z deszczem zrobił się deszcz, a o wpół do piątej, gdy zaczął zapadać zmrok, Ścieżka Benneta znalazła się pod wodą. Alejka wyglądała jak kanał. Pod wodą znajdowała się lodowata topniejąca breja.

Gra straciła rozpęd, gdyż przyglądaliśmy się nieszczęśnikom, którzy dziś mieli dyżur w Pałacu na Równinach. Niektórzy - inteligentniejsi - wybrali drogę po zboczu, przez szybko topniejący śnieg. Inni brnęli po ścieżce, ślizgając się na zdradliwych lodowych jęzorach. Z wilgotnej ziemi podniosła się gęsta mgła, przez którą marsz stał się jeszcze trudniejszy. Przy zbiegu dwóch ścieżek chłopak z Kinga spotkał dziewczynę z Franklina. Gdy razem ruszyli Alejką Benneta, chłopak pośliznął się i chwycił dziewczynę. Prawie się przewrócili, ale jakoś wspólnymi siłami zdołali się utrzymać na nogach. Nagrodziliśmy ich brawami.

Przy moim stoliku rozpoczęło się nowe rozdanie. Mały wielbiciel Ronniego, Nick, dał mi niewiarygodne karty, prawdopodobnie najlepsze, jakie kiedykolwiek mi się trafiły. Otworzyła się przede mną niesamowita okazja, jedna w całym życiu: miałem siedem mocnych kierów i żadnych słabych, króla i damę pik plus figury z innych kolorów.

Lennie Doria wyszedł w dwójkę. Ronnie miał renons i pozbył się asa pik. Wydawało mu się, że świetnie sobie poradził. Ja też byłem zadowolony; teraz miałem najmocniejsze piki. Dama była warta trzynaście punktów, ale skoro miałem wszystkie mocne kiery, nie zamierzałem łyknąć tych punktów. Ta przyjemność czekała Nicka, Ronniego i Lenniego.

Pozwoliłem Nickowi wziąć lewę. Potem były jeszcze trzy - Nick i Lennie rzucali się na karo - a potem ja wziąłem dziesiątkę kier.

- Pojawiły się serduszka i Riley już jedno łyknął! - zarechotał z uciechą Ronnie. - Idziesz na dno, wsioku!

- Być może - mruknąłem. I może wkrótce Ronnie Malenfant pozbędzie się tego uśmiechu. Przy pomyślnym obrocie sprawy mogłem zafundować temu idiocie Nickowi Prouty ponad sto punktów, a Ronniemu odebrać zwycięstwo, na które się napalił.

Trzy lewy później do wszystkich dotarło, co zamierzam zrobić. I, jak się spodziewałem, uśmiech Ronniego zmienił się w grymas, z którym było mu najbardziej do twarzy - zawiedzione nabzdyczenie.

- Niemożliwe - powiedział. - Nie wierzę. Nie masz takich kart. - Ale wiedział, że nie blefuję. Słyszałem to w jego głosie.

- Zobaczymy - odparłem i rzuciłem asa kier. Przestałem się kryć, czemu nie? Jeśli kiery rozłożyły się w miarę symetrycznie, mogłem wygrać. - Sprawdźmy, czy…

- Patrzcie! - zawołał Skip od stolika najbliżej okna. W jego głosie słychać było niedowierzanie i jakby podziw. - Jezusie, przecież to ten skurwiel Stokely!

Przerwano grę. Wszyscy odwrócili się do okna i spojrzeli na mroczniejący, zalany deszczem świat. Chłopaki siedzące w kącie na podłodze wstały, żeby lepiej widzieć. Stare latarnie z kutego żelaza na Ścieżce Benneta rzucały słabe elektryczne światło na kłęby mgły, co przywiodło mi na myśl Londyn, Tyne Street i Kubę Rozpruwacza.

Jadalnia Holyoke na wzgórzu bardziej niż zwykle przypominała liniowiec. Przez strugi deszczu na szybach wydawała się lekko falować.

- A to skurwiel! W taki deszcz… no nie wierzę! - jęknął Ronnie.

Stoke szedł bardzo szybko ścieżką wiodącą od północnego wejścia Chamberlaina do zbiegu wszystkich dróg w najniższej części Ścieżki Benneta. Miał na sobie starą drelichową kurtkę i widać było wyraźnie, że nie opuścił przed chwilą akademika; okrycie było przemoczone. Nawet przez strugi deszczu widzieliśmy pacyfkę na jego plecach, czarną jak napis częściowo zakryty żółtą płachtą (jeśli jeszcze wisiała). Rozwichrzone włosy miał tak mokre, że raz w życiu ułożyły się gładko.

Stoke nie rzucił nawet okiem na swoje graffiti, sunął zapamiętale ku Alejce Benneta. Poruszał się szybciej niż dotąd, nie zwracając uwagi na ulewę, mgłę czy grzęzawisko pod kulami. Czy chciał się przewrócić? Czy wyzywał błotnistą ziemię, by go pokonała? Nie wiem. Może był tylko zbyt pogrążony w myślach i nie zdawał sobie sprawy, jak szybko idzie i jak paskudnie jest na dworze. W każdym razie wyglądało na to, że nie zajdzie daleko, jeśli się nie opanuje.

Ronnie zaczął chichotać i po chwili od tego cichego dźwięku w całej świetlicy buchnął ryk, jak pożar od jednego płomyka. Nie chciałem się śmiać, ale nie mogłem się powstrzymać. Skip też. Częściowo dlatego, że śmiech jest zaraźliwy, ale… ten widok był cholernie zabawny. Wiem, że to brzmi strasznie, oczywiście, że wiem, ale opowieść o tamtym dniu - i tym, niemal pół życia później - jest zbyt szczera, żebym miał to pominąć. Ponieważ to wspomnienie nadal mnie bawi. Ciągle się uśmiecham, gdy sobie przypominam, jak wyglądał, oszalała nakręcana zabawka w drelichowej kurtce, kuśtykająca jak wściekła przez strugi deszczu, rozbryzgująca

kulami wodę. Wiedzieliśmy, co się stanie, po prostu to wiedzieliśmy i to było najśmieszniejsze - jak daleko zdąży dojść, zanim się wreszcie wykopyrtnie.

Lennie wył, zasłaniając oczy ręką i wyglądając spomiędzy palców. Łzy ciekły mu strumieniem po policzkach. Hugh Brennan trzymał się za wystający brzuch i ryczał jak osioł. Mark St. Pierre wręcz kwiczał i powtarzał, że zaraz się posika, bo wypił za dużo coli, no i za chwilę się zleje. Ja śmiałem się tak, że nie mogłem utrzymać kart; w prawej ręce jakby straciłem czucie i te parę ostatnich kart rozsypało mi się na kolana. W skroniach mi łupało.

Stoke dotarł do dna wąwozu, gdzie zaczynała się Alejka. Tam się zatrzymał i z jakiegoś powodu zrobił gwałtowny obrót, opierając się na jednej kuli. Drugą uniósł do góry jak karabin maszynowy, jakby chciał rozstrzelać całe miasteczko akademickie. Zabijać! Mordować! Rozwalać!

- Czekamy na werdykt sędziów… którzy dają mu… dziesięć punktów! - odezwał się Tony DeLucca, doskonale naśladując głos sprawozdawcy sportowego. To była ta ostatnia kropla. Świetlica zmieniła się w jedno piekło. Wszędzie fruwały karty, przewracały się popielniczki, a jedna szklana (większość była z aluminium) rozbiła się z hukiem. Ktoś spadł z krzesła i tarzał się po podłodze, wyjąc i wierzgając nogami. Człowieku, ależ się uchachaliśmy.

- Stało się! - wyrzęził Mark. - Zlałem się! Normalnie się zlałem!

Za jego plecami Nick Prouty czołgał się na kolanach do okna, po rozpalonej twarzy płynęły mu łzy, a on wyciągał rękę w geście mówiącym „przestańcie, bo coś mi pęknie w mózgu i padnę trupem!”.

Skip wstał, przewracając krzesło. Ja też wstałem. Zataczając się ze śmiechu, dowlekliśmy się do okna i stanęliśmy, trzymając się za ramiona. Poniżej Stoke Jones trwał nieruchomo, nie zdając sobie sprawy, że obserwuje go gromada wyjących ze śmiechu, nieco walniętych karciarzy. Dziwne, ale ciągle nie stracił równowagi.

- Dawaj, Ciach-Ciach - zaczął skandować Ronnie.

- Dawaj, Ciach-Ciach! - dołączył Nick. Dotarł do okna i opierał się o nie czołem, nadal rechocząc.

- Dawaj, Ciach-Ciach!

- Dawaj, chłopie!

- Dawaj!

- Jazda! Pokaż im!

- Przebieraj kulami!

- Dawaj, Ciach-Ciach, ty skurwielu!

Jakbyśmy byli na meczu, ale wszyscy skandowali „Ciach-Ciach", zamiast „gola, gola". Prawie wszyscy. Ja nie, Skip chyba też nie. Ale się śmieliśmy. Tak samo jak inni.

Nagle przypomniało mi się, jak pod jadalnią siedziałem z Carol na skrzynkach po mleku, tego wieczora, gdy pokazała mi zdjęcie swoje i przyjaciół z dzieciństwa… a potem opowiedziała, co zrobili jej inni chłopcy. Szczeniaki z kijem baseballowym. Najpierw żartowali, powiedziała. Czy się śmieli? Pewnie tak. Bo tak to już jest, kiedy żartujesz i dobrze się bawisz. Śmiejesz się.

Stoke stał jeszcze przez chwilę, wsparty ciężko na kulach, ze spuszczoną głową… a potem zaatakował wzgórze jak desant piechoty morskiej. Pruł w górę, rozbryzgując wodę niczym motorówka.

Wrzask przybrał na sile. Dawaj, Ciach-Ciach! DAWAJ, CIACH-CIACH! DAWAJ, CIACH-CIACH!

Najpierw żartowali, powiedziała Carol, paląc papierosa. Wtedy już płakała, a w białym świetle jarzeniówek jej łzy wyglądały jak srebro. Najpierw żartowali… a potem już nie.

To powinno mi wystarczyć. No powinno, wiem. Ale jakoś nie mogłem się opanować.

Stokely pokonał jakąś jedną trzecią drogi pod górę i prawie dotarł do miejsca, w którym zaczynał się stały grunt, gdy wreszcie się stało. Postawił kule zbyt daleko - nawet jak na dobre warunki - i kiedy się podciągnął, obie oderwały się od ziemi. Jego nogi fajtnęły śmiesznie, jak nogi kontorsjonisty wykonującego jakiś niewiarygodny manewr, i Stoke runął na plecy w fontannach wody. Słyszeliśmy ten plusk aż w świetlicy. Idealne zakończenie.

Świetlica zmieniła się w prawdziwy dom wariatów, i to taki, w którym wszystkie świry jednocześnie przestały brać głupiego jasia. Zataczaliśmy się jak pijani, wyliśmy, trzymając się za gardła, płakaliśmy rzewnymi łzami. Ja wisiałem na Skipie, bo nogi się pode mną ugięły. I śmiałem się jak nigdy w życiu, przedtem i potem, i przez cały czas myślałem o Carol siedzącej po turecku na skrzynce od mleka, z papierosem w jednej ręce i fotografią w drugiej. Harry Doolin mnie uderzył… Willie i ten drugi trzymali mnie, żebym nie uciekła… Najpierw żartowali, a potem… potem już nie.

Na zewnątrz Stoke usiłował usiąść. Udało mu się unieść nieco ponad wodę… a potem znów runął na plecy, jak na łóżko, w tę lodowatą śniegową breję. Uniósł obie ręce w niemal teatralnym geście i opuścił je. W tych trzech gestach zawarł sto procent rezygnacji: upadek,

uniesienie rąk, podwójna fontanna, gdy opadły. To tak jakby powiedział: pieprzyć to, poddaję się, róbcie, co chcecie.

- Chodź - odezwał się Skip. Nadal się śmiał, choć był całkowicie poważny. Słyszałem powagę w jego rozedrganym głosie, widziałem ją w jego histerycznie skrzywionej twarzy. Boże, jak się ucieszyłem. Nawet nie macie pojęcia, jak bardzo. - Chodź, bo ten głupi skurwiel się utopi.

Przepchnęliśmy się do wyjścia i ramię w ramię pogalopowaliśmy przez korytarz, wpadając na siebie, zataczając się, niemal równie niezdarnie jak Stoke. Za nami ruszyli inni. Jedynym, który na pewno nie poszedł, był Mark; uciekł do swojego pokoju zmienić spodnie.

Na podeście pierwszego piętra wpadliśmy na Nate'a - prawie go stratowaliśmy. Stał z naręczem książek i przyglądał się nam z niejaką obawą.

- Jak rany! - To było wszystko, na co sobie pozwalał, „jak rany". - Co wam odbiło?

- Chodź - rzucił Skip. Miał tak zdarte gardło, że aż chrypiał. Gdybym nie wiedział, co się dzieje, pomyślałbym, że przed chwilą płakał. - Nie chodzi o nas, tylko o tego pierdołę Jonesa. Upadł. Trzeba… - Urwał i znowu zaczął się śmiać. Oparł się o ścianę i przewrócił oczami z wesołości. Pokręcił głową, jakby chciał dać do zrozumienia, że to nie on się śmieje, ale oczywiście trudno się wyprzeć śmiechu. Kiedy już przychodzi, rozpiera się w tobie jak w ulubionym fotelu i zostaje, jak długo mu się spodoba. Na schodach rozległ się łomot dziesiątków stóp nadchodzących hazardzistów z drugiego piętra. - Trzeba mu pomóc - dokończył Skip i wytarł oczy.

Nate patrzył na mnie jak na wariata.

- Skoro trzeba mu pomóc, dlaczego się śmiejecie, chłopaki?

Nie potrafiłem mu tego wyjaśnić. Nie potrafiłem tego wyjaśnić samemu sobie. Złapałem Skipa za ramię i pociągnąłem za sobą. Zbiegliśmy na parter, a za nami Nate i reszta.

34

Pierwszą rzeczą, jaka rzuciła nam się w oczy, gdy wypadliśmy na zewnątrz, była prostokątna żółta płachta. Leżała na ziemi, a na niej zebrały się kałuże wody i śniegowej brei. Potem woda nalała mi się do trampek i przeszła mi chęć na podziwianie widoków. Było lodowato. Deszcz kłuł odsłoniętą skórę jak igiełki, które nie są do końca z lodu.

Na Ścieżce Benneta woda sięgała do kostek i nogi zaczęły mi drętwieć. Skip pośliznął się; chwyciłem go za ramię. Nate podtrzymał nas obu od tyłu, gdy zaczęliśmy się niebezpiecznie przechylać. Z oddali dobiegał nas ohydny dźwięk, jakby kaszel i dławienie się jednocześnie. Stoke leżał w kałuży jak kłoda drewna, drelichowa kurtka wzdęła się wokół niego jak pęcherz, a czarne włosy unosiły się na wodzie. Kaszel brzmiał groźnie; z ust Stoke'a pryskały małe kropelki. Obok niego leżała jedna kula. Druga dryfowała ku Bennett Hall.

Woda obmywała bladą twarz Stoke'a. W jego kaszlu odezwały się gardłowe, rzężące tony. Oczy wpatrywały się w górę, w mgłę i deszcz. Jakby nie usłyszał naszego nadejścia; ale kiedy klęknąłem z jednej, a Skip kucnął z drugiej strony, usiłował nas odepchnąć. Woda zalała mu usta; zaczął się rzucać. Tonął na naszych oczach. Już mi się nie chciało śmiać. Najpierw żartowali, powiedziała Carol. Najpierw żartowali. Włącz radio, Pete. Lubię stare przeboje.

- Podnieśmy go - powiedział Skip, łapiąc Stoke'a za ramię. Stoke uderzył go osłabłą, bezwładną ręką. Skip nie zareagował, pewnie nawet nie poczuł. - Szybko, rany boskie!

Chwyciłem Stoke'a za drugie ramię. Obryzgał mi twarz wodą, jakbyśmy się, kurna, bawili w basenie. Myślałem, że zlodowaciał tak jak ja, ale biły od niego fale gorączki. Spojrzałem na Skipa.

Skip kiwnął do mnie głową.

- Raz… dwa… trzy!

Pociągnęliśmy. Stoke wyłonił się z wody, ale na tym się skończyły nasze sukcesy. Był zaskakująco ciężki. Koszula wyszła mu ze spodni i unosiła się wokół niego jak spódniczka baleriny. Poniżej widziałem białą skórę i czarną dziurę pępka. I blizny, grube blizny pełznące we wszystkie strony jak macki ośmiornicy.

- Pomóż, Natie! - stęknął Skip. - Podeprzyj go!

Nate runął na kolana, obryzgując wodą nas wszystkich, i złapał Stoke'a od tyłu. Szarpaliśmy i szarpaliśmy, usiłując go wydostać z brei, ale ciągle się ślizgaliśmy i nie mogliśmy

zgrać ruchów. A Stoke, choć kaszlał i ledwie dyszał, walczył z nami, usiłując się uwolnić. Chciał znowu zatonąć.

Nadbiegli inni z Ronniem na czele.

- A to skurwiel - wydyszał. Nadal chichotał, ale wyglądał, jakby się przejął. - Tym razem dałeś ciała na całego, Ciach-Ciach. Nie ma co.

- Nie stój tak, ty kutafonie! - krzyknął Skip. - Pomóż!

Ronnie stał jeszcze przez chwilę; nie obraził się, tylko myślał, od której strony zacząć. Potem spojrzał za siebie, sprawdzając, kto jeszcze przyszedł. Pośliznął się. Tony DeLucca - także roześmiany - przytrzymał go i pomógł odzyskać równowagę. W stojącej wodzie wokół nas zgromadzili się wszyscy, wszyscy kumple ze świetlicy na drugim piętrze, i większość ciągle się śmiała. Coś mi to przypominało, ale nie potrafiłem sobie przypomnieć co. Pewnie nigdy bym się nie dowiedział, gdyby nie gwiazdkowy prezent od Carol… ale to oczywiście wydarzyło się później.

- Tony! - rozkazał Ronnie. - Brad, Lennie, Barry. Łapcie go za nogi.

- A ja? - spytał Nick. - A ja?

- Jesteś za mały, żeby go podnieść, ale możesz go zabawić. Obciągnij mu druta.

Nick wycofał się bez słowa.

Ronnie, Tony, Brad, Lennie i Barry Margeaux stanęli naprzeciwko nas. Ronnie i Tony złapali Stoke'a za łydki.

- Jezu Chryste! - powiedział Tony z obrzydzeniem, nadal trochę się śmiejąc. - Ale chudy! Nogi jak patyki!

- Nogi jak patyki, nogi jak patyki - przedrzeźnił go Ronnie, krzywiąc się złośliwie. - Podnieś go, kurwa, do góry, ty włoski palancie, tu nie wystawa! Lennie i Barry, złapcie go za tę upośledzoną dupę. Podniesiecie go…

- …razem z innymi - dokończył Lennie. - Jasne. Ale mój krajan nie jest włoskim palantem.

- Zostawcie mnie - wykaszlał Stoke. - Precz ode mnie, wy… gnojki… - Znowu zaczął kaszleć, potem rzęzić. W świetle latarni jego usta wydawały się szare i oślizłe.

- I kto tu jest gnojkiem - warknął Ronnie. - Pierdolony niedotopiony złamas, kulas i pedałek. - Spojrzał na Skipa; woda lała się mu strumieniami po kręconych włosach i pryszczatej twarzy. - Odliczaj, Kirk.

- Raz… dwa… trzy… już!

Dźwignęliśmy Stoke'a Jonesa, który wyłonił się z wody jak wrak statku. Zatoczyliśmy się pod jego ciężarem. Machnął ramieniem tuż przed moją twarzą; ręka zawisła w powietrzu, a potem dyndająca dłoń ożyła i trzasnęła mnie w twarz. Chlap! Znowu zacząłem się śmiać.

- Zostawcie mnie! Skurwiele, zostawcie mnie w tej chwili!

Zataczaliśmy się w brei, jakbyśmy tańczyli, woda lala się z niego i z nas.

- Echolls! - ryknął Ronnie. - Marchant! Brennan! Jezusie, no co tak stoicie, wy odmóżdżone miękkie fiutki, ruszylibyście wreszcie dupy!

Randy i Billy podbiegli do nas z chlupotem. Pojawili się inni, pewnie zwabieni hałasami, a może, co bardziej prawdopodobne, kolejni gracze z drugiego piętra - i także chwycili Stoke'a. Odwróciliśmy go niezdarnie. Prawdopodobnie wyglądaliśmy jak drużyna pijanych cheerleaderek, z jakiegoś powodu ćwiczących na ulewnym deszczu. Stoke wreszcie przestał się szarpać. Leżał bezwładnie z rozrzuconymi ramionami i zwróconymi wnętrzem do góry dłońmi, w których zaczął się zbierać deszcz. Z kurtki i spodni lały się mu potoki wody. Wziął mnie na ręce, powiedziała Carol. Mówiła o chłopcu z fryzurą na jeża, o swojej pierwszej miłości. Niósł mnie na rękach w najgorętszy dzień tego roku. Nie mogłem się uwolnić od jej słów. Właściwie nigdy mi się to nie udało.

- Akademik? - wydyszał Ronnie. - Tam?

- Rany, nie - odezwał się Nate. - Do szpitala.

Skoro zdołaliśmy już podnieść Stoke'a - zatem mieliśmy za sobą najgorsze - szpital wydał się rozsądnym celem. Mieścił się w niewielkim ceglanym budynku tuż za Bennett Hall, jakieś trzysta, czterysta metrów dalej. Kiedy dotrzemy do Alejki, znajdziemy się na stałym gruncie.

Więc zawlekliśmy go do szpitala - na ramionach, jak ciało poległego bohatera, zniesione z pola bitwy. Od czasu do czasu tu i ówdzie słyszało się ciche parsknięcia i chichoty. Również moje. Raz uchwyciłem wzrok Nate'a, który przyglądał mi się jak najgorszemu padalcowi, więc usiłowałem zdławić dźwięki, które się ze mnie wydobywały. Przez jakiś czas mi się udawało, ale potem przypomniałem sobie, jak się obrócił na kuli (czekamy na werdykt sędziów… którzy dają mu… dziesięć punktów!), i nie wytrzymałem.

Stoke odezwał się tylko raz, gdy wnieśliśmy go do szpitala.

- Dajcie mi umrzeć - powiedział. - Choć raz zróbcie coś dobrego, wy małe głupie samoluby. Zostawcie mnie i dajcie mi umrzeć.

35

Poczekalnia była pusta, w telewizorze w rogu leciała stara „Bonanza", której nikt nie oglądał. W tamtych czasach spece od telewizji nie wpadli jeszcze na to, jak się obchodzić z kolorem i stary Cartwright miał twarz w kolorze świeżego awokado. Pewnie narobiliśmy hałasu jak stado hipopotamów u wodopoju, bo pielęgniarka przyleciała galopem, ledwie przekroczyliśmy próg. Za nią biegła salowa (pewnie też dorabiała jak ja) i mały facecik w białym fartuchu. Na szyi dyndał mu stetoskop, a w kąciku ust - papieros. Na Atlantydzie nawet lekarze palili papierosy.

- Co się z nim stało? - Lekarz spytał Ronniego, może dlatego że wyglądał na przywódcę, a może po prostu stał najbliżej.

- Przewrócił się na Ścieżce Benneta w drodze do stołówki - powiedział Ronnie. - Prawie się utopił. - A po chwili namysłu dodał: - To kaleka.

Jakby na potwierdzenie, Billy Marchant machnął kulą Stoke'a. Zdaje się, że nikomu nie przyszło do głowy wziąć drugą.

- Odłóż to, chcesz mi mózg rozwalić? - syknął Nick Prouty, w ostatniej chwili uskakując przed ciosem.

- Jaki mózg? - odszczeknął się Brad i wszyscy zaczęliśmy się tak śmiać, że prawie puściliśmy Stoke'a.

- Możesz mnie cmoknąć - warknął Nick, ale też się śmiał.

Lekarz zmarszczył brwi.

- Połóżcie go tutaj, a ten język sobie darujcie. - Stoke znowu się rozkaszlał, potwornie, rzężąc. Kaszlał tak, że można się było spodziewać widoku krwi i wypluwanych płuc. Zanieśliśmy go do pokoju, ale nie mogliśmy się wszyscy zmieścić w drzwiach.

- Ja go wezmę - powiedział Skip.

- Upuścisz - zaprotestował Nate.

- Nie upuszczę. Muszę tylko dobrze chwycić. Stanął przy Stoke'u i dał znak mnie i Ronniemu.

- Opuśćcie go - rozkazał Ronnie.

Usłuchaliśmy. Skip stęknął pod ciężarem Stoke'a; na czole nabrzmiała mu żyła. Cofnęliśmy się, a on wniósł Stoke'a do pokoju i położył go na leżance. Cienkie papierowe

prześcieradło natychmiast nasiąkło wodą. Skip cofnął się o krok. Stoke patrzył na niego nieruchomo.

Miał śmiertelnie bladą twarz z dwoma czerwonymi plackami na policzkach - czerwonymi jak wiśnie. Z włosów ciekła mu woda.

- Wybacz, stary - powiedział Skip.

Stoke odwrócił głowę i zamknął oczy.

- Proszę wyjść - rzucił doktor. Już się pozbył papierosa.

Obejrzał się na nas - grupkę pewnie z dziesięciu chłopaków,
w większości uchachanych po pachy i ociekających wodą. - Czy ktoś z was wie, co jest przyczyną jego kalectwa? Od tego zależy sposób, w jaki będziemy go leczyć.

Pomyślałem o bliznach, plątaninie węzłastych macek, ale nie odezwałem się ani słowem. Tak naprawdę nie wiedziałem nic konkretnego. Poza tym teraz, gdy minęło już szaleństwo śmiechu, byłem zbyt zawstydzony, żeby się odzywać.

- Pewnie to, co zawsze - odezwał się Ronnie. W towarzystwie dorosłego stracił całą butę. Mówił niepewnie, wręcz wstydliwie. - Porażenie mięśni albo dystrofia mózgu.

- Głupiś - kwiknął Lennie. - Dystrofia mięśni i porażenie…

- Miał wypadek - przemówił Nate. Wszyscy na niego spojrzeli. Mimo deszczu wyglądał porządnie i schludnie. Dziś miał czapkę narciarską z logo liceum Fort Kent. Uniwersytecka drużyna futbolowa wreszcie wygrała i Nate pozbył się czapeczki. - Cztery lata temu. Jego ojciec, matka i starsza siostra zginęli. Z całej rodziny przeżył tylko on.

Zrobiło się cicho. Spojrzałem pomiędzy ramionami Skipa i Tony'ego. Stoke leżał, ociekając wodą, z głową odwróconą na bok i zamkniętymi oczami. Pielęgniarka mierzyła mu ciśnienie. Spodnie oblepiły mu nogi i przypomniałem sobie paradę w dniu czwartego lipca, na którą w dzieciństwie chodziłem w Gates Falls. Pomiędzy szkolną orkiestrą i motocyklistami z proporczykami pojawiał się Wuj Sam. W gwiaździstym cylindrze wydawał się wielki jak wieżowiec, ale kiedy wiatr załopotal jego nogawkami, człowiek od razu się domyślał, że to oszustwo. Tak właśnie wyglądały nogi Stoke'a Jonesa w mokrych spodniach: jak zwykłe oszustwo, trik, kiepski dowcip, szczudła z trampkami.

- Skąd wiesz? - spytał Skip. - On ci powiedział?

- Nie. - Nate wyraźnie się zawstydził. - Powiedział Harry'emu Swidrowsky'emu po zebraniu Komitetu Oporu. Siedzieli… śmy… w Jaskini Niedźwiedzia. Harry spytał go wprost, co

mu się stało w nogi, więc Stoke mu powiedział. Wydawało mi się, że wiem, dlaczego Nate się wstydzi. Powiedział: po zebraniu. Po. Nie wiedział, co mówiono na zebraniu, ponieważ na nim nie był. Nie należał do Komitetu Oporu, stał zawsze z boku. Może się zgadzał z KO, ale… musiał myśleć o matce. I o swojej przyszłości.

- Uraz kręgosłupa? - spytał doktor. Ożywił się.

- Chyba tak.

- Dobrze. - Zamachał rękami, jakby miał przed sobą stado gęsi. - Wracajcie do akademika. My się nim zajmiemy.

Zaczęliśmy się wycofywać.

- Dlaczego się śmieliście, chłopcy? - odezwała się niespodziewanie pielęgniarka. Stała obok doktora z rękawem do mierzenia ciśnienia. - Dlaczego śmiejecie się teraz? - Była zła. Nie, była wściekła. - Co was tak rozśmieszyło w nieszczęściu tego chłopca?

Nie sądziłem, że ktoś odpowie. Staliśmy i spoglądaliśmy w ziemię, przestępując z nogi na nogę i czując się jak dzieci. A jednak ktoś odpowiedział. Skip. Zdołał nawet spojrzeć jej w oczy.

- Jego nieszczęście. Bo, jak pani słusznie powiedziała, to było nieszczęście. Rozśmieszyło nas jego nieszczęście.

- Straszne - szepnęła. W oczach stanęły jej łzy wściekłości. - Jesteście straszni.

- Tak - zgodził się Skip. - Tu także ma pani rację. - Odwrócił się.

Poszliśmy za nim, przemoczona i przygnębiona gromadka. Nie mogę powiedzieć, żeby był to najstraszniejszy epitet, jakim mnie nazwano na studiach („jeśli wiele pamiętasz z lat sześćdziesiątych, to cię tam nie było", jak powiedział pewien hipis), choć z drugiej strony… Poczekalnia nadal była pusta. Na ekranie królował Mały Joe Cartwright, równie zielony jak jego tatuś. Michael Landon także umarł na raka trzustki - jak moja matka.

Skip się zatrzymał. Ronnie minął go z pochyloną głową, za nim Nick, Billy, Lennie i reszta.

- Stać - powiedział Skip. Odwrócili się. - Chcę z wami o czymś pogadać.

Otoczyliśmy go. Skip obejrzał się, czy jesteśmy sami, i zaczął mówić.

36

Dziesięć minut później wracałem ze Skipem do akademika. Inni już poszli. Nate kręcił się przy nas przez jakiś czas, po czym chyba wyczuł, że chcę pogadać ze Skipem na osobności. Nate zawsze umiał wyczuwać takie rzeczy. Na pewno jest dobrym dentystą, zwłaszcza dzieci muszą go lubić.

- Skończyłem z kierkami - oświadczyłem.

Nie odezwał się.

- Nie wiem, czy nie jest za późno, żeby się poprawić, ale spróbuję. Zresztą nie to mnie martwi. Nie chodzi o to pieprzone stypendium.

- Nie. Chodzi o nich, tak? O Ronniego i resztę.

- Do pewnego stopnia. - Po zmroku robiło się bardzo zimno - zimno, mokro i złowrogo. Wydawało się, że nigdy nie będzie już lata. - Człowieku, jak ja tęsknię za Carol. Dlaczego wyjechała?

- Nie wiem.

- Kiedy się przewrócił, wszyscy oszaleli. Zachowywali się jak wariaci.

- Ty też się śmiałeś. Ja też.

- Wiem. - Pewnie bym się nie śmiał, gdybym był sam albo ze Skipem, ale skąd to można wiedzieć? Było, jak było. Ciągle myślałem o Carol i chłopcach z kijem baseballowym. I o tym, z jaką pogardą patrzył na mnie Nate. - Wiem.

Przez jakiś czas szliśmy w milczeniu.

- Mogę się pogodzić z tym, że się z niego śmieliśmy - odezwałem się znowu - ale nie chcę, żeby kiedyś dzieci mnie spytały o studia i żebym mógł im opowiedzieć tylko o Ronnie Malenfancie, jego dowcipasach i o tym biednym pierdołowatym McClendonie, który chciał się otruć aspiryną dla dzieci. - Przypomniał mi się Stoke Jones, obracający się na kuli, i znowu zachciało mi się śmiać. Przypomniał mi się rozciągnięty na leżance i zachciało mi się płakać. - Nie czuję się z tym dobrze. Czuję się jak skurwysyn.

- Ja też. - Deszcz lał się strumieniami. Światła Chamberlaina były jasne, ale zimne. Na ziemi leżała żółta płachta, którą policjanci zasłonili napis, a nad nią niewyraźne zarysy czarnych liter. Deszcz je spłukiwał; do jutra staną się nieczytelne.

- Na podwórku zawsze bawiłem się w bohaterów - powiedział Skip. - Ja też, a co myślałeś. Które dziecko bawi się w lincz?

Skip wbił spojrzenie w chlupoczące buty. Zerknął na mnie.

- Mogę się z tobą uczyć?

- Kiedy tylko zechcesz.

- Naprawdę, zgadzasz się?

- Dlaczego mam się nie zgadzać? - warknąłem niby to z irytacją, bo nie chciałem, żeby się domyślił, jak mi ulżyło. I jak się ucieszyłem, ponieważ jeszcze wszystko mogło się dobrze skończyć. Po chwili dodałem: - A co do tego drugiego… myślisz, że się uda?

- Nie wiem. Może.

Prawie dotarliśmy do północnego wejścia. Wskazałem na spływające litery.

- Może dziekan Garretsen i ten cały Ebersole nam odpuszczą. Farba nawet nie zdążyła zaschnąć. Do rana całkiem spłynie.

Skip pokręcił głową.

- Nie odpuszczą.

- Dlaczego? Skąd ta pewność?

- Złotko ich przypilnuje. I oczywiście miał rację.

37

Po raz pierwszy od wielu tygodni świetlica świeciła pustkami, bo przemoczeni hazardziści poszli się wysuszyć i przebrać. Wielu zajęło się także tym, o czym powiedział Skip Kirk. Ale gdy wróciłem ze Skipem i Nate'em z kolacji, życie potoczyło się dawnym torem - w świetlicy grano już przy trzech stolikach.

- Hej, Riley - odezwał się Ronnie. - Twiller mówi, że musi się uczyć. Jak chcesz, to siadaj, pokażę ci, jak się gra.

- Nie dziś. Sam się muszę uczyć.

- Aha - wtrącił Randy Echolls. - Masz pracę domową z samogwałtu.

- Właśnie, słonko, jeszcze parę tygodni ciężkiej pracy i nabiorę takiego tempa jak ty.

Byłem już przy drzwiach, gdy Ronnie dodał:

- Utarłem ci nosa, Riley.

Odwróciłem się. Malenfant siedział rozwalony na krześle, wyszczerzony w tym swoim nieprzyjemnym uśmiechu. Przez jakiś czas, tam, na deszczu, dostrzegłem przelotnie innego Ronniego, ale ten młodzieniec już się schował.

- Nieprawda. Wygrałbym.

- Nikt nie dostaje na rękę takich kart. - Ronnie odchylił się do tyłu jeszcze bardziej. Podrapał się po policzku, rozrywając parę pryszczy. Na ich czubkach pojawiły się bąble żółtej ropy. - Nie przy moim stole. Zastopowałem cię pikami.

- Nie miałeś pików. Zrzuciłeś asa, kiedy Lennie wyszedł w dwójkę. A w kierach miałem wszystkie figury.

Uśmiech mu zbladł, lecz po chwili powrócił jeszcze szerszy. Ronnie machnął ręką ku podłodze, na której niedawno leżały karty. Już je pozbierano, ale zostały jeszcze niedopałki z przewróconych popielniczek (większość z nas wychowała się w domach, gdzie sprzątanie było wyłączną domeną mam).

- A, wszystkie figury, tak? Wielka szkoda, że nie możemy sprawdzić.

- Tak, szkoda. Odwróciłem się.

- Tracisz punkty! - zawołał za mną. - Wiesz o tym, nie?

- Możesz je sobie wziąć, Ronnie. Ja ich już nie chcę.

Na studiach nie zagrałem w kierki ani razu. Wiele lat później nauczyłem grać moje dzieci i od razu poczuły się w tej grze jak ryba w wodzie. W sierpniu zawsze rozgrywamy coroczne mistrzostwa w naszym letnim domku. Nie mamy podwójnych punktów, ale mamy puchar. W tym roku to ja go wygrałem i trzymam go na biurku, żeby codziennie na niego patrzeć. Dwa razy pozbyłem się wszystkich kart podczas mistrzostw, ale nigdy już mi się nie trafiły takie jak wtedy. Jak powiedział mój dawny kumpel Ronnie Malenfant, nikt nie dostaje na rękę takich kart. Równie dobrze można by się spodziewać, że Atlantyda znów się wyłoni z oceanu, powiewając pióropuszami palm.

38

Tego wieczora punktualnie o ósmej Skip Kirk zasiadł przy moim biurku i zabrał się do antropologii. Siedział z rękami zanurzonymi we włosach, jakby miał migrenę. Nate przy swoim biurku pisał pracę z botaniki. Ja leżałem na łóżku, siłując się ze starą przyjaciółką, geologią. Bob Dylan śpiewał ze stereo: „Kobieta śmieszna jak cholera, praprababka Mr Propera".

Ktoś głośno zapukał do drzwi, ram-pam-pam.

- Zebranie! - ryknął Złotko. - Zebranie o dziewiątej w sali telewizyjnej! Obecność obowiązkowa!

- Rany boskie - mruknąłem. - Spalcie bibułę i zjedzcie krótkofalówkę.

Nate wyłączył Dylana. Usłyszeliśmy, że Złotko idzie dalej, łomocząc do wszystkich drzwi i wrzeszcząc. Większość pokoi była pewnie pusta, ale to nie problem: wszystkich mógł bez trudu znaleźć w świetlicy, przy polowaniu na Sukę.

Skip patrzył na mnie.

- A nie mówiłem?

39

Wszystkie akademiki w naszym miasteczku zostały wzniesione w tym samym okresie i w każdym oprócz świetlic na środku piętra znajdowało się duże pomieszczenie w piwnicy. Stał tam telewizor, włączany głównie na czas meczów podczas weekendu i serialu o wampirach w dni robocze, automaty z napojami i batonami, stół do ping-ponga oraz kilka szachownic. Była także mała widownia i podium dla mówców. Na początku roku mieliśmy tam zebranie, podczas którego Złotko poinformował nas o regulaminie akademika i opłakanych konsekwencjach niezadowalającego wyniku inspekcji pokojów. Muszę przyznać, że na punkcie tych inspekcji miał prawdziwego fioła. Inspekcji i ROTC, ma się rozumieć.

Złotko stanął na mównicy i położył przed sobą cienką teczkę. Podejrzewam, że miał w niej notatki. Był ubrany w przemoczone i brudne wojskowe spodnie ROTC. Wyglądał na zmęczonego po całym dniu odśnieżania i posypywania piaskiem chodników, ale był też ożywiony… podkręcony, jak mówiliśmy.

Poprzednio był zdany na własne siły, teraz miał silne zaplecze. Pod zieloną betonową ścianą zasiadł godnie dziekan Sven Garretsen. Podczas zebrania prawie się nie odzywał i wyglądał dobrotliwie nawet wtedy, gdy wszyscy rzucali się sobie do gardeł. Oficer dyscyplinarny Ebersole, w czarnym płaszczu na grafitowym garniturze, stał za Złotkiem.

Gdy już usiedliśmy, a palacze zapalili, Złotko obejrzał się na Garretsena, a potem na Ebersole'a. Ten ostatni się uśmiechnął.

- Prosimy, Davidzie. To twoi chłopcy.

Poczułem ukłucie irytacji. Można mnie nazwać rozmaicie, na przykład świnią śmiejącą się z kalekiego chłopaka, który się przewrócił na ulewnym deszczu, ale na pewno nie byłem chłopcem Złotka Dearborna.

Złotko chwycił się mównicy i spojrzał na nas poważnie, prawdopodobnie wyobrażając sobie (w najskrytszych marzeniach), że pewnego dnia będzie się tak zwracać do swego sztabu, wydając rozkaz przemieszczenia licznych oddziałów.

- Jones zniknął - obwieścił wreszcie. Zabrzmiało to złowieszczo i staromodnie, jak kwestia z filmu z Charlesem Bronsonem.

- Jest w szpitalu - powiedziałem i z satysfakcją przyjrzałem się jego minie.

Ebersole także się zdziwił. Garretsen tylko spoglądał dobrotliwie w przestrzeń, jakby się czegoś naćpał.

- Co się stało? - spytał Złotko. Tego nie miał w scenariuszu - przygotowanym własnoręcznie bądź we współpracy z Ebersole'em - więc zaczął się niepokoić. Mocniej ściskał podium, jakby się bał, że mu ucieknie.

- Kurczę go rozdeptało - powiedział Ronnie i parsknął, gdy inni zaczęli się śmiać. - Jak również dostał zapalenia płuc, bronchitu czy czegoś takiego. - Rzucił okiem na Skipa, który skinął nieznacznie głową. To przedstawienie reżyserował Skip, nie Złotko, ale przy odrobinie szczęścia ci trzej przy mównicy nigdy się o tym nie dowiedzą.

- A dokładnie? - chciał wiedzieć Złotko.

Grymas niepokoju na jego twarzy zmienił się w niezadowolenie. Zupełnie jak wtedy, kiedy zobaczył nowe oblicze swoich drzwi.

Skip opowiedział jemu i jego ekipie, jak zobaczyliśmy ze świetlicy Stoke'a idącego do stołówki, jak Stoke się przewrócił, jak go uratowaliśmy i zabraliśmy do szpitala i jak doktor powiedział, że Stoke jest bardzo chory. Właściwie tego nie powiedział, ale łatwo to było poznać. Ci, którzy dotykali Stoke'a, czuli bijącą od niego gorączkę, słyszeli ten koszmarny kaszel. Skip nie wspomniał, że Stoke szedł bardzo szybko, jakby chciał zniszczyć cały świat, zanim zabije siebie.

Nie powiedział też, że się z niego śmieliśmy, Mark St. Pierre tak bardzo, że się posikał.

Skip skończył, a Złotko obejrzał się niepewnie na Ebersole'a. Ten odpowiedział tępym spojrzeniem. Za nimi dziekan Garretsen uśmiechał się jak Budda. Wszystko było jasne. Ten występ należał do Złotka.

Wobec tego Złotko nabrał powietrza w płuca i zwrócił się do nas.

- Uważamy, że Stokely Jones jest winny aktu wandalizmu oraz obrazy moralności, do której doszło na północnej ścianie akademika Chamberlain Hall dziś rano o nieznanej nam godzinie.

Powtarzam za nim słowo w słowo, nic nie zmyślam. Oprócz zdania „wyższa konieczność nakazywała zniszczyć wioskę, aby ją ocalić" był to najczystszy przykład wojskowego bełkotu, jaki udało mi się poznać.

Złotko chyba się spodziewał, że przez widownię przebiegnie szmer zgrozy, jak pod koniec filmów z Perry Masonem, kiedy nadchodzi pora wyjaśnienia zagadki. Ale my

siedzieliśmy cicho. Skip obserwował go uważnie i kiedy dostrzegł, że Złotko bierze oddech przed następnym zdaniem, zapytał:

- Słuchaj, Złotko, a dlaczego w ogóle myślisz, że to on?

Nie jestem tego pewien - nigdy nie pytałem - ale wydaje mi się, że użył tego przydomka celowo, by jeszcze bardziej zbić Złotko z tropu. I udało mu się. Złotko spojrzał na Ebersole'a i zaczął się zastanawiać. Spod kołnierzyka wypełzła mu czerwień. Przyglądałem się z fascynacją, jak sunie w górę. Było tak samo, jak na kreskówkach Disneya, kiedy kaczor Donald usiłuje opanować wściekłość. Widać, że mu się nie uda; napięcie bierze się stąd, że nie wiemy, jak długo zdoła się powstrzymywać.

- Chyba znasz odpowiedź - oznajmił wreszcie Złotko. -
Stokely Jones nosi kurtkę z bardzo szczególnym symbolem.

Wziął teczkę, wyjął kartkę, przyjrzał się jej i odwrócił ją do nas, żebyśmy też sobie popatrzyli. Jakoś nas nie zaskoczył.

- Z takim symbolem. Tuż przez zakończeniem drugiej wojny światowej został on opracowany przez partię komunistyczną. Oznacza on „zwycięstwo przez infiltrację" i jest powszechnie znany jako Złamany Krzyż. Zyskał pewną popularność w grupach radykałów, takich jak Czarni Muzułmanie i Czarne Pantery. Ponieważ Stoke

Jones obnosił ów symbol na długo przed tym, nim pojawił się on na ścianie naszego akademika, nie trzeba geniusza, żeby…

- Gówno prawda! - zawołał Nate, wstając.

Był blady i drżał, ale raczej z gniewu niż ze strachu. Czy kiedykolwiek słyszałem z jego ust słowo „gówno"? Bardzo wątpię.

Garretsen uśmiechnął się do niego dobrotliwie. Ebersole uniósł brwi, wyrażając grzeczne zainteresowanie. Złotko wytrzeszczył oczy. Nate Hoppenstand był ostatnią osobą, przez którą spodziewał się kłopotów.

- Ten symbol wywodzi się z angielskiej sygnalizacji i oznacza rozbrojenie nuklearne. Wymyślił go wielki angielski filozof. Chyba nawet dostał tytuł szlachecki. Jak możesz mówić, że wymyślili go Rosjanie! Na miłość boską! Czy tego cię uczą w ROTC? Takiego gówna?

Podparty pod boki, Nate wpatrywał się gniewnie w Złotko, a Złotko gapił się na niego jak ciele na malowane wrota, kompletnie zbity z tropu. Tak, właśnie tego uczyli go w ROTC, a on to łykał jak gęś. Coś takiego kazało się zastanowić, czego jeszcze uczą w ROTC.

- Na pewno rozmowa o tym Złamanym Krzyżu jest bardzo interesująca - wtrącił gładko Ebersole - i na pewno warto się o nim czegoś dowiedzieć, jeśli oczywiście to prawda…

- To jest prawda - odezwał się Skip. - Bert Russel. Nie Józek Stalin. W Anglii ten symbol pojawił się pięć lat temu, podczas marszów protestacyjnych przeciwko okrętom podwodnym o napędzie jądrowym.

- Właśnie! - wrzasnął Ronnie, wyrzucając pięść w powietrze. Jakiś rok później Pantery - które o ile mi wiadomo, nigdy nie przepadały za symbolem Bertranda Russella - zaczęły to robić na swoich zjazdach. I, oczywiście, dwadzieścia lat później wszyscy my, dawni młodzi gniewni, na koncertach rockowych. Bruuuuuuce! Bruuuuuce!

- Dawaj! - włączył się Hugh Brennan ze śmiechem. - Dawaj, Skip! Dawaj, wielki Nate!

- Jak się wyrażacie w obecności dziekana! - ryknął Złotko.

Ebersole zlekceważył wrzaski. Nie odwracał zaciekawionego, sceptycznego spojrzenia od mojego współlokatora i Skipa.

- Nawet jeśli to prawda, nadal mamy pewien problem, prawda? Tak mi się wydaje. Akt wandalizmu i obrazy moralności pozostaje faktem. Przez ten wypadek społeczeństwo podatników uważnie i krytycznie spojrzy na młodzież akademicką. A ta instytucja zależy od osób płacących podatki, panowie. Sądzę, że wszyscy winniśmy…

- Pomyśleć! - wrzasnął niespodziewanie Złotko. Policzki zrobiły się mu prawie fioletowe, na czole pojawiły się roje dziwnych czerwonych plam, a pomiędzy oczami zaczęła pulsować żyła.

Zanim zdążył dodać coś więcej - a najwyraźniej miał wiele do powiedzenia - Ebersole uciszył go gestem ręki. Złotko jakby oklapł. Dostał szansę, którą zaprzepaścił. Później będzie sobie wmawiać, że to przez zmęczenie; gdy my cały dzień spędziliśmy w miłej, ciepłej świetlicy przy grze w karty i rujnowaniu sobie przyszłości, on odgarniał śnieg i posypywał chodniki piaskiem, by starzy profesorowie psychologii nie przewracali się i nie łamali kruchych kości. Był zmęczony, niedoinformowany, a poza tym ten złamas Ebersole nie dał mu się rozkręcić. Wszystko to jednak nie mogło zaprzeczyć faktom: został odsunięty. Dorośli znowu stanęli u steru. Tatuś wszystko naprawi.

- Winniśmy znaleźć winowajcę i ukarać go z przykładną surowością - ciągnął Ebersole. Patrzył głównie na Nate’a. Zadziwiające, od razu zidentyfikował w nim przywódcę oporu, jaki wyczuł w sali telewizyjnej.

Nate, niech Bóg mu wynagrodzi w tłustych dzieciach, dobrze umiał postępować z typami w rodzaju Ebersole'a. Stał nieruchomo, ciągle z rękami na biodrach i nawet nie mrugnął powieką. Nie spuszczał też oka z Ebersole'a.

- Co pan proponuje? - spytał.

- Jak się nazywasz, młody człowieku?

- Nathan Hoppenstand.

- Nie sądzisz, Nathanie, że sprawca został zdemaskowany? - Ebersole mówił z cierpliwością, po belfersku. - A raczej sam się zdemaskował. Już powiedziałem, że ten nieszczęsny Stokely Jones obnosił się ze Złamanym Krzyżem od…

- Dość! - przerwał Skip, a ja aż podskoczyłem, tyle gniewu było w jego głosie. - To nie jest żaden krzyż, żaden złamany! To znak pokoju, psiakrew!

- Pańskie nazwisko?

- Stanley Kirk, dla przyjaciół Skip. Może mi pan mówić Stanley. - Zabrzmiało to dość wyzywająco. Ebersole jakby tego nie zauważył.

- Weźmiemy pod uwagę pańską poprawkę, ale to nie zmienia faktu, iż Stokely Jones - i tylko on - obnosił ów symbol po uniwersytecie od pierwszego dnia roku akademickiego. Pan Dearborn twierdzi…

- Pan Dearborn - powiedział Nate - nie wie nawet, czym jest ten znak i skąd się wziął, więc sądzę, że nie należy polegać na jego słowach. Tak się składa, że ja także mam na kurtce znak pokoju. Skąd pan wie, że to nie ja napisałem hasło na ścianie akademika?

Ebersole otworzył usta. Nie za bardzo, ale wystarczająco, żeby jego współczujący uśmiech zniknął, podobnie jak cały urok osobisty. A dziekan Garretsen zmarszczył brwi, jakby stanął przed niezrozumiałym zjawiskiem. Bardzo rzadko widuje się dobrego polityka lub zarządcę uniwersyteckiego kompletnie zbitego z tropu. Takie chwile spotyka się równie rzadko jak czarne diamenty. I są równie cenne. Dla mnie chwila ta nie straciła uroku po dziś dzień.

- To kłamstwo! - krzyknął Złotko, bardziej urażony niż zły. - Dlaczego tak kłamiesz, Nate? Jesteś ostatnią osobą na drugim piętrze, którą bym podejrzewał…

- Nie kłamię - przerwał mu Nate. - Idź do mojego pokoju, wyjmij z szafy zieloną kurtkę i sprawdź, jeśli mi nie wierzysz. Sprawdź.

- Moją też - dodałem, stając obok Nate'a. - Kurtkę z liceum. Na pewno ją rozpoznasz. To ta z pacyfką na plecach.

Ebersole przyglądał się nam lekko zmrużonymi oczami.

- A kiedy ten tak zwany znak pokoju znalazł się na waszych kurtkach, panowie?

Tym razem Nate skłamał. Znałem go na tyle, by wiedzieć, że sprawiło mu to ból… ale zrobił to po mistrzowsku.

- We wrześniu.

Tego Złotko już nie wytrzymał. Poszła mu żyła, jak by powiedziały moje dzieci, choć nie całkiem odpowiada to prawdzie. Złotko zmienił się w kaczora Donalda. Nie zaczął skakać, machając rękami, no i nie kwakał jak Donald, kiedy się wścieknie, za to autentycznie zawył z wściekłości i zaczął się bić po głowie. Ebersole znowu go uciszył, ale tym razem musiał go mocno chwycić za ramię.

- Jak się nazywasz? - warknął Ebersole. Do diabła z grzecznością.

- Pete Riley. Narysowałem pacyfkę na kurtce, bo widziałem kurtkę Stoke'a i spodobało mi się. A także dlatego, że mam duże wątpliwości co do wojny w Wietnamie. Złotko wyrwał się Ebersole'owi. Stał z wysuniętą szczęką i wyszczerzonymi zębami.

- Pomagamy naszym sojusznikom, ty baranie! - wrzasnął. - Jeśli jesteś za głupi, żeby to wiedzieć, to lepiej zacznij się uczyć historii! A może jesteś tchórzem, jak tamci…

- Proszę o ciszę - odezwał się dziekan Garretsen. - To nie miejsce na debatę polityczną, nie czas na wyrównywanie osobistych porachunków. Wręcz przeciwnie.

Złotko spuścił głowę, wzbił wzrok w podłogę i przygryzł wargi.

- I kiedyż to ten symbol pojawił się na pańskiej kurtce? - spytał Ebersole. Znów mówił uprzejmie, ale jego spojrzenie stało się jakieś takie brzydkie. Chyba już wiedział, że Stoke mu się wymknie i był z tego bardzo niezadowolony. Złotko był płotką w porównaniu z tym typem, który w 1966 pojawił się we wszystkich uniwersytetach. Czas powołuje ludzi, powiedział Laozi, a późne lata sześćdziesiąte powołały Charlesa Ebersole'a. Nie był pedagogiem, lecz funkcjonariuszem.

Nie okłamuj mnie, mówiły jego oczy. Nie okłamuj mnie, Riley, bo jak mnie okłamiesz, a ja się dowiem, rozerwę cię na strzępy.

Ale co tam, do piętnastego stycznia i tak mnie pewnie wywalą. Gwiazdkę roku 1967 spędzę w Phu Bai, grzejąc miejsce dla Złotka.

- W październiku. Mniej więcej w dniu Kolumba.

- Ja mam ten znak na kurtce i paru bluzach - dorzucił Skip. - Wszystko to jest w moim pokoju. Mogę pokazać.

Złotko, nadal wpatrzony w podłogę i czerwony jak burak, ustawicznie kręcił głową.

- Ja też mam go na bluzach - odezwał się Ronnie. – Nie jestem przeciw wojnie, ale znak mi się podoba. Jest fajny.

Tony DeLucca także wyznał, że ma go na bluzie.

Lennie Doria wyjawił, że narysował go na paru podręcznikach, jak również na zeszytach. Jeśli trzeba, zaraz pokaże.

Billy Marchant miał go na kurtce.

Brad Witherspoon umieścił go na czapce studenckiej. Czapka leży gdzieś w szafie, prawdopodobnie pod brudnymi gatkami, które zapomniał zawieźć do domu.

Nick Prouty narysował pacyfkę na swoich ulubionych płytach: „Kick Out the Jams" i „Wayne Fontana i mózgołamacze".

- Ale wy nie macie mózgów do łamania – wymamrotał Ronnie pod nosem i na sali rozległo się parę stłumionych chichotów.

Kilku chłopców zgłosiło jeszcze, że narysowało pacyfki na podręcznikach lub ubraniu. Wszyscy twierdzili, że stało się na długo przed pojawieniem się graffiti na północnej ścianie Chamberlaina. Ostatnim surrealistycznym akcentem był występ Hugh, który wstał, wyszedł przed krzesła i podniósł nogawki dżinsów, ukazując pożółkłe sportowe skarpetki i owłosione łydki. Na obu skarpetach widniały pacyfki.

- Jak pan widzi - powiedział Skip, gdy przedstawienie się skończyło - to mógł być każdy z nas.

Złotko podniósł powoli głowę. Z rumieńca pozostała mu tylko jedna czerwona plama pod lewym okiem. Wyglądała jak pęcherz.

- Dlaczego dla niego kłamiecie? - spytał. Zaczekał na odpowiedź, której nie usłyszał. - Przysięgam, że żaden z was nie miał ani jednej pacyfki przed Świętem Dziękczynienia. Pewnie zrobiliście je dzisiaj. Dlaczego dla niego kłamiecie?

Nikt nie odpowiedział. Milczenie ciążyło nad nami. Narastało w nas poczucie siły, niesamowitej mocy. Ale czyja to była moc? Nasza czy ich? Trudno powiedzieć. Do dziś nie wiem.

Wtedy na mównicę wstąpił dziekan Garretsen. Złotko odsunął się odruchowo, jakby go nie dostrzegał. Dziekan spojrzał na nas ze słabym, lecz radosnym uśmiechem.

- To idiotyzm - powiedział. - To, co napisał pan Jones, jest idiotyzmem, a jeszcze większym jest oszukiwanie. Przyznajcie się, panowie. Powiedzcie prawdę.

Nikt się nie odezwał.

- Rano będziemy rozmawiać z panem Jonesem - dodał Ebersole. - Może wtedy parę osób zechce zmienić zeznania.

- Ja bym się tam za bardzo nie przejmował tym, co powie Stoke - odezwał się Skip.

- Właśnie. Stary Ciach-Ciach jest walnięty jak szczur ze sracza - poparł go Ronnie.

Na widowni rozległ się dziwnie afektowany śmiech.

- Szczur ze sracza! - zawołał Nick z rozjaśnionym spojrzeniem. Wyglądał jak poeta, który wreszcie znalazł *le mot juste*. - Szczur ze sracza! Właśnie, to on! - I, na zakończenie tego szaleńczego dnia, Nick Prouty zaprezentował upiornie perfekcyjne naśladownictwo koguta z kreskówek Disneya: -

Ajajajaj, chłopak jest szaa-jlony! Odwajj-liło mu! Odpiejj-doliło! Zajączki mu się we łbie…

Stopniowo zdał sobie sprawę, że przyglądają mu się Ebersole i Garretsen, Ebersole z pogardą, Garretsen niemal z zainteresowaniem, jakby zauważył przez mikroskop nową bakterię.

- …rozmnażają- dokończył Nick, tracąc geniusz imitatora i odzyskując rozsądek, mordercę wielkich artystów.

- Nie całkiem o to mi chodziło - powiedział Skip. - Odkąd tu przyjechał, bez przerwy kaszlał i pociągał nosem. Nawet ty to musiałeś zauważyć, Złotko.

Złotko nie odpowiedział. Nawet nie zareagował na swój przydomek. To wszystko chyba nieźle mu dało w kość.

- Chcę tylko powiedzieć, że mógłby się przyznać do wielu rzeczy. Pewnie nawet w to wierząc. Ale jest niepoczytalny.

Na twarzy Ebersole'a znowu pojawił się uśmiech, lecz nie było w nim już wesołości.

- Zdaje się, że pojąłem pański kluczowy argument. Chce pan, byśmy uwierzyli, że pan Jones nie jest autorem napisu na ścianie, jeśli zaś mimo wszystko się przyzna, byśmy mu nie uwierzyli.

Skip także się uśmiechnął - tym tysiącwatowym uśmiechem, na którego widok dziewczynom robiło się słabo.

- Tak. To jest mój kluczowy argument.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym dziekan Garretsen wypowiedział słowa, które mogłyby się stać naszym epitafium.

- Zawiedliście mnie, panowie. Chodźmy, Charlesie, nie mamy tu nic do roboty.

Wziął aktówkę, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Ebersole jakby się zdziwił, ale pośpieszył za nim. W sali został tylko Złotko, patrzący na swoich podopiecznych z naganą i nieufnością.

- Wielkie dzięki - powiedział bliski łez. - Wielkie dzięki,
sukinsyny.

Wyszedł ze spuszczoną głową, ściskając w dłoni notes. W następnym semestrze wyniósł się z Chamberlaina. Tak chyba było najlepiej. Jak by powiedział Stoke, Złotko stracił przy nas wiarygodność.

40

- Więc to też ukradliście - powiedział Stoke Jones, kiedy wreszcie mógł mówić. Opowiedziałem mu, że teraz chyba wszyscy z Chamberlaina noszą pacyfki, na czym się da. Miałem nadzieję, że go tym rozweselę. Myliłem się.

- Bez nerwów, koleś. - Skip poklepał go po ramieniu. - Nie denerwuj się, bo ci coś pęknie.

Stoke nawet na niego nie spojrzał. Przeszywał mnie spojrzeniem czarnych oskarżycielskich oczu.

- Przywłaszczyliście sobie całą chwałę, przywłaszczyliście sobie znak. Szukaliście mojego portfela? Mam jakieś dziewięć dolarów. Weźcie i to. - Odwrócił głowę i rozkaszlał się. Tego grudniowego dnia w 1966 roku wyglądał staro jak jasna cholera.

Od dnia jego kąpieli na Ścieżce Benneta minęły cztery dni. Lekarz - nazywał się Carbury - mimo niezaprzeczalnie dziwnego zachowania drugiego dnia chyba uznał nas za przyjaciół Stoke'a, ponieważ nieustannie wpadaliśmy i pytaliśmy o jego zdrowie. Carbury od lat pracował w akademickim szpitaliku, przepisując tabletki na ból gardła i opatrując skręcone podczas meczów kostki i prawdopodobnie już wiedział, że studenci są nieobliczalni. Wyglądają jak dorośli, ale zachowali mnóstwo dziecinnych szaleństw. Na przykład Nick Prouty, który w obecności dziekana udawał koguta - no, to chyba o czymś świadczy.

Carbury nie powiedział nam, jak kiepsko miały się sprawy ze Stokiem. Jedna z salowych (zakochana w Skipie chyba od pierwszego spojrzenia) wyjawiła nam prawdę, której właściwie nie byliśmy ciekawi. Fakt, iż Carbury umieścił Stoke'a w separatce, także o czymś świadczył; zakaz odwiedzin w ciągu następnych czterdziestu ośmiu godzin dowodził czegoś więcej; to, że nie przeniesiono go do prawdziwego szpitala znajdującego się pięć kilometrów dalej, ostatecznie potwierdziło przypuszczenie. Carbury nie miał odwagi go przewieźć, nawet karetką pogotowia. Ze Stokiem było na prawdę kiepsko. Salowa powiedziała, że miał zapalenie płuc, początki hipotermii po kąpieli w kałuży i czterdzieści stopni gorączki. Podsłuchała rozmowę Carbury'ego, który powiedział komuś przez telefon, że gdyby Jones miał odrobinę mniej wytrzymałe płuca - albo przekroczył trzydziestkę - pewnie już by nie żył.

Skip i ja byliśmy jego pierwszymi gośćmi. Gdyby chodziło o innych studentów, w poczekalni siedzieliby już rodzice, ale z Stokiem było inaczej, teraz już o tym wiedzieliśmy. A jeśli nawet miał jakichś innych krewnych, nie raczyli się pojawić.

Opowiedzieliśmy mu o wszystkim, co się wydarzyło tamtego wieczora, z jednym wyjątkiem: pominęliśmy szaleństwo śmiechu, które wybuchło w świetlicy, gdy zobaczyliśmy go na dworze, i trwało aż do chwili, gdy przynieśliśmy go na wpół przytomnego do szpitala. Słuchał w milczeniu, gdy opowiadałem, jak Skip wpadł na pomysł, by ozdobić pacyf-kami nasze ubrania i książki, żeby Stoke nie był osamotniony. Nawet Ronnie Malenfant się zgodził, i to bez słowa sprzeciwu. Powiedzieliśmy mu to, żeby uzgodnić wersje, a także żeby zrozumiał, iż usiłując wziąć na siebie winę/chwałę za graffiti, ściągnie kłopoty także na nas. Zresztą nie musieliśmy mu tego tłumaczyć. Miał chore nogi, nie głowę.

- Zabieraj łapy, Kirk. - Stoke odsunął się najdalej, jak mógł, na wąskim łóżku i znów się rozkaszlał. Pamiętam, iż pomyślałem, że wygląda, jakby mu zostały cztery miesiące życia, choć tu się akurat pomyliłem. Atlantyda zatonęła, ale Stoke Jones nadal się unosi na falach. Jest prawnikiem w San Francisco. Czarne włosy mu posiwiały i są piękniejsze niż kiedykolwiek. Sprawił sobie czerwony fotel inwalidzki. Fajnie wygląda w CNN.

Skip cofnął się i zaplótł ręce na piersi.

- Nie spodziewałem się wybuchów wdzięczności, ale tego już za wiele. Przeszedłeś samego siebie, Ciach-Ciach.

W oczach Stoke'a błysnęło.

- Nie nazywaj mnie tak!

- Więc nie nazywaj nas złodziejami tylko dlatego, że chcieliśmy ratować tę twoją chudą dupę. A wręcz ją uratowaliśmy!

- Nikt was nie prosił.

- Nie - powiedziałem. - Ty nikogo o nic nie prosisz, prawda? Spraw sobie większe kule, żeby dźwigać tyle urazy do świata.

- No więc mam urazę, półgłówku. To wszystko, co mam. A co ty masz?

Mnóstwo do nadrobienia, ot co. Ale nie powiedziałem mu tego. Nie sądziłem, żeby mu serce zmiękło.

- Pamiętasz w ogóle tamten dzień? - spytałem.

- Pamiętam, że pisałem na ścianie akademika. Planowałem to od dawna. Potem poszedłem na wykłady o pierwszej. Zastanawiałem się, co powiem dziekanowi, kiedy mnie wezwie. Jakie złożę oświadczenie. Z reszty pamiętam jedynie fragmenty. - Roześmiał się sardonicznie i przewrócił podkrążonymi oczami. Leżał w łóżku od czterech dni i ciągle wyglądał na strasznie zmęczonego. - Chyba wam powiedziałem, że chcę umrzeć. Tak było?

Nie odezwałem się. Wpatrywał się we mnie, ale zdecydowałem się skorzystać z przysługującego mi prawa do milczenia. Wreszcie wzruszył ramionami w geście oznaczającym „dobra, nieważne". Od ruchu oderwał mu się plasterek na kościstym ramieniu. Stoke przyklepał go starannie - pod nim znajdowała się igła kroplówki.

- Więc odkryliście pacyfkę? Świetnie. Możecie ją sobie nosić. Ja się stąd zmywam. Dla mnie to koniec.

- Myślisz, że jak się przeniesiesz do szkoły na drugim końcu kraju, będziesz mógł odrzucić kule? - spytał Skip. - Może zaczniesz biegać?

Byłem dość wstrząśnięty, ale Stoke się uśmiechnął. Naprawdę się uśmiechnął, promiennie i bez złości.

- Kule nie mają znaczenia. Życie jest za krótkie, żeby je marnować, oto co jest ważne. Tutejsi nie rozumieją, co się dzieje i nic ich to nie obchodzi. To szarzy ludzie. Przechodnie. W Orono kupno płyty Rolling Stonesów uchodzi za czyn rewolucyjny.

- Niektórzy się zmieniają - powiedziałem… ale nie mogłem zapomnieć o Nacie, który martwił się, że matka zobaczy jego zdjęcie i dlatego nie wziął udziału w demonstracji. Twarz w tle, twarz szarego chłopca będącego na najlepszej drodze do zostania dentystą.

Doktor Carbury zajrzał do separatki.

- Pora się zbierać, panowie. Pan Jones musi dużo wypoczywać.

Wstaliśmy.

- Kiedy przyjdzie dziekan Garretsen - powiedziałem - albo ten Ebersole…

- Powiem im, że cały dzień jest dla mnie tajemnicą - dokończył Stoke. - Carbury potwierdzi, że od października miałem zapalenie oskrzeli, a od Święta Dziękczynienia zapalenie płuc, więc będą musieli to kupić. Powiem, że nie mam pojęcia, co wtedy robiłem. Może rzuciłem kule w diabły i pobiłem rekordy w sprincie.

- Nie chcieliśmy ci ukraść tego znaku, wiesz? – odezwał się Skip. - Tylko go pożyczyliśmy.

Stoke zastanowił się nad tym, po czym westchnął.

- To nie mój znak.

- Nie - zgodziłem się. - Już nie. Na razie, Stoke. Jeszcze do ciebie zajrzymy.

- Nie spieszcie się - rzucił za nami i chyba wzięliśmy sobie jego słowa do serca, bo już go nie odwiedziliśmy. Parę razy natykałem się na niego w akademiku, ale nie za często. Miałem akurat zajęcia, kiedy Stoke wyjechał, nie zadając sobie trudu dotrwania do końca semestru. Zobaczyłem go dopiero dwadzieścia lat później, w dzienniku telewizyjnym, gdy przemawiał na demonstracji Greenpeace tuż po tym, jak Francuzi wysadzili „Rainbow Warrior" w 1984 lub 85. Od tego czasu często go widuję w telewizji. Zbiera pieniądze na ochronę przyrody, przemawia w akademikach, usadowiony w tym bajeranckim czerwonym fotelu inwalidzkim, broni działaczy ruchu ekologicznego, kiedy jest im to potrzebne. Nazywają go zielonym terrorystą i chyba mu się to podoba. Nadal ma tę urazę nosi w sercu całego świata. To dobrze. Jak powiedział, to wszystko, co ma.

Odezwał się, kiedy byliśmy już przy drzwiach.

- Hej?

Spojrzeliśmy na pociągłą białą twarz na białej poduszce i białym prześcieradle. Jedynym ciemniejszym kolorem była czerń dzikich włosów. Zarys nóg pod kołdrą znów przypomniał mi Wuja Sama na paradzie Czwartego Lipca. I znów pomyślałem, że wygląda, jakby zostały mu cztery miesiące życia. Ale do tego obrazka należało dodać jeszcze białe zęby, ponieważ Stoke się uśmiechał.

- Co hej? - spytał Skip.

- Tak się niepokoicie tym, co powiem Garretsenowi i Ebersole'owi… może mam manię prześladowczą, ale trudno mi uwierzyć, że wszystko to z troski o mnie. Czyżbyście postanowili trochę postudiować dla odmiany?

- A jeśli nawet, myślisz, że się nam uda?

- Może. Jest jedna rzecz, którą dobrze zapamiętałem. Bardzo wyraźnie.

Myślałem, że powie o naszym śmiechu - Skip później mi się przyznał, że też tak myślał - ale się pomyliłem.

- Sam wniosłeś mnie do pokoju - zwrócił się do Skipa. - Nie upuściłeś mnie.

- Byłoby trudno. Nie jesteś ciężki.

- A jednak… umieranie to jedno, ale nikt nie ma ochoty wylądować na podłodze. To upokarzające. Ponieważ mnie nie upuściłeś, dam ci dobrą radę. Zrezygnuj z zajęć sportowych, Kirk. Chyba że masz jakieś sportowe stypendium, bez którego sobie nie poradzisz.

- Dlaczego?

- Bo oni cię zmienią. Może zajmie im to dłużej niż zmiana Davida Dearborna w Złotko, ale tak się to skończy.

- Co możesz wiedzieć o sporcie? - spytał łagodnie Skip.

- Co możesz wiedzieć o współdziałaniu?

- Wiem, że nastały złe czasy dla chłopców w mundurach - odparł Stoke, opadł na poduszkę i zamknął oczy. I dobre czasy dla kobiet, jak powiedziała Carol. W 1966 roku dobrze było być kobietą.

Wróciliśmy do akademika i zabraliśmy się do nauki. W świetlicy Ronnie, Nick, Lennie i reszta polowali na Sukę. Po jakimś czasie Skip zamknął drzwi, żeby stłumić hałas, a kiedy nadal słyszeliśmy ich głosy, włączyłem mały adapterek Nate'a i puściłem Phila Ochsa. Ochs już nie żyje - jak moja matka i Michael Landon. Powiesił się na własnym pasku mniej więcej w czasie, gdy Stoke Jones stał się sławny jako działacz Greenpeace. Odsetek samobójstw pomiędzy ocalałymi Atlantydami jest dość wysoki. Chyba nic dziwnego; kiedy ziemia usuwa ci się spod nóg i ginie w falach, coś ci się robi w głowie.

41

Parę dni po wizycie u Stoke'a zadzwoniłem do matki i powiedziałem, że jeśli naprawdę mogą mi wysłać parę groszy, chętnie wynajmę sobie korepetytora. Nie zadawała zbyt wielu pytań, nie zrobiła mi awantury, a trzy dni później miałem już czek na trzysta dolarów. Dodałem do niego moją wygraną w kierki - ze zdumieniem przekonałem się, że nazbierało się tego osiemdziesiąt dolarów. Majątek.

Nigdy nie przyznałem się mamie, ale za te trzy setki wynająłem dwóch korepetytorów: studenta, który pomógł mi poznać tajemnice ruchów tektonicznych i kontynentalnych, oraz palącego trawkę chłopaka z King Hall, który pomógł Skipowi w antropologii (i chyba napisał za niego pracę, choć tego nie wiem na pewno). Ten drugi nazywał się Harvey Brundage i był pierwszą osobą, która w mojej obecności powiedziała „rany, człowieku, ale obciach".

Skip i ja poszliśmy do dziekana wydziału sztuk pięknych i nauk ścisłych - nie mieliśmy szans na porozumienie z Garretsenem, nie po tym listopadowym spotkaniu - i przedstawiliśmy mu sytuację, w jakiej się znaleźliśmy. Właściwie mu nie podlegaliśmy; jako studenci pierwszego roku nie mogliśmy sobie wybierać specjalizacji, ale dziekan Randle nas wysłuchał. Poradził, żebyśmy skontaktowali się z wykładowcami, wyjaśnili problem… i polegali na ich dobrym sercu.

Poszliśmy za jego radą, choć cierpieliśmy jak potępieńcy. Jednym z powodów, dla którego staliśmy się przyjaciółmi, były wpojone nam obu jankeskie zasady: prosić o pomoc tylko w ostateczności, a może nawet i wtedy nie. Przetrwaliśmy to tylko dzięki naszemu układowi. Kiedy Skip był ze swoimi nauczycielami, ja czekałem w korytarzu, odpalając jednego papierosa od drugiego. Kiedy przychodziła kolej na mnie, w korytarzu czekał on.

Wykładowcy okazali się o wiele bardziej ludzcy, niż można się było spodziewać; w większości stawali na głowach, żeby pomóc nam nie tylko zdać, ale zachować stypendium. Tylko nauczyciel matematyki był kompletnie niereformowalny, lecz tutaj Skip czuł się na tyle pewnie, że poradził sobie bez specjalnej pomocy. Wiele lat później zdałem sobie sprawę, że dla wielu wykładowców był to problem moralny. Nie chcieli znaleźć nazwisk swoich byłych studentów na liście poległych i zastanawiać się, czy nie jest to także ich wina. Dwója czy trója z minusem często decydowała o tym, czy chłopak widzi i słyszy, czy jest kaleką leżącym bez przytomności w jakimś polowym szpitalu.

42

Po jednym z tych spotkań, tuż przed zbliżającymi się egzaminami pod koniec semestru, Skip poszedł do Jaskini Niedźwiedzia na spotkanie z korepetytorem. Ja miałem robotę w Holyoke. Wreszcie ruchoma taśma stanęła, a ja wróciłem do akademika, by zabrać się do wkuwania. W korytarzu przystanąłem, sprawdziłem skrzynkę pocztową i znalazłem w niej różowe a wizo.

Paczka była opakowana w zwykły szary papier i obwiązana sznurkiem, za to upiększała ją gwiazdkowa naklejka z dzwoneczkami i ostrokrzewem. Na widok adresu zwrotnego zaparło mi dech w piersiach, jakbym niespodziewanie otrzymał cios w żołądek: Carol Gerber, 172 Broad Street, Harwich, Connecticut.

Nie dzwoniłem do niej, nie tylko dlatego że miałem pełne ręce roboty przy wkuwaniu. Aż do chwili gdy zobaczyłem jej imię na paczce, nie zdawałem sobie sprawy z prawdziwej przyczyny: byłem pewien, że wróciła do Smutnego Johna. Że noc, kiedy kochaliśmy się przy starych przebojach, jest już dla niej historią starożytną. Że ja nią jestem.

Phil Ochs śpiewał z głośnika adapteru Nate'a, ale sam Nate drzemał na łóżku z „Newsweekiem" na twarzy. Na pierwszej stronie figurowało zdjęcie generała Williama Westmorelanda. Usiadłem przy biurku, położyłem przed sobą paczkę, sięgnąłem do sznurka i zatrzymałem się. Palce mi drżały. Serca są twarde, powiedziała. Przeważnie się nie łamią. Przeważnie tylko się naginają. Oczywiście miała rację… ale moje serce bolało jak cholera, gdy tak patrzyłem na paczkę od niej; bolało jak jasna cholera. Phil Ochs śpiewał, aleja słyszałem starszą, słodszą muzykę. Słyszałem Plattersów.

Rozerwałem sznurek, zdarłem taśmę, rozwinąłem szary papier i wreszcie wyłuskałem z niego małe pudełko z białej tektury. Wewnątrz znajdował się prezent w glansowanym czerwonym papierze i z białą atłasową wstążeczką. Była też kwadratowa koperta zaadresowana znajomym charakterem pisma. Otworzyłem ją i wyjąłem kartkę z masą płatków śniegu i aniołów z cynfolii, dmących w pozłacane trąby. Otworzyłem ją, wypadł wycinek z gazety, który pofrunął na czerwoną paczuszkę. Pochodził z gazety „Harwich Journal". Na górnym marginesie Carol napisała: „Tym razem mi się udało - Purpurowe Serce! Nie martw się, 5 szwów na pogotowiu i poszłam do domu".

Nagłówek głosił: SZEŚCIORO RANNYCH, CZTERNAŚCIORO ARESZTOWANYCH. PROTEST POD BIUREM REKRUTACYJNYM ZMIENIA SIĘ W BIJATYKĘ. Fotografia zupełnie się różniła od tej pierwszej, gdzie nawet policjanci i robotnicy wyglądali dość spokojnie. Tu było pełno rozgorączkowanych i zdezorientowanych ludzi, których od spokoju dzieliły dwa tysiące lat świetlnych. Byli tam robotnicy w kaskach, z tatuażami na muskularnych ramionach i nienawistnymi grymasami; była długowłosa młodzież, spoglądająca na nich gniewnie i wyzywająco. Jeden z tych ostatnich wyciągał ręce do trzech gestykulujących robotników, jakby mówiąc: „Chcecie, to mnie weźcie". Pomiędzy dwoma grupami stali policjanci, spięci i rozdrażnieni.

Po lewej (Carol narysowała strzałkę, jakbym mógł jej nie dostrzec) zauważyłem znajomą kurtkę z napisem LICEUM HARWICH na plecach. Carol znowu miała odwróconą głowę, ale tym razem patrzyła prosto w obiektyw. Widziałem krew spływającą jej po policzku, o wiele wyraźniej, niżbym sobie życzył. Mogła rysować śmieszne strzałki i pisać lekkie komentarze, mnie to nie śmieszyło. To na jej twarzy to krew, nie syrop czekoladowy. Za ramię trzymał ją jakiś gliniarz. Dziewczyna na fotografii jakby nie zauważała ani jego, ani krwi (zakładając, że wtedy zdawała sobie sprawę, że krwawi). Dziewczyna z fotografii uśmiechała się do mnie. W jednej ręce trzymała transparent z napisem POWSTRZYMAĆ MORDERCĘ. Drugą wyciągała do obiektywu, z dwoma palcami ułożonymi w literę V. V jak victory, zwycięstwo, pomyślałem, ale oczywiście się myliłem. W roku 1969 V i pacyfka były nierozłączne, jak jajka i bekon.

Przejrzałem resztę artykułu, ale nie było w nim nic szczególnie interesującego. Demonstracja… kontrdemonstracja… epitety… kamienie… bójka… przybycie policji. Ton artykułu był podniosły i protekcjonalny zarazem. Przypomniał mi wystąpienie Ebersole'a i Garretsena na spotkaniu w sali telewizyjnej. Zawiedliście mnie, panowie. Wszyscy z wyjątkiem trzech aresztowanych zostali wypuszczeni tego samego dnia. Nie wymieniono ich nazwisk, więc prawdopodobnie żaden nie skończył dwudziestu jeden lat.

Krewna twarzy. A jednak się uśmiechała… triumfalnie, tak. Zdałem sobie sprawę, że Phil Ochs ciągle śpiewa - „musiałem zabić milion ludzi, a teraz chcą, żebym znowu zabijał" - i na ramiona wystąpiła mi gęsia skórka.

Wróciłem do kartki. Zawierała standardowy świąteczny wierszyk, jak wszystkie. Wesołych Świąt, obyś nie umarł w Nowym Roku. Rzuciłem na niego okiem. Na czystej stronie obok widniało pismo Carol. Zajmowało prawie całą wolną powierzchnię.

Drogi Numerze Szósty,

chciałam ci tylko życzyć najweselszych z wesołych świąt i powiedzieć, że u mnie wszystko w porządku. Nie wróciłam na studia, choć zapoznaję się z niektórymi szkołami (patrz załączony wycinek) i mam nadzieję, że jednak podejmę naukę, może w przyszłym roku na jesieni. Z mamą nie najlepiej, choć się stara, ale brat powoli dochodzi do siebie. Rionda też nam pomaga. Parę razy spotkałam się z Johnem, lecz to nie to samo. Przyszedł, żeby pooglądać telewizję i byliśmy jak obcy… a raczej jak starzy znajomi w pociągach, które jadą w przeciwnych kierunkach.

Tęsknię za tobą, Pete. Nasze pociągi też jadą w przeciwnych kierunkach, ale nigdy nie zapomnę chwil, które spędziliśmy razem. Były najsłodsze, najlepsze na świecie (zwłaszcza ostatnia noc). Możesz do mnie napisać, jeśli chcesz, jednak chyba mam nadzieję, że nie napiszesz. To by nie było dobre, dla żadnego z nas. Co nie znaczy, że przestałeś mnie obchodzić, wręcz przeciwnie.

Pamiętasz, jak pokazałam ci zdjęcie i opowiedziałam, jak mnie pobili? Jak zajął się mną Bobby? Miał taką książkę, dostał ją od tego faceta z góry. Twierdził, że to najlepsza książka, jaką kiedykolwiek czytał. W ustach jedenastolatka nie znaczy to wiele, lecz na ostatnim roku liceum zobaczyłam ją w bibliotece i przeczytałam, tak sobie, żeby sprawdzić, jaka jest. I uważam, że jest świetna. Nienajlepsza, jaką czytałam, ale świetna. Pomyślałam, że ci się spodoba. Powstała dwanaście lat temu, ale chyba mówi o Wietnamie. A nawet jeśli nie, pełno w niej informacji.

Kocham cię, Pete. Wesołych Świąt.

Carol PS Rzuć te głupie karty.

Przeczytałem to dwa razy, złożyłem starannie wycinek i włożyłem go na powrót do karty. Ręce ciągle mi się trzęsły. Pewnie gdzieś ją jeszcze mam… tak jak „Czerwona" Carol Gerber pewnie gdzieś przechowuje stare zdjęcie z przyjaciółmi. Jeśli nadal żyje, ma się rozumieć. Co nie jest takie pewne; wielu jej przyjaciół już umarło.

Otworzyłem paczkę. W środku - jaskrawo kontrastując z wesołym gwiazdkowym papierem i białą atłasową wstążeczką - leżał „Władca much". Autor - William Golding.

Jakoś mnie ta lektura ominęła do tej pory. W liceum wybrałem „Własny pokój", bo wydawał się trochę cieńszy.

Otworzyłem ją, spodziewając się jakiejś dedykacji. I była, choć nie taka, jak oczekiwałem. Zupełnie nie taka. Oto, co znalazłem na kartce tytułowej:

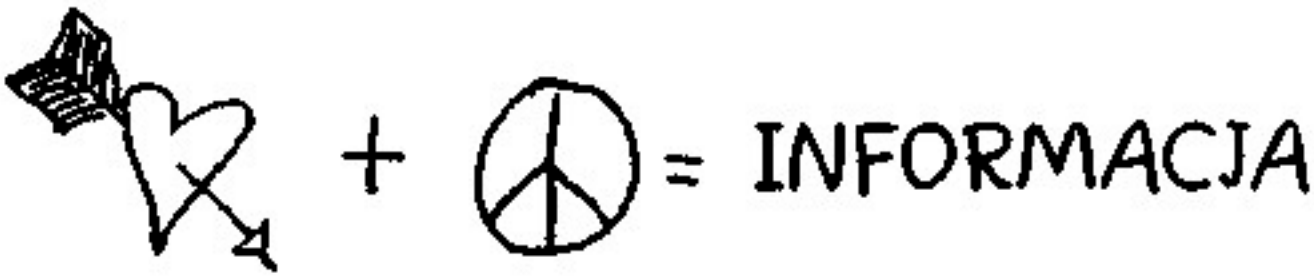

W oczach niespodziewane stanęły mi łzy. Zakryłem usta ręką, żeby zdławić szloch, który chciał się z nich wyrwać. Wolałem nie budzić Nate'a, żeby nie zobaczył moich łez. Ale płakałem, oj tak. Siedziałem przy biurku i płakałem nad sobą, nad nią, nad nami, nad nami wszystkimi. Chyba nigdy w życiu nie czułem takiego bólu jak wtedy. Serca są twarde, powiedziała, przeważnie się nie łamią i na pewno to prawda… ale co z tamtymi czasami? Co z tymi, którymi wówczas byliśmy? Co z sercami Atlantydów?

43

W każdym razie ja i Skip zdołaliśmy się uratować. Nadrobiliśmy materiał, jakoś się prześliznęliśmy przez egzaminy i w połowie stycznia wróciliśmy do Chamberlaina. Skip zdradził mi, że podczas ferii napisał do Johna Winkina, trenera baseballistów i powiedział, że jednak nie przyjedzie.

Nate oczywiście wrócił na drugie piętro. Zdumiewające, ale Lennie Doria też - co prawda warunkowo, ale zawsze. Natomiast jego krajan Tony DeLucca wyleciał. Podobnie jak Mark St. Pierre, Barry Margeaux, Nick Prouty, Brad Witherspoon, Harvey Twiller, Randy Echolls… i, naturalnie, Ronnie. W marcu dostaliśmy od niego kartkę. Nosiła stempel Lewiston i była zaadresowana do Chłopaków z Chamberlaina, drugie piętro. Przykleiliśmy ją w świetlicy, nad krzesłem, na którym Ronnie na ogół siadywał. Na odwrocie miała Alfreda E. Neumana, gwiazdę „Mad". Na drugiej stronie Ronnie napisał: „Wuj Sam wzywa, muszę iść.

Dżungla czeka, mam to w d. Co się będę przejmować. Skończyłem z 21 punkt., więc wygrałem". Podpisał się „Ron".

Straszneśmy się z tego obśmiali. Dla nas kochany synuś pani Malenfant miał pozostać Ronniem do grobowej deski, amen.

Stoke Jones vel Ciach-Ciach także zniknął. Przez jakiś czas o nim nie myślałem, aż jakieś półtora roku później stanęło mi przed oczami jego wspomnienie, ulotne, lecz wstrząsająco wyraźne. Siedziałem w więzieniu w Chicago. Nie wiem, ilu nas zgarnięto tego wieczora, gdy został wybrany Hubert Humphrey, ale było nas dużo i wielu odniosło rany. Rok później wydarzenie to uznano za zamieszki.

Wylądowałem w celi obliczonej na piętnastu, maksymalnie dwudziestu więźniów - z sześćdziesięcioma podgazowanymi, pobitymi, zmarnowanymi, naćpanymi, przepracowanymi i zakrwawionymi hipisami. Niektórzy palili jointy, inni płakali, rzygali, śpiewali protest songi (w przeciwległym kącie facet, którego nawet nie widziałem, wykonywał pijacką wersję „Nie chcę już maszerować"). Czułem się, jakby za karę wsadzono mnie na siłę do budki telefonicznej.

Przyciskałem się do krat, usiłując chronić kieszeń na piersiach (pall maile) i na tyłku („Władca much", do tego czasu już zaczytany na śmierć, bez połowy okładki i gubiący kartki), kiedy nagle przed oczami stanęła mi twarz Stoke'a Jonesa, jak bardzo ostra, kolorowa fotografia. Pojawiła się znikąd, być może wykrztusił ją z siebie jakiś uśpiony obwód pamięci, pobudzony do

życia za pomocą policyjnej pałki albo ożywczego podmuchu gazu łzawiącego. A wraz z nią napłynęło pytanie.

- Co, do kurwy nędzy, robił inwalida na drugim piętrze? - spytałem na głos.

Mały facecik z burzą złotych włosów - jak kurduplasty aniołek - obejrzał się na mnie. Twarz miał bladą i pryszczatą. Pod nosem i na policzku zakrzepła mu krew.

- Co?

- Co, do kurwy nędzy, robił inwalida na drugim piętrze akademika? Bez windy? Dlaczego nie przydzielili mu pokoju na parterze? - Potem przypomniałem sobie Stoke'a, prującego do Holyoke ze spuszczoną głową i włosami zasłaniającymi oczy, Stoke'a mamroczącego „ciach-ciach, ciach-ciach". Stoke'a chodzącego, jakby wszyscy byli przeciwko niemu. Dajcie mu procę, to spróbuje rozstrzelać całą ludzkość.

- Nie nadążam, człowieku. Co…

- Chyba że ich prosił - dodałem. - Chyba że wręcz tego zażądał.

- Bingo - zgodził się facecik z anielskimi włosami. - Masz jointa, człowieku? Chcę się najarać. Tu jest do dupy. Chcę do Hobbitonu.

44

Skip został artystą, na swój sposób sławnym. Nie takim, jak Norman Rockwell, nie można zobaczyć jego rzeźb na pocztówkach, ale miał masę wystaw - w Londynie, Rzymie, Nowym Jorku, w zeszłym roku w Paryżu - i ciągle się o nim mówi. Krytycy ciągle nazywają go nudziarzem, jednodniową sławą (niektórzy nazywają go jednodniową sławą od dwudziestu pięciu lat), trywialnym umysłem trafiającym w estetykę innych trywialnych umysłów. Inni chwalą go za uczciwość i energię. Ja zgadzam się z tymi drugimi, ale to chyba do przewidzenia; znamy się od dawna, razem uratowaliśmy się z tonącego kontynentu i pozostaliśmy przyjaciółmi. W pewien sposób Skip pozostał moim krajanem.

Niektórzy krytycy podkreślają, że jego dzieła często wyrażają wściekłość, tę samą wściekłość, jaką po raz pierwszy dostrzegłem w wietnamskiej rodzinie z *papier-mache,* która spłonęła w 1969 roku przed biblioteką uniwersytecką. No i racja. Racja, coś w tym jest. Niektóre rzeźby Skipa są śmieszne, inne smutne albo dziwne, ale przeważnie wyglądają, jakby były wściekłe, ci sztywni ludzie z masy papierowej, gliny i gipsu szepczą: zapal mnie, no zapal, to zacznę krzyczeć, że ciągle jest 1969, Mekong jest i zawsze będzie. „To gniew Stanleya Kirka nadaje jego pracom wartość", napisał pewien krytyk po' wystawie w Bostonie i podejrzewam, że jest to ten sam gniew, który przed dwoma miesiącami doprowadził go do zawału.

Zadzwoniła do mnie jego żona i powiedziała, że Skip chce się ze mną spotkać. Lekarze uważają, że to niezbyt poważny problem kardiologiczny, ale Kapitan się z nimi nie zgadza. Mój stary Kapitan Kirk twierdzi, że umiera.

Poleciałem na Palm Beach, a kiedy go zobaczyłem - biała twarz pod prawie białymi włosami na białej poduszce - nawiedziło mnie mgliste wspomnienie, którego nie mogłem początkowo rozszyfrować.

- Myślisz o Jonesie - odezwał się Skip chrypliwie i oczywiście miał rację. Uśmiechnąłem się, a jednocześnie zimny palec przejechał mi po kręgosłupie. Czasami pewne rzeczy do ciebie wracają. Tak bywa. Po prostu wracają.

Podszedłem i usiadłem obok niego.

- Nieźle, mistrzu.

- Proste. Znowu się powtarza ten dzień w szpitalu, tylko że Carbury już pewnie nie żyje, a tym razem to ja mam kroplówkę w ręce. - Podniósł tę swoją utalentowaną dłoń, pokazał mi przewód, położył ją na kołdrze. - Ale chyba jednak nie umrę, Na razie.

- Dobrze.

- Palisz?

- Rzuciłem. W zeszłym roku.

Skinął głową.

- Moja żona grozi, że się ze mną rozwiedzie, jeśli też nie rzucę… więc pewnie rzucę.

- To straszny nałóg.

- Najgorszym nałogiem jest życie.

- Te mądrości zachowaj dla „Readers Digest".

Roześmiał się i spytał, czy Natie się do mnie odzywał.

- Na gwiazdkę dostałem od niego kartkę, jak zwykle. Z fotografią.

- Sukinsyn! - Skip był w siódmym niebie. - Jego gabinet?

- Tak. W tym roku był też żłóbek. Wszyscy trzej królowie wyglądali, jakby mieli problemy z zębami.

Spojrzeliśmy na siebie i zaczęliśmy się śmiać. Ale Skip się rozkaszlał, zanim zdołał się rozkręcić na całego. Całkiem jak Stoke - przez chwilę nawet wyglądał jak Stoke - i znów po plecach przebiegł mi dreszcz. Gdyby Stoke nie żył, byłbym pewien, że wcielił się w Skipa, ale Stoke żył i dobrze się miewał. Na swój sposób sprzedał się tak samo jak każdy emerytowany hipis, który od handlu kokainą przeszedł do handlu używanymi samochodami. Uwielbia popularność, może nie? Podczas procesu O. J. Simpsona w telewizji było go pełno. Kolejny sęp krążący nad padliną.

Ale Carol się nie sprzedała, Carol i jej przyjaciele. A ci studenci wydziału chemii, którzy zginęli od ich bomby? To był wypadek, wierzę w to całym sercem - Carol Gerber, którą znałem, nie wierzyła w przemoc. Carol, którą znałem, wiedziałaby, że to kolejny chory sposób myślenia typu „należało zniszczyć wioskę, żeby ją uratować". Ale czy rodziny tych studentów kupią tekst: to była pomyłka, bomba wybuchła nie wtedy, kiedy miała wybuchnąć, przepraszamy? Myślicie, że matki, ojcowie, bracia, siostry, przyjaciele i kochankowie się zastanawiają, kto się sprzedał, a kto nie? Myślicie, że to ważne dla ludzi, którzy zbierają to, co zostało i żyją dalej? Serce można

złamać. Tak. Można. Czasem wydaje mi się, że lepiej by było, gdybyśmy umarli razem z nimi, ale stało się inaczej.

Skip usiłował złapać oddech. Monitor przy jego łóżku wydawał bardzo niepokojące piski. Pielęgniarka zajrzała do pokoju, lecz Skip odprawił ją machnięciem ręki. Piski wróciły do normy, więc wyszła. A kiedy wyszła, Skip spytał:

- Dlaczego wtedy tak się z niego śmialiśmy? Nigdy nie przestałem sobie zadawać tego pytania.

- Ja też.

- Więc dlaczego? Jak brzmi odpowiedź?

- Bo jesteśmy ludźmi. W czasach Woodstock przez chwilę wydawało nam się, że jesteśmy kimś innym, ale to nieprawda.

- Myśleliśmy, że jesteśmy gwiezdnym pyłem - dodał Skip. Prawie zupełnie poważnie.

- Myśleliśmy, że jesteśmy cudem - dodałem ze śmiechem. - I że zdołamy wrócić do Edenu.

- Chodź, hipisie - powiedział Skip. Pochyliłem się nad nim i zobaczyłem, że mój stary kumpel, który przechytrzył Złotko, Ebersole'a i dziekana, który chodził i błagał nauczycieli, żeby mu pomogli, który nauczył mnie pić piwo z kufla i mówić „kurwa" na kilkanaście sposobów, że ten oto stary kumpel płacze. Wyciągnął do mnie ręce. Przez lata trochę schudły i mięśnie na nich wisiały, zamiast sterczeć. Pochyliłem się i uścisnąłem go mocno.

- Próbowaliśmy - szepnął mi do ucha. - Nie zapominaj o tym, Pete. Próbowaliśmy.

Chyba tak. Na swój sposób Carol próbowała bardziej niż my i zapłaciła wyższą cenę… nie licząc tych, którzy zginęli. I choć zapomnieliśmy już języka, jakim wtedy mówiliśmy - zginął tak samo, jak spodnie dzwony, ręcznie farbowane spódnice, kurtki Nehru i hasła ZABIJANIE DLA POKOJU JEST JAK PIEPRZENIE SIĘ DLA CNOTY czasami przypomina się nam parę słów. To znaczy informacji.

I czasami, we snach i wspomnieniach (im starszy się staję, tym trudniej mi je rozróżnić), czuję zapach miejsca, w którym z taką łatwością posługiwałem się zaginionym językiem: opary wilgotnej ziemi, aromat pomarańczy i rozwiewającą się woń kwiatów.

1983: Bóg spłać nam wszystkim.

Ślepy Willie

6.15

Budzi się przy muzyce, zawsze przy muzyce; przenikliwe piii-piii-pii budzika to dla niego zbyt wiele w tych pierwszych mglistych chwilach dnia. Jak pisk hamulców. Ale o tej porze roku nawet radio jest do chrzanu; w tych sentymentalnych rozgłośniach, których słucha, puszczają od cholery kolęd, a piosenka, która go dzisiaj obudziła, zajmuje drugie lub trzecie miejsce na jego prywatnej liście najbardziej znienawidzonych knotów, gdyż pełno w niej niebosiężnych tonów i fałszywej radości. Czy słyszysz to, co ja słyszę, pytają głosy, gdy on siada na łóżku, mrugając nieprzytomny, z włosami sterczącymi we wszystkich kierunkach. Czy widzisz to, co ja widzę, śpiewają tamci, gdy on stawia stopy na lodowatej podłodze, krzywiąc się, pędzi do radia i na odlew wali w przycisk budzika. Sharon przybrała swą zwykłą pozę obronną - poduszka na głowie, wszystko inne pod kołdrą, z wyjątkiem jednego śmietankowego ramienia, ramiączka koronkowej koszuli i pukla jasnych włosów.

On idzie do łazienki, zamyka drzwi, ściąga spodnie od piżamy, rzuca je do kosza na brudy, włącza golarkę. Jeżdżąc nią po twarzy, myśli: dlaczego nie przelecicie reszty zmysłów, chłopaki? Czy czujesz, co ja czuję, czy wąchasz, co ja wącham, czy smakujesz, co ja smakuję, hop siup, tra-lalala.

- Mistyfikacja - mamrocze, włączając prysznic. - Wszystko mistyfikacja.

Dwadzieścia minut później, kiedy się ubiera (dziś jest to grafitowy garnitur od Paula Stuarta plus ulubiony krawat), Sharon nieco przytomnieje, choć nie na tyle, żeby ją całkowicie zrozumiał.

- Słucham? O ponczu usłyszałem, ale reszta brzmiała jak mmmm-mmmm.

- W drodze do domu kup ze dwa litry ponczu. Dziś przyjdą Allenowie i Dubrayowie, pamiętasz?

- Święta - mówi on, wnikliwie przyglądając się przed lustrem swojej fryzurze. Nie wygląda już jak wściekły dziki człowiek, który pięć, czasami sześć razy w tygodniu podrywa się ze snu przy dźwiękach muzyki. Teraz przypomina tych wszystkich ludzi, którzy razem z nim pojadą o siódmej czterdzieści do Nowego Jorku, i dokładnie o to mu chodzi.

- Co święta? - pyta ona z zaspanym uśmiechem. - Mistyfikacja, tak?

- Tak.

- Bądź tak miły i kup cynamon.

- Dobrze.

- …ale jeśli zapomnisz o ponczu, uduszę cię gołymi rękami, Bill.

- Nie zapomnę.

- Wiem. Jesteś bardzo odpowiedzialny. I ładnie wyglądasz.

- Dziękuję.

Ona pada na łóżko, ale po chwili dźwiga się na łokciu; on po raz ostatni poprawia krawat, który ma kolor ciemnego błękitu. Nigdy w życiu nie nosił czerwonego krawata i ma nadzieję, że ta zaraza go ominie.

- Mam złotko, tak jak prosiłeś.

- Hm?

- Złotko. Jest na stole w kuchni.

- Ach! - Teraz sobie przypomniał. - Dziękuję.

- Proszę. - Sharon osuwa się w pościel i zaczyna odpływać. Nie zazdrości jej, że może zostać w łóżku do dziewiątej - nawet do jedenastej, jeśli jej się zechce - ale nie może jej darować umiejętności budzenia się, rozmawiania i ponownego zasypiania. On też tak potrafił, w buszu - jak większość chłopaków - ale to było dawno i nieprawda. „Na wojnie" mówią tylko nowi i korespondenci. Dla tych, którzy byli tam przez jakiś czas, to po prostu busz albo zarośla.

Tak, zarośla.

Sharon mówi coś jeszcze, ale znowu brzmi to jak mmmmmm. On wie, że to to samo co zwykle: miłego dnia, skarbie.

- Dzięki - mówi, całując ją w policzek. - Tak będzie.

- Bardzo ładnie wyglądasz - mamrocze ona, choć ma zamknięte oczy. - Kocham cię, Bill.

- Też cię kocham - odpowiada i wychodzi.

Aktówka - firmy Mark Cross, nie całkiem z tych najlepszych, ale prawie - stoi w korytarzu, przy wieszaku z jego płaszczem (od Tagera na Madison). Po drodze podnosi ją i idzie do kuchni. Kawa już gotowa - Bóg zapłać ekspresowi - więc nalewa sobie filiżankę. Otwiera aktówkę, która jest zupełnie pusta i podnosi rolkę złotej taśmy. Trzyma ją przez chwilę w powietrzu, patrzy, jak się iskrzy w jarzeniowym świetle, po czym chowa ją z powrotem.

- Czy słyszysz to, co ja słyszę - mówi w pustkę i zatrzaskuje zamki.

8.15

Za brudnym oknem po lewej stronie nadpełza miasto. Przez szary osad wydaje się jakąś plugawą, gargantuiczną ruiną - jak wymarła Atlantyda, która dopiero co wynurzyła się z morza, spoglądająca martwo w szare niebo. Dzień znów dławi się śniegiem, ale jego to nie martwi; do gwiazdki zostało osiem dni, interesy pójdą dobrze.

Wagon śmierdzi poranną kawą, porannym dezodorantem, poranną wodą po goleniu, porannymi perfumami i porannym trawieniem. Niemal wszędzie widać krawaty - w tych czasach noszą je nawet niektóre kobiety. Twarze obrzmiałe, jak zwykle o ósmej, oczy spoglądające do wewnątrz, lecz zarazem bezbronne, rozmowy niemrawe. To godzina, o której nawet abstynenci wyglądają, jakby mieli kaca. Przeważnie siedzą z nosami w gazecie. Czemu nie? Reagan jest królem Ameryki, akcje na giełdzie zwyżkują, kara śmierci wróciła do łask. Życie jest słodkie.

On sam ma przed sobą krzyżówkę z „Timesa" i choć zapisał już parę kwadracików, to raczej jest to mechanizm obronny. Nie lubi rozmawiać z ludźmi w pociągu, w ogóle nie lubi rozmów o niczym i ostatnie, czego mu potrzeba, to gadatliwy towarzysz podróży. Kiedy twarze stają się znajome, a ludzie zaczynają się z nim witać i rzucają mu parę zdań, idąc na swoje miejsce, pora zmienić wagon. Zachowanie anonimowości nie jest aż takie trudne. Jeszcze jeden facet, dojeżdżający z przedmieści Connecticut, rzucający się w oczy jedynie dzięki niezłomnej niechęci do czerwonych krawatów. Może niegdyś chodził do szkoły parafialnej, może zdarzyło mu się przytrzymywać małą płaczącą dziewczynkę, podczas gdy jego kumpel bił ją kijem do baseballu, a może spędził trochę czasu w buszu. Nikt w tym wagonie nie musi o tym wiedzieć. To właśnie jest fajne w pociągach.

- Wszystko gotowe do świąt? - pyta go jakiś facet w przejściu.

On podnosi głowę, niemal z grymasem, po czym dochodzi do wniosku, że jest to uwaga bez znaczenia, rzucona dla zabicia czasu. Facet jest gruby i bez wątpienia do południa zacznie śmierdzieć, chociażby wysmarował się kilogramem speed sticka… ale prawie nie patrzy na Billa, więc wszystko w porządku.

- Tak jakby - odpowiada ze wzrokiem wbitym w aktówkę stojącą na podłodze, zawierającą złotko i nic więcej. - Zaczynam się wczuwać w nastrój, z każdym dniem bardziej.

8.40

Wysiada na dworcu Grand Central wraz z tysiącem innych okutanych w płaszcze mężczyzn i kobiet, głównie urzędników średniego stopnia; aksamitne szczury, które do południa będą już na całego pędzić w swoich kołowrotkach. Stoi przez chwilę, głęboko wdychając zimne szare powietrze. Cała Lexington Avenue skrzy się lampkami, a niedaleko święty Mikołaj o wyraźnie portorykańskich rysach potrząsa dzwonkiem. Obok niego stoi garnek na datki. POMÓŻCIE W TE ŚWIĘTA BEZDOMNEMU, głosi napis, a mężczyzna w niebieskim krawacie myśli: a może by tak parę słów prawdy, Mikołaju? Może by tak napisać: POMÓŻCIE W TE ŚWIĘTA NARKOMANOWI? Mimo to, przechodząc obok Mikołaja, rzuca parę groszy do garnka. Ma wrażenie, że to będzie dobry dzień. I dobrze, że Sharon przypomniała mu o złotku - na pewno by go zapomniał. Zawsze zapomina o takich sprawach.

Po dziesięciu minutach staje przed budynkiem. Przed drzwiami kolebie się czarny chłopak, może siedemnastoletni, w czarnych dżinsach i brudnej czerwonej bluzie z kapturem. Z ust buchają mu kłęby pary, a on uśmiecha się często, błyskając złotym zębem. Trzyma styropianowy kubek, który wygląda, jakby go ktoś pogryzł. Ma w nim drobne pieniądze, brzęczące przy każdym ruchu.

- Możpan rzuci pargroszy? - mówi do ludzi zmierzających ku obrotowym drzwiom. - Może pani? Nie mam na chleb. Dzięki, Bógspłać, wesołych świąt. Możpan? Możpani? Dyszkę? Dzięki. Możpani?

Bill rzuca mu do kubka dwanaście centów.

- Dzięki, Bógspłać, wesołych świąt.

- I wzajemnie.

Kobieta obok niego patrzy, marszcząc brwi.

- Niech ich pan nie zachęca.

On wzrusza ramionami i uśmiecha się z zażenowaniem.

- W święta trudno mi odmawiać.

Wchodzi do holu wraz z tłumem innych, ogląda się na tę bezlitosną sukę, która oddala się do kiosku, po czym idzie do wind ze staromodnymi wskaźnikami pięter i przyciskami w stylu art deco. Tu parę osób kiwa mu głową, a on zamienia z nimi kilka słów - to już nie pociąg, gdzie

można się przesiąść do innego wagonu. Poza tym budynek jest stary, windy jadą powoli i lubią się zacinać.

- Cześć, Bill, jak żona? - pyta chudy, wiecznie uśmiechnięty facecik z czwartego piętra.

- Carol? Doskonale.

- A dzieci?

- Oboje w porządku. - Nie ma dzieci, a jego żona nie nazywa się Carol. Jego żoną jest niegdysiejsza Sharon Anne Donahue z liceum parafialnego, które ukończyła w 1964 roku, ale tego ten chudy wyszczerzony nie musi już wiedzieć.

- Pewnie nie mogą się doczekać - mówi chudy.

Jego usta rozciągają się w przerażającym uśmiechu. Według Billa Shearmana wygląda jak śmierć z kreskówki, wielkie oczy, wyszczerzone zęby i napięta lśniąca skóra. Ten uśmiech przypomina mu Tam Boi, dolinę A Shau. Chłopaki z drugiego batalionu weszli jak królowie świata, a wyszli jak uciekinierzy z piekła, z takimi samymi oczami i zębami. Parę dni później, w Dong Ha, gdzie się spotkali, ciągle tak wyglądali.

- Zdecydowanie - mówi. - Ale Sarah zaczyna mieć podejrzenia co do tego gościa w czerwonym ubranku. – Czemu ta winda się tak wlecze, myśli, Jezu, szybciej, uratuj mnie od tych idiotyzmów.

- Tak, tak, tak to bywa - potwierdza chudy. Uśmiech na chwilę blednie, jakby mówili o raku, nie o świętym Mikołaju. - Ile lat ma Sarah?

- Osiem.

- A wydaje się, jakby się urodziła rok czy dwa temu. Rany, jak ten czas leci, kiedy nic się nie dzieje, no nie?

- Święta racja - zgadza się, zgrzytając zębami. W tej samej chwili jedna z czterech wind wreszcie rozdziawia paszczę i wszyscy znikają w niej jak kierdel owiec.

W korytarzu czwartego piętra Bill rozmawia jeszcze przez chwilę z chudym, po czym chudy zatrzymuje się przed staroświeckimi podwójnymi drzwiami z napisem FUNDUSZ UBEZPIECZENIOWY na jednej tafli mrożonego szklą i RADCA PRAWNY na drugiej. Zza drzwi dobiega stłumiony klekot klawiszy komputera i nieco głośniejsze dzwonki telefonów.

- Miłego dnia, Bill.

- Wzajemnie.

Chudy znika w gabinecie; oczom Billa ukazuje się przelotnie wielki wieniec na ścianie. A okna są ozdobione śniegiem w sprayu. Na ten widok wzdryga się i myśli: Niech nas Bóg broni, wszystkich.

9.05

Jego gabinet - jeden z dwóch, który ma w tym budynku - znajduje się na końcu korytarza. Obok niego są dwa inne, ciemne i opuszczone. Jest tak od pół roku, co mu bardzo odpowiada. Na tafli mrożonego szkła widnieją słowa: ANALITYK STANÓW ZACHODNICH. W drzwiach trzy zamki; jeden już tu był, kiedy Bill się wprowadził, dwa inne sam zainstalował. Wchodzi, zamyka drzwi, potem zamek i zasuwę.

Na środku pokoju stoi biurko, pełne dokumentów, które nic nie znaczą. W oknach zwykle zasłony. Co jakiś czas wyrzuca je i przynosi nowe. Na środku biurka stoi telefon, z którego od czasu do czasu telefonuje do byle kogo, żeby firma telekomunikacyjna nie zorientowała się, iż linia jest nieużywana. W zeszłym roku nabył drukarkę, która obecnie stoi w kącie przy drzwiach do drugiego pomieszczenia. Wygląda bardzo efektownie, ale nie włączył jej ani razu.

- Czy słyszysz, co ja słyszę, czy czujesz, co ja czuję, czy smakujesz, co ja smakuję - mamrocze Bill, zbliżając się do drugiego pomieszczenia. Znajdują się w nim półki pełne fałszywych dokumentów, dwie szafki z aktami (na jednej walkman, jego alibi w nielicznych wypadkach, gdy ktoś puka do zamkniętych drzwi i nie otrzymuje odpowiedzi), krzesło i drabinka.

Bierze drabinkę, wraca z nią do głównego pomieszczenia i stawia na lewo od biurka. Kładzie na niej aktówkę. Potem wchodzi po schodkach, wyciąga ręce (poły płaszcza falują i uderzają go po nogach) i ostrożnie odsuwa panel podwieszanego sufitu.

Zza niego wyłania się mroczne pomieszczenie. Nie ma tam kurzu, przynajmniej nie w pobliżu, nie ma też szczurzych odchodów - raz na miesiąc Bill rozkłada trutki. Oczywiście zależy mu na wyglądzie ubrania, ale nie to jest najważniejsze. Najważniejszy jest szacunek do pracy i miejsca pracy. Dowiedział się tego w wojsku, podczas pobytu w buszu, i czasami wydaje mu się, że to najważniejsze, czego się nauczył w całym życiu. A jeszcze ważniejsze jest to, że tylko pokuta może zastąpić wyznanie winy i tylko pokuta określa twoją tożsamość. Dowiedział się tego w 1960 roku, jako czternastolatek. Był to ostatni rok, kiedy mógł wejść do konfesjonału, powiedzieć: „Pobłogosław mnie, ojcze, bo zgrzeszyłem” i wyznać wszystko.

Pokuta jest bardzo ważna.

Nad tym ciasnym pomieszczeniem (w którym czuć dziwny przeciąg, niosący zapach kurzu i jęk wind) znajduje się piąte piętro, a dalej mamy kwadratowe drzwiczki. Bill sam je zainstalował; ma smykałkę do majsterkowania, co Sharon bardzo podziwia.

Otwiera drzwiczki - z zewnątrz wpada słabe światło - i chwyta aktówkę. Akurat, gdy wystawia głowę na zewnątrz, w przestrzeni pomiędzy piętrami, w grubej rurze kanalizacyjnej szumi spuszczana woda. Za godzinę, kiedy pracownicy zrobią sobie przerwę na kawę, ten dźwięk będzie się rozlegał bez ustanku, monotonnie i rytmicznie jak szum fal. Bill prawie go nie słyszy, przyzwyczaił się.

Ostrożnie staje na najwyższym schodku drabinki i gramoli się do gabinetu na piątym piętrze. Billa zostawia na czwartym. Tutaj znowu jest Williem, tak jak w liceum. Tak jak w Wietnamie, gdzie nazywał się Willie Baseball.

Ten wyższy gabinet przypomina raczej warsztat, pełen motorów i innych takich, ustawionych porządnie na metalowych półkach. Ale to prawdziwy gabinet; jest tu maszyna do pisania, dyktafon, segregator pełen dokumentów (oraz ozdoba na okno, którą zmienia zależnie od pory roku), a także katalogi. Mnóstwo katalogów.

Na ścianie wisi obraz Normana Rockwella, przedstawiający rodzinę pogrążoną w modlitwie nad obiadem w dniu Święta Dziękczynienia. Za biurkiem widnieje oprawione w ramki zdjęcie Williego w pierwszym mundurze porucznika (zrobione w Sajgonie na krótko przed tym, nim dostał Srebrną Gwiazdę za akcję na miejscu katastrofy helikoptera w Dong Ha), a obok kopia honorowego dyplomu, także w ramkach. Na arkuszu widnieje nazwisko Williama Shearmana, a następnie wymienione są jego ordery. Podczas akcji uratował życie Sullivanowi. Tak jest napisane w dyplomie załączonym do Srebrnej Gwiazdy, tak mówią ci, którzy przeżyli pod Dong Ha, a co najważniejsze, tak twierdzi również Sullivan. Były to jego pierwsze słowa, gdy wylądowali razem w szpitalu w San Francisco: człowieku, uratowałeś mi życie. Willie siedzący przy łóżku Sullivana, Willie z obandażowaną ręką i maścią wokół oczu, ale w doskonałym stanie, o tak, to Sullivan ucierpiał, nie on. W tym samym dniu fotoreporter zrobił im zdjęcie, które pojawiło się w gazetach w całym kraju… w tym także w „Harwich Journal".

Wziął mnie za rękę, myśli Willie, stojąc w gabinecie na piątym piętrze (Bill Shearman został na czwartym). Nad zdjęciem i dyplomem w ramkach wisi plakat z lat sześćdziesiątych. Ten plakat, bez ramek i pożółkły na brzegach, przedstawia pacyfkę. Poniżej widnieje napis, czerwononie-biesko-biały: ŚLAD KURZEGO MÓŻDŻKU.

Wziął mnie za rękę, myśli. Tak, Sullivan to zrobił, a Willie omal nie zerwał się na równe nogi i nie uciekł z krzykiem. Był pewien, że Sullivan powie: wiem, co zrobiłeś, ty, Doolin i O'Meara. Myślałeś, że mi nie powie?

Ale Sullivan nie powiedział nic podobnego. Oznajmił, co następuje: „Uratowałeś mi życie, człowieku. Cholera, jakie mieliśmy szanse? A tak się baliśmy chłopaków od Świętego Gabriela". A kiedy to powiedział, Willie zyskał pewność, że nie miał pojęcia, co Doolin, O'Meara i on zrobili Carol Gerber. Jednak świadomość bezpieczeństwa nie przyniosła mu ulgi. Żadnej. Uśmiechnął się, uścisnął dłoń

Sullivana i pomyślał: „Miałeś powody się bać, Sullivan. Miałeś powody".

Willie odstawia aktówkę Billa na biurko, potem kładzie się na brzuchu. Wsadza głowę w pełną przeciągów, śmierdzącą smarem czerń pomiędzy podłogami i wkłada na miejsce panel sufitu. Umieszcza go starannie, choć nie spodziewa się gości (nigdy ich nie ma; Analityk Stanów Zachodnich nie miał ani jednego klienta), ale lepiej uważać. Lepiej uważać, niż żałować.

Uporządkowawszy sprawy piątego piętra, zamyka wejście do gabinetu. Drzwi zapadni są ukryte pod dywanikiem, który jest przyklejony do podłogi, tak że można go podnosić i opuszczać, nie robiąc przy tym hałasu.

Willie wstaje, otrzepuje dłonie, wraca do aktówki i otwierają. Wyjmuje złotko i kładzie je na dyktafonie, który leży na biurku.

- Dobre - mówi i znów myśli, że Sharon potrafi być słodka, kiedy chce… a chce dość często. Otwiera aktówkę i zaczyna się rozbierać, ostrożnie i metodycznie, odwracając proces, przez który przeszedł o wpół do siódmej, jakby cofał film. Zdejmuje wszystko, nawet majtki i czarne skarpetki do kolan. Nagi wiesza płaszcz, marynarkę i koszulę w szafie, w której znajduje się tylko gruba czerwona kurtka, nie aż tak ciepła, by zasługiwała na miano parki. Poniżej znajduje się coś pudełkowatego, trochę zbyt pękatego, by zasłużyć na miano aktówki. Willi stawia obok swego Marka Crossa, wiesza spodnie na specjalnym wieszaku, starannie je składając, tak by zachować kanty. Krawat wędruje na uchwyt przyśrubowany do drzwi, gdzie wisi sobie samotnie jak niebieski język.

Idzie, bosy i goły, do katalogów. Na szafce stoi popielniczka ozdobiona orłem, który wygląda, jakby był cholernie wkurzony, oraz słowami JEŚLI ZGINĘ NA POLU CHWAŁY. W popielniczce leżą dwa wojskowe identyfikatory na łańcuszku, Willie wkłada je, po czym otwiera szufladę. Wewnątrz spoczywa bielizna. Na szczycie sterty leżą ładnie złożone bokserki khaki.

Nakłada je. Dalej białe sportowe skarpetki i biały bawełniany podkoszulek - taki z rękawami. Pod materiałem wyraźnie rysują się identyfikatory, a także mięśnie. To już nie to, co w A Shau i Dong Ha, ale i tak nieźle jak na faceta pod czterdziestkę.

Teraz, zanim skończy się ubierać, nadchodzi pora pokuty.

Podchodzi do drugiej szafki i wysuwa szufladę. Szybko przegląda akta, mija te z ostatnich miesięcy 1982 roku, przesuwa kciukiem po późniejszych: stycz. - kwieć, maj - czerw., lipiec, sierpień (w lecie zawsze czuje potrzebę, by pisać więcej), wrz. - paźdz. I wreszcie aktualną teczkę: listopad - grud. Siada przy biurku, otwiera teczkę i szybko wertuje gęsto zapisane kartki. Forma zmienia się nieznacznie, ale treść pozostaje ta sama: serdecznie przepraszam.

Tego ranka pisze zaledwie przez dziesięć minut. Pióro skrzypi pracowicie, a on trzyma się najważniejszego: serdecznie przepraszam. Napisał to, tak mu się wydaje, ponad dwa miliony razy… ale to dopiero początek. Spowiedź potrwałaby krócej, lecz on woli dłuższy sposób.

Kończy - nie tak naprawdę, ale na ten dzień - odkłada teczkę pomiędzy te, które już zapełnił, i te, które dopiero czekają na zapełnienie. Wraca do szafki służącej mu za bieliźniarkę, otwiera szufladę, w której przechowuje skarpetki i szorty, i zaczyna podśpiewywać pod nosem - nie „Czy słyszysz, co ja słyszę", ale piosenkę Doorsów, o tym, że dzień niszczy noc, a noc dzieli dzień.

Wkłada niebieską płócienną koszulę i wojskowe spodnie. Środkowa szuflada wraca na miejsce, górna się wysuwa. Tu czeka album pamiątkowy i para wysokich butów. Willie wyjmuje notes i przez chwilę spogląda na okładkę z czerwonej skóry. Złote litery układają się w słowo WSPOMNIENIA. Tandeta. Mógł sobie pozwolić na lepszą, ale nie zawsze ma się prawo do tego, na co można sobie pozwolić.

W lecie pisze więcej przeprosin, ale wspomnienia śpią. W zimie, zwłaszcza zaś w okolicach świąt, wspomnienia się budzą, a on ma ochotę zajrzeć do albumu, a tam czeka mnóstwo wycinków z gazet i fotografii, na których wszyscy wyglądają niemożliwie młodo.

Dziś odkłada album do szuflady, nie zajrzawszy do niego, i wyjmuje buty. Są wypolerowane na wysoki połysk i wyglądają na niezniszczalne, jakby miały dotrwać do dnia Sądu Ostatecznego. Może nawet go przetrwać. Nie pochodzą z wojskowych magazynów, nic z tych rzeczy, ale to dobrze. Willie nie chce naśladować ubiorem żołnierzy. Gdyby chciał się ubierać jak oni, zrobiłby to. Ale nie ma też powodu, żeby wyglądać niedbale, tak jak nie ma powodu, by nie sprzątać przejścia pomiędzy biurami, więc zawsze bardzo uważa na swój strój.

Oczywiście nie wpuszcza nogawek spodni w cholewy butów - wybiera się na Piątą Aleją, nie do Mekongu, więc węże i robactwo nie stanowią problemu. Dobry wygląd jest dla niego równie ważny jak dla Billa, może nawet ważniejszy. Szacunek do pracy i miejsca pracy zaczyna się od szacunku do siebie samego.

Ostatnie dwa przedmioty znajdują się w dolnej szufladzie: tubka podkładu i słoiczek żelu do włosów. Wyciska trochę podkładu na lewą dłoń, po czym zaczyna go nanosić, od czoła do karku. Jego ręka porusza się ze spokojną pewnością fachowca, wyczarowując średnią opaleniznę. Uporawszy się z tym zadaniem, Willie wgniata żel we włosy i za-czesuje je inaczej, odgarniając z czoła. To ostatni szczegół, najdrobniejszy i chyba najwymowniejszy. Po facecie, który wysiadł na Grand Central, nie został ślad; mężczyzna w lustrze na drzwiach małego pomieszczenie wygląda jak podupadły najemnik. W tej opalonej twarzy jest jakaś milcząca, upokorzona duma, wyraz, którego ludzie nie potrafią znieść. Czują ból, jeśli się mu przyglądają. Willie o tym wie. Nie pyta, dlaczego tak jest. Dobrze sobie radzi w życiu bez żadnych pytań i nie chce tego zmieniać.

- Bardzo dobrze - mówi, zamykając drzwi mniejszego pomieszczenia. - Dobrze wyglądasz, żołnierzu.

Idzie do szafy po czerwoną marynarkę, którą można nosić po odwróceniu na lewą stronę, oraz po pękatą walizkę. Wiesza marynarkę na oparciu krzesła i stawia walizkę na biurku. Otwierają, unosi wieko, zawieszone na mocnych zawiasach; teraz wygląda trochę jak walizki, w których uliczni sprzedawcy demonstrują superwytrzymałe zegarki i złote łańcuszki wątpliwego pochodzenia. Ale w walizce Williego znajduje się niewiele przedmiotów; jeden został złamany na pół, żeby się zmieścił. Jest tu tabliczka. Jest para ciepłych rękawiczek; a także trzecia rękawica, którą nosił w ciepłe dni. Wyjmuje ciepłe rękawiczki (dziś mu są potrzebne, nie ma wątpliwości) oraz tabliczkę z mocnym sznurkiem, tak że może ją powiesić na szyi. Znów zamyka walizkę, nie zadając sobie trudu, by zatrzasnąć zamki i kładzie tabliczkę na niej - na biurku panuje taki ścisk, że tylko tu może pracować.

Podśpiewując pod nosem (szukamy przyjemności, gdzie się da), otwiera długą szufladę biurka, grzebie pomiędzy ołówkami, ochronnymi sztyftami do ust i notatnikami, aż wreszcie znajduje zszywacz. Rozwija rolkę pozłotki i starannie przykłada ją do krawędzi tabliczki.

Przytwierdza lśniące złoto zszywaczami. Przez chwilę ogląda swoje dzieło, najpierw krytycznie, potem z podziwem.

- Idealnie - mówi.

Rozlega się dzwonek telefonu, od którego sztywnieje. Odwraca się i wpatruje się w aparat oczami, które nagle stają się bardzo małe, twarde i całkowicie nieruchome. Jeden dzwonek. Drugi. Trzeci. Po czwartym włącza się automatyczna sekretarka i odpowiada jego głosem - to znaczy tą jego wersją, która pasuje do tego gabinetu.

- Dzień dobry, tu zakład instalacji grzejników i klimatyzacji - mówi Willie Shearman. - W tej chwili nikogo nie ma. Proszę zostawić wiadomość po sygnale.

Sygnał.

Willie nasłuchuje w napięciu, z rękami zaciśniętymi w pięści nad pozłoconą tabliczką.

- Dzień dobry, tu Ed z Żółtych Stron - mówi głos i Willie wypuszcza oddech, który nieświadomie wstrzymywał. Powoli rozgina palce. - Proszę oddzwonić pod numer 1-800-555-1000 w sprawie informacji o powiększeniu rozmiarów państwa reklamy w obu wersjach Żółtych Stron i jednoczesnym zaoszczędzeniu rocznych kosztów. Wesołych świąt! Dziękuję.

Klik.

Willie wpatruje się jeszcze w telefon, jakby się spodziewał, że usłyszy coś więcej - może jakieś groźby, oskarżenie o zbrodnie, o które on sam siebie oskarża - ale nic się nie dzieje.

- Udało ci się - mruczy i odkłada do walizki pozłocony znak. Tym razem zamykają na zatrzaski. Na walizce widnieje nalepka, hasło otoczone małymi amerykańskimi flagami.
SŁUŻYŁEM Z DUMĄ.

- Udało ci się, stary, uwierz w to.

Wychodzi z biura, zamyka drzwi z napisem GRZEJNIKI I KLIMATYZACJA na tafli mrożonego szkła i przekręca klucz w trzech zamkach.

9.45

W połowie korytarza natyka się na Ralpha Williamsona, przysadzistego księgowego z biura rozliczeniowego Garowicza (wszyscy księgowi Garowicza są przy kości, przynajmniej tak się Williemu zdaje). Ralph trzyma w różowej dłoni klucz ze starym drewnianym brelokiem w kształcie gruszki. Na tej podstawie Willie wnioskuje, że księgowy poczuł zew natury. Klucz z drewnianą gruszką! Taki sakramencki brelok przypomina jak nic na świecie radości parafialnej szkoły, zakonnice i drewniane linijki spadające z trzaskiem na dłoń. I wiecie co? Ralph Williamson chyba lubi te wspomnienia, tak jak na pewno lubi mydełka w kształcie króliczków albo klaunów, dyndające na kurku z gorącą wodą pod prysznicem. A jeśli nawet lubi, to co? Nie sądźcie, abyście nie byli sądzeni, skurwysyny.

- Hej, Ralphie, jak leci?

Ralph się odwraca, dostrzega Williego i rozpromienia się w uśmiechu.

- Hej! Cześć! Wesołych świąt!

Willie uśmiecha się na widok miny Ralpha. Ten mały tłusty skurwiel czci go jak boga, ale czemu nie? Patrzy na faceta gotowego na każdą ewentualność. Trudno tego nie podziwiać.

- Wzajemnie, bracie. - Wyciąga rękę (w rękawiczce, więc nie musi się przejmować jej zbytnią bielą, nie pasującą do brązu twarzy) wierzchem do góry. - Przybij piątkę!

Ralph spełnia jego prośbę, uśmiechając się nieśmiało.

- I dziesiątkę!

Ralph odwraca różową, pulchną dłoń i czeka, aż Willie w nią trzepnie.

- Kurczę, jest tak fajnie, że muszę to zrobić jeszcze raz! - wykrzykuje Willie i jeszcze raz grzmoci w dłoń księgowego. - Prezenty kupione?

- Prawie - mówi Ralph, bawiąc się z uśmiechem kluczem do łazienki. - Mniej więcej. A ty, Willie?

Willie puszcza do niego oko.

- A, wiesz, jak to jest, bracie. Mam parę kobitek i niech one mi kupują.

Ralph uśmiecha się z podziwem, zdradzając tym samym, że jednak nie wie, jak to jest, choć bardzo by się chciał dowiedzieć.

- Idziesz do klienta?

- Na cały dzień. To sezon.

- Dla ciebie zawsze jest sezon. Pewnie dobrze ci się wiedzie. Rzadko bywasz w biurze. - Po to Bóg nam dał automatyczne sekretarki. Lepiej już idź, bo będziesz miał mokrą plamę na tych pięknych spodniach.

Ralph śmieje się (i nieco różowieje), po czym rusza do drzwi męskiej toalety.

Willie idzie do windy, w jednej ręce trzyma walizkę, drugą sprawdza, czy okulary na pewno czekają w kieszeni. Czekają. Koperta też, gruba i szeleszcząca dwudziestkami. Piętnastoma. Pora na wizytę funkcjonariusza Wheelocka; Willie spodziewał się go wczoraj. Może pojawi się dopiero jutro, choć Willie stawia na dzisiaj… nie żeby się nie mógł doczekać. Wie, że tak to już jest na tym świecie, kto smaruje, ten jedzie, a jednak czuje urazę. Wiele razy dziennie myśli o tym, jak przyjemnie byłoby posłać kulkę w łeb Jaspera Wheelocka. Tak się to robiło w buszu. Tak należało robić. Na przykład z tym Malenfantem, tym oszalałym skurwielem z pryszczami i talią kart.

O tak, w buszu wszystko wyglądało inaczej. W buszu czasem trzeba było zrobić coś złego, by zapobiec większemu złu. Takie sytuacje wskazują, że znalazłeś się w nieodpowiednim miejscu, ale jak już wpadłeś w bagno, musisz sobie radzić. On i jego ludzie z kompanii Bravo byli zaledwie parę dni z chłopakami z Delty, więc przy Malenfancie nie miał dużego doświadczenia, ale trudno zapomnieć ten jego przenikliwy, zgrzytliwy głos i to, co Malenfant wrzeszczał podczas niekończących się rozgrywek kierek, gdy ktoś usiłował wycofać rzuconą kartę: „Nie ma mowy, złamasie! Co rzucone, to stracone!”.

Malenfant był palantem, ale to jedno dobrze powiedział. W życiu, tak jak w kartach, co rzucone, to stracone.

Winda nie zatrzymuje się na czwartym piętrze, ale to już go nie denerwuje. Tyle razy jechał z ludźmi, którzy pracują na tym samym piętrze z; Billem Shearmanem - również z chudym z ubezpieczeń - i żaden go nie rozpoznał. Powinni, zdecydowanie powinni, ale nie rozpoznali. Willie sądził, że to przez zmianę ubrania i makijaż, potem uznał, że to włosy, ale w głębi duszy wie, że nie o to chodzi. Ani nawet o tę odrętwiałą obojętność wobec świata, w której się pogrążyli. Jego przebranie nie jest wyjątkowo dobre - wojskowe spodnie, wysokie buty i ciemny podkład to nic szczególnego. Nie ma mowy, żeby kogoś tym oszukał. Nie wie, jak to wyjaśnić, i na ogół się nad tym nie zastanawia. Nauczył się tego w Wietnamie, tak jak i wielu innych rzeczy.

Czarny chłopak nadal stoi przed obrotowymi drzwiami (teraz osłonił głowę kapturem brudnej bluzy) i podtyka mu pod nos wyszczerbiony styropianowy kubek. Widzi, że gość z walizką w ręku się uśmiecha, więc i on się szczerzy.

- Możpan? Co powiesz, stary?

- Pieprzaj mi z drogi, ty leniwy wypierdku, oto co powiem - mówi Willie, ciągle z uśmiechem. Młody cofa się o krok i patrzy na niego zdumiony. Zanim zdoła odzyskać mowę, Willie już znika w tłumie ludzi kupujących świąteczne prezenty.

10.00

Wchodzi do hotelu Whitmore, przemierza hol i wjeżdża ruchomymi schodami na piętro, na którym znajdują się publiczne toalety. To jedyny moment, kiedy czuje się zdenerwowany i sam nie wie dlaczego; z pewnością nic mu się dotąd nie przydarzyło ani podczas wizyty w hotelowej łazience, ani po niej (korzysta z łazienek blisko dwóch tuzinów okolicznych hoteli). Mimo to ma wrażenie, że jeśli kiedyś wpadnie, to tutaj, w tym hotelowym sraczu. Bo to, co się tutaj dzieje, nie przypomina przemiany Billa Shearmana w Willie-go Shearmana. Bill i Willie są braćmi, może nawet bliźniakami, i przejście od jednego do drugiego jest czyste i całkowicie normalne. Jednak ostatnia transformacja tego dnia - z Willie Shearmana w Ślepego Williego Garfielda - zawsze wydawała mu się inna. Jest mroczna, ponura, jak przemiana w wilkołaka. Kiedy się dokonuje, a on znów wychodzi na ulicę, stukając białą laską, czuje się jak wąż, który zrzucił starą skórę, a nowa jest jeszcze zbyt miękka.

Rozgląda się i stwierdza, że w męskiej toalecie widać tylko jedną parę stóp w drugiej kabinie długiego rzędu - jest w nim pewnie dziesięć toalet. Ktoś chrząka. Szeleści gazeta. Słychać ciche ffft grzecznego, cywilizowanego pierdnięcia.

Willie idzie do ostatniej kabiny w rzędzie. Stawia walizkę, zamyka drzwi, zdejmuje czerwoną marynarkę. Wywraca ją na lewą stronę, oliwkowozieloną. Marynarka staje się starą wojskową kurtką. Sharon, która miewa niekłamane przebłyski geniuszu, kupiła tę kurtkę na ciuchach z demobilu i oderwała podszewkę. Jednak przed przyszyciem do czerwonej marynarki ozdobiła ją naszywkami porucznika i czarnymi paskami materiału tam, gdzie powinno się znajdować nazwisko i nazwa oddziału. Następnie uprała kurtkę ze trzydzieści razy. Oczywiście naszywki i oznaczenie już zniknęły, ale wyraźnie widać, gdzie były - materiał w tym miejscu ma ciemniejszą barwę, co każdy weteran od razu zinterpretuje bez wahania.

Willie wiesza kurtkę na haku, spuszcza spodnie, siada, bierze walizkę i stawiają sobie na kolanach. Otwierają, wyjmuje składaną laskę i szybko ześrubowuje. Trzymając ją w połowie, sięga do haka i wiesza razem z kurtką. Zamyka walizkę, odrywa trochę papieru z rolki, żeby stworzyć odpowiednie wrażenie (prawdopodobnie jest to zbędne, ale lepiej uważać, niż żałować) i spuszcza wodę.

Przed wyjściem wyjmuje okulary z kieszeni, w której trzyma pieniądze na łapówkę. To duże staromodne okulary, kojarzą się z filmami o motocyklistach, w których występował Peter

Fonda. Ale spełniają swoją funkcję, ponieważ ludzie łączą je z weteranami wojennymi… a poza tym nikt nie zobaczy zza nich jego oczu, nawet z boku.

Willie Shearman zostaje w hotelowej toalecie, tak jak Bill Shearman został w gabinecie analityka na czwartym piętrze. Człowiek, który się pojawił - człowiek w starej wojskowej kurtce, z białą laską - to Ślepy Willie, część krajobrazu na Piątej Alei od czasów Geralda Forda.

Zmierzając ku schodom (niewidomi nigdy nie jeżdżą schodami ruchomymi), dostrzega zbliżającą się do niego kobietę w czerwonym blezerze. Przez ciemne szkła wygląda jak egzotyczna ryba w błotnistej wodzie. I oczywiście nie chodzi tylko o okulary - o drugiej po południu Willie naprawdę oślepnie, tak jak krzyczał w Dong Ha w latach siedemdziesiątych. Ja oślepłem, wrzeszczał, podnosząc Sullivana ze ścieżki, choć tak naprawdę nie stracił wzroku; przez pulsującą biel po wybuchu widział, jak Sullivan się tarza i usiłuje przytrzymać wypadające trzewia. Wziął go na ręce i pobiegł, niezdarnie przytrzymując go ramieniem. Sullivan był od niego większy, o wiele większy, i Willie nie miał pojęcia, jak to możliwe, że go podniósł, ale jakoś mu się udało, doniósł go aż na polanę, skąd zabrały ich helikoptery - Bógspłać, Bógspłać, Bógspłać wam wszystkim. Dobiegł do polany i helikopterów mimo kul świszczących w powietrzu, a przy drodze leżały ludzkie szczątki Made in America. Oślepłem, ryczał, niosąc Sullivana, czując na sobie jego krew, a Sullivan także wrzeszczał. Gdyby przestał, czy Willie zrzuciłby go na ziemię i pobiegł dalej sam, by uciec przed zasadzką? Pewnie nie. Ponieważ już wtedy wiedział, kim jest Sullivan - Smutnym Johnem z tamtego miasteczka, który chodził z Carol Gerber.

Oślepłem, oślepłem, oślepłem! Tak właśnie wrzeszczał Willie Shearman, taszcząc Sullivana i rzeczywiście cały świat tonął w białym świetle, ale ciągle pamięta, że widział kule wstrząsające liśćmi i odłupujące korę z pni drzew, pamięta, że zobaczył faceta, który tego samego dnia był w wiosce. Mężczyzna chwycił się za gardło. Pamięta rozbryzg krwi. Inny facet z kompanii Delta dwa-dwa- nazywał się Pagano - chwycił swego kolegę wpół i pociągnął go za zataczającym się Williem Shearmanem, który naprawdę prawie zupełnie oślepł. Krzyczał; „oślepłem, oślepłem, oślepłem", czuł zapach krwi Sullivana, jej smród. A w helikopterze biel zaczęła gęstnieć. Twarz miał poparzoną, włosy spalone, świat był biały. Willie, czarny jak diabeł, uciekł z piekła. Wierzył, że nigdy więcej nie ujrzy świata i było to dla niego pewną ulgą. Ale oczywiście stało się inaczej.

Kobieta w czerwonym swetrze staje obok niego.

- Mogę w czymś pomóc?

- Dziękuję - odpowiada Ślepy Willie. Niezmordowanie poruszająca się laska przestaje ostukiwać podłogę i zawisa w próżni. Kołysze się wahadłowo, obrysowując krawędzie schodów. Ślepy Willie kiwa głową i ostrożnie, lecz pewnie sunie przed siebie, aż dotyka dłonią balustrady. Chwyta walizkę w dłoń z laską, by przytrzymać się poręczy i odwraca się do kobiety. Bardzo uważa, żeby nie uśmiechnąć się wprost do niej, lecz odrobinę na lewo. - Nie, dziękuję, wszystko dobrze. Wesołych świąt.

Rusza w dół, stukając laską, duża walizka zwisa swobodnie - jest lekka, prawie pusta. Oczywiście później będzie inaczej.

10.15

Piąta Aleja jest świątecznie przystrojona - światełka i ozdoby, których on prawie nie widzi. Na latarniach wiszą girlandy ostrokrzewu. Wielkie sklepy wyglądają jak pstrokate prezenty, włącznie z gigantycznymi czerwonymi kokardami. Na beżowej fasadzie Braci Brooks wisi wieniec o średnicy co najmniej dwóch metrów. Wszędzie migające lampki. Na wystawie Saksa bardzo wyrafinowany manekin (z wyniosłą miną i prawie zupełnie bez piersi i bioder) siedzi okrakiem na harleyu-davidsonie. Ma czapkę świętego Mikołaja, obszytą futerkiem kurtkę motocyklową, kozaczki do połowy uda i nic poza tym. Z kierownicy harleya zwisają srebrne dzwoneczki. Gdzieś nieopodal kolędnicy śpiewają „Cichą noc"; Ślepy Willie za tym nie przepada, ale zawsze to lepiej niż „Czy słyszysz, co ja słyszę".

Zatrzymuje się tam, gdzie zawsze, przed kościołem Świętego Patryka, na wprost Saksa. Obładowani prezentami przechodnie suną przed nim nieprzerwanym strumieniem. Teraz jego ruchy stają się proste i pełne godności. Skrępowanie, które czuł w męskiej toalecie - to uczucie nagości - minęło. W tym miejscu czuje się katolikiem jak nigdy dotąd. Zresztą chodził do Świętego Gabriela, nosił krzyż, spowiadał się, służył do mszy, jadł w piątki znienawidzonego śledzia. W pewnym sensie nadal jest chłopcem z parafialnej szkoły, wszystkie jego trzy osobowości mają tę wspólną cechę, która przetrwała tyle lat i nadal trwa. Ale dziś nie ma dla niego spowiedzi, lecz pokuta, a pewność nagrody w niebie zniknęła. Dziś może jedynie nie tracić nadziei.

Willie kuca, otwiera walizkę i obraca ją tak, żeby przechodnie widzieli naklejkę na wieku. Obok kładzie trzecią rękawicę, do baseballu, którą ma od tamtego lata w 1960 roku. Rękawica spoczywa obok walizki. Nic bardziej nie chwyta za serce niż ślepiec z rękawicą do baseballu, oto jego odkrycie, Bógspłać Ameryce.

I wreszcie wyjmuje tabliczkę ze śmiałą ozdobą z pozłoty i zawieszają sobie na szyi. Tabliczka spoczywa na jego piersi, osłoniętej wojskową kurtką.

WILLIAM J. GARFIELD, PIECHOTA ARMII USA
SŁUŻYŁEM POD QUANG TRI, THUA THIEN,
TAM BOI, A SHAU
STRACIŁEM WZROK W PROWINCJI DONG HA
W 1970 ROKU

WDZIĘCZNY RZĄD ODEBRAŁ MI

MOJĄ NALEŻNOŚĆ W 1973

STRACIŁEM DOM W 1975

WSTYDZĘ SIĘ ŻEBRAĆ, ALE MAM SYNA W SZKOLE NIE MYŚLCIE O MNIE ŹLE, JEŚLI TO MOŻLIWE

Unosi głowę, by białe światło tego zimnego dnia padło na martwe płaszczyzny ciemnych okularów. Teraz zaczyna pracować i nikt sobie nawet nie wyobraża, jak ciężka jest to praca. Trzeba stać w pewien szczególny sposób, nie całkiem po wojskowemu - nazywają to defiladowym „spocznij" - ale prawie. Głowa wysoko, spojrzenie jednocześnie na i przez przechodniów, mijających go setkami, tysiącami. Ręce opuszczone wzdłuż boków, w czarnych rękawiczkach, nie ma mowy o bawieniu się tabliczką czy materiałem spodni. Należy zachować wrażenie okaleczonej, upokorzonej dumy. Bez wstydu czy oskarżeń i przede wszystkim absolutnie zdrowe zmysły. Nigdy się nie odzywa nieproszony, i tylko wtedy, gdy ktoś się zwróci do niego uprzejmie. Nie odpowiada ludziom, którzy pytają z rozdrażnieniem, dlaczego nie znajdzie sobie pracy albo o co mu chodziło z tą należnością. Nie dyskutuje, gdy ludzie zarzucają mu oszustwo lub kpiąco wyrażają się o synu, który pozwala, by ojciec zarabiał na jego czesne żebraniem. Tylko raz złamał tę żelazną zasadę, w pewne letnie popołudnie 1981 roku. Do której szkoły chodzi pański syn? - spytała go ze złością jakaś kobieta. Nie wie, jak wyglądała, dochodziła czwarta po południu, a on co najmniej od dwóch godzin był ślepy jak kret, ale czuł eksplodujący w niej gniew, którego strumienie lały się we wszystkich kierunkach, jak szeregi pluskiew wychodzących ze starego materaca. W pewien sposób przypominała mu Malenfanta z tym jego przenikliwym głosem, którego nie można nie słyszeć. Do której, bo chcę mu posłać psie gówno. Proszę się nie trudzić, odparł, odwracając się w stronę głosu. Jeśli chce pani wysłać komuś psie gówno, proszę je wysłać Johnsonowi. Federal Express na pewno dociera do piekła, oni docierają wszędzie.

- Niech cię Bóg błogosławi - mówi jakiś facet w kaszmirowym płaszczu. Dziwne, ale głos drży mu z emocji. Ale Ślepy Willie Garfield się nie dziwi. Słyszał już wszystko i jeszcze trochę. Zadziwiająco wielu klientów składa pieniądze ostrożnie i z szacunkiem w kieszeni rękawicy baseballowej. Jednak facet w kaszmirze wrzuca swój datek do otwartej walizki, gdzie należy. Piątka. Dzień pracy się rozpoczął.

10.45

Na razie w porządku. Kładzie ostrożnie laskę, przyklęka na jedno kolano i wrzuca zawartość rękawicy do walizki. Przesuwa dłonią wśród banknotów, choć jeszcze widzi je wyraźnie. Podnosi je - jest tu pewnie czterysta lub pięćset dolarów, dobry początek dnia, który przyniesie trzy tysiące (nie najlepiej jak na ten sezon, ale i tak całkiem nieźle), zwija je i okręca gumką. Wciska guzik na wewnętrznej ściance walizki, dno unosi się na sprężynach, ukazując skrytkę zasłaną drobniakami. Willie dorzuca zwitek banknotów, nawet nie próbuje się kryć i nie czuje żadnych wyrzutów sumienia. Robi to od lat i nikt go nigdy nie napadł. Niech Bóg broni tego idiotę, który się odważy.

Zdejmuje palec z guzika, zamyka skrytkę, wstaje. Czuje, że jakaś ręka. dotyka mu krzyża.

- Wesołych świąt, Willie - mówi właściciel ręki.

Ślepy Willie rozpoznaje go po zapachu wody kolońskiej.

- Wesołych świąt, funkcjonariuszu Wheelock - odpowiada.

Głowę ciągle lekko unosi w pytającym geście; dłonie przyciśnięte do ud, stopy w wypolerowanych butach rozstawione, nie na tyle, żeby było to defiladowe spocznij, ale wystarczająco, by zwracać uwagę. - Jak się pan miewa?

- Cudownie jak skurwysyn - odpowiada Wheelock. - Znasz mnie, zawsze się czuję cudownie.

Oto nadchodzi mężczyzna w płaszczu narzuconym na jaskrawoczerwony narciarski sweter. Mężczyzna ma krótkie włosy, czarne na czubku, siwe na skroniach. Twarz o surowych, rzeźbionych rysach - Willie natychmiast poznaje ten wyraz. Niesie parę papierowych toreb - jedną od Saksa, drugą z Bally. Staje i czyta napis na tabliczce.

- Dong Ha? - pyta niespodziewanie, nie tak zwyczajnie, ale jakby na środku zatłoczonej ulicy wpadł na starego znajomego.

- Tak jest - odpowiada Ślepy Willie.

- Kto był pańskim dowódcą?

- Kapitan Bob Brissum - pisze się z „u”, nie „o”. A nad nim pułkownik Andrew Shelf.

- Słyszałem o Shelfie - mówi mężczyzna w rozpiętym płaszczu. Jego twarz natychmiast przybiera inny wyraz. Jeszcze przez chwilę wyglądał, jakby całe życie spędził na Piątej Alei. Teraz już nie. - Ale go nigdy nie poznałem.

- Za moich czasów nie widywało się już nikogo z taką rangą.

- Nie dziwię się, skoro byliście w dolinie A Shau.

- Tak jest. Zanim dotarliśmy do Dong Ha, nie zostało nam wiele kadry oficerskiej. Dowodziłem razem z innym porucznikiem. Nazywał się Dieffenbaker.

Mężczyzna w czerwonym swetrze narciarskim powoli kiwa głową.

- To po was przyleciały te helikoptery, zgadza się?

- Tak jest.

- Więc pewnie byliście tam i później, kiedy…

Ślepy Willie nie pomaga mu skończyć. Czuje wodę kolońską Wheelocka, mocniej niż dotąd; policjant prawie dyszy mu w ucho, jak napalony chłopak przed końcem gorącej randki. Wheelock nigdy mu nie wierzył i choć Ślepy Willie płaci za przywilej spokojnego stania na tym rogu, i to płaci całkiem niemało, wie, że Wheelock czeka na jego wpadkę. Wheelock, zawsze policjant, szuka dowodów jego winy. Ale Wheelockowie tego świata nie rozumieją, że to, co wygląda na oszustwo, często nim nie jest. Czasami rzeczy są bardziej skomplikowane, niż się wydają. Tego także nauczył się w Wietnamie, jeszcze zanim wojna zmieniła się w polityczny dowcip i dobry temat dla scenarzystów.

- W sześćdziesiątym dziewiątym i siedemdziesiątym było ciężko - mówi siwiejący mężczyzna, powoli, głucho. - Ja byłem na Hamburger Hill z 3/187, więc wiem o A Shau i Tam Boi. Pamiętasz trasę 922?

- Tak jest. Droga Chwały. Straciłem tam dwóch kolegów.

- Droga Chwały - powtarza mężczyzna w rozpiętym płaszczu i raptem nabiera wyglądu tysiącletniego starca, a jego czerwony sweter wydaje się dziwnie obsceniczny, jakby ktoś ubrał w niego mumię. Patrzy gdzieś daleko, za siódmy horyzont. Potem wraca na tę ulicę, gdzie słychać pozytywkę, grającą o dzwonkach i śniegu. Stawia torby na ziemi, pomiędzy stopami w drogich butach, i wyjmuje z wewnętrznej kieszeni portfel ze świńskiej skóry. Otwiera go i szpera pomiędzy schludnym plikiem banknotów.

- Syn zdrowy, Garfield? Dobrze się uczy?

- Tak jest.

- Ile ma lat?

- Piętnaście.

- - Chodzi do szkoły publicznej?

- Klasztornej.

- Doskonale. I niech go Bóg broni przed tą skurwysyńską Drogą Chwały. - Wyjmuje banknot. Ślepy Willie czuje i słyszy ciche westchnienie Wheelocka i właściwie nawet nie patrząc, wie, że to setka.

- Tak jest, niech go Bóg broni.

Mężczyzna w rozpiętym płaszczu dotyka banknotem dłoni Williego i dziwi się, gdy ta dłoń cofa się jak oparzona.

- Proszę to położyć na rękawicy do baseballu albo do walizki, jeśli pan łaskaw - mówi Ślepy Willie.

Mężczyzna przygląda się mu przez krótką chwilę - unosi brwi, marszczy czoło, wreszcie pojmuje. Kładzie banknot do kieszeni starej, naoliwionej rękawicy z niebieskim napisem GARFIELD, po czym sięga do kieszeni i wyjmuje garść drobnych. Posypuje nimi twarz starego Bena Franklina, by wiatr nie zwiał banknotu. Prostuje się. Ma mokre, zaczerwienione oczy.

- Czy mogę ci dać moją wizytówkę? - pyta. - Mogę cię skontaktować z paroma organizacjami weteranów wojennych.

- Dziękuję, na pewno tak, ale z całym szacunkiem muszę odmówić.

- Uderzałeś do nich?

- Tak jest, do kilku.

- Gdzie cię leczyli?

- W San Francisco. - Po krótkim wahaniu dodaje: - W Pałacu Cipek.

Mężczyzna wybucha serdecznym śmiechem, po ogorzałych policzkach toczą się mu niewypłakane łzy.

- Pałac Cipek! Od dziesięciu lat o tym nie słyszałem! Pod każdym łóżkiem nocnik, na każdym łóżku goła pielęgniarka, nie?

- Tak jest, mniej więcej tak.

- Wesołych świąt, żołnierzu. - Mężczyzna salutuje jednym palcem.

- Wesołych świąt, proszę pana.

Mężczyzna zbiera torby i rusza przed siebie. Nie ogląda się. Ślepy Willie i tak by tego nie zobaczył; teraz dostrzega już tylko duchy i cienie.

- To było wspaniałe - szepcze Wheelock.

Ślepy Willie brzydzi się wilgotnym powietrzem wydobywającym się z jego ust, ale nie da mu tej satysfakcji i nie cofnie się ani o centymetr.

- Stary pierdziel się popłakał. I na pewno to widziałeś. Ale możesz się bawić dalej, proszę bardzo. Willie milczy.

- Jakiś szpital nazywał się Pałacem Cipek? Na pewno by mi się spodobał. Gdzieś o tym przeczytał, w bibliotece?

Cień kobiety, ciemny kształt w narastającym mroku, pochyla się nad otwartą walizką i coś do niej wrzuca. Dłoń w rękawiczce dotyka dłoni Williego i ściska ją.

- Niech cię Bóg błogosławi, przyjacielu.

- Dziękuję pani.

Cień znika. Wilgotne powietrze, łaskoczące ucho Williego, zostaje.

- Masz coś dla mnie, kolego? - spyta Wheelock.

Ślepy Willie sięga do kieszeni marynarki. Wyjmuje kopertę i wyciąga przed siebie, kłując nią zimne powietrze. Wheelock wyrywa mu ją ze złością.

- Ty palancie! - W jego głosie słychać też strach. – Ile razy ci mówiłem, do ręki, do ręki!

Ślepy Willie nie odpowiada. Myśli o rękawicy do baseballu, o tym, jak wydrapał z niej napis BOBBY GARFIELD - na tyle, na ile można wydrapać atrament - i na tym samym miejscu napisał WILLIE SHEARMAN. Potem, po Wietnamie, na początku nowej kariery, wydrapał także ten napis i zastąpił go zwykłym GARFIELD, drukowanymi literami. Skóra starej rękawicy Alvina Darka jest wystrzępiona i wytarta. Jeśli o niej myśli, o tym wytartym miejscu i warstwach nazwisk, powinien się ustrzec popełnienia błędu. Oczywiście na taki błąd liczy Wheelock, pragnie tego bardziej niż tej gównianej łapówki: żeby Willie zrobił coś głupiego, żeby się zdradził.

- Ile? - pyta po chwili Wheelock.

- Trzysta. Trzysta dolarów, panie posterunkowy.

Następuje cisza, ale Wheelock cofa się o krok i wilgotne powietrze nie łaskocze już ucha Ślepego Williego. Dzięki Bogu i za to.

- Może być - mówi Wheelock. - Tym razem. Ale nadchodzi nowy rok, kolego, a twój przyjaciel smerf Jasper ma posiadłość i chce na niej postawić domek. *Capisci*? Stawka idzie w górę.

Ślepy Willie nie odpowiada, lecz słucha z wielkim skupieniem. Jeśli chodzi tylko o to, w porządku. Ale w głosie Wheelocka słychać coś jeszcze.

- Właściwie to nawet nie to. Ważniejsze jest, że potrzebuję wyższego wynagrodzenia za męczenie się z takim padalcem jak ty. - W jego głosie brzmi niekłamany gniew. - Jak ty to możesz robić codziennie… nawet w gwiazdkę!… cholera, ja tego nie rozumiem. Żebracy to jedno, ale ty… ty nie jesteś bardziej ślepy ode mnie.

O, to ty jesteś ślepy, nie ja, myśli Willie, ale ciągle słucha z kamienną miną.

- Poza tym dobrze sobie radzisz, nie? Pewnie nie tak dobrze jak ci w metrze, ale zbijasz dziennie… ile? Tysiączek? Dwa?

Ocenia go zbyt nisko, lecz Ślepy Willie słucha go z radością. Rozumie, że jego cichy partner nie obserwuje go zbyt często i zbyt uważnie… przynajmniej na razie. Ale ten gniew mu się nie podoba. Gniew jest nieprzewidywalną kartą w grze.

- Nie jesteś bardziej ślepy ode mnie - powtarza Wheelock. Najwyraźniej to go najbardziej wkurza. - Wiesz co, kolego? Chyba pójdę za tobą pewnego dnia, jak zaczniesz się zbierać do domu. Zobaczymy, co zrobisz. - Chwila ciszy. - W kogo się zmienisz.

Willie przestaje oddychać… i znowu zaczyna.

- Nie zrobiłby pan tego.

- Nie? Dlaczego? Dlaczego nie? Bo dbasz o moje dochody, tak? Boisz się, że zabiję kurę, którą znosi złote jaja? Wiesz, to, co od ciebie dostaję, to małe miki przy pochwale, może nawet awansie. - Milczy przez chwilę. Gdy się znowu odzywa, w jego głosie brzmi nutka rozmarzenia, szczególnie niepokojąca Williego. - Napisaliby o mnie w „Post". Bohaterski policjant demaskuje cynicznego oszusta na Piątej Alei.

Jezu, myśli Willie. Słodki Jezu, on mówi poważnie.

- Na tej rękawicy jest napisane „Garfield", ale założę się, że to nie twoje nazwisko. Stawiam dolary przeciwko orzechom.

- Przegrałby pan ten zakład.

- To ty tak mówisz… ale ta skóra wygląda, jakby było tu jakieś inne nazwisko.

- Ukradziono mi ją. - Czy zdradził zbyt wiele? Trudno stwierdzić. Wheelock go zaskoczył, drań. Najpierw ten telefon do gabinetu - dobry stary Ed z Żółtych Stron - teraz to. - Chłopiec, który mi ją ukradł, napisał tu swoje nazwisko. Odzyskałem ją i znów się na niej podpisałem. - I zabrałeś ją do Wietnamu?

- Tak. - To prawda.

Czy Sullivan rozpoznałby w tej zniszczonej rękawicy Alvina Darka własność swego przyjaciela Bobby'ego? Raczej nie, ale kto wie? Sullivan jej nie widział, przynajmniej nie w buszu, więc pytanie jest retoryczne. Natomiast posterunkowy Jasper Wheelock zadaje mnóstwo pytań i żadne z nich nie jest retoryczne.

- Zabrałeś ją do tej doliny Hau Hau?

Ślepy Willie nie odpowiada. Wheelock znów usiłuje go przyłapać, a on nie chce mu na to pozwolić.

- Zabrałeś ją na wojenkę?

Milczenie.

- „Post" - mówi Wheelock i Willie dostrzega jak przez mgłę, że drań unosi ręce, jakby obramowywał zdjęcie. - „Bohaterski policjant".

Może tylko żartuje… ale trudno powiedzieć.

- Pewnie by o panu napisali, ale nie daliby nagrody - mówi Ślepy Willie. - Ani awansu. Pewnie by pana wywalili, panie posterunkowy, i musiałby pan szukać nowej roboty. Ale firmy ochroniarskie może pan sobie odpuścić – nie przyjmą człowieka, który brał łapówki.

Teraz to Wheelock przestaje oddychać. Gdy odzyskuje dech, gorące powietrze prawie przewierca ucho Williego.

- Jak to? - syczy Wheelock. Kładzie mu rękę na ramieniu w wojskowej kurtce. - Lepiej mi to wytłumacz.

Ale Ślepy Willie milczy, ręce na udach, głowa lekko uniesiona, uważne spojrzenie w ciemność, która rozproszy się dopiero pod wieczór, oraz kamienna mina - wielu przechodniów bierze ją za wyraz upokorzonej dumy, upadłej odwagi, która zdołała jakoś ocaleć nietknięta.

Lepiej uważajcie na siebie, posterunkowy Wheelock, myśli. Chodzicie po bardzo cienkim lodzie. Może jestem ślepy, za to ty chyba ogłuchłeś, jeśli nie słyszysz tego skrzypienia pod stopami.

Ręka na jego ramieniu zaciska się, palce wpijają się w ciało.

- Masz tu kogoś? Tak, ty sukinsynu? To dlatego tak trzymałeś tę kopertę? Ktoś mi zrobił zdjęcie? Tak?

Ślepy Willie z uporem milczy; dla smerfa Jaspera milczenie jest bardziej wymowne. Ludzie w rodzaju posterunkowego Wheelocka zawsze wyobrażą sobie wszystko, co najgorsze. Trzeba ich tylko zachęcić. Dać im czas.

- Wierz mi, kolego, nie chcesz ze mną zadzierać – syczy Wheelock nienawistnie, lecz w jego glosie brzmi też subtelna nutka troski, a ręka na ramieniu Ślepego Williego zwalnia chwyt. - Od stycznia płacisz mi cztery setki, a jeśli zaczniesz mi się stawiać, dam ci taką szkołę, że popamiętasz. Rozumiesz?

Ślepy Willie milczy. Wilgotne powietrze przestaje drażnić mu skórę, więc wie, że Wheelock zbiera się do odejścia. Ale nie od razu, cóż za szkoda. Drażniący wilgotny obłoczek znów uderza go w ucho.

- Będziesz się smażyć w piekle - powiadamia go Wheelock. Mówi szczerze, z głębi serca. - To, co robię, przyjmowanie tych twoich brudnych pieniędzy, to grzech powszedni. Wiem, bo pytałem księdza. A twoje grzechy są śmiertelne. Pójdziesz do piekła, zobaczymy, jaką jałmużnę tam dostaniesz.

Ślepy Willie myśli o kurtce, jaką Willie i Bill Shearmanowie widują czasem na ulicy. Na plecach znajduje się mapa Wietnamu, zwykle także wypisane są lata, które spędził tam właściciel kurtki, oraz hasło: PO ŚMIERCI PÓJDĘ PROSTO DO NIEBA, BO W PIEKLE JUŻ BYŁEM. Mógłby to powiedzieć posterunkowemu, ale w końcu po co? Lepiej milczeć.

Wheelock odchodzi, a Willie myśli, że to miłe ze strony posterunkowego. Ta myśl przywołuje na jego twarz rzadko spotykany uśmiech. Pojawia się on i znika jak zabłąkany promień słońca w pochmurny dzień.

13.40

Trzy razy zwijał banknoty i wrzucał do walizki (głównie po to, by trzymać pieniądze w jednym miejscu, nie aby je ukryć), teraz polegając jedynie na dotyku. Nie widzi już pieniędzy, nie odróżni jednego dolara od setki, ale czuje, że interesy idą dobrze. Ta świadomość nie daje mu szczęścia. Nigdy nie ma go zbyt wiele, szczęście nie jest tym, za czym goni Ślepy Willie. W innym wypadku czułby przynajmniej zadowolenie z osiągnięcia, ale dziś wszystko przyćmiła rozmowa z posterunkowym Wheelockiem.

Za kwadrans dwunasta młoda kobieta z pięknym głosem (w uszach Ślepego Williego brzmi on jak głos Diany Ross) wychodzi z Saksa i daje mu kubek gorącej kawy, tak jak prawie codziennie o tej samej porze. Kwadrans po inna kobieta - ta już nie tak młoda i chyba biała - przynosi mu kubek parującego rosołu z makaronem. Dziękuje im obu. z Biała kobieta całuje go w policzek i życzy najweselszych ze wszystkich wesołych świąt.

Jest także druga strona, dla przeciwwagi. Jak zwykle. Około pierwszej chłopak ze swym niewidzialnym gangiem śmieje się w ciemnościach, nazywa go zwykłym chujem, potem pyta, czy nosi rękawiczki, bo poparzył sobie palce, kiedy chciał odczytać włączone żelazko. Odchodzi, rycząc ze śmiechu z tego starego kawału. Piętnaście minut później Willie dostaje kopniaka, choć to akurat mogło być niechcący. Jednak za każdym razem, gdy się pochyla nad walizką, ciągle ją znajduje. To miasto jest pełne złodziei, a jednak walizka stoi na miejscu jak zawsze.

A on myśli o Wheelocku.

Policjant przed nim był bezproblemowy. Ten, który przyjdzie po nim, gdy Wheelock odejdzie z policji albo dostanie przeniesienie, także może nie sprawiać problemów. Wheelock z czasem zmięknie lub wymięknie, tego także nauczył się w buszu, ale na razie Ślepy Willie musi się ugiąć jak trzcina na wietrze. Lecz nawet najbardziej giętka trzcina łamie się, gdy wiatr jest zbyt silny.

Wheelock chce więcej pieniędzy, ale nie to martwi mężczyznę w ciemnych okularach i wojskowej kurtce. Wcześniej czy później wszyscy chcą pieniędzy. Kiedy po raz pierwszy stanął na tym rogu, zapłacił posterunkowemu Hanratty'emu sto dwadzieścia pięć dolarów. Hanratty był ugodowym facetem, pachnącym old spice'em i whisky, tak jak George Raymer, osiedlowy gliniarz z czasów dzieciństwa Williego Shearmana, ale nawet ugodowy Erie Hanratty dobił do dwóch setek za miesiąc. Chodzi o to - zapamiętaj to sobie - że Wheelock był dziś zły, zły, zły i

wspomniał o rozmowie z księdzem. To właśnie jest niepokojące, ale najbardziej niepokoi go, że Wheelock wspomniał o śledzeniu go w drodze do domu. Zobaczę, co zrobisz. W kogo się zmienisz. Nie nazywasz się Garfield, stawiam dolary przeciwko orzechom.

Nie powinieneś zadzierać z prawdziwym pokutnikiem, myśli Ślepy Willie. Wolałbym cię przyłapać z moją żoną, wierz mi. To dla ciebie o wiele bezpieczniejsze.

Oczywiście Wheelock może go śledzić - nic łatwiejszego, pójść za ślepcem albo za człowiekiem, który widzi tylko cienie, pójść za nim do hotelu i męskiej toalety, zobaczyć, jak wchodzi do kabiny jako Ślepy Willie Garfield, a wychodzi jako Willie Shearman. Przypuśćmy, że zdoła nawet wyśledzić przemianę Williego w Billa…

Ta myśl znowu przywołuje poranny dreszcz, wrażenie, że jest wężem, który niedawno zrzucił starą skórę. Wheelock powstrzyma się na jakiś czas od działania, ponieważ się boi, że ktoś go sfotografował przy przyjmowaniu łapówki, ale jeśli naprawdę się wkurzył, nie sposób przewidzieć jego ruchów. A to już jest groźne.

- Bóg cię kocha, żołnierzu - mówi głos z ciemności. - Żałuję, że nie mogę zrobić więcej.

- Nie trzeba niczego więcej - odpowiada Ślepy Willie, lecz myślami pozostaje przy Jasperze Wheelocku, który pachnie tanią wodą kolońską i rozmawiał z księdzem o ślepcu, według niego doskonale widzącym. Co powiedział? Pójdziesz do piekła, zobaczymy, jaką jałmużnę tam dostaniesz. - Wesołych świąt, dziękuję za pomoc.

I jakoś leci.

16.25

Wzrok zaczyna mu wracać - powoli, opornie, ale wraca. To znak, że pora się pakować.

Willie klęka, wyprostowany jak trzcina, znowu kładzie laskę koło walizki. Zwija ostatnie banknoty, rzuca je wraz z drobnymi na dno walizki, chowa do niej rękawicę baseballową i pozłoconą tabliczkę. Zamyka walizkę i prostuje się, z laską w drugiej ręce. Teraz walizka ma już swoją wagę, ciąży mu jak kamień. Przy zmianie pozycji monety przesuwają się z brzękiem.

Willie rusza aleją, ciągnąc za sobą walizkę jak kotwicę (po tylu latach przyzwyczaił się do jej ciężaru, w razie potrzeby mógłby ją zanieść o wiele dalej, niż zamierza), w prawej ręce trzyma laskę i delikatnie stuka nią o bruk. Ta laska to prawdziwa czarodziejska różdżka, pod jej czarem tłum rozstępuje się jak Morze Czerwone. W okolicy Czterdziestej Trzeciej Willie zaczyna widzieć ten korytarz. Widzi także czerwone światło na przejściu, ale nie zwalnia kroku, aż jakiś dobrze ubrany mężczyzna z długimi włosami i złotym łańcuchem łapie go za ramię i zatrzymuje.

- Uważaj, człowieku - mówi. - Samochody.

- Dziękuję panu.

- Nie ma za co. Wesołych świąt.

Ślepy Willie przechodzi na drugą stronę ulicy, mija lwy strzegące biblioteki publicznej, idzie dwie przecznice dalej, do Szóstej Alei. Nikt go nie śledzi, nikt nie idzie za nim, by odebrać urobek i uciec (niewielu zdołałoby biec z tą walizką). Raz, w lecie 1979 roku paru chłopców, chyba czarnych (tego nie wiadomo, mieli czarne głosy, ale wtedy wzrok wracał mu powoli, przy ciepłej pogodzie zawsze wraca powoli), otoczyło go i zaczęto z nim rozmawiać w sposób, który się mu nie spodobał. Nie byli tacy jak ci dzisiaj, z kawałami o gorącym żelazku i o tym, jak wygląda rozkładówka „Playboya" pisana brajlem. Mówili cicho i w jakiś dziwny sposób niemal życzliwie - pytania, ile dziś zarobił i czy może zechce ofiarować datek Rekreacyjnej Lidze Polo, i czy nie potrzeba mu ochrony w drodze na przystanek czy gdzie indziej. Jeden, pewnie początkujący seksuolog, spytał, czy nie miałby ochoty na młodą cipkę.

- Dobrze ci zrobi - powiedział głos po lewej, łagodny, niemal tęskny. - Uwierz, facet, tak będzie.

Wyobrażał sobie, że tak właśnie musi się czuć mysz, kiedy kot dopiero trącają łapką, bez pazurków, zaciekawiony, co mysz zrobi, czy będzie szybko uciekać i jakie dźwięki będzie wydawać, w miarę jak zacznie narastać przerażenie. Ale Ślepy Willie się nie przeraził. Owszem,

bał się, można to było zauważyć, ale od czasów tego ostatniego tygodnia w buszu ani razu nie czul przerażenia, od tego tygodnia, który zaczął się w dolinie A Shau, a skończył w Dong Ha, kiedy Wietkong ścigał ich i osaczał, pędził jak bydło na rzeź, wrzeszcząc spomiędzy drzew, czasem śmiejąc się z dżungli, czasem strzelając, czasem krzycząc w nocy. Mali żołnierze, których nie ma, jak ich nazywał Sullivan. Tutaj nie czuł nic takiego i nawet najbardziej ślepy dzień na Manhattanie nie jest tak ciemny, jak te noce, gdy stracili kapitana. Na tym polegała jego przewaga i błąd tamtych młodzieńców. Willie po prostu podniósł głos, jak człowiek, który przemawia w wielkiej sali pełnej znajomych.

- Przepraszam! - zawołał do mglistych cieni, mijających go na chodniku. - Przepraszam, czy ktoś widział policjanta? Ci panowie chcą mnie obrabować. - A kiedy to zrobił, dalej poszło jak z płatka. Młodzieńcy zniknęli jak zdmuchnięci.

Miał nadzieję, że problem z posterunkowym Wheelockiem rozwiąże z równą łatwością.

16.40

Hotel Sheraton na rogu Czterdziestej i Broadwayu to jeden z największych pierwszorzędnych hoteli na świecie. Rod gigantycznym kryształowym żyrandolem w holu wielkim jak jaskinia kręcą się tysiące ludzi. Szukają tu przyjemności, obojętni na świąteczną muzykę płynącą z głośników, gwar z trzech restauracji i pięciu barów, na windy sunące w górę i w dół jak tłoki napędzające jakiś egzotyczny szklany silnik… i na ślepca, który przechodzi obok, torując sobie drogę do toalety - sarkofagu rozmiarów stacji metra. Nalepkę na walizce odwraca teraz do siebie i jest równie anonimowy jak każdy inny ślepiec. A w tym mieście to oznacza wielką anonimowość.

A właściwie, myśli Willie, wchodząc do kabiny i zdejmując kurtkę, którą odwraca na drugą stronę, jak to możliwe, że przez tyle lat nikt mnie nie śledził? Nikt nawet nie zauważył ślepca, który wchodzi do łazienki, i widzącego mężczyzny, który wychodzi - mężczyzny tego samego wzrostu i z tą samą walizką?

Cóż, w Nowym Jorku każdy pilnuje własnego nosa - na swój sposób ludzie są tak samo ślepi jak Ślepy Willie. Wychodzą z biur, suną strumieniem po chodnikach, tłoczą się na stacji metra i w tanich restauracjach, jest w tym coś odrażającego i smutnego zarazem. Wyglądają jak wypłoszone spod ziemi krety. Willie często widuje taką ślepotę i wie, że to dzięki niej mu się udaje, choć z pewnością nie tylko dzięki niej. Nie wszyscy są kretami, a on zbyt długo igra z losem. Oczywiście podjął pewne środki ostrożności, i to wiele, ale są przecież chwile (na przykład teraz, gdy siedzi ze spuszczonymi spodniami i rozśrubowuje laskę, by schować ją do walizki), kiedy łatwo go przyłapać, okraść, zdemaskować. Wheelock ma rację: „Post" wydrukowałby to na pierwszej stronie. Rozszarpaliby go żywcem. Nie zrozumieliby, nie chcieliby zrozumieć ani go wysłuchać. Wysłuchać czego? I dlaczego nic podobnego się, nie wydarzyło?

Dzięki Bogu. Tak mu się wydaje. Ponieważ Bóg jest dobry. Surowy, ale dobry. Willie nie potrafi się zdobyć na wyznanie winy, lecz Bóg to chyba rozumie. Pokuta musi potrwać, ale on ma czas. Bóg go prowadzi i nie odstępuje na krok.

W kabinie, pomiędzy wcieleniami, zamyka oczy i modli się,- najpierw dziękuje, potem prosi o opiekę, wreszcie znowu dziękuje. Kończy jak zwykle szeptem, który słyszy tylko Bóg:

„A jeśli zginę na polu chwały, oby moje zwłoki do domu dotarły. A jeśli umrę w miłosnej potrzebie, Ty zamknij oczy i weź mnie do siebie. Amen".

Wychodzi z kabiny, wychodzi z łazienki, wychodzi ze zgiełku Sheratona i nikt za nim nie idzie i nie mówi: „Przepraszam, czy pan przed chwilą nie był ślepy?". Nikt nie ogląda się za nim, gdy idzie ulicą, niosąc pękatą walizkę bez wysiłku, jakby ważyła dziesięć kilo, nie pięćdziesiąt. Bóg go strzeże.

Zaczyna padać śnieg. Willie Shearman idzie powoli, często przekładając walizkę z ręki do ręki - kolejny zmęczony przechodzień pod koniec dnia. Nieustannie zastanawia się nad swoim niewytłumaczalnym sukcesem. Jest taki cytat z Ewangelii wg św. Mateusza, nauczył się go na pamięć. „Lecz jeśli ślepy ślepego prowadzi, obaj w dół wpadną". Potem stare porzekadło o tym, że między ślepcami jednooki jest królem. Czy on jest tym jednookim? Czy pominąwszy udział Boga, jest to tajemnica jego powodzenia?

Może tak, może nie. W każdym razie jest bezpieczny… i w żadnym wypadku nie zamierza pomijać udziału Boga. Bóg jest z nim zawsze. Bóg go naznaczył w 1960 roku, kiedy pomagał Harry'emu Doolinowi żartować z Carol, a potem pomógł mu ją pobić. Tego grzechu nigdy nie zapomniał. To, co się stało w zaroślach w pobliżu boiska, zdecydowało o całej reszcie. Zachował nawet rękawicę Bobby'ego Garfielda, żeby nigdy o tym nie zapomnieć. Willie nie wie, gdzie się obecnie podziewa Bobby i wcale go to nie obchodzi. Dopóki mógł, śledził ruchy Carol, ale Bobby go nie obchodzi. Bobby przestał się liczyć, kiedy jej pomógł. Willie to widział. Nie odważył się wyjść i też jej pomóc - bał się Harry'ego, bał się, że Harry może powiedzieć innym, bał się, że zostanie naznaczony… a Bobby się nie bał. Bobby jej pomógł, Bobby ukarał później Harry'ego Doolina i dzięki temu (może nawet tylko dzięki tej pierwszej rzeczy) Bobby zdał egzamin, przeszedł próbę. Zrobił to, czego Willie się bał, zrobił i przetrwał, poradził sobie, a teraz Willie musi zrobić resztę. A jest tego dużo. Pokuta to zajęcie na pełny etat, nawet więcej. Jego trzy osobowości pracują na okrągło i z trudem nadążają.

Mimo to nie może powiedzieć, że żyje w smutku. Czasami myśli o dobrym łotrze, tym, który poszedł do nieba razem z Chrystusem. W piątek po południu krwawisz na kamienistej Golgocie. W piątek wieczorem popijasz herbatkę z Panem. Czasem ktoś go kopnie, ktoś go popchnie, czasem się martwi, że go okradną. I co z tego? Czy nie występuje w imieniu tych wszystkich, którzy mogą tylko stać w cieniu i patrzyć, jak komuś dzieje się krzywda? Czy to nie dla nich żebrze? Czy nie dla nich w 1960 roku zabrał Bobby'emu rękawicę Alvina Darka? Dla

nich. Bógspłać, dla nich. A teraz oni wkładają w nią pieniądze, a on stoi ślepy pod katedrą. Żebrze dla nich.

Sharon wie… właściwie co? Trochę, owszem. Tyle, ile może jej powiedzieć. Na pewno tyle, żeby dostarczała mu złotko, mówiła, że ładnie wygląda w garniturze od Paula Stuarta i niebieskim krawacie. Tyle, że życzy mu dobrego dnia i przypomina, żeby kupił poncz. To wystarczy. W świecie Williego wszystko gra, z wyjątkiem Jaspera Wheelocka. Co ma zrobić z Jasperem Wheelockiem?

Może powinienem za tobą pójść do domu, szepcze głos. Willie przekłada coraz cięższą walizkę do drugiej ręki. Ramiona zaczynają go boleć; z radością dojdzie do swego budynku. Zobaczę, co zrobisz. W kogo się zmienisz.

Co właściwie powinien zrobić ze smerfem Jasperem? Co?

Nie wie.

17.15

Młodzieniec w czerwonej bluzie zniknął już dawno, jego miejsce zajął inny uliczny Mikołaj. Willie bez trudu rozpoznaje młodego przysadzistego faceta, który wrzuca właśnie dolara do kubka świętego Mikołaja.

- Hej, Ralphie! - krzyczy.

Ralph Williamson odwraca się, jego twarz się rozjaśnia na widok Williego. Śnieg pada coraz gęściej; Ralph otoczony światełkami, ze świętym Mikołajem u boku, wygląda jak postać ze świątecznej kartki.

- Hej, Willie! Jak leci?

- Jak krew z nosa. - Willie zbliża się z pogodnym uśmiechem. Stawia walizkę, stęknąwszy, grzebie w kieszeni, znajduje dolara dla Mikołaja. Pewnie kolejny oszust, ale kto by się tam przejmował.

- Co tam masz? - pyta Ralph, spoglądając na walizkę. - Brzęczy jakbyś obrabował czyjąś świnkę-skarbonkę.

- E, to tylko przewody grzewcze. Pewnie z tysiąc.

- Będziesz pracować aż do gwiazdki.

- Jasne - potwierdza Willie i raptem błyska mu myśl, jak może sobie poradzić z Wheelockiem. To tylko błysk, szybko mija, ale co tam, zawsze to jakiś początek. - Aż do świąt. Niegrzeczni chłopcy nie zasługują na wypoczynek.

Miła, szeroka twarz Ralpha rozpromienia się w uśmiechu.

- Chyba nie jesteś taki niegrzeczny?

Willie rewanżuje się tym samym.

- Nigdy nie wiesz, co kryją w głębi serca faceci od instalacji grzewczych. Ale po świętach pewnie zrobię sobie parę dni przerwy. Tak, to chyba dobry pomysł.

- Pojedziesz na południe? Na Florydę?

- Na południe? - Wille spogląda na niego z zaskoczeniem, śmieje się. - E, nie. Nie mogę. Mam masę roboty w domu. Trzeba dbać o dom, bo w końcu dach spadnie ci na głowę przy pierwszym podmuchu wiatru.

- Pewnie tak. - Ralph okręca szalik wyżej. - Zobaczymy się jutro?

- Pewnie. - Willie wyciąga rękę w rękawiczce. - Przybij piątkę.

Ralphie przybija piątkę i odwraca dłoń. Uśmiecha się nieśmiało, lecz z nadzieją.

- I dziesiątkę, Willie.

Willie przybija.

- I jak, dobrze, Ralphie?

Nieśmiały uśmiech zmienia się w chłopięcy radosny śmiech.

- Tak cholernie dobrze, że muszę to zrobić jeszcze raz! - wykrzykuje Ralph i z rozmachem wali w dłoń Williego.

- Jesteś królem, Ralph. Twoje na wierzchu.

- Ty też jesteś królem, Willie - odpowiada Ralph z powagą prymusa, która ma w sobie coś śmiesznego. - Wesołych świąt.

- Wzajemnie. Odprowadza wzrokiem Ralpha brnącego przez śnieg. Za jego plecami uliczny Mikołaj monotonnie potrząsa dzwonkiem. Willie podnosi walizkę i rusza do drzwi. Raptem coś przykuwa jego wzrok. Staje.

- Broda ci się przekrzywiła - mówi do Mikołaja. - Chcesz, żeby ludzie ci wierzyli, to przyklej, kurwa, brodę.

Wchodzi do środka.

17.25

W mniejszym pomieszczeniu GRZEJNIKÓW I KLIMATYZACJI stoi duże pudło. Jest pełne worków, w których banki przechowują monety. Takie worki na ogół noszą nazwy banków, ale te nie - Willie zamawia je u producenta w Moundsville, w Wirginii Zachodniej.

Otwiera walizkę, szybko odkłada zwitki banknotów (zawiezie je do domu w aktówce Marka Crossa), potem przesypuje monety do czterech woreczków. W kącie pokoju stoi stara odrapana metalowa szafka, oznaczona po prostu jako CZĘŚCI. Willie ją otwiera - nie ma w niej zamka - i odsłania jakieś sto pękatych woreczków. Kilkanaście razy rocznie robi wraz z Sharon obchód kościołów w centrum, wrzuca worki do skarbonek, jeśli się zmieszczą, lub zwyczajnie zostawia je pod drzwiami. Lwia część łupu dostaje się Świętemu Patrykowi, pod którym spędza całe dni z ciemnymi okularami i tabliczką.

Ale nie chodzę tam codziennie, myśli, rozbierając się. Nie muszę. I znowu przychodzi mu do głowy, że może Bill, Willie oraz Ślepy Willie Garfield wezmą sobie tydzień wolnego po świętach. Przez ten tydzień zajmie się posterunkowym Wheelockiem. Skłoni go do odejścia. Ale…

- Nie mogę go zabić - mówi cicho, z pretensją. – Będę skurwielem, jeśli go zabiję. - Ale nie o to się martwi. Martwi się, że zostanie potępiony. W Wietnamie zabijanie było inne, ale tu nie Wietnam, tu nie busz. Czy odcierpiał tyle lat pokuty tylko po to, żeby to zniszczyć? Bóg go wystawia na próbę, na próbę, na próbę. Oto odpowiedź. Tak właśnie jest, tak musi być. A on był - cha, cha, proszę wybaczyć ten żarcik - ślepy, skoro tego nie widział.

Czy w ogóle zdoła odnaleźć tego praworządnego skurczybyka? Jasne, bez problemu. Znajdzie tego smerfa Jaspera. Kiedy tylko zechce. Pójdzie za nim tam, dokąd idzie, kiedy kończy służbę. Ale co potem?

Zastanawia się z troską, nakładając na twarz cold cream, by zmyć podkład. Potem odsuwa od siebie troskę. Wyjmuje z szuflady teczkę listopad - grudzień, siada przy biurku i przez dwadzieścia minut pisze „serdecznie przepraszam, że skrzywdziłem Carol”. Wypełnia całą kartkę, od góry do dołu, od marginesu do marginesu. Odkłada ją, przebiera się w rzeczy Billa Shearmana. Odkładając buty Ślepego Williego, dostrzega album w czerwonej okładce. Wyjmuje go, kładzie na katalogach i odwraca okładkę ze złotym słowem WSPOMNIENIA.

Na pierwszej stronie metryka urodzenia - William Robert Shearman, urodzony czwartego stycznia 1946 - i odciski jego maleńkich stopek. Dalej zdjęcia jego i matki, jego z ojcem (Pat Shearman uśmiechnięty, jakby nigdy nie przewrócił syna w wysokim krzesełku i nie uderzył żony butelką piwa), zdjęcia jego z kolegami. Szczególnie często powtarza się Harry Doolin. Na jednej fotografii Harry usiłuje zjeść z zawiązanymi oczami kawałek urodzinowego tortu Williego (prawdopodobnie wynik zakładu). Harry z policzkami usmarowanymi czekoladą śmieje się i wygląda tak, jakby w głowie nie zrodziła mu się ani jedna zła myśl. Willie wzdryga się na widok tej roześmianej, usmarowanej twarzy z zawiązanymi oczami. Prawie przechodzi go dreszcz.

Odwraca kartki, aż na ostatnią stronę, gdzie umieszcza zdjęcia i wycinki z gazet dotyczące Carol Gerber: Carol z matką, Carol z nowo narodzonym bratem, nerwowo uśmiechnięta, Carol z ojcem (on w mundurze marynarki wojskowej, pali papierosa, ona wpatruje się w niego wielkimi oczarowanymi oczami), Carol jako cheerleaderka z liceum Harwich, uchwycona w połowie skoku, w jednej ręce pompon, druga przytrzymuje układaną spódniczkę, Carol i John Sullivan na tronach oklejonych cynfolią w 1965 roku, kiedy wybrano ich na balu królem i królową śniegu. Wyglądają jak para cukrowych figurek z weselnego tortu, ta myśl przychodzi mu do głowy za każdym razem, gdy przygląda się pożółkłemu wycinkowi. Carol ma sukienkę bez ramiączek, ramiona bez skazy. Nic nie wskazuje na to, że niedługo jej lewy bark zostanie ohydnie zdeformowany, zmieni się w garb wiedźmy. Przed tym ostatnim ciosem płakała, bardzo płakała, ale zwykły płacz nie wystarczał Harryemu Doolinowi. Zamachnął się po raz ostatni, od ziemi, kij spadł na nią z łupnięciem, a to łupnięcie brzmiało, jakby maczuga uderzyła w nie całkiem rozmrożony stek, i dopiero wtedy Carol krzyknęła, tak strasznie, że Harry uciekł, nie oglądając się nawet na Williego i Richiego O'Meare. Prysnął jak oparzony, stary Harry Doolin, jak spłoszony królik. A gdyby nie uciekł? Przypuśćmy, że zamiast wziąć nogi za pas, powiedziałby: trzymajcie ją, chłopaki, nie chcę tego słuchać, zaraz zamknę jej buzię - co oznaczałoby, że znów się zamachnie i uderzy, tym razem w głowę? Czy wtedy też by ją trzymali? Czy posłuchaliby go i wówczas?

Wiesz, że tak, myśli tępo. Odprawiasz pokutę za to, co zrobiłeś, i za to, co ci zostało oszczędzone. Wiesz?

Oto Carol Gerber w todze absolwentki, podpis brzmi: wiosna 1966 r. Na następnej stronie wycinki z „Journal", oznaczone podpisem „jesień 1966 r.". Znów jej zdjęcie, ale ta Carol wydaje się oddalona o milion lat od młodej damy z dyplomem w dłoni, w białych szpilkach i ze

skromnie spuszczonymi oczami. Ta dziewczyna jest rozgorączkowana i uśmiechnięta, patrzy prosto w obiektyw. Nie czuje chyba krwi płynącej jej po lewym policzku. Pokazuje znak pokoju. Ta dziewczyna jest już w drodze do Danbury, już kupiła bilet, dokonało się. W Danbury ginęli ludzie, fruwały flaki, a Willie nie ma wątpliwości, że to także jego wina. Dotyka twarzy tej rozgorączkowanej, uśmiechniętej, krwawiącej dziewczyny z transparentem, na którym widnieje napis POWSTRZYMAĆ MORDERCĘ (ale zamiast go powstrzymać, sama dołączyła do grona morderców), i myśli, że tak naprawdę liczy się tylko ta twarz, ta twarz jest duchem jego czasów. Rok 1960 to dym; tutaj mamy ogień. Tu widzimy Śmierć z krwią na policzku, uśmiechem na ustach i transparentem w dłoni. Oto wyrok na Danbury.

Następny wycinek stanowi całą pierwszą stronę z gazety z Danbury. Willie złożył ją trzykrotnie, żeby zmieściła się do albumu. Największa z czterech fotografii ukazuje krzyczącą kobietę na środku ulicy, wznoszącą do góry zakrwawione ręce. Za nią widać ceglany budynek, zmiażdżony jak skorupka jajka. Willie napisał obok „lato 1970 r.”.

SZEŚĆ OFIAR ŚMIERTELNYCH, CZTERNAŚCIORO
RANNYCH PODCZAS ZAMACHU BOMBOWEGO
W DANBURY

Do zamachu przyznała się grupa radykałów. „Nie chcieliśmy nikogo skrzywdzić”, twierdzi nieznajoma kobieta podczas rozmowy z policją.

Grupa - nazywali się Zbrojną Organizacją Studencką dla Pokoju - podłożyła bombę w sali wykładowej w miasteczku akademickim na Uniwersytecie Connecticut. W dniu wybuchu od dziesiątej do czwartej zakłady chemiczne Colemana organizowały tam rozmowy kwalifikacyjne. Bomba miała wybuchnąć o szóstej rano, kiedy budynek był pusty. Stało się inaczej. O ósmej lub dziewiątej ktoś (prawdopodobnie z ZOSP) zadzwonił do ochrony i zgłosił, że w sali wykładowej na parterze podłożono bombę. Oczywiście salę przeszukano pobieżnie, nie zarządziwszy ewakuacji. „To osiemdziesiąte trzecie zgłoszenie w tym roku”, stwierdził anonimowy pracownik ochrony miasteczka akademickiego. Nie znaleziono bomby, choć ludzie z ZOSP przysięgali, że podali jej dokładne położenie - w kanale wentylacyjnym po lewej stronie od korytarza. Istnieją dowody (Willie Shearman uważa, że całkowicie przekonujące), iż kwadrans po dwunastej, gdy w rozmowach nastąpiła przerwa obiadowa, pewna młoda kobieta usiłowała, narażając własne życie i zdrowie, samodzielnie wyjąć bombę. Spędziła w opustoszałej sali jakieś dziesięć minut, po czym wyprowadził ją stamtąd - przemocą - młodzieniec z długimi czarnymi włosami. Woźny,

który ich widział, rozpoznał Raymonda Fieglera, przewodniczącego ZOSP. Młodą kobietą była Carol Gerber.

Dziesięć po drugiej tegoż popołudnia bomba wreszcie wybuchła.

Willie odwraca stronę. Artykuł z „Oklahoman", gazety z Oklahoma City. Kwiecień 1971 roku.

ŚMIERĆ TRZECH RADYKAŁÓW W STRZELANINIE

„Grube ryby uciekły w ostatniej chwili", twierdzi agent FBI.

Grube ryby to John i Sally McBride, Charlie „Duck" Golden, Raymond Fiegler… i Carol. Innymi słowy, pozostali członkowie ZOSP. McBride'owie i Golden zginęli pół roku później w Los Angeles, ktoś w tym płonącym domu ciągle strzelał i rzucał granaty. Fieglera ani Carol nie było w wypalonych ruinach, ale ekipa policyjna znalazła dużo krwi grupy AB plus. Rzadka grupa. Grupa krwi Carol Gerber.

Żyje czy nie? Willie zadaje sobie to pytanie każdego dnia.

Odwraca kolejną stronę albumu ze świadomością, że powinien przestać, wrócić do domu, Sharon będzie się martwić, jeśli do niej nie zadzwoni (zadzwoni, zadzwoni, z parteru, Sharon ma rację, jest bardzo odpowiedzialny), ale na razie nie może się powstrzymać.

Nagłówek nad fotografią osmalonej czaszki w domu na Benefit Street pochodzi z „Timesa" z Los Angeles.

ŚMIERĆ TROJGA Z „DWUNASTKI Z DANBURY"

Policja podejrzewa zbiorowe samobójstwo.

Tylko Fieglera i Gerber nie odnaleziono.

Ale policjanci uznali, że Carol nie żyje. Z artykułu wynikało to całkiem jasno. W tamtych czasach Willie też był tego pewien. Ta krew… Jednak teraz…

Żyje czy nie? Czasami serce mu podpowiada, że krew to nic, Carol uciekła z tego małego domku na długo przez ostatnim aktem szaleństwa. Innym razem wydaje mu się, że policja ma rację - że wymknęła się z Fieglerem po pierwszej strzelaninie, zanim policja otoczyła dom, i albo umarła w wyniku postrzału podczas strzelaniny, albo zabił ją Fiegler, ponieważ opóźniała ucieczkę. Jeśli to prawda, rozgorączkowana dziewczyna z krwią na policzku i transparentem w ręku jest już tylko workiem kości, smażącym się na jakiejś pustyni, na wschód od słońca i na zachód od Tonopa.

Willie dotyka fotografii spalonego domu na Benefit Street… i nagle przypomina sobie nazwisko człowieka, któremu prawdopodobnie zawdzięczają, że Dong Wa nie stało się kolejnym My Lai lub My Khe. Slocum. Tak się nazywał. Zupełnie jakby szepnęły mu to osmalone belki i wybite okna.

Zamyka album i odkłada go. Czuje ulgę. Kończy to, co ma do załatwienia w biurze GRZEJNIKÓW I KLIMATYZACJI, ostrożnie wychodzi przez ukryte drzwi i staje na drabince piętro niżej. Sięga po walizkę i przeciąga ją na dół.

Schodzi na trzeci stopień, zamyka drzwi przejścia i zasuwa panel sufitu.

On nic nie może zrobić posterunkowemu Jasperowi… nic radykalnego… ale Slocum mógłby. O tak, on na pewno by mógł. Oczywiście Slocum był czarny, ale co z tego? W nocy wszystkie koty są czarne… a dla ślepych kolory w ogóle nie istnieją. Czy od Ślepego Williego Garfielda do Ślepego Williego Slocuma jest aż tak daleko? Skąd. Jeden krok.

- Czy słyszysz, co ja słyszę - podśpiewuje pod nosem, składając drabinkę i odnosząc ją na miejsce. - Czy czujesz, co ja czuję, czy smakujesz, co ja smakuję?

Pięć minut później zamyka mocno drzwi ANALITYKA STANÓW ZACHODNICH i przekręca klucz w trzech zamkach. Idzie korytarzem. Nadjeżdża winda, do której wsiada, myśląc: poncz. Nie zapomnij. Allenowie i Dubrayowie.

- I cynamon - dodaje głośno.

Trzy osoby z windy oglądają się na niego; Bill uśmiecha się z zakłopotaniem.

Rusza na dworzec; gdy śnieg uderza mu prosto w twarz, a on podnosi kołnierz kurtki, po głowie tłucze się mu jedna myśl: Mikołaj sprzed wejścia jednak przykleił sobie brodę.

Północ

- Share?

- Mmm?

Ma senny, odległy głos. Dubrayowie wyszli wreszcie o jedenastej, a oni kochali się powoli i długo. Teraz Sharon zasypia. To dobrze; on też zapada w drzemkę. Ma wrażenie, że wszystkie jego problemy rozwiązują się same… albo że rozwiązuje je Bóg.

- Po świętach zrobię sobie jakiś tydzień wolnego. Zajmę się inwentaryzacją. Poszukam nowego lokum. Zamierzam zmienić siedzibę biura. - Sharon nie musi wiedzieć, co Willie Slocum zaplanował sobie na ostatni tydzień starego roku. Tylko by się martwiła, a on - może tak, może nie, nie ma sensu się dowiadywać - czułby się winny.

- Dobrze. Może pójdziemy do kina? - Sharon wyciąga rękę w ciemnościach i lekko dotyka jego ramienia. - Tak ciężko pracujesz… I pamiętałeś o ponczu. Naprawdę, nie spodziewałam się. Bardzo mnie ucieszyłeś, kochanie.

Na co on uśmiecha się w ciemnościach, nie chce, ale musi. Cała Sharon.

- Allenowie są w porządku, ale Dubrayowie strasznie nudzą, prawda?

- Troszeczkę - przyznaje Bill.

- Gdyby zrobiła sobie większy dekolt, dostałaby robotę w barze topless.

Nie odpowiada, lecz znów się uśmiecha.

- Było fajnie, prawda? - pyta Sharon.

Nie chodzi jej o przyjęcie.

- Wspaniale.-

- Miałeś dobry dzień? Nawet nie zdążyłam spytać.

- Doskonały.

- Kocham cię, Bill.

- Ja także cię kocham.

- Dobranoc.

- Dobranoc.

Zasypiając myśli o mężczyźnie w czerwonym narciarskim swetrze. Nie zdaje sobie sprawy, że zapada w sen.

- Sześćdziesiąty dziewiąty i siedemdziesiąty były ciężkie - mówi ten w czerwonym swetrze. - Byłem z 3/187 na Hamburger Hill. Straciliśmy wielu dobrych ludzi. - Potem się rozpogadza. - Ale dostałem to. - Z lewej kieszeni wyjmuje białą brodę na gumce. - I to. - Z prawej wyciąga pogięty styropianowy kubek, którym potrząsa. Na jego dnie drobne monety szczękają jak zęby. - Sam rozumiesz, że to wynagradza nawet największą ślepotę.

W końcu sen się rozwiewa i Bill Shearman śpi twardo aż do szóstej piętnaście następnego dnia, kiedy radio z budzikiem wyrywa go z niebytu dźwiękami „Małego dobosza”.

1999: Kiedy ktoś umiera, myślisz o przeszłości.

Dlaczego jesteśmy w Wietnamie

Kiedy ktoś umiera, myślisz o przeszłości. Smutny John wiedział o tym od lat, ale dopiero w dniu pogrzebu Pagsa ta myśl skrystalizowała się mu jako świadomy postulat.

Minęło dwadzieścia sześć lat od czasu, gdy helikoptery zabrały ostatnią partię uchodźców (niektórzy fotogenicznie zwisali z płóz) z dachu ambasady USA w Sajgonie i niemal trzydzieści od dnia, w którym huey ewakuował Johna Sullivana, Willie Shearmana i pewnie jeszcze z dziesięciu z prowincji Dong Ha. Smutny John i jego cudownie odnaleziony kolega z dzieciństwa stali się bohaterami tego ranka, gdy helikoptery zstąpiły z nieba. Koło popołudnia byli już kim innym. Smutny pamiętał jeszcze, jak leżał na dygocącej podłodze hueya i darł się, żeby go ktoś zabił. Pamiętał także krzyki Williego. Jestem ślepy, wył Willie. Jezu, kurwa, jestem ślepy!

Wreszcie dotarło do niego - choć flaki nadal mu zwisały z brzucha szarawymi sznurami, a jaja prawie całkiem mu odpadły - że nikt nie spełni jego życzenia, a on sam sobie z tym nie poradzi. Przynajmniej nie tak szybko, jak by chciał. Więc poprosił kogoś, żeby się pozbył *mamasan,* tyle chyba mogli zrobić? Wysadzić albo wyrzucić w cholerę, czemu nie? Przecież już nie żyła. Problem w tym, że nie chciała przestać na niego patrzyć, a on miał jej dość.

Zanim zabrali jego, Shearmana i jeszcze z pół tuzina innych - najgorsze przypadki - do szpitala polowego w jakimś punkcie zbornym, zwanym Siusiu City (chłopaki z helikopterów pewnie pozbyli się ich z ulgą, przez ten wrzask), dotarło do niego, że tylko on widzi starą *mamasan,* kucającą obok niego, starą siwowłosą *mamasan* w zielonych spodniach, pomarańczowej bluzce i tych dziwnych jaskrawych chińskich tenisówkach, bardzo czerwonych. Stara *mamasan* przyszła na spotkanie z Malenfantem, rekinem kart. Tego samego dnia Malenfant wbiegł na polankę ze Smutnym, Dieffenbakerem, Sly Slocumem i innymi, mniejsza o żółtki strzelające z buszu, mniejsza o straszny tydzień pełen moździerzy, snajperów i zasadzek. Malenfant chciał być bohaterem, tak jak John, a teraz patrzcie, co się porobiło, Ronnie Malenfant jest mordercą, chłopak, którego Smutny kiedyś się tak bał, ocalił mu życie i stracił wzrok, a sam Smutny znalazł się na podłodze helikoptera z flakami powiewającymi na wietrze. Jak powiada Art Linkletter, to tylko dowodzi, że ludzie są śmieszni.

Zabijcie mnie, wył tego jasnego i strasznego popołudnia. Zabijcie mnie, zastrzelcie, dajcie mi umrzeć, na litość boską.

Ale nie umarł, lekarze ocalili mu jedno jądro i ostatnio zdarzyło mu się parę razy ucieszyć, że żyje. Czuje to zwłaszcza na widok zachodu słońca. Lubi wychodzić na parking, gdzie stoją samochody już kupione, lecz jeszcze nie wyremontowane, i przyglądać się, jak słońce osuwa się w dół.

W San Francisco Willie leżał na tym samym oddziale i często go odwiedzał, dopóki dowódcy w swej mądrości nie przenieśli go gdzieś indziej. Całymi godzinami rozmawiali o dawnych dniach w Harwich i ludzie wiedzieli, że się znają. Raz jeden fotoreporter zrobił im zdjęcie - Willie siedzi na łóżku Smutnego Johna, obaj się śmieją. Oczy Williego powoli zaczęły wyglądać lepiej, choć ciągle nie było z nimi dobrze. Willie zwierzył się mu, że pewnie nigdy już nie będzie dobrze. Artykuł, który znalazł się w gazecie razem ze zdjęciami, był cholernie głupi, ale ile po nim dostali listów! Jezu Chryste! W życiu nie zdołaliby ich wszystkich przeczytać. Smutny wbił sobie nawet do głowy, że Carol się do niego odezwie, ale oczywiście tak się nie stało. Była wiosna 1970 roku i Carol Gerber pewnie mała pełne ręce roboty z paleniem marychy i obciąganiem jakimś pacyfistom, podczas gdy jej dawny chłopak dał sobie urwać jaja na drugim krańcu świata. Masz rację, Art, ludzie są śmieszni.

Kiedy Willie wypisał się z wojny, stara *mamasan* została. Stara *mamasan* została razem z nim. W trakcie siedmiu miesięcy rekonwalescencji w szpitalu dla weteranów w San Francisco przychodziła codziennie, co noc, była jego najwierniejszym gościem w te niekończące się dni, kiedy cały świat śmierdział szczynami, a serce bolało go najbardziej ze wszystkiego. Czasami pokazywała się jak gospodyni w jakimś idiotycznym *luau,* czasem nosiła dziewczęce zielone spódniczki i bezrękawniki obnażające chude ramiona… ale na ogół miała na sobie to, co tamtego dnia, gdy Malenfant ją zabił - zielone spodnie, pomarańczową bluzkę, czerwone tenisówki z chińskimi symbolami.

Pewnego dnia tamtego lata otworzył „Chronicle" i przekonał się, że jego dawna dziewczyna dotarła na pierwszą stronę. Jego dawna dziewczyna wraz ze swymi koleżkami, hipisami, zabiła w Danbury sporo studentów oraz ludzi, którzy chcieli ich zatrudnić.

- Ty cipo - powiedział, gdy gazeta się rozdwoiła, potem roztroiła, wreszcie rozprysnęła na dziesiątki pryzmatów. - Ty głupia, pieprznięta cipo. - Zmiął gazetę, chcąc nią rzucić o ścianę, a tam siedziała jego nowa dziewczyna, stara *mamasan,* spoglądająca na niego czarnymi oczami. Na ten widok całkiem się rozkleił. Przybiegła pielęgniarka, ale on nie potrafił jej powiedzieć, dlaczego płacze. Wiedział tylko, że świat oszalał, a on chce zastrzyk, i wreszcie pielęgniarka

znalazła lekarza, który mu go zrobił i ostatnim jego widokiem przez zapadnięciem ciemności była *mamasan,* stara przeklęta *mamasan* przy jego łóżku, siedząca ze zżółkłymi dłońmi na kolanach okrytych zielonym poliestrem i patrząca na niego.

Przyjechała z nim do kraju, aż do Connecticut, usadowiona wygodnie po drugiej stronie rzędu w klasie turystycznej. Siedziała obok biznesmena, który oczywiście nie widział jej tak samo jak załoga helikoptera i Willie Shearman, a także wszyscy z Pałacu Cipek. W Dong Ha umówiła się z Malenfantem, ale teraz była dziewczyną Johna Sullivana i nie odrywała od niego czarnych oczu nawet na minutę. Żółte, pomarszczone dłonie zawsze trzymała splecione na podołku, a oczy wbijała w niego.

Przez trzydzieści lat. Jezu, sporo.

Ale z czasem widywał ją coraz rzadziej. Na jesieni 1970 roku, gdy wrócił do Harwich, widywał starą *mamasan* codziennie - jadła hot doga w parku lub u stóp żelaznych schodków prowadzących na stację kolejową, która pochłaniała i wypluwała strumienie dojeżdżających, albo po prostu spacerował po Main Street. Zawsze na niego patrzyła.

Raz, tuż po tym, jak dostał pierwszą pracę po Wietnamie (oczywiście przy sprzedawaniu samochodów, tylko na tym naprawdę się znał), zobaczył starą *mamasan* siedzącą na fotelu obok kierowcy w fordzie LTD rocznik 1968 z napisem na przednim szybie: NA SPRZEDAŻ!

Z czasem zaczniesz ją rozumieć, powiedział mu psychoterapeuta z San Francisco i nie dodał nic więcej, choć Smutny go ostro przyciskał. Chciał, żeby John mu opowiedział o helikopterach, które na siebie wpadły i runęły w dół; chciał wiedzieć, dlaczego tak często nazywał Malenfanta „przeklętym karciarzem" (John mu nie powiedział), chciał też wiedzieć, czy Smutny nadal miewa fantazje seksualne, a jeśli tak, to czy pojawiła się w nich agresja. Smutny nawet go polubił - nazywał się Conroy - ale to i tak był dupek. Raz, prawie pod koniec pobytu w San Francisco, omal nie opowiedział mu o Carol. Cholernie dobrze, że tego nie zrobił. Nie wiedział, co ma myśleć o swojej dawnej dziewczynie, więc jak mógł o niej mówić? (Conroy nazywał ten stan konfliktem). Powiedział o niej „pieprznięta cipa", ale czy cały świat nie był pieprznięty? Mało kto wie lepiej od Johna Sullivana, jak często agresja zrywa się ze smyczy. Wiedział na pewno tylko jedno: że chciałby, aby policjanci jej nie zabili, kiedy wreszcie złapią ją i jej koleżków.

Doktor Conroy, dupek czy nie, nie pomylił się co do tego, że John z czasem zacznie rozumieć starą *mamasan.* Najważniejsze było zrozumienie - na poziomie trzewi - że starej

mamasan tu nie ma. Wiedza, która płynie z głowy, jest łatwa, ale trzewia uczą się powoli, może dlatego, że wyleciały mu z brzucha w Dong Ha, a coś takiego musi spowolnić każdy proces.

Pożyczył parę książek od doktora Conroya, a szpitalny bibliotekarz dał mu jeszcze kilka innych. Z tych książek wynikało, że stara *mamasan* w zielonych spodniach i pomarańczowej bluzce jest „uzewnętrznioną fantazją" służącą za „mechanizm pomocniczy", dzięki któremu miał się uporać z „poczuciem winy ocalonego" oraz „zespołem posttraumatycznego stresu". Innymi słowy, była zjawą.

Mniejsza o to. W miarę jak zaczęła się mu pojawiać rzadziej, zmienił swój stosunek do niej. Zamiast wstrętu czy jakiegoś przesądnego przerażenia na jej widok odczuwał prawie radość. Jak wtedy, gdy zobaczy się dawnego przyjaciela, który wyjechał z miasta, ale czasem wpada z krótką wizytą.

Zamieszkał w Milford, mieście oddalonym o jakieś dziesięć kilometrów na północ od Harwich i tysiące lat świetlnych w innym znaczeniu. W czasach jego dzieciństwa, gdy się kumplował z Bobbym Garfieldem i Carol Gerber, Harwich było przyjemnym, zadrzewionym przedmieściem. Teraz rodzinne miasteczko nie było już miejscem, do którego wraca się wieczorem, lecz ponurym przedmieściem Bridgeport. Nadal często tam bywał, na parkingu lub w biurze (cztery lata temu dostał Złotą Gwiazdę dla sprzedawców samochodów, ale codziennie - o szóstej, a już na pewno o siódmej - odjeżdżał do Milford swoim caprice. Zwykle odczuwał nieświadomą, lecz szczerą i głęboką ulgę.

Tego letniego dnia jak zwykle jechał z Milford na południe, autostradą 1-95, choć tym razem było nieco później i nie zjechał przy znaku ASHER AVENUE HARWICH. Dziś skierował się dalej na południe w swoim nowym modelu reprezentacyjnym (niebieskim z czarnymi oponami, zawsze go bawiło, że ludzie na jego widok zwalniają - brali go za gliniarza), do samego Nowego Jorku.

Zostawił samochód u Arniego Mossberga, w salonie samochodowym na West Side (kiedy się sprzedaje chevrolety, nigdy się nie ma kłopotów z parkowaniem, to jeden z plusów), obejrzał parę wystaw po drodze do centrum, zjadł stek w „Palm Too" i poszedł na pogrzeb Pagano.

Pags był tamtego ranka na miejscu katastrofy helikoptera. Znajdował się też wśród tych, którzy wpadli w zasadzkę, a atak zainicjował Smutny John we własnej osobie, gdy nastąpił na minę czy też przerwał jakiś drut. Ze wszystkich stron wyskoczyły małe ludziki w czarnych piżamach i rany boskie, co się zaczęło dziać. Pags chwycił Wollensky'ego, który dostał w gardło.

Zaniósł go na polanę, ale po drodze Wollensky umarł. Pags był cały w jego krwi (Sullivan nie przypomina sobie tego widoku; wtedy był już we własnym prywatnym piekle), lecz pewnie przyjął to nawet z pewną ulgą, ponieważ stanowiło to zadośćuczynienie za inną krew, która jeszcze nie zdążyła dobrze wyschnąć. Pagano stał na tyle blisko, że obryzgała go krew kumpla Malenfanta, którego zastrzelił Slocum. I krew Clemsona, i mózg Clemsona.

Smutny nigdy nie wspomniał ani słowem o tym, co się przydarzyło Clemsonowi, ani doktorowi Conroyowi, ani w ogóle nikomu. Trzymał gębę na kłódkę. Jak wszyscy pozostali.

Pags umarł na raka. Za każdym razem, gdy umierał któryś z kolegów z Namu (no, może nie całkiem kolegów, z tymi chomątami John by się normalnie nie zaprzyjaźnił, ale tak się nazywali, bo nie wymyślono jeszcze odpowiedniego słowa na określenie tego, kim dla siebie byli), to zawsze na raka, z przedawkowania albo z własnej ręki. Na ogół rak zaczynał się w płucach lub mózgu, a potem rozprzestrzeniał się na wszystko, jakby ich układ odpornościowy został w buszu. U Dicka Pagano był to rak trzustki - on i Michael Landon. Choroba gwiazd. Trumna była otwarta i stary Pags nie wyglądał źle. Żona kazała go ubrać w zwykły garnitur, nie w mundur. Pewnie nawet nie przyszło jej to do głowy, mimo tych wszystkich odznaczeń. Pags chodził w mundurze raptem przez dwa lub trzy lata, czas jak sen, jak odsiadka w pudle za coś zupełnie przypadkowego, co się zrobiło przez nieszczęśliwy zbieg okoliczności albo po pijanemu. Powiedzmy, za zabicie faceta podczas bójki w barze albo spalenie kościoła, w którym była żona naucza w szkółce niedzielnej. Żaden z chłopaków, z którymi służył Smutny, nie chciał być pochowany w mundurze. On też nie.

Dieffenbaker - John nadal myślał o nim jako o nowym poruczniku - też pojawił się na pogrzebie. Nie widział go od dawna. Ależ się nagadali! Choć właściwie gadał głównie Dieffenbaker. John nie sądził, żeby gadanie robiło jakąś różnicę, ale ciągle myślał o tym, co powiedział porucznik. I jaki był wściekły, to przede wszystkim. Myślał o tym w drodze powrotnej do Connecticut.

Koło drugiej był już na moście Triborough, więc jeszcze zdążył przed korkami.

- Na Triborough trasa przejezdna - jak to ujął reporter z helikoptera. W tych czasach helikopterów używa się do takich rzeczy: obserwacji dróg wjazdowych i wyjazdowych wokół amerykańskich miast.

Gdy na północ od Bridgeport trasa zaczęła się korkować, John nawet tego nie zauważył. Przestroił radio na stare przeboje i zamyślił się nad Pagsem i jego harmonijką. Schemat jak z

filmu wojennego, zabiedzony żołnierz z harmonijką ustną, ale Pagano, na Boga, Pagano potrafił doprowadzić człowieka do szału. Grał dniem i nocą, aż wreszcie któryś chłopak - może Hexley albo nawet Garrett Slocum - zapowiedział mu, że jak nie przestanie, to na Boga, obudzi się pewnego ranka z pierwszym na świecie gwiżdżącym implantem w odbytnicy.

Im dłużej się nad tym zastanawiał, tym bardziej się upewniał, że to Sly Slocum powiedział o tym implancie.

Wielki czarny facet z Tulsa, uważał, że Sly and Family Stone to najlepsza grupa na świecie, stąd przydomek, i za nic nie chciał uwierzyć, że inny jego ukochany zespół, Rare Earth, jest biały. Smutny przypominał sobie, jak Deef (było to, zanim Dieffenbaker został nowym porucznikiem i skinął głową do Slocuma, prawdopodobnie najważniejszy gest, jaki kiedykolwiek zrobił lub miał zrobić) klarował Slocumowi, że ci faceci są tak samo biali jak skurwiel Bob Dylan. Slocum to przemyślał, po czym odpowiedział z rzadką u niego powagą:

- Nie pierdol. Chłopaki z Rare Earth są czarni. Nagrywają dla Motown, a wszystkie zespoły Motown są czarne, wszyscy o tym wiedzą. Supremes, Temps, Smokey Robinson i The Miracles. Szanuję cię, Deef, nie dam na ciebie słowa powiedzieć, ale jak mi będziesz dalej wciskać te głupoty, mordę ci rozwalę.

Slocum nienawidził dźwięku harmonijki. Harmonijka kojarzyła się mu z białymi wsiokami. Gdy mu się mówiło, że Dylan nie jest obojętny wobec wojny, pytał, jak to się stało, że ten skurczysyn jeszcze tu nie przyjechał razem z Bobem Hope'em.

- Powiem wam dlaczego - dodawał. - Bo się boi, dlatego! Spietrany wsiok z harmonijką!

Myśli o Dieffenbakerze gadającym o latach sześćdziesiątych. Myśli o tych dawnym nazwiskach, twarzach i czasach. Nie zauważa, że zwolnił ze stu dwudziestu do stu, ze stu do osiemdziesięciu. Na wszystkich czterech pasach zrobiło się tłoczno. Przypomniał sobie, jak wtedy wyglądał Pags - chudy, czarnowłosy, z policzkami jeszcze obsypanymi końcówką trądziku młodzieńczego, z karabinem i dwoma harmonijkami Hohnera (jedna w C, druga w G) za paskiem wojskowych spodni. Czyli trzydzieści lat temu. Odjąć jeszcze dziesięć i Smutny staje się chłopcem z Harwich, kumplującym się z Bobbym Garfieldem i marzącym, by Carol Gerber choć raz spojrzała na niego, Johna Sullivana, takim wzrokiem jak na Bobby'ego.

Po jakimś czasie naturalnie zaczęła na niego spoglądać, ale nigdy tak samo. Czy to dlatego, że nie miała już jedenastu lat? A może dlatego, że nie był Bobbym? Nie wiedział. Samo spojrzenie także było tajemnicze. Dawało do zrozumienia, że Bobby ją zabija, a ona się z tego

cieszy, że mogłaby tak umierać, aż gwiazdy zaczną spadać z nieba, rzeki popłyną w górę źródeł i wszystkie słowa „Louie Louie” zostaną poznane.

Co się dzieje z Bobbym Garfieldem? Pojechał do Wietnamu? Został dzieckiem-kwiatem? Ożenił się, miał dzieci, umarł na raka trzustki? Smutny nie miał od niego znaku życia. Wiedział tylko, że latem 1960 roku Bobby przeszedł jakąś zmianę - tego lata, gdy John wygrał darmowy tydzień na obozie YMCA nad Lake George - i wyjechał z matką z miasta. Carol została do matury i choć nigdy na niego nie patrzyła tak jak na Bobby’ego, to Smutny był jej pierwszym chłopakiem, a ona jego pierwszą dziewczyną. Pewnej nocy na wsi, za jakąś oborą pełną ryczących krów. John nadal pamiętał słodki zapach perfum na jej szyi.

Skąd to dziwne skojarzenie Pagana w trumnie z przyjaciółmi jego dzieciństwa? Może dlatego, że Pags dość przypominał Bobby’ego z tamtych minionych dni. Bobby miał włosy ciemnorude, nie czarne, ale był tak samo chudy, miał pociągłą twarz… i piegi. Tak! Pags i Bobby mieli mnóstwo piegów na policzkach i nosie. A może tylko dlatego, że kiedy ktoś umiera, myślisz o przeszłości, przeszłości, pieprzonej przeszłości.

Teraz caprice sunie dziesięć kilometrów na godzinę, a korek zaczyna się daleko jak cholera, tuż przed zjeździe na Harwich, czego John nadal nie dostrzega. W WKND, najstarszej stacji radiowej ? and The Mysterians śpiewają „96 łez”, a on myśli o tym, jak szedł w kaplicy za Dieffenbakerem, aż do trumny, by spojrzeć na Pagana przy dźwiękach hymnu z taśmy. Wszelkie podobieństwo do Bobby’ego dawno przeminęło, Smutny zauważył to od pierwszej chwili. Facet od balsamowania zwłok dobrze się sprawił, ale nie zdołał zatuszować obwisłej skóry i ostrej linii brody Pagsa, charakterystycznych cech człowieka poddanego cudownej diecie rakowej, o której nigdy nie piszą w gazetach dla pań, a która polega na tym, żeby dawać się naświetlać i wstrzykiwać sobie trujące chemikalia, poza tym można jeść, co się chce.

- Pamiętasz tę harmonijkę? - spytał Dieffenbaker.

- Pamiętam - powiedział Smutny. - Pamiętam wszystko.

Zabrzmiało to dość dziwnie, więc Dieffenbaker na niego zerknął.

Przed oczami Smutnego stanęło czyste, krystaliczne wspomnienie Deefa tego dnia, gdy Malenfant, Clemson i inne palanty nagle zaczęli odreagowywać zgrozę tego ranka… i całego tygodnia. Chcieli coś z tym zrobić, z nocnym wyciem, kanonadą moździerzy i wreszcie z płonącymi helikopterami, które spadły z wirującymi śmigłami, w kłębach własnej śmierci. Siup z nieba i łubudu! A ludziki w czarnych piżamach strzelały w Deltę dwa-dwa i Bravo dwa-jeden jak

w kaczy kuper. Smutny John biegł w Williem Shearmanem z prawej i porucznikiem Packerem z przodu; potem porucznik Packer dostał w twarz i przed Johnem nie było już nikogo. Po lewej miał Ronniego Malenfanta, który wrzeszczał przenikliwie, jak to on, bez chwili przerwy, jak jakiś oszalały handlarz na amfetaminie:

- No chodźcie, pierdolone żółtki! No chodźcie, wy pierdoły! Strzelcie we mnie, skurwiele! Kurewskie skurwiele! Strzelać nie umiecie!

Z tyłu biegł Pagano, Slocum za nim. Paru chłopaków z Bravo, choć głównie z Delty, tak wyglądały jego wspomnienia. Willie Shearman darł się na swoich, ale wielu zostało z tyłu. Ci z Delty nie. Był tu Clemson i Wollensky, był Hackermeyer; zadziwiające, że nadal pamięta ich nazwiska, nazwiska i zapach tamtego dnia. Zapach dżungli i nafty. Kolor nieba, błękit z zielenią i, rany boskie, jaka strzelanina, ale to jaka! Nie można zapomnieć tej strzelaniny ani podmuchów powietrza od przelatujących w pobliżu pocisków, i Malenfanta, który się darł:

- No strzelać, żółte pierdoły! Nie umiecie! Ślepe czy jak? No strzelać, tu jestem! Pierdolone ślepe ciotowate palanty, tu jestem!

Chłopaki z palących się helikopterów też wrzeszczeli, więc ich uciszyli, wyciągnęli gaśnice pianowe i wyciągnęli ich, ale to już nie byli ludzie, nie można ich tak nazwać, te wyjące steki, steki z oczami, klamrami pasków i tymi rozcapierzonymi palcami, ze smużkami dymu unoszącymi się ze stopionych paznokci, aha, właśnie, takich rzeczy nie można opowiedzieć ludziom w rodzaju doktora Conroya, nie można opowiedzieć, jak się rozpadali, kiedy ich wyciągali, jak skóra z nich złaziła gładko jak z pieczonego indyka, razem z gorącym stopionym tłuszczem spod spodu, właśnie, i przez cały czas zapach dżungli i nafty, i wszystko to się dzieje na twoich oczach, a ty możesz tylko próbować to wytrzymać.

To przez tamten poranek, tamte helikoptery, coś takiego musiało doprowadzić do czegoś więcej. Tego samego popołudnia, gdy dotarli do tej gównianej wioski, nadal nieśli na sobie smród zwęglonych pilotów, dawny porucznik nie żył, a niektórym jego ludziom - Ronniemu Malenfantowi i jego kumplom, jeśli chodzi o konkrety - nieco odbiło. Dieffenbaker został nowym porucznikiem i od razu okazało się, że dowodzi oddziałem szaleńców, którzy chcą zabijać wszystkich - dzieci, starców, stare *mamasan* w czerwonych chińskich tenisówkach.

Helikoptery spadły o dziesiątej. Koło czternastej zero pięć Ronnie Malenfant wbił bagnet w brzuch starej kobiety i oznajmił, że zamierza odciąć łeb tej maciorze. Około szesnastej

piętnaście świat wybuchł Johnowi Sullivanowi prosto w twarz. To był jego wielki dzień w prowincji Dong Ha.

Stojący między dwiema chałupami na jedynej uliczce wioski Dieffenbaker wyglądał jak przestraszony szesnastolatek. Ale nie miał szesnastu lat, tylko dwadzieścia pięć, dużo więcej niż Smutny i pozostali. Jedynym żołnierzem równym mu wiekiem i rangą był Willie Shearman, który jakoś się nie rwał do akcji. Być może wyczerpała go poranna akcja ratunkowa. A może zauważył, że znowu prowadzi Delta dwa-dwa. Malenfant ryczał, że jak ci z Wietkongu zobaczą kilka głów na kijach, nie będą tacy wyrywni do zadzierania z Deltą. Ten głos nie milkł ani na chwilę, przenikliwy głos ulicznego sprzedawcy. Gracz. Rekin kart. Pags miał harmonijkę, Malenfant - talię cholernych kart. Kierki, to lubił. Piątka za punkt, jeśli to on go zbierał, cent za punkt, jak nie mógł. „No, chłopaki! - ryczał tym świdrującym głosem, od którego - John mógłby przysiąc - ludziom leciała krew z nosa, a szarańcze padały w locie. - No, chłopaki, gacie w garść, polujemy na Sukę!".

John przypomniał sobie, jak stał na tej ulicy i przyglądał się bladej, wyczerpanej, zdezorientowanej twarzy nowego porucznika. On sobie nie poradzi, myślał. Nie wiem, co trzeba zrobić, żeby nie dopuścić do nieszczęścia, ale on tego też nie wie. Ale wtedy Dieffenbaker się pozbierał i skinął głową do Sly Slocuma. Slocum nie wahał się ani przez chwilę. Slocum, stojący na ulicy obok przewróconego krzesła z chromowanymi nogami i czerwonym siedzeniem, wziął karabin, wycelował i jednym czystym strzałem rozwalił głowę Ralphowi Clemsonowi. Pagano, stojący obok i gapiący się na Malenfanta, prawie nie zauważył, że obryzgało go od stóp do głów. Clemson padł trupem na miejscu i na tym zabawa się skończyła. Do widzenia, ślepa Gienia.

Dieffenbaker z pogrzebu miał solidny brzuszek i dwuogniskowe okulary. Stracił też prawie wszystkie włosy. Smutny przyglądał się mu ze zdumieniem, ponieważ jeszcze pięć lat temu, na spotkaniu oddziału w Jersey, Deef był kudłaty jak małpa. John przysiągł sobie wtedy, że więcej nie spotka się z tymi facetami. Nie stawali się lepsi. Nie stawali się fajniejsi. Na każdym spotkaniu czuł się coraz gorzej.

- Chcesz wyjść na dymka? - spytał nowy porucznik. - A może rzuciłeś, jak wszyscy?

- Rzuciłem jak wszyscy, tak jest. - Stanęli nieco na lewo od trumny, by reszta żałobników też mogła spojrzeć na zmarłego. Rozmawiali cicho, muzyka z kasety zagłuszała ich bez trudu. Teraz był to „The Old Rugged Cross", przynajmniej tak się wydawało Johnowi.

- Pags wolałby pewnie…

- „Goin" Up th Country" albo „Let's Work Together" - dokończył Dieffenbaker z uśmiechem.

Smutny John także się uśmiechnął. Była to jedna z tych niespodziewanych chwil, jak krótki przebłysk słońca w deszczowy dzień. Dobrze jest sobie przypomnieć coś podobnego, jedną z chwil, kiedy było się - dziwne - prawie zadowolonym, że się tam przyjechało.

- Albo „Boom Boom" Animalsów - dodał.

- Pamiętasz, jak Sly Slocum zagroził, że wsadzi Pagsowi tę harmonijkę w dupę, jeśli Pags nie przestanie grać?

Sully przytaknął, ciągle uśmiechnięty.

- Miał ją wsadzić tak głęboko, żeby Pags mógł wypierdzieć „Red River Valley". - Zerknął ciepło na trumnę, jakby Pagano też mógł się uśmiechnąć na to wspomnienie. Ale Pagano się nie uśmiechał. Leżał z umalowaną twarzą. Pagano odszedł na wieki. - Coś ci powiem. Wyjdę z tobą i popatrzę, jak palisz.

- Zrobione. - Dieffenbaker, który niegdyś dał znak swojemu żołnierzowi, by zabił jednego ze swoich, ruszył do bocznego wyjścia z kaplicy, z łysą głową lśniącą różnymi kolorami od witraży. Za nim, kulejąc - kulał już ponad pół życia i przestał na to zwracać uwagę - podążał John Sullivan, dealer chevroleta, zdobywca Złotej Gwiazdy.

Samochody na 1-95 zwolniły jeszcze bardziej, a potem całkiem stanęły, od czasu do czasu przesuwając się o parę centymetrów na wszystkich pasach. W radiu ? and The Mysterians ustąpili miejsca Sly and The Family Stone - „Dance to the Music". Cholerny Slocum by się ucieszył, zacząłby na pewno jak wariat skakać na siedzeniu. Smutny zgasił silnik pokazowego caprice i zaczął wystukiwać rytm na kierownicy. Piosenka dobiegła do końca; John spojrzał na prawo i oczywiście obok niego siedziała *mamasan.* Nie skakała na siedzeniu, siedziała nieruchomo, z żółtymi rękami na podołku i tymi obłędnie czerwonymi tenisówkami na plastikowej macie z napisem CHEVROLET SULLIVANA CENI TWOJĄ PRACĘ.

- Sie masz, stara suko - odezwał się Smutny John, raczej zadowolony niż zaniepokojony. Kiedy to ostatnio mu się pokazała? Chyba na przyjęciu noworocznym u Tacklinów, gdy spił się jak świnia. - Czemu nie przyszłaś na pogrzeb Pagsa? Nowy porucznik o ciebie pytał.

Nie odpowiedziała, ale w ogóle była małomówna. Siedziała ze splecionymi rękami, wbijając w niego czarne oczy, upiorna wizja w zieleni, pomarańczu i czerwieni. Stara *mamasan* nie przypominała ducha z hollywoodzkich filmów, nie była przezroczysta, nigdy nie zmieniała

kształtu, nie rozwiewała się w powietrzu. Na chudym żółtym przegubie miała plecioną bransoletkę, taką jak bransoletki przyjaźni z liceum. I choć wyraźnie było widać wszystkie zmarszczki i bruzdy tysiącletniej twarzy, nie czuło się jej zapachu, a gdy Sully raz spróbował jej dotknąć, po prostu zniknęła na jego oczach. Była duchem i nawiedzała jego głowę. Od czasu do czasu jego mózg wyrzygiwał ją na zewnątrz, żeby on, Smutny John, musiał na nią patrzeć.

Nie zmieniła się. Nigdy nie wyłysieje, nie dostanie kamieni żółciowych, nie będzie potrzebować dwuogniskowych okularów. Nie umarła tak jak Clemson, Pags, Packer i chłopcy ze spalonych helikopterów (ci dwaj, zabrani z polany, cali w pianie jak bałwany, umarli, byli zbyt poparzeni, żeby żyć i wszystko poszło na marne). Nie zniknęła też tak jak Carol. Nie, stara *mamasan* dalej wpadała z okazjonalnymi wizytami i nie zmieniła się ani na jotę od czasów, gdy „Instant Karma" znalazła się na liście dziesięciu najlepszych przebojów. Raz musiała umrzeć, to prawda, ten jeden raz musiała upaść w błoto, gdy Malenfant wbił jej bagnet w brzuch, a potem obwieścił światu, że zamierza odciąć jej głowę, ale od tego czasu bawi się jak królowa.

- Gdzieś się podziewała, kochanie? - Gdyby inny kierowca przypadkiem spojrzał na niego (caprice był otoczony ze wszystkich stron, zamknięty w pierścieniu) i zobaczył jego poruszające się usta, na pewno pomyślałby, że Smutny śpiewa z radiem. A jeśli nawet nie, kogo to obchodzi? Kogo obchodzi, co myślą inni? John widział już niejedno, straszne rzeczy, między innymi własne wnętrzności leżące na zakrwawionej macie włosów łonowych, a jeśli od czasu do czasu widywał się z tym pieprzonym duchem i z nim rozmawiał, to co z tego, do kurwy nędzy? Wyłącznie jego sprawa, nie?

Spojrzał na drogę, usiłując dostrzec, co spowodowało korek (nie potrafił - wiadomo, nikt nie potrafi - cierpliwie czekać i przesuwać się do przodu po parę centymetrów), po czym się odwrócił. Czasami kiedy się odwracał, jej już nie było. Ale nie tym razem; tym razem tylko się przebrała. Czerwone tenisówki były takie same, ale teraz miała na sobie uniform pielęgniarki: białe nylonowe spodnie, białą bluzę (z przypiętym do niej małym złotym zegarkiem, jaki miły szczegół), biały czepek z cienkim czarnym paskiem. Ręce nadal trzymała na podołku i nadal na niego patrzyła.

- Gdzie się podziewałaś, mała? Tęskniłem. Dziwne to, wiem, ale prawdziwe. Myślałem o tobie, mała. Szkoda, że nie widziałaś nowego porucznika. Zdumiewające. Łeb się mu świeci jak słońce. Cały łysy, kompletnie.

Stara *mamasan* nie odpowiedziała, co go nie zdziwiło.

Obok domu pogrzebowego znajdował się zaułek z zieloną ławką. Po obu stronach ławki stało wiadro z piaskiem pełnym niedopałków. Dieffenbaker usiadł przy jednym z nich, wsadził sobie papierosa w usta (dunhilla, zauważył Smutny John, robi wrażenie) i wyciągnął paczkę do Johna.

- Nie, naprawdę rzuciłem.

- Fantastycznie. - Dieffenbaker zapalił papierosa zapalniczką Zippo, co nasunęło Sully'emu dziwne spostrzeżenie: jeszcze nie spotkał żadnego weterana z Wietnamu, który by zapalał papierosa zapałkami albo jednorazowymi zapalniczkami na butan. Wszyscy obnosili się z zapalniczkami Zippo. Oczywiście to nie może być regułą. No nie?

- Ciągle kulejesz - zauważył Dieffenbaker.

- Mhm.

- W ogólnym rozrachunku to postęp. Ostatnim razem prawie powłóczyłeś nogą. Zwłaszcza jak obaliłeś parę drinków. - Jeździsz jeszcze na spotkania? Nadal je robią, pikniki i cały ten chlam?

- Chyba tak, ale od lat na nich nie byłem. Za bardzo przygnębiające.

- Aha. Ci, co nie dostali raka, to alkoholicy. A ci, co rzucili wódę, są na prozacu.

- Zauważyłeś.

- A co myślałeś?

- Wcale mnie to nie dziwi. Nigdy nie byłeś najbystrzejszy na świecie, Smutny Johnie, ale spostrzegawczy z ciebie sukinsyn. Wtedy też. Dobrze to powiedziałeś - wóda, rak i depresja, to główne problemy. A… i zęby. Jeszcze nie widziałem weterana z Wietnamu, który nie miałby w gębie pobojowiska… jeśli w ogóle zostały mu jakieś zęby. Co u ciebie, Smutny? Jak tam gryzołki?

John, który od Wietnamu stracił sześć zębów (i niezliczoną ilość razy przechodził leczenie kanałowe), zrobił gest oznaczający *comme si, comme ca.*

- A ten drugi problem? - spytał Dieffenbaker. - Co z tym?

- Zależy.

- Od czego?

- Od tego, co uznam za swój problem. Byliśmy razem na trzech z tych pieprzonych spotkań…

- Czterech. Bez ciebie poszedłem co najmniej na jedno. Rok po tym w Jersey. Chyba. Wtedy, gdy Andy Hackermeyer powiedział, że popełni samobójstwo, skacząc z czubka Statuy Wolności.

- I skoczył?

Dieffenbaker zaciągnął się głęboko papierosem i rzucił Smutnemu Spojrzenie Porucznika. Jeszcze po tylu latach potrafił je przywołać. Skurwysyńsko zdumiewające.

- Gdyby skoczył, przeczytałbyś o tym w „Post". Czytasz „Post"?

- Jak Biblię.

Dieffenbaker skinął głową.

- Wszyscy weterani mają problemy z zębami i czytają „Post". Oczywiście jeśli do nich dociera. A jeśli nie dociera, co wtedy?

- Słuchają Paula Harvey a - odparł bez zastanowienia John i Dieffenbaker parsknął śmiechem.

John pamiętał Hacka, który także był z nimi w dniu helikopterów, wioski i zasadzki. Jasnowłosy chłopak o zaraźliwym śmiechu. Fotografię dziewczyny kazał zafoliować, żeby mu nie zgniła w bagnie, a nosił ją na szyi, na srebrnym łańcuszku. Kiedy weszli do wioski i zaczęła się strzelanina, Hackermeyer był na prawo od Smutnego. Obaj widzieli, jak stara *mamasan* wybiega z podniesionymi rękami z chaty, wrzeszcząc coś piskliwie, wrzeszcząc na Malenfanta, Clemsona, Peasleya, Mimsa i innych, który ostrzeliwali wieś. Mims posłał serię przez łydkę małego chłopczyka, chyba przypadkiem. Chłopczyk leżał na ziemi przed nędzną chałupiną i darł się wniebogłosy. Stara *mamasan* uznała, że Malenfant dowodzi - czemu nie, robił najwięcej hałasu - i popędziła do niego, ciągle machając rękami. John mógłby jej wyjaśnić, że to kiepski pomysł, stary pan rekin kart miał dziś zły dzień, jak oni wszyscy, ale nie otworzył ust. Stał z Hackiem i patrzył, jak Malenfant unosi kolbę karabinu i uderza ją w twarz, pozbawiając przytomności i kładąc kres jazgotowi. Jakieś dwadzieścia metrów dalej stał Willie Shearman. Willie Shearman z jego miasta, jeden z tych katolików, których Bobby i on trochę się bali. Trudno było coś wyczytać z jego twarzy. Willie Baseball, tak nazywali go niektórzy, zawsze z sympatią.

- Więc co z twoim problemem, Smutny Johnie?

John wrócił z wioski w Dong Ha do zaułka za domem pogrzebowym w Nowym Jorku… ale nie od razu. Niektóre wspomnienia przyklejają się do człowieka i nie chcą się odczepić. - Chyba zależy. O jakim problemie mówimy?

- Powiedziałeś, że koło tej wioski urwało ci jaja. Powiedziałeś, że Bóg cię ukarał za to, że nie powstrzymałeś Malenfanta, jak mu odbiła palma i zabił tę staruszkę.

„Odbiła palma" to mało powiedziane. Malenfant stał okrakiem nad staruszką, dźgnął z rozmachem bagnetem, nie przestając wrzeszczeć. Kiedy pojawiła się krew, pomarańczowa bluzka zaczęła wyglądać jak hipisowskie szatki.

- Może odrobinę przesadziłem, jak to po pijaku. Część starego narządu się ostała i czasem nawet działa. Zwłaszcza od czasów viagry, niech Bóg błogosławi to gówno.

- Już nie pijesz?

- Od czasu do czasu piwko.

- Prozac?

- Jeszcze nie.

- Rozwiedziony?

John skinął głową.

- A ty?

- Dwa razy. Zastanawiam się, czy się nie ochajtnąć trzeci raz. Mary Theresa Charlton, słodka jak miód. Do trzech razy sztuka, to moje motto.

- Wiesz co, Loot? Odkryliśmy więcej zależności z Wietnamem. - John podniósł palce. - Weterani mają raka, zwykle płuc albo mózgu, ale także innych narządów.

- Jak Pags. Pags miał trzustki, tak?

- Właśnie.

- A ten rak jest przez mieszankę pomarańczową. Nikt tego nie udowodnił, ale wszyscy to wiemy. Mieszanka pomarańczowa, podarunek z opóźnionym zapłonem.

Smutny podniósł drugi palec.

- Weterani mają depresję, na przyjęciach upijają się w trupa i grożą, że skoczą z symbolu narodowego. – Trzeci palec. - Weterani mają brzydkie zęby. - Mały palec. - Weterani się rozwodzą.

Tu zamilkł, przysłuchując się organowej muzyce z taśmy, przyglądając się czterem palcom i kciukowi, jeszcze ukrytemu we wnętrzu dłoni. Weterani są narkomanami. Weterani

mają problemy z uzyskaniem pożyczki w banku; każdy bankowiec wam to powie (mówili to jemu, gdy usiłował rozkręcić interes). Weterani nie oddają długów, zgrywają się w kasynach, płaczą przy piosenkach George'a Straita i Patty Loveless, rzucają się na siebie w barach, kupują na kredyt efektowne samochody, a potem je rozbijają, biją żony, biją dzieci, biją nawet psy i prawdopodobnie częściej się zacinają przy goleniu niż ludzie, którzy Wietnam widzieli tylko na „Jeźdźcach Apokalipsy", czy tym pieprzonym kicie pod tytułem „Łowca jeleni".

- A kciuk? - odezwał się Dieffenbaker. - Zlituj się, zabijasz mnie.

Smutny John spojrzał na zagięty kciuk. Przeniósł wzrok na Dieffenbakera, który dorobił się dwuogniskowych okularów i brzuszka, lecz nadal krył w sobie tego chudego chłopaka o woskowej cerze. Znów spojrzał na kciuk i wysunął go jak autostopowicz.

- Weterani noszą zapalniczki Zippo. Jeśli nie rzucili palenia.

- Albo nie dostali raka. Wtedy żony bez wątpienia wydłubują im je z zaciśniętych dłoni.

- Chyba że wcześniej się rozwiedli - dokończył Smutny i obaj się roześmieli. Dobrze było siedzieć przed tym domem pogrzebowym. No może nie aż tak, ale lepiej niż w środku. Te organy grały strasznie, a ciężki zapach kwiatów był jeszcze gorszy. Ten zapach nasuwał mu wspomnienia o Delcie Mekongu.

- Więc jednak nie urwało ci całkiem jaj - powiedział Dieffenbaker.

- Nie. Nie dotarłem do kraju Jake'a Barnesa.

- Kogo?

- Nieważne. - John nie przepadał za książkami (lubił je Bobby, jego przyjaciel), ale w szpitalu bibliotekarz dał mu „Słońce też wschodzi" i przeczytał to zachłannie, nie raz, lecz trzy razy. Wtedy książka wydawała się mu bardzo ważna - tak samo jak „Władca much" Bobby'emu. Teraz Jake Barnes wydawał się daleki, papierowy facecik ze zmyślonymi problemami. Kolejna fałszywka.

- Nie?

- Nie. Mogę się przespać z kobietą, jeśli naprawdę chcę - dzieci z tego nie będzie, ale wziąć ją mogę. Muszę się dużo przygotowywać i na ogół dochodzę do wniosku, że szkoda zachodu.

Przez parę chwil milczeli. Dieffenbaker patrzył na swoje dłonie. Podniósł głowę, jakby chciał wstać, powiedzieć, że pora się zbierać, szybkie pożegnanie z wdową i powrót na wojnę (w

przypadku porucznika wojna polegała na sprzedawaniu komputerów z jakąś czarodziejską sprawą w środku, jakimś pentium), ale jednak tego nie powiedział. Natomiast spytał:

- A co z tą staruszką? Nadal ją widujesz czy zniknęła?

W głębi umysłu Johna ocknęło się przerażenie - mgliste, lecz ogromne.

- Jaka staruszka? - Nie przypominał sobie, żeby o niej wspominał Dieffenbakerowi, żeby w ogóle komukolwiek o niej wspominał, ale przecież musiał. Psiakrew, na tych spotkaniach weteranów mógł mu wygadać o wiele więcej; miał w pamięci spore dziury cuchnące alkoholem.

- Stara *mamasan* - dodał Dieffenbaker i znów wyciągnął papierosy. - Ta, którą zabił Malenfant. Powiedziałeś, że do ciebie przychodzi. Czasami jest inaczej ubrana, ale to zawsze ona. Tak mówiłeś. Nadal ją widujesz?

- Mogę się poczęstować? - spytał John. - Nigdy nie paliłem dunhilli. W WKND Donna Summer śpiewała o niegrzecznej dziewczynce, zlej niegrzecznej dziewczynce, biip-biip. John odwrócił się do starej *mamasan,* która znów się przebrała w zielone spodnie i pomarańczową bluzkę.

- Malenfant nigdy nie był jawnie szalony. Nie bardziej niż inni… może z wyjątkiem kierek. Zawsze szukał trzech chłopaków, żeby z nim zagrali, ale to jeszcze nie obłęd, prawda? Nie większy niż w przypadku Pagsa z jego harmonijkami, albo chłopaków, którzy przez cale noce dawali sobie w żyłę. Poza tym Ronnie pomagał wyciągnąć tych chłopców z helikopterów. W krzakach siedziało pewnie z tuzin żółtków, może ze dwa tuziny, wszyscy strzelali jak wściekli, skosili porucznika Packera, a Malenfant musiał to widzieć, stał tuż obok, ale się nie zawahał. - Tak jak Fowler, Hack, Slocum, Peasley czy sam Smutny. Nawet gdy Packer padł, działali dalej. Dzielni chłopcy. A jeśli ich odwaga marnowała się podczas wojny wznieconej przez durnych starych mężczyzn, czy to znaczy, że się nie liczy? Czy na przykład Carol Gerber jest morderczynią, ponieważ jej bomba wybuchła nie wtedy, kiedy powinna? Kurde, w Wietnamie bomby ciągle wybuchały nie wtedy, kiedy powinny. Czym był Ronnie Malenfant, jeśli już o tym mowa, jeśli nie bombą, która wybuchła w niewłaściwym czasie?

Stara *mamasan* wbijała w niego wzrok, jego stara siwowłosa dziewczyna na siedzeniu pasażera, z rękami złożonymi na podołku - żółte dłonie splecione w miejscu, gdzie pomarańczowy kaftanik stykał się z zielonym poliestrem spodni.

- Strzelali do nas prawie przez dwa tygodnie. Od czasu gdy wyszliśmy z doliny A Shau. Zwyciężyliśmy pod Tam Boi, a kiedy się wygrywa, człowiek się spodziewa, że fart będzie trwał,

przynajmniej ja tak myślałem, ale zaczęliśmy się wycofywać. I na pewno nie czuliśmy się jak zwycięzcy. Nie mieliśmy wsparcia, zostaliśmy sami jak palec w dupie. Pieprzona wietnamizacja!

Przez parę chwil siedział w milczeniu, przyglądając się jej; odpowiadała spokojnym spojrzeniem. Za nimi unieruchomione samochody migotały gorączkowo światłami. Jakiś niecierpliwy kierowca ciężarówki włączył klakson i John podskoczył jak wyrwany z drzemki.

- Wiesz, właśnie wtedy poznałem Williego Shearmana - podczas odwrotu z doliny A Shau. Wydawało mi się, że go skądś znam, ale nie wiedziałem skąd. Pomiędzy czternastym i dwudziestym czwartym rokiem życie ludzie bardzo się zmieniają. Pewnego popołudnia siedzieliśmy z chłopakami z kompanii Bravo i gadaliśmy byle co, o dziewczynach i w ogóle, a Willie powiedział, że z pierwszy raz pocałował się języczkiem podczas potańcówki w sodalicji Świętej Teresy z Avili. A ja pomyślałem: jasna cholera, to dziewczyny od Świętego Gabriela. Podszedłem do niego i powiedziałem:

- Chłopaki ze Steadfast może i rządziły na Asher Avenue, ale jak przychodziliście do liceum w Harwich pograć w nogę, spuszczaliśmy wam manto aż miło.

He, ale go zaskoczyłem! Podskoczył, jakby miał uciec. Zupełnie jakby zobaczył ducha czy jak. Potem się roześmiał, wyciągnął rękę i zobaczyłem, że nadal nosił pierścień liceum Świętego Gabriela! A wiesz, czego to wszystko dowodzi?

Stara *mamasan* siedziała w milczeniu jak zwykle, ale Smutny John poznawał po jej oczach, że dobrze wiedziała, czego to dowodzi: ludzie są śmieszni, zwycięzcy nigdy się nie poddają, a ci co się poddają, nigdy nie zwyciężają. Jak również, niech Bóg błogosławi Ameryce.

- No więc ścigali nas przez cały tydzień i zaczynało do nas docierać, że nas otaczają… są coraz bliżej… mieliśmy coraz więcej ofiar śmiertelnych, prawie nie spaliśmy przez ten ogień, helikoptery i ich wycie w nocy, w buszu. A kiedy wyskakiwali…, tak ze dwudziestu, trzydziestu… atak i odwrót, atak i odwrót…

Oblizał wargi, w ustach mu wyschło. Teraz żałował, że pojechał na pogrzeb Pagsa. Pags był dobrym kumplem, ale nie aż tak, żeby narażać się dla niego na takie wspomnienia.

- Ustawiali w krzakach cztery, pięć moździerzy… po jednej stronie, rozumiesz… a obok każdego moździerza stawiali ośmiu lub dziewięciu żołnierzy, każdego z pociskiem. Te małe ludziki w czarnych piżamach, ustawieni rządkiem jak pierwszaki w kolejce do kranu z wodą. Potem padał rozkaz, każdy ludzik wrzucał pocisk do lufy moździerza i biegł naprzód najszybciej, jak potrafił. Biegnąc w ten sposób, ściągali na siebie uwagę wroga, a w tym czasie moździerz

strzelał. To zawsze mi się jakoś kojarzyło z tym, co raz powiedział nam taki facet, który mieszkał nad Bobbym Garfieldem. Bawiliśmy się na trawniku Bobby'ego, a on powiedział nam o jednym graczu Dodgersów. Ten facet był tak cholernie szybki, że potrafił wybić piłkę z bazy domowej, pobiec między drugą a trzecią bazę i złapać ją samemu. Dość… denerwujące.

Tak. Teraz też był jakby zdenerwowany, wręcz jakby zielony ze strachu, jak chłopiec, który popełnił ten błąd, że po ciemku zaczął opowiadać sobie historię o duchach.

- Kiedy zaczęli strzelać na polanie, gdy helikoptery podchodziły do lądowania, ten ogień był taki sam, wierz mi. - Ale to nie była cała prawda. Ci z Wietkongu łoili im tyłki przez cały ranek. Ostrzał z zarośli wokół płonących helikopterów przypominał wodospad, nie prysznic.

W skrytce na rękawiczki znajdowały się papierosy, paczka winstonów, które John zachował na czarną godzinę i przenosił z jednego samochodu do drugiego. Ten jeden wycyganiony od Dieffenbakera papieros obudził w nim tygrysa, więc teraz sięgnął obok *mamasan,* otworzył skrytkę, wygarnął wszystkie dokumenty i znalazł paczkę. Papieros będzie smakował stęchlizną, ale to mu odpowiadało. Tego potrzebował.

- Dwa tygodnie ostrzału - powiedział, odnajdując zapalniczkę. - Nie wymiękać i nie oglądać się na kadrę oficerską, bo oni zawsze mieli lepsze rzeczy do roboty. Kurwy, kręgle i konferencje, jak mawiał Malenfant. My traciliśmy ludzi, nikt nas nie osłaniał z powietrza wtedy, kiedy powinien, nie dosypialiśmy, a im więcej chłopaków z A Shau dołączało do nas, tym gorzej się robiło. Pamiętam jednego

z chłopaków Williego - Havers albo Haber, coś w tym rodzaju. Dostał prosto w głowę, dokładnie w głowę, i leżał tak na ścieżce z otwartymi oczami, usiłując coś powiedzieć. Krew leciała mu stąd… - stuknął się palcem nad uchem – no i nie mogliśmy uwierzyć, że jeszcze żyje i w dodatku chce mu się gadać. Potem to z helikopterami… jak w filmie, dym i strzały, tadadada. Tak było, zanim przyszliśmy… no wiesz,

do twojej wioski. Przyszliśmy i rany… na ulicy leżało krzesło, takie kuchenne z czerwonym siedzeniem i stalowymi nogami wskazującymi na niebo, po prostu leżało na ulicy. Wyglądało to beznadziejnie, przepraszam, ale taka jest prawda, na pewno nie było to miejsce, w którym by warto żyć, a co dopiero umierać. Wasi chłopcy nie chcieli umierać za takie wioski, więc dlaczego my? Wszędzie śmierdziało gównem, jak zwykle. Tak to wyglądało. Zresztą ten smród aż tak mi nie przeszkadzał. Głównie chodziło mi o to krzesło. To krzesło świadczyło o wszystkim.

Wyjął zapalniczkę, przysunął czerwony ogień do papierosa, po czym przypomniał sobie, że siedzi w modelu demonstracyjnym. Właściwie mógł w nim palić - do diabła, należał do niego - ale gdyby któryś pracownik poczuł dym i domyślił się, że szef pozwala sobie na to, za co innych by wyrzucił, toby nie wyglądało dobrze. Trzeba się stosować do własnych zasad… zwłaszcza jeśli chce się zyskać trochę szacunku.

- *Excusez-moi* - powiedział do starej *mamasan.* Wysiadł z samochodu, zapalił papierosa i pochylił się do otwartego okna, by wrzucić zapalniczkę na miejsce. Było gorąco, a w czteropasmowym morzu stojących samochodów jeszcze goręcej. Wyczuwał wokół siebie fale niecierpliwości, ale słyszał tylko radio, wszyscy inni siedzieli za zamkniętymi szybami, w klimatyzowanych kokonach, słuchając najróżniejszej muzyki, od Liz Phair do Williama Ackermana. Domyślał się, że wszyscy stojący w korku weterani, którzy akurat nie mają pod ręką Allman Brothers na CD, prawdopodobnie także słuchają WKND, gdzie przeszłość ciągle żyje, a o przyszłości nikomu się nie śni. Tut-tut, bip-bip.

Wspiął się na maskę samochodu i spojrzał przed siebie, osłaniając oczy przed blaskiem słońca na chromie. Oczywiście nie zobaczył, co jest przyczyną korka.

Kurwy, kręgle, konferencje, pomyślał; usłyszał to zdanie wypowiedziane przenikliwym, świdrującym głosem Malenfanta. Tym koszmarnym głosem, który rozbrzmiewał w krzakach. No, chłopaki, kto ma dwójkę? Mam dziewięćdziesiąt, czas się nam kończy, do roboty!

Zaciągnął się winstonem, odkaszlnął stęchłym dymem. W popołudniowym blasku zatańczyły nagle czarne kropeczki; spojrzał na trzymanego papierosa niemal z komicznym przerażeniem. Co on wyprawia, przecież już rzucił to gówno. Oszalał? No tak, oczywiście, facet widujący się regularnie z martwą starszą panią musi być wariatem, ale to jeszcze nie znaczy, że wolno mu znowu zacząć palić. Papierosy to mieszanka pomarańczowa, za którą się zapłaciło. Wyrzucił winstona. Miał wrażenie, że podjął właściwą decyzję, ale serce mu nie zwolniło, nie pozbył się tego uczucia - dobrze je pamiętał z patroli, na które chodził - uczucia, że wnętrze ust mu wysycha i kurczy się, marszczy jak sparzona skóra. Niektórzy boją się tłumu - to agorafobia, strach przed placami - ale John miewał to uczucie tylko przy takich okazjach.

W windach, zatłoczonych korytarzach i w metrze w porze szczytu czuł się dobrze, ale kiedy miał wokół siebie korek, troszkę mu odbijała palma. Nie ma dokąd uciec, nie ma się gdzie schować.

Jeszcze parę osób wyłoniło się z klimatyzowanych kapsuł. Kobieta w eleganckim brązowym kostiumie stanęła obok eleganckiego brązowego bmw, złota bransoleta i srebrne kolczyki zamigotały w letnim słońcu, a ona tupnęła wysokim obcasem w asfalt. Uchwyciła spojrzenie Johna, wzniosła oczy do nieba, jakby mówiąc „jakie to typowe", zerknęła na zegarek (także złoty, także błyszczący). Mężczyzna na zielonym motocyklu Yamaha wyłączył ryczący silnik, postawił motocykl na nóżkach, zdjął kask i położył go na pobrudzonym benzyną asfalcie. Był ubrany w czarne spodenki kolarskie i koszulkę bez rękawów z napisem WŁASNOŚĆ KNICKSÓW, NOWY JORK. Smutny John pomyślał, że facet straci co najmniej siedemdziesiąt pięć procent skóry, jeśli będzie jeździć w takim stroju szybciej niż dwa kilometry na godzinę.

- Kurna, człowieku - odezwał się facet z motocykla. - Pewnie był wypadek. Mam nadzieję, że nic radioaktywnego. - I roześmiał się, żeby pokazać, że żartuje.

Daleko przed nimi na pasie po lewej - w normalnych warunkach byłby to pas szybkiego ruchu - kobieta w białym stroju wysiadła z toyoty z naklejką NUKLEARNA ŚMIERĆ po lewej stronie tablicy rejestracyjnej, oraz KOT DOMOWY - DRUGI RODZAJ BIAŁEGO MIĘSA po prawej. Miała krótką spódnicę, uda bardzo długie i opalone, a kiedy podniosła okulary przeciwsłoneczne i zsunęła je do tyłu, podtrzymując włosy z jasnymi pasemkami, John dostrzegł jej oczy: duże, niebieskie i z jakiegoś powodu zaniepokojone. Było to spojrzenie, na którego widok chciałoby się pogłaskać ją po policzku (albo przytulić po bratersku, jedną ręką) i powiedzieć, że wszystko będzie dobrze. Dobrze pamiętał to spojrzenie. Na jego widok wszystko wywróciło mu się do góry nogami. To Carol Gerber, Carol Gerber w tenisówkach i stroju do tenisa. Po raz ostatni widział ją pod koniec 1966 roku, kiedy odwiedził ją w domu, siedzieli na sofie (razem z jej matką, od której czuć było wino) i oglądali telewizję. Na koniec pokłócili się o wojnę, a on wyszedł. Wrócę, kiedy będę pewien, że zachowam spokój - tak myślał, odjeżdżając starym chevroletem (już wtedy je lubił). Ale nie wrócił. Pod koniec sześćdziesiątego szóstego ona tkwiła już po uszy w tym antywojennym burdelu - tego ją nauczyli w Maine! - a on na samą myśl o niej dostawał szału. Cholerna mała kretynka, dała się nabrać na komunistyczną propagandę antywojenną, potem oczywiście wstąpiła do tej wariackiej organizacji i całkiem jej odbiło.

- Carol! - zawołał, ruszając do niej. Minął zgniłozielony motocykl, przecisnął się między zderzakami furgonetki i sedana, na chwilę zniknęła mu z oczu za wielkimi tirem, po czym znowu ją zobaczył. - Carol! Hej, Carol!

Dopiero gdy odwróciła się do niego, zastanowił się, co też mu odbiło. Jeśli Carol jeszcze żyje, musi dobiegać pięćdziesiątki, tak jak on. Ta kobieta miała najwyżej trzydzieści pięć lat.

Zatrzymał się w pewnym oddaleniu. Wszędzie warkot samochodów. I jakiś dziwny dźwięk, który początkowo wziął za wiatr, choć dzień był upalny i całkowicie bezwietrzny.

- Carol? Carol Gerber?

Dźwięk stał się głośniejszy, jakby ktoś szybko uderzał językiem o podniebienie, jak odgłos nadlatującego helikoptera. Podniósł głowę; z mgliście niebieskiego nieba spadał na niego abażur. Instynktownie odskoczył w tył, ale w końcu przez całe liceum uprawiał sport, więc odskakując, wyciągnął rękę. Złapał abażur bez trudu. Widniała na nim łódź na rzece pod czerwono zachodzącym słońcem. NA MISSISIPI DOBRZE SIĘ BAWIMY, głosił napis nad łodzią, duże staroświeckie litery. Pod nim, tą samą czcionką: JAK NA BAYOU?

Skąd się to wzięło, do diabła? - pomyślał, a wtedy kobieta, która wyglądała jak całkiem dorosła Carol Gerber, zaczęła krzyczeć. Dłonie podniosła do głowy, jakby chciała poprawić okulary na głowie, potem je opuściła, trzęsąc nimi jak zniecierpliwiony dyrygent. Tak samo wyglądała stara *mamasan,* gdy wybiegła ze swojej gównianej chałupy na gównianą ulicę gównianej wioseczki w prowincji Dong Ha. Po rękach kobiety w białym tenisowym stroju ściekała krew, najpierw strużkami, potem strumieniem. Spływała po opalonych ramionach, skapywała jej z łokci.

- Carol? - spytał głupio John. Stał pomiędzy furgonetką dodge i jakąś półciężarówką, w granatowym garniturze, który wkładał na pogrzeby, z abażurem - pamiątką znad Missisipi i spoglądał na kobietę, której coś zaczęło wystawać z głowy. Zatoczyła się w jego stronę, błękitne oczy nadal szeroko otwarte, ręce trzęsące się w powietrzu. John zdał sobie sprawę, że przedmiotem w jej głowie jest bezprzewodowy telefon. Poznawał to po krótkiej antence, dygoczącej przy każdym jej ruchu. Telefon, który spadł z nieba, Bóg wie z jakiej wysokości, i wbił się jej w głowę.

Kobieta zrobiła jeszcze jeden chwiejny krok, wpadła na maskę ciemnozielonego buicka i powoli zaczęła się osuwać na ziemię. Jakby łódź podwodna zanurzała się w morzu, pomyślał John, ale zamiast peryskopu ma grubą antenkę telefonu bezprzewodowego.

- Carol? - szepnął, ale to nie mogła być ona; dziewczyna, którą znał od dziecka, z którą się kochał, nie mogła przecież umrzeć, zabita przez spadający telefon, no naprawdę.

Wokół ludzie zaczęli krzyczeć. Na ogół wydawało się, że te krzyki to pytania. Ryczały klaksony. Silniki ożyły, jakby można było gdzieś pojechać. Kierowca tira obok Johna rytmicznie zapuszczał motor. Rozległo się wycie alarmu samochodowego. Ktoś zawył z przerażenia lub bólu.

Drżąca biała ręka wpiła się w maskę ciemnozielonego buicka. Na przegubie miała frotkę. Powoli dłoń z frotką się osunęła. Palce kobiety, która wyglądała jak Carol, jeszcze przez chwilę zostały na masce, po czym zniknęły. Coś jeszcze spadło z nieba ze świstem.

- Padnij! - ryknął Smutny. - Kurwa, padnij!

Gwizd narastał, stawał się przeraźliwym, rozdzierającym wyciem, aż umilkł, gdy spadający przedmiot uderzył w maskę buicka, wgniatając ją jak cios pięści. Przedmiotem, który zarył się w maskę pod oknem, była kuchenka mikrofalowa.

Zewsząd dobiegał odgłosy spadających przedmiotów. Całkiem jak trzęsienie nie ziemi, a powietrza. Koło niego spadł nieszkodliwy deszcz gazet - „Seventeen", „GQ", „Rolling Stone" i „Stereo Review". Z otwartymi trzepoczącymi stronami wyglądały jak zestrzelone ptaki. Po prawej z czystego nieba spadło biurowe obracane krzesło, wirując po drodze jak bąk. Wylądowało na dachu forda kombi. Jego przednia szyba rozbryznęła się na miliardy mlecznych odprysków. Krzesło odbiło się od dachu, obróciło i znieruchomiało na masce forda. Za nim zleciał mały telewizor, plastikowy kosz na bieliznę, coś wyglądającego jak pęk aparatów fotograficznych splątanych ze sobą paskami oraz gumowa baza baseballowa. Po bazie zleciało coś podobnego do kija baseballowego. Ogromna maszyna do popcornu gruchnęła o asfalt i rozbiła się na lśniące odłamki.

Facet w koszulce Knicksów, ten na zgniłozielonym motocyklu, miał już dość. Ruszył wąskim korytarzem pomiędzy unieruchomionymi samochodami, slalomem, by ominąć wystające boczne lusterka, osłaniając ręką głowę, jakby przechodził ulicą w wiosennym deszczyku. John, nadal ściskający abażur, pomyślał, że znacznie lepiej byłoby włożyć kask, ale oczywiście kiedy z nieba sypią się artykuły gospodarstwa domowego, człowiek robi się roztargniony, a pierwsze, o czym zapomina, to własne bezpieczeństwo.

Pojawiło się coś jeszcze, spadło blisko i głośno - z pewnością głośniej niż mikrofalówka, która zaryła w maskę buicka. Tym razem nie było słychać gwizdu, jak przy bombie czy pocisku moździerza, ale dźwięk, jaki wydaje spadający samolot, helikopter, a może nawet dom. W Wietnamie też tak się zdarzało, z nieba spadały różne przedmioty (dom w kawałkach), a jednak

ten dźwięk wydawał się inny w pewien istotny sposób: był melodyjny jak dzwonienie gigantycznych wietrznych dzwonków.

Był to fortepian, biały ze złoceniami, fortepian, na którym powinna grać wyniosła elegancka kobieta w czarnej sukni. Biały fortepian prosto z nieba nad Connecticut, spadał obracając się godnie, jego cień wyglądał jak meduza na stłoczonych samochodach, a on wydawał melodyjne dźwięki, gdy wiatr prześlizgiwał się po strunach, poruszał klawiszami, a na pedałach migotało słońce…

Spadał, obracając się powoli, a narastający dźwięk nasuwał na myśl coś wibrującego bez końca w blaszanym tunelu. Spadał w stronę Smutnego, jego niepokojący cień zgęstniał i skoncentrował się na nim, jakby obrał go sobie za cel.

- Nadchodzi! - krzyknął John. - NADCHODZI!

Fortepian runął na ziemię, tuż za nim biały stołek, a za stołkiem, jak ogon komety, analogowe płyty z wielkimi dziurami w środku, domowe drobiazgi, łopoczący żółty płaszcz, zimowa opona, ogródkowy grill, kurek z wieży, szafka biurowa i filiżanka z napisem NAJLEPSZA NA ŚWIECIE HERBATKA BABUNI.

- Mogę się poczęstować? - spytał John pod ścianą domu pogrzebowego, w którym Pags leżał w wyścielanej jedwabiem trumnie. - Nigdy nie paliłem dunhilli.

- Jak wolisz. - Dieffenbaker miał rozbawiony głos, jakby nigdy w życiu nie srał po nogach ze strachu.

John ciągle go pamiętał, stojącego na ulicy koło tego przewróconego kuchennego krzesła; jaki był blady, jak mu drżały wargi, jak czuć go było dymem i paliwem z helikoptera. Dieffenbaker wodził wzrokiem od Malenfanta do staruszki, od tych, którzy otworzyli ogień, do ryczącego dzieciaka, którego postrzelił Mims. Pamiętał, jak Deef spojrzał na porucznika Shearmana, ale nie doczekał się od niego pomocy. Ani od Johna, jeśli o tym mowa. Pamiętał też, jak Slocum patrzył na Deefa, porucznika po śmierci Packera. I wreszcie Deef też spojrzał na Slocuma. Slocum nie był oficerem i nigdy by nim nie został. Slocum był facetem, który uważał, że zespół śpiewający jak Rare Earth musi być czarny. Innymi słowy, był szeregowcem, ale takim, który potrafił zrobić rzeczy, o jakich innym się nie śniło. Nie tracąc kontaktu z rozbieganym spojrzeniem nowego porucznika, lekko skinął głową w stronę Malenfanta, Clemsona, Peasleya, Mimsa i reszty samozwańczych mścicieli, których nazwisk Smutny John już nie pamiętał. Potem znów spojrzał prosto w oczy Dieffenbakerowi. Sześciu czy ośmiu, którym kompletnie odbiło,

przebiegło z wrzaskiem przez błotnistą uliczkę obok wyjącego dzieciaka - krzyczeli cokolwiek, hasła, komendy, refren z „Hang On Sloopy", takie tam - a Slocum pytał wzrokiem: no, czego chcesz? Teraz ty tu rządzisz, czego chcesz?

A Dieffenbaker skinął głową.

Smutny zastanawiał się, czy sam też by tak zrobił. Wydawało mu się, że nie. Wydawało mu się, że gdyby chodziło o niego, Clemson, Malenfant i inne palanty zabijałyby dalej, dopóki nie skończyłaby się im amunicja - czy nie tak robili ludzie Calleya i Mediny? Ale Dieffenbaker nie był Williamem Calleyem, trzeba mu to przyznać. Dieffenbaker lekko skinął głową. Slocum też skinął, uniósł karabin i rozwalił mózg Ralphowi Clemsonowi.

John myślał przez jakiś czas, że Clemson zginął, ponieważ Malenfant był kumplem Slocuma, Slocum i Malenfant wypalili razem od cholery i trochę trawy, a Slocum też lubił spędzać czas wolny na polowaniu na Sukę. Ale kiedy tak siedział, obracając w palcach dunhilla Dieffenbakera, dotarło do niego, że Slocum miał gdzieś Malenfanta z jego skrętami oraz ulubioną grą. W Wietnamie graczy i palaczy było pod dostatkiem. Slocum wybrał Clemsona, ponieważ śmierć Malenfanta nic by mu nie dała. Malenfant, wrzeszczący głupoty o głowach na kijach, na których widok Wietkong zrozumie, co się dzieje z tymi, którzy zadzierają z Deltą, stał zbyt daleko, by go zauważyli chłopcy brnący z chlupotem przez błotnistą uliczkę. A stara *mamasan* już nie żyła, więc co za różnica, niech się nad nią pastwi.

Teraz Deef był Dieffenbakerem, łysym sprzedawcą komputerów, który przestał jeździć na spotkania weteranów. Przypalił Smutnemu papierosa zapalniczką Zippo i przyglądał się, jak zaciąga się głęboko i wypuszcza dym, kaszląc głośno.

- Od dawna nie palisz?

- Ze dwa lata.

- Powiedzieć ci coś strasznego? Możesz się znowu szybko wciągnąć.

- Opowiadałem ci o tej starej?

- Aha.

- Kiedy?

- Pewnie na tym ostatnim zjeździe… na tym w Jersey, wtedy gdy Durgin zerwał bluzkę kelnerce. Uuu, to była paskudna scena.

- Tak? Nie pamiętam.

- Bo już byłeś ululany.

Oczywiście, to nigdy się nie zmieniało. Właściwie kiedy się nad tym zastanowić, zjazdy weteranów zawsze przebiegały według jednego schematu. Najpierw był didżej, który szybko wychodził, bo zawsze chcieli go natłuc za to, że puszcza kiepską muzykę. Po tym punkcie programu przez głośniki waliły ogłuszające dźwięki „Light My Fire", „Gimme Some Lovin" i „My Girl", piosenki ze ścieżek dźwiękowych wszystkich tych kręconych na Filipinach kitów o Wietnamie. Jeśli chodzi o muzykę, to wszyscy znani Smutnemu szeregowcy dostawali szalu na dźwięk piosenek The Carpenters albo „Angel of the Morning". To była prawdziwa ścieżka dźwiękowa z buszu, zawsze leciała, kiedy faceci opowiadali sobie świńskie dowcipy i pokazywali zdjęcia dziewczyn, upijali się i ronili łzy nad „One Tin Soldier", znanym powszechnie w krzakach jako „Pierdolnięty temat z «Billy Jacka»„. John nie przypominał sobie, żeby choć raz słuchali w Wietnamie Doorsów; zawsze był to The Strawberry Alarm Clock z „Incense and Peppermints". Zrozumiał, że wojna jest przegrana, gdy usłyszał ten kurewski kawałek z szafy grającej w kantynie.

Zjazdy zaczynały się muzyką i zapachem grilla (zapachem, który zawsze mu się kojarzył ze smrodem płonącego paliwa helikoptera), puszkami piwa w wiaderkach z kruszonym lodem, i ta część zawsze była fajna, miła, całkiem w porządku, ale potem raptem robił się ranek następnego dnia, światło raziło w oczy, w głowie miało się bombę zegarową, a w żołądku bulgoczący jad. Jednego takiego postzjazdowego poranka John zachował mętne wspomnienie samego siebie, zmuszającego didżeja do grania w kółko „Oh! Carol" Neila Sedaki i grożącego, że go zabije, jeśli przestanie. Innym razem obudził się obok byłej żony Franka Peasleya. Chrapała, ponieważ miała złamany nos. Jej poduszka była przesiąknięta krwią, policzki umazane, a John nie mógł sobie przypomnieć, czy to on złamał jej nos, czy cholerny Peasley. Miał nadzieję, że Peasley, ale wiedział, że on też by mógł. Czasami, zwłaszcza w erze p. v. (przed viagra), kiedy w seksie miał prawie pięćdziesiąt procent niepowodzeń, zdarzało mu się wpadać we wściekłość. Na szczęście, kiedy dama się obudziła, także nic nie pamiętała. Przypomniała sobie za to, jak Smutny wygląda bez bielizny.

- Dlaczego masz tylko jedno? - spytała.

- Dobrze, że w ogóle - odpowiedział. Miał kaca-giganta.

- Co ci powiedziałem o tej staruszce? - spytał Dieffenbakera, paląc w zaułku za kaplicą.

Dieffenbaker wzruszył ramionami.

- Tylko, że ci się pokazuje. Powiedziałeś, że czasem pojawia się inaczej ubrana, ale to zawsze ona, stara *mamasan,* którą rozwalił Malenfant. Musiałem was uspokoić.

- Kurwa - odparł John i oparł głowę na dłoni, w której trzymał papierosa.

- Powiedziałeś też, że było lepiej, kiedy wróciłeś na wschodnie wybrzeże. Zresztą co w tym złego, raz na jakiś czas zobaczyć staruszkę? Niektórzy widują latające talerze.

- Nie ci, którzy są winni dwom bankom prawie milion dolarów. Gdyby ci z banku się dowiedzieli…

- To co by było? Powiem ci co. Nic. Dopóki będziesz płacić w terminie, przynosić im co miesiąc kasę, nikt się nie zainteresuje, co widujesz po zmroku… albo przy świetle, jak wolisz. Jak dla nich, możesz nosić damskie majteczki, bić żonę i napastować własnego labradora. Poza tym… nie pomyślałeś, że w tych bankach pracują ludzie, którzy też byli w buszu?

Smutny John zaciągnął się dunhillem i spojrzał na Dieffenbakera. Rzeczywiście, nigdy mu to nie przyszło do głowy. Załatwiał sprawy z dwoma urzędnikami mniej więcej w jego wieku, ale nigdy o tym nie wspomnieli. Oczywiście on też nie. Następnym razem, pomyślał, będę musiał spytać, czy mają zapalniczki Zippo. Delikatnie.

- Z czego się śmiejesz? - spytał Dieffenbaker.

- Z niczego. A ty, Deef? Też masz swoją staruszkę? Nie mówię o dziewczynie, tylko o prawdziwej staruszce. *Mamasan.*

- Stary, nie nazywaj mnie tak. Nikt mnie tak już nie nazywa. Nigdy tego nie lubiłem.

- Więc masz czy nie?

- Moją *mamasan* jest Ronnie Malenfant. Czasami go widuję. Nie tak jak ty, jakby naprawdę był przy mnie, ale wspomnienia też są prawdą, nie?

- Aha.

Dieffenbaker powoli pokręcił głową.

- Jakby nie było nic oprócz wspomnień. Rozumiesz? Nic.

John siedział w milczeniu. W kaplicy organy grały coś, co nie przypominało już hymnu. Zwykła muzyka, na wyjście, jak mówią. Muzyczny sposób powiedzenia żałobnikom, żeby się zmywali.

- Są wspomnienia i jest to, co naprawdę widzisz w głowie. Kiedy czytasz jakąś dobrą powieść, w której jest opisany pokój, to widzisz ten pokój. A ja koszę trawnik, siedzę przy stole konferencyjnym i słucham prezentacji, czytam bajkę wnukowi albo nawet pieszczę się z Mary na

sofie i bum, widzę Malenfanta, tę cholerną pryszczatą głowę z kędzierzawymi włosami. Pamiętasz, jak mu się kręciły?

- Tak.

- Ronnie Malenfant, zawsze rzucający kurwami na prawo i lewo. Świńskie kawały na każdą okazję. I ta jego torebka. Pamiętasz?

- Jasne. Taka skórzana, przy pasku. Nosił w niej karty. Dwie talie. „Zapolujemy na Sukę! Po cencie za punkt. Kto wchodzi?". I wyjmował karty.

- Aha. Pamiętasz. Pamiętasz. Aleja go widuję, Smutny, bardzo dokładnie, włącznie z tymi pryszczami na brodzie. Słyszę go, czasem czuję trawę, którą palił… ale głównie go widzę, jak ją przewrócił, a ona leżała na ziemi, ciągle mu wygrażając pięściami, ciągle jazgocząc…

- Przestań.

- Nie wierzyłem, że to się stanie. Myślę, że Malenfant też nie wierzył. Ukłuł ją parę razy bagnetem, tak na początek, ukłuł ją, jakby to był żart… ale potem się rozkręcił, no i się stało, dziabnął ją. Tak, Smutny, tak, kurwa. Wrzasnęła i zaczęła się rzucać, a on stanął nad nią okrakiem, pamiętam, okrakiem i reszta ruszyła w ich stronę, Ralph Clemson, Mims i nie wiem, kto jeszcze. Nigdy nie lubiłem tego małego kutafona Clemsona, nie znosiłem go bardziej niż Malenfanta, bo Ronnie przynajmniej nie był podstępny, z nim zawsze było wiadomo, o co chodzi. Clemson był szalony i podstępny. Byłem śmiertelnie przerażony, John, śmiertelnie. Wiedziałem, że mam to przerwać, ale się bałem, że mnie rozerwą na strzępy, że mnie zabiją… że mnie zabijecie, bo w tamtej chwili byłem ja i byliście wy. Shearman… nie mam nic przeciwko niemu, poszedł na tę polanę, gdy spadły helikoptery, jakby nie miał nic do stracenia, ale w tamtej wsi… spojrzałem na niego i zobaczyłem pustkę.

- Później uratował mi życie, w tej zasadzce - powiedział cicho John.

- Wiem. Wziął cię i wyniósł stamtąd, jak, kurwa, Superman. Na polanie był w porządku, w krzakach też, ale pomiędzy, w tej wsi… pustka. W wiosce byłem zdany na własne siły. Tak jakbym był jedynym dorosłym, ale nie czułem się jak dorosły.

John nie prosił go już, żeby zamilkł. Dieffenbaker postanowił się wygadać. Nie powstrzymałoby go nic z wyjątkiem ciosu w pysk.

- Pamiętasz, jak krzyczała, kiedy ją dziabnął? Ta staruszka? A Malenfant stał nad nią i też wrzeszczał, że żółtki, że skurwiele, że pierdoły. Dzięki Bogu, że Slocum tam był. Spojrzał na mnie, więc wiedziałem, że muszę coś zrobić… Ale ja tylko mu powiedziałem, żeby strzelał.

Nie, pomyślał John, nie zrobiłeś nawet tego. Tylko skinąłeś głową. Gdybyś był w sądzie, nie pozwoliliby ci się tak wymigać, musiałbyś powiedzieć głośno i wyraźnie. Żeby zostało w aktach.

- Tak… myślę, że Slocum uratował wtedy nasze dusze - dodał Dieffenbaker. - Wiesz, że się zabił? Tak. W osiemdziesiątym szóstym.

- Myślałem, że miał wypadek.

- Jeśli wjechanie na filar mostu z prędkością stu pięćdziesięciu na godzinę w bezchmurny wieczór to wypadek, no to tak, faktycznie miał wypadek.

- A Malenfant? Coś słyszałeś?

- Wiesz, oczywiście nigdy nie przyjeżdżał na te spotkania, ale jeszcze niedawno słyszałem, że żyje. Andy Brannigan spotkał go w Kalifornii.

- Jeż go widział?

- Tak, Jeż. Wiesz, gdzie się spotkali?

- Ależ skąd.

- Pękniesz ze śmiechu, Smutny, łeb ci urwie. Brannigan jest Anonimowym Alkoholikiem. To jego religia. Mówi, że tylko dzięki temu żyje i chyba rzeczywiście. Przecież pił więcej niż którykolwiek z nas, co tam, chyba więcej niż my wszyscy razem wzięci. Teraz uzależnił się od AA. Chodzi na dziesięć spotkań tygodniowo, jest GSR - nie pytaj, to jakaś funkcja w grupie - siedzi przy telefonie zaufania. I co roku przyjeżdża na krajowy zjazd. Pięć lat temu moczymordy spotkały się w San Diego. Pięćdziesiąt tysięcy ochlapusów w jednym miejscu, śpiewających hymn. Wyobrażasz sobie?

- Mniej więcej.

- Cholerny Brannigan spojrzał na lewo i kogóż ujrzał, jeśli nie Ronniego Malenfanta. Prawie nie wierzył własnym oczom, ale to był Malenfant, a jakże. Po spotkaniu wziął Malenfanta pod ramię i razem poszli na drinka. - Dieffenbaker zamyślił się na chwilę. - Alkoholicy też chodzą na drinka. Chyba. Piją lemoniadę, colę i takie tam. Malenfant powiedział Jeżowi, że nie pije i nie bierze już prawie dwa lata, znalazł wyższą siłę, którą zdecydował się nazwać Bogiem, odrodził się, wszystko jest w porządku jak cholera, żyje według zasad, które dyktuje życie, wybacza i zapomina, no cały ten chłam. A Brannigan nie mógł się powstrzymać i spytał, czy Malenfant podjął Piąty Krok, czyli wyznał wszystko, co zrobił źle, i jest gotowy to wszystkim

wynagrodzić. Malenfant nawet okiem nie mrugnął. Powiedział tylko, że Piąty Krok zrobił już rok temu i od razu poczuł się dużo lepiej.

- O w mordę - mruknął John, zaskoczony głębią własnego gniewu. - Stara *mamasan* pewnie się ucieszy, jak się dowie, że Ronnie się z nią rozliczył. Powiem jej, gdy się znów spotkamy. - Oczywiście nie wiedział, że spotkają się jeszcze tego samego dnia. - Jasne, powiedz.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. John poprosił o jeszcze jednego papierosa i Dieffenbaker mu go dał, a także przypalił. Zza rogu dobiegały ich urywki rozmów i cichy śmiech. Pogrzeb Pagsa dobiegł końca. A gdzieś w Kalifornii Ronnie Malenfant zapewne czyta księgę AA i kontaktuje się z ową słynną siłą wyższą, którą zdecydował się nazwać Bogiem. Może jest też GSR, cokolwiek to gówno oznacza. John miał nadzieję, że Ronnie nie żyje. Miał nadzieję, że Ronnie Malenfant zginął w jakiejś kryjówce Wietkongu, obsypany krostami, w smrodzie szczurzych gówien, z krwotokiem wewnętrznym, wyrzygując kawałki własnego żołądka. Malenfant ze swoją torebką i kartami, Malenfant z bagnetem, Malenfant stojący okrakiem nad starą *mamasan* w zielonych spodniach, pomarańczowej bluzce i czerwonych tenisówkach. .

- A w ogóle dlaczego byliśmy w Wietnamie? - spytał. -Nie chodzi mi o filozofię, ale zastanawiałeś się nad tym?

- Kto powiedział: „Ten, który niczego się nie nauczył z przeszłości, będzie musiał ją przeżyć jeszcze raz?”.

- Richard Dawson, gospodarz „Koła Fortuny”.

- Pieprz się, Sullivan.

- Nie wiem, kto to powiedział. A to ważne?

- Pewnie, że ważne. Bo my nigdy stamtąd nie wróciliśmy. Z buszu. Całe nasze pokolenie tam umarło.

- Wiesz, to trochę…

- Trochę co? Pretensjonalne? Pewnie. Głupie? Pewnie. Zarozumiałe? Jak cholera. Ale tacy jesteśmy. To cali my. Co osiągnąłeś w Namie, Smutny? Ci, którzy tam pojechali, ci, którzy maszerowali i protestowali, ci, którzy siedzieli w domu, oglądając „Bonanzę” i pierdząc w fotel?

Na policzki nowego porucznika napłynął rumieniec. Dieffenbaker wyglądał jak człowiek, który trafił na swój ulubiony temat i nie da się od niego odciągnąć. Uniósł rękę i zaczął odliczać na palcach, tak samo jak John, gdy wymieniał cechy wspólne weteranów.

- Popatrz tylko. Jesteśmy pokoleniem, które wymyśliło Super Mario Brothers, laserowy system naprowadzania i crack. Odkryliśmy Richarda Simmonsa, Scotta Pecka i „Martha Stewart Living". Jeśli chcemy zmienić coś w życiu, to kupujemy psa. Dziewczyny, które kiedyś paliły staniki, teraz kupują bieliznę w Victoria's Secret, a chłopcy, którzy nieustraszenie pieprzyli dla pokoju, teraz są tłustymi facetami, siedzą do późna w nocy przed komputerami i wcinają pudding, oglądając zdjęcia gołych osiemnastolatek w Internecie. To my, bracie. Lubimy patrzeć. Filmy, gry wideo, ukryta kamera, walki na pięści w telewizji, wrestling, przesłuchania w sprawie impeachmentu, wszystko jedno, byle tylko dało się oglądać. Ale były czasy… nie śmiej się, ale były czasy, kiedy wszystko było w naszych rękach. Wiesz?

John skinął głową. Myślał o Carol. Nie takiej, jaką była, gdy siedziała na sofie z nim i cuchnącą winem matką, nie tej, która machała do obiektywu transparentem, z twarzą zbroczoną krwią - ta była już zbyt dorosła i zbyt szalona, można to było dojrzeć w jej uśmiechu, odczytać z transparentu, którego krzyczące hasło nie dopuszczało żadnej dyskusji. Myślał o Carol z dnia, gdy jej matka zabrała ich wszystkich do Savin Rock. Jego przyjaciel Bobby wygrał tego dnia trochę pieniędzy w trzy karty, a Carol miała na plaży niebieski kostium i czasem rzucała Bobby'emu spojrzenie mówiące, że umiera na jego widok i ta śmierć jest słodka. Wtedy wszystko było w ich rękach, bez wątpienia. Ale dzieci wszystko gubią, dzieci mają dziurawe ręce, dziury w kieszeniach, gubią wszystko.

- Wypchaliśmy portfele akcjami, poszliśmy na siłownię i psychoterapię, żeby odnaleźć siebie. Ameryka Południowa płonie, Malezja płonie, kurewski Wietnam też płonie, ale my wreszcie wyzwoliliśmy się z nienawiści do samych siebie, wreszcie polubiliśmy siebie, więc wszystko w porządku.

John pomyślał o tym, jak Malenfant uczy się rozumieć samego siebie, jak uczy się sympatii do wewnętrznego Ronniego i opanował dreszcz przerażenia.

Dieffenbaker trzymał przed twarzą rozcapierzone palce; wygląda jak Al Johnson, który za chwilę zaśpiewa „Mammy", pomyślał John. Dieffenbaker chyba też tak pomyślał, bo opuścił dłonie. Był zmęczony, zniechęcony i nieszczęśliwy.

- Lubię wiele osób w moim wieku - dodał. - Ale nienawidzę naszego pokolenia, gardzę nim, Smutny. Mogliśmy zmienić wszystko, mieliśmy tę szansę. Naprawdę. A my zadowoliliśmy się markowymi dżinsami, dwoma biletami na koncert Mariah Carey, „Titanikiem" Jamesa Camerona i dobrą emeryturką. Jedyne pokolenie, które nam dorównuje w tym czystym,

nieskażonym egoizmie, to tak zwane stracone pokolenie z lat dwudziestych, tyle że oni przynajmniej zachowali tyle przyzwoitości, że nigdy nie trzeźwieli. My nawet tego nie umiemy. Jezu, jesteśmy beznadziejni. Porucznik był bliski łez.

- Deef…

- Znasz cenę za sprzedaną przyszłość, Smutny Johnie? Jest taka, że nigdy nie możesz zapomnieć o przeszłości. Nigdy z nią nie kończysz. Według mnie wcale cię nie ma w Nowym Jorku. Jesteś tam, opierasz się o drzewo, pijany, wcierasz w kark maść przeciw robalom. Packer nadal nami dowodzi, bo ciągle jest sześćdziesiąty dziewiąty. Wszystko, co uważasz za swoje późniejsze życie, to wielkie pieprzone zero. I tak jest lepiej. Wietnam jest lepszy. To dlatego tam zostaliśmy.

- Myślisz?

- Zdecydowanie.

Zza rogu wyjrzała ciemnowłosa, ciemnooka kobieta w niebieskiej sukience.

- A… tu jesteście - powiedziała.

Dieffenbaker wstał, gdy podeszła do nich powoli, pełna gracji w pantoflach na wysokich obcasach. John też się podniósł.

- Mary, to John Sullivan. Był w oddziale ze mną i Pagsem. Sully, to moja przyjaciółka Mary Theresa Charlton.

- Miło mi panią poznać - powiedział John, wyciągając rękę.

Uścisnęła ją mocno, długie chłodne palce w jego dłoni, ale patrzyła na Dieffenbakera.

- Pani Pagano chce się z tobą widzieć, skarbie. Pójdziesz?

- Jasne. - Dieffenbaker ruszył za nią, ale odwrócił się jeszcze do Johna. - Zostań dłużej. Pójdziemy na drinka. Obiecuję, że nie będę ględzić. - Ale jego oczy uciekły gdzieś w bok, jakby wiedziały, że to obietnica bez pokrycia.

- Dzięki, Loot, ale muszę się zbierać, chcę zdążyć przed korkami.

A jednak korek go nie minął, a teraz z nieba spadał na niego fortepian, lśniąc w słońcu i grając po drodze. John padł na brzuch i wtoczył się pod samochód. Fortepian rąbnął o ziemię może ze dwa metry dalej, klawisze bryznęły na wszystkie strony jak zęby.

John wyczołgał się spod samochodu, parząc sobie plecy o rozpaloną rurę wydechową, podniósł się chwiejnie. Spojrzał na północ, w osłupieniu, z niedowierzaniem. Z nieba spadała wyprzedaż: magnetofony, dywany, kosiarka z ostrzami ubrudzonymi trawą, akwarium z rybkami,

które z niego nie wypadły po drodze. Ulicą biegł mężczyzna z teatralnie rozwianymi siwym włosami; spadły na niego schody, odrywając mu rękę i przygniatając go do ziemi. Z nieba sypały się zegary, biurka, stoliki, winda z oderwanymi kablami, ciągnącymi się za nią jak naoliwione rozerwane pępowiny. Nawałnica ksiąg rachunkowych spadła na pobliski parking przy fabryce; trzepoczące okładki wydawały się bić brawo. Na uciekającą kobietę zleciało futro, a potem kanapa. Powietrze rozbłysło blaskiem wielkich szyb ze szklarni. Posąg żołnierza z wojny domowej runął na furgonetkę. Na skrzynię ciężarówki spadł wypchany lew. Wszędzie roiło się od uciekających, krzyczących ludzi, wszędzie stały samochody z wgiętymi dachami i wybitymi oknami. Przez szyberdach pewnego mercedesa wystawały nienaturalnie różowe nogi manekina z wystawy. Powietrze trzęsło się od wycia i wrzasków.

John zauważył padający na niego cień; uskoczył, unosząc dłoń, ale wiedział, że to i tak za późno. Jeśli to żelazko, toster czy coś podobnego, rozbije mu czaszkę. Jeśli coś większego, zostanie z niego tylko mokra plama.

Spadający przedmiot uderzył go w rękę, odbił się bezboleśnie i legł mu u stóp. John spojrzał na niego z zaskoczeniem, a potem z rosnącym zdumieniem.

- Jasna cholera - mruknął.

Pochylił się i podniósł rękawicę baseballową. Rozpoznał ją bez problemu, mimo że minęło tyle lat; głęboka rysa koło ostatniego palca i komicznie splątane węzełki rzemyków były tak samo charakterystyczne jak odciski palców. Spojrzał na bok, gdzie Bobby wypisał swoje nazwisko. Nadal tam było, ale litery wydawały się nowsze, niż powinny, a skóra w tym miejscu została wydrapana i wytarta, jakby ktoś napisał tu inne nazwisko, a potem je wymazał.

Zapach rękawicy był upojny i nieodparty. John włożył ją na rękę; wyczuł coś pod małym palcem - wepchnięty tam kawałek papieru. Nie zwrócił na niego uwagi. Podniósł rękawicę do twarzy, zamknął oczy i wciągnął zapach. Skóra, olejek, pot i trawa. Wszystkie te lata. Lato 1960, na przykład, kiedy wrócił z obozu i zastał wielkie zmiany - Bobby ponury, Carol odległa i dziwnie zamyślona (przynajmniej przez jakiś czas), nieobecność Teda, tego klawego starszego faceta, który mieszkał w bloku Bobby'ego. Wszystko się zmieniło… ale lato ciągle trwało, on miał jedenaście lat i wszystko wydawało się…

- Wieczne - wymamrotał nad rękawicą, znowu zaciągając się jej aromatem; nieopodal na dachu ciężarówki przewożącej chleb roztrzaskała się gablota z motylami, a znak stopu wbił się w asfalt jak dzida. John przypomniał sobie swoje jo-jo, smak cukierków prosto z plastikowego

pistoletu, jak słodkie paciorki uderzały mu w podniebienie i rykoszetem trafiały w język. Przypomniał sobie hiszszsz-hiszszsz-hiszszsz spryskiwaczy na Broad Street i panią Conlan, która się wściekała, gdy za bardzo się zbliżyli do jej bezcennych kwiatków, i panią Godlow z kina, która chciała, żeby jej pokazać metrykę, jeśli uważała, że ktoś jest za duży, żeby mógł korzystać ze zniżki, i plakat z Brigitte Bardot (jeśli ona jest śmieciem, to chcę być śmieciarzem) w ręczniku, i zabawę w kowbojów, i w ciuciubabkę, i w komórki do wynajęcia, i jak udawali, że pierdzą w ostatniej ławce w czwartej klasie i…

- Ty, Amerykanin…

Ale powiedziała „Amellikanin" i John już wiedział, kogo zobaczy, gdy podniesie głowę znad rękawicy Bobby'ego, model Alvina Darka. Stara *mamasan* stała pomiędzy przywalonym lodówką motocyklem (mrożone mięso wysypało się na asfalt) i subaru z plastikowym flamingiem wbitym w jego dach. Stara *mamasan* w zielonych spodniach, pomarańczowej bluzce i czerwonych tenisówkach, stara *mamasan* rozpromieniona jak piekielny neon.

- Ty, Amerykanin, ty chodź, u mnie bezpiecznie. - I wyciągnęła do niego ramiona.

Poszedł do niej w gradzie spadających telewizorów, gumowych baseników, pudeł papierosów, butów na wysokich obcasach, fryzjerskich suszarek i automatów telefonicznych wyrzygujących z siebie fontanny drobnych. Szedł ku niej z ulgą, której się doznaje tylko po powrocie do domu.

- U mnie bezpiecznie. Biedny chłopiec, u mnie bezpiecznie. - Wszedł w martwy pierścień jej uścisku, gdy wokół ludzie krzyczeli, uciekali, a wszystkie amerykańskie zdobycze spadały z nieba, bombardowały całą autostradę na północ od Bridgeport. A ona otoczyła go ramionami.

- U mnie bezpiecznie — powiedziała i raptem John znalazł się w swoim samochodzie. Ruch zamarł na wszystkich czterech pasmach. Radio ciągle grało. The Platters i „Twilight Time", a on nie mógł złapać oddechu. Z nieba nic nie padało, gdyby nie korek, wszystko wydawałoby się w porządku, ale jak to możliwe? Jak to możliwe, że na ręce ciągle miał starą rękawicę Bobby'ego Garfielda?

- U mnie bezpiecznie - mówiła stara *mamasan*. - Biedny chłopiec, ty biedny Amerykanin, u mnie bezpiecznie.

John nie mógł złapać oddechu. Chciał się do niej uśmiechnąć. Chciał ją przeprosić, wyjaśnić, że przynajmniej niektórzy chcieli dobrze, ale nie miał już powietrza w płucach i czuł

wielkie zmęczenie. Zamknął oczy, spróbował jeszcze raz podnieść rękawicę Bobby'ego, jeszcze raz się zaciągnąć tym oleistym zapachem lata, ale była za ciężka.

Następnego ranka Dieffenbaker stał akurat przy kuchennym stole, ubrany tylko w dżinsy, i nalewał sobie kubek kawy, gdy w drzwiach stanęła Mary. Była w bluzie Broncos i trzymała nowojorski „Post".

- Chyba mam złe wiadomości- powiedziała i zastanowiła się przez chwilę. - Średnio złe.

Odwrócił się do niej zmęczony. Złe wieści powinny się pojawiać po obiedzie, pomyślał. Po obiedzie jest się przynajmniej częściowo przygotowanym na złe wieści. Z samego rana wszystko sprawia ból.

- Jakie?

- Ten twój kolega, którego mi przedstawiłeś na pogrzebie… mówiłeś, że jest dealerem samochodów z Connecticut, tak?

- Tak.

- Chciałam się upewnić, bo wiesz, John Sullivan to niezbyt oryginalne i niezwykłe…

- O czym ty mówisz, Mary?

Podała mu gazetę, złożoną w połowie artykułu.

- Podobno to się stało, kiedy wracał do domu. Bardzo mi przykro, kochanie.

W pierwszej chwili pomyślał, że Mary musiała się pomylić, ludzie nie umierają tuż po tym, jak się z tobą spotkali i rozmawiali, to jakoś wydawało mu się podstawą regułą.

Ale to był on, bez wątpienia, w potrójnej postaci: Smutny w baseballowym kostiumie z opartą na głowie maską łapacza, Smutny w wojskowym mundurze z dystynkcjami sierżanta na rękawie, Smutny w garniturze, pamiętający chyba późne lata siedemdziesiąte. Pod zdjęciami widniał podpis, który mógł się znaleźć tylko w „Post":

WYKORKOWAŁ W KORKU!

NAGRODZONY SREBRNĄ GWIAZDĄ WETERAN

WOJENNY UMIERA W KORKU NA AUTOSTRADZIE

W CONNECTICUT

Szybko przebiegł wzrokiem artykuł, doznając niejasnego uczucia niepokoju i zawodu, jakie zaczęło go trawić od niedawna, gdy odczytywał zawiadomienia o śmierci kogoś w jego wieku, kogoś znajomego. Jeszcze jesteśmy za młodzi na śmierć z przyczyn naturalnych, myślał, zdając sobie sprawę, że to idiotyzm.

Smutny John zmarł na zawał serca w korku spowodowanym przez zepsuty traktor. Być może umarł z widokiem na znak chevroleta, którego był dealerem, użalał się autor artykułu. Podobnie jak to „wykorkował w korku", taki styl był możliwy wyłącznie w „Post". „Times" to dobra gazeta dla inteligentów; „Post" był dla pijaków i wierszokletów.

Smutny był rozwiedziony, nie miał dzieci. Ceremonia pogrzebowa zostanie zorganizowana przez Normana Olivera z pierwszego oddziału banku w Connecticut.

Pogrzebany przez własny bank, pomyślał Dieffenbaker. Ręce zaczęły mu drżeć. Nie miał pojęcia, dlaczego ta myśl przejęła go taką zgrozą, ale tak było. Przez własny bank, do diabła! O rany!

- Kochanie… - Mary przyglądała się mu z niepokojem. - W porządku?

- Tak. Zmarł w korku. Może nawet nie mogli do niego sprowadzić karetki. Może by go nie znaleźli, gdyby samochody nie zaczęły znów jechać. Chryste.

- Przestań. - Zabrała mu gazetę.

Smutny dostał Srebrną Gwiazdę za akcję ratunkową - przy helikopterach. Żółtki strzelały, ale Packer i Shearman i tak wyprowadzili z dżungli garstkę amerykańskich żołnierzy, głównie z Delty dwa-dwa. Osłaniało ich dziesięciu lub dwunastu żołnierzy z kompanii Bravo, dość chaotycznie i prawdopodobnie niezbyt skutecznie… i, zdumiewające, dwóch żołnierzy z rozbitych helikopterów naprawdę przeżyło, a przynajmniej przetrwało tamtą katastrofę. John Sullivan sam zaniósł jednego w bezpieczne miejsce, wyjącego i pokrytego pianą z gaśnicy.

Malenfant też wbiegł na polanę - trzymał w objęciach czerwoną gaśnicę jak dziecko i wrzeszczał na partyzantów, żeby go zastrzelili, jeśli potrafią, ale on wie, że nie potrafią, nie potrafią, są bandą ślepych syfilitycznych durnych pierdoł i nie potrafią go trafić, nie trafiliby nawet w stodołę. Malenfant także został przedstawiony do Srebrnej Gwiazdy i choć Dieffenbaker nie miał pewności, podejrzewał, że ten pryszczaty morderca jednak ją dostał. Czy Smutny wiedział, czy się domyślał? Chybaby o tym wspomniał, kiedy siedzieli razem przez domem pogrzebowym? Może tak, może nie. W miarę upływu czasu medale stają się coraz mniej istotne, coraz bardziej przypominają nagrodę, którą dostajesz w liceum za nauczenie się wiersza na pamięć, albo dyplom za pobicie rekordu na długi dystans. Kolejny przedmiot, który się trzyma na półce. Przedmioty, którymi starzy mężczyźni wabią chłopców. Przedmioty, dla których skaczesz wyżej, biegniesz szybciej, rzucasz się naprzód. Dieffenbaker pomyślał, że świat pewnie byłby lepszy, gdyby nie było na nim starych mężczyzn (oświeciło go akurat teraz, kiedy sam się miał

stać jednym z nich). Starym kobietom można pozwolić żyć, stare kobiety z zasady nikomu nie robią krzywdy, ale starzy mężczyźni są niebezpieczni jak wściekłe psy. Rozstrzelać wszystkich, ciała polać benzyną i podpalić. Niech dzieci wezmą się za ręce i tańczą wokół ogniska.

- Słuchaj, naprawdę w porządku? - spytała Mary.

- Chodzi o Smutnego? Jasne. Dawno straciliśmy kontakt.

Pociągnął łyk kawy i pomyślał o starej kobiecie w czerwonych tenisówkach, o tej, którą zabił Malenfant, a która odwiedzała Sully'ego. Więcej już mu się nie pojawi, przynajmniej tyle dobrego. Wizyty starej *mamasan* się skończyły. Tak naprawdę wygląda koniec wojny, przynajmniej według Dieffenbakera - nie przy stołach konferencyjnych, lecz w szpitalach onkologicznych, kawiarniach i korkach. Wojny kończą się po troszeczku, po kawałku, a każdy kawałek jest jak wspomnienie, wszystkie giną jak echo w górach. W końcu nawet wojna wywiesza białą flagę. Przynajmniej taką miał nadzieję. Miał nadzieję, że w końcu nawet wojna ogłasza kapitulację.

1999: Ty draniu, wracaj, wracaj do domu.

Zapadają niebiańskie mroki nocy

Pewnego popołudnia tego ostatniego lata przed rokiem 2000 Bobby Garfield wrócił do Harwich. Najpierw poszedł na cmentarz West Side, gdzie odbywało się właściwe nabożeństwo przy rodzinnym grobowcu Sullivanów. Stary Smutny John miał spore powodzenie; artykuł w „Post" ściągnął całe tłumy. Małe dzieci wystraszyły się do łez, gdy rozległa się salwa honorowa Legionu Amerykańskiego. Po nabożeństwie nad grobem w lokalu Amerykańskich Weteranów odbyła się stypa. Bobby pojawił się na chwilę - wystarczyło, by zjeść kawałek tortu, wypić filiżankę kawy i przywitać się z panem Oliverem - ale nie dostrzegł nikogo znajomego, a chciał za dnia odwiedzić jeszcze parę miejsc. Przyjechał do Harwich po raz pierwszy od niemal czterdziestu lat.

Na miejscu szkoły stopnia podstawowego i licealnego pod wezwaniem Świętego Gabriela stał supermarket. Stara poczta zniknęła. Stacja kolejowa nadal wychodziła na Plac, ale kamienne filary wiaduktu pokryły się graffiti, a kiosk pana Burtona zabito deskami. Pomiędzy River Avenue i Housitonic nadal rozciągały się połacie trawy, ale kaczki zniknęły. Bobby pamiętał, jak rzucił kaczką w mężczyznę w brązowym garniturze - nieprawdopodobne, ale prawdziwe. Dam ci dwa dolce, jak mi pozwolisz sobie obciągnąć, powiedział mężczyzna, a Bobby rzucił w niego kaczką. Teraz mógł się uśmiechać, ale wtedy ten palant wystraszył go na śmierć, i to z wielu przyczyn.

Na miejscu Imperium Ashera stał wielki beżowy magazyn. Dalej ku Bridgeport, gdzie Asher Avenue przechodziła w plac Purytanów, nie było już knajpy, a na jej miejscu stała Pizza Uno. Bobby zastanowił się, czy tam nie wstąpić, ale nie myślał tego poważnie. Jego żołądek miał pięćdziesiąt lat jak cała reszta i już nie radził sobie z pizzą.

Tylko że nie o to chodziło. Prawdziwą przyczyną było to, że zbyt łatwo wyobrażał sobie różne rzeczy - wielkie wulgarne samochody przed frontowymi drzwiami, farbę tak jaskrawą, że aż bolą zęby.

Więc pojechał do samego Harwich i niech go licho, ale Colony Diner był tam, gdzie kiedyś, i niech go licho, jeśli w menu nadal nie było grillowanych hot dogów. Były tak samo szkodliwe jak cholerna pizza, może nawet gorsze, ale w końcu od czego jest prilosec? Przełknął tabletkę i zagryzł ją dwoma hot dogami. Nadal podawano je na kartonowych, popryskanych tłuszczem tackach i nadal smakowały niebiańsko.

Ucztę zakończył plackiem *a la mode,* po czym wyszedł i przez chwilę stał przy samochodzie. Postanowił go tu zostawić - miał przed sobą jeszcze tylko dwa przystanki, oba blisko. Wziął z siedzenia sportową torbę i powoli minął Spicera, który przerodził się w sklep ze stacją benzynową na parterze. Szedł ścigany przez głosy, duchy głosów z 1960 roku, głosy bliźniaczek Sigsby.

Mama - tatko się kłócą.

Mama kazała wyjść.

Dlaczego to zrobiłaś? Głupi stary Bobby Garfield!

Głupi stary Bobby Garfield, tak, to on. Może z czasem trochę zmądrzał, ale chyba nie aż tak bardzo.

W połowie drogi na Broad Street Hill zauważył na chodniku spłowiałe klasy. Przyklęknął i przyjrzał się im w słabnącym świetle, wodząc po liniach opuszkami palców.

- Proszę pana… coś się stało? - To młoda kobieta z torbą ze sklepu. Przyglądała się Bobby'emu z troską i nieufnością.

- Wszystko w porządku - powiedział, wstając i otrzepując ręce. I rzeczywiście. Obok klas nie było księżyca ani gwiazdy, a już na pewno komety. Nie widział też ogłoszeń o zaginionych zwierzętach.

- To dobrze. - Odeszła w swoją stronę. Nie uśmiechnęła się. Odprowadził ją wzrokiem i sam też poszedł, zastanawiając się, co się stało z bliźniaczkami Sigsby. Pamiętał, że Ted Brautigan raz powiedział coś o czasie. Nazwał go starym łysym oszustem.

Aż do chwili gdy naprawdę zobaczył dom przy Broad Street 149, nie zdawał sobie sprawy, jak się bał, że zrobili tu wypożyczalnię kaset, sklep z kanapkami albo mieszkania do wynajęcia. Tymczasem dom pozostał bez zmian, ale miał nowe szalunki, kremowe zamiast zielonych. Na ganku stał rower, na którego widok Bobby przypomniał sobie, jak bardzo marzył o rowerze tego ostatniego lata w Harwich. Miał nawet specjalny słój, do którego odkładał pieniądze, a na etykiecie napisał FUNDUSZ ROWEROWY czy coś w tym rodzaju.

Znowu te duchy głosów. A cienie wydłużają się coraz bardziej.

Gdybyśmy byli Gotrockami, nie musiałbyś pożyczać pieniędzy ze słoja na rower, żeby zabrać tę swoją dziewczynę na diabelskie koło.

To nie jest moja dziewczyna! To nie jest moja dziewczyna!

Wydawało mu się, że powiedział to głośno, właściwie wykrzyczał… ale wątpił w prawdziwość tego wspomnienia. Jego matka nie była osobą, na którą można by krzyczeć. Oczywiście jeśli się chciało zachować skalp.

Poza tym Carol była jego dziewczyną, prawda? Była.

Przed powrotem do domu został mu jeszcze tylko jeden przystanek, więc po ostatnim spojrzeniu na dom, w którym mieszkał z matką do sierpnia 1960 roku, ruszył w dół Broad Street Hill, machając sportową torbą.

To lato miało w sobie coś magicznego, nie miał co do tego wątpliwości nawet jako pięćdziesięciolatek, ale nie wiedział już, co to była za magia. Być może to tylko takie dzieciństwo, jakie opisywał Ray Bradbury, los wielu dzieci z małych miasteczek: czas, gdy świat prawdziwy i ten wymarzony czasami się przeplatają, a wtedy pojawia się czar.

Tak, ale… no…

Oczywiście te płatki róż istniały, te, które stały się Carol… Ale czy coś znaczyły? Kiedyś tak się wydawało - samotnemu, niemal zgubionemu chłopcu, którym był - ale zniknęły dawno temu. Stracił je, gdy zobaczył fotografię spalonego domu w Los Angeles i zrozumiał, że Carol Gerber nie żyje.

Jej śmierć zniszczyła nie tylko czar, ale sam cel dzieciństwa, tak to wyglądało dla Bobby'ego. Co dobrego jest w dzieciństwie, skoro prowadzi do takich rzeczy? Zły wzrok i złe ciśnienie to jedno, złe idee, złe marzenia i zły koniec to coś zupełnie innego. Po jakimś czasie ma się ochotę powiedzieć do Boga: oj, już byś dał spokój, Duży Chłopcze. Straciłeś niewinność, gdy dorosłeś, wszyscy to wiemy, w porządku, ale czy musiałeś też stracić nadzieję? Po co całować dziewczynę na diabelskim młynie w wieku jedenastu lat, jeśli jedenaście lat później ma się otworzyć gazetę i dowiedzieć się, że dziewczyna spłonęła żywcem w małym parszywym domku na małej parszywej ślepej uliczce? Po co pamiętać jej piękne zaniepokojone oczy albo blask słońca we włosach?

Jeszcze tydzień temu mógłby powiedzieć to i jeszcze więcej, ale teraz ta dawna magia wyciągnęła mackę i dotknęła go. Wracaj, szepnęła. Wracaj, Bobby, ty draniu, wracaj, wracaj do domu. Więc wrócił, wrócił do Harwich. Spełnił obowiązek wobec dawnego przyjaciela, pozwiedzał trochę miasto i mógł już wyjechać. Ale został mu jeszcze jeden przystanek.

Nadchodziła pora kolacji i park prawie zupełnie opustoszał. Bobby zbliżył się do boiska ogrodzonego drucianą siatką; minęło go trzech spóźnionych graczy, biegli w przeciwnym

kierunku. Dwaj nieśli sprzęt w czerwonych workach; trzeci taszczył radio ryczące Offspring. Wszyscy obrzucili go nieufnymi spojrzeniami, co uznał za dość naturalne. Był dorosłym w dziecięcym świecie, żył w czasach, gdy wszyscy jemu podobni byli podejrzani. Nie pogorszył sprawy, nie usiłował do nich zagadać jakimś głupim „dobrze się grało?". Minęli się na ścieżce.

Stanął przy siatce, włożył palce w druciane oczka, spojrzał na czerwone ukośne promienie słońca na trawie wokół boiska, promienie oświetlające tablicę wyników i napisy ZOSTAŃCIE W SZKOLE oraz NARKOTYK ZABIJA. I znów doznał tego zapierającego dech wrażenia magii, tego uczucia, że świat jest tylko cienką błoną napiętą na czymś innym, czymś zarazem jaśniejszym i mroczniejszym. Głosy były już wszędzie, wirowały wokół niego.

Nie mów, że jestem głupi.

Nie bij Bobby'ego, on nie jest taki jak ci mężczyźni.

Prawdziwy cukiereczek, mały, zagra tę piosenkę Jo Stafford.

To ka… *a* ka *jest przeznaczeniem.*

Kocham cię, Ted…

- Kocham cię, Ted. - Wypowiedział te słowa, niezbyt głośno, ale i nie szeptem. Spróbował, jak będą brzmiały. Nie pamiętał nawet, jak wyglądał Ted Brautigan, przynajmniej nie dokładnie (tylko chesterfieldy i niezliczone butelki piwa korzennego), ale i tak dźwięk słów obudził w nim ciepło.

Był też inny głos. Kiedy się odezwał, w oczach Bobby'ego pojawiły się piekące łzy, po raz pierwszy od powrotu.

Wiesz, Bobby, jak dorosnę, chciałbym być magikiem. Jeździć z wesołym miasteczkiem albo cyrkiem, nosić czarny garnitur i cylinder…

- Wyciągać z kapelusza króliki i inny szajs - dopowiedział Bobby, odwracając się od boiska. Roześmiał się, otarł oczy i przesunął dłonią po głowie. Włosów już nie miał; resztkę stracił zgodnie z planem, jakieś piętnaście lat temu. Skręcił w stronę ścieżki (żwirowanej w 1960 roku, teraz asfaltowej i zaopatrzonej w znaki z napisem TYLKO ROWERY (ROLKI ZAKAZANE!) i usiadł na ławce, być może tej

samej, na której siedział, gdy John chciał z nim pójść do kina, a on odmówił, bo chciał skończyć „Władcę much". Obok położył sportową torbę.

Dokładnie naprzeciwko miał zagajnik. Był całkiem pewien, że to ten sam, do którego go zaprowadziła Carol, kiedy zaczął płakać. Zrobiła to, żeby nikt nie widział, że ryczy jak

niemowlak. Nikt oprócz niej. Czy wzięła go w ramiona, aż wypłakał to z siebie? Nie pamiętał, ale tak mu się wydawało. Znacznie lepiej pamiętał, że później chcieli ich pobić trzej chłopcy od Świętego Gabriela. Uratowała ich przyjaciółka matki Carol. Nie pamiętał, jak się nazywała, ale przyszła w samą porę… Jak ten marynarz we „Władcy much".

Rionda, tak się nazywała. Powiedziała im, że wszystko powie księdzu, a ksiądz powie ich rodzicom.

Ale Riondy nie było w pobliżu, gdy ci sami chłopcy znów znaleźli Carol. Czy Carol spaliłaby się żywcem w Los Angeles, gdyby Harry Doolin i jego koledzy dali jej spokój? Oczywiście nie można mieć pewności, ale Bobby sądził, że chyba nie. I jeszcze teraz zaciskał dłonie, myśląc: ale cię dopadłem, Harry, nie? O tak.

Wtedy było już za późno. Wtedy wszystko się już zmieniło.

Rozpiął zamek torby, pogrzebał w niej i wyjął radio na baterie. Nie było duże, ale do jego celów wystarczało w zupełności. Musiał je tylko włączyć; było już nastawione na WKND, ojczyznę starych przebojów w południowym Connecticut. Troy Shondell i „This Time". Doskonale.

- John - powiedział, patrząc w zagajnik. - Fajny był z ciebie drań.

Za jego plecami odezwał się bardzo zgorszony głos kobiecy:

- Jeśli będziesz przeklinać, nigdzie z tobą nie pójdę.

Odwrócił się tak gwałtownie, że radio spadło mu z kolan na trawę. Nie widział twarzy kobiety; była czarną sylwetą na tle czerwonego nieba, które rozpościerało się wokół niej jak skrzydła. Usiłował coś powiedzieć i nie mógł. Zaparło mu dech, a język przysechł do podniebienia. Głęboko w jego głowie odezwał się głos: a więc tak to jest, kiedy się widzi ducha.

- Bobby, dobrze się czujesz?

Zbliżyła się szybko, obeszła ławkę; czerwone zachodzące słońce uderzyło go w oczy. Jęknął, uniósł rękę, zacisnął powieki. Czuł perfumy… a może to letnia trawa? Nie wiedział. A gdy znów otworzył oczy, ciągle widział tylko kobiecą sylwetkę. W miejscu, gdzie powinna być jej twarz, znajdował się zielony powidok słońca.

- Carol? - spytał. Głos miał ochrypły i drżący. - Dobry Boże, to naprawdę ty?

- Carol? - powtórzyła kobieta. - Nie znam żadnej Carol. Nazywam się Denise Schoonover.

A jednak to była ona. Kiedy widział ją po raz ostatni, miała jedenaście lat, ale poznał ją bez trudu. Gorączkowo potarł oczy. Z radia na trawie odezwał się spiker:

- Tu WKND, gdzie wasza przeszłość jest teraźniejszością. A teraz Clyde McPhatter i „A Lover's Question".

Wiedziałeś, że jeśli żyje, wróci do domu. Wiedziałeś.

Oczywiście; czy nie dlatego przyjechał? Przecież nie dla Smutnego Johna, a raczej nie tylko dla niego. Ale jednocześnie był całkowicie pewien, że Carol nie żyje. Uwierzył w to od pierwszej chwili, kiedy ujrzał zdjęcie spalonego domu w Los Angeles. Boże, jak go zabolało serce, nie jakby widział ją po raz ostatni przed czterdziestu laty, gdy biegła przez Commonwealth Avenue, lecz jakby była jego bliską przyjaciółką, stojącą na wyciągnięcie ręki.

Ciągle mrugał powiekami, usiłując się pozbyć unoszącego się mu przed oczami powidoku. Tymczasem ona pocałowała go mocno w usta i szepnęła mu do ucha:

- Muszę wracać. Muszę zrobić sałatkę. Co to?

- Ostatnie słowa, które do mnie powiedziałaś, gdy byliśmy mali - odpowiedział i odwrócił się do niej. - Wróciłaś. Żyjesz i wróciłaś.

Światło zachodzącego słońca padło jej na twarz i wreszcie ją zobaczył. Była piękna, mimo blizny, która zaczynała się w kąciku prawego oka i okrutnym pazurem sięgała do brody… a może właśnie dzięki niej. Wokół oczu miała cienkie kurze łapki, ale jej czoło i nieumalowane usta były wolne od zmarszczek.

A włosy, Bobby był zdumiony, miała niemal zupełnie siwe.

Jakby w odpowiedzi dotknęła jego głowy.

- Jaka szkoda - powiedziała… lecz wydawało mu się, że w jej oczach błysnęło dawne rozradowanie. - Miałeś wspaniałe włosy. Rionda zawsze mówiła, że zakochałam się w tych włosach.

- Carol…

Wyciągnęła rękę, położyła mu palec na wargach. Na ręce także miała blizny, a mały palec był zniekształcony, prawie jak stopiony. Blizny od oparzeń.

- Już mówiłam, nie znam żadnej Carol. Nazywam się Denise. Jak w tej starej piosence Randy and The Rainbows. - Zanuciła urywek. Bobby dobrze ją znał. Znał wszystkie stare przeboje. - Jeśli chcesz sprawdzić moje dokumenty, wszędzie zobaczysz Denise Schoonover. Widziałam cię na pogrzebie.

- A ja ciebie nie.

- Potrafię nie rzucać się w oczy. To sztuka, której ktoś mnie nauczył bardzo dawno temu. Sztuka bycia przezroczystym. - Wzdrygnęła się lekko. Bobby czytał o ludziach, którzy się wzdrygają - głównie w kiepskich powieściach - ale po raz pierwszy zobaczył to naprawdę. - A na zgromadzeniach potrafię się trzymać z tyłu. Biedny stary Smutny John. Pamiętasz jego jo-jo?

Bobby skinął głową. Na wargi powoli wypłynął mu uśmiech.

- Pamiętam, jak raz chciał się popisać i uderzył się między nogami. Walnął się prosto w jaja, a my omal nie umarliśmy ze śmiechu. Przybiegły dziewczyny, ty chyba też, i chciały się dowiedzieć, co się stało, ale wam nie powiedzieliśmy. Ależ się wściekłyście!

Uśmiechnęła się z dłonią przy ustach, dawny gest, w którym Bobby z krystaliczną wyrazistością zobaczył dziewczynkę, jaką była.

- Jak się dowiedziałaś o jego śmierci?

- Przeczytałam w nowojorskim „Post". Dali straszny nagłówek, ich specjalność - „Wykorkował w korku" - i jego zdjęcia. Mieszkam w Poughkeepsie, gdzie „Post" dochodzi regularnie. - Zamilkła na chwilę. - Uczę w Vassar.

- Uczysz w Vassar i czytujesz „Post"?

Wzruszyła ramionami z uśmiechem.

- Każdy ma swoje wady. A ty, Bobby? Też przeczytałeś o nim w „Post"?

- Nie dostaję „Post". Ted mi powiedział. Ted Brautigan.

Siedziała w milczeniu, a jej uśmiech powoli bladł.

- Pamiętasz Teda?

- Myślałam, że moja ręka jest już stracona, a Ted ją nastawił, jak czarodziej. Oczywiście, że go pamiętam. Ale…

- Wiedział, że tu będziesz. Pomyślałem o tym, gdy otworzyłem paczkę, ale uwierzyłem dopiero, kiedy cię zobaczyłem. - Wyciągnął do niej rękę i z dziecinną niewinnością prześledził palcami bieg blizny na jej twarzy. - To z Los Angeles, tak? Co się stało? Jak uciekłaś?

Pokręciła głową.

- O tym nie rozmawiam. Nigdy z nikim nie mówiłam o tym, co się stało w tamtym domu. I nie będę. To było inne życie. Inna dziewczyna. Ta dziewczyna umarła. Była bardzo młoda, wierzyła w ideały i została oszukana. Pamiętasz faceta od trzech kart w Savin Rock?

Skinął głową z bladym uśmiechem. Wziął ją za rękę; odpowiedziała mocnym uściskiem.

- Karta na stoliku, nie ma żadnego triku, karta taka sama, zgadnij, gdzie jest dama? Nazywał się McCann albo McCausland, albo jakoś podobnie.

- Nieważne, jak się nazywał. Ważne jest to, że zawsze pozwalał ci myśleć, że wiesz, gdzie jest dama. Pozwalał ci myśleć, że możesz wygrać. Tak?

- Tak.

- Tamta dziewczyna związała się z podobnym mężczyzną. Mężczyzną, który zawsze mieszał karty odrobinkę szybciej, niż ci się wydawało. Szukał zagubionych, rozgniewanych dzieci i znalazł je.

- Czy miał żółty płaszcz? - spytał Bobby. Nie wiedział, czy żartuje.

Spojrzała na niego, lekko zmarszczyła brwi i zrozumiał, że tego nie pamięta. Czy powiedział jej o tym? Tak mu się wydawało, wydawało mu się, że mówił jej wszystko, a jednak nie pamiętała. Może to, co się z nią stało w Los Angeles, wypaliło w jej pamięci parę dziur.

Bobby już to widział. I chyba nie była jedyna? Mnóstwo osób w ich wieku bardzo się starało zapomnieć, kim byli i co robili w czasach pomiędzy zamordowaniem Johna Kennedy'ego w Dallas i zabójstwem Johna Lennona w Nowym Jorku.

- Nieważne - dodał. - Mów dalej.

Pokręciła głową.

- Powiedziałam już wszystko, co mam do powiedzenia. Wszystko, co mogę powiedzieć. Carol Gerber umarła na Benefit Street w Los Angeles. Denise Schoonover mieszka w Poughkeepsie. Carol nie znosiła matematyki, nawet ułamków nie potrafiła zrozumieć, ale Denise uczy matematyki! Czy to może być ta sama osoba? Bzdura. Sprawa zamknięta. Powiedz, o co chodzi z Tedem. Przecież nie może jeszcze żyć. Miałby ponad sto lat. Sporo ponad.

- Czas nie ma znaczenia, kiedy jest się Łamaczem. - Tak samo jak nie ma znaczenia w WKND, gdzie Jimmy Gilmer śpiewa o cukrowej chatce przy cichym buczącym akompaniamencie.

- Łamaczem? Co to…

- Nie wiem, to nie ma znaczenia. Ale to, co powiem teraz, ma, więc słuchaj uważnie. Dobrze?

- Dobrze.

- Mieszkam w Filadelfii. Mam śliczną żonę, która jest zawodowym fotografem, troje ślicznych dorosłych dzieci, ślicznego starego psa z chorym stawem biodrowym i dobrym

charakterem, oraz stary dom, który zawsze rozpaczliwie potrzebuje remontu. Żona mówi, że szewc w podartych butach chodzi, a cieśli przecieka dach.

- Jesteś cieślą?

Kiwnął głową.

- Mieszkam w Redmont Hills, a kiedy sobie przypominam, żeby kupić gazetę, kupuję „Inquirer".

- Cieśla - powtórzyła w zamyśleniu. - Zawsze sądziłam, że skończysz jako pisarz.

- Ja też. Ale miałem taki okres w życiu, że mogłem skończyć w stanowym więzieniu w Connecticut, a nie skończyłem, więc uważam, że się wyrównało.

- O jakiej paczce mówiłeś? Co ma wspólnego z Tedem?

- Paczkę doręczył FedEx, nadał niejaki Norman Oliver. Bankier. Był egzekutorem testamentu Smutnego Johna. To znalazłem w środku. Sięgnął do torby i wyjął starą zniszczoną rękawicę baseballową. Położył ją na kolanach kobiety, która siedziała obok niego. Wzięła ją i spojrzała na nazwisko na boku.

- Mój Boże - powiedziała. Głos miała martwy, była wstrząśnięta.

- Nie widziałem jej od dnia, kiedy cię znalazłem w tym zagajniku z wybitym ramieniem. Pewnie jakieś dziecko zobaczyło ją w trawie i wzięło sobie. Choć już wtedy nie była w dobrym stanie.

- Willie ją ukradł - wyszeptała niemal niedosłyszalnie. - Willie Shearman. Myślałam, że jest miły. Widzisz, jak ja się nie znam na ludziach. Nigdy się nie znałam.

Spojrzał na nią w milczeniu, zaskoczony, ale go nie widziała; patrzyła na starą rękawicę, model Alvina Darka, skubała plątaninę rzemyków. A potem zrobiła coś ślicznego i wzruszającego - to samo co on, kiedy otworzył paczkę i ujrzał jej zawartość: uniosła rękawicę do twarzy i wciągnęła w nozdrza słodki aromat olejku i skóry. Tyle że on najpierw włożył w nią dłoń, nawet się nad tym nie zastanawiając. To odruch gracza, odruch dziecka, automatyczny jak oddychanie. Norman Oliver też pewnie był dzieckiem, ale chyba nie grał w baseball, bo nie znalazł kartki, wepchniętej głęboko w ostatni palec - ten z głęboką rysą. A Bobby znalazł. Dotknął jej paznokciem małego palca i usłyszał szelest.

Carol odłożyła rękawicę. Co tam siwe włosy, znów była młoda i pełna życia.

- Mów.

- John miał ją na ręce, kiedy go znaleźli w samochodzie.

Oczy zrobiły się jej wielkie i okrągłe. Już nie wyglądała jak dziewczynka, która jeździła z nim na diabelskim młynie w Savin Rock. Ona nią była.

- Spójrz na dłoń, przy podpisie Alvina Darka. Widzisz?

Szybko zapadał mrok, ale widziała, o, widziała.

B.G

1464 Dupont Circle Road

Redmont Hills, Pensylwania

strefa 11

- Twój adres - szepnęła. - Dzisiejszy adres.

- Tak, ale spójrz tutaj. - Stuknął palcem w słowo „strefa 11". - Strefy pocztowe zniesiono w latach sześćdziesiątych. Sprawdzałem.

Ted albo o tym nie wiedział, albo zapomniał.

- A może napisał to celowo.

Bobby skinął głową.

- Możliwe. W każdym razie Oliver odczytał adres i wysłał mi rękawicę… nie czuł potrzeby, żeby czekać z tym do potwierdzenia autentyczności testamentu. Głównie chciał mi powiedzieć, że John nie żyje, na wypadek gdybym jeszcze nie wiedział i że pogrzeb odbędzie się w Harwich. Pewnie chciał, żebym przyjechał, bo był ciekaw historii rękawicy. Ale nie mogłem mu wiele powiedzieć. Carol, jesteś pewna, że Willie…

- Widziałam ją u niego. Kazałam mu ją oddać, bo chciałam ci odesłać, ale nie oddał.

- Myślisz, że potem dał ją Smutnemu Johnowi?

- Pewnie tak. - Ale jakoś nie wydawało się jej to prawdą. Miała przeczucie, że prawda jest jeszcze dziwniejsza. Sam stosunek Williego do rękawicy był dziwny, choć nie pamiętała już, na czym właściwie polegał.

- W każdym razie - odezwał się Bobby, stukając palcem w napis - to charakter pisma Teda. Jestem pewien. A kiedy włożyłem rękawicę, coś znalazłem. I właśnie dlatego przyjechałem.

Po raz trzeci sięgnął do torby. Czerwień traciła już blask; ostatnie strzępy dnia miały kolor spłowiałego różu, kolor dzikich róż. Radio, nadal leżące w trawie, grało „Don'tcha Just Know It" Hueya „Piano" Smitha i The Clowns.

Wyjął zmiętą kartkę. Przepocone wnętrze rękawicy poplamiło ją w paru miejscach, ale poza tym wyglądała wyjątkowo biało i świeżo. Wręczył ją Carol.

Uniosła ją do światła, blisko twarzy - jej wzrok, zauważył Bobby, nie był już tak dobry, jak niegdyś.

- To strona tytułowa z książki - powiedziała i roześmiała się. - „Władca much”! Bobby! Twoja ulubiona!

- Spójrz na dół. Przeczytaj, co tam jest napisane.

- Faber and Faber… Russell Square 24… Londyn… - Podniosła na niego pytające spojrzenie.

- Broszurowe wydanie Fabera z 1960 roku. To jest napisane na odwrocie. Ale przyjrzyj się jej! Jest nowiutka! Uważam, że książka, z której ją wyrwano, przebywała w roku 1960 zaledwie parę tygodni temu. Rękawica nie, rękawica jest o wiele bardziej zniszczona niż wtedy, gdy ją znalazłem, ale kartka - tak. - Bobby, nie wszystkie książki żółkną, jeśli się o nie dba. Nawet stare broszurowe wydanie…

- Odwróć ją. Spójrz, co jest po drugiej stronie.

Posłuchała go. Poniżej napisu „wszystkie prawa zastrzeżone” widniało zdanie: „Powiedz jej, że była dzielna jak lew”.

- Wtedy zrozumiałem, że muszę przyjechać, ponieważ on uważał, że cię tu spotkam, że jednak żyjesz. Nie mogłem w to uwierzyć, łatwiej było uwierzyć w niego niż… Carol? Co się stało? Chodzi o ten napis na samym dole? Co to znaczy?

Carol płakała, zanosiła się płaczem, spoglądając na wydartą stronę tytułową i napis na dole, wciśnięty w wolne miejsce poniżej warunków sprzedaży:

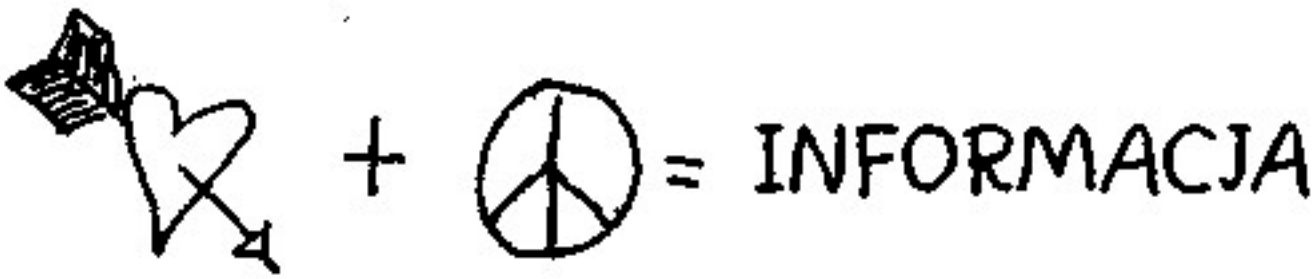

- Co to znaczy? Wiesz? Wiesz, prawda?

Pokręciła głową.

- Nieważne. To ma znaczenie tylko dla mnie. Tak jak rękawica dla ciebie. Jak na staruszka dobrze wie, które guziki naciskać, nie?

- No. Może tym się zajmują Łamacze.

Spojrzała na niego. Nadal płakała, ale zauważył, że nie jest nieszczęśliwa.

- Ale dlaczego to zrobił? I skąd wiedział, że przyjedziemy? Czterdzieści lat to dużo. Ludzie dorastają, dorastają i porzucają dzieci, którymi byli.

- Naprawdę?

Patrzyła na niego w narastającym mroku. Cień zagajnika za nimi stawał się coraz głębszy. W zagajniku - pomiędzy drzewami, w których niegdyś płakał, a następnego dnia znalazł ją, skrzywdzoną i samotną - zapadła już prawie czerń.

- Czasami magia zostaje - powiedział. - Tak sądzę. Przyjechaliśmy, bo ciągle słyszymy te głosy, które są ważne. Słyszysz je? Te głosy?

- Czasami - przyznała niemal z niechęcią. - Czasami.

Odebrał jej rękawicę.

- Wybaczysz mi na chwilę?

- Jasne.

Poszedł do zagajnika, przyklęknął na jedno kolano pod nisko wiszącą gałęzią i położył na trawie starą baseballową rękawicę, wnętrzem do ciemniejącego nieba. Potem wrócił i znów usiadł obok Carol.

- Tam jest jej miejsce.

- Jutro przyjdzie jakieś dziecko i zabierze ją, wiesz o tym, prawda? - Roześmiała się i otarła oczy.

- Może. A może zniknie. Wróci tam, skąd przybyła.

Gdy ostatnie różowe blaski dnia zszarzały jak popiół, Carol położyła Bobby'emu głowę na ramieniu, on zaś ją objął. Siedzieli w milczeniu, a radio u ich stóp zaczęło grać piosenkę Plattersów.

Od autora

Uniwersytet stanu Maine w Orono istnieje naprawdę. Wiem, bo studiowałem na nim w latach 1966-1970. Jednak postacie z tej książki są całkowicie fikcyjne, a niektóre budynki w miasteczku akademickim wcale nie istnieją. Harwich jest także wytworem mojej wyobraźni, ale Bridgeport jest prawdziwe, lecz nie wygląda tak jak w mojej książce. I choć trudno w to uwierzyć, lata sześćdziesiąte nie są fikcją. Naprawdę istniały.

Pozwoliłem sobie także na dowolności chronologiczne, z których najbardziej oczywistą jest wykorzystanie „The Prisenu" na dwa lata przed jego emisją telewizyjną w Stanach Zjednoczonych - ale usiłowałem wiernie oddać ducha tamtych czasów. Czy to możliwe? Nie wiem, ale próbowałem.

Wcześniejsza, zupełnie inna wersja „Ślepego Williego" została opublikowana w magazynie „Antaeus" w roku 1994.

Chciałbym podziękować Chuckowi Verrillowi, Susan Moldow i Nan Graham za to, że pomogli mi zebrać odwagę do napisania tej książki. Chcę także podziękować mojej żonie. Bez niej nigdy bym sobie nie poradził.

S. K. 22 grudnia 1998 r.